

Dwie ojczyzny

Polskie dzieci w Nowej Zelandii
Tułacze wspomnienia



Dwie ojczyzny

Polskie dzieci w Nowej Zelandii
Tułacze wspomnienia



Drugie wydanie
© Polska 2016

Na okładce:
Najmłodsze dzieci polskie w obozie w Pahiatua, Nowa Zelandia, 1945 rok

Redaktor:
Stanisław Manterys

Zespół redakcyjny:
Stefania Zawada, Halina Manterys, Józef Zawada (zdjęcia)

Tłumaczyli z języka angielskiego:
Stanisław Manterys, Stefania Zawada, Anna Szatkowska

*Opracowanie graficzne i techniczne
oraz redaktor wydania w języku angielskim:*
Adam Manterys

Tytuł wydania angielskiego:
New Zealand's First Refugees: Pahiatua's Polish Children

Wszelkie prawa zastrzeżone
© English edition
2004 (1), 2004 (2), 2013, 2015 (eBook), 2016:
Polish Children's Reunion Committee, NZ
© Polish edition 2006, 2016:
Polish Children's Reunion Committee, NZ

Spółeczny Zespół Wydania Książki o Polskich Dzieciach w Nowej Zelandii
PO Box 853, Wellington 6140, Nowa Zelandia
polishcommunity.org.nz

Książkę poświęcamy pamięci wszystkich dzieci-tułaczy,
ich opiekunom i dobroczyńcom

Myśl wyjęta z książki:

*„...Starzeję się i rozmyślam – moi dziadkowie pochowani są w Polsce,
ojciec w Katyniu, matka leży w Iranie, siostra w Stanach Zjednoczonych,
a mnie pochowają w Nowej Zelandii...”*

Od redakcji

Polskie wydanie książki powstało z potrzeby przekazania czytelnikom niezwykłego wydarzenia w dziejach Nowej Zelandii, jakim było przybycie pierwszej grupy uchodźców do tego kraju w 1944 roku i jej pomyślnego włączenia się w obce społeczeństwo. Grupa ta liczyła 733 polskich dzieci (w większości sieroty) oraz 105 opiekunów, uratowanych wcześniej z przymusowych obozów pracy w Rosji Sowieckiej przez Wojsko Polskie na Uchodźstwie, podczas II wojny światowej (Armia Gen. Władysława Andersa). Dzieci przybyły tu jako goście na zaproszenie Rządu Nowej Zelandii. Kraj ten miał być ich tymczasowym schronieniem do końca wojny, ale z powodu Jałty stał się dla większości dzieci stałym domem.

W książce znajduje się ponad sto wspomnień byłych dzieci-tułaczy, ich potomków oraz Nowozelandczyków, którzy zetknęli się z tymi dziećmi w pierwszych latach ich pobytu w tym kraju. Była ona pisana i wydana przez byłe dzieci i ich potomków, przeto wiernie odzwierciedla losy tej grupy.

Włączenie się polskich dzieci do obcego społeczeństwa okazało się sukcesem. Sukces odniósł rząd nowozelandzki, który podczas II wojny światowej, przez swój gest humanitarny, nauczył się jak przyjmować uciekinierów do swego, wówczas odizolowanego, wyspiarskiego państwa. Sukces osiągnęły też polskie dzieci, które uznały ten kraj za swój nowy dom i dodatkowo przyczyniły się do jego rozwoju. Sukces ten jest tym bardziej niezwykły, bo nastąpił po przebytych trudnościach – dzieciństwie napiętnowanym wojną, okrucieństwem doznany na wygnaniu, osieroceniem i pozostawieniem w obcym kraju.

Ówczesny premier Nowej Zelandii, Peter Fraser, nie miał wątpliwości, że strata dzieci dla Polski okazała się zyskiem dla jego kraju. Jego gest humanitarny dał polskim dzieciom schronienie w spokojnym, choć nie zawsze życzliwym dla nich społeczeństwie.

Z okazji obchodów 60-tej rocznicy przybycia polskich dzieci do Nowej Zelandii, parlamenty Rzeczypospolitej Polski i Nowej Zelandii uczciły to historyczne wydarzenie odpowiednimi uchwałami swoich Izb.

Książkę wydano z okazji tych obchodów. Temat, włącznie z wymienionymi źródłami na końcu książki, nadaje się do głębszej analizy naukowej.

Stanisław Manterys

Objaśnienia niektórych nazw

Pahiatua – miasteczko położone 160 km na północ od stolicy Nowej Zelandii, Wellington. Za miastem znajdował się Obóz Polskich Dzieci, które mieszkaly tam w latach 1944–49. W języku Maorysów nazwa znaczy: „miejsce spoczynku bogów”.

Sybir – Syberia. Mimo że Syberia leży na wschód od Uralu, dla polskich zesłańców Sybir i Syberia oznaczały wszystkie miejsca zsyłek do Związku Radzieckiego lub dawnej Rosji carskiej. W książce nazwy te są wymienne.

Rosja – do 1991 roku znana jako Związek Socjalistycznych Republik Radzieckich, czyli ZSRR, Związek Radziecki lub Rosja Sowiecka, potocznie Rosja. W książce nazwy te są wymienne.

Rząd Polski na Uchodźstwie – zwany też Emigracyjnym Rządem Polskim w Londynie. Po rozbiórce Państwa Polskiego przez hitlerowskie Niemcy i stalinowski Związek Radziecki we wrześniu 1939 roku, Rząd Polski, wraz z prezydentem Władysławem Raczkiewiczem, przedostał się do Anglii, gdzie był uznawany przez państwa alianckie i neutralne aż do zakończenia wojny w 1945 roku.

Armia Polska na Uchodźstwie (potocznie Armia Andersa) – po klęsce wrześniowej część rozbitego wojska polskiego przedostała się do Anglii, gdzie pod dowództwem generała Władysława Sikorskiego brała czynny i decydujący udział w jej obronie. Część ludności polskiej, ocalałej z łagrów rosyjskich, wydostała się ze Związku Radzieckiego. Utworzona tam Armia Polska przyłączyła się do walki przeciw Niemcom u boku Aliantów w Afryce i Europie. Była drugą największą, po angielskiej, armią w Wojsku Brytyjskim. Mimo wygranej wojny, Armia Polska została zdradzona przez swych aliantów i jej ojczyznę wydano w ręce okupantów sowieckich.

NKWD – tajna rosyjska policja (Ludowy Komisariat Spraw Wewnętrznych). Po wojnie w 1954 roku nazwę zmieniono na KGB.

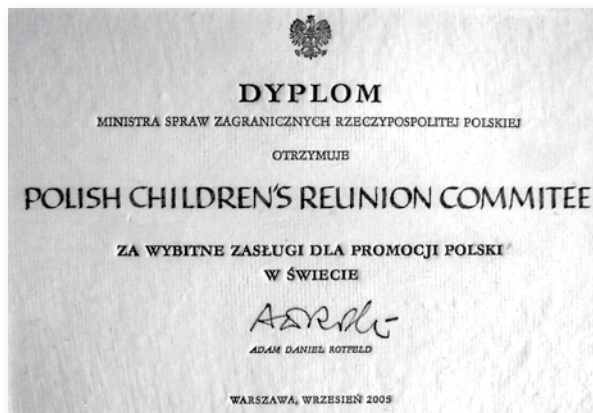
Jałta – w lutym 1945 roku przywódcy alianccy Franklin Roosevelt, Winston Churchill i Józef Stalin „wykroili” nową mapę powojennej Europy i oddali Polskę w ręce Związku Radzieckiego. Był to drugi rozbiór Polski na przestrzeni pięciu lat.

Część pierwsza

Tło historyczne



Polskie dzieci, które przybyły z Iranu (byłej Persji) do Nowej Zelandii w 1944 roku, często nazywano perskimi dziećmi



Dyplom nadany Komitetowi Obchodów 60-tej Roczniczy Przybycia Polskich Dzieci do Nowej Zelandii za zorganizowanie czterodniowego zjazdu w październiku 2004 roku oraz za wydanie książki w języku angielskim *New Zealand's First Refugees: Pahiatua's Polish Children* (Pierwsi uchodźcy do Nowej Zelandii: Polskie dzieci z Pahiatua). Niniejsza książka jest tłumaczeniem tego wydania

Przedmowa

Gerald O'Brien

Prezes Związku Byłych Parlamentariuszy Nowej Zelandii

Przybycie polskich dzieci do Nowej Zelandii w 1944 roku, dzięki pośrednictwu premiera Petera Frasera, ogromnie wzbogaciło nasz kraj imigrantów.

Poczucie obowiązku względem bliźniego (pogląd pielęgnowany u nas od 1935 roku, a dziś wypierany przez bezduszny globalizm) zostało wzmocnione przez przybycie tu dzieci-sierot. Ten czyn humanitarny odbił się echem w postawie naszego kraju, przy tworzeniu Organizacji Narodów Zjednoczonych oraz Uniwersalnej Karty Praw Człowieka. Wkład małej Nowej Zelandii był znacznie większy niż jej znaczenie między mocarstwami.

Dzieci te, wyrwane ze swoich gniazd rodzinnych przez siły totalitarne, obejmujące ówczesną Europę, stały się nosicielami dobra, jakiego najeźdźcy na ich kraj nie przewidzieli. Takie właśnie znaczenie miało dla Nowej Zelandii przybycie tych dzieci z ich dziwnym smutkiem, który przemieniał się stopniowo w radość.

Polski charakter dzieci połączył się z naszą kulturą. Ze spokojem i pokorą ofiarowały nowemu krajowi swój chropowaty dziecięcy charakter, z polską „żywotną iskrą niebiańskiego ognia”, przejęły nasze normy życia i we wspólny sposób przyczyniły się do rozwoju naszego kraju.

Będąc sekretarzem i przewodniczącym elektoratu premiera Frasera, a następnie skarbnikiem Rady Zarządzającej Domami dla Polskiej Młodzieży, byłem oczarowany, z bliska obserwując zachwyt premiera nad zdobyczą, jaką uratował dla ludzkości i dla swego kraju. Czas pokazał, że jego nadzieje zostały spełnione. Swoje zobowiązanie premier Fraser potwierdził w 1945 roku w liście do kierownika Obozu Polskich Dzieci w Pahiatua, w którym pisze: „Zdecydowanie kładę dobro polskich dzieci-tułaczy na pierwszym miejscu”.

Patrząc wstecz na minione 60 lat, życzeniem Nowozelandczyków (którzy też wywodzą się z wcześniejszych imigrantów na tych wyspach), było zapewnienie dzieciom w miarę możliwości ich oczekiwania do należytej opieki, nauki i dobrego samopoczucia w spokojnym kraju. Późniejsze zezwolenie władz na połączenie rozproszonych przez wojnę rodzin również wzbogaciło nasz kraj.

Sprawia nam zadowolenie, że tylu spośród nich pozostało na zawsze w Nowej Zelandii. Tak, jak w przypadku polskich imigrantów u schyłku

XIX wieku, powodem ich przyjazdu było pragnienie życia w spokoju i sprawiedliwości, po burzliwych dziejach zaborów ich ojczyzny. Znaleźli tu poczucie bezpieczeństwa, odpowiedzialności społecznej i ład ustrojowy. Ustawodawstwo w ówczesnej Nowej Zelandii oparte było na jawnie nazywanej i stosowanej moralności chrześcijańskiej, w pełnym pojęciu sprawiedliwości społecznej, która wzbudzała u Polaków ognistego ducha niepodległościowego.

Książka ta przytacza wiele przykładów tego polskiego ducha, o którym wspomniałem. Przypomni nam ona wiele chwil wesołych i smutnych, wskrzesi pamięć o tych Polakach, którzy odeszli, pozostawiając po sobie niezatarty ślad. Przypomni nam również tych Polaków, którzy nie dotarli do naszych brzegów, ale których dzieci, bracia i siostry są nam znani. Pozostaną też w naszych sercach, mimo że leżą wśród czerwonych maków pod Monte Cassino, w Rosji, Egipcie, Francji czy na Wyspach Brytyjskich.

Wielu Nowozelandczyków pamięta wesołe chwile pomagając dzieciom w ich wychowaniu, włączając się w obchody polskich świąt, słuchając ich hymnów i pieśni, a w późniejszych latach będąc goszczeni w ich domach.

Własnymi słowami dzieci-tułacze przedstawiają w tej książce obraz swego życia po wygnaniu z rodzinnego kraju, oderwaniu od swoich korzeni, po deportacji do przymusowych prac w ZSRR, po ich ostatecznej ucieczce i przybyciu do Nowej Zelandii. Książka przedstawia natężone tempo doświadczeń życiowych tych dzieci oraz poczucie radości z powstałych trwałych więzów grupy, która przeżyła wspólne losy w młodości.

Jednak głównym celem książki jest skupienie uwagi czytelnika na zrozumieniu życia tych dzieci i ich włączeniu się w społeczeństwo nowozelandzkie – dojrzewaniu, wyjazd do szkół, znalezieniu pracy, zawieraniu związków małżeńskich, wychowywaniu własnych dzieci i wnuków. Opowiadają o powodzeniach i porażkach, radościach i sukcesach, mimo wielu przeszkód napotkanych w obcym im kraju.

Książka składa hołd wychowawcom i dobrym ludziom, których dzieci-tułacze napotkały na rozpaczliwej wędrówce z Polski przez Azję, w czasach, kiedy dobroć u ludzi była rzadkim gościem. Piszą następnie o dobroci Sióstr Urszulanek, księży, nauczycieli i innych dorosłych ludzi, którzy oddali usługi miłości w tej niezwyklej podróży; o dobroci ludzkiej zrodzonej z dobrej woli, prawości i poczucia powinności – nie dla pokazania częściej postawy przed światem, lecz po prostu jako czynu wynikającego z wiary i rozumu.

Najważniejszy jest tu jednak opis dziejów, może niewielkiego, ale bardzo znaczącego wydarzenia, jakim był przyjazd dzieci do Nowej Zelandii, pokazującego, jakie łaski spływają z ludzkiej życzliwości wobec bliźniego.

W Parlamencie Nowej Zelandii

Z posiedzenia Izby 10 listopada 2004

Wniosek Ministra Spraw Zagranicznych

Podaję wniosek, żeby Izba Reprezentantów uczciła 60-tą rocznicę przybycia do Nowej Zelandii 1 listopada 1944 roku 733 polskich dzieci i ich 105 opiekunów; żeby Izba uznała wkład polskiego społeczeństwa w życie naszego kraju; oraz żeby potwierdziła naszą chęć dalszej współpracy między Nową Zelandią a Rzeczpospolitą Polską. Dzieci polskie i ich opiekunowie przybyli tu po przetrwaniu nadzwyczajnych trudów: na początku najazd na ich kraj, a następnie deportowanie do sowieckich obozów pracy. Przybyli do Nowej Zelandii na zaproszenie premiera Petera Fräsera. Uznajemy wkład tych dzieci w rozwój naszego kraju, wraz z ich bogactwem kulturowym, z którego skorzystało nasze społeczeństwo. Dawniejsi uchodźcy są dziś Nowozelandczykami, którzy pozostają dumni ze swojego pochodzenia polskiego i własnej kultury. Wiem, że wszystkie stronnictwa polityczne tej Izby przyłączą się do wniosku dla uczczenia tej okoliczności.

Urywki wypowiedzi przedstawicieli wszystkich partii politycznych Izby:

- Chcę przypomnieć obywatelom tu urodzonym, którzy wywodzą się z dzieci polskich, że tryumf ich rodziców nad okrucieństwem i klęskami jest dla nas wszystkich natchnieniem. Oddaję im hołd.
- Przychyliamy się do wypowiedzi i wniosku ministra.
- Gratulujemy ówczesnemu rządowi Nowej Zelandii przyjęcia tej pierwszej, i dla nas ważnej, grupy uchodźców.
- Byłe dzieci są wybitnymi obywatelami naszego kraju. Pragnę zwrócić Izbie uwagę na fakt, że grupa tych pierwszych uchodźców liczyła 733 dzieci i 105 dorosłych, a po 60-ciu latach nasz roczny nabór uchodźców wynosi 750 osób.
- Wpływ, jakie były dzieci i ich potomstwo wywarło na nasz kraj jest taki, że po 60-ciu latach każdy z nas przypomina sobie coś, co nas łączy z nimi.
- Pochodzę z Pahiatua i przypominam sobie, że moi rodzice gościli polskie dzieci w naszym domu. Sądzę, że robimy dziś w Izbie wspaniały gest czcząc ich przybycie i jako marszałek Izby – wniosek akceptuję.

Źródło: – New Zealand Parliament 2004, Parliamentary Debates (Hansard) vol. 621, p. 16781- streszczone.

W Sejmie Rzeczypospolitej

List Marszałka Sejmu Rzeczypospolitej Polskiej
do:
Przewodniczącego Parlamentu Nowej Zelandii

Warszawa, 9 marca 2005 roku

Ekscelencjo,

Ponad 60 lat upłynęło od czasu, gdy na zaproszenie Rządu nowozelandzkiego, 733 polskich dzieci oraz ich 105 opiekunów, ofiar deportacji sowieckich w latach 1940–41, znalazło schronienie i swój nowy dom w gościnnej i przyjacielskiej Nowej Zelandii.

Z okazji rocznicy przybycia dzieci, Parlament Nowej Zelandii w dniu 10 listopada 2004 roku, przyjął wniosek w sprawie „upamiętnienia 60-tej rocznicy przybycia 733 polskich dzieci i ich 105 opiekunów do Nowej Zelandii”.

W imieniu Sejmu Rzeczypospolitej Polskiej oraz moim własnym, pragnę przekazać Waszej Ekscelencji wyrazy głębokiej wdzięczności i uznania za wniosek przyjęty przez Parlament nowozelandzki, tym bardziej, że pamięć o tych wydarzeniach, które mimo odległego już czasu, pozostaje wiecznie żywa we wspomnieniach byłych dzieci polskich z Pahiatua. Dzięki tamtym wydarzeniom nastąpiło zbliżenie między naszymi dwoma Narodami będące podstawą, trwającej już od tak wielu lat, naszej przyjaznej oraz owocnej współpracy.

Pragnę zapewnić Waszą Ekscelencję o moim głębokim przekonaniu, iż dobra współpraca między naszymi Parlamentami oraz Narodami: Nowej Zelandii i Polski, będzie się nadal rozwijała.

Z wyrazami najwyższego poważania,

(-) Włodzimierz Cimoszewicz
Marszałek Sejmu

Jak do tego doszło?

Po najeździe Armii Czerwonej 17 września 1939 roku (niecałe trzy tygodnie po napadzie Niemiec) wschodnia część Polski została wcielona do Związku Radzieckiego i zaczęto intensywnie rusyfikować zajęty teren.

Najeźdźcy rozpoczęli niszczenie polskiego społeczeństwa poprzez masowe aresztowania i wywózki na przymusowe prace w głąb Rosji Sowieckiej. Obszerniejsze opisy tych czasów można przeczytać w najnowszych książkach historii Polski.

Przygotowania do deportacji ludności z Polski były systematycznie planowane. Żeby zastać całą rodzinę, rosyjscy żołnierze i ich pomocnicy przychodzili do domów w nocy. Zastraszonym ludziom kazano się szybko ubierać i mówiono im, że zostaną przewiezieni w inne miejsce, gdzie otrzymają wszystko. Żołnierze szukali broni i amunicji, a przy okazji rabowali, co się dało. Potem ludzi wywożono na stacje kolejowe i wpędzano do bydłych wagonów.

Pierwsza masowa wywózka odbyła się 10 lutego 1940 roku. Liczby wskazują na to, że razem ze schwytanymi żołnierzami i cywilną ludnością uciekającą przed Niemcami oraz masowo aresztowaną ludnością cywilną, ponad półtora miliona polskich obywateli deportowano do ZSRR. Większość z nich byłaby zginęła (jak chciał Stalin), gdyby nie napad Niemiec na ZSRR, 22 czerwca 1941 roku. Stalin nie spodziewał się ataku, pomimo ostrzeżeń Wielkiej Brytanii. „Statystyki podawane przez niektórych polskich historyków, co do liczby zesłańców” są błędnie zaniżone do około 350.000. Są to liczby ze źródeł rosyjskich, które pomijają całe transporty, dla przykładu te z 10 lutego, a które występują w innych statystykach rosyjskich.

W zamieszaniu, wywołanym przez cofającą się Armię Czerwoną, rosyjska tajna policja (NKWD) starała się jak najprędzej zamaskować i zatrzeć wszystkie ślady swoich zbrodni. W pośpiechu mordowano polskich więźniów politycznych i jeńców wojennych. Resztę zmuszono do przymusowych marszów na wschód. Ci, którzy nie mogli nadążyć, byli rozstrzeliwani.

Jednym z nieoczekiwanych wyników napadu Niemiec na Rosję (do tej pory jej sojusznika) było wznowienie 30 lipca 1941 roku stosunków dyplomatycznych między Rosją i Rządem Polskim na Uchodźstwie. To porozumienie spowodowało, że ludność polska w Rosji została objęta amnestią i Polacy mogli stworzyć swoją armię w ZSRR, by walczyć ze wspólnym teraz wrogiem. Tak powstało Wojsko Polskie na Uchodźstwie, które przyłączyło się do Armii Brytyjskiej. Stalin postanowił, że część zesłańców ma pozostać

w Rosji, z których utworzył Ludowe Wojsko Polskie, przy boku Armii Czerwonej. Ludność cywilna nie mogła wówczas wracać do kraju, bo tam toczyła się wojna.

Z Rosji ewakuowano do Iranu 77000 żołnierzy Wojska Polskiego na Uchodźstwie (bez broni i wyposażenia) i 43000 cywilów (w tym 20000 dzieci). Stąd wojsko odesłano na Środkowy Wschód, gdzie otrzymało broń i wyposażenie od Brytyjczyków.

Między tymi, którzy byli pozostawieni w Iranie, było mnóstwo dzieci, których matki i ojcowie pomarli w rosyjskich obozach przymusowej pracy lub których ojcowie, po stalinowskiej amnestii, zgłosili się do Polskiej Armii na Uchodźstwie.

Rząd Polski w Londynie zaapelował do Ligi Narodów o pomoc w rozmieszczeniu polskich cywilów i dzieci. Tylko kilku jej członków zaofiarowało pomoc, między nimi Nowa Zelandia. Resztę cywilów i dzieci rozesłano do różnych części Brytyjskiego Imperium.

W 1944 roku koalicyjny rząd Nowej Zelandii, pod przewodnictwem Petera Frasera, zaprosił grupę 733 dzieci i 105 opiekunów do Nowej Zelandii na tymczasowy pobyt, do zakończenia wojny.

Gdy wojna zbliżała się ku końcowi, w lutym 1945 roku zwycięzcy alianci odbyli konferencję w Jałcie. Na tej konferencji Wielka Brytania i Stany Zjednoczone zgodziły się, żeby Rosja zatrzymała wschodnią Polskę i objęła kontrolę nad państwami Wschodniej Europy. Polska otrzymała terytorialną rekompensatę w postaci Ziem Odzyskanych.

Polska stała się rosyjskim satelitą a Rząd Polski na Uchodźstwie przestał być uznawany przez naszych byłych sojuszników. Większość Polaków, którzy zdecydowali się nie powrócić do kraju, była uważana przez rząd komunistyczny w kraju za zdrajców. Do tych, którzy powrócili, odnoszono się podejrzliwie, ponieważ przybyli ze „zgniłego zachodu”. Wielu aresztowano. Nowy rząd wiedział o polskich dzieciach w Nowej Zelandii i robił starania, żeby je ściągnąć do Polski.

Nowozelandzki rząd zaproponował, że zajmie się dziećmi do czasu, gdy dorosną i będą w stanie zdecydować same czy chcą pozostać w Nowej Zelandii, czy wrócić do Polski. Niestety, po konferencji w Jałcie, tereny Polski, gdzie przed wojną mieszkali dzieci, zostały wcielone do Związku Radzieckiego i nie było tam dla nich powrotu.

Józef Zawada

Listy z archiwum premiera Nowej Zelandii

Zaproszenie polskich dzieci na tymczasowy pobyt do Nowej Zelandii było pierwszym humanitarnym eksperymentem rządu nowozelandzkiego w niesieniu pomocy dużej grupie uchodźców do tego kraju. W tym czasie Nowa Zelandia nie miała celowo planowanej polityki imigracyjnej. Pomoc wynikała raczej z osobistej, dobroczynnej wizji premiera Petera Fräsera, który dowiedział się o losach dzieci przebywających w przejściowych obozach w Iranie. Z niniejszych listów wynika, że premier i rząd uważali polskie dzieci za gości w swym kraju.

Pierwszy list był pisany na rok przed przybyciem dzieci, drugi pięć lat później. Ówczesni ludzie rządzący Nową Zelandią nie mieli wzorca dla tak niezwykłego przedsięwzięcia, po prostu kierowali się poczuciem obowiązku społecznego.

List do dr Kazimierza Wodzickiego, konsula Rządu Polskiego na Uchodźstwie.

28 grudnia 1943 roku
Mój drogi hrabio Wodzicki,

Nawiązując do naszej rozmowy, odnośnie przyjęcia polskich dzieci-uchodźców do Nowej Zelandii oraz do naszego spotkania w moim gabinecie we wtorek 14 grudnia, powiadamiam, że rząd nowozelandzki chętnie udzieli gościny dla 500 lub 700 osób, włącznie z opiekunami lub takiej ilości osób, która odpowiada Rządowi Polskiemu.

Naszą myślą przewodnią jest chęć, żeby w liczbie osób przyjętych było jak najwięcej dzieci sierot. Rozumiemy konieczność włączenia niezbędnych opiekunów, zatem jesteśmy przygotowani do przyjęcia określonej ilości matek z dziećmi.

Rząd nowozelandzki dokona wszelkich przygotowań, związanych z zaopatrzeniem obozu i dostarczy niezbędne środki, takie jak: łóżka, pościel, umeblowanie, zaopatrzenie kuchenne itp. Rząd nowozelandzki przejmie odpowiedzialność za utrzymanie obozu, remonty, wyżywienie i ubiór dzieci, na warunkach ustalonych po porozumieniu z Rządem Polskim.

Poinformowano mnie, że Pan, wraz z hrabiną Wodzicką, w środę 15 grudnia, odwiedziliście obóz dla osób internowanych w Pahiatua. Jeżeli zdecydujecie Państwo, że obóz nadaje się do przyjęcia dzieci, a uważamy, że nadaje się, wówczas opróżnimy obóz z obecnych mieszkańców, czyli internowanych

ludzi z wrogich nam państw i przystosujemy go do przyjęcia polskich dzieci.

Jeżeli Rząd Polski wyrazi zgodę na naszą propozycję, proponuję, by przed przybyciem dzieci delegat Rządu Polskiego przyjechał do Nowej Zelandii, żeby zaznajomić się z warunkami obozu. Uważam, że oddałby on nam wielką przysługę przy uzgodnieniu najlepszych warunków do przyjęcia dzieci i ich opiekunów.

Z poważaniem

P. Fraser

Premier

**List premiera Nowej Zelandii do Szczęsnego Zaleskiego, przedstawiciela
Polskiego Rządu na Uchodźstwie, pisany 5 lat później**

Pan S. Zaleski

Przedstawiciel Rządu Polskiego

Obóz Polskich Dzieci

Pahiatua

17 sierpnia 1948

Szanowny Panie

Nawiązuję do naszych rozmów dotyczących zabezpieczenia warunków życia polskich dzieci w Nowej Zelandii. Władze nowozelandzkie zawsze uważały i uważać będą, że polskie dzieci są ich gośćmi w tym kraju. Wiemy również, że niektóre z nich chcą powrócić do swojej ojczyzny. Sądzę, że chcą one wiedzieć, na jakich warunkach rząd nowozelandzki pomoże im osiągnąć ten cel.

Proponujemy, żeby dzieci, które osiągną 18-ty rok życia, miały możliwość wyboru powrotu do swojej ojczyzny lub pozostania w Nowej Zelandii. Informuję, że pomożemy tym, którzy do Polski chcą wrócić, a witamy tych, którzy w naszym kraju chcą pozostać. Życzeniem naszego rządu jest to, żeby ci młodzi ludzie mieli nieograniczoną wolność wyboru oraz żeby ich wybór był oparty wyłącznie na ich przyszłym szczęściu.

Przewidujemy, że po osiągnięciu 18-go roku życia niektóre dzieci nie zechcą powziąć decyzji, zatem nie widzimy przeszkody, żeby miały dodatkowe trzy lata, by podjąć decyzję o powrocie do Polski. Rząd jest przygotowany ponosić wszelkie koszty związane z powrotem do ojczyzny dzieci, w wieku od 18-21 lat, które sobie tego życzą.

Dorośli natomiast, którzy osiągnęli 21-szy rok życia i pracowali już w tym kraju, powinni mieć wystarczająco oszczędności, żeby opłacić swój powrót do

Polski. Jednakże Rząd Nowej Zelandii jest gotowy rozstrzygnąć poszczególne prośby tych, którzy chcą powrócić do swego kraju, a nie mają na to środków.

Życzę sobie, żeby treść tego listu była udostępniona ludziom, którzy mają pieczę nad polskimi dziećmi i żeby opiekunowie wspierali Rząd Nowej Zelandii, zgodnie z duchem naszych poczynań oraz żeby osoby zatrudnione przy opiece nad polskimi dziećmi poinformowały podopiecznych o postanowieniach naszego Rządu.

Z poważaniem

P. Fraser

Premier Dominium Nowej Zelandii

Biuro Premiera

Wellington

(Źródła – *Archives New Zealand*)



Peter Fraser, premier Nowej Zelandii w latach 1940-49. Twierdził, że strata dzieci dla Polski okazała się zyskiem dla jego kraju. Stawiał dobro polskich dzieci na pierwszym miejscu

Polskie ślady w Nowej Zelandii

Najwcześniejsze zapiski o polskich kontaktach z Nową Zelandią sięgają drugiej podróży kapitana Jamesa Cooka w 1772 roku. Na pokładzie *Resolution* znajdowało się dwóch naukowców, Johann Reinhold Forster i jego syn Georg z Gdańska. Byli pochodzenia szkockiego, ale z urodzenia byli polskimi poddanymi. Niemal całe stulecie później grupa Polaków przybyła do Nowej Zelandii w poszukiwaniu złota.

Pierwszy opis Nowej Zelandii w języku polskim, zawierający tłumaczenie pieśni maoryskich, był autorstwa podróżnika Sygurda Wiśniowskiego, który odwiedził Nową Zelandię w 1864 roku. Jego powieść *Dzieci Królowej Oceanii* wydana w 1877 roku jest uważana za dużo lepszą niż jakakolwiek inna powieść o Nowej Zelandii napisana wcześniej w języku angielskim.

Polskie osadnictwo rozpoczęło się pod koniec pierwszej połowy XIX wieku. Pierwsi imigranci przybywali tu pojedynczo lub z rodzinami i ich kontakty z innymi Polakami były sporadyczne. W ciągu całego stulecia – według różnych szacunków przybyło do Nowej Zelandii od 500 do 1000 Polaków.

Trudności w ocenie liczby Polaków przybyłych w XIX wieku są spowodowane rozbiorami, gdyż Polska nie istniała wówczas jako niezależny kraj. Zatem w spisach ludności znajdowali się Polacy zarejestrowani jako Rosjanie, Niemcy bądź Austriacy. Wielu opuściło ojczyznę w nadziei polepszenia bytu. Liczne grupy przybyłych tu Polaków prowadziły życie wypełnione ciężką pracą: wyrębem lasów, osuszaniem bagien i budowaniem kolei do nowych osad. Później udawało im się założyć własne gospodarstwa. Dołączyli do nich krewni i tak na równinie Taieri w Otago, w Marshlands niedaleko Christchurch na Wyspie Południowej oraz w Taranaki, Manawatu i Wairarapa na Wyspie Północnej zaczęły powstawać małe społeczności Polaków.

Kolejnymi imigrantami z Polski byli polscy Żydzi, którzy przybyli w okresie międzywojennym. Ich grupa liczyła najwyżej kilkaset osób. W 1944 roku założyli Stowarzyszenie Żydów Polskich w Wellingtonie. Organizacja ta przetrwała do czasu powstania Stowarzyszenia Polaków, założonego przez byłych żołnierzy Wojska Polskiego na Uchodźstwie.

Po II wojnie światowej wyłoniły się trzy grupy polskich przybyszów do Nowej Zelandii, z różnymi doświadczeniami wojennymi: dzieci-sieroty ich opiekunowie, weterani Wojska Polskiego na Uchodźstwie, oraz wysiedleńcy z niemieckich obozów przymusowej pracy. Wszyscy w dramatyczny sposób złączeni byli poczuciem oderwania od ojczyzny.

Pierwsza grupa to 733 polskich dzieci oraz 105 opiekunów przybyłych tu w 1944 roku na zaproszenie premiera rządu Nowej Zelandii. Przybyli oni jako tymczasowi goście tego kraju. Okoliczni mieszkańcy nazywali obóz polskich dzieci Małą Polską. Obóz odtworzył dzieciom częściowo świat, który utraciły. Tu utwierdziły się w polskim patriotyzmie, mimo że większość do Polski nigdy już nie wróciła.

Druga grupa, licząca około 200 osób, przybyła wkrótce po wojnie. W większości byli to mężczyźni, którzy walczyli wraz z aliantami i pod koniec wojny znaleźli się poza granicami Polski, a których dzieci lub rodzeństwo byli w Nowej Zelandii. Polscy wojskowi otrzymali te same prawa do osiedlenia w Nowej Zelandii, co brytyjscy żołnierze.

Trzecią grupą byli wysiedleńcy, którzy spędzili lata wojny w obozach jenieckich, obozach pracy lub w obozach koncentracyjnych na terytorium Niemiec. Często nie mieli przy sobie dokumentów tożsamości. Nowa Zelandia należała do Organizacji Uchodźczej przy Narodach Zjednoczonych i umożliwiła tym ludziom osiedlenie się. W grupie 4500 wysiedleńców różnych narodowości przybyłych między 1949 a 1951 rokiem było ponad 700 Polaków.

Po 1956 roku przyjeżdżały pojedyncze osoby, często w celu połączenia się z rodziną. Po stanie wojennym w 1981 roku napłynęło tu kilkuset Polaków, przeważnie przez obozy przejściowe w Austrii.

Źródło: Theresa Sawicka. 'Poles', Te Ara – the Encyclopedia of New Zealand, updated 17-Mar-2005, www.TeAra.govt.nz/NewZealanders/NewZealandPeoples/Poles/en.htm

Polscy Nowozelandczycy

Polski patriotyzm, wpojony przez wychowawców i wzmocniony własnymi tragicznymi doświadczeniami II wojny światowej, to jeden z dwóch świetlanych celów mego życia. Patriotyzm był kierującą siłą, według której wychowałem swe dzieci w polskiej i nowozelandzkiej kulturze. Byłem zawsze świadomy politycznych wydarzeń w Polsce i zawsze wierny polskiej tradycji i katolickiej religii.

Druga świetlana zasada – to poczucie przynależności do grupy polskich dzieci, które przyjechały do Nowej Zelandii w 1944 roku. Więź była głęboka, bo stworzona z konieczności. Jako sieroty znaleźliśmy się w obcym, nie zawsze przyjaznym otoczeniu i szukaliśmy wsparcia między sobą. Każde z obozowych dzieci jest dla mnie jakby członkiem rodziny z konieczności, ponieważ własne rodziny potraciliśmy w czasie II wojny światowej. Łączy nas pamięć wspólnie przeżytych, okrutnych dni.

Odnalezieni w Polsce po wojnie krewni mają tylko mgliste wspomnienia o mnie i o moich losach. Inaczej jest z przyjaciółmi z byłego Obozu Polskich Dzieci w Pahiatua. Na kilkudniowym zjeździe 50-tej i następnie 60-tej rocznicy naszego przyjazdu do Nowej Zelandii zabrakło czasu na rozmowy i wspomnienia.

Ażeby wspomnienia z okresu dzieciństwa w Polsce zostały w mej pamięci, potrzebowałbym ciągłej styczności z rodzicami, rodzeństwem, krewnymi i stałego, dobrze mi znanego otoczenia. Tego nie miałem i dlatego przeszłość stawała się coraz mniej wyraźna. Mimo to trzymaliśmy się naszej spuścizny, przeciwstawiając się sile, która w takich warunkach jak nasze upodabnia mniejszości narodowe do większości.

Czy upodobiłem się? Do czasu usamodzielnienia się, większość polskich dzieci w Nowej Zelandii była pod opieką władz tego kraju. Nowi opiekunowie popierali teorię asymilacji. Byli zdania, że szybkie upodobnienie się jest najkorzystniejsze dla dzieci. Stopniowo wysyłano starszą młodzież do pracy, a młodsze dzieci do szkół nowozelandzkich, do prawie wszystkich zakątków kraju.

Zauważyłem, że w tych czasach uchodźcy, gdy są poza krajem szukają bezpiecznego, stałego przytułku. My, Polacy po II wojnie światowej byliśmy inni. Niestety, nie zauważono, że polscy uchodźcy i wygnańcy głęboko odczuwają swe wygnanie i że gnębi ich tęsknota. Nie chcieliśmy upodobnić się do ogółu – potrzebny był dla nas czas na pogodzenie się z losem. Najważniejsze, przynajmniej w trudnych pierwszych latach, potrzebna była

bliskość podobnych nam ludzi dla utrzymania tradycji i nadziei na lepszą przyszłość, bo to dawało nam siły do przetrwania. Czuliśmy konieczność przekazania swej kultury dzieciom, wierząc, że w ten sposób przedłużymy walkę z reżymem, który nas wygnał z rodzinnego kraju. Instynktownie broniliśmy się przed asymilacją, niektórzy może za długo.

Na wszelkie możliwe sposoby staraliśmy się utrzymać polskość. Nie wszystkie wymyślane przez nas sposoby utrzymania polskości były możliwe do wykonania. Opowiadano, a nie wiem czy to prawda, czy żart, o planie jednego z członków z administracji obozowej w Pahiatua. Jego marzeniem miało być utworzenie Polskiej Kolonii – żeby zakupić szmat ziemi i osiedlić na niej dzieci. Patrząc wstecz, rozumiem, jakie by to było niepraktyczne i niesprawiedliwe dla dzieci. Jeżeli się mieszka w danym kraju, to nie można odsunąć się od społeczeństwa, bo każdy obywatel winien wnieść swój wkład do życia społecznego.

Doświadczenie pokazuje, że dzieci imigrantów często pobierają się poza swą narodową grupą i tak się stało z wieloma polskimi dziećmi. Wynikiem tego mogły być przykrości i trudności, jakie nieraz mają imigranci, tj. brak wspólnego języka w rodzinie. Na szczęście większość z nas nie miała tych kłopotów, ponieważ przyjechaliśmy do Nowej Zelandii jako dzieci i dano nam możliwość uczęszczania do nowozelandzkich szkół i poznania tutejszego języka i kultury.

Babcie, ciotki, wujkowie w Polsce, których pamiętam z dzieciństwa, zaczęli wymierać i niespostrzeżenie głębokie, uczuciowe przywiązanie do Polski zanikało. Najważniejsze, że Polska po Solidarności jest wolnym, suwerennym krajem i walka o wolną Ojczyznę przestała być dla nas celem.

Dziś polskie dzieci z Obozu Pahiatua przeżywają nowy kryzys. Nasi wychowawcy, byli żołnierze Armii Andersa (którzy połączyli się ze swymi dziećmi w Nowej Zelandii) i uchodźcy z Niemiec, w większości wymarli. Ci Polacy, którzy przyjechali po wojnie, przy współpracy dzieci obozowych stworzyli polskie organizacje.

Jesteśmy już starym pokoleniem (nawet obozowe przedszkolaki pokończyły 65 lat.) Staramy się, ale jest bardzo mało chętnych z następnego pokolenia do przedłużania naszej pracy – czują oni przynależność do Nowej Zelandii.

Wielu z naszych dzieci nieźle włada językiem polskim, bo w wielu wypadkach przed rozpoczęciem szkoły mówiły tylko po polsku. Jednak nie czują potrzeby przekazania języka polskiego swoim dzieciom. Szkółki polskie nadal istnieją, gdzie chętne dzieci mogą poznać choć trochę język polski i polską kulturę. Uważam, że większość z nas upodobniła się do nowego otoczenia przez „wcielenie kulturalne”. Jest to sposób, który w pierwszym rzędzie bierze pod uwagę potrzeby wygnańców i uciekinierów utrzymania

swojej kultury. Obecne władze nawet zachęcają ich do tego. A oni, w swoim czasie, przysposabiają się do nowego otoczenia.

Teraz, gdy wychowałem własne dzieci i dorastają wnuki, pytam sam siebie, co wnioskuje i jakie wrażenia pozostały z lat mojego dorastania w Nowej Zelandii. Widzę, że dość szybko podzieliliśmy się na dwie grupy. Jedni łatwiej, a może z konieczności, wchodzili w nowe otoczenie i nie szukali styczności z innymi Polakami i polską kulturą.

Drudzy kurczowo trzymali się wszystkiego, co polskie, chodzili na polskie nabożeństwa, należeli do Stowarzyszenia Polaków i innych wyłaniających się ze Stowarzyszenia organizacji. Ci, którzy zamieszkali w głównych miastach mieli lepsze szanse na zgrupowanie się.

Najwięcej Polaków mieszka w Wellingtonie. Dziś (rok 2006), oprócz Stowarzyszenia Polaków istnieje Stowarzyszenie Polskich Kombatantów, Szkoła Polska, grupy taneczne Lublin i Orleń, Koło Polek, Drużyna Siatkówki, kluby gry w szachy i brydża, Koło Miłośników Polskiego Video, Chór Kościelny i Klub Seniorów. Raz w miesiącu Stowarzyszenie wydaje „Wiadomości Polskie”. Najważniejsze jest to, że mamy polskiego księdza.



Oficjalni goście na jednej z uroczystości 50-lecia przyjazdu Polskich Dzieci do Nowej Zelandii, która odbyła się w Pahiatua 23 października 1994 roku.

Od lewej: Stefania Zawada; premier Nowej Zelandii Jim Bolger; gubernator generalny Catherine Tizard; przewodniczący Komitetu Zjazdowego Józef Zawada; żona premiera Joan Bolger; ambasador Rzeczypospolitej Polskiej w Australii i Nowej Zelandii dr Agnieszka Morawińska

Wszystko jakby tętni życiem, ale przestaliśmy się łudzić. Jest nas coraz mniej i liczba uczęszczających do polskiego kościoła i na inne uroczystości topnieje. Nie można powiedzieć, że straciliśmy nasze młode pokolenie dla polskości – są młodzi, którzy pracują ciężko w Stowarzyszeniu i w innych organizacjach, ale jest ich stosunkowo mało. Nasze dawne pobudki dla utrzymania polskości, dla młodych nie mają znaczenia.

Były polskie dzieci z obozu w Pahiatua nie tylko utrzymywały polskie tradycje i kulturę, ale wniosły, co miały najlepszego w swe nowe otoczenie. Głęboki patriotyzm, karność, samodzielność i wychowanie religijne, sprawiły, że wyrosliśmy na dobrych obywateli Nowej Zelandii.

Gdy opuściliśmy szkoły i weszliśmy w otoczenie codziennej pracy, przynależność do polskiej wspólnoty pomogła nam, dzieciom, w przeżyciu bardzo ciężkich dni. Był to okres niezmiernie trudny dla sierot, okres osamotnienia. Byliśmy zawsze sami, bez niczyjej pomocy i rady – wychowanie skończone i wszyscy przestali się nami interesować. Dlatego lgnęliśmy do naszej polskiej wspólnoty.

Pisałem ten artykuł wiele lat temu, na prośbę pewnego naukowca. Pytał mnie, czy lepiej jest wychowywać sieroty, tak jak nas, grupowo, czy dać im przybranych rodziców. Odpowiedziałem, że wolałem być wychowywany w obozie i wolałbym być w internacie niż być adoptowany. Wtedy był to mój ostateczny wniosek. Teraz widzę, że sierot z takimi przeżyciami i w takim kłopotliwym politycznym położeniu jak nasze w Nowej Zelandii więcej nie było i może nigdy nie będzie. Byliśmy patriotami.

Minęło 60 lat od naszego przyjazdu do Nowej Zelandii. Patrzymy z dumą na to, czego dokonaliśmy – zdołaliśmy spoić kulturę dwóch narodów, wzbogacając naszą nową ojczyznę.

Józef Zawada

Polskie dzieci-uchodźcy w innych krajach

Około 20000 dzieci ewakuowano z Rosji Sowieckiej do Iranu w 1942 roku – w tym tylko 733 znalazło przytułek w Nowej Zelandii. Resztę rozproszono po świecie. Wyjechały do: Meksyku, Indii, Kanady, Libanu i Afryki Wschodniej. Stany Zjednoczone odmówiły przyjęcia dzieci, nie chcąc urazić Stalina, ówczesnego sojusznika, z którym wspólnie podpisały umowę w Jałcie.

Meksyk

Dzieci wysłano do obozu w Santa Rosa, gdzie opiekowały się nimi Siostry Felicjanki z Chicago. Po wojnie, stopniowo dotarły do Stanów Zjednoczonych, gdzie nie stworzyły jednolitej grupy, jaką stworzyły dzieci-uchodźcy w innych częściach świata.

Indie

Największy obóz w Indiach mieścił się niedaleko Jamnagar, pod opieką księdza Franciszka Płuty oraz niemal ojcowską opieką maharadży Jam Saheba. Obóz rozwiązano po zabójstwie Mahatmy Gandhiego w 1948, gdy wszyscy obcokrajowcy musieli opuścić Indie. Dzieci dołączono do polskich sierot rozproszonych po obozach od Przylądka Dobrej Nadziei, przez Kenię, Ugandę i Afrykę Wschodnią. Gdy dorastały, emigrowały przeważnie do Wielkiej Brytanii, żeby połączyć się z członkami rodzin, które przetrwały wojnę, ucząc się dalej lub podejmując pracę.

Liban

Uchodźcy do Libanu to odrębny rozdział w wędrówce osieroconych dzieci; wiele o nich jest napisane. Były to starsze dzieci, rozproszone po górzystych wioskach i miasteczkach, gdzie były mile witane przez tamtejszą ludność.

Afryka

Największy obóz dla sierot znajdował się w Tengeru w Tanzanii, w pobliżu bliźniaczych szczytów Kilimandżaro i Meru, pośród dżungli, obok czystych jak kryształ wód jeziora Duluti. Inne grupy z likwidowanych gdzie indziej obozów, stopniowo przeniesiono w to miejsce. W 1949 roku obóz ostatecznie zamknięto i dzieci przewieziono do Kanady. Ta akcja była wynikiem podstępu komunistycznych władz polskich w Warszawie, zdominowanych przez Rosję Sowiecką, które spodziewały się, że ułatwi to powrót dzieci do Polski, mimo

wyraźnego oporu dzieci i ich opiekunów. Ich pamięć represji doznanych w Rosji Sowieckiej była nadal świeża. Większość dzieci była za mała i nie miała wpływu na to, gdzie je zawiozą. Istniało wiele innych obozów w Afryce, takich jak w Rongai w Kenii, które były wyłącznie dla mniejszych dzieci. Żyły one tam przez siedem lat.

Najcenniejszym skarbem poza samym życiem, jest dar wolności. Dzieci w swoich latach dojrzewania żyły w cieniu despotów, takich jak Hitler i Stalin, którzy ograniczali wolność. Mimo że straciły swoją polską ojczyznę i były rozsypane na cztery strony świata, utrzymały swoją tysiącletnią kulturę i wartości chrześcijańskie.

Źródło: *Skradzione dzieciństwo*, autorstwa księdza Łucjana Królikowskiego



Polskie dzieci-uchodźcy w obozie w Tangeru, Tanzania, na próbie chóru przed barakiem. Dach jest kryty żdźbłami z liści bananowych lub trzciny – dniem i nocą pożerany przez termity. Jadwiga Dźwiniel (9-ta od prawej strony, w pierwszym rzędzie, obok dziewczynki trzymającej śpiewnik), później dołączyła się do swoich siostr w Nowej Zelandii

Część druga

Wspomnienia polskich dzieci po 60-ciu latach

Wstęp do wspomnień

Gdy wybuchła II wojna światowa, dzieci opisane w tej książce były w różnym wieku: jedne były niemowlętami, inne miały kilka czy kilkanaście lat. Przez wiele następnych lat doświadczały ciągłych zmian, często w tragicznych okolicznościach – wyrwanie z domu rodzinnego, wywózka, przymusowa praca ponad siły, osierocenie, głódówka, choroby, cierpienie, zastraszenie, ucieczka, ewakuacja, przemieszczanie z miejsca na miejsce, z kraju do kraju, z kontynentu na kontynent – w końcu pozostanie na stałe z dala od swoich, osamotnieni w obcym środowisku. Nic dziwnego, że doświadczenia tego okresu życia są u nich tak silne i wyraziste, że po 60-ciu latach pozostawiły niezatarty ślad na ich umysłach i oddziaływały na stosunek do otaczającej, obcej, anglojęzycznej kultury w Nowej Zelandii.

Każde spośród dzieci, które połączył wspólny, zły los, miało swoje bardzo osobiste, niezwykle i niepowtarzalne przeżycia. Pragnąc jednak uniknąć powtarzania wielokrotnie opisywanych zdarzeń w innych książkach, autorzy tej pracy wybrali tylko trzy wspomnienia z tego wcześniejszego okresu, obejmujące lata poprzedzające wojnę, poprzez rozsypanie Polaków na syberyjskim wygnaniu, pobyt w Iranie i podróż do Nowej Zelandii.

W pierwszym wspomnieniu Dioniza Choroś (Gradzik) opowiada o swych przeżyciach z okresu przed wywózką z Polski, gdy miała 11 lat, a kończy opowiadaniem o podróży z Iranu do Nowej Zelandii.

W drugim siostra Stella (Józefa Wrotniak) mówi o wywóźce na przymusowe prace w łagry północnej Rosji. Miała wtedy 16 lat.

Halina Morrow (Fladrzyńska) autorka kolejnych wspomnień miała 7 lat, gdy deportowano ją wraz z rodzicami do kołchozu w Kazachstanie.

Pozostałe wspomnienia, opisujące dzieje polskich dzieci, dotyczące pobytu w Nowej Zelandii, są ułożone alfabetycznie, a dawne nazwiska ujęto w nawiasach. Czasami opowiadają o tych samych sprawach, ale każde wspomnienie jest ujęte w swoisty sposób.

Wiele byłych dzieci nie chciało pisać lub wspominać o swoich okrutnych przeżyciach. Mimo to wspomnienia, zawarte w tym tomie, tak wyraźnie przedstawiają różnorodne zdarzenia i problemy, radości i smutki, że opisy w nich tworzą prawdziwy obraz nie tylko radości i sukcesów, ale również trudności napotykanych w obcym kraju.

Stanisław Manterys

Stracone dzieciństwo

Dioniza Choroś (Gradzik)

Mój ojciec był inwalidą wojennym i osadnikiem wojskowym na Wołyniu. Nie mając synów, wychowywał nas: Bronię, Halinę, Dionizę i Bogdę w umiłowaniu Polski i w duchu patriotycznym. Później żartowałyśmy, że naszymi kołysankami były pieśni legionowe, a pokarmem polityka, zasłyszana u dorosłych. Rosłyśmy zahartowane, pracowite i samodzielne.

1 września 1939 roku radio podawało tragiczne wiadomości, latały samoloty, było dużo uciekinierów z zachodniej Polski, ale dla mnie wojna była gdzieś daleko. Wszystko się zmieniło, gdy do naszej miejscowości zbliżyły się kolumny wojska rosyjskiego. Grupa dzieci polskich przyglądała się w ciszy przemarszowi. Dalej stała gromada Ukraińców i witała ich przyjaźnie. Tej nocy słyszałam krzyki, strzały, rżenie koni i szczekanie psów.

Przyszli do nas. Walili kolbami w drzwi, krzyczeli, żeby otworzyć. Wtargnęło pięciu. Szukali broni, przewracali łóżka i wyrzucali wszystko z szuflad na podłogę, w komorze tłukli butle z przetworami i wysypywali zawartość worków. Kazali ojcu i sąsiadowi (który się u nas ukrywał) ubrać się i jechać z nimi. Ojciec żegnając się z nami przypominał nam, że musimy być dzielne. Krótco potem padły strzały, po chwili inne i nastąpiła ogłuszająca cisza.

Upłynęło może pół minuty. Mnie zdawało się, że upłynęły wieki. Rano, ubrane odświętnie, czekałyśmy na powrót ojca, żeby jechać do kościoła. Zamiast ojca powrócili uzbrojeni ludzie, kazali nam wyjść, a dwaj weszli do domu szukać broni. Skierowali na nas karabiny i krzyczeli. Potem odjechali.

Byłyśmy jeszcze sparaliżowane ze strachu, kiedy przybiegł z płaczem syn sąsiada, chwycił Bronię za rękę i pobiegł z nią do ogrodu, a my za nimi. Zobaczyłyśmy kałużę zakrzepłej krwi, na niej czapki ojca i sąsiada. Opodal leżał zastrzelony pies. Poszłyśmy do centrum wsi, drogę wskazywała nam rozlana krew. U skrzyżowania dróg ślady znikły. Zaszyłyśmy do znajomych, by podzielić się naszą straszną nowiną. Powiedzieli nam, że wymordowano prawie wszystkich osadników, którzy nie zdążyli się ukryć, a także kierowników szkoły i mleczarni.

To był sądny dzień w naszym życiu i brak mi słów, żeby go dobrze opisać. Sąsiedzi proponowali nam nocleg na podłodze, bo nie mieli miejsca. Ofertę chętnie przyjęłyśmy. Sąsiadka modliła się przed ikoną żebyśmy zasnęły i nie obudzili się już nigdy do tego koszmaru.

Pamiętam doskonale moją chwilę buntu – ja się tak nie chcę modlić, pomyślałam – ja chcę doczekać końca wojny, zwycięstwa Polski i normalnego życia. Ale wiedziałam doskonale, że dla nas wojna dopiero się zaczęła.

Po latach, na odtajnionych zdjęciach archiwalnych oglądałam aleje drzew, do których drutem kolczastym przywiązane były polskie dzieci, strasznie poranione, ale jeszcze żywe oraz zdjęcia spalonych kościołów, pełnych ludzi.

Przez następnych kilka miesięcy żyliśmy w ciągłym strachu. Bałam się iść do łóżka, chowałam głowę pod pierzynę – to był czas tortur, a nie odpoczynku. Polacy nadal ginęli. Pod koniec października otworzyli naszą szkołę z ukraińskim językiem wykładowym, którym wcześniej władałyśmy jak rodowite Ukrainki.

Nasz ojciec kładł na naukę wielki nacisk. Pomne jego ostrzeżenia, że nie wiadomo, co nas czeka w życiu, powróciliśmy z Bogdą do szkoły. Bronia, najstarsza z nas, nie chciała odjechać do gimnazjum, czując się trochę odpowiedzialna za losy rodziny. Ale w szkole nie było prawie żadnej nauki, oprócz przygotowań do obchodów bolszewickiej rewolucji. Czas wypełniony był śpiewem i bałwochwalczym recytowaniem propagandowych, komunistycznych tekstów.

Ukraińcy, którzy sprzyjali Rosjanom, prześladowali i upokarzali nas. Doznawałam wielu upokorzeń od dawnych koleżanek. Nawet moja wielka przyjaciółka nie chciała siedzieć ze mną w ławce, bo byłam Polką. Kierownik szkoły był zamordowany i inni nauczyciele do szkoły nie wrócili. Ukraińcy rabowali nasz dobytek, z naszych 40 uli nie zostało ani jednego. Innym razem zastaliśmy gromadę ludzi w magazynie ojca z narzędziami rolnymi. Każdy zabierał, co chciał, dwaj nawet wyrwali sobie coś z rąk i bili się.

Piszę, jak było u nas, bo to widziałam i doskonale pamiętam, ale wiem, że podobne grabieże były też u innych osadników. Niektórzy potracili wszystko, włącznie z żywym inwentarzem. Pracowita, duża i dorosła rodzina naszych dzierżawców strzegła swojej własności w dzień i w noc.

Pewnego dnia idąc ze szkoły, znalazłam ciało mojej matki chrzestnej, pani Kucharskiej, było tylko trochę przysypane śniegiem i zamarznąłą ziemią. Nie miała własnych dzieci. Gdy wcześniej nasz dom spalił się w nieznanych okolicznościach, mieszkalam u niej i bardzo mnie rozpieszczała. Kochałam ją z całego serca. Przytulała i całowała mnie więcej niż ktokolwiek inny na świecie. W tamtych czasach nie okazywało się swoich uczuć. Ona była wyjątkiem. Teraz siedziałam przy niej w śniegu, patrzyłam, rozmyślałam i długo płakałam. Miałam już 11 lat i wszystko rozumiałam, co w koło mnie się dzieje, ale nie mogłam pojąć tej nagłej zmiany – czemu tak jest, czemu nas taki los spotkał? Przecież ci prześladowani byli dobrymi ludźmi.

Jeżdżąc po comiesięczną pensję, ojciec kupował papier listowy i koperty.

Często, zamiast niedzielnego spaceru z rodziną, siadał i pisał okolicznym ludziom listy i załatwiał sprawy urzędowe, a w dni powszednie uczył ich płodozmianu, przycinania i szczepienia drzew owocowych. Zapłacono mu barbarzyństwem. Pełna wewnętrznego buntu, napisałam dużymi literami palcem na śniegu: „Niech żyje niepodległa Polska!” Poczułam się lepiej.

Ukraińiec Marko, który, jak się okazało, był przewodniczącym tajnej organizacji komunistycznej jeszcze przed wojną, a teraz wielkim panem, zabronił szukania ciał i „cyrkowych” pogrzebów. Mając teraz nieograniczoną władzę sowiecką, szczycił się wcześniejszym spaleniem naszego domu, morderstwem kierownika spółdzielni i różnymi krzywdami wyrządzonymi osadnikom.

Krótko potem znowu usłyszałyśmy mocne łomotanie do drzwi i rozkaz po rosyjsku „sobierajsia” – zbierajcie się. Wywieźli matkę z czterema córkami i tysiącami innych Polaków w okolice Archangielska, gdzie zaczęła się walka o przetrwanie każdego dnia. Dzięki Opatrzności, naszemu spartańskiemu wychowaniu i pomocy dobrych ludzi, przeżyłyśmy i pierwszym transportem cywilnym byłyśmy ewakuowane do Iranu, ale te historie opowiedzieli już inni.

59 lat potem, w 1998 roku, odwiedziłam Wołyń. W dużym parku w Łucku gigantycznych rozmiarów pomnik z gwiazdą upamiętnia żołnierzy sowieckich. Trochę dalej tablica głosi śmierć prawie 65000 zamordowanych Polaków w tej nie deklarowanej wojnie, w której każdy nieuzbrojony Polak i sąsiad był wrogiem. Według polskich obliczeń zginęło ich dwa razy tyle.

Odwiedziłam też sąsiadkę z tamtych czasów, która zapłakała i uradowała się, że mnie widzi. Mówiła, iż była przekonana, że nie wszyscy zginęli podczas zsyłek na Sybir i że ona jeszcze spotka niektórych z nas. Poszłyśmy razem do innej kobiety, która pamiętała, że ciało mego ojca znaleziono później na torfowisku, gdy śniegi stajały na wiosnę.

Po raz pierwszy spisuję tę historię tak szczegółowo. Groza tamtych dni pozostanie niezatarta w mojej pamięci.

Dalsze dzieje polskich dzieci po zsyłce na Sybir są opisane w następnych dwóch opowieściach siostry Stelli (Józefy Wrotniak) i Haliny Morrow (Fladrzyńskiej). Natomiast lata pobytu w Iranie są opisane szczegółowo w innych książkach o polskich dzieciach-tułaczach. Poniżej Dioniza Choroś opisuje wędrówkę dzieci z Iranu do Nowej Zelandii.

W tamtych czasach różne zmiany w naszym życiu zachodziły szybko i niespodziewanie. Po niecałych trzech tygodniach pobytu w Teheranie (Iran), umarła moja matka. Bronia z wojskiem, a Halina z junaczkami pojechały na

Środkowy Wschód. Najmłodsza Bogda była już w sierocińcu w Isfahanie. Zostałam sama.

Wiadomość o zaproszeniu przez rząd Nowej Zelandii grupy dzieci polskich wraz z opiekunami i ich wyjeździe do tamtego kraju krążyła długo, chyba z rok. Niektórzy przestali już nawet w to wierzyć. Niemniej nasi przełożeni kompletowali listę. Były na niej przeważnie sieroty oraz te dzieci, których niedożywione matki poumierły w Rosji, a ojcowie i starsi bracia byli w Wojsku Polskim na Uchodźstwie. Umieszczono na listach 733 dzieci bacząc, by nie rozdzielono rodzeństwa [co nie zawsze się udawało]. Z naszej rodziny zapisano mnie i młodszą Bogdę.

Trudniej było z personelem opiekuńczym. Teraz, gdy wojna była na ukończeniu, nie wszyscy chcieli oddalać się od Polski i jechać na drugi koniec świata, ani narażać się na wielkie niebezpieczeństwa tak długiej podróży. Znalazło się jednak 105 ofiarnych ludzi, którzy uważali to za swój obowiązek patriotyczny.

W lipcu 1944 roku w naszym gimnazjum zorganizowano wykłady o Nowej Zelandii, kraju, o którym nie wiedzieliśmy prawie nic. Słuchaliśmy jak bajek z książki Andersena. Mówiono, że to raj! Rządy demokratyczne, wspaniały klimat, wyspy wiecznie zielone, urodzajna ziemia, dwa zbiory rocznie, owce, bydło. Gnębiła trochę myśl o trzęsieniach ziemi. Po okropnościach w Rosji mówiono o pracowitych, dobrych, zaradnych i uczciwych ludziach, którzy nie zamykają domów na klucz. Trudno nam było w to uwierzyć.

O bagaż nie trzeba się było martwić, bo wszystko mieściło się w małych tekturowych walizczkach, które kupowaliśmy z zasiłku, otrzymywanego przez każde polskie dziecko od Polskiego Rządu na Uchodźstwie, w sumie 9 tumanów na miesiąc. Jeszcze zostało miejsca na kilka książek polskich, które każde dziecko musiało przewieźć i zdać w Nowej Zelandii. Miały one tworzyć zalążek naszej przyszej biblioteki.

Nasz transport z dziećmi wyjechał z Isfahanu 27 września 1944 roku. Zgromadzono nas w dużym holu Zakładu nr 20. Nauczyciele pouczali nas, że musimy być godnymi przedstawicielami Polski. Był to bardzo smutny dzień w naszym życiu, bo opuszczaliśmy przyjaciół, którzy zastępowali nam najbliższą rodzinę. Przyrzekałyśmy pisać do siebie i wiele z tych przyjaźni przetrwało do dziś, mimo że kontynenty nas rozdzielają.

Małe dzieci z opiekunami załadowano do autobusów, starsze do wojskowych ciężarówek. Siedziałyśmy na ławkach. Po przebyciu przeraźliwie zimnej pustyni następnego dnia dojechaliśmy do Sułtanabadu (obecnego Araku), gdzie mieliśmy kilkugodzinny odpoczynek w amerykańskiej bazie wojskowej. Gorący prysznic wydał się nam rajem.

Zwiedziliśmy obóz, oglądaliśmy filmy, a żołnierze rozdawali dzieciom

słodczy. Jeden z nich, który nie uznawał bariery językowej, na migi bawił dzieci, a one go rozumiały i pękały ze śmiechu. Dla żołnierzy była to chwila powrotu do normalnego życia, a dla dzieci ubaw, który zapamiętają na zawsze.

Wieczorem pożegnali nas przemówieniem. Jedna z nas podziękowała kilku wyuczonymi angielskimi zdaniem, a wszyscy burzą oklasków. Wsiedliśmy do specjalnie przystosowanego dla nas pociągu. Po jednej stronie wagonu były siedzenia, po drugiej pospuszczane do spania łóżka. Starsze dziewczęta miały obowiązek opiekować się młodszymi dziećmi.

Pociąg trząsł bardzo. Naliczyliśmy ponad 150 tuneli po drodze. Dym z lokomotywy wciskał się do środka, powodował kaszel, łzawienie i mdłości. Przeładowane żołądki i mieszanina smakołyków zjedzonych w amerykańskim obozie były powodem ciągłych dziecięcych wymiotów. Do Ahwazu, co w języku irańskim znaczy piekło i gdzie latem w cieniu temperatura przekracza 50°C, dojechaliśmy wczesnym popołudniem. Umieszczono nas w obozie przejściowym, w dawnej stajni po kawalerii irańskiej. Rzeczy złożyliśmy w pozostałych żłobach, spaliśmy na twardych pryczach. Czas spędzaliśmy na pisaniu listów, które potem okazało się, że nigdy nie były wysłane. Rano, zanim słońce zaczęło dopiekać, stojąc na dworze, wysłuchaliśmy mszy św.

Po sześciu dniach, 4 października, wyjechaliśmy pociągiem do portu Chorramszahr, przy ujściu rzek Tygrysu i Eufratu. Daleko, na tle żółtego nieba, zarysowały się ciemne palmy. Stąd ewakuowano uchodźców do Indii, Afryki Wschodniej i do innych krajów.

W ciszy i parami weszliśmy na statek *Sontay*. Zeszliśmy w dół, do olbrzymiej ciemnej, trochę śmierdzącej sali. Oprócz sterty materaców nie miała żadnego umeblowania. Nocą wylażyły szczury. Byłam przerażona! Przez dwa lata chorowałam na malarię i anemię. Mdląłam, kiedy było gorąco. Jak ja tu będę spać? Okazało się, że pokład był naszą sypialnią, jadalnią i salonem. Tam jedliśmy przyniesione z kuchni w wiadrach posiłki. Układaliśmy się do snu pod gwiazdami, na wyciągniętych z dołu materacach. Współczuliśmy małym dzieciom, którym dla bezpieczeństwa nie wolno było spać na zewnątrz. Nauczyciele, panowie Kotlicki i Olechnowicz, odpowiadali na setki naszych pytań.

Na statku było kilkunastu angielskich oficerów. Załoga to Portugalczycy, od których nauczyliśmy się dwóch słów po angielsku, kiedy przebiegali rano z wiadrami z wodą i krzyczeli „washing deck, washing deck” (myjemy pokład, myjemy pokład). Trzeba było chwycić za materace i znosić je na dół. Po śniadaniu przychodził Anglik w pięknym, białym mundurze i pokazywał jak poprawnie nakładać kamizelkę ratowniczą. Podkreślał, żeby sznurków zwisających po bokach nie zawiązywać, bo w razie potrzeby ratujący ma

za co uchwycić. Jedna spryciara zawiązała mu je z tyłu i zapytała, dlaczego jego sznurki są zawiązane. Biedak był bardzo speszony, a my pękałyśmy ze śmiechu.

Któregoś dnia przyszła straszna burza i wszyscy się pochorowali. Błede i brudne dzieci leżały na pokładzie, nie prosiły o pomoc i nikt jej nie udzielał, bo nasi opiekunowie też „karmili ryby”. Później zabraliśmy się do sprzątania, a marynarze do powtórnego „washing deck”. Najbardziej dokuczał nam upał, nasze nieprzystosowane do podróży ubranie i brak warunków do prania.

Innego dnia przerażeni byliśmy, kiedy nagle zjawiła się eskorta dwóch zwinnych stateczków, a nad nami leciał mały samolot. Niektórzy z załogi biegali i uszczelniali okrągłe okienka. Trwało to może dwie godziny. Wkrótce niebezpieczeństwo minęło i eskorta znikła. Po sześciu dniach, w niedzielę, ksiądz Michał Wilniewicz odprowadził na pokładzie mszę św. dziękczynną. 10 października dopłynęliśmy do Bombaju. Do portu nie dobiliśmy, czekając w kolejce za innymi okrętami.

Miałam ponowny atak malarii z wysoką gorączką, napady mdłości i wymiotów, ale o pójściu do szpitala nie chciałam słyszeć mimo namowy



Kapitan (od lewej) z grupą polskich dzieci, opiekunów i załogi na statku *Sontay*. Wacław Sumicz (w berecie od lewej góra), Mieczysław Bieniowski (przy boku kapitana), Andrzej Dawidowski (obok kapitana), Bolesław Żygadło (za Dawidowskim), oficer załogi (biało ubrany bez czapki, prawy przód), siostra Monika Alexandrowicz (ostatnia z prawej)

dr Eugenii Czochańskiej. Rok wcześniej byłam zapisana z Bogdą na wyjazd do Południowej Afryki, ale dostałam serię ataków malarii i musiałam iść do szpitala. Po powrocie zastałam 50 pustych łóżek. Wszystkie koleżanki, które tworzyły moją rodzinę przez dziewięć miesięcy, wyjechały i byłam znowu sama. Byłam zdruzgotana i płakałam tygodniami. Przenieśli mnie do innego zakładu między starsze dziewczęta, z którymi nie miałam wiele wspólnego. Przrzekłam sobie, że nie zostawię mnie znowu samą w szpitalu w Bombaju, więc dr Czochańska wzięła mnie do szpitalika na statku i leczyła chininą. Mimo osłabienia i bólów głowy, przez okrągłe okienko statku podziwiałam najpiękniejszy w moim życiu pomarańczowo-fioletowy zachód indyjskiego słońca.

Po czterech dniach, 14 października, wpłynęliśmy do portu. W pobliżu stał okręt gigant *USS General G.M. Randall*, transportowiec wojsk amerykańskich, który mógł przewozić do 7000 osób. Teraz wiozł 3000 amerykańskich oraz grupę australijskich i nowozelandzkich żołnierzy. Wiadomość, że to „nasz okręt”, przyjęliśmy z wielką radością. Ściskając mocno nasze walizeczki, szliśmy parami za marynarzem polskiego pochodzenia i z dobrą znajomością naszego języka ojczystego, Chesterem Wiśniewskim. Był naszym tłumaczem i pośrednikiem, a jego pomocnikiem był Joseph Dutkowski. Weszliśmy do dużej sali, gdzie rzędem stały czteropiętrowe łóżka-hamaki. Młodsze dzieci i chłopcy byli umieszczeni w podobnych salach.

Podawano nam dwa posiłki dziennie, rano śniadanie i obiad o 4-tej po południu. Przy drzwiach dużych jadalni leżały stopy stalowych tac, które nieśliśmy wzdłuż rzędu kucharzy, a oni nakładali na nie tony jedzenia, którego nie mógłby zjeść żaden zapaśnik. Resztki wyrzucaliśmy do specjalnych pojemników. Po niedawnym głodzie w Rosji i wielkim poszanowaniu jedzenia, nie mogliśmy zrozumieć jak można tak marnować dary Boże. Ale dzieci, szczególnie te młodsze, szybko głodniały, dlatego wieczorem wystawione były bańki z mlekiem, które można było pić do syta. Żołnierze rozdawali dzieciom swój przydział czekolady. Jedne się nią objadały, inne, wstydlive, nie dostawały wcale.

Gdy okręt stał jeszcze w porcie, w łazienkach była masa gorącej, świeżej wody. Starsze dziewczęta robiły pranie, myły włosy i rozkoszowały się, biorąc długie, gorące prysznice. Było to najlepsze lekarstwo na naszą wysypkę, spowodowaną potem i słońcą morską wodą.

Na drugi dzień obudziły mnie pracujące motory, drżał cały okręt. O godzinie 9-tej rano, 15 października, *General Randall* ruszył w drogę. Zmówiliśmy pacierze. W czasie podróży naszą najbliższą towarzyszką była siostra Monika Alexandrowicz, polska zakonnica, która też przeszła obozy pracy w Rosji, a druga, siostra Imelda Tobolska, była wychowawczynią chłopców.

Całe dnie spędzaliśmy na pokładzie i graliśmy godzinami dużymi, ciężkimi piłkami – siedem piłek niechcąc wypaść za burtę. Żołnierze uczyli chłopców sztuki bokserskiej i zachwycali się ukrytym talentem Tadka Ostrowskiego, ale on nigdy nie miał okazji uczyć się tego sportu. Niedługo potem pierwszy umarł w Obozie w Pahiatua na wylew krwi do mózgu.

Nowozelandczycy, powracający z wojny w Europie, dowiedziawszy się, że dzieci polskie płyną do ich kraju, chcieli z nimi spędzać więcej czasu. Bawili się z chłopcami i uczyli ich angielskiego. Jeden podjął się uczyć dziewczęta hymnu nowozelandzkiego [*Boże narodów, u Twych stóp łączymy się więzami miłości*], który potem śpiewaliśmy w drodze do Pahiatua na stacji w Palmerston North, ku miłemu zdziwieniu witających nas tam Nowozelandczyków, którzy twierdzili, że większość ich dzieci nie zna tego hymnu. My sami doceniliśmy ten hymn dużo później, kiedy zrozumieliśmy jego głębokie słowa.

Dostaliśmy pasy ratunkowe, które trzeba było nosić. Było w nich bardzo gorąco, pociliśmy się, a dziewczęta twierdziły, że nieładnie w nich wyglądają.

Na pytanie, co będzie z małymi dziećmi, Chester powiedział nam, że każdy żołnierz musi ratować jedno dziecko. To nam dodawało poczucia bezpieczeństwa. Uczyli nas regularnie ćwiczeń ratunkowych. *USS General G. M. Randall*, jako okręt wojenny, był mocno uzbrojony. Na pokładzie stały działa przeciwlotnicze. Niektóre były pozakrywane, inne pod strażą. Pewnego dnia były jakieś poważne ćwiczenia. Leciał samolot, ciągnący jakieś obiekty. Byliśmy ogłuszeni i przerażeni niespodziewaną strzelaniną, bo nikt nas nie ostrzegł przed tym.

Począwszy od Bombaju, równolegle z *General Randall* płynął okręt-bliźniak, wiozący żołnierzy australijskich. Obydwie załogi zaczynały każdy dzień za pomocą sygnalizowanych rozmów. W celu zmylenia wrogich japońskich min podwodnych przez całą dobę okręt płynął zygzakiem. Wieczorem głośnik nadawał po polsku, że „czas na zaciemnianie”, schodziliśmy na dół i okręt spowijał się w ciemną zasłonę. Pewnej nocy mieliśmy wielkiego stracha. Wielki wstrząs i brzęk wypadających szuflad pełnych sztuków obudził prawie wszystkich, była bieranina i sprawdzanie przez załogę. Rano były szepty i domysły. Dopiero w Wellingtonie kapitan Van Poulsen potwierdził, że mina otarła się o bok okrętu i poszła dalej. Nie mówił nam wcześniej, żeby nie wywołać popłochu.

Stopniowo mijały upalne dni. Głośnik nadawał stan pogody w Australii i pouczał jak nastawić nowy czas na zegarkach – wiadomość zupełnie zbyteczna, bo nikt z nas nie miał zegarka. Szkoda, że nie mieliśmy aparatów fotograficznych dla upamiętnienia tej niezwyklej podróży. Okręt-bliźniak z australijskimi żołnierzami opuścił nas w Melbourne, a my popłynęliśmy w dalszą drogę bez eskorty.

Wreszcie, 31 października, około godziny 8-9 wieczorem stanęliśmy u brzegu Nowej Zelandii. Jeszcze przy świetle dziennym widzieliśmy otaczające Wellington pagórki i przyklejone do nich barwne domki. Następnego rano było słonecznie. Przy dźwiękach trzech orkiestr okręt wpłynął do portu. Uszczęśliwieni żołnierze nowozelandzcy, często jeszcze w bandażach, niektórzy na noszach, wracali do witających rodzin.

Dla nas miało to być ostatni postój przed zakończeniem wojny i powrotem do niepodległej Polski. Wierzyliśmy, że nastąpi to wkrótce. Po wejściu na pokład premiera Petera Frasera, po serdecznym powitaniu, pstrykaniu aparatów, wywiadach z prasą, po otrzymaniu paczuszek słodczy, wsiedliśmy do czekających obok pociągów i ruszyliśmy w ostatnią część naszej długiej podróży.

Ze stacji kolejowej w Pahiatua zabrały nas wojskowe ciężarówki i dowiozły do „Polish Children’s Camp” (Obóz Polskich Dzieci w Pahiatua). Widok obozu był imponujący. Wieże obserwacyjne przestraszyły nas nieco, ale później je rozebrano. Były one pozostałością wcześniejszego obozu dla internowanych. Tu stworzono nam Małą Polskę, ze szkołą, kościołem, opieką lekarską, polskim harcerstwem, wszystko obstawione polskim personelem, który z nami przyjechał. Obok naszych polskich, mieliśmy też tutejszych nauczycieli, którzy uczyli nas języka angielskiego.

Z wdzięcznością wspominam Ruth Neligan, która ze swą listą słów angielskich i polskich taktownie wprowadzała nas w tajniki życia w nowym kraju. Do tych cudownych ludzi zaliczam liczne rodziny, które przyjmowały polskie dzieci na szkolne wakacje. Musiało ich to kosztować dużo cierpliwości, żeby zabawiać, uczyć, a może nawet znosić kaprysy emocjonalnie uszkodzonych przez wojnę dzieci, które nie rozumiały ich mowy. Często wspominam pierwsze wakacje u rodziny Scanlon przy 6 Dunstan Street, Wanganui, rodziny Canyons w Upper Hutt oraz Daphne Byrne z Dunedin, z którą do dziś utrzymuję kontakt.

Szalałam ze szczęścia. Po dwóch latach chorowania na malarię i połykania tysięcy tabletek, po osłabieniu takim, że nie mogłam wejść po schodach, po ciągłych pobytach w szpitalach i straconych lekcjach, byłam nareszcie zdrowa. Mogłam chodzić po górach, kąpać się w rzece i grać w siatkówkę. Byłam normalną nastolatką. Niestety, wkrótce bańka pękła. Zdradliwa Jałta wszystko przekreśliła. Nasi sprzymierzeńcy oddali Polskę pod panowanie Związku Sowieckiego, a nasze ziemie na wschodzie znalazły się poza granicami kraju.

Dochodziły do nas same złe wieści. Do parady zwycięzców w Londynie z Polaków zaproszono tylko lotników, z których 1300 zginęło w obronie Wielkiej Brytanii. Natomiast reszta Wojska Polskiego na Uchodźstwie, które walczyło

u boku aliantów o oswobodzenie Europy, nie było zaproszone. Lotnicy polscy odmówili wzięcia udziału w paradzie. Kilka miesięcy później zaprzestano uznawania Rządu Polskiego w Londynie. Z tego powodu skończyły się fundusze na częściowe opłacanie pobytu dzieci w obozie w Pahiatua. Aby zmniejszyć wydatki na nasze utrzymanie, część młodzieży podjęła pracę w obozie. Uczniowie gimnazjum i kursu krawieckiego pracowali w obozie jeden dzień tygodniowo, nadrabiając lekcje w soboty. Malowaliśmy ozdobne motywy na wyrobach z drewna, które sprzedawano później w stolicy.

Teraz wiedzieliśmy, że nie ma powrotu do Polski, a dla mnie wymarzonych studiów medycznych. Psychicznie cierpieliśmy bardzo, nie wiedząc, co ze sobą zrobić. Rady opiekunów też były bardzo różne – zaskoczeni biegiem wydarzeń, na końcu świata, bez znajomości języka i obyczajów, byli zdani tylko na siebie i sami potrzebowali dobrej rady. W końcu sierpnia 1946 roku zamknięto gimnazjum, a na wyjazd do szkół angielskich patrzyliśmy jak na powtórne zesłanie. Starsze dzieci zachęcano (czytaj zmuszano) do pracy.

Całe szczęście, że wiele dzieci i młodzieży zdążyło ukończyć szkołę. Inni ciężką pracą dorabiali się lepszych pozycji. Zniżyłam swój lot i ukończyłam 3½-letni kurs pielęgniarski, nawet z bardzo dobrym wynikiem. Sami stawialiśmy na nogi, wykonywaliśmy po dwie, nawet trzy prace na raz. „Dzieci” się postarzały, wyrosły nowe pokolenia. Kładliśmy wielki nacisk na ich wykształcenie i rzetelne wychowanie.



Dioniza Choroś (Gradzik) w dniu wręczenia dyplomu pielęgniarskiego; w Domu Pielęgniarek, Wellington, w 1951 roku

Na Sybir i dalej

Siostra Stella (Józefa Wrotniak)

Nasza rodzina składała się z rodziców (Henryk i Wiktoria) i pięciu córek. Mieszkaliśmy na kolonii Pawłokoma, powiat Brzozów, woj. lwowskie. Czwarta część tamtejszej ludności to Polacy, pozostali to Ukraińcy, którzy nas prześladowali i okradali. Należeliśmy do zamożniejszych gospodarzy, a nasza urodzajna ziemia ciągnęła się do rzeki San.

Ojciec, walcząc o wolność Ojczyzny podczas I wojny światowej, dostał się do niewoli rosyjskiej i został zesłany do łagrów syberyjskich, tam gdzie tylko zorza polarna oświeca ciemność długich nocy. Po trzech latach okrutnej niewoli uciekł z kolegą. Wycieńczony, wyczerpany i obdarty dotarł o żebraczym chlebie w swoje rodzinne strony. Mówił, że z 5000 jeńców wojennych pozostało przy życiu 300. Do końca życia chorował. Nie mógł przewidzieć, że wybuchnie następna wojna światowa i że ponownie będzie zesłańcem do syberyjskich obozów przymusowej pracy, ale tym razem bez powrotu.

Matka była bardzo pobożna. Rano, krzątając się przy kuchni, śpiewała Godzinki do Matki Najświętszej. Poszłam w jej ślady. Dbała o czystość naszych serc – była dla nas przykładem wiary i pobożności oraz wspomagała również ubogich. Ojca te sprawy nie interesowały. Spokojny, rodzinny tryb życia zakłóciła nam wojna 1939 roku. Miałam wtedy 16 lat, a najmłodsze bliźnięta miały zaledwie 2 lata.

Jesień, choć piękna, była przynębiająca z powodu smutnych wieści i niepokoju o nasz przyszły los. Słyszało się naloty samolotów i odgłos bombardowań. W pobliskim miasteczku Niemcy mordowali Żydów. Niektórzy z nich uciekali, przepływając łodziami przez wezbrany San, ale i tu ginęli od kul wroga. W Dynowie Niemcy zamknęli 200 mężczyzn (Żydów) w bożnicy, oblali benzyną i podpalili. Śwąd palonych ciał dochodził do naszej wioski, oddalonej 5 km od miasteczka. Ocalała ludność żydowska uciekała na wschód. Mama zaopatrywała ich w żywność na dalszą drogę.

Niedługo potem znaleźliśmy się pod panowaniem rosyjskim. Polscy żołnierze uciekali w małych grupkach, chcąc się przedostać na południe, do sąsiednich krajów. Im przede wszystkim pomagaliśmy, zaopatrując w żywność. Gdy uciekający żołnierze wpadli w ręce Ukraińców spotkał ich straszny, nie do opisania los.

W czasie kopania ziemniaków przybiegł ukraiński posłaniec z poleceniem,

by ojciec stawiał się w określonym miejscu w ważnej sprawie. Na wskazanym miejscu znaleźli się niemal wszyscy polscy gospodarze. Rozkazano im ustawić się w rząd pod ścianą, wymierzając w nich karabin maszynowy. Niemcy zamierzali ich rozstrzelać, ale dzięki interwencji ruskiego nauczyciela, który znał język niemiecki, zmienili haniebną decyzję i po przesłuchaniu wypuścili na wolność, która nie trwała jednak długo (może uratowały ich nasze modlitwy).

Nim zawarty został ostateczny traktat o przyjaźni rosyjsko-niemieckiej pod koniec września 1939, te tereny były raz pod okupacją niemiecką, to znowu pod rosyjską. Gdy znowu znaleźliśmy się pod panowaniem rosyjskim, Ukraińcy wznosili tryumfalne bramy, wykrzykując: „Niech żyją nasi wybawiciele”, oskarżając Polaków przed najeźdźcami, bo chcieli się nas pozbyć.

Deportacja na Sybir

Okupanci przeprowadzili spis polskiej ludności i inwentarza. Te wszystkie „sprawdziany” wroga nasuwały nam bardzo złe przeczucia, które niebawem się sprawdziły, gdyż 10 lutego 1940 roku w bardzo mroźną noc, o godz. 1.30 rano rozległy się stukania do drzwi domu. Nieproszeni goście, uzbrojeni rosyjscy NKWD-ści i kilku Ukraińców, swoim butnym i hałaśliwym zachowaniem pobudzili nas wszystkich. Jeden z nich oznajmił, że za pół godziny mamy być gotowi do wyjazdu. Ojciec westchnął: „pewnie nas wywiozą na Sybir”, a jeden z nich powiedział, że przewiozą nas w bezpieczniejsze miejsce, bo tu powstanie pas graniczny. Myśmy im nie wierzyli, mieliśmy swoje zdanie, które niebawem się sprawdziło.

Ojcu nie pozwolono ruszyć się z miejsca. Mama próbowała ich przekonać i wzruszyć sumienia, by nas zostawiono ze względu na małe dzieci, które zaczęły płakać rozpaczliwie – tak, że katom zmiękło serce. Pozwolili nam zabrać wszystkie zapasy żywności i odzież, między innymi świeżo upieczony chleb. Mnie pozwolono poruszać się swobodnie po mieszkaniu i pakować, co się dało. Niektórzy „opiekunowie” pomagali mi przy pakowaniu, podczas gdy mama ubierała dzieci. Nasi wrogowie tak byli wzruszeni płaczem niemowląt, że sami pomagali zabierać zapasy żywności na sanie. Już świtało, gdy załadowali nas na drugie sanie i w mroźny dzień wieźli w nieznanym kierunku. Nie pamiętam jak długo jechaliśmy do Leska, w tym pełnym trwogi i niepewności czasie – zastanawialiśmy się, co z nami zrobią? Cała ta podróż zatarła mi się w pamięci – a może zasnęłam?

W Lesku czekał na nas pociąg z bydlęcymi wagonami. Do jednego załadowali nas wraz z czterema rodzinami z naszej kolonii, zamykając podwójne drzwi na żelazne sztaby z ogromną kłódką. Tych wagonów było bardzo dużo. W wagonie było małe zakratowane okienko, a w podłodze wyrąbany otwór do

wychodzenia za potrzebą. Po obu stronach wagonu była podwójna pryzma, na której leżeli ściśnięci ludzie, usiąść można było jedynie w pochylej pozycji. Byliśmy stłoczeni jak śledzie w beczce.

Przez wiele, wiele dni odżywialiśmy się tym, co mieliśmy przy sobie, dzieląc się wzajemnie z towarzyszami niedoli, ratując na pierwszym miejscu dzieci. Nie było wody. Gdy udało się zaczerpnąć przez zakratowane okienko trochę śniegu, starano się gotować na tzw. cyganku. Pociąg bardzo trząsał i terkotał tak, że garnek się przewracał, grożąc poparzeniem. Z powodu zmartwienia, przegnębienia i niepewności o przyszły los straciliśmy apetyty.

Od czasu do czasu drzwi się z trzaskiem otwierały i pod eskortą pozwalano przejść jednej osobie do innego wagonu, gdzie znajdowały się nasze zapasy i coś niecoś zabrać stamtąd (np. trochę kaszy). Często pociąg zatrzymywał się na pustkowiu, daleko od miasta, a gdy się ściemniło ruszał w dalszą drogę. Powodem tych postojów było pierwszeństwo dawane pociągom wojennym i transportowym; my się nie liczyliśmy, a nasze życie dla oprawców nie miało znaczenia.

Gdy znaleźliśmy się w głębi Rosji, na jednej ze stacji kolejowych ludzie zaczęli walić pięściami w drzwi, krzycząc wniebogłosy, że nie jesteśmy przestępcami czy zwierzętami, że w tych wagonach znajdują się rodziny z dziećmi. Ten rodzaj protestu zmusił NKWD do otwarcia podwójnych wrót. Wniesiono wiadro gorącej wody, tzw. kipiatok, a po paru dniach dano nam wiadro zupy, w której pływały drobne listki kapusty i ości z ryby. Czasem dano trochę chleba.

Kiedyś w czasie podróży pociąg stanął w pustym polu. Przez kratę okienka dało się zauważyć kapustę pokrytą śniegiem. Ktoś spróbował otworzyć drzwi i okazało się, że nie były zamknięte od zewnątrz. Parę osób wyskoczyło z pociągu – zdążyli urwać po kilka główek kapusty i wejść do wagonu zanim pociąg ruszył w dalszą drogę. Zauważyliśmy także łany zbóż i ziemniaków pokrytych śniegiem, na których widok aż serce bolało, że wszystko to marnowało się, gdy tylu ludzi głodowało.

Gdy wjeżdżaliśmy w głąb Rosji, wagony nie były pozamykane, toteż niektórzy Polacy, gdy pociąg stanął na stacji, wychodzili z nich, by coś kupić do zjedzenia. Zdarzało się, że pociąg ruszał w dalszą drogę bez ostrzeżenia i niektórzy ryzykanci nie zdążyli wrócić do swoich rodzin. Raz i ja z chrześną wyszłam na jednej ze stacji dużego miasta (nie pamiętam jego nazwy), by obejrzeć sklepy.

Wracając nie mogliśmy znaleźć naszego pociągu, bo okazało się, że zmienił tory. Na szczęście zdążyliśmy go odnaleźć i gdy już ruszył, wciągnięto nas do wagonu, gdzie z modlitwą i radością oczekiwały nas rodziny. Mama płakała z radości.

W obozie pracy

Po kilkutygodniowej podróży w zaduchu i niewygodzie, zimnie i głodzie, przywieziono część rodzin polskich do Swierdłowskiej Obłasti. Dalej już nie było torów kolejowych. Cały pociąg nie dojechał do tego miejsca, bo po drodze odcepiano wagony, a ludzi kierowano do prac w kopalniach, kołchozach i w lasach przy ścinaniu drzew. Nas przydzielono do pracy w tartaku. Mówiono, że jest to największy tartak na całym świecie, w którym pracowało przeszło 2000 ludzi.

Ojciec zaniemógł na nogi, wniesiono go do baraku. Przywiezione przez nas worki z kaszą i mąką rozkradli znajomi, została nam tylko resztką kaszy kukurydzianej, którą przyniósł jeden z sąsiadów. Mama i ja zajęłyśmy się dziećmi. Inne rodziny składały się przeważnie z osób dorosłych, więc łatwiej im było sobie radzić. W tym trudnym życiu wygnańczym szlachetność i miłość bliźniego zagłuszone zostały samolubstwem.

Rodzinę naszą, liczącą siedem osób, umieszczono w małym pokoiku dużego baraku, gdzie było tylko jedno żelazne łóżko. Nie pamiętam jak się urządziliśmy – cierpienie zatarło mi w pamięci część przeżyć. Barak był ogrodzony wysokimi, kolczastymi drutami – naokoło tajga. Dawano do jedzenia jakąś zupę i 200 gramów chleba, jak glina, którego bez ususzenia nie dało się zjeść.

Mama razem z innymi Polakami jeździła do pracy w tartaku, w krytej ciężarówce, pod eskortą. Ojciec był ciężko chory. W tej rozpaczliwej sytuacji zaczęliśmy szturmować do nieba – błagając Matkę Najświętszą o pomoc, odmawiając nowennę do Matki Bożej z Lourdes, obmywając jego chore miejsca wodą z cudownego źródła. Modlitwa niewinnych dzieci przebiła niebo i ku wielkiej naszej radości tato mógł wstać na nogi o własnych siłach. Jednym słowem został cudownie uzdrowiony. Na drugi dzień oboje rodzice pojechali do pracy.

Komendant obozu dziwił się i złościł, że mu przywieziono do pracy rodziny z dziećmi i starców, a nie przestępców, jak go wcześniej informowano. Wiele razy przychodził potrzebującym z pomocą materialną. Wstawiał się też za tymi, którzy nie poszli do pracy z powodu choroby, bo tym, którzy nie mieli zwolnienia od „lekarza” groziło wyrzucenie z pracy, lub wywiezienie w nieznane strony. NKWD wytropiło ludzkie poczynania komendanta i po dwóch miesiącach zastąpił go inny, prawdziwy Moskal – bolszewik.

Ludność tutejsza była dla nas wyrozumiała. Jeszcze przed wojną liczne rodziny z Kijowa i jego okolic były wywiezione wraz z dziećmi na Sybir. Część z nich znalazła się kiedyś w tej miejscowości, pozostawiona na pastwę losu, bez dachu nad głową. Niektórzy mieszkali jeszcze w ziemiankach.

Tylko krótkie rury sterczały nad ziemią, skąd wychodził dym, widziałam to na własne oczy.

Nasze warunki były okropne. Głód zaglądał w oczy, ściany zapluskwione. Polowanie na pluskwy nie pomagało – roznosiły zarazki i stale dokuczały. Pojawiły się i wszy. Polacy zaczęli chorować na tyfus brzuszny, plamisty, krwawą dyzenterię i inne choroby, zarażając się wzajemnie. Przez ścianę słychać było jęki dogorywających dzieci naszej sąsiadki z Łach, z Polski. Potem przyszła kolej na nią. Ciężkie miała konanie. Z tej rodziny pozostał tylko ojciec z córką i synem.

Jedną kobietę, która nie stawiała się do pracy z powodu choroby i nie miała zwolnienia od lekarza, wywieziono za karę w nieznane i ślad po niej zaginął. Podobne zdarzenia miały miejsce w wielu rodzinach, byliśmy traktowani jak niewolnicy. Nie ustawały jęki cierpiących i konających. Codziennie wynoszono trupy, wkładano je do skrzyń zbitych z surowych desek i chowano w tajdze. Nasze życie nie miało żadnej wartości dla oprawców. Rodziny zostały zdziesiątkowane, a zdrowi czekali na niechybną śmierć, bo nie było nadziei na wydostanie się na wolność z tego obozu zagłady.

Po kilku miesiącach pobytu w obozie władze rosyjskie pozwalały udać się z przepustką do pobliskiego osiedla, by za część własnej odzieży zdobyć coś do pożywienia. Parę razy udało się ojcu dostać za moje ubranie trochę kaszy.

Moim zajęciem była opieka nad młodszym rodzeństwem i kupowanie chleba na kartki. Stojąc w kolejce mocniejsi pchali się, mało nie połamali kości słabszym, usuwali ich na koniec „ogonka”. Kiedy nareszcie stanęło się przy ladzie, chleba już nie było. Wracając do baraku z pustymi rękami, zalewałam się łzami. Mama często lamentowała nad niesprawiedliwością, która powoduje cierpienie dzieci. Odwiedzający nas sąsiedzi mówili: „te wasze bliźnięta wyglądają jak nie z tego świata; spokojne, uśmiechnięte, miłe, mądre i urodziwe”. Ich modlitwy były wysłuchiwane, bo Matka Boża przychodziła nam z pomocą poprzez dobrych, obcych ludzi, w najbardziej krytycznych chwilach naszego trudnego życia. Niekiedy doszła jakaś mała paczka od krewnych z żywnością, raz otrzymaliśmy z Polski pocztą 200 rubli od stryjenki z naszej kolonii.

Mimo że rodzice pracowali na trzy zmiany, było im ciężko nas utrzymać. Musieli także płacić karę za nie posyłanie nas do szkoły rosyjskiej. Ojciec mawiał: „nie pozwolę, by was miano wychować na komunistów”. Różnie kombinował, aby nas tylko nie zmuszano do pójścia do szkoły. Uradzono, że mam iść do pracy, więc poszłam do tartaku, gdzie trzeba było mokre deski układać w sześcian. Ta praca była ponad moje siły, nie wyrabiałam normy, więc po miesiącu mnie zwolniono. Znowu pełniłam dawne obowiązki. Zauważyłam, że rodzice coś przed nami ukrywają. Kiedyś mama zdradziła

się przede mną, że oboje chorują na tyfus. Mieli zwolnienie lekarskie, nie chodzili do pracy i dostawali marne wynagrodzenie. Nie pamiętam jak się wyleczyli, może przy pomocy dobrych Rosjan, w każdym razie żadne z dzieci nie zaraziło się.

Tak żyło się z dnia na dzień, czekając na śmierć. Jeden dzień wydawał się rokiem. Po kilku miesiącach władze rosyjskie, dostrzegając pracowitość Polaków i ich dobre zachowanie i wierząc, że nie jesteśmy przestępcami, przeniosły nas z Kombinatoru Fanierna, do „Trud Pasiołek Jalułka”, do baraków jednorodzinnych z piecem chlebowym, bez żadnego umeblowania. Było to jedno mieszkanie z pryczą do spania. Ściany cienkie, wiatrem podszyte, ale nie było pluskiew. Za domem każdego przesiedleńca były działki rosyjskich pracowników. W ciągu krótkiego sezonu cieplej pogody urosły niektóre warzywa, takie jak ziemniaki, marchewka i inne. Klimat syberyjski to trzy miesiące wiosny z latem, a pozostałe dziewięć miesięcy to zima z mrozem, spadającym do minus 50°C. Przy tej temperaturze oddech zamieniał się w kryształki lodu, z szelestem spadających na ziemię.

Polacy ścinali drzewo i spławiali je do tartaku. Karano wysoką grzywną lub pozbawieniem zarobku, gdy ktoś z ludzi ważył się przynieść suche gałęzie z lasu – raczej niech zgniją. Na opał pracownicy otrzymywali kilka gorszych desek niezdatnych do transportu. Topiło się śnieg, żeby uzyskać trochę wody na różne potrzeby. Byliśmy śledzeni przez tajniaków rosyjskich. Żeby uniknąć kary, zasłaniaлиśmy okno kocem i modliliśmy się razem, śpiewając po cichu pieśni religijne. Tak upływał dzień po dniu. Było ciężko. Należałoby jeszcze wspomnieć powódź, gdy wezbrana rzeka zalała nasze domy i wyrzuciła na brzeg trupa-topielca.

U Rosjanki na służbie

5 km od tego *posiołka* nad rzeką Tauda leżało w lasach małe miasteczko o tej samej nazwie, liczące 5000 mieszkańców. Tu mieszkali urzędnicy rosyjscy z rodzinami. Mama poznała księgową Annę Gołyszew, która zabrała mnie do siebie. Byłam jej potrzebna do pilnowania noworodka. Do prania i sprzątanja najmowała kobietę, a mnie traktowała jak własną córkę – razem chodziłyśmy do jej własnej łaźni, byłam gustownie ubrana, a pożywienia miałam pod dostatkiem. Mąż jej należał do NKWD i był postrachem sąsiadów. Ja natomiast mogłam swobodnie rozmawiać z nią w mieszkaniu na różne tematy, bo w ukryciu nie popierali rządów Stalina. To małżeństwo bało się szczerze rozmawiać nawet ze sobą. Bojąc się utracić posady, byli postrachem sąsiadów i podwładnych.

W sypialni małżonków, za doniczkami z kwiatami, umieszczono ikonę Matki Bożej, a w spiżarni za drzwiami w ledwo widocznym miejscu

powieszono piękny obraz Serca Jezusowego. Spiżarnia była napelniona różnymi produktami, bowiem oprócz wysokiej pensji wszyscy urzędnicy partyjni otrzymywali kwartalnie wszelkiego rodzaju zapasy. Wszystko odbywało się w tajemnicy, a zapasy zamykano w kufrach. Ta kobieta wołała wyrzucić przestarzałe produkty, aniżeli podzielić się z potrzebującymi – nie rozumiałam takiego postępowania.

Niemal wszyscy w tym miasteczku pędzili „samogonkę”, a w dni wolne upijali się. Gdy mąż tej Rosjanki był pijany, zamykałam się w pokoju na klucz. Choć żona zapewniała mnie, że on nic mi złego nie uczyni, wołałam mu nie ufać. Pomimo że byłam bardzo dobrze traktowana i syta, cierpiałam nad tym, że nie mogłam pomóc swojej rodzinie żyjącej w niedostatku, gdy tu marnowało się tyle żywności.

Po kilku miesiącach mojego pobytu u Rosjanki zachorowało jej dziecko. Pojechaliśmy do przychodni. Kuracja, polecona przez lekarza, nie przyniosła wyników i w końcu urodziwa dziewczynka zmarła. To już dziesiąte jej dziecko, które odeszło do Pana Boga na tę samą chorobę. Anna bardzo kochała dzieci, ale żadne nie przeżyło dłużej niż dwa lata, oprócz synka Iwana, który miał 9 lat. Bez wiedzy matki ochrzciłam dziecko wodą. Ta gospodyni przyznała się, że woziła dzieci 500 km do Swierdłowska, gdzie w ukryciu, w obawie przed tajną policją, były ochrzczone przez księdza prawosławnego. Na prośbę Anny pozostałam u niej, by opiekować się domem. Pewnego dnia spytała mnie czy się modłę. Gdy odpowiedziałam, że modłę się w ukryciu, rozkazała mi odmawiać pacierz, tak jak to czyniłam u swojej mamy. Byłam katoliczką, a ona prawosławną. Codziennie w ukryciu odmawiałyśmy część różańca i śpiewałyśmy pieśni religijne, tęskniąc za kościołem.

Ucieczka z Sybiru

Nagle doszła do nas wiadomość, że pozostali jeszcze przy życiu Polacy objęci są „amnestią”. Różnie mówiono na ten temat, aż wreszcie zdecydowano się wrócić do kraju. Przyjechała po mnie mama. Rosjanka nie chciała mnie puścić, mówiąc, że chce mnie adoptować, ale mama stanowczo się temu sprzeciwiła. Pożegnanie było bardzo serdeczne, bo pokochałam ją jak kogoś bliskiego.

Nadchodził dzień wyjazdu pociągiem III klasy. Jak się później okazało, Polacy uwierzyli kłamliwej propagandzie komunistów, którzy nas wysłali w nieznanym kierunku w takim, jakim chciało NKWD. 15 września 1941 roku znowu rozpoczęła się wędrówka. Pociąg trząsł i terkotał niemiłosiernie. Nie dawano nam posiłków. Czasem, gdy pociąg się zatrzymał, kupiliśmy arbuza lub trochę chleba. Za jakąkolwiek część ubrania można było dostać „lepieszki”(płaskie chleby). Czasem podano nam po chochelce zupy. Bywało i tak, że kazano nam opuścić pociąg i czekać kilka dni na następny.

Nocowaliśmy w cuchnącej poczekalni, w niesamowitym tłoku. Wydawało się nam, że już nigdy nie wydostaniemy się z tego piekła i z dnia na dzień czekaliśmy na śmierć.

Nareszcie wydano rozkaz wsiadania do pociągu, jadącego w odwrotnym kierunku niż do Polski. Wyczuliśmy jakąś manipulację, stosowaną względem nas przez władze. Jechaliśmy przez Czemkent, Taszkent, Leninabad, Samarkandę do Kirgistanu i z powrotem do Taszkentu, trzy razy tą samą trasą, tam i z powrotem, następnie do Uzbekistanu. Część Polaków zostawiono w Kirgistanie, część w Uzbekistanie, resztę zawieziono do Kazachstanu.

Po przyjeździe do południowej Rosji kazano nam iść pieszo we wskazanym kierunku. Nie pamiętam jak długo trwała ta piesza wędrówka, wiem, że szło się ostatkiem sił. Tak doszliśmy do szerokiej rzeki, której drugiego brzegu nie było widać. Przygotowane były tu tratwy, na które spędzono wiele rodzin, stłoczonych jak śledzie w beczce. Widać było ludzi siedzących na krawędzi tratwy ze spuszczonymi do wody nogami. Ojciec bał się, aby i nas nie wtłoczono na którąś z tych tratw. Mówił, że stamtąd już się nigdy nie wydostaniemy na wolność i będziemy zgubieni. Świadkowie potem mówili, że wielu ludzi potonęło, a pozostałych zapędzono z powrotem do obozów pracy. Na szczęście zabrakło miejsca dla wielkiej rzeszy ludzi i musieliśmy wracać na stację, by znowu jechać w nieznane.

Nie pamiętam jak długo trwała ta tułacza podróż po Kazachstanie. Stopniowo zostawiano nas, po kilka rodzin – niedobitków, w Kirgistanie i Uzbekistanie. Resztę rozsiano po Kazachstanie, na wysuszonych pustkowiach Dżambulskiej Oblaści, po trzy lub cztery rodziny, co 15 kilometrów.

Po sześciu tygodniach, pod koniec października, przywieziono nas wołami do stacji w rejonie Ługowaja i umieszczono w małej lepiance, której dach był kryty słomą. Gdy padał deszcz, strumyk wody płynął po podłodze, co się zresztą często nie zdarzało w tym suchym klimacie. Spaliśmy na klepisku, posłanym wysuszonym chwastem i przykryci kocem. Mieszkanko było takie małe i ciasne, że z trudem można było się położyć jedno przy drugim. Wodę czerpaliśmy ze strumyka, w którym Uzbeki prali swoje ubrania, bez mydła, które było dostępne tylko dla urzędników partii komunistycznej.

Przy zanieczyszczonej wodzie oraz z braku wszelkich środków do życia, bo nawet soli nie było, wybuchła epidemia tyfusu plamistego i duru brzuszego, czerwotka, pelagra itp. Kilka polskich rodzin zostało zdziesiątkowanych. Po paru miesiącach wymarły dwie rodziny, zaś młodzi mężczyźni ulotnili się. Przypuszczano, że udali się do wojska polskiego. Na ich miejsce napływali inni młodzi mężczyźni, Polacy. Taki stan rzeczy trwał kilka miesięcy.

Na początku chodziłam z mamą 6 km do pracy, do ogrodu warzywnego urzędników rosyjskich. Uzbek dał mi lżejszą pracę przy pieleniu warzyw.

Nad nami stali ukraińscy „dziesiętnicy”, doglądając, aby czegoś nie zabraliśmy i pilnowali wyrobienia normy. Za całodzienną ciężką pracę płacono nam małą ilością mąki. Z braku witamin moi rodzice i siostry zachorowali na „kurzą ślepotę”, która powoduje, że już po południu chory nic nie widzi. Dzięki dobremu odżywianiu na Syberii byłam wolna od tej choroby i opiekowałam się wszystkimi, prowadząc ich za rękę, gdy zaszła potrzeba. W tym nieszczęściu przyszedł nam z pomocą wyżej wspomniani młodzi panowie. Jeden z nich przyniósł trochę wątroby z jakiegoś zwierzęcia, polecił część ugotować i pochylać się z otwartymi oczyma nad parą, a potem tę wątrobę spożyć. Przynieśli też trochę psiego smalcu. Po niedługim czasie wzrok się mamie poprawił i wróciła do pracy. Wieczorem odmawialiśmy część różańca. Bardzo się zmartwiłam, gdy zginął mi różaniec. Po modlitwie do Anioła Stróża, rankiem, we wskazanym miejscu odnalazłam mój skarb.

Wszędzie rozciągały się łąny pszenicy lub bawełny, reszta to stepy pokryte zeschniętą trawą, pełne kłębowisk węzów. W upał i w mrozy Kazachowie, ubrani byli w długie kożuchy do kostek, na głowach nosili ciepłe czapy. Kobiety miały na sobie ubranie podobne do pizamy z zawojem na głowie. Mowa ich podobna była do tureckiej i nic z niej nie rozumieliśmy.

Głód przytępił nasze apetyty i przestaliśmy tęsknić za jedzeniem. Brak soli utrudniał przełykanie tego, co mieliśmy. Tęskniliśmy natomiast za kościołem i ojczyzną. Z mojej rodziny tylko trzy z nas wyszły stąd żywe. Mama zaniemogła, więc sama chodziłam do pracy. Gdy zobaczyłam Kazacha w oddali, omijałam go idąc bruzdami pszenicy, przede mną uciekały węże, a ja nie wiedziałam, przed kim mam uciekać. I tak w tym strasznym napięciu czas powoli upływał. Każdy dzień wydawał się miesiącem, z upragnieniem czekało się na śmierć, bo tylko ona mogła nas wyzwolić z tego piekła.

Śmierć w rodzinie

Z początkiem grudnia 1941 roku nasze czteroletnie bliźnięta zachorowały na odrę. Jednej nocy Teresa chciała wyjść na zewnątrz lepianki, poszłam za nią, ale ona zmieniła zdanie i powróciła, więc ułożyłam ją na posłaniu, przytuliłam do siebie. Po chwili westchnęła i leżała cicho do rana. Nie wiedziałam, że to było jej ostatnie tchnienie. Ciało było ciepłe i wiotkie. Owinięto je w prześcieradło i pochowano na stepie. Za trzy dni umarła druga z bliźnięt, Weronika. I ta po śmierci była piękna i wyglądała jak żywa. Młodzi Polacy pomogli nam ją pochować.

Po śmierci moich dwóch siostrzyczek tatuś ciężko zachorował i już nie wstał z barłogu. Zaniemógł na nogi i męczył go ostry kaszel. Miał wielkie pragnienie domowego chleba, którego tam nie było i marzył o powrocie do kraju. Bardzo cierpiał, bo o leczeniu nie było mowy w tej zapadłej dziurze, gdzie o człowieka

nikt się nie troszczył. Przy końcu marca 1942 roku zmarł w wieku około 50 lat.

Mama często mnie pouczała, żeby nie przyjmować niczego od mężczyzn, zwłaszcza od kierownika kołchozu, który upodobał sobie nas dwie Polki i parę razy dawał mi trochę jarzyn – podziękowałam i nie przyjął tych datków. Za to zostałyśmy skazane na bardzo ciężką pracę, która była ponad siły, nawet dla zdrowego i silnego mężczyzny. Groził nam biciem. Modliłyśmy się i czekałyśmy na najgorsze rozstrzygnięcie tej sprawy. W końcu wpadłyśmy na pomysł – nastraszyłyśmy go, że napiszemy do Stalina, „przyjaciela Polaków”, który go ukarze za traktowanie nas jak niewolników. Łatwowierny Uzbek przeląkł się naszej groźby i odesłał nas do pracy przy bawełnie, gdzie praca była lżejsza i pod innym zarządem.

Mama zaczęła chorować, mimo to nadal pracowała przy bawełnie. Zabierała ze sobą dwie młodsze córki, bo bały się zostać same w lepiance. Nie pamiętam jak się dostała do „szpitalika”, jeżeli to tak można nazwać, oddalonego kilka kilometrów od nas. Odwiedzałam ją z moją siostrą Marysią. Różne miała pragnienia, chciała to mleka, to znów masła. Za jej kostium dostałam pół litra kobyłego mleka i troszkę masła, które moje siostry jej zaniósł. Mama jednak niczego nie tknęła i to, co uzyskałam z wielkim trudem, wszystko zostało wyrzucone.

Gdy weszłam do pewnej kazachskiej rodziny, zapraszali mnie do garnka z zupą makaronową, z którego wspólnie posilali się – podziękowałam po rosyjsku, mówiąc, że śpieszę się do chorej mamy. Pewnego razu, gdy wracałyśmy z Marysią od mamy, dwóch jeźdźców zaczęło na nas nacierać i obrzucać obelgami, ale uciekłyśmy w stronę Kazaczek, pracujących przy bawełnie, które nas obroniły.

Wypisano chorą jeszcze mamę, która z trudem mogła się utrzymać na nogach i tak krok za krokiem, ślaniając się, przyprowadziłyśmy do lepianki. Nic nie jadła, bo nie mogła, całkiem osłabła. Usta miała spalone i pluła krwią. Później okazało się, że już drugi raz była chora na tyfus, krwawą czerwone i pelagré. Cud, że my trzy pozostałe przy życiu, nie zaraziłyśmy się od niej. A ona niesamowitą siłą woli utrzymywała się dla nas przy życiu.

Byłyśmy tak przynębione, że nie chciało się jeść ani żyć. Kiedyś moja młodsza siostra Marysia siedziała na trawie i nagle zaczęła przeraźliwie krzyczeć, wołając o ratunek. Okazało się, że żmija okręciła się jej wokół stopy. Dziękowałyśmy Panu Bogu za szczególną opiekę i uważałyśmy to za cud, że żmija jej nie użądliła. Wszyscy ludzie byli tym zdumieni. Mimo to siostra trzy dni chorowała, wymiotując i drżąc na całym ciele.

Tymczasem, jak grom z nieba, nadeszła wiadomość od trzech przybyłych Polaków, że jedziemy na wolność. Najpierw sprawdzili dokumenty,

zabierali tylko Polaków. Zaprzęgli woły do wozu, wrzucili nasze tobołki. Wsiadliśmy wraz z chorą mamą i ruszyliśmy w nieznaną podróż. Wraz z innymi dojechaliśmy do stacji, skąd towarowym wagonem, w skwarze słońca dotarliśmy do Dżambułu. Tu, pod gołym niebem, bardzo dużo Polaków czekało na dalszą podróż.

Ktoś ze służby zdrowia, w białym fartuchu, sprawdzał stan zdrowia. Gdy podeszli do mamy leżącej na ziemi, jeden z nich powiedział, że ona jest konająca. Położono ją na prześcieradle i czterech ludzi zaniósło do szpitala, a my przechodziłyśmy agonię serca. Mama pożegnała nas wzrokiem, bo od dłuższego czasu nie jadła, nie piła i nie mogła mówić, ale wszystko rozumiała, co się do niej mówiło. Zdjęła z szyi uciulane oszczędności i dała mi je, więc była przytomna. Potem oddałam je w całości opiekunce nad sierotami. Myślałam, że niedługo umrę. Starsi nocowali pod gołym niebem, a nas sieroty zaprowadzono do jakiegoś pomieszczenia, gdzie na pół siedząc przetrwałyśmy noc. Rano zaprowadzono mnie do szpitala, ale mamy już tam nie było i nie chciano nam wskazać miejsca, gdzie ją zabrali.

Trzeba się było śpieszyć, bo pociąg na nas czekał. Wsiadliśmy do wagonu z drewnianymi ławkami, ustawionymi po jednej stronie. Mniejsze dzieci umieszczono na siatkach, inne zmuszone były siedzieć na podłodze. W każdym przedziale, w którym znajdowały się dzieci, była opiekunka. W czasie biegu pociągu chłopcy wskakiwali na schodki wagonów. Przejeżdżaliśmy przez Czemkent, Taszkent, Leninabad, Samarkandę, Bucharę, Czargan i Aszchabad, a wysiedliśmy w Krasnowodzku nad Morzem Kaspijskim. Nie pamiętam jak było z posiłkami, ale zdaje mi się, że dostawaliśmy coś do jedzenia.

Nie pamiętam jak długo czekaliśmy na okręt, głodni i spragnieni. Tymczasem grupami prowadzono nas do łaźni, gdzie odbyła się dezynfekcja naszych rzeczy. Maszynką obcięto nam włosy. Zabrano nam wszystkie rzeczy i dokumenty, zostawiając nas w tym, co mieliśmy na sobie. Wyglądaliśmy jak niewolnicy – wycieńczeni, bladzi, smutni i wystraszeni.

Nareszcie przyплыł okręt towarowy – weszliśmy na pokład i płynęliśmy stojąc słótczeni. Jedną kobietę zatratowano i zmarłą wyrzucono za burtę do Morza Kaspijskiego. Gdy okręt odbijał od brzegu, dobiegli trzej mężczyźni. Chcąc się dostać na statek wskoczyli do morza i płynęli. Już byli blisko okrętu, starali się czegoś uchwycić, by wdrapać się na pokład, zabrakło im jednak sił i utonęli w głębinach.

Z wewnątrz tego okrętu dochodził nas jęk chorych junaczek, do których nie wolno było się zbliżać, by nie zarazić się tyfusem lub inną zakaźną chorobą. Słońce prażyło niemiłosiernie, język przysychał do podniebienia z pragnienia, więc nasza opiekunka zwilżała nam usta umoczoną w wodzie watą.

Schronienie w Iranie

Po przyptnięciu do portu w Pahlewi komisja angielskiego Czerwonego Krzyża, ustawiając nas w rzędach, badała stan naszego zdrowia. Chorych odsyłało do szpitala, zdrowych do Teheranu. Z moimi dwiema siostrami zostałam zaliczona do grupy chorych i skierowana na miesięczną kwarantannę. Pozostaliśmy w Pahlewi pod opieką sympatycznych żołnierzy hinduskich, którzy przygotowywali nam posiłki według odpowiedniej diety. Mieszkaliśmy pod namiotami wojskowymi i całymi dniami wygrzewaliśmy się na plaży.

Gdy nie stwierdzono żadnej choroby i gdy przytyliśmy o 1 kilogram wagi, załadowano nas do wojskowych ciężarówek i wyruszyliśmy w daleką podróż do Teheranu, przez góry Elburs. Wozy, prowadzone przez wprawnych perskich kierowców, wspinały się mozolnie po stromych, niezliczonych pętłach serpentyn. Długo trwała ta uciążliwa podróż w upale i tłoku. Po przybyciu do Teheranu rozłokowano nas w namiotach, a część w ogromnej sali. Sypialiśmy na podłodze. Mieliśmy za posłanie koc i małą poduszkę. Mnie i moim siostrom nie chciało się jeść, bo żołądki nasze były skurczone, a wątroby chore. Tu spotkałam wiele znajomych dziewczynek z moich rodzinnych stron.

W listopadzie 1942 roku, po miesięcznym pobycie w Teheranie, odstawiono nas do Isfahanu, dawnej stolicy Iranu, gdzie zamieszkałyśmy w zakładach. Mnie przypadł Zakład Nr 6, który pomieścił 300 dziewczynek. Ta dzielnica Isfahanu nosiła nazwę Dżulfa. Moje młodsze siostry umieszczono każdą w innym zakładzie. Chłopcy znajdowali się w innej części miasta.

Wygląd nasz był godny pożałowania – ważyłam 35 kilogramów, ale rozpoczęło się dla nas życie ustabilizowane. Otwarto szkoły dla dzieci i młodzieży. Upokarzający był dla mnie zanik pamięci z powodu awitaminozy, mimo to dawałam sobie radę w nauce.

Nasz zakład był ogrodzony wysokim, grubym murem z bramą wejściową stale zamkniętą, przy której przeważnie siedział stary stróż, a gdy zaszła potrzeba dyżury miały starsze dziewczęta. Wychodzenie do miasta w pojedynkę było zabronione, bo to groziło porwaniem. Kilka starszych dziewcząt zginęło, a po upływie roku jedna z nich odnalazła się – była wyrzucona na ulicę z dzieckiem.

Kilkanaście kroków od naszego zakładu znajdowała się katedra ormiańska kościoła rzymsko-katolickiego, w której modliłyśmy się i uczęszczałyśmy na polskie nabożeństwa. Bardzo lubiłam modlić się w tej pięknej świątyni, która swoim artystycznym wystrojem, przy pięknych śpiewach i podniosłych nabożeństwach wznosiła duszę do Boga. Tu skupiało się życie religijne dzieci. Tu postawiono tablice dziękczynne Matce Boskiej za wybawienie nas

z nieludzkiej ziemi.

W Rosji Pan Bóg chronił mnie od chorób. Widocznie miał względem mnie jakieś ukryte plany, a teraz musiałam odpokutować, bo organizm był wycieńczony. Dwa miesiące leżałam w szpitaliku na zapalenie stawów. Zapadłam na malarię, a następnie na świnkę. Wyglądałam jak świeca woskowa – dziewczynki uciekały ode mnie, myśląc, że jestem chora na gruźlicę. Wraz z moją siostrą Marysią oddano nas do sanatorium, pod opiekę Sióstr Urszulanek, gdzie przebywałam sześć miesięcy.

Życie w Iranie płynęło nam cicho i spokojnie. W 1943 roku wstąpiłam do Związku Harcerzy Polskich. Uczylałam się języka angielskiego. Piękny był Isfahan, miasto mojej młodości. Poznawałyśmy obyczaje Persów, biorąc dla siebie to, co dobre. Dwa razy w tygodniu wożono nas na basen i do łaźni. Arcybiskup Marina wynajął siedem autokarów, żeby nam umożliwić zwiedzenie starych, wspaniałych zabytków isfahańskich. Czas upływał na nauce, ćwiczeniach harcerskich i polskich tańcach ludowych w strojach regionalnych. Urządzałyśmy „Jasełka” i występowałyśmy w teatrze. Często odwiedzali nas różni dostojnicy, kościelni i świeccy – był też i szach Iranu ze swoją świtą.



Siostra Stella (3-cia od lewej) z siostrą przełożoną, krewnymi i przyjaciółmi na obchodach 50-letniej rocznicy swoich ślubów zakonnych, w klasztorze Sióstr Nazaretanek w Warszawie

Pewnego dnia przyszła smutna wiadomość, że zginął tragicznie generał Władysław Sikorski, naczelny wódz i premier Rządu Polskiego na Uchodźstwie. Wszystkie wybuchłyśmy głośnym płaczem. Ze śmiercią generała straciłyśmy nadzieję na powrót do wolnej ojczyzny. Znałyśmy wszystkie wiadomości o walkach naszych żołnierzy na różnych frontach świata z najmniejszymi szczegółami. Bardzo przeżywałyśmy Powstanie Warszawskie, wspierając walczących naszymi modlitwami. Radowałyśmy się w uniesieniu ze zwycięstw, zwłaszcza pod Monte Cassino.

Spokojny tryb życia dobiegał końca. Po prawie trzech latach trzeba było opuścić ten gościnny kraj. Polska ludność zaczęła się powoli rozjeżdżać we wszystkie strony świata. Byłam zapisana na trzeci transport do Afryki, ale z powodu zakaźnej choroby oczu (jaglicy) u moich sióstr, musiałam zostać, oplakując rozstanie z koleżankami i czekając z niepokojem na swoją kolej wyjazdu. Wszystkie kolonie angielskie były już przepełnione i dla nas pozostałych nie było tam miejsca.

Nowa Zelandia zaprasza

Dzięki życzliwości premiera Petera Frasera Rząd Nowej Zelandii wysłał do Polskiego Rządu na Uchodźstwie zaproszenie na przyjazd polskich dzieci do ich kraju. Wiadomość ta zrobiła na mnie wielkie wrażenie. Jak to? Zamiast zbliżyć się do Polski, to ja się oddalam „na koniec mapy” do Nowej Zelandii?

27 września 1944 roku opuściliśmy Isfahan, jadąc autobusami do Sułtanabadu, gdzie znajdował się obóz wojska amerykańskiego i gdzie przyjęli nas bardzo gościnnie. Dalej jechaliśmy pociągiem do Ahwazu na dwudniowy postój. Zachwycalam się pięknym krajobrazem. Potem udaliśmy się pociągiem do irańskiego portu Chorramszahr. Wsiadliśmy na bardzo niewygodny angielski statek towarowy. Pożywienie było liche i chorowaliśmy na morską chorobę. Spaliśmy na pokładzie, a rano trzeba było wszystko szybko sprzątać, bo pokład polewano morską wodą.

5 października wypłynęliśmy na Zatokę Perską [we wspomnieniach innych autorów daty się różnią], a potem na Morze Arabskie. Siódmego dnia podróży morzem, dotarliśmy do Bombaju, wielkiego portu w Indiach. Nie wolno nam było zwiedzać miasta, ponieważ był to czas wojny. Przesiedliśmy się do olbrzymiego transportowca, okrętu amerykańskiej floty *USS General Randall*. Załoga i żołnierze nowozelandzcy, powracający do swego kraju, przyjęli nas bardzo serdecznie, opiekując się dziećmi jak ojcowie lub bracia, obdarzając słodyczami. Braterstwo między naszymi narodami powstało na froncie zachodnim w czasie wojny.

Pomieszczenia na tym okręcie były luksusowe w porównaniu z poprzednim statkiem. Każdy miał łóżko-hamak, były umywalki, prysznice z gorącą wodą

i jedzenia pod dostatkiem. Z Morza Arabskiego wypłynęliśmy na Ocean Indyjski. Upał stawał się coraz większy, aż 24 października przepłynęliśmy równik i klimat zaczął się zmieniać. Płynęliśmy pod eskortą, chroniącą nas przed japońskimi łodziami podwodnymi – mimo to nasz okręt był zawadzony torpedą. Słychać było strzały, syreny wyły na alarm, wrażenie pełne trwogi i niepokoju. Żołnierze mówili, że ocaliliśmy dzięki modlitwom dzieci. Codziennie na pokładzie ksiądz Michał Wilniewicz odprawiał mszę św. i udzielał sakramentów.

Przez blisko trzy lata nasze oczy patrzyły na żółty, pustynny krajobraz perski, potem na niekończącą się dal morską, więc gdy wpłynęliśmy do zatoki Melbourne, z radością ujrzeliśmy ląd Australii pokryty zielenią. Po kilku dniach, 31 października, dopłynęliśmy do zatoki Wellington, stolicy Nowej Zelandii i ujrzeliśmy obraz jak z bajki. Chociaż było zimno, wszyscy wybiegli na pokład z zainteresowaniem wołając: „Nową Zelandię widać!” Krajobraz prześliczny, pagórki pokryte zielenią i domki przyczepione do zboczy. Piękno naturalne, niby uśmiech Boga, mawiano.

Rankiem następnego dnia okręt zacumował. Na brzegu czekały na nas tłumy uśmiechających się ludzi. Powiewały flagi polska i nowozelandzka. Na statku powitał nas sam premier Peter Fraser oraz konsul polski dr Kazimierz Wodzicki z małżonką. Panie z Czerwonego Krzyża, wojskowi i harcerze zajęli się rozłokowaniem nas w wagonach, podano nam posiłki. Przez całą sześciogodzinną jazdę pociągiem do obozu w Pahiatua, przy każdej stacji witali nas dorośli i dzieci, machając do nas chusteczkami i podając nam kwiaty. Wszędzie wesoło, malowniczo, powietrze pachniało zielonością. Obóz był doskonale zorganizowany oraz zaopatrzony przez wojsko nowozelandzkie i ochotników z okolic. Nazwa obozu brzmiała „Polish Children’s Camp”, czyli Obóz Polskich Dzieci.

Nowe życie

Moje pierwsze wakacje w Nowej Zelandii miały miejsce w mieście Wanganui u rodziny państwa Morgan. Starali się oni uprzyjemnić mi każdy dzień. Zapoznałam się z okolicą, miastem i jego piękną rzeką. Oglądałam śliczne jeziora, niektóre tak głębokie, że mówiono, iż dno ich znajduje się w Japonii! Byłam na wakacjach również u innych rodzin nowozelandzkich. Wszędzie ludzie byli dla mnie dobrzy i hojni. Zwiedziłam wiele pięknych okolic, urocze grotty, elektrownię, różne miasta i ich zabytki, malownicze wybrzeża morskie itp.

Z wielkim bólem serca trzeba było wyjechać z polskiego obozu i zamieszkać w stołecznym mieście Wellington. Było to 20 września 1946 roku. W hotelu robotniczym nad zatoką Oriental Bay mieszkałam z trzema Polkami i 76

panienkami różnej narodowości. Rozpoczęłam pracę w prywatnym zakładzie krawieckim, do którego dojeżdżałam autobusem. Właściciele byli zadowoleni z naszej pracy, a dawne pracownice musiały się stać gorliwymi. Niedaleko naszego miejsca zamieszkania, na wzgórzu, górował kościół św. Gerarda, gdzie uczęszczałam na mszę św. w niedziele i święta. Nasza gorliwość zaraziła koleżanki, Nowozelandki, które zaczęły nas naśladować. Zaprzyjaźniłam się z Samoankami, Maoryskami i Chinką. Po kilku tygodniach przyłączyłam się do chóru kościelnego.

W tym dobrobycie czegoś mi brakowało. Utwierdziłam się w przekonaniu o moim powołaniu do zakonu i nie chcąc być w klasztorze angielskim udałam się do księdza Platera, który wskazał mi Zgromadzenie Sióstr Nazaretanek i załatwił wszelkie formalności związane z podróżą do Rzymu na studia. Święta Bożego Narodzenia spędziłam ostatni raz w Pahiatua, wraz z moimi dwiema młodszymi siostrami. Zapytałam je czy mogę wyjechać do zakonu za granicę. Z bólem serca odpowiedziały: „Tak, jeżeli będziesz tam szczęśliwa, to jedź”.

7 maja 1949 roku wsiadłam na okręt pasażerski *Rangitiki* wraz z kilkoma dziećmi wracającymi do rodzin w Polsce, z którymi załatwiono mi wspólną podróż do Europy. Opiekę nad dziećmi polecono nauczycielce, która wracała do syna. Musiałam ją w tej funkcji zastąpić, bo przez całą podróż cierpiała na chorobę morską. Podróż dla niektórych była bardzo uciążliwa, zaś dla mnie przyjemna. W Panamie otrzymałam listy od moich sióstr z Nowej Zelandii i pewnej rodziny – najmiłsza lektura w czasie podróży morskiej. Po przeczytaniu listów zatęskniłam i prosiłam Boga, aby okręt zawinął w powrotną drogę do mojej ukochanej Nowej Zelandii. Szarpana byłam na dwie strony, ale łaska Boża zwyciężyła. W drodze do Rzymu spotkałam wielu dobrych i życzliwych ludzi. Dzięki Ci Boże za wszystko.

Zesłana do Kazachstanu

Halina Morrow (Fladrzyńska)

Rodzice urodzili się w Rosji pod zaborem carskim, skąd uciekli w 1918 roku po rewolucji bolszewickiej. Osiedlili się w małym miasteczku we wschodniej Polsce. Ojciec był człowiekiem wykształconym, znał trzy języki. Z zawodu ogrodnik, prowadził udane doświadczenia przy hodowli egzotycznych owoców w cieplarniach. Wyhodował też rzadko spotykaną w ówczesnych czasach czarną różę. Miałam ożywione i szczęśliwe dzieciństwo. We wrześniu 1939 roku, w moim pierwszym roku szkoły, Niemcy zbombardowali pobliskie miasto, a po dwóch dniach szkołę zamknięto.

Z ojcem poszłam przyglądać się rosyjskim żołnierzom wkraczającym do naszego miasta, Nowej Wilejki, przez most nad rzeką Wilejką. W mieście mieszkali Polacy, Żydzi, Ukraińcy i Białorusini. Moi rodzice byli niemile zdziwieni, że między zwolennikami najeźdźców rosyjskich byli nasi bliscy znajomi, którzy, mimo że nas często odwiedzali, popierali naszych wrogów.

Mój brat Olek powrócił z rozbitego Wojska Polskiego i opowiadał jak niedobitki starały się przedostać do Anglii. Zaczęli z ojcem ukrywać wartościowe rzeczy oraz broń i mundury, pozostawione przez dwóch polskich oficerów, którzy zatrzymali się u nas podczas ucieczki. Przed swoją śmiercią ojciec ujawnił nam miejsce kryjówki, może ktoś odkrył do tej pory nasze skarby.

Gdy NKWD dowiedziało się, że Olek ukrywa się w domu, przyszedł oficer oraz kilku uzbrojonych Żydów i zabrali go. Nigdy więcej już go nie widzieliśmy. Życie stawało się przykre – trzeba było się strzec swoich sąsiadów, bo nie można było im ufać. W sklepach były pustki. Rosyjska tajna policja przesłuchiwała nawet dzieci, które nieświadomie powtarzały to, co usłyszały od rodziców, powodując przez to aresztowania członków swoich rodzin.

Deportacja

Rozpoczęły się deportacje na Sybir. Rosyjska tajna policja знаła wszystkie nasze ruchy. Ludzie żyli w strachu i nie mieli gdzie uciekać. W lipcu 1940 roku, o czwartej rano, zapukano do naszych drzwi. Na progu stało czterech żołnierzy rosyjskich pod komendą tajniaka z NKWD, który był nam dobrze znany, gdyż przez trzy miesiące często nas odwiedzał jako przyjaciel.

Jeden z żołnierzy krzyczał i popychał moją matkę, żeby śpieszyła się

z pakowaniem. Bałam się, że ją skrzywdzi, więc popchnęłam go z tyłu. Odwracając się, zranił moje ramię bagnietem. Zemdlałam. Przewieziono nas na stację kolejową, gdzie było już wielu płaczących i wystraszonych ludzi. Czekały na nas długie rzędy bydłych wagonów, do których żołnierze rosyjscy wpychali ludzi i ryglowali drzwi.

Za toaletę służyła dziura w podłodze. Niektórzy starali się skromnie osłonić kocem, innym już na niczym nie zależało. Nie można było pozbyć się swądu moczu, co nas jeszcze bardziej przygnębiało. Nasi oprawcy traktowali nas jak zwierzęta, upokarzając na każdym kroku, żeby wymusić na nas posłuszeństwo we wszystkim.

Zapas suszonego chleba, który mama miała ze sobą, już się wyczerpał. Nie wiedziałam wówczas, że ona prawie nic nie jadła, żeby nam starczyło na dłużej. Jedna kobieta histeryzowała, bijąc głową o ścianę wagonu, mężczyźni przeklinali, ktoś głośno odmawiał pacierze. Trzęsłam się ze strachu, uczipiona kurczowo mamy. Zgiełk, smród, głód, obawa o cierpiącą, obolałą mamę i wiedza, że jest w bólu powodowały, że chciałam zasnąć i obudzić się w naszym wygodnym i spokojnym domu w Polsce, gdzie wszystko było normalne. W niesamowitym tłoku ludzie umierali, a ich ciała na postojach zabierali żołnierze. Bili też ludzi kolbami tak, że niektórzy, zwłaszcza starsi, którzy nie mogli już wstać, byli rozstrzeliwani tam, gdzie upadli.

W kazachstańskim kołchozie

Po czterech tygodniach przetransportowano nas z pociągu na ciężarówkę. Niektórzy żołnierze byli bardzo młodzi i chcieli pokazać swoje męstwo popychając kobiety, dzieci i starców. Mój ojciec liczył wówczas 70 lat i martwił się o nasz los, gdyby jemu coś się stało. Większość w naszej grupie to kobiety w średnim wieku.

Zabrano nas do rosyjskiej rodziny w kołchozie Nowa Pokrowka. Na otwartym, gołym stepie Kazachstanu stały ulepione z gliny domy, z jedną izbą i dużym piecem, na którym ludzie spali zimą. Co tydzień podłogę powlekano rozwodnionym krowim nawozem. Pozbywano się w ten sposób kurzu i mieszkanie wyglądało czysto – ale smród! Wejście do mieszkania prowadziło przez oborę, gdzie trzymano krowy, kury, kaczkę i świnię.

Nasi gospodarze, na których zrobiliśmy „najazd”, liczyli około 30-tu lat i mieli pięcioletnią córeczkę. Zachowali się grzecznie, oddając nam izbę, a sami zamieszkali w kuchni. Komunistyczne władze bez dyskusji lub uprzedniego wyrażenia zgody zmuszały tutejszych gospodarzy do dzielenia swoich pomieszczeń z polskimi rodzinami.

W pewnym sensie tutejsi Rosjanie byli w takiej samej niewoli jak my. Też musieli robić to, co im władze nakazywały. To byli prości i dobrotliwi ludzie,

ciekawi wiadomości, które przynieśliśmy ze sobą. Pytali nas jak toczy się wojna. Nie było prądu ani gazet. Zapasy żywności szły na potrzeby wojenne, pozostawiając nam otręby, które nadawały się tylko na kaszę lub *lepioszki* (płaskie chleby).

Mężczyzn i kobiety zmuszano do pracy na polu, przy kombajnach lub zaprzęgach, ciągniętych wołami. Praca była ciężka, płacono za nią plonem ze żniw. Ponieważ moi rodzice nie pracowali, byli zmuszeni wymieniać nasze odzienie na żywność. Na szczęście mój ojciec przywiózł ze sobą z Polski diament do cięcia szkła, więc mógł dawać usługi tutejszym Kazachom, w zamian za mąkę lub ziemniaki.

Dowiedzieliśmy się, że niedawni sojusznicy, Rosja i Niemcy, teraz walczą ze sobą. Przez pewien czas każdego dnia widzieliśmy „chmary” samolotów lecących na zachód. Pewnego dnia widziałam jakiś obiekt, który leciał nisko, prawie nad głowami. Przypominało mi to obrazki łodzi podwodnych z książki w Polsce.

Obiekt był ciemny i miał około 15 metrów długości, szybował cicho, jakieś 30 metrów nad ziemią. Z tyłu widać było dwie rury, wydzielające niebieskawy płomień, gdy obiekt posuwał się do przodu. Widziałam w środku kogoś ubranego na czarno. Byliśmy przekonani, że to jeden z najnowszych wynalazków rosyjskich. Po latach, gdy mieszkalam w Stanach Zjednoczonych, mój mąż pytał oficera lotnictwa amerykańskiego, co to były za samoloty, które wyglądały jak łodzie podwodne. Oficer wypytał się i doniósł nam, że nie było takich samolotów na świecie, a to, co widzieliśmy musiało być UFO, czyli „latające talerze”. Chodziły wieści, że podczas II wojny światowej widziano takie obiekty nad północną i południową Ameryką.

Matka choruje

Mama zachorowała na wyrostek robaczkowy, niestety do najbliższego lekarza lub szpitala było około 100 km. Nadzorca – komunista – odmówił pomocy, bo uważał, że konie i pojazdy państwowe służą tylko do pracy. W końcu jacyś Rosjanie, przejeżdżający przez nasz kołchoz, zgodzili się zabrać matkę do szpitala, ale nikomu z nas nie wolno było jej towarzyszyć. Kilka dni potem dowiedzieliśmy się, że mama nie żyje. Szpital nie miał chirurga. Powiedziano mi, że mama wymawiała moje imię przed śmiercią. Ciało przywieziono do kołchozu i pochowano na małym cmentarzyku, w stepie. Miała 45 lat. Od tego dnia moje życie się zmieniło. Dużo płakałam, ale potem przycichłam. Polacy omawiali stan zdrowia mojego ojca i uważali, że nie przetrwa zimy.

Ojciec opiekował się mną, martwił się o mnie. Pomagałam sąsiadom przy pracach domowych w zamian za jajka lub masło. Miałam już osiem lat, ale ojciec nie chciał, żebym chodziła do rosyjskiej szkoły. Grożono mu aresztem,

jeżeli się nie stawię. Poszłam do szkoły, gdzie byłam najlepsza w klasie z matematyki i zawsze podnosiłam rękę na pytania nauczycieli, ale nigdy nie odpowiadałam na pytania o Stalina lub komunistach. Polskim dzieciom mówiono, że Bóg nie istnieje i że trzeba modlić się do Stalina, źródła wszelkich dóbr. Jako dowód, kazano modlić się do Boga o słodycze. Gdy prośba nie była wysłuchana, kazano dzieciom modlić się do portretu Stalina. Ukradkowe potrząśnięcie portretem przez nauczycielkę i o dziwo – posypały się słodycze.

Przeprowadzka

Ojciec nie czuł się zdrowy i załatwił nasze przeniesienie do innego kołchozu, oddalonego o 80 km. Był to początek zimy i szliśmy tam z ojcem piechotą. Zamieszkaliśmy u pani Sokalskiej z jej córeczką w moim wieku, które znaleźliśmy z Polski.

Zima była sroga. Po niekończących się zawiejach, po śnieżycy widać było tylko kominy domów tak, że ojciec odkopywał nas każdego rana. Po kilku dniach nie wiedzieliśmy czy to dzień, czy noc. Nie było toalety, nasze domowe zapasy żywności wyczerpały się i nie mogliśmy przebrnąć do szopy po więcej. Brakło chleba i tłuszczu do lamp. Siedzieliśmy w ciemności głodni, przytuleni do siebie dla ciepła i modliliśmy się, żeby śnieg przestał padać. Dwoje ludzi zmarło w zaspach. Byliśmy głodni, ale ojciec był zbyt dumny, by przyjąć za darmo żywność od pani Sokalskiej, więc odszedł, żeby szukać pracy. Po trzech tygodniach przyniesiono jego ciepłą kurtę i kilka innych rzeczy, wraz z listem ze szpitala, potwierdzającym zgon. Zmarł na zapalenie płuc.

Nie miałam z kim podzielić się moim smutkiem. Pani Sokalska rzadko się odzywała, a ja nie miałam odwagi zapytać, co się ze mną teraz stanie. Marzyłam, żeby ktoś wziął mnie w ramiona i zabrał z tego dna samotności do miejsca, gdzie świeci słońce i jedzenia jest pod dostatkiem.

Temperatura czasami spadała do -40°C . Żeby było cieplej, paliliśmy dużo suszonego nawozu, uzbieranego na stepie podczas letnich miesięcy. Ale gdy tego paliwa zabrakło, zmuszeni byliśmy ciągnąć sanie w step w poszukiwaniu zamrzniętych chwastów wystających spod śniegu. Od tej pracy miałam bąble na rękach. Powrót z załadowanymi saniami był prawie nie do wytrzymania.

Po nocach czułam się samotna i niepewna swego dalszego losu. Łkanie usypiało mnie. Podśluchałam jak znajomi pani Sokalskiej radzili jej, by się mnie pozbyła, bo byłam dla niej ciężarem. Oprócz tej pani i jej córki nie miałam innego towarzystwa i tęskniłam za polskimi rodzinami z Nowej Pokrowki. Powiedziałam sobie, że tylko z Bogiem mogę się dzielić moimi problemami.

Gdy byłam sama, po odmówieniu krótkiej modlitwy, rozmawiałam z Bogiem, wyobrażając sobie, że stoję przed Nim. Czasami zadawałam Mu pytania, na które nie usłyszałam odpowiedzi. Lecz gdy już postanowiłam

zaprzestać rozmawiać z „Przyjacielem na górze”, zauważyłam, że mój nastrój polepszył się, czyli byłam wysłuchana.

Amnestia

W sierpniu 1941 roku dotarła do naszego kołchozu wiadomość, że Polacy zostali objęci amnestią. Byliśmy podnieceni, ale ostrożni, bo mogła to być tylko pogłoska, puszczona przez kogoś, kto nas chciał pocieszyć i dodać nadziei cierpiącym ludziom. Pierwszym zwiastunem lepszych dni była dostawa leków od Amerykanów, które miały powstrzymać epidemię tyfusu, szkarlatyny i odry. Przysłali też zapasy żywności i odzieży, ale mało tego dotarło do nas. Odzież zamienialiśmy u Rosjan na żywność. Zaczęłam odwiedzać rosyjskie rodziny, by mieć towarzystwo. Choć ich rodziny były liczne, nieraz nawet sześć osób siadało przy jednej misce, dla mnie sieroty zawsze znalazło się miejsce przy ich stole.

Pamiętając radę udzieloną przez znajomych pani Sokalskiej, żeby się mnie pozbyła, ofiarowałam się wyręczać sąsiadów w dojeniu krów, wiedząc, że za moją pracę dostanę jajka, mleko i masło. Nie była to ciężka praca dla zdrowego dorosłego człowieka, ale miałam tylko osiem lat i szybko się męczyłam. Krowę trzeba było doić dwa razy dziennie, przecedzić mleko, zrobić masło, nakarmić kury i świnię, pozbierać jajka. Ale za to dostawałam coś do jedzenia.

Maruśka, moja pracodawczyni, nalegała żebym piła dużo mleka. Po wizycie u niej wracały do mnie fale samotności i tęsknoty za rodzicami. Pewnego dnia Maruśka wzięła mnie za rękę i prosiła, żebym się do niej przeniosła i była jej córką. Zapamiętałam słowa wypowiedane często przez moją mamę – „nie rozmawiaj z nimi po rosyjsku, nie śpiewaj ich pieśni. Komuniści nie wierzą w Boga. Nie zapomnij nigdy, że jesteś Polką. Musimy starać się uciec z tego kraju”. Te słowa tkwiły głęboko w mojej głowie. Bez względu na ogarniającą mnie samotność należałam do Polaków.

W sierocińcu

Pani Sokalska powiedziała, że będę odesłana do sierocińca. Była to ostatnia rzecz, którą chciałam usłyszeć i myśl o tym przestraszyła mnie. Pragnienie, żeby należeć do kogoś lub żeby być z kimś związaną, nigdy mnie nie opuszczało i zazdrościłam dzieciom, które miały rodzeństwo. Z czasem wpadłam w złość na mój ciężki los, co w przyszłości było powodem wielu zatargów z przełożonymi w różnych zakładach. Chciałam być dorosłą.

Pani Sokalska zabrała mnie do polskiego sierocińca w Pawłodarze i zostawiła tam bez okazania żadnych uczuć. Jakaś kobieta przedstawiła mnie chłopcu i dziewczynce, którzy mieli około 16 do 18 lat. Przypuszczalnie opiekowali się grupą 45 dzieci. Na posiłek otrzymaliśmy pajdę ciemnego chleba ze smalcem i coś do picia. Spaliśmy na podłodze, przykryci kocami bez poduszek.

Niektóre dzieci miały zaledwie rok lub dwa lata. Bez opieki lekarskiej i leków, chore dzieci umierały. Podczas mego pobytu w tym sierocińcu pogrzebaliśmy dwa małe ciała. Byłam na pogrzebie trzyletniej dziewczynki, którą wcześniej znaleziono pod bramą, tulącą swoją lalkę z gałganów. Starsze dzieci opatrzyły ją i wykapały. Gdy ją ujrzałam czystą, stwierdziłam, że ma najpiękniejszą i najmądrzejszą twarzyczkę, jaką kiedykolwiek widziałam u dziecka. Ona nigdy nie śmiała się i nie płakała, tylko przyglądała się nam z ciekawością.

Podrzuciono ją do sierocińca bez żadnej informacji lub nazwiska. Jeżeli zrobiła to matka, rozumiałam jej postępowanie. Nie przyjęto by dziecka, gdyby było wiadomo, że ma rodzica. Może myślała, że ludzie udzielą jej dziecku pomocy. Niestety, było już za późno, bo po trzech tygodniach dziewczynka zmarła. Nie wiedzieliśmy, co jej dolegało. Wszyscy, którzy jeszcze mogli chodzić, poszli na jej pogrzeb. W pobliżu sierocińca wykopano grób, jej drobne ciało przykryto kocem i tam złożono. Odmówiliśmy krótką modlitwę, a dwóch starszych chłopców przykryło mogiłkę płytą z blachy. Nie pamiętam czy postawiono krzyż na jej mogile.

Każdy dzień był taki sam i nie mieliśmy żadnych zajęć. Dzieci były przygaszone. Starsi czasami opowiadali nam bajki, ale nie pamiętam, żeby któreś dziecko śmiało się lub bawiło jak zwykle dzieci. Posiłki były bardzo proste – przeważnie ciemny chleb ze smalcem trzy razy dziennie, wraz z postną zupą na obiad – byliśmy niedożywieni. Miałam dwa bąble na cieple i trudno mi było siedzieć. Magazyn z darowanymi amerykańskimi zapasami znajdował się zaledwie 30 metrów od nas, widzieliśmy jak rozładowywano wagony. Nie pamiętam, żeby cokolwiek dostarczono do sierocińca.

Po dwóch miesiącach sierociniec miał być zamknięty z powodu braku pieniędzy, a dzieci miano przenieść do rosyjskiej ochronki. Wszyscy bali się wpaść w ręce obcych ludzi. Pewnego dnia zaproponowałam jednej dziewczynce (Irce Żołnowskiej), żeby uciekła ze mną na moje dawne osiedle, lecz ona wytłumaczyła, że jej brat (Rysiek) jest za mały żeby przejść tak długą drogę, a ona nie zostawi go samego. Planowałam ucieczkę jedząc tylko połowę moich porcji chleba, resztą zapełniałam kieszenie. Przybyłam do tego sierocińca boso, więc „pożyczyłam” obuwie z dużej skrzyni w korytarzu. Nie czułam strachu ani niebezpieczeństwa.

Ucieczka z sierocińca

Po sześciu dniach przygotowań wstałam rano przed wszystkimi, wzięłam buty, włożyłam kurtkę i wyruszyłam w drogę. Dzień wcześniej wepchnęłam swój plecak pod płót, żeby nikt nie zwrócił uwagi na moje wyjście, ale tego ranka nie było nikogo przy bramie. Bez trudu ją otworzyłam, zamknęłam

i wyszłam. Znałam drogę, bo zaledwie kilka miesięcy temu szłam tędy z Pawłodaru, więc bez trudu wydostałam się z miasta. Już za rogatkami byłam sama na drodze i cieszyłam się, że mój plan się udał.

Niebawem minął mnie powóz, prowadzony przez człowieka w mundurze rosyjskiej tajnej policji. Obok siedział jego mały synek. Zgodził się podwieźć mnie kawałek. Chciał wiedzieć, skąd i do kogo się udaję oraz gdzie mieszkam w Pawłodarze. Żeby odwrócić od siebie uwagę, odpowiedziałam, że idę odwiedzić moją matkę w szpitalu i że w Pawłodarze mieszkam z cicią. Nie jechał w moją stronę, wysiadłam i poszłam dalej piechotą.

Dzień był ciepły i późnym popołudniem byłam już zmęczona. Doszłam do zajazdu, gdzie miałam nadzieję, że spędzę noc, ale dozorczyńni pozwoliła mi tylko napić się wody ze studni. Drewniane wiadro było za ciężkie, ale na szczęście pozostało w nim trochę wody. Ta woda i chleb były moim pierwszym posiłkiem tego dnia. Słońce było jeszcze wysoko, więc uszłam jeszcze kilka kilometrów. Nie było ruchu na drodze, postanowiłam przenocować na stepie, gdzie znalazłam płaskie miejsce i położyłam się. Ziemia twarda, cuchnęła pleśnią i gnijącą trawą. Przyświecał księżyc. Gdy leżałam cicho w ciemności, słyszałam mnóstwo nocnych dźwięków, które mnie zewsząd otaczały. Podrywałam się na każdy szmer.

Poderwałam się na widok pięknego zwierzęcia, stojącego kilka kroków od miejsca, gdzie leżałam. Był to chudy, szary, kudłaty pies, dwa razy większy niż ja. Wyjęłam trochę chleba i położyłam obok na ziemi, żeby się przybliżył, ale on się nie ruszył. Zachęcałam go mówiąc spokojnie, a on wyszczerzył tylko zęby. Nie bałam się go, zostawiłam chleb, gdzie leżał i usnęłam. Gdy wstałam rano, chleba i psa nie było. Później ludzie powiedzieli, że to był wilk.

Na drugi dzień doszłam na rozstaje dróg i poczułam, że się zgubiłam. Wszystkie trzy drogi wyglądały tak samo, więc wybrałam środkową i poszłam dalej. Byłam głodna i spragniona. Około południa doszłam do kilku prymitywnych chat, lepionych z gliny i torfu. Nie było widać żywej duszy. W jednej z chat zauważyłam uchylone małe, brudne okienko, a wewnątrz na ławie było trochę jedzenia. Sięgnęłam do środka i porwałam liść kapusty.

Wtem napotkałam bosego kazachskiego chłopca, wyglądającego na 16 lat. Sprawiał wrażenie nienormalnego i dawał lubieżne znaki. Pragnienie uzyskania wody i wskazówek, dokąd prowadzi ta droga opuściło mnie, więc uciekałam, w pośpiechu gubiąc resztki chleba i kradziony liść kapusty.

Nastała ciemność i oziębiło się. Gdy układałam się do snu zwinięta w kłębek między krzakami dzikich róż, w oddali zaczęło błyskać i grzmieć. Niebawem burza rozpętała się na dobre. Ubranie przemokło w tej gęstej ulewie i buty napełniły się wodą. Olśniewające błyski z trzaskiem oświeślały czarne niebo. Nigdy już w życiu nie widziałam tak wspaniałego widowiska, jak tej nocy.

Zerwał się silny wiatr i musiałam przykucnąć, żeby nie upaść. Deszcz lał jak z oberwanej chmury, a wiatr wył niesamowicie.

Przez dłuższy czas siedziałam przykucnięta w tej ulewie, ze schyloną głową i czułam się pokonana. Nie wiedząc, co czynić dalej, odmawiałam pacierze i próbowałam usnąć. Wczesnym rankiem, mokra, zziębnięta i niewyspana, odnalazłam drogę, która musiała prowadzić do ludzi. Po kilku godzinach, oszałała z głodu i przerażona wszystkim, co się ze mną działo, pochyliłam się na czworakach i zaczęłam rwać trawę z ziemią, napychając nią usta. Przez łapczywość ziemia wtarła się w moje oczy, a łzy zmieszane z piaskiem spływały po policzkach do ust. Zęby miałam pełne brudu i wymiotowałam.

Po raz pierwszy od mojej ucieczki z sierocińca straciłam kontrolę nad sobą. Opadłam na ziemię tłukąc ją pięściami i powiedziałam sobie, że lepiej głodować niż powtórzyć to, co przed chwilą zrobiłam. Nie będę głodna, gdy usnę, pomyślałam. Czy można przyzwyczaić się do głodu? Myślę, że tak. Po pewnym czasie skurcz żołądka stawał się normalnym stanem, potem przemieniał się w tępy ból, który pozostawał zawsze ze mną.

Przespałam resztę dnia, przetrwałam następną noc, a rano postanowiłam iść dalej. Łzy ciekły mi po twarzy, a usta i gardło były wyschnięte. Wlokąc nogę za nogą, zmuszałam się by iść do przodu.

Nadjechał młody mężczyzna wozem i zabrał mnie. Przykrył długim płaszczem, uspokoił moje drżenia i wręczył mi kawał chleba z serem. Powiedział, że ma żonę Polkę i zaprosił mnie do zamieszkania z nimi, ale odmówiłam, bo chciałam dostać się do swojego upatrzonego celu.

Pod wieczór dojechaliliśmy do kołchozu, gdzie mieszkała jego matka. Pomogła mi oczyścić się, umyła moje oczy, dała gorący posiłek i ułożyła do snu w prawdziwym łóżku. Następnego dnia, po śniadaniu, wyruszyliśmy znów w drogę.

Napotkaliśmy i wzięliśmy ze sobą młodego Polaka, którego kilka tygodni temu wypuszczono z przymusowego obozu pracy, a teraz wędrował po okolicy w poszukiwaniu swojej rodziny. Przrzekł memu kierowcy, który jechał dalej w innym kierunku, że dostarczy mnie bezpiecznie do celu. Podziękowaliśmy za podwiezienie i piechotą udaliśmy się do miasta.

Pani Sokalska, gdy mnie zobaczyła, nie okazała żadnych uczuć. Jednak, gdy wytłumaczyłam, że nie będę dla niej ciężarem, bo udam się do Maruśki, nie chciała mnie oddać w ręce Rosjanki. Po upływie kilku miesięcy pani Sokalska powiedziała, że znów mam udać się do polskiego sierocińca, lecz tym razem dalej na południe, do Aszchabadu, w Turkmenistanie. Sierociniec, z którego uciekłam, już zamknięto, a dzieci rozesłano do polskich rodzin.

Nazajutrz, wczesnym rankiem opuściliśmy kołchoz i szliśmy kilometr po kilometrze bez wymiany słów. Nigdy sobie nie miałyśmy wiele do

powiedzenia. Zaczął padać śnieg i poczułam ból w nogach. Z trudem się poruszałam, stawiając coraz mniejsze kroki tak, że pani Sokalska prawie mnie ciągnęła przez 80 km do miejsca, skąd ciężarówka zabierały dzieci do sierocińca.

Gdy już miałam wsiadać do ciężarówki, pani Sokalska wzięła mnie w swoje ramiona i tak bez słowa trzymała przez kilka minut. Miała łzy w oczach. Gdy się opanowała, powiedziała – „gdy opuścisz ten kraj, postaraj się mnie stąd wydostać. Wiesz, że moja córka jest chora i może nie przetrwa następnej zimy. Bóg niech będzie z tobą” – i odeszła. Do tej pory nigdy nie okazała jakichkolwiek uczuć.

Jechałam z grupą około 40 innych sierot do Pawłodaru, gdzie przesiedliśmy się do pociągu jadącego do Aszchabadu, zabierającego po drodze polskie dzieci. Po długiej podróży dostarczono nas do przejściowego sierocińca. Po pobieżnym badaniu lekarskim, dano nam szare koce i ułożyliśmy się do snu na podłodze, ściśnięci po 50 osób w pokoju.

16-letnia dziewczynka miała pieczę nad grupką dziesięciu dziewczynek. Pewnego ranka zachorowałam, ale nikt nie wiedział na co. Przenieśli mnie do izolatki w szpitalu. Do dziś nie wiem, co mi dolegało.

Ucieczka do Iranu

Stosunki dyplomatyczne między Polską a Rosją pogorszyły się, co wpłynęło niekorzystnie na nasze życie w sierocińcu. Rosjanie aresztowali dorosłych, pozostawiając pieczę nad naszym zakładem starszym dzieciom, które pod nadzorem dorosłej osoby gotowały, prały i doglądały małych. Rosjanie oddalili polskiego ambasadora, ale przed odjazdem zawitał do nas i przyrzekł zrobić wszystko, co będzie w jego mocy, by nas stąd wydostać.

Droga naszej ucieczki z Aszchabadu, na południe, przez góry do Iranu, prowadziła przez straszne, strome i niebezpiecznie wąskie wertepy górskie, na których nie było miejsca do mijania. Koła ślizgały się po żwirze. Po przybyciu do Teheranu umieszczono nas w obozie przejściowym dla Polaków. Pierwszy raz od naszej deportacji z Polski otrzymaliśmy porządne posiłki. Po upływie miesiąca wysłano nas do Isfahanu. Podróż autobusami przez pustynny kraj, w gęstych tumanach kurzu, była bardzo uciążliwa.

Wiele dzieci nie znało daty swoich urodzin. Podczas naszego pobytu w Rosji wiele razy podawaliśmy taką datę, jaka nam wówczas odpowiadała, tak, że po pewnym czasie zapomnieliśmy, ile naprawdę mamy lat. Dopiero po przybyciu do Nowej Zelandii poznałam dokładną datę moich urodzin.

W Isfahanie dzieci umieszczono w różnych zakładach, rozproszonych po mieście. Rozpoczęliśmy szkołę, dostawaliśmy pożywne posiłki i życie stało się do wytrzymania. Byłam natomiast na bakier z przepisami zakładowymi

i zawsze znalazłam wymówkę, żeby postąpić akurat odwrotnie, no i coś przeskrobać. Wydaje mi się, że im więcej zwracałam na siebie uwagę, tym lepiej się czułam.

Do Nowej Zelandii

27 września 1944 roku opuściliśmy Isfahan z jego ciepłym i słonecznym klimatem, który pomógł nam odzyskać siły i zdrowie. Podróż morską na pokładzie statku „*Sontay*” była uciążliwa. W Bombaju przesiedliśmy się na amerykański okręt wojenny *General Randall*, który był luksusowy w porównaniu z poprzednim. Podczas tej podróży obawialiśmy się, co by się stało, gdyby nasz okręt zaatakował nieprzyjaciel. Jeden z żołnierzy wytłumaczył nam, że statek jest podzielony na trzy części. Jeżeli jedna lub dwie z tych części byłyby uszkodzone, to pozostała utrzyma resztę, więc możemy być spokojni. Nie wiem czy wiedział to naprawdę, może starał się po prostu dodać nam otuchy, gdyby coś naprawdę się stało.

Wreszcie, 31 października 1944 roku, wpłynęliśmy do zatoki Wellington. Następnego dnia zeszliśmy na ląd, skąd pociągiem zabrano nas do polskiego obozu w Pahiatua, gdzie cieszyliśmy się z powrotu do nauki – musieliśmy nadrobić stracony czas. W obozie miałam beztrudne życie. Od czasu do czasu coś przeskrobałam, za co byłam karana, np. nie wolno mi było oglądać jakiegokolwiek filmu. Ale stopniowo dorastałam i po trochu mądrzałam.

Pamiętam swoją pierwszą lekcję angielskiego. Nie wiem, kto był bardziej zaniepokojony tym, co ma nastąpić, nauczycielka Nowozelandka, czy my. Gdy spotkałam ją po latach i wspominałyśmy życie w obozie, dowiedziałam się, że im też było trudno uporać się z nauczaniem w tej niezwyklej sytuacji. Tutejsi nauczyciele nie mieli doświadczenia w pracy z obcokrajowcami, a my nie mieliśmy pojęcia jak uczyć się ich mowy, która tak bardzo różni się od naszej polskiej.

Angielski ma względnie prostą i łatwą do nauczenia się gramatykę, natomiast pisownia jest trudna. Polska gramatyka jest złożona i trudna, ale za to nasza pisownia jest prosta.

Nauczycielka rozpoczęła pierwszą lekcję, mówiąc nam, że język angielski składa się tylko z pięciu samogłosek, które wymawia się na 18 różnych sposobów, z którymi musimy się zapoznać. Potem napisała na tablicy przykłady, a następnie wytłumaczyła nam spółgłoski. Nie miałyśmy pojęcia, o czym ona mówi. Zapewne czuła się bardzo zażenowana, gdy przemawiała do nas, spodziewała się postępów, a my jej nie rozumieliśmy i nadal nie wiedzieliśmy jak wymawiać i pisać poprawnie. Na klasówkach z pisowni angielskiej zapamiętywaliśmy obce nam słowa na sposób polski, a potem pisałyśmy je poprawnie.

Moją uwagę zwróciły starsze dziewczęta, które chodziły już do pracy w fabrykach i innych zakładach. Przyjeżdżały do obozu na wakacje. Wyglądały na zadowolone, stroiły się w gustowne sukienki i opowiadały o swoim życiu w miastach, co mnie bardzo pociągało. Ale musiałam pozostać nadal w szkole, bo nauka miała zapewnić mi lepsze warunki w życiu. Moimi ulubionymi przedmiotami były: geografia, matematyka i sport, umiałam też dobrze pisać wypracowania. Niestety nauka języka angielskiego nie przypadła mi do gustu, bo wymagała zbyt dużego wysiłku, więc uczyłam się tylko tyle, by pokazać nauczycielce, że odrabiałam lekcje, ale nie wystarczająco, żeby coś zapamiętać. Nowozelandzkie rodziny, u których spędzałam wakacje szkolne, były dla mnie wspaniałe. Niektóre chciały utrzymywać ze mną kontakt, ale bałam się do nich pisać, wstydząc się mojego braku znajomości ich języka.

Po ukończeniu VI klasy polskiej szkoły powszechnej w obozie posłano mnie, wraz z trzema innymi dziewczynkami, do gimnazjum nowozelandzkiego w Gisborne. Zrozumiałyśmy, że zanim zabierzemy się do nauki innych przedmiotów, potrzebujemy dodatkowej pomocy w opanowaniu języka angielskiego. Nasza wiedza o geografii i matematyce była o wiele lepsza od nowozelandzkich dziewczynek w naszej klasie. Uczono nas pisania na maszynie. Lubiłam sport i reprezentowałam naszą szkołę w rozgrywkach w siatkówkę.

Miałyśmy trudności w porozumieniu się z kimkolwiek. Pewna kobieta, zamiast nas poprawiać, wyśmiewała naszą wymowę języka angielskiego, więc unikałyśmy jej i rozmów po angielsku a między sobą rozmawiałyśmy po polsku. Zrozumiałam wówczas, że nie dostając pomocy w języku angielskim w szkole, na pewno nie osiągnę swego celu i nie zostanę weterynarzem.

Zaczęłam pracę w drukarni pewnej księgarni w Gisborne, gdzie nauczyłam się drukować ślubne zaproszenia, okładać książeczki do pokwitowań itp. Następnie pracowałam w zakładzie ubezpieczeniowym i chodziłam na wieczorowe kursy stenografii, którą polubiłam. Sądzę, że w normalnych warunkach byłabym dobra w tym kierunku, ale tu znów brak języka angielskiego był dla mnie przeszkodą. Gdy mój pracodawca przeniósł mnie do filii w Wellingtonie, zamieszkałam w Bursie Polskich Dziewcząt w dzielnicy Lyall Bay. Cieszyłam się, że byłam znów w polskim gronie, ale nadal byłam czupurna i nie znosiłam regulaminów.

Pewnego dnia zaczęłyśmy z koleżanką Anielą planować podróż w daleki świat. Wynajęłyśmy wspólnie tanie, jednopokojowe mieszkanie w śródmieściu, wzięłyśmy dodatkowe prace i jadłyśmy posiłki w mieście. Byłyśmy młode i zdrowe. Żeby zaoszczędzić na bilety na podróż statkiem, przez kilka miesięcy miałam aż trzy prace dziennie, a w niedziele dodatkowo pracowałam w szpitalu. Z czasem dowiedziałam się, że miejski urząd transportowy płaci

kobietom dobrą stawkę, podobną do męskiej, więc zostawiłam te mniej płatne prace z długimi godzinami i zostałam konduktorką w tramwajach, pracując przy tym mniej godzin niż dotychczas. Na początku lubiłam tę posadę, ale ówczesne prawo, które zabraniało sprzedawania alkoholu gdziekolwiek po godzinie 6-tej po południu, bardzo utrudniało moją pracę. O tej porze tramwaje były zapełnione podпитыi mężczyznami, zdążającymi do swych domów. Opuściłam tę posadę po dziewięciu miesiącach i wróciłam do pracy w zakładzie ubezpieczeniowym.

W Anglii

Nareszcie nadszedł dzień odpłynięcia do Anglii statkiem *Rangitoto*. Po wielu tygodniach żeglugi wylądowaliśmy w porcie Southampton. Była tu jesień i już tęskniłam za Nową Zelandią. Zdałam egzamin z pisania na maszynie i przez trzy lata pracowałam w biurze stenograficznym zakładu ubezpieczeniowego. Byłam zadowolona z mojej pracy i skłonna osiąść w Londynie. Miasto to z jego życiem towarzyskim, kinami, teatrami, lokalami tanecznymi i różnymi klubami, bardzo mi się podobało.

Tam poznałam mego przyszłego męża Ernien, obywatela amerykańskiego, i pojechałam za nim do stanu Vermont. Potem przenieśliśmy się do Fort Worth w Teksasie, gdzie Ernien pracował na stacji paliwowej, ja natomiast zostałam kelnerką w restauracji, w której wstęp dla Murzynów był wzbroniony (w południowych stanach Ameryki panowała w owych czasach segregacja rasowa). Nie mogliśmy mieć dzieci. Staraliśmy się je adoptować, lecz nam się nie udało. Postanowiliśmy przenieść się do Nowej Zelandii, gdzie osiedliliśmy się w Gisborne, budując tam swój dom. Pracowałam w ministerstwie rolnictwa i rybołówstwa. Jeszcze podczas mojego pobytu w Teksasie, w Stanach Zjednoczonych, dla rozrywki w wolnym czasie, nauczyłam się garbować skórę. Tu w Gisborne zapotrzebowanie na moje domowe wyroby wzrosło tak bardzo, że przestało to być zajęciem rozrywkowym, a stało się ciężką pracą.

Zapisaaliśmy się z mężem do klubu łuczniczego, z którym dwa razy reprezentowaliśmy Nową Zelandię na światowych zawodach strzelania z kuszy w latach 1984 i 1992. Oboje otrzymaliśmy wiele nagród i medali. Byliśmy zawodowymi trenerami, a mąż został selektorem, sędzią na igrzyskach oraz ich koordynatorem. Importowaliśmy i prowadziliśmy sprzedaż sprzętu łuczniczego.

Zapytano mnie kiedyś czy byliśmy szczęśliwym małżeństwem. Po 32 latach wspólnego życia wybrałabym tego samego męża. Nikt z nas nie poślubia ideału z takimi zaletami, jakie byśmy chcieli. Dużo czasu zajmuje zrozumienie drugiej osoby – czasem się nie udaje. Brak wspólnych rozmów i kompromisów może powodować poważne skutki. Sądzę, że oboje przyczyniliśmy się do

polepszenia naszych charakterów. Pamięć o moim mężu jest nadal we mnie żywa i mam nadzieję, że nigdy nie zagaśnie.

Moja czupurność zaważyła również na moim życiu duchowym. Buntowałam się przeciw skromnemu udziałowi kobiet w Kościele katolickim. Kiedyś, po Soborze Watykańskim II, powróciłam z przychylniejszym nastawieniem do Kościoła. Jestem wdową, żyję sama, ale mam życie wypełnione pracą społeczną w naszej parafii. Mam również swoje rozrywki.

Biorąc wszystko pod uwagę, uważam, że miałam w życiu szczęście. Moje przeżycia z lat młodości nauczyły mnie jak przetrwać i sędzę, że zahartowały mnie umysłowo i duchowo. Czasami wspominam moje sieroce lata i jak małe znaczenie miało dla mnie życie. Czułam wielki żal do kogoś, chyba do całego świata. Doprowadzało mnie to do buntu i lekceważenia przepisów. Niestety, nie ma już tych, których chciałabym przeprosić za moje postępowanie – tych samych, którzy wówczas pracowali dla mojego dobra. Teraz rozumiem, podziwiam i szanuję ludzi, którzy pomagają mniej szczęśliwym.



Halina (druga od prawej) z mężem Ernie Morrow (pierwszy od prawej) reprezentują Nową Zelandię podczas Światowych Igrzysk Kuszniczych w Wolverhampton, Anglia, 1984 rok

Zasłużyłem sobie

Marian Adamski

W 1954 roku osiedliłem się w Taranaki na Wyspie Północnej i zająłem się stolarką. Wokół była żyzna ziemia i coś ciągnęło mnie do niej. Zacząłem pracować u farmera, a z czasem założyłem z nim spółkę. Farmerzy zajmowali się niemal wyłącznie hodowlą dojnych krów, a ja marzyłem o własnej, różnorodnej gospodarce. Minęło 25 lat i wziąłem w dzierżawę ziemię, graniczącą z rezerwatem wygasłego wulkanu Taranaki. Zacząłem hodować dojne krowy, zasadziłem orzechy laskowe i kasztany. Wszystko zmieniła amerykańska borówka!

Gdyby moja żona Priscilla nie powstrzymywała mnie, zasadziłbym borówki na każdym skrawku ziemi. Okazało się, że mroźne zimy rejonu Taranaki i rodzaj gleby sprzyjają uprawie borówek. Dzięki temu mieliśmy bogate, rekordowe zbiory. Wyszukiwałem i chłonałem wiedzę, dotyczącą uprawy borówek i ich leczniczych właściwości. Wyrobiłem sobie opinię rzeczoznawcy w tej dziedzinie. W latach 1990-tych w sezonie zatrudniałem osiem dziewcząt. Sześcioro naszych dzieci też pomagało mi podczas szkolnych i uniwersyteckich wakacji.

Schylony ku starości, żyję wspomnieniami mej ciężkiej pracy, mych osiągnięć i ludzi, którzy bywali u nas każdego roku, żeby nazbierać sobie borówek. Przyjechałem do Nowej Zelandii jako uchodźca, polskie dziecko sierota. Do nikogo nie należałem, nie miałem żadnej rodziny. Myślę, że zasłużyłem sobie na przynależność do Nowej Zelandii.



Marian Adamski
z owocem swej
pracy – obfitym
zbiorem borówek

Powrót to domu

Piotr Aulich

Choć było to dawno temu, bo 22 listopada 1948 roku, jednak pamiętam dobrze powrót z moimi braćmi do Polski. Z jednej strony radość, że znów w Ojczyźnie i że połączymy się z matką po latach rozłąki. Z drugiej strony rozczarowanie, że bieda i brak wolności, której ograniczenie bodajże najszybciej dano nam odczuć, zabraniając fotografowania czegokolwiek i porozumiewania się z najbliższymi, których trzymano daleko od statku.

W innych portach, do których zawijaliśmy po drodze, było normalnie – ludzie, którzy się rozpoznali, nawoływali się i rzucali tym na dole drobne upominki w postaci tabliczek czekolady czy paczek papierosów. W Gdyni, do której zawiniliśmy około 9-tej rano, było to zabronione. Choć to była jesień, dzień był słoneczny i jak na tę porę roku bardzo ciepły, bo choć ubrani w krótkie spodenki i cienkie koszulki z Nowej Zelandii, nie czuliśmy zimna.

Po opuszczeniu okrętu *MS Stefan Batory* poprowadzono nas do dużego budynku, gdzie znajdował się Urząd Repatriacyjny. Tam staliśmy w niekończącej się kolejce w celu rejestracji. Gdy przyszła na nas kolej była już ciemna noc i niewiele czasu do odjazdu pociągu, który miał nas zabrać w dalszą drogę do domu.

Antoni został zarejestrowany pod nr 60254, Józef pod nr 60255, a ja pod nr 60294. Każdy z nas otrzymał dokument, który pozwalał na korzystanie z państwowych środków lokomocji w drodze do domu za darmo. Każdy z nas otrzymał po 500 złotych.

Myśleliśmy w pierwszej chwili, że jesteśmy bogaczami, szybko jednak zmieniliśmy zdanie, gdy chcieliśmy coś za to kupić. Pamiętam, podszedłem do kiosku, aby kupić cukierki. Najtańsze, małe bombonierki, kosztowały 730 złotych. Niewiele dano nam na przejechanie całej Polski, z Gdyni na południe do Lubawki.

W Warszawie, po paru godzinach jazdy pociągiem, gdy głód nam dobrze dał się we znaki, kupiliśmy sobie słodkich bułek i oranżadę, na tyle to starczyło. W Gdyni, podczas stania w kolejce do rejestracji, zaproszono nas na obiad. Tego obiadu do końca życia nie zapomnę. Dano nam zardzewiałe menażki, do których nakładano chochlą gęsty makaron-rurki. Gdy skosztowałem go, natychmiast zrozumiałem przestrogę zakonnika, jednocześnie opiekuna i przyjaciela z gimnazjum św. Ksawerego w Christchurch, w Nowej Zelandii, który starał się odwieść mnie od zamiaru powrotu do Polski. Było jednak już

za późno, droga powrotu została zamknięta i trzeba było zaakceptować nową rzeczywistość.

Szybko pogodziłem się z losem i ostatecznie nie żałuję powrotu. Gdzieś człowiek musi przeżyć czas, jaki mu Pan Bóg dał. Gorzej było z braćmi i mamą, którzy przez wiele lat mieli żal do mnie, że namówiłem braci do powrotu.

Z Gdyni do Lubawki droga była daleka. Do Warszawy jechaliśmy nocą zatłoczonym pociągiem. Wszystko było dla mnie obce i dziwne. Zachowanie ludzi, ich ubranie, a przede wszystkim mowa. W pociągu jechali ludzie chyba ze wszystkich dzielnic Polski – górale, Kurpie, Żydzi, poznaniacy, warszawiacy i wielu innych.

Nie mogłem się nasłuchać nowej dla mnie wtedy mowy polskiej. Chwilami niezupęnie rozumiałem, co mówią, szczególnie, gdy rozmawiali ludzie wiejscy. Nie tylko, że nie rozumiałem słów, ale nie byłem w temacie bieżących spraw Polski. Czułem się wśród swoich jak obcy.

Wzbudzaliśmy powszechną sensację naszym ubiorem. Miałem na sobie mundurek z czapką gimnazjalną św. Ksawerego z Christchurch, co rzucało się w oczy i często byłem pytany, kim jestem. Gdy mówiłem, że wracam z Nowej Zelandii do domu, wywoływałem powszechny śmiech i politowanie – oni w tym pociągu wiedzieli, do czego wróciłem. Jeszcze wtedy tego nie rozumiałem, choć czułem, że coś nie jest tak, jak sobie wyobrażałem.

Z Warszawy, gdzie musieliśmy się przesiąść na inny pociąg do Wrocławia, jechaliśmy w dzień. Przez okno wagonu obserwowałem krajobrazy ukochanej ojczyzny. Przykry to był widok. Mijane miasta jeszcze niedźwignięte z gruzów, wszędzie kikuty domów i kościołów.

Mijane pojedyncze zabudowania gospodarskie wyglądały na bardzo małe, w stosunku do tych, jakie widziałem w Nowej Zelandii, czy innych krajach po drodze. Dachy przeważnie słomiane. Dziwne, dziwne to wszystko było i bardzo mizerne.

Wrocław, tak jak Warszawa w tym czasie, to morze gruzu i zgliszczy, choć w obu miastach widać było odgruzowywanie, budowanie i leczenie ran wojny. Do Wrocławia dojechaliśmy wieczorem, ale to nie był koniec mej podróży, bo do domu było jeszcze 110 kilometrów. Jechaliśmy dalej całą noc, przesiadając się parę razy, czekając w zatłoczonych poczekalniach, pełnych dymu papierosowego i dziwnych zapachów.

Do Lubawki dojechaliśmy około 6-tej rano. Miasteczko było oprószone cienką warstwą śniegu i było chłodno. Pytając przechodni o adres matki, po paru minutach byliśmy już przed drzwiami domu. Serce biło dziwnym rytmem, gdy pukaliśmy do drzwi.

Otworzyła nam mama, za nią stał nasz najmłodszy brat Heniek, liczący 11 lat. Rzuciliśmy się sobie w ramiona i uściskom nie było końca. Po chwili

dołączyła do witania nas, mieszkająca w następnym mieszkaniu, siostra Elżbieta i jej mąż Władek.

Kiedy w 1946 roku odnaleźliśmy mamę przez Czerwony Krzyż i nawiązaliśmy z nią korespondencję, często wysyłałem jej paczki z rzeczami, które przywożono do obozu w Pahiatua. Były to przeważnie sukienki, płaszcze, kurtki i spódnice. Przy wyborze tych rzeczy zawsze była jakaś wychowawczyni, udzielająca rad, co do fasonu i rozmiaru. Na pytanie, jak duża jest moja mama, pokazywałem, że o głowę wyższa ode mnie. Na miejscu okazało się, że jest odwrotnie, mama była o głowę niższa. To było dla mnie największym zaskoczeniem. Po prostu nie przyszło mi do głowy, że ja urosłem, a mama już nie.

Brat Antoni zmarł w Lubawce 27 lutego 1982 roku. Siostra Irena, która figuruje w książce Krystyny Skwarko, *The Invited* (Zaproszeni), nigdy do Nowej Zelandii nie dojechała – została w Iranie, gdzie wyszła za mąż, a w 1952 roku wyjechała do Stanów Zjednoczonych. Zmarła w Cincinnati, Ohio, 13 czerwca 1999 roku. Henryka pozostała w Nowej Zelandii.



Klasa 6B, 1947 rok.

Z tyłu, od lewej: Jan Nowotarski, Józef Aulich, Kazimierz Rzepka, Franciszek Wypych, Czesław Pelc, Józef Chwieduk, Piotr Adamczyk, Lech Lubas, Witold Suchodolski

Drugi rząd, od lewej: Stanisław Wołk, Piotr Aulich, Bolesław Wojtowicz, Alfred Sapiński, Witold Chumko, Bronisław Roźniatowski, Stanisław Skiba, Mieczysław Bieniowski, Jan Lasota, Jan Kaźmierów

Siedzą, od lewej: Ryszard Białostocki, Marian Olechnowicz, Frank Muller, Helena Wenckiewicz, Antoni Perkowski

Z przodu, od lewej: Tadeusz Solarz, Adam Żak, Franciszek Żak

Byłam pielęgniarką

Józefa Berry (Węgrzyn)

Nasi rodzice zmarli jedno po drugim na tyfus w 1942 roku w Uzbekistanie. Ja i piątka mojego rodzeństwa mieliśmy szczęście, ponieważ jako sieroty trafiliśmy do Nowej Zelandii, gdyż na początku znajdowaliśmy się na liście do Meksyku. Ponieważ byłam drugim z kolei dzieckiem w rodzinie, umieszczono mnie na rok w klasie dla najstarszych. Stanowiliśmy żywą i bardzo zgraną grupę. Nauczanie było prowadzone w języku polskim. Dwa lub trzy razy w tygodniu pani Neligan udzielała nam też lekcji angielskiego.

Miło wspominam życie w obozie; występowałam w amatorskich sztukach i jasełkach oraz kierowałam drużyną harcerską. Pewnego pięknego dnia miałyśmy spotkanie nad rzeką, ale gdy ujrzałyśmy zbliżające się do nas krowy, uciekłyśmy w popłochu i nigdy już tam nie wróciłyśmy. Niechętnie poszłam do gimnazjum Najświętszego Serca w Christchurch, spędziłam tam jednak rok z trzema innymi dziewczętami polskimi, między innymi z Władysławą Nawalaniec (późniejszą siostrą Kazimierą). Odeszłam stamtąd, by uczyć się zawodu pielęgniarki.

Decyzja o wyborze zawodu okazała się słuszna. Dzięki niemu nawiązałam wiele przyjaźni i pracowałam w szpitalach na terenie całego kraju. Główne szkolenie odbyłam w szpitalu w Masterton, byłam więc niedaleko obozu Pahiatua, gdzie do 1949 roku przebywało moje młodsze rodzeństwo. Pamiętam wiele długich, często samotnych, miesięcy nauki angielskiego – było to trudne i czasochłonne zajęcie.

Największą atrakcją mojego kursu były potańcówki i bale pielęgniarek, na których zawsze świetnie się bawiłam. Na jednym z nich po raz pierwszy zatańczyłam z Peterem, moim przyszłym mężem. Jeszcze jako uczennica z wielkim utęsknieniem czekałam na jego długie listy. Ukończyłam z wyróżnieniem kurs położniczy w szpitalu w Hastings. Atmosfera w Domu Pielęgniarek była miła, a współlokatorki życzliwe i przyjaźnie nastawione. Czasami wolne dni spędzałam u gościnnych rodzin, które mnie do siebie zapraszały. Cały czas jednak tęskniłam za polskim otoczeniem.

W 1952 roku poślubiłam Petera. W czasie trwania naszego związku przeprowadzaliśmy się kilkakrotnie. Pracowałam w szpitalach publicznych w Wellingtonie i Christchurch, w szpitalach chirurgicznych im. Księżnej Małgorzaty, potem w szpitalu św. Jerzego oraz w szpitalu geriatrycznym św. Mikołaja. Brałam również prywatne zlecenia od Centrum Pielęgniarek

w Christchurch i Lower Hutt. W 1950 roku przez trzy miesiące pracowałam w szpitalu Pahiatua. W 1975 roku przeprowadziliśmy się do Lower Hutt, dzięki czemu mogłam być bliżej rodziny i polskiej społeczności. Przez dwanaście lat pracowałam w klinice złamań w szpitalu w Lower Hutt.

Przez cztery miesiące próbowałam również kariery w szpitalu psychiatrycznym, w Sunnyside, jednak, jak się okazało, nie było to moim powołaniem. W mojej pracy miałam dużo długich, nocnych dyżurów. Po nich wracałam do domu i następnego dnia musiałam się zająć piątką dzieci. Nie było to łatwe zadanie. W wieku 60 lat, aczkolwiek niechętnie, przeszłam na emeryturę (był to wówczas przymusowy wiek pójścia na emeryturę). Przez kilka miesięcy pracowałam jeszcze w prywatnym szpitalu geriatrycznym w Taita, później fartuch pielęgniarski zamieniłam na pracę w ogrodzie i rolę babci. Mam 12 kochanych wnucząt w wieku od 5 do 28 lat. Peter zmarł w styczniu 2004 roku, a ja mieszkam w Waikanae.



Józefa Węgrzyn (stoi) i pielęgniarka Nowozelandka

Dawaliśmy sobie radę

Henryka Blackler (Aulich)

Moimi najmiłszymi wspomnieniami z Obozu Polskich Dzieci były i nadal są nasze pieśni – piękne poranne i wieczorne śpiewy przy grocie Matki Boskiej i na niedzielnych nabożeństwach. Szczególnie lubiłam muzyczne filmy, które potem starałam się odtworzyć śpiewając i tańcząc dla dziewcząt w naszym baraku. Było w tym tyle przyjemności, że warto było łamać przepisy o ciszy nocnej. To wszystko zbliżało nas do siebie, jak rodzinę.

Nie opuściłam żadnego koncertu obozowego i do dziś pamiętam wierszyk, który deklamowałam. Przed premierem Peterem Fraserem i dostojnymi gośćmi wykonałyśmy irlandzki taniec w podskokach i wirujący szkocki taniec. Najbardziej lubiłam krakowiaka. Obóz był moim domem i było mi smutno, gdy musiałam pojechać do szkoły przy konwencie św. Marii w Christchurch. Później przez rok byłam w internacie gimnazjum Villa Maria.

Gdy nie mogłam już jeździć do obozu na szkolne wakacje, moja przyjaciółka Nowozelandka, Joan, zaprosiła mnie do swego domu. Odtąd już mieszkałam u jej rodziny i uczęszczałam do szkoły katolickiej w Lyttelton. Zaczęłam pracę mając 18 lat, jako początkująca w biurze, a potem jako maszynistka. Pewnego dnia zepsuła się moja maszyna-kalkulator. Przyszedł ją naprawić przystojny, młody mechanik – mój przyszły mąż George. Po tygodniu poszłam z nim na potańcówkę, a po pewnym czasie pobraliśmy się w pięknej katolickiej katedrze w Christchurch.

Miałam dobrego, ciężko pracującego, ale wesołego męża. Niestety, był chyba najbiedniejszym Nowozelandczykiem, jakiego znałam, więc pracowaliśmy ciężko, żeby zapłacić za nasze wesele i za dom oraz zarobić na wychowanie dzieci. Po trzech latach męża przeniesiono do Timaru, gdzie mieszkaliśmy przez 16 lat. Po zwolnieniu George'a z pracy powróciliśmy do Christchurch.

Mimo trudności i wzlotów nie zapomniałam swojej wiary katolickiej i dziękuję Bogu za Jego dobroć. Gdy mąż jeszcze żył, należeliśmy do chóru, odwiedzaliśmy domy opieki i starszych ludzi, śpiewając im na pocieszenie. Często uczęszczałam na polskie spotkania naszej małej Polonii w Christchurch, gdzie odświeżam swoją polską mowę i czuję się Polką. Wówczas delectuję się polskimi potrawami, których przyrządzania nie miałam sposobności się nauczyć. Żałuję tylko, że nie mam przy sobie rodzeństwa, żeby z nimi dzielić swoje smutki i radości. Moja siostra Janina pozostała w Iranie, a bracia powrócili do Polski, by pomóc w jej powojennej odbudowie.

Można przetrwać

Maria Campbell (Pytlos)

Miałam pięć lat, gdy przyjechałam do Obozu Polskich Dzieci w Pahiatua, w Nowej Zelandii. Pamiętam, że w środku obozu był plac gier i zabaw. Były tam huśtawki, płytki basen i pompa do węża strażackiego, która wyglądała jak koń, więc „jeździliśmy” na niej z uciechą.

Pamiętam jak kiedyś zabrano nas do basenu. Zawsze chuda i chorowita, a tego dnia niezupełnie zdrowa, stałam na brzegu patrząc na innych, bo zabroniono mi wchodzić do wody. Starsi chłopcy, przebiegając obok, niechcący zepchnęli mnie do basenu, a potem wskoczyli, by mnie ratować. Młodsze dzieci podniosły wrzask. Sporo czasu upłynęło nim znaleziono mamę, która przyszła mnie zabrać (mama była wychowawczynią grupy chłopców-sierot). Przeziębiam się i zachorowałam na zapalenie płuc. Przyjęto mnie do obozowego szpitala.

Pewnego ranka zbudziła mnie siostra Maria Sawicka, ażeby posadzić na nocnik. Zniżyła drabinkę dzieciennego łóżeczka i poprosiła, ażebym usiadła. Spróbowałam, ale nie mogłam się poruszyć, byłam sztywna od szyi w dół i powiedziałam, że nie mogę. Siostra Sawicka patrzyła na mnie z niedowierzaniem i poprosiła jeszcze parę razy. Ja odpowiadałam z uporem – „nie mogę”. To ją rozzłościło i uderzyła mnie po nogach. Wpadłam w panikę, zaczęłam przeraźliwie wrzeszczeć i nie mogłam się uspokoić. Jakaś pielęgniarka przybiegła, zobaczyła, co się dzieje i natychmiast zawołała panią doktor Eugenię Czochańską, która zbadała mnie i posłała po mamę. Mama, gdy dowiedziała się, że jestem sparaliżowana poniżej szyi, zareagowała głośnym oskarżaniem wszystkich, ale w sercu musiała wiedzieć, że nie może winić nikogo.

Wezwany lekarz potwierdził zaraźliwy paraliż dziecięcy. Pogotowie przetransportowało mnie do szpitala w Palmerston North i tam leżałam przez następne pół roku. Spałam na plecach, a w czasie dnia podnoszono mnie na łóżku do prawie pionowej pozycji. Nie można było mnie odwiedzać, nawet mamie. Nastąpił kryzys i polski ksiądz z obozu, dr Leon Broel-Plater, udzielił mi ostatniego namaszczenia. Mama i inni tam obecni długo modlili się, a ksiądz Plater na koniec powiedział, że teraz wszystko zależy od Boga. Kryzys minął, a moim pierwszym słowem było „mama”. Wiele tygodni leżałam w szpitalu. Przez ten czas zapomniałam mówić po polsku i mówiłam płynnie po angielsku. Mama powtórnie uczyła mnie polskiej mowy.

Gdy wróciłam do zdrowia, przeniesiono mnie do innych dzieci. Nie chodziłam, posuwałam się na pupie. Przywiązano mi do nóg żelaza, pomagano mi, zachęcano i dodawano odwagi, żebym tylko chodziła. Często padałam, bo patrzyłam na nogi, nie mogłam patrzeć wprost przed siebie, ale w końcu zaczęłam chodzić.

Może przez dwa lata leczono mnie w uzdrowisku dla dzieci, niedaleko miasteczka Otaki. W międzyczasie Obóz Polskich Dzieci zamknięto. Mama rzadko mnie odwiedzała, bo pracowała jako gospodyni w Wellingtonie. W uzdrowisku nie zrobiłam miłego wrażenia ani swoją powierzchownością, ani charakterem. Nieskoordynowane ruchy, zgolone włosy, bo po przyjeździe do uzdrowiska dostałam wszy. Ciągłe sprawiałam kłopot wybuchami gniewu.

Tu powinienam była wrócić do zdrowia i sił. Na moje nieszczęście nie współpracowałam z tymi, którzy mnie chcieli leczyć. Na przykład, gdy mi dano tran, trzymałam go w ustach, wychodziłam na zewnątrz i wypływałam. Smakowała mi za to kasza. Bywało, że szybko zjadłam swoją porcję, brałam czysty talerz, podchodziłam jeszcze raz do lady, mówiąc, że nie dostałam kaszy. Wiedzieli, że już dostałam i odpowiadano mi, że więcej nie ma. Wówczas zaczynałam się złościć, z wraskiem rzucałam się na podłogę i wtedy dla uspokojenia mego wybuchu dostawałam więcej kaszy.

W czasie szkolnych wakacji rodzice zabierali swe dzieci do domów. Moja mama mieszkała w małym, ciasnym mieszkaniu i bywało, że nie zawsze mogła wziąć mnie do siebie. Rodzice innych dzieci w uzdrowisku brali mnie wszędzie ze sobą, ale i tak czułam się osamotniona.

Nielatwo było opiekować się mną. Uciekałam, wchodziłam na drzewo i nie chciałam zleźć. Nieraz namawiałam inne dzieci, żeby poszły ze mną poza granice uzdrowiska. Pewnego razu zostawiłam otwartą bramę, przez którą uciekły krowy. Gonił mnie nawet byk, ale zdążyłam wdrapać się na sosnę. Ciągłe czułam w sobie złość, ale nie bałam się niczego. Ludzie dziwili się, że tyle złości może pomieścić się w tej, jak mnie nazywano, szpilce.

Powiedziano mamie, że więcej nie mogą mi pomóc i mama umieściła mnie w katolickim internacie w Otaki. Tam próbowano poprawić mój charakter na lekcjach religii i opanować złość, grożąc, że zostanę ukarana uderzeniem linijką po ręce lub, że nie dostanę ciastka na podwieczorek. Groźba, że nie będzie ciastka nie pomagała, bo będąc chuda i chorowita i tak zawsze je dostawałam. Ciągłe chorowałam. Zaraz po przyjeździe do internatu usunięto mi zęby górnej szczęki z powodu zapalenia dziąseł i zastąpiono je sztucznymi. Nie uczono mnie wiele – tylko czytania, pisanie, rachunków i katechizmu. Miałam kłopoty z pamięcią. W internacie mieszkały dwie dziewczynki z Obozu Polskich Dzieci w Pahiatua (Leokadia Kołodzińska i Maria Mokrzecka), ale trzymałam się od nich z daleka, może dlatego, że słabo mówiłam po polsku.

Internat zamknięto i mama ulokowała mnie w Bursie Polskich Dziewcząt, w dzielnicy Lyall Bay w Wellingtonie. Zamieszkałam w dużym pokoju z koleżankami z Obozu Polskich Dzieci w Pahiatua. Przyjęły mnie serdecznie i darzyły przyjaźnią. Tu poznałam Marysię Litwinów i stałyśmy się najbliższymi przyjaciółkami. Marysia zawsze wstawiała się za mną, pomagała mi w odrabianiu lekcji i razem psociłyśmy. Kiedyś siostra Monika Alexandrowicz, przełożona polskich Sióstr Urszulanek i kierowniczka Bursy Polskich Dziewcząt, popatrzyła na nas zamyślona i zapytała: „ciekawam, która z was jest zgniłym jabłkiem?” – Nie ja – powiedziałam.

Bywało, że z Marysią wykradałyśmy masło z kuchni i smarowałyśmy się nim, a potem popędziłyśmy w kąpielówkach za bursę, zażywać kąpeli słonecznej. Spaliłam sobie skórę i tego wieczoru nie miałam odwagi się wykapać. Siostra opiekunka coś podejrzewała, bo pachniałyśmy masłem, ale nie byłyśmy ukarane. Do dziś łączy mnie serdeczna więź z Marysią i dziewczynkami z polskiej bursy, z którymi dorastałam.

W bursie po raz pierwszy w życiu odczułam strach. Wiem teraz, że to starsze dziewczynki psociły, ale wtedy wszystko wyglądało prawdziwie. Opowiadano, że w bursie straszy „Biała Pani”, która chodzi po pokojach. Pewnej nocy widziałyśmy z daleka poruszającą się osobę w bieli. W naszej sali stał fortepian i zdarzało się w nocy, że struny same grały – żadna dziewczynka nie była dość odważna, żeby wstać i sprawdzić dlaczego. Przysięgałam, że nigdy więcej nie położę się spać w tym pokoju, ale co miałam robić?

Tyle uciechy przeżywałyśmy razem! Kiedy światła musiały być już zgaszone, ściągałyśmy z łóżek materace na podłogę i siadałyśmy wkoło, rozmawiając, śmiejąc się i marząc o swej przyszłości. Przyrzekałyśmy zawsze pamiętać o sobie. Na jakikolwiek odgłos, gdy ktoś krzyknął – siostra idzie! – dźwigałyśmy materace z powrotem i słały łóżka w pośpiechu.

W roku 1958 bursę zamknięto i zamieszkałam z mamą. Często przenosiłyśmy się wraz z jej pracodawcą. Nie zgadzałyśmy się z mamą, która nie mogła zrozumieć mej buntowniczości. Mówiąc szczerze, ja siebie też nie rozumiałam. Opuściłam dom i zamieszkałam w Christchurch. Następnie przeniosłam się do Dunedin, potem do Ocean Beach w Invercargill i znowu do Dunedin. Nareszcie postanowiłam wrócić do domu. Miałam wsiąść na prom *Wahine*, ale spóźniłam się na pociąg. W szalejącej burzy prom utonął przy wejściu do zatoki w Wellingtonie i 51 ludzi utonęło.

W końcu wróciłam do mamy i wyszłam za męża, ale małżeństwo rozpadło się. Z czasem ustatkowałam się, jak pokazują ostatnie 34 lata, kiedy to, aż do emerytury pracowałam dla jednej tylko firmy, Amco Cartons w Lower Hutt. Mam dobrego partnera i życie płynie mi spokojnie i szczęśliwie.

Ten gościnny kraj

Irena Coates (Ogonowska)

Gdy przybyliśmy do Obozu Polskich Dzieci w Pahiatua, ujrzelśmy wszędzie rzędy szarych, wojskowych baraków. Przywykliśmy już do obozów, ale ten był zgoła inny. Panowała tu cudowna świeżość – zielone trawniki, trochę drzew i jakieś szczególne poczucie szczęścia. Może powiem inaczej – nie było tu grozy ni strachu. Na każdym kroku krzatali się nowozelandzcy żołnierze, uśmiechnięci i życzliwie spoglądający. Byli oni inni od tych strasznych ludzi, którzy dotąd mieli tak duży wpływ na moje życie.

Niedługo po przyjeździe podano nam pierwszy w Nowej Zelandii posiłek. Jakby cudem wszystkie 733 dzieci zdołano pomieścić w kilku salach jadalnych. Każde dziecko otrzymało talerz i ustawiło się w kolejce przed otwartą ladą z barwnymi i smaczными potrawami. Byłam oszołomiona taką ilością jedzenia, bo do niedawna pamiętałam nieustający głód i ciągłe poszukiwanie żywności. Odruchowo chciałam ukryć jedzenie na potem, bo myślałam, że może nie być tego więcej po tak wspaniałym początku. Ale krążyła wśród nas nasza polska nauczycielka i zachęcała do jedzenia, zapewniając nas, że jutro będzie go pod dostatkiem.

Gdy powoli przyzwyczajaliśmy się do obozowego życia i wciąż cieszyliśmy się, że otrzymujemy trzy posiłki dziennie. Przy każdym posiłku myślałam, jakim wielkim skarbem obdarzył mnie miłosierny Bóg. Obóz w Pahiatua stał się dla mnie przystanią życzliwości, spokoju i dobrodziejstwa. Dostawałam codzienne pożywienie, spałam na pięknym, czystym łóżku i mogłam się wykapać pod prysznicem.

Teraz moje życie różniło się pod innymi względami. Regularne spożywanie posiłków spowodowało zmiany w moim ciele. Chciałam biegać i skakać z moimi przyjaciółkami, bawiliśmy się w różne gry i zaczęłyśmy się śmiać. Nie przypominam sobie, żebym się dawniej śmiała. Przepełniała mnie radość życia. Pięknie było istnieć i doświadczać. Po prostu warto było żyć.

W obozie było wiele miejsca do zabawy. Bawiliśmy się w chowanego, po deszczu skakaliśmy przez wielkie bajory, hasaliśmy w pobliskiej rzece. Gdy przypominam sobie, ile wysiłku i planowania włożyły władze nowozelandzkie, żeby nas przywitać, zakwaterować i polepszyć nasz stan zdrowia, to jestem im niezmiernie wdzięczna za nowe życie w tym kraju. W Pahiatua poznałam piękno tego kraju, pełnego zieleni. Życie w Nowej Zelandii było dla mnie czymś magicznym i podniecającym, czego przedtem nigdy nie doznałam.

Pewnego dnia jedna z nauczycielek zawołała mnie, by powiedzieć, że mam wyjechać do szkoły nowozelandzkiej, bo nauczyłam się już trochę języka angielskiego i mogę się uczyć tak, jak tutejsze dzieci. Byłam tym podniecona, bo lubiłam uczyć się języka angielskiego.

Wraz z czterema dziewczynkami wysłano mnie do dziewczęcego internatu w Timaru, na Wyspie Południowej. Weszliśmy w grono około stu uczennic, w nowe i całkiem dla nas niezrozumiałe otoczenie. Panował tutaj rygor i dyscyplina, dzwonki wzywały nas do klas, do modlitwy w kaplicy i na wspólne posiłki w jadalni.

Nie przeszkadzało mi, że przy wszystkich tych czynnościach obowiązywała cisza, bo i tak nie umiałam mówić dobrze po angielsku. Internat był dobrym miejscem dla chcących się uczyć. Lubiałam naukę angielskiego i francuskiego. Francuski był dla mnie łatwiejszy, bo znałam podstawy tego języka jeszcze z lekcji w Iranie. Ale od nauki angielskiego dostawałam bólu głowy – ciągle zmiany gramatycznych reguł, ledwie nauczyłam się jednej, zaraz pojawiały się wyjątki od reguły. Był to trudny, ale piękny język.

Powoli zaprzyjaźniłyśmy się z tutejszymi dziewczynkami, które często zapraszały nas na wakacje do swych rodzin. Były to świetne okazje do zapoznania się z serdecznymi i współczującymi Nowozelandczykami, którzy przyjmowali nas do swoich domów jak własne dzieci. Często sprawiali nam nowe ubranie, obuwie i zabierali na wycieczki, tak jak swoich. Dzięki spotkaniom z tutejszymi rodzinami poznaliśmy ludzką dobroć i zyskaliśmy trwałych przyjaciół.

Po czterech latach pobytu w internacie zdałam egzaminy i znów nastąpiły zmiany w moim życiu. Zostałam przyjęta do szkoły nauczycielskiej w Christchurch. Miałam zostać nauczycielką w podstawówce. Było to ciekawe doświadczenie. Byłam jedną z 300 studentów i spotkałam wielu przyjaznych, młodych ludzi. Życie było pełne przygód. Uczyliśmy się wielu przedmiotów i obserwowaliśmy dzieci podczas lekcji. To było podniecające i stało się początkiem moich trwałych zainteresowań.

Po ukończeniu studiów uczyłam w wielu szkołach. Byłam zachwycona moją pierwszą, stałą posadą. Uczyłam w szkole dla Maorysów w Gisborne. Każdego dnia matki przychodziły do tej szkoły wraz z dziećmi i brały udział w lekcjach. Dopiero później dowiedziałam się, że te matki były analfabetkami i w ten sposób uczyły się razem z dziećmi.

Na początku mojej kariery wyszłam za mąż za dziennikarza Nowozelandczyka. Wychowaliśmy czworo dzieci. Żałuję, że nie nauczyłam ich języka polskiego. Starałam się, ale nie mogłam ich zachęcić do języka, który nie jest używany w tym kraju. Otoczenie nie było chętne do zapoznania się z obcymi językami. Moje dzieci osiągnęły zawodowe stanowiska – w prawie,

zarządzaniu i w sztukach pięknych. Później często żałowały, że nie znają mowy ojczystej swojej matki.

W 1979 roku wysłano mego męża do Londynu, jako przedstawiciela czterech głównych dzienników nowozelandzkich. Pojechałam z nim i uczyłam w szkołach, w centrum miasta. Skorzystałam z tego, że byłam teraz bliżej Polski. Odwiedziłam powojenną Polskę po raz pierwszy. Byłam mocno wzruszona i szczęśliwa, słysząc wszędzie mój ojczysty język. Poczułam, jak bardzo jestem odosobniona, żyjąc daleko od ojczyzny. Zrozumiałam wówczas, że moje korzenie kulturowe pochodzą z Europy.

Miałam okazję studiować na Uniwersytecie Londyńskim. Interesuje mnie obserwacja uczących się ludzi. Otrzymałam dyplom nauczycielski za pracę z dziećmi niezdolnymi, szczególnie z tymi, które mają kłopoty z wymową. Potem zainteresowałam się uczeniem obcokrajowców języka angielskiego. Uczyłam tego języka przez dwa lata w Chinach. Obecnie uczę angielskiego na Uniwersytecie Canterbury w Nowej Zelandii.

Moje doświadczenie z lat dziecinnych, praca nauczycielska i dalsze studia pomogły mi w zrozumieniu potrzeb studentów z obcych krajów.

Często rozmyślam nad swoim życiem – nad utratą rodziny, domu i ojczyzny



Irena Coates (Ogonowska) z grupą uczennic języka angielskiego na Uniwersytecie Canterbury, Nowa Zelandia

podczas II wojny światowej, nad naszym przybyciem do Nowej Zelandii jako zastraszonych sierot wojennych. Rozmyślałam też, jakie miałam szczęście, że znalazłam się w tak gościnnym kraju. Jestem wdzięczna i pełna szacunku dla rządu tego kraju za jego humanitarny gest, jakim było przyjęcie nas do siebie. Dziękuję za opiekę, wyżywienie, wykształcenie i szansę na zbudowanie nowego życia.

Życie w Nowej Zelandii nie zawsze było łatwe, zwłaszcza w latach, gdy bez pomocy i rady własnych rodziców, zakładaliśmy rodziny. Często marzyłam o matczynym pocieszeniu, o jej radach, zachętach i dzieleniu się z nią radością mojej rodziny. Poniesione przez nas trudy zahartowały nas. Nowa Zelandia rozwija się jako społeczeństwo tolerancyjne. Dużo otrzymaliśmy od tego kraju, ale i dużo daliśmy mu w zamian. Nasze korzenie tkwią teraz w dwóch krajach, w Polsce i Nowej Zelandii.

Co dobre i co złe

Janina Duynhoven (Kornobis)

Moje cztery siostry, Helena, Zosia, Marysia, Fredzia i ja przyjechałyśmy do Nowej Zelandii, a nasz ojciec w tym czasie służył w Wojsku Polskim na Uchodźstwie. Miałam ukończone 20 lat, więc w Obozie Polskich Dzieci w Pahiatua przeznaczono mnie do pielęgnowania chorych dzieci w szpitaliku. W Rosji widziałam konających i to pomogło mi wytrzymać wstrząs, gdy zmarł przy mnie jeden chłopak.

Byłam jedną z dziewcząt, które już w 1945 roku wysłano do pracy wśród Nowozelandczyków. Nie wiedziałyśmy, dokąd jedziemy i lękałyśmy się pracy pomiędzy obcymi. Gdy pociąg ruszył, pomimo że nie raz w życiu wyruszałyśmy w nieznane, czułyśmy się jakoś inaczej. Było nas tylko cztery, a reszta, między nimi moje siostry, została w obozie. Rozpłakałam się. Przeznaczono nas do pracy w szpitalu „Lewisham” w Wellingtonie. Później ten szpital nazwano „Calvary”, a teraz nazywa się „Wakefield”.

W pracy miałam trudności ze zrozumieniem instrukcji. Kiedyś poproszono mnie o podanie szklanki mleka pacjentowi w łóżku nr 9, może w pokoju nr 10 – a może na odwrót? W każdym razie podałam mleko pacjentowi, który tego popołudnia miał być operowany i z tego powodu operację odłożono. Siostra przełożona wzięła winę na siebie, powiedziała, że to mogła być jej pomyłka.

Mieszkałyśmy w małym pokoiku, tuż koło kuchni, ale wkrótce przeniesiono nas do małego domku w pobliżu szpitala. Mogłyśmy swobodnie rozmawiać po polsku i śpiewać polskie piosenki. Pozwalano nam wyjść do kina wieczorami, z zastrzeżeniem, że mamy wrócić na oznaczony czas. Poczuliśmy swobodę. Na pierwszą wypłatę dostałam 1 funt i 4 szylingi. Szanowałyśmy zarobione pieniądze. Na przykład, gdy jedna z nas potrzebowała butów, składałyśmy razem zaoszczędzone szylingi i koleżanka je kupowała. Potem każda po kolei kupowała z pieniędzy nagromadzonych z naszych wspólnych wypłat.

Coraz lepiej poznawałam język angielski i polubiłam swą pracę. Gdy premier Nowej Zelandii, Peter Fraser, leżał u nas w szpitalu, przypadł mi zaszczyt usługiwania mu. W dniu, w którym opuszczał szpital, odebrałam tacę jak każdego dnia i zaniósłam do kuchni. Patrząc na tacę leży koperta, więc szybko ją odniosłam. Uśmiechnął się do mnie i powiedział „– to dla was polskich dziewczynek”. W kopercie znalazłyśmy 10 funtów, a za takie pieniądze, w tych czasach, można było wiele kupić.

W pracy poznałam mego przyszłego męża, Biesiaka. Pochodził on z rodziny polskich osiedleńców z drugiej połowy XIX wieku, ale był kompletnie wynarodowiony. Pobraliśmy się w 1946 roku i zamieszkaliśmy w Inglewood, w prowincji Taranaki. Za wcześniej poszłam sama między obcych. Na domiar złego w 1949 roku moje cztery siostry opuściły Nową Zelandię, ażeby połączyć się z tatusem we Francji.

W tych latach nie wszyscy Nowozelandczycy byli tolerancyjni. W szwalni pracowałam z jedną Polką i przy herbacie rozmawiałyśmy ze sobą w naszym ojczystym języku. Kierownik zawołał mnie do swego biura i zabronił nam mówienia po polsku, ponieważ Nowozelandki podejrzewają, że je obmawiamy. W bezsilnej złości nadałyśmy naszym współpracownikom przydomki, takie jak: „krowa”, „dzwon”. Mąż też zabronił mi rozmawiania z koleżanką po polsku w naszym domu. Powiedział mi: „to jest angielski kraj i ty mów po angielsku”.

Urodziło się nam czworo dzieci i wszystko się polepszyło. Z czasem odwiedziłam swoją rodzinę we Francji i w Ameryce. Sześćdziesiąt lat minęło od mojego przyjazdu do Nowej Zelandii, ukończyłam 80 lat i żyję spokojnie – wdzięczna za me życie – za wspomnienia dobre i złe, za miłe i smutne.



Z małą pacjentką przed szpitalem w Obozie Polskich Dzieci.

Od lewej: Stefania Jasionowicz, siostra Johnson, Janina Duynhoven (Kornobis), siostra Leaming

Obcy wśród swoich

Henryk Dziura

10 lutego 1940 roku zostałem wraz z cicią Zofią i wieloma innymi Polakami zesłany na daleki Sybir, hen za Barnauł, około 150 km na północny wschód. Zostaliśmy zakwaterowani w barakach, po kilka rodzin, pośród niekończącej się tajgi, silnych mrozów i głębokich śniegów. Aby wyżyć, ciocia ciężko pracowała w lesie i w tartaku.

Potem drogą tułaczą dostaliśmy się na południe do Kirgizji. Tam, wycieńczeni, schorowani malarią i dyzenterią, bez środków do życia, czekaliśmy na najgorsze. Dzięki opatrności Bożej i tworzącemu się tam Wojsku Polskiemu na Uchodźstwie zostaliśmy przygarnięci do jednostki, gdzie byliśmy intensywnie leczeni. Dostaliśmy się do Krasnowodzka, nad Morzem Kaspijskim. Wraz z wojskiem, w drugiej połowie sierpnia 1942 roku, zostaliśmy załadowani na okręt i morzem przetransportowani do Pahlewi w Iranie. Na wybrzeżu rozdzielono nas: wojsko na front, ciocia do Afryki, a ja wraz z innymi dziećmi do Isfahanu.

Jesienią 1944 roku przewieziono nas do Nowej Zelandii, do obozu w Pahiatua, gdzie mieliśmy zapewnione bardzo dobre warunki bytu dzięki Rządowi Nowej Zelandii i Rządowi Polskiemu na Uchodźstwie oraz wspaniętym opiekunom i nauczycielom.

W takim środowisku został ukształtowany mój charakter, tam zdobyłem naukę do poziomu V klasy. Wychowanie religijne zawdzięczam naszemu księdzu z tamtych czasów, Michałowi Wilniewiczowi. Pamiętam swobodę, jakiej tam doznawaliśmy. Dzięki temu prawie całkowicie udało się mnie i zapewne wielu innym nadrobić utracone dzieciństwo. Długo by można pisać o naszym obozie w Pahiatua, o trosce naszych wychowawców i o mojej wdzięczności za tamte lata.

Mama Michalina zmarła w 1939 roku na Ukrainie w miejscowości Krzywe, koło Barszczowa. Mój ojciec Stefan został powołany do wojska w 1939 roku. Przeszedł front i niewolę. Po zakończeniu działań wojennych ponownie osiedlił się w rodzinnej miejscowości, we wsi Zarogów koło Miechowa, niedaleko Krakowa. W drodze poszukiwań odnalazł mnie w Pahiatua i dzięki usilnej pomocy w załatwianiu spraw przez rodzinę Manterys (moich krewnych w obozie) zostałem pieczołowicie przygotowany do dalekiej powrotnej podróży do Polski. Wraz z kilkoma innymi dziećmi, 17 kwietnia 1948 roku, zostałem zaokrętowany na statek *Rangitata*.

Z Londynu statkiem *Stefan Batory* dotarłem 31 maja do Gdyni, a potem z panią Sygierycz jechałem pociągiem do Krakowa. Tam przywitałem się z ojcem i pojechaliliśmy w nasze strony rodzinne, do Miechowa. Do wsi Zarogów przyjechaliliśmy wozem konnym. Była akurat pora deszczowa. Koła grzęzły po błotnistej drodze, przechylając się z boku na bok. Myślałem, że się utopimy w tym błocku. Po godzinie takiej jazdy dotarliśmy do domu, gdzie zostałem przywitany przez drugą mamę, gdyż ojciec ożenił się drugi raz i przez małą siostrzyczkę Basię, urodzoną z tego małżeństwa.

Potem przez wiele dni i tygodni przychodzili okoliczni mieszkańcy, aby mnie oglądać, jaki jestem, jak wyglądam. Kazali mi mówić i śpiewać po angielsku. Jedni przyjmowali to z podziwem, inni ze mnie żartowali – byłem obcy wśród swoich. Nie reagowałem na to i tak po pewnym czasie wtopiłem się w środowisko, choć moje zachowanie bardzo się różniło od otoczenia.

We wrześniu 1948 roku zostałem zapisany do pobliskiej szkoły, do klasy IV, choć miałem zaświadczenie z Nowej Zelandii, że uczęszczałem już do V klasy. Nauczycielka, po sprawdzeniu moich wiadomości, już po dwóch tygodniach przeniosła mnie do V klasy. W szkole były dwie nauczycielki. Budynek szkoły był stary, o dwóch izbach, ogrzewanych piecami węglowymi, tak, że zimą panował tu ziąb.

W przeludnionych wsiach ludziom żyło się skromnie i ciężko. Nie było elektryczności, dachy kryte słomą. Drogi były gruntowe i nieutwardzone. Latem na drogach unosił się kurz, jesienią i wiosną po deszczu tworzyło się błoto, czasem nie do przebycia, zimą zmarznięta gruda, a zasypany śnieżne odcinały wieś od miasta. Rolnictwo oparte było na ręcznych, mozolnych i ciężkich pracach.

Orano koniem i pługiem, a zboża młócono cepami. Nie było wodociągów ani kanalizacji, wodę czerpano z głębokich studni. Ludność jednak żyła spokojnie, zachowując tradycje powstałe od lat. Potem nastąpił wielki wyjazd ludzi, głównie młodzieży do miast Zagłębia, gdyż było łatwiej o lżejszą pracę i względną płacę. Wieś zaczęła się wyludniać.

W szkole zdobywałem wiadomości pomału, ale skutecznie i coraz bardziej wnikałem w środowisko. Jednak nie miałem zbyt wielu kolegów. Nauczyłem się bardzo ciężko pracować na roli. Ojciec nie posiadał gospodarki, ale pobliscy gospodarze bardzo chętnie brali mnie do różnych prac. Pieniądzy z tej pracy nie było żadnych, gdyż wiązało się to z odpracowaniem za inne usługi. Potem ojciec zagospodarował skrawki ugorów, które nie były wykorzystywane przez nikogo. Wyburzyliśmy stare stajnie i chlewy, będące niegdyś w posiadaniu dziedzica. Należało wyciąć kilkadziesiąt wyrosniętych drzew owocowych i zasypać doły po stawach. Wreszcie można było zasiać trochę zboża i zasadzić ziemniaki dla wyżywienia siebie lub do sprzedania,

by móc kupić inne, potrzebne rzeczy. Przybyło mi pracy i obowiązków, bo rodzina się powiększyła.

Z drugiego małżeństwa urodziły się cztery siostry, byłem dla nich nie tylko starszym bratem, ale zarazem wychowawcą i opiekunem. Miałem mniej czasu na naukę i nie bez trudu ukończyłem siedem klas szkoły podstawowej, co było podstawą do obrania sobie zawodu.

W 1951 roku, mając 14 lat, marzyłem, by zostać marynarzem, więc złożyłem podanie do szkoły morskiej w Gdyni. Ówczesne władze Polski Ludowej uznawały pobyt za granicą, zwłaszcza w kraju kapitalistycznym, za rodzaj przestępstwa i moje podanie odrzucono. Złożyłem podanie do technikum budowlanego w Krakowie. Tym razem w życiorysie napisałem, że nieznanymi mi drogami dostałem się do Nowej Zelandii, nie podając już, że byłem zesłany na Sybir, żeby nie obrażać władzy komunistycznej. Miałem obowiązek milczenia o zsyłce, aby nie siać wrogiej propagandy. Zostałem przyjęty, ale po roku opuściłem szkołę z braku środków finansowych. Nie mogąc dostać żadnej pracy, wróciłem na wieś i pomagałem ojcu na roli, żyjąc i pracując dla rodziny.

W tym czasie byłem świadkiem wielu przemian. Nastąpiła szybka elektryfikacja domostw i budynków gospodarczych. Uroczyście podłączono zasilanie i we wsi rozbłysło światło, zrobiło się inaczej. Podłączono też do domostw radiowęzeł, tzw. skrzynki gadające lub kołchoźniki, przez które nadawano od rana do wieczora program Polskiego Radia. Przy udziale wszystkich rolników przystąpiono do budowy utwardzonej drogi, prowadzącej przez wieś. Rolnicy ładowali łopatami ziemię na wozy, przewozili ją i wyrównywali trasę. Całość utwardzono tłuczkiem, a na koszt gminy został wylany asfalt. Zginął koszmar błotnistej drogi w deszczowe dni, przez co wieś zbliżyła się do miasta.

Gospodarze rozpoczęli remonty swoich domostw, a niektórzy budowę nowych. Następnym etapem rozwoju było uruchomienie linii autobusowej, łączącej wieś z miastem. Ludność początkowo nie dowierzała, że ktoś będzie nimi jeździł. Wkrótce okazało się, że komunikacja była dla wsi bardzo potrzebna, a częstotliwość kursowania autobusów zwiększyła się do 14 przejazdów na dobę. Postępowała też mechanizacja prac rolnych, ułatwiając życie rolnikom. Konie przestały być jedyną siłą pociągową i ich liczebność malała. Ludność wiejska zaczęła stopniowo kupować sprzęt, ułatwiający życie i prace domowe, tj.: lodówki, pralki, radia i następnie telewizory. Mocno zmniejszyła się różnica bytu między miastem a wsią. Całość zmian ukoronowana została przez doprowadzenie do budynków wody ze studni głębinowej.

Wiosną 1953 roku zostałem powołany do przymusowej i bezpłatnej

tw. Służby Polsce, gdzie młodzież pracowała w czynie społecznym przy odbudowie Polski. W tym czasie na kursie zdobyłem prawo jazdy. Po roku czyn rozwiązano. Wyemigrowałem na stałe ze wsi i podjąłem pierwszą pracę zarobkową w Będzinie jako pomocnik kierowcy, potem jako kierowca. Z uwagi na słabe zarobki przenieśliśmy się do pracy w Sosnowcu, gdzie pracowałem przy ręcznym rozładunku i załadunku wagonów, dla potrzeb hutniczych.

Jesienią 1956 roku, mając 20 lat, ożeniłem się i zamieszkałem u żony, w małym mieszkanku. Aby uniknąć służby wojskowej, zacząłem pracę w kopalni, przy bezpośrednim urobku węgla pod ziemią, gdzie ładowałem węgiel na taśmociąg. Praca była ciężka i niebezpieczna, ale dobrze mi się pracowało. Po trzech latach powróciłem do pracy na kolei. Urodziło się nam dwóch synów: Mieczysław i Andrzej.

Pracując i zdobywając doświadczenie, awansowałem na magazyniera, potem na kierownika magazynu. Moja płaca prawdę mówiąc zmalała tak, że trudno było wyżyć we czwórkę. Aby poprawić sytuację materialną, wiosną 1971 roku przenieśliśmy się do Mysłowic, gdzie pracowałem jako kierownik magazynu w hucie. Uczęszczając wieczorem do szkoły, zdobyłem tak bardzo brakujące mi średnie wykształcenie. W 1992 roku przeszedłem na emeryturę.

Jest to skrócony opis osiągnięć mojego życia, wynikających głównie z pracy, pracy i jeszcze raz pracy, czasem bardzo ciężkiej, nawet ponad siły. Nie miałem czasu na jakieś wyżycie się kawalerskie. Sam dorabiałem się ciężko wszystkiego, zaczynając od absolutnego zera. Podkreślę, że my, wszystkie dzieci z Pahiatua, tak samo dorabialiśmy się z ciężkim trudem i wyrzeczeniem, i mamy z tego wielką satysfakcję.



Henryk Dziura
(w berecie) w obozie
w Pahiatua, tuż przed
powrotem do Polski

Z wdzięczności dla kraju

Wanda Ellis (Pelc)

Po śmierci mojej młodszej siostry Izabeli i ojca Stanisława w Turkmenistanie w ZSRR moja matka Stanisława została sama z trójką dzieci, bez żadnych środków do życia. Musiała dokonać wyboru – albo zostawić mnie i mojego brata ze sobą na pewną śmierć, albo oddać nas do sierocińca z nadzieją, że przeżyjemy. W listopadzie 1942 roku wysłała nas do domu dziecka w Aszchabadzie, Turkmenistan. Moja starsza siostra została, by się nią opiekować.

Na zawsze pozostanę wdzięczna mamie za decyzję, którą wtedy podjęła. Dziękuję również Bogu za cudownych opiekunów w Aszchabadzie, Iranie i Obozie Polskich Dzieci w Pahiatua za troskę i miłość, jaką nas obdarzali. Pomogli mnie i mojemu bratu Czesławowi rozpocząć nowe życie w pięknej Nowej Zelandii, mojej nowej ojczyźnie.

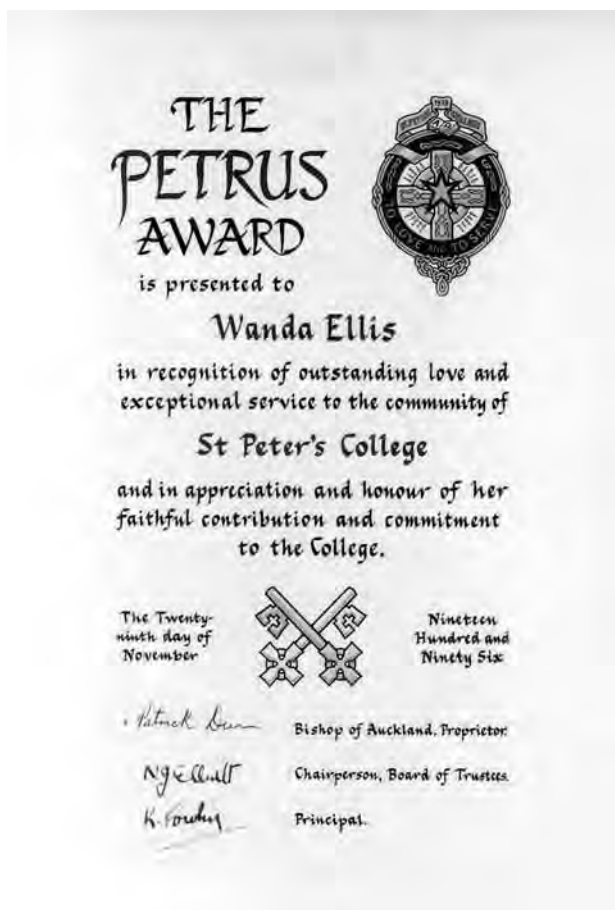
Obóz był moim pierwszym domem od czasu naszej deportacji na Syberię. Jak odpłaciłam się mojemu nowemu krajowi i jego mieszkańcom? Uczyłam się pilnie; najpierw w żeńskim gimnazjum Baradene w Auckland, a później w Kolegium Biznesu. Ukończyłam je z dobrymi ocenami i zostałam sekretarką, zatrudnioną w dwóch znanych przedsiębiorstwach w Auckland.

Niedługo później poślubiłam Franka Powera, Nowozelandczyka polskiego pochodzenia. W 1954 roku przeprowadziliśmy się do USA. Frank uczył tam w jednej ze szkół. W czasie mojego tam pobytu wygłosiłam wiele wykładów o życiu w Nowej Zelandii oraz o Polsce i przeżyciach Polaków podczas II wojny światowej. Po powrocie do Nowej Zelandii podjęliśmy wraz z mężem decyzję o adoptowaniu dziecka. W sumie adoptowaliśmy ich aż czworo. Niestety jedno zmarło w dziecięcym wieku. Daliśmy im dobry dom, miłość i wykształcenie.

Po śmierci męża musiałam sama sprostać zadaniu wychowania moich trojga małych Nowozelandczyków. Gdy trochę podrośli, wróciłam do pracy. Zatrudniłam się jako sekretarka w męskim gimnazjum św. Piotra w Auckland, gdzie, służąc krajowi i społeczeństwu, przepracowałam 20 lat. Oprócz głównej funkcji pełniłam też stanowisko pielęgniarki, „matki” dla chłopców w szkole oraz pomocy dla kadry nauczycielskiej. Należałam także do różnych miejscowych organizacji katolickich.

Przez ponad 50 lat służyłam społeczeństwu polskiemu w Auckland. Niedawno zaczęłam uczyć angielskiego nowo przybyłych imigrantów z

Polski, pomagając im tym samym zaaklimatyzować się w Nowej Zelandii. Każde z moich dzieci dużo osiągnęło i ma dobrą posadę w szkolnictwie lub handlu. Mam również czworo pasierbów, 12 wnucząt i troje prawnuków, z którymi jestem bardzo zżyta. Zastanawiam się, czy aby na pewno zrobiłam wszystko, by podziękować Nowozelandczykom i ich wspniałemu krajowi, który nazywam teraz moim domem. Zawsze w modlitwach będę dziękować Bogu za wszystkie cudowne łaski, jakimi mnie obdarzył.



Wanda Ellis (Pelc) otrzymała odznaczenie w 1996 roku za wieloletnią pracę społeczną w gimnazjum św. Piotra w Auckland

Nowa Zelandia – mój dom

Ryszard Gołębiewski

Pierwsze, co pamiętam z dzieciństwa, to kompleks budynków z wysokimi murami, w jednym z letnich pałaców szacha, władcy Iranu. Życie tam było beztroskie; jedzenia mieliśmy pod dostatkiem, łącznie z winogronami i granatami. Zderzeniem z rzeczywistością był widok głodnych ludzi błagających o jedzenie pod bramami budynku. Wyciągałem z kuchni parę kromek chleba i dawałem je żebrakom. Niektórzy dawali mi w zamian okrągłe kulki, które wybuchały, gdy rzucałem nimi o ścianę. Świetna zabawa. Wszystkiego zaprzestałem, gdy któregoś dnia znalazłem zaprzyjaźnionego psa (chyba owczarka alzackiego) z podciętym gardłem. Było to dla mnie tak silne przeżycie, że odtąd przestałem podchodzić pod bramę. Wtedy to po raz pierwszy w życiu zetknąłem się z ludzkim okrucieństwem (wcześniejszych nie pamiętam).

W Nowej Zelandii przywitały nas tłumy ludzi. Rozdawali małe prezenty. Gdy prowadzono nas do pociągu, ktoś z tłumu włożył mi do ręki cukierek. Z tego, co pamiętam, wyglądał jak mały herbatnik, ale miał inny kolor i smakował niebiańsko. Był to mój pierwszy cukierek w życiu.

Po pobycie w Iranie trudno mi było uwierzyć, że obcy ludzie mogą być tak mili. Myślę, że to przywróciło moją wiarę w ludzi. Zostaliśmy umieszczeni w Obozie Polskich Dzieci w Pahiatua, który dla mnie, małego dziecka, był rajem. Sami robiliśmy sobie zabawki, a teren wokół był wprost bajeczny – rzeka, dziewiczy busz oraz okoliczne farmy, na które robiliśmy wypad po rzepę, za co przepędzał nas gospodarz.

Wakacje szkolne spędzaliśmy w domach rodzin nowozelandzkich. Mnie wysłano na farmę. Zwierzęta, sady, specyficzny zapach wsi – to wszystko wywarło na mnie niesamowite wrażenie. Rolnik okazał się bardzo miłym człowiekiem. Zabrał mnie i Jana Lepionkę samochodem do miasta i kupił nam lody w tubkach. Było to tak cudowne miejsce, że czułem się jak w niebie. Do dziś, gdy stresy codziennego dnia za bardzo dają mi się we znaki, wracam myślami do tamtej farmy i to pomaga mi przetrwać trudne chwile.

Po II wojnie światowej mój ojciec (były żołnierz Wojska Polskiego na Uchodźstwie) odnalazł mnie przez Czerwony Krzyż. W 1947 roku, jako jeden z grupy byłych żołnierzy polskich szukających swych dzieci, przybył do Pahiatua. Dano mu trzy dni na dopełnienie wszelkich formalności, by zabrać mnie z obozu. Gdy się o tym dowiedziałem, wybuchnąłem płaczem

i oznajmiłem, że nigdzie nie jadę. Nie byłem gotowy do rozstania się z przyjaciółmi, którzy byli dla mnie jak rodzina. Nie zdawałem sobie wtedy sprawy, że tata nie miał się gdzie zatrzymać. Nie miał też pracy, by móc mnie utrzymać. Mieszkał wówczas w tymczasowych barakach na terenie Newtown w Wellingtonie. W jakiś sposób udało mu się umieścić mnie w szkole z internatem św. Tomasza w Lower Hutt, prowadzonej przez zakonnice. Było tam też małe gospodarstwo.

Na początku było mi bardzo ciężko, bo słabo znałem angielski. Jednak po kilku miesiącach mogłem porozumieć się z dziećmi ze szkoły. To zdumiewające, jak szybko można się nauczyć, będąc postawionym w krytycznej sytuacji.

Lubiłem tę szkołę, z wyjątkiem jedzenia. Na śniadanie i obiad dostawaliśmy chleb z masłem i herbatę. Na kolację tłuczone ziemniaki i flaki. Nienawidziłem zapachu i smaku flaków. Zakonnice na wszelkie możliwe sposoby próbowały mnie do nich przekonać. Jednak, gdy tylko odwracały się do mnie plecami, wyrzucałem je przez okno.

Aby uzupełnić moje braki w jedzeniu, zgłosiłem się do pomocy w kurniku. Zabierano resztki jedzenia z kuchni do kurnika, gdzie mieszano je z tłuczonymi ziemniakami. Zbierałem też jajka i sprzątałem kurze odchody. W nagrodę, pod koniec tygodnia dostawałem gotowane jajko. Wkrótce przekonałem się, że tłuczone ziemniaki nie są takie złe. Wraz z jadalnymi roślinami, typu liście i kwiaty nasturcji, stały się częścią mojej diety. Po usunięciu zewnętrznej warstwy ostu szkockiego, dociera się do białego mięszu wielkości dużej monety. Był to niewielki, ale smaczny posiłek. Odkryłem również dziką jabłoń i choć jej owoce były cierpkie, to jednak o niebo lepsze od flaków.

Zimą zgłosiłem się do karmienia krów i układania siana. Rolnik mieszał melasę z gorącą wodą i moczył nią siano, aby krowy dawały więcej mleka. Melasa to był dla mnie rarytas! Zakonnice nie głodziły nas – minęło zaledwie kilka lat od wojny i większość żywności była jeszcze na kartki.

Tata dostał pracę w fabryce obuwia Hannah i odwiedzał mnie regularnie w dni wolne od pracy. Pewnego razu, gdy byłem w drugiej klasie, tata, mimo zapowiedzi, nie zjawił się. Po tygodniu przyjechał i oświadczył, że miał wypadek w pracy i stracił połowę wskazującego palca u prawej ręki.

Otrzymał za to odszkodowanie w wysokości 108 funtów. Pieniądze przeznaczył na zakup domu. Nabył za cenę 850 funtów posiadłość na wzgórzach przedmieścia Seatoun Heights w Wellingtonie. Był to jeden akr ziemi z rudą na środku. Teren ten obejmował granicę drogi Seatoun Heights i ulicy Sinclair w stronę urwiska. Rozciągał się z niego niezwykle i zapierający dech widok na nadbrzeże Seatoun i port Wellington.

Cała posiadłość porośnięta była pnączem. By dostać się do środka, trzeba

było torować sobie drogę, używając sierpa. Sąsiedzi nazywali tę posiadłość domem nawiedzonym przez duchy, co nie było całkiem bezpodstawne. Blaszany dach był prawie cały zniszczony przez rdzę. W dwóch sypialniach nie było podłogi. Reszta podłóg była zbutwiała, wiele okien potłuczonych. Budynek nadawał się do zburzenia. Pieniędzy było mało i jedyne, na co tatę było stać, to na używany materiał, żeby odnowić dom jak najmniejszym kosztem. Wymagało to bardzo ciężkiej i nużącej pracy, ale kawałek po kawałku udało nam się przywrócić to miejsce do życia.

Tata zapisał mnie do szkoły prowadzonej przez zakon Marystów w Miramar. Codziennie, w deszczu lub słońcu, przemierzałem piechotą drogę przez wzgórza. Utrzymywało mnie to w dobrej formie. W wakacje wykonywałem różne roboty, gdy tata był w pracy. Dodatkowo pracowałem w sklepie i rozwoziłem na rowerze artykuły spożywcze. Pozwoliło mi to na zakup nowego roweru, który okazał się przydatny, gdy zacząłem dojeżdżać do miasta, do gimnazjum św. Patryka.

Radość z odnowionego domu zatarła przykre wspomnienia o ciężkiej pracy. Wiosną miejsce to rozkwitało dzikimi frezjami i upajało czystym powietrzem. Po powrocie do domu zapach był taki, że kręciło mi się w głowie. Dziś stwierdzam, że życie było ciężkie, lecz przynosiło radość i zadowolenie. Moje dzieci często narzekały na nudę. Sam nie pamiętam choćby jednego dnia, o którym mógłbym powiedzieć, że się nudziłem. W tamtych „starych złych czasach” miałem tylko kilka rzeczy należących wyłącznie do mnie, a jednak byłem szczęśliwy. Może to były naprawdę dobre stare czasy?

Podróżowałem po świecie z flotą kupiecką do różnych krajów, w tym trzy razy do Polski. Jednak domem w moim sercu wciąż pozostaje Nowa Zelandia. Do Australii przeprowadziłem się jedynie ze względów zdrowotnych. Zimny, wilgotny klimat Nowej Zelandii źle wpłynął na moje stawy. Przeniósłem się do cieplejszego klimatu w Perth, ale nigdy nie narzekałem na Nową Zelandię i cały czas pozostaje najbliżej mego serca.



W 1947 roku Ryszard Gołębiewski po latach rozłąki z ojcem, który przybył do Nowej Zelandii z grupą byłych żołnierzy Wojska Polskiego na Uchodźstwie, żeby połączyć się z synem

Wakacje u Nowozelandczyków

Emilia Henderson (Sondej)

Kiedy szperałam w skrzynce z pamiątkami, wpadł mi do ręki mój pierwszy pamiętnik. Dostałam go w 1945 roku, w czasie majowych wakacji, spędzonych u rodziny nowozelandzkiej. Do dziś pamiętam podróż z Pahiatua do Inglewood, tę miłą panią i jej dwie, wypatrujące nas dziewczynki.

Z biegiem lat wzrastał mój szacunek dla tej dzielnej kobiety. Myślę, że teraz nie znalazłoby się wielu chętnych, aby zaprosić do swego domu nieznane im dzieci z sierocińca, bez języka angielskiego. Ta pani zaprosiła nas dwie, Władzię Węgrzyn i mnie. Trudno uwierzyć, jak wielu innych Nowozelandczyków postąpiło podobnie i nasz pociąg był pełen polskich dzieci z obozu Pahiatua. Każde dziecko miało przyczepioną karteczkę z nazwiskiem gospodarzy i nazwą stacji.

Mój zasób angielskich słów był bardzo skromny: „dziękuję”, „proszę”, „tak”, „nie”, „dzień dobry” i „dobranoc” oraz parę innych. Znałam też słowa piosenki „*Tyś moje słoneczko*”, chociaż nie rozumiałam większości ich znaczenia. Może Władzia знаła więcej słów, tego dla nas dziwnego języka, ale ani ona, ani ja nie potrafiłyśmy ułożyć pełnego zdania.

Na stacji gospodarze szukali swoich nazwisk na karteczkach. Gdy „nasza pani” odnalazła Władzię i mnie, przywitała nas serdecznie, a my w odpowiedzi uśmiechałyśmy się i skinęłyśmy głowami. Byłyśmy grzeczne, tylko niepewne jak mamy się zachować.

U gospodarzy podano nam herbatę i ciasteczko. Po raz pierwszy piłam herbatę z mlekiem i do dziś mi taka smakuje. Dziewczynki, córki pani domu, nosiły imiona Anne i Sylvia i były mniej więcej w naszym wieku. Starły się zaprzyjaźnić z nami, coś nam opowiadały, pokazywały zdjęcia, wypytywały, ale my, nic nie rozumiejąc, nie odpowiadałyśmy.

Władzia i ja spałyśmy w dużym łóżku, w osobnym pokoju, tylko my dwie! Rano obudziły nas odgłosy kroków. Nikt nam nie kazał wstawać, ale pomyślałyśmy, że to nieładnie dalej leżeć w łóżku, a bardzo zależało nam na tym, żeby dobrze się zachowywać. Poszeptałyśmy ze sobą, wstałyśmy, na palcach poszłyśmy do łazienki, ubrałyśmy się i pościeliłyśmy łóżko. Co dalej? Nie dano nam żadnych wskazówek, nie wyznaczono dyżurów, jak w obozie i czułyśmy się zagubione. Poszeptałyśmy ze sobą, postanawiając nie wychodzić z pokoju, aż ktoś nas zawoła.

Odmówiłyśmy jeszcze pacierz, uporządkowałyśmy pokój i usiadłyśmy na

krawędzi łóżka, szepcząc do siebie cichutko. Może o nas zapomnieli, bo w domu znowu zapadła cisza – pomyślałam. Ale nim zdążyłam podzielić się tą myślą z Władzą, ktoś lekko zapukał i otworzył drzwi. Nasza gospodyni z uśmiechem weszła do pokoju, pozdrawiając nas podnoszącym na duchu „dzień dobry”. Znałyśmy odpowiedź, ale co mamy robić z tacą, którą położyła na łóżku? Na tacy stos grzanek, masło, ser, powidła i czajnik herbaty. Może to dla całej rodziny? Niepotrzebne zmartwienie! Pomimo nieznamości języka, zrozumiałyśmy, gdy tłumaczyła, że to dla nas. A potem co dzień rozkoszowałyśmy się śniadaniem w łóżku.

Po obiedzie Anne zaprowadziła nas do staruszki Polki. Na pewno przyjechała do Nowej Zelandii w połowie XIX wieku, jako dziecko. Wyglądała na schorowaną, ale powiedziała do nas parę słów po polsku. Słuchała uważnie i z zainteresowaniem, co jej o nas opowiadają. W pamięci widzę smutną, zakłopotaną twarz i dwie duże łzy, spływające po tej twarzy. Wówczas pomyślałam, że może wspomina dawne czasy swego dzieciństwa w Polsce. Ja też płakałam, gdy wspominałam Polskę i mój dom, ale płakałam tylko w nocy, gdy było ciemno.

W najbliższą niedzielę na mszy św. spotkałyśmy inne dzieci z obozu. Z ożywieniem rozmawialiśmy ze sobą po polsku i szło nam to bez żadnego wysiłku, nie tak jak po angielsku, gdzie trudno nam było uchwycić sens rozmowy.

Po obiedzie zauważyłyśmy pięknie nakryty stół zastawiony przysmakami, a na samym środku stało ciasto biszkoptowe, nadziewane malinowymi powidłami, bitą śmietaną i oprószane mączką cukrową. Widocznie „nasi państwo” spodziewali się gości. Byłyśmy zbyt wstydliwe, żeby bez zaproszenia zbliżyć się do stołu, a nikt nas nie zapraszał. Zawsze starałyśmy się zachować odpowiednio. Smakołyki kusiły, ale trudno, nam nie powiedziano, że możemy się poczęstować.

W życiu obozowym skrupulatnie wypełniałam rozkazy, ale tu nie było poleceń, co mamy robić i popołudnie wlokło się. Wreszcie goście i państwo pożegnali się i sprzątnięto ze stołu. Gnębiło mnie moje zachowanie i nawet spodziewałam się kary. Gospodyni zaprosiła Władzię i mnie do kuchni, wyjęła z lodówki dwa kawały wyśmienitego, pulchniutkiego ciasta biszkoptowego, jakiego w życiu nie kosztowałam i z uśmiechem zaprosiła do jedzenia. Gdy odjeżdżałyśmy do obozu, dziewczynki dały nam pamiątniki z dedykacją od całej rodziny.

Znaleźli się inni wielkoduszni ludzie, u których bywałam na wakacjach i niezmiernie żałuję, że nie utrzymałam z nimi kontaktu, ale naprawdę nie wiedziałam, jak to zrobić.

Pierwszy rok w gimnazjum był nieudany. Irenę Banach i mnie posłano do

gimnazjum Matki Najświętszej w Wellingtonie. Tam nie wzięto pod uwagę naszej nieznajomości języka angielskiego i wymagano tyle samo, co od reszty klasy, a nasze rozmowy po polsku były źle widziane. Chyba spodziewano się szybszych postępów w języku angielskim, jeśli zaniechamy polskiej mowy. Każda teoria ma swój sens, ale ja traciłam poczucie przynależności do wszystkiego co polskie, traciłam swą tożsamość i poczucie bezpieczeństwa.

Irena mieszkała w internacie, mnie ulokowano w prywatnym domu. Obie czułyśmy się osamotnione i tęskniłyśmy za dobrze nam znanym otoczeniem Obozu Polskich Dzieci w Pahiatua. Wszystko to spowodowało, że ten pierwszy rok poza obozem był ciężki. Następny rok podobnie, a w dodatku Irena już nie była ze mną w klasie.

Okazywano mi dużo życzliwości, ale czułam się obco. Rodzina, u której mieszkałam, wyjechała i znaleziono mi nowe mieszkanie. Jeszcze raz trzeba było dostosować się do otoczenia. Nadal tęskniłam za koleżankami i za obozem. Ażeby to zrozumieć, trzeba wiedzieć, że obóz był dla mnie pierwszym, bezpiecznym domem, od czasu wywózki na Sybir i rozstania się z rodzicami.

Byłam nieszczęśliwa i nie miałam nikogo, do kogo bym mogła się zwrócić. Nie robiłam odpowiednich postępów w nauce, a dobre samopoczucie, z którym wyjechałam z obozu, w czasie tych dwóch lat gdzieś się ulotniło.

Pewnego dnia wywołano mnie z klasy. Cekał na mnie ksiądz, którego nie znałam. Pozdrowiłam go grzecznie i, stojąc na baczność, wystraszona czekałam. Wyglądał na pogodnego i dobroniusznego człowieka – „Jestem ksiądz Joe Leahy” – przedstawił się i wytłumaczył, że objął po księdzu Kavanagh opiekę nad polskimi dziećmi.

Ksiądz dał mi 10 szylingów kieszonkowego na miesiąc. Patrzył na mnie wnikliwie i powiedział „źle wyglądasz, przydałyby ci się wakacje na farmie”. Odpowiedziałam „tak, proszę księdza” i „dziękuję księdzu” i zapomniałam o tym. Za parę dni ksiądz Leahy wrócił do szkoły z powrotnym biletem na pociąg z Wellingtonu do Eltham. Dał mi też dokładne instrukcje, gdzie mam wsiąść do autobusu do Opunake. Wszystko proste, miałam tylko poprosić kierowcę o wysadzenie mnie koło domu brata księdza, pana Patryka Leahy.

Czas minął i pamiętam jak siedziałam w pociągu, kurczowo trzymając woreczek mej własnej, szydełkowej roboty. Moją podniszczoną walizkę, zdałam na bagaż i martwiłam się, że się rozleci, bo jeden zamek był zepsuty. Do Eltham jechało się pięć godzin, ale na niektórych stacjach można było kupić coś do zjedzenia i herbatę.

Herbata była podawana w masywnych kubkach, naznaczonych wyraźnym, pogrubionym drukiem „NZR (Kolej Państwowa)”. Spodeczki podobnie. Naczynie zostawiało się w pociągu do sprzątnięcia przez obsługę kolejową. Nie wychodziłam z pociągu, bo bałam się, że odjedzie, a ja zostanę. Dobrze

pamiętałam rosyjskie pociągi, które zatrzymywały się bez żadnego powodu i ruszały bez ostrzeżenia. Ludzie wówczas zostawali na stacjach i zdarzało się, że rodziny na zawsze się rozłączyły. Teraz jechałam przez okolicę trochę mi znaną i nawet pamiętałam nazwy niektórych stacji, bo wtedy jeździłam na wakacje do Inglewood. Mimo to uważnie śledziłam trasę.

Poznałam Eltham i, jak powiedział mi ksiądz Leahy, znalazłam przystanek autobusowy naprzeciwko stacji. Sympatyczna twarz kierowcy rozjaśniła się, gdy zaczęłam tłumaczyć, dokąd jadę. „Ty jesteś tą polską dziewczynką przysłaną przez księdza Joe”, powiedział.

Ruszyliśmy. Na horyzoncie, po mej prawej stronie była widoczna góra wulkaniczna Egmont (Taranaki). Szczyt góry otaczała chmura, ale dzień był słoneczny. Wokół falujący teren i zieleń, a słońce chyliło się ku zachodowi. Wiedziałam, że podróż autobusem zajmie około godziny, ale nie orientowałam się jak długo jedziemy, bo nie miałam zegarka. Większość pasażerów już wysiadła z autobusu, więc spodziewałam się, że w każdej chwili też trzeba będzie wsiąść.

Byłam oczarowana zielenią terenu i całym widokiem. Zabudowania gospodarskie były tuż koło drogi lub hen, daleko. Wydojone krowy, bez pomocy pasterza, same powoli wracały na pastwisko. Słońce nisko świeciło i przypominałam sobie inny zachód słońca, sprzed laty, z mych lat dziecińczych w Polsce.

Wówczas zachód słońca kojarzył mi się z poczuciem bezpieczeństwa i przynależności. Ale pewnego dnia, w Kazachstanie, w 1942 roku, mama wsadziła brata, siostrę i mnie do pociągu. Razem z innymi dziećmi jechaliśmy do sierocińca i ocalenia. Było to po południu. Pociąg ruszył, załzawiona twarz matki znikła, ale siostra Stefa i ja nie przestawałyśmy szlochać. Starszy brat Leon udawał dzielnego; nie udawało mu się. Stefa, zanosząc się płaczem, błagała o wodę, ale wody nie było i nie wiedzieliśmy, co robić.

To popołudnie stało się okropnie długie i musiałyśmy zasnąć z wycieńczenia, bo potem pamiętam mokrą od łez twarz Stefy, przyciśniętą do okna i zachodzące słońce. To była najokropniejsza chwila mego życia – zrozumiałam, że dla nas matka przestała istnieć.

W następnym wagonie starsi chłopcy śpiewali „O mój rozmarynie” – piosenkę o rozmarynie, o wojnie i o odrzuceniu kochanka. Ile razy słyszę tę piosenkę staje mi przed oczyma ten dzień. Wtedy pociąg mijał jakieś osiedle. Domki ulepione z gliny i sieczki stały tuż koło linii kolejowej. Biło od nich ciepłem i bezpieczeństwem rodzinnym. Kątem oka dostrzegłam taką scenę: do płaczącego chłopczyka przybiegła młoda kobieta, ubrana po kazachsku (z nakryciem głowy sięgającym do ramion), złapała malca w objęcia i przytuliła do siebie. Słońce gasło i zrozumiałam, że dziś nikt mnie nie przytuli.

Myśli me rozproszyła łza na policzku i przywołała mnie do rzeczywistości. Zająłem się terazniejszością – jadę na wakacje na farmę koło małego miasteczka Opunake. Zostałam w autobusie sama i wydało mi się, że kierowca zwalnia. Szybko uporządkowałam myśli i trochę zakłopotana rozglądałam się wokoło.

Autobus zatrzymał się przed jakąś bramą. Wychodząc, spostrzegłam cztery małe twarze zwrócone w moją stronę. Z domu pospiesznie wyszła młoda, szczupła pani mówiąc do dzieci – „Emilia przyjechała!”. Nawet na myśl mi nie przyszło, że od tego dnia rodzina Leahy stanie się częścią mego życia. Poznałam „hurme dzieci”, o której opowiadał ksiądz Leahy. Rozdzieliłam „hurme” na pojedyncze osoby: David, Terrance, Maurice, Margaret i Brian (jeszcze w kołysce). Sześcioletni, a może siedmioletni Terence, upatrzył we mnie dobry materiał na uczennicę i oprowadzał mnie, pokazywał i opowiadał o wszystkim.

Robiło się ciemno, więc nie odchodziliśmy daleko od domu, ale obejrzelśmy kurnik, a następnego dnia obiecano mi pokazać stajnię. Po kolacji dzieci przygotowały dla mnie niespodziankę. Wyszliśmy z domu, tylko ojciec został, by zaopiekować się najmłodszym, śpiącym dzieckiem. Weszliśmy na małe wzgórze i jeden z chłopców krzyknął „patrz Emilia, światła Opunake!” i zobaczyłam światła – było ich niewiele, trochę przyćmione, ale widoczne. Pan Pat Leahy był ubawiony naszą wycieczką i powiedział do mnie „teraz, jak zobaczyłaś światła Opunake, widziałas wszystko”.

Łatwo weszłam w tryb życia rodziny Leahy. Tę rodzinę we wszystkim cechowała prostota i przyjazny nastrój. U nich czułam się swojsko. Dzieci wchłonęły mnie do rodziny i nawet Margaret, przesłiczna, poważna, z kędzierzawą główką dziewczynka, nie odstępowała mnie na krok. Wydawałoby się, że jest przywiązana do mej ręki. Do dziś się przyjaźnimy.

Pani Leahy była zawsze pogodna i miała wystarczająco pewności siebie za nas dwie. Nie chwaliła ani nie karmiła. W czasie tych wakacji nareszcie zrozumiałam, że nie muszę być najlepsza we wszystkim, w tym wypadku w pieczeniu. Pani Leahy nawet nie przyszło na myśl, że ja czegoś nie potrafię – dlatego nauczyłam się piec i rodzina zjadała się moimi wypiekami.

Pewnego dnia upieczone przeze mnie placuszki miały trochę zakalca. Zmartwiłam się, bo wymagałam od siebie wiele. Potrzebne mi były pochwały, może dlatego, że brakowało mi pewności siebie. Pani Leahy popatrzyła na placuszki, powiedziała mi, że wyglądają tak samo jak jej, tylko trzeba nałożyć trochę więcej powideł jeżynowych – ona tak robi.

Pewnego razu, obie z panią Leahy zabrałyśmy dzieci na plażę. Zatrzymaliśmy się w miasteczku, aby zrobić zakupy i pani Leahy przedstawiała mnie wszystkim napotkanym miejscowym ludziom. Wydawało mi się, że z wieloma była spokrewniona. Przedstawiała mnie jako polską dziewczynkę

przysłaną przez księdza Joe. Zauważyłam, że było to dla mnie korzystne. Rzuciło się w oczy, że wszyscy już wszystko o mnie wiedzą. Niektórzy byli spokrewnieni z polskimi osiedleńcami z XIX wieku i byłam im bliska.

Pani Leahy przygotowała w domu kanapki i zjedliśmy je na plaży. Miło było tak siedzieć na piasku w ciepłym słońcu i słuchać jak fale rozbijają się o brzeg i ustępują z szumem, i słyszeć głos pani Leahy w rozmowie z jeszcze jedną przyjaciółką. Pani Leahy skierowała rozmowę do mnie pytając „czy ty naprawdę już musisz wracać do Wellingtonu, Emilio, czy chcesz zostać jeszcze tydzień?” Nie wiedziałam czy wolno mi zadecydować, więc wytłumaczyłam, że mam powrotny bilet i że moi gospodarze spodziewają się mego powrotu. Pani Leahy nie uważała tego za przeszkodę i po powrocie do domu wykonała swój plan.

Pan Leahy załatwił sprawę telefonicznie i zostałam na farmie na jeszcze jeden tydzień. Później ksiądz Leahy przestał opiekować się polskimi dziećmi, ale zaproszenia od państwa Leahy przychodziły. Często ich odwiedzałam. Ukończyłam średnią szkołę i wybrałam zawód pielęgniarki. Ile razy ukazały się w gazecie wyniki egzaminów, ksiądz Leahy przysyłał mi gratulacje. Od czasu do czasu dzwonił do mnie z pytaniem od pani Leahy jak sobie radzę.

Po mym zamążpójściu ksiądz Leahy odwiedzał nas, jak i inni członkowie rodziny Leahy. Nawet ci najmłodsi, Patricia i Gerard, urodzeni wiele lat po mych pierwszych wakacjach na farmie, odwiedzali nas. Teraz Gerard z żoną Delwyn i z dwojgiem ich dzieci-nastolatków, Kate i Simon, mieszkają bardzo blisko nas i przyjaźń rozpoczęta więcej niż pół wieku temu, nim oni się urodzili, nadal trwa.

Ksiądz Leahy i Państwo Leahy już nie żyją, ale pozostali w mej pamięci. Czułe wspominam dni razem z nimi przeżyte. Głęboko doceniam ich prostotę, hojność i poczucie humoru.

Pamiętam jak pewnego wieczoru we czwórkę staliśmy przy oknie naszego domu na wzgórzach Korokoro, Petone, patrząc na światła portu Wellington. Panorama rozciągała się od zatoki Oriental Bay do zatoki Days Bay i ujścia rzeki Hutt. Był to okazały widok. Staliśmy cicho i patrzyliśmy jak prom, cały oświetlony, odpływał na południową wyspę. Ksiądz Leahy powiedział – „to jest wspaniałe”. Pan Leahy dodał żartobliwie – „tak, piękne jak światła Oponake!”

Życie religijne

Siostra Jadwiga (Maria Rombel)

Nasza morska podróż do Nowej Zelandii w 1944 roku przebiegła pomyślnie. Jednak niektóre jej etapy, szczególnie przekroczenie równika, były wyjątkowo wyczerpujące z powodu upału. Straciłam apetyt i byłam zmęczona. Na szczęście zanim jeszcze dotarliśmy do Nowej Zelandii, ochłodziło się i poczułam się o wiele lepiej.

Nasze pierwsze dwa tygodnie w Pahiatua nie były zbyt udane. Ponieważ cały czas padało, nie mieliśmy dostępu do bagażu. Odczuwaliśmy również tęsknotę i przygnębienie, że znajdujemy się tak daleko od Polski. Mieliśmy jednak nadzieję, że po zakończeniu wojny wrócimy do ojczyzny. Dlatego byliśmy bardzo zawiedzeni, gdy po 1945 roku rządy nad Polską przejęli komuniści. Wszyscy dobrze wiedzieliśmy, na czym polega reżym Stalina i że nie będziemy tam bezpieczni.

W Obozie Polskich Dzieci w Pahiatua mieliśmy własną, polską szkołę. Trafiłam do czwartej klasy gimnazjalnej, która była klasą mieszaną. Uczyliśmy się łaciny i angielskiego. Na początku każde angielskie słowo tłumaczyłam dosłownie na polski, z czego wychodziły dziwne i zabawne wyrażenia. Śmiałyśmy się do rozpuku. Wobec tego nasza nauczycielka, pani Neligan, zdecydowała, że musimy zacząć myśleć po angielsku.

Pewnego razu spytała nas, jakie znamy kolory chleba. Wszyscy odpowiadali, że biały i czarny. Ja myślałam gdzie indziej i bez namysłu powiedziałam „brązowy”. W Polsce brązowy chleb nazywamy czarnym. Jakież było moje zdziwienie, gdy pani przyznała mi rację!

Ukończyłam piątą klasę polskiej szkoły w obozie i zdecydowałam, że zostaję w Nowej Zelandii. Wysłano mnie do internatu św. Dominika w Dunedin, gdzie przebywała moja młodsza siostra. Gdy spytałam ją, jakie wrażenie sprawiają na niej siostry prowadzące szkołę, odpowiedziała, że miłe, ale „to nie dla ciebie”. Szkoła okazała się wspaniałą, a siostry robiły wszystko, co w ich mocy, by jak najlepiej nas wykształcić i wychować w wierze. Ich głęboka, kontemplacyjna duchowość zrobiła na mnie ogromne wrażenie.

Od najmłodszych lat marzyłam, by zostać siostrą zakonną, mimo że wiedziałam, iż wiąże się to z pewnymi zakazami. Gdy nauczycielka w Polsce opowiedziała nam o Maryi, która całkowicie oddała się na służbę Bogu w świątyni, ja postanowiłam zrobić to samo, gdy dorosnę. Ponieważ nie znałam żadnych innych zgromadzeń, wstąpiłam do zakonu Sióstr Dominikanek, z

którymi związana byłam od gimnazjum. Podziwiałam sposób, w jaki łączyły głęboką duchowość z nauczaniem i poczułam, że to jest to – że do końca życia chcę być dominikanką. W trudnych chwilach zawsze zwracałam się do Boga i do Maryi i przypominałam sobie chwilę, w której po raz pierwszy usłyszałam wołanie Boga do mnie. To niezmiennie dodawało mi sił.

Gdy po 50 latach życia zakonnego pytam siebie, co mi życie zakonne dało i jak stoję względem Boga, odpowiedź znajduję w katechizmie. Bóg stworzył nas dla siebie, by podzielić się z nami życiem i Swoją Boską miłością. Toteż dążę do tego, by nawiązać osobistą i intymną więź z Bogiem, który jest źródłem życia i miłości. Św. Augustyn mówi, że nigdy nie zaznamy spokoju, dopóki nasze skołatanе serca nie znajdą w Nim odpoczynku. Wtedy dopiero możemy czuć się szczęśliwi i dzielić się naszą radością z innymi.

Nie sięgam wstecz ani nie żałuję, że zostałam dominikanką. Moją wdzięczność kieruję do rodziców, którzy zginęli na Syberii oraz do wielu dobrych ludzi, którzy mi pomogli. Modłę się, aby Bóg ich błogosławił i obficie im wynagrodził.



Siostra Jadwiga na obchodach 50 rocznicy swoich ślubów zakonnych, otoczona grupą byłych dzieci z Pahiatua. Dom Polski, Auckland, Nowa Zelandia. Panieńskie nazwiska oznaczone kursywą.

Od lewej: Jan Jarka, Stanisława Nowacka *Piotrowska*, Tadeusz Mazur, Jan Roy-Wojciechowski, Jadwiga Cooper *Jarka* (siedzi), Maria Jaśkiewicz *Dac*, Franciszek Kubiak, Maria Kołodzińska *Nowotarska*, Zofia Bieniowska *Rombel*, siostra Jadwiga, Janina Szczepańska *Malczewska*, Jadwiga Kołodzińska *Nawrocka*, Jan Pāk, Zofia Nowak *Głogowska*, Rozalia Zazulak *Manterys* (siedzi), Kazimierz Rajwer, Roman Kołodziński, Jan Kaźmierów, Cecylia Zazulak *Gawlik*, Irena Pāk *Iwan*

To był raj

Józef Jagiełło

Na początku 1945 roku niektóre dzieci z obozu w Pahiatua zaczęły otrzymywać listy od ojców, którzy służyli w Wojsku Polskim na Uchodźstwie. Nie miały z nimi kontaktu od wielu miesięcy i nietrudno wyobrazić sobie, jak wielkie poruszenie i podniecenie wywołało to wydarzenie. Poczta docierała z dużym opóźnieniem, bo najpierw poddawana była cenzurze.

Dzieci, które dostały przesyłkę, były szczęśliwe, bo wiedziały, że ich ojcowie żyją i są zdrowi. Jednak my, którzy takich listów nie otrzymaliśmy, byliśmy bardzo zmartwieni i niepokoiliśmy się. Pocieszano nas, że korespondencja mogła zaginąć, gdyż wiele statków, przewożących pocztę, zostało storpedowanych i zatopionych przez wroga. Radzono nam też, byśmy się nie martwili, lecz byli bardziej cierpliwi, gdyż urzędnicy mają nasze dokładne dane i systematycznie poszukują naszych bliskich.

W listach były załączone pieniądze, co u dzieci wywołało wielkie podniecenie. Specjalnie dla nich zorganizowano wycieczkę do miasta na zakupy. Koledzy z mojego baraku, którzy dostali przesyłkę, wrócili z mnóstwem cudownych rzeczy, takich jak temperówki, nowe szczyryki, zegarki i oczywiście cukierki. Przywieźli ze sobą również opowieści o wspaniałym sklepie, w którym wydali swoje pieniądze. Z przejęciem opowiadali, że był on bardzo duży i miał długie lady z różnego rodzaju artykułami. Później dowiedzieliśmy się, że był to sklep „Woolworths”.

Reszta dzieci mogła tylko marzyć i czekać na moment, gdy i one będą też miały pieniądze na zrobienie zakupów w tym sklepie. Jak się wkrótce okazało, nie czekały długo. Tym, które nie dostały przesyłki, przełożeni postanowili podarować trochę pieniędzy, by i one mogły coś sobie kupić. Jak dziś pamiętam wyprawę do jasno oświetlonego sklepu z mnóstwem rzeczy na wystawie i moje wielkie niezdecydowanie, co mam wybrać? Zauważyłem, że wszystkie ładne dziewczyny za ladą uśmiechają się do nas. Do dziś nie wiem, co sobie wtedy myślały – około trzydziestu chłopców z szeroko otwartymi oczami przechadzało się od lady do lady i patrzyło na wszystko ze zdumieniem i zachwytem.

Zdecydowałem się na szczyryk. Ponieważ nie znałem się na pieniądzach, wręczyłem je młodej sprzedawczyni i wskazałem na wymarzony nożyk. Pokiwała przecząco głową, czym dała do zrozumienia, że nie mam wystarczająco pieniędzy. Pokazała mi tańszy, ale wtedy ja zaprzeczyłem

i wyciągnąłem swój stary scyzoryk z kieszeni, a ona się roześmiała. Chciałem koniecznie coś kupić, więc w końcu zdecydowałem się na szkiełko powiększające. Widziałem, jak inni chłopcy rozpalają za jego pomocą ogień. Pomyślałem, że przyda mi się do rozpalania ogniska nad rzeką. Do tego czasu rozpalaliśmy zapalkami, które dawali nam żołnierze.

W obozowej sali wyświetlane były regularnie kreskówki oraz filmy o kowbojach, Indianach i piratach. W pamięci utkwiał mi szczególnie *Żeglarz Popeye i jego szpinak*. Czasem oglądaliśmy też filmy dokumentalne o wojnie. Pod ich wpływem zaczęliśmy wyrabiać własną broń: pistolety z kawałków drewna oraz miecze z gałęzi drzew i bawiliśmy się w „dobrych i złych”.

Nieustannie kłóciliśmy się, czyja jest tym razem kolej grać rolę złych. Nikt nie chciał nimi być, bo ci zwykle musieli umierać. Do tych zabaw dołączali się nawet starsi chłopcy, którzy budowali tratwy i odgrywali walki pirackie. Z tego, co pamiętam, za każdym razem kończyły się one w wodzie, gdyż ich „statki” były mało stabilne.

Czas, który przeżyłem w obozie, był dla mnie raczej szczęśliwy. Wytworzył on we mnie zamiłowanie do otwartych przestrzeni, polowania i łowienia ryb. Po tym, co doświadczyłem wcześniej, to był raj.



Józef Jagiełło w wieku 18 lat, podczas wyprawy samochodem w odwiedzinach do swoich kolegów w Wellingtonie

Chłopięce lata

Bogusław Januskiewicz

Przed zsyłką na Sybir mieszkaliśmy w rejonie Ostrowa Mazowieckiego, koło wsi Jasienica. Stalinowskie piekło przetrwaliliśmy dzięki poświęceniu naszych rodziców.

Po długim i uciążliwym wygnaniu przedostaliśmy się do Iranu. Miałem wówczas 8 lat, a mój brat Stanisław 6 lat. Po trzech miesiącach, wycieńczona głodem i chorobami wywołanymi cierpieniem i ciężką pracą na Syberii, zmarła nasza matka w wieku 32 lat. Pochowaliśmy ją w Pahlewi. Osieroceni, byliśmy zdani na własne siły, wędrując z obozu do obozu w poszukiwaniu żywności i miejsca do spania. Najczęściej chodziliśmy do obozu Junaków, gdzie czyściliśmy buty i wykonywaliśmy drobne usługi w zamian za pożywienie.

Pamiętam szczególnie jedną noc, gdy w ulewie, przy huku grzmotów i błyskach piorunów skryliśmy się w bramie zamkniętego, obcego domu. Do dziś wyraźnie pamiętam poczucie osamotnienia. Nie zdawaliśmy sobie sprawy z naszej beznadziejnej sytuacji i jak naprawdę byliśmy wówczas zdani sami na siebie. Gdy ojciec dowiedział się o śmierci matki, otrzymał przepustkę z wojska na kilka dni, żeby nas odszukać i zorientować się w sytuacji. Umieścił nas w sierocińcu i poprosił kierowniczkę, żeby zawsze powiadamiano go o stanie naszego zdrowia i gdzie się znajdujemy.

Po dwóch latach w Iranie przyjechaliśmy na zaproszenie rządu Nowej Zelandii do Obozu Polskich Dzieci w Pahiatua. Moje spostrzeżenia o życiu w obozie dotyczą szczególnie chłopców – nie wnikać w niezrozumiałe dla nas poczynania rodzaju żeńskiego mieszkanki obozu. Z grupy 733 dzieci, 308 to chłopcy w różnym wieku, z różnymi zdolnościami i z różnym pochodzeniem. Jedni bardzo poważni i pracowici, inni niefrasobliwi, kilku „zabijaków”. Niektórzy przodowali w gimnastyce i biegach, inni wyróżniali się w grze w rugby.

Porządek dzienny w obozie to: kościół, posiłki, lekcje, sport, sprzątanie, higiena i spanie. Natomiast wolny czas w soboty i niedziele wypełniony był różnorodnością zajęć. Zwiedzanie terenu, myszkowanie po okolicznych farmach, lasach i rzekach było podniecające, pełne wrażeń i odkryć. Były to najciekawsze strony życia obozowego.

Ukrywanie się i włóczenie po lasach, huśtanie się na lianach, zeskakiwanie z nich do rzeki niby Tarzan, pływanie i sklekanie prymitywnych tratw i czółen były jednymi z licznych ulubionych zajęć. Łowienie węgorzy i pstrągów

na wędkę domowej roboty zawsze zachwycało. Któryś z chłopców zabrał się do tego z dynamitem, co było głupie oraz niebezpieczne i oczywiście spowodowało dochodzenie władz obozowych, a także policji.

Budowanie domków na drzewach, łapanie i ujeżdżanie owiec, wdrapywanie się na drzewa i wybieranie jaj z ptasich gniazd było częścią zaznajamiania się chłopców z przyrodą. Wielu z nich nabrało wyjątkowej wprawy w ukrywaniu wypadów do okolicznych sadów i pól z soczystą rzepą. Niekiedy farmer starał się złapać sprawców, ale oni zawsze umknęli jego pogoni. Czasami poszczuł ich psami, jednak i one musiały ustąpić, skomląc po serii strzałów z procy. Ci odważniejsi podkradali cebulę i marchewkę z ogródków naszych nauczycieli w obozie, ale z tym nie zawsze udało im się umknąć na czas. Takie przestępstwa kończyły się bólem i ukrywanymi łzami.

Doświadczenia kulinarne w obozie nie były wyłączną domeną dziewcząt. Wielkim wyczynem wśród chłopców było zdobycie wystarczająco cukru ze stołówek dla przetopienia na lepką „mordoklejkę” na ognisku podczas wycieczek w wolne dni.

Latem była obfitość jeżyn do jedzenia, a to, co nie dało się zjeść na miejscu, chłopcy w skrytości przetwarzali na wino. Takie przedsięwzięcia często kończyły się wybuchami korków, ku ogólnej zabawie.

Większość chłopców była pełna ciekawości i pomysłów. Chętnie brali udział w przyjemnych i nieszkodliwych czynnościach, wymyślając nowe zabawy. Takie tradycyjne gry jak palant, dwa ognie, zabawy w kowbojów i czerwonoskórych, robienie mieczów, proc, łuków i strzał zastąpione były produkcją samopałów, składaniem rowerów z nazbieranych części i rozbieraniem ciągników farmerów. Można przypuszczać, że nie byliśmy oczkiem w głowie u okolicznych gospodarzy.

Czasami w soboty pozwalano nam chodzić do kina w Pahiatua, na popołudniowe filmy. Trzykilometrowy spacer do miasteczka nie sprawiał trudności. I tu objawiała się chłopięca fantazja. Podczas seansu filmowego chłopcy wymykali się, aby „pożyczyć” na chwilę rowery nowozelandzkich rówieśników, które stały przed kinem, by uczyć się jazdy na nich. Należało być z powrotem na swoich miejscach przed końcem filmu, tak, by obozowi opiekunowie widzieli, że chłopcy wychodzą z kina.

W 1949 roku, po zamknięciu obozu, zostaliśmy rozproszeni po kraju. Jedną grupę umieszczono w Hawera, w prowincji Taranaki, innych w Auckland, a najwięcej wysłano do Wellingtonu. Większość uczęszczała do gimnazjum, niektórzy dostali się na uniwersytet. Inni zostali czeladnikami lub dostali pracę. Niemal wszyscy wyszli na stanowczych i niezależnych ludzi. Podczas wdrażania się w społeczeństwo nowozelandzkie, w prywatnym życiu, chłopcy przeważnie obcowali ze swoimi kumplami z byłego obozu w Pahiatua.

Niepohamowane poczucie humoru i wzajemne nabijanie się, cechowało wszystkie późniejsze spotkania chłopców. Istniała w nich intensywna, ale przyjazna rywalizacja w każdej dziedzinie życia. Ubiegali się o pierwszeństwo na boisku, grze w bilard, prześcigali się w jakości i nowości zakupionych motocykli, chwalili się, kto lepiej jeździ na swojej maszynie. Te zawody odbywały się oczywiście z większą fantazją w obecności płci pięknej, w Bursie Polskich Dziewcząt w Wellingtonie, na zabawach i innych spotkaniach.

Chociaż na początku chłopcy byli oczywiście nieokrzesani towarzysko, z czasem nabrali trochę ogłady, co im pomogło w dalszym rozwoju. 60 lat temu, my chłopcy z „Marsa” mieliśmy proste podejście do płci odmiennej, po prostu rzucaliśmy w nie kamieniami, ciągaliliśmy za włosy, oblewaliśmy podczas dyngusa w Wielkanocny Poniedziałek. Nie mieliśmy żadnej nadziei, że kiedykolwiek zrozumiemy te stworzenia z „Wenus”.

Wiele czynników powodowało, że obóz w Pahiatua był dla nas wyjątkowym doświadczeniem. Pobyt w nim przysłużył się ogromnie naszemu przetrwaniu. Wraz z moim młodszym bratem mieliśmy szczęście, że dostaliśmy się do Nowej Zelandii. Przez ponad 5 lat żyliśmy bez rodziców, a życie w obozie dało nam poczucie przynależności i koleżeństwa. Obóz był jedną ogromną rodziną, której więzy przyjaźni przetrwały do dziś.

Ponieważ brakowało naszej obozowej grupie wychowania w prawdziwej rodzinie pozostaliśmy nieco inni od naszych rówieśników. Moja przyszła żona Erna stwierdziła na początku naszej znajomości, że widać od razu jak moje poglądy na życie są wynikiem braku matczynych wpływów – tak było z resztą nas. Życie w obozie, wraz z doświadczeniami straconego dzieciństwa, dodało nam stanowczości, pewności siebie, samolubstwa oraz w wielu sprawach dużej wiedzy, choć nie zawsze to było na naszą korzyść.

W Rosji nasz ojciec wstąpił do Wojska Polskiego pod dowództwem generała Andersa, służył na Środkowym Wschodzie i walczył pod Monte Cassino we Włoszech. Szczęśliwie przetrwał wojnę oraz po demobilizacji Polskiego Korpusu w Szkocji, przyłączył się do nas w Nowej Zelandii i starał się odnowić nasze życie rodzinne.

Wspominając przeszłość moją i mego brata, stwierdzam, że w młodości przeżyliśmy trud, nieszczęścia, głód, smutek i ból. Mimo to wierzę w obecność Boga i Jego opiekę w naszych ciężkich próbach. Jestem zatem przekonany, że nasze przetrwanie i dalsze łaski są Boskim wynagrodzeniem za zabranie nam matki, gdy byliśmy jeszcze dziećmi. Jesteśmy wdzięczni za powrót naszego wspańskiego ojca, którego wartości wspierały nas w życiu. Staramy się za jego przykładem wychowywać nasze dzieci i wnuki.

Obaj z bratem mamy szczęśliwe małżeństwa – Staszek z Zosią Portas (jedną ze wspańniętych dziewcząt z Pahiatua), a ja z Erną (niepowtarzalną, zbawienną

Chorwatką). Obie bardzo doceniamy. Mamy wspaniałe dzieci, które są naszą dumą i pociechą, nie tylko z uwagi na ich osiągnięcia, ale też dlatego, że są dobrymi ludźmi. Na dodatek mamy kochające wnuki, bez których życie byłoby niedopełnione. Obaj mamy dużo szczęścia; posiadamy rzetelnych przyjaciół i teściów, których głęboko szanujemy.

Większość byłych dzieci będzie pochowana w tym kraju. Patrząc wstecz na wszystko, co się stało, jesteśmy wdzięczni za nasze obecne warunki życiowe i dziękujemy Bogu za Jego dotychczasowe błogosławieństwa i prosimy o dalszą opiekę nad nami.



Bogusław Januszkiewicz (od lewej) z bratem Stanisławem na przyjęciu weselnym w 1957 roku

Mój medal był dla nas wszystkich

Jan Jarka

Gdy wraz z siostrą Jadwigą przybyłem do Obozu Polskich Dzieci w Pahiatua, nie miałem prawie nic oprócz nadziei, że nasz pobyt w tym kraju będzie krótki, II wojna światowa niedługo się skończy, a my wrócimy do domu w Polsce, by połączyć się z pozostałymi przy życiu bliskimi.

W domu rodzinnym obowiązywały zasady uczciwości, sprawiedliwości, szlachetne postępowanie, dyscyplina, jak również wyrozumiałość i dobroć – cnót, które cenię do dziś. Moja matka zmarła jeszcze przed wojną w 1936 roku, a ojciec, który był wysokiej rangi policjantem w Białymstoku, został zamordowany w Katyniu w 1940 roku razem z tysiącami innych polskich oficerów. Do dziś mam pocztówkę, którą dostałem od niego tuż przed jego śmiercią.

Z Pahiatua na dwa lata trafiłem do gimnazjum św. Kevina w Oamaru na Wyspie Południowej, a potem do Auckland, gdzie Katolickie Służby Społeczne przejęły opiekę nad polskimi dziećmi, bacząc, by żadne z nich nie poszło do pracy bez odpowiednich kwalifikacji. Zostałem księgowym. Pod koniec mojej kariery zawodowej pracowałem w spółkach ubezpieczeniowych (Commercial Union Fire i General Insurance Company). Inny chłopiec z obozu Pahiatua, Anatol Karpik, był tam głównym agentem ubezpieczeniowym. Na emeryturę przeszedłem w 1989 roku.

W 1958 roku poślubiłem Stellę Rose Wilkinson, która po dziś dzień jest brana za Polkę. Wybór ten był strzałem w dziesiątkę. Tak ją, jak i moja siostra Jadwiga, zostaliśmy przyjęci do grona liczego rodu Wilkinsonów i do dziś pozostajemy z nimi w bliskich stosunkach. Nasza córka Rozalia urodziła się z poważną wadą serca i po dwóch przebytych operacjach zmarła – miała 39 lat. Nasz syn Michael uzyskał tytuł magistra nauk humanistycznych i jest nauczycielem, a najmłodsza córka Elizabeth najpierw była rzecznikiem prasowym rządów Nowej Zelandii i Wielkiej Brytanii, a potem rządu Nowej Południowej Walii (Australia).

Podczas mojej kariery w księgowości poznałem wielu wspaniałych ludzi, których przyjaźń wysoko sobie cenię i pielęgnuję ją do dziś. Jednym z nich był adwokat David Lange. Gdy został premierem Nowej Zelandii, odbyliśmy prywatną rozmowę o konieczności większego zadbania o potrzeby Polaków poprzez mianowanie polskojęzycznych osób na stanowiska sędziów pokoju. Za jego namową w 1990 roku zostałem zaprzysiężony.

Bardzo lubię pracę społeczną. Obecnie przebywam na emeryturze i mogę tej pracy poświęcić więcej czasu. Jestem uchwytny o każdej porze dnia i czasem wieczorem. Udzielałem się dużo w Kościele: w parafialnym zarządzie duszpasterskim oraz parafialnym Komitecie finansowym. Od 1975 roku jestem świeckim ministrem Eucharystii. Pomagałem również przy budowie nowego budynku kościoła św. Anny, którego kamień węgielny poświęcił sam papież Jan Paweł II podczas wizyty w Auckland.

Biorę czynny udział w sprawach polonijnych od 1949 roku. Organizujemy spotkania, ćwiczymy nasze tradycyjne tańce i pieśni narodowe, które pomagają nam w utrzymaniu języka ojczystego i nawiązywaniu przyjaźni z Nowozelandczykami. Stowarzyszenie Polaków w Auckland zostało założone w 1960 roku i zakupiło stary dom na spotkania członków. Później, wraz ze wzrostem liczby polskich imigrantów, dzięki pracy społecznej i pożyczkom (po 500 dolarów od każdego członka, po 100 dolarów na rok przez 5 lat) wzniesiono nowy Dom Polski.

Do zarządu należałem blisko 30 lat. Wielokrotnie byłem również prezesem, m. in. podczas wizyty Jana Pawła II w Auckland w 1986 roku, którego powitaliśmy zgodnie z polską tradycją. Byłem też doradcą archidiecezji w sprawie przyjęcia papieża według polskich zwyczajów, takich jak powitanie gościa chlebem i solą. W czasie mszy papieskiej wręczyliśmy mu czapkę krakowską z pawimi piórami oraz stary polski modlitewnik z 1880 roku, należący do pierwszych polskich osadników w Taranaki. Spotkanie z Jego Świątobliwością, o którym zawsze marzyłem, było dla mnie wielkim przeżyciem.

Moja kariera tłumacza była wynikiem nadzwyczajnego posiedzenia sądu pod koniec lat 70-tych w sprawie dwóch polskich obywateli, podróżujących po Nowej Zelandii z nielegalnymi paszportami. Jestem obecnie tłumaczem akredytowanym, zatrudnionym w wielu instytucjach i oddziałach rządowych. W 1985 roku byłem również współzałożycielem i członkiem Zarządu Etnicznego w Auckland, który reprezentuje 40 różnych grup etnicznych.

W 1993 roku zostałem wyróżniony przez królową brytyjską medalem za ochotniczą i niepłatną pracę społeczną przez minione 30 lat. Moim zdaniem odznaczenie to należy się wszystkim dzieciom z Pahiatua, które w znaczny sposób zasłużyły się krajowi i wyrosły na dobrych oraz porządnym obywateli.

Wraz z żoną Stellą dwa razy odwiedziłem kraj mojego urodzenia. Ponowne połączenie z rodziną było pełne wzruszeń. Odwiedziłem grób matki i dostałem w prezencie od krewnych jej portret, który wisi teraz w naszym salonie. Nie żałuję wyborów dokonanych przed laty, gdyż pomimo trudnych początków, dzięki rodzinie oraz przyjaźniom zawartym na przestrzeni lat, miałem wspaniałe życie. Dziękuję wam wszystkim.

Spokojne życie na obcej ziemi

Krzysztof Jasiński (Staszczuk)

Miałem 11 lat, gdy przybyłem do Obozu Polskich Dzieci w Pahiatua, gdzie przydzielono nas do baraków, według wieku i płci. Następnego dnia mogliśmy rozejrzeć się po otoczeniu.

Budynki w obozie były praktyczne i wygodne. Wielka sala zebrań, świetlica, w której odbywały się potańcówki i inne imprezy, osobno jadalnie i budynki szkolne. Była tu kotłownia, domki dla wojskowych i personelu, zakład szewski, garaż dla pojazdów wojskowych, budynek administracyjny i szpital. Obóz otaczały farmy, przeważnie rozległe pastwiska dla bydła i owiec. W pobliżu znajdowała się rzeka i lasy. Część pastwiska służyła za boiska.

Przydzielono nas do klas. Niektóre starsze dzieci miały przerwane lata nauki podczas tułaczki i musiały nadrabiać w klasie z młodszymi. Opiekunowie opracowali nasz program zajęć, w których brałem czynny udział, takich jak: polskie tańce regionalne, harcerstwo, służenie do mszy św. i występowanie w jasełkach. Zawsze zastosowywałem się do regulaminów.

Nowozelandzkie wojsko dostarczyło rowery, które wypożyczaliśmy do nauki jazdy. Pewnego dnia wiozłem palmy do udekorowania sali, gałąź wpłatała się w szprychy. Wywróciłem się i mocno poturbowałem. Duma nie pozwoliła mi przyznać się do tego.

Naszym ulubionym zajęciem były psoty. Pamiętam jak jedna z dziewcząt uczyła się jazdy na rowerze. Była mocno oburzona niepowodzeniem i wynikiem swoich starań; rzekła, że wolałaby jeździć na dzikim byku niż na rowerze. Chłopcy nie dali jej tego powiedzenia zapomnieć, na każdym kroku wyśmiewali się z niej, ale ona się tym nie zrażała. Uczono nas, chłopców w obozie, jak naprawiać buty i tu nie omieszkaliśmy dokuczać dziewczętom przez wbijanie gwoździ w ich obuwie.

Często chodziliśmy pływać w pobliskiej rzece. Któryś z chłopców namówił nas do skakania do wody z wysokiego brzegu. On wiedział, ale my nie, że dno było pokryte głęboką warstwą mułu, z którego z mozołem musieliśmy się oczyszczać.

Pewien żołnierz nowozelandzki pozwolił żebyśmy odwiedzali jego chatkę kiedykolwiek chcemy. Korzystałem z tego zaproszenia i słuchałem muzyki z jego gramofonu. Pamiętam jedną piosenkę śpiewaną przez sławną wówczas Judy Garland – gdyby wiedziała jak trudno było mi wybić tę melodię z głowy, z pewnością nie nagrałaby jej.

Braliśmy udział w zjeździe harcerskim, na którym kazano mojej drużynie zbudować most ze sznurów. Sprawdzono jakość wykonanej przez nas pracy i prawidłowe naciągnięcie przeseł. W nagrodę otrzymałem masę pęcherzy na dłoniach, ale i pochwałę. Zostałem wodzem zastępu młodszych chłopców, których nazywaliśmy brudne kolana. Uczyłem ich maszerować. Na defiladzie sprawili się wzorowo.

Bardzo popularne w obozie były filmy o kowbojach, tzw. westerny, których chłopcy naśladowali w swoich zabawach. Przyjeżdżali również różni artyści z występami, między innymi śpiewak John Charles Thomas. Innym razem występował zespół maoryskich tańców i pieśni. Nigdy w życiu nie widzieliśmy czegoś takiego. Początkowo tubylcy wyglądali dla nas bardzo dziko, ale z czasem przyzwyczailiśmy się do tego rodzaju występów. Byłem zauroczony ich ubiorem, tatuażem twarzy i tradycyjnymi zbiorowymi tańcami.

W obozie panowała atmosfera wielkiej rodziny. W święta Bożego Narodzenia urządzaliśmy koncerty dla personelu i zaproszonych gości. Dziewczęta w strojach narodowych wykonywały polskie tańce ludowe i śpiewy. Zbieraliśmy się przy obozowej choince, zapalaliśmy świece i śpiewaliśmy kolędy. Był to czas radości i wesela.

W ostatnim roku mojego pobytu w obozie starsze dziewczęta uczyły nas tańców salonowych. Nowozelandka, pani Watson, przyjeżdżała do obozu grać dla nas na fortepianie. Mówiła, że lubi być z nami, bo jesteśmy jej drugą rodziną i często przyjeżdżała wcześniej, żebyśmy sobie pośpiewali przy fortepianie. Wspominam ją z wdzięcznością.

W niedziele odwiedzali nas mieszkańcy okolicy. Odbywało się to jak na paradzie. Dziwiliśmy się, że tak dużo ich przychodziło. Dla wielu z nich były to jak wizyty w cyrku. Niestety nie rozumieliśmy ich, gdy się do nas zwracali po angielsku. Gdy zaczęliśmy naukę języka angielskiego, dla zabawy przekreślaliśmy angielskie słowa, ale to nie zrażało naszego cierpliwego nauczyciela Hugh'a McKinnona. Często i bardzo chętnie chodziliśmy na wycieczki harcerskie do pobliskich lasów. Stawialiśmy namioty w buszu, gotowaliśmy na ogniskach, śpiewaliśmy i urządzaliśmy gry.

Dwóch nowozelandzkich nauczycieli, Andy Nola i Frank Muller, nauczyli nas grać w piłkę rugby. Polscy chłopcy zabrali się do tej gry z fantazją. Zostałem kapitanem obozowej drużyny, co dało mi dużo pewności siebie w przyszłości. Początkowo graliśmy na boso, nie mając odpowiednich butów. Naszą drużynę powołano do rozgrywek w okolicy, z czego byliśmy bardzo dumni, zwłaszcza wtedy, gdy wyróżniono nas w prasie. Cały obóz chodził w blasku naszej chwały.

Gdy zostałem kapitanem, całą drużynę wyposażono w spodenki, koszulki i buty do gry – tylko nie mnie. Za to Muller i Nola wręczyli mi osobiście

specjalny prezent, czyli piękne skórzane buty, jakich w życiu nie widziałem. Podczas jednej z rozgrywek wiał bardzo silny wiatr. Wygraliśmy podrzut monetą i moja drużyna zdecydowała grać pod wiatr. Była to zła decyzja, bo przez całą pierwszą połowę kopana piłka, zamiast lecieć do przodu, leciała wstecz, natomiast w drugiej połowie gry wiatr ustał i to było na naszą niekorzyść. Ale wygraliśmy turniej i zdobyliśmy nagrodę.

Szkolne wakacje spędzałem u Nowozelandczyków, którzy traktowali mnie jak jednego z członków swojej rodziny. Zabrali mnie do kina, gdzie wyświetlano bardzo wówczas popularny film *Gorączka złota w Kalifornii* ze śpiewanym przebojem *Klementynka*. Do dziś wyraźnie pamiętam ten film i tę pieśń.

Mój gospodarz, właściciel sklepu spożywczego, brał mnie ze sobą, kiedy dostarczał towar do pobliskich farm. W dni wolne od pracy polowaliśmy na króliki i oposy. Po dwóch dniach wracaliśmy, żeby wybrać sidła i wyprawić skóry z oposów. Gdy wieczorami wychodziliśmy na połów węgorzy, braliśmy tylnie łapy królicze na przynętę. Złowione węgorze wyszarpywaliśmy z wody na brzeg. Niektóre były tak wielkie, że raz córka farmera zamiast wyciągnąć węgorza, została przez niego wciągnięta do wody.

Pewnego razu trafiliśmy na tyle królików, że z łatwością można było do nich strzelać na oślep. Mimo to nie cieszyłem się celnością, chybiłem wszystkie strzały. W soboty lub niedziele sąsiedzi odwiedzali nas i spędzaliśmy z nimi czas śpiewając przy fortepianie lub urządzając gry.

Z obozu wysłano mnie do internatu, do gimnazjum św. Patryka w Silverstream, niedaleko Wellingtonu, gdzie nauczycielami byli księża z zakonu Marystów. Opuszczałem obóz z obawą i od pierwszego dnia tęskniłem za nim, bo tam spędziłem najszcześniejsze dni mojego życia. Nie było jednak powrotu i trzeba było się dostosować do nowego otoczenia. W tym gimnazjum wielki nacisk kładziono na sport, szczególnie rugby zimą i krykiet latem, stawiając je na równi z nauką. Tak było wówczas we wszystkich szkołach nowozelandzkich.

Rok szkolny kończył się balem, na który zapraszało się partnerkę. Oczywiście obowiązkowy garnitur i białe rękawiczki. Tak świetnie wypadliśmy z moją partnerką, Polką z czasów obozowych, że w szkole wspomniano nas przez długi czas. Doświadczenia polskich chłopców w pierwszym roku gimnazjum pomogły młodszemu od nas, którzy po nas przybyli z obozu.

Zadania domowe odrabialiśmy między 5-tą a 6-tą po południu, po czym cała szkoła zbierała się na dziedzińcu szkolnym, gdzie ustawialiśmy się w szeregach według wieku. Rektor, ksiądz Doogan, wywoływał nazwiska tych, którzy otrzymali pocztę. Gdy chciał wymówić nazwisko jednego z polskich chłopców, z bardzo dla Anglików trudną wymową, cała szkoła,

wraz z zazwyczaj poważnym rektorem, wybuchła śmiechem. Było to dla nas niezmiernie poniżające. Po latach zmieniłem swoje nazwisko.

W drugim roku pobytu w szkole zostałem wybrany do pierwszej drużyny szkolnej, tzw. pierwszej piętnastki rugbistów. Wybrano mnie odpowiedzialnym za szkolne laboratorium. Wszystkie chemikalia były pod moją opieką i mogłem tam robić dowolne doświadczenia. Moi koledzy wymusili na mnie, żebym im też pozwalał. W tym czasie Amerykanie i Rosjanie budowali bomby atomowe. Pewnej niedzieli zabraliśmy się do składania bomby, którą zawinęliśmy w folię, dołączyliśmy sznurek namoczony terpentyną, zapaliliśmy lont i skryliśmy się. Po wybuchu unosiły się kłęby czarnego dymu. Pootwieraliśmy okna, ale na szczęście nikt nie zauważył. Dostałem takiego stracha, że więcej nie dopuściłem do takich doświadczeń, ale pozwalałem kolegom na palenie papierosów w laboratorium. Zostaliśmy jednak na tym przyłapani i prawie straciłem przywileje w laboratorium.

Pewnego wieczoru dostałem bóle brzucha, które spotęgowały się przez noc, tak, że rano nie mogłem wstać. Rektor zawołał pielęgniarkę, która uważała, że nie dzieje się ze mną nic złego. Rektor jednak posłał po lekarza, który bezzwłocznie wysłał mnie do szpitala. Po kilku dniach przeniesiono mnie do izby chorych w szkole. Pielęgniarka do końca twierdziła, że upozorowałem chorobę, żeby uniknąć wzięcia udziału w musztrze wojskowej.

Wojna niedawno się skończyła, szkoły miały obowiązek przeprowadzać przysposobienie wojskowe dla swych uczniów, ubranych na tę okazję w mundury wojskowe. Na zakończenie jednodniowych ćwiczeń maszerowaliśmy do pobliskich koszar wojskowych, przy muzyce bębnow i trąbek, gdzie wojsko częstowało nas sutym podwieczorkiem.

W szkole byłem jednym z odpowiedzialnych za odczytywanie pomiarów pogody. Tak ogólnie miałem bardzo dobre wyniki w nauce, jednak miałem trudności z opanowaniem języka angielskiego. Opuściłem gimnazjum z takim samym poczuciem żalu jak przy opuszczaniu obozu w Pahiatua. Przeniosłem się na wikt i opierunek do Bursy Polskich Chłopców w Wellingtonie. Nie wiedziałem, co ze sobą począć. Zacząłem pracować w biurze Ministerstwa Pracy, skąd po czterech miesiącach posłano mnie na kurs poradnictwa zawodowego, gdzie zdawałem egzamin na elektryka. Po zdaniu egzaminów obrałem właśnie ten zawód.

W 1954 roku kupiłem stary dom, prawie walącą się rudere. Niewiele znając się na stolarce, uczyłem się z książek. Zgłosiłem się do pracy jako pomocnik stolarza w przedsiębiorstwie specjalizującym się w budowie domów jednorodzinnych, gdzie zdobyłem cenne doświadczenie. Zacząłem remont swego domu. Obok mieszkał stolarz, imigrant z Anglii, który dawał mi cenne wskazówki, zachęty i pochwały, co dodało mi pewności siebie.

W dzień pracowałem jako elektryk, a wieczorami stopniowo odnawiałem dom, często do północy. Nie miałem pieniędzy na zakup mebli. Kupiłem ten dom za cenę wyższą od jego wyceny. Dom chwiał się przy silnych wiatrach, ale po wstawieniu nowych podwalin można było spać spokojnie. Po przebudowaniu go od podstaw po dach, wyglądał jak nowy i zwracał na siebie uwagę przechodniów.

Po ukończeniu swego terminu jako elektryk, zatrudniłem się w wytwórni plastików, gdzie pracowałem 16 godzin dziennie, 7 dni w tygodniu. Gdy fabrykę przeniesiono, kupiłem taksówkę i przez 9 miesięcy woziłem ludzi. Potem zatrudniłem kierowcę, a sam na własną rękę podjąłem pracę elektryka i budowniczego.

W 1962 urodziła się nam córka. Daliśmy jej imię mojej siostry, która została w Uzbekistanie. Nigdy nie piłem alkoholu i nie chodziłem do knajpy, nie chcąc pozbawić rodziny lepszej stopy życiowej. Nie pamiętam czasu, kiedy nie pracowałem przez siedem dni w tygodniu.

W 1972 roku po raz pierwszy odwiedziłem Polskę ze swoją rodziną, gdzie spotkałem się z bratem, którego nie widziałem od 30 lat.



Odświętnie ubrani.

Od lewej: Witold Suchodolski, Eugenia Sajewicz, Alfred Sapiński, Emilia Sondej, Jan Lasota, Weronika Potem, Krzysztof Jasiński (Staszczuk)

Chcieć to móc

Felicja Juchnowicz (Nadolska)

Zawsze lubiłam szkołę i uczenie się. Czułam się tu bezpiecznie i miałam wiele koleżanek. Dlatego od ósmego roku życia moim marzeniem było zostać nauczycielką. W obozie w Pahiatua skończyłam polską szkołę podstawową. Ponieważ mieliśmy tylko jedną godzinę angielskiego, moje słownictwo było ubogie. Pisownia i wymowa wielu wyrazów (szczególnie tych zawierających głoskę „th”) sprawiały mi wiele trudności.

W 1949 roku umieszczono mnie w internacie gimnazjum Najświętszego Serca. Było mi tam ciężko; czułam się samotna i wyobcowana. Rzadko słyszałam polską mowę. Z pewnej siebie i wzorowej uczennicy przeistoczyłam się w nieśmiałą, szarą myszkę. Niechętnie się odzywałam, gdyż często popełniałam błędy. Zdradzał mnie też od razu mój akcent.

Życie było trudne. Właściwie uczyłam się trzech języków – łaciny, francuskiego i angielskiego. Mało udzielałam się na lekcjach, bo obawiałam się porażki. Dlatego dawano mi dodatkowe lekcje, by pomóc w moich trudnościach językowych. Patrząc wstecz, stwierdzam, że pobyt w tej szkole wywarł na mnie dodatni wpływ i dobrze wyposażył na przyszłość.

Czas biegł szybko, a lata szkolne mijały. Ze świadectwem ukończenia szkoły w rękę opuściłam gimnazjum i internat. Zamieszkałam w Bursie Dziewcząt Polskich i zaczęłam Studium Nauczycielskie w Wellingtonie, gdzie w latach 1954 – 1955 pilnie się uczyłam.

Wymagało to ode mnie ciężkiej pracy, ale postanowiłam dopiąć swego. Każdego miesiąca głowiłam się nad swoim budżetem. Niektórym studentom trzeba było przypominać o zrealizowaniu czeku ze stypendium, podczas gdy ja nigdy nie miałam z tym problemu. Zarabiałam 22 funty miesięcznie. Z tego 12 funtów przeznaczałam na jedzenie, a reszta miała starczyć na książki, bilety tramwajowe i autobusowe oraz na ubrania. Co począć?

Podczas wakacji pracowałam w pralni na pełnym etacie, a w roku akademickim dorywczo. Wśród gorących oparów praca była ciężka i wyczerpująca. Nie chciałam tak zarabiać na życie. Miałam dodatkowe pieniądze, ale tym mocniejsze postanowienie, by skończyć studia.

Chwała Bogu, że w tamtych czasach smażone ryby z frytkami można było dostać za jedyne 6 pensów. Nie było wówczas rządowych kredytów studenckich, więc każdy musiał radzić sobie sam. Oczywiście, gdy znalazłam się w krytycznej sytuacji, zawsze mogłam poprosić o pomoc panią Zaleską.

Pracowała ona w Urzędzie Opieki Społecznej, nadzorując polskie dzieci i młodzież. Postanowiłam jednak być niezależna. Dwa lata na Studium Nauczycielskim minęły szybko. Do końca 1955 roku ukończyłam pomyślnie dwuletni kurs i z tego powodu czułam się niezwykle szczęśliwa. Przepęniała mnie ogromna radość; osiągnęłam wymarzony cel – zostałam nauczycielką w szkole podstawowej. Pierwszą posadę, z której byłam bardzo zadowolona, otrzymałam w szkole w Masterton. Jeden z uczniów mojej klasy zapytał czy będę z nimi przez cały rok. „Tak, zostanę” odpowiedziałam i zostałam. Dzieciaki były wspaniałe, a kadra nauczycielska pomocna i lojalna.

Uczyłam w różnych placówkach. Gdy moje dzieci skończyły szkołę, powróciło moje pragnienie dalszej nauki. Wstąpiłam na uniwersytet Victoria w Wellingtonie i uzyskałam dyplom nauczycielki języka angielskiego dla obcokrajowców. Skończyłam również studia podyplomowe w Kolegium Nauczycielskim w Wellingtonie.

Przez całe życie zachęcałam moje dzieci, by uczyły się i ciężko pracowały. Wierzę, że wiedza o świecie i jego mieszkańcach czyni nas bardziej wyrozumiałymi w stosunku do siebie, że stajemy się lepszymi obywatelami świata. Miałam dobre życie i jestem dumna z tego, co osiągnęłam.



Lekcje w obozie w Pahiatua odbywały się w klasach zbudowanych z prefabrykatów.

Od lewej: Augusta Aniecka, Maria Dac, Emilia Banaś, Aleksandra Kraczko, Anna Kozłowska, Felicja Nadolska (profilem, z przodu po prawej), Wanda Dejnakowska, Teresa Wypych

Podróż w nieznane

Irena Kane (Woźniak)

Trzy miesiące po przybyciu do Obozu Polskich Dzieci w Pahiatua, sześć starszych gimnazjalistek zdało maturę w języku polskim, między nimi byłam ja. Był to wynik ciężkiej pracy rozpoczętej w Iranie, a dokończonych w obozie. Chwila radości i znowu musiałyśmy jechać w nieznane. Jak tam będzie? Poczułam się jak ptaszek wylatujący z gniazda.

Jechałyśmy do angielskich szkół. Trzy katolickie internaty udostępniły po dwa miejsca. Jadzia Brejnakowska i ja byłyśmy przeznaczone do gimnazjum Serca Jezusowego w Lower Hutt. Nieznajomość języka utrudniała naukę, ale postanowiłam, że dam sobie radę i będę wdzięczna za umożliwienie mi dalszej nauki. Rozdzielono Jadzię i mnie. Nieraz w nocy czułam strach, a osamotnienie kołam modlitwą w kaplicy, ale były też chwile szczęścia, gdy zawierałam nowe przyjaźnie.

Zaprzyjaźniłam się z Claire, Nowozelandką. Jej rodzice zaprosili mnie na świąteczne wakacje. Byłam trochę zdziwiona, nie miałam chęci jechać do tej rodziny w małym miasteczku Norsewood. Wołałam wrócić do obozu, do koleżanek. Ale nie miałam wyboru, a może to było przeznaczenie, że pojechałam. Otworzyły się dla mnie nowe horyzonty.

Rodzice koleżanki przywitali mnie i moją siostrzyczkę Ewunię z otwartymi rękami i otwartym sercem. Okazywali nam wiele serdeczności i przyjaźni. Ale braciszek koleżanki wystraszył się nas i kiedy siedziałyśmy w pokoju nie wychodził ze swej sypialni, nawet na posiłki. Patrzył na nas przez lekko uchylone drzwi.

Męczyły mnie trudności w porozumiewaniu się. Nieraz tłumacząc z polskiego na angielski popełniałam błędy. Na przykład „I don't mind” (nie szkodzi) skojarzyłam z „I have no mind” (nie mam rozumu). Czasem wywołałam zamieszanie, a czasem śmiech. Pewien młody człowiek chciał zrobić na mnie dobre wrażenie i powtórzył słowo, którego nauczyli go polscy chłopcy: „świnia”. Byłam zgorzonna i obraziłam się, myślałam, że mnie przezywa, a on był zaskoczony moją reakcją.

Spotkałam przyjaciela rodziny, Billa Kane'a. Był on wyrozumiały, pomocny i poczuliśmy do siebie sympatię. Zaprosił mnie na tańce.

Pojechaliśmy do pobliskiej miejsciny na motocyklu. Byłam w strachu i trzymałam się go kurczowo. Sala taneczna była świątecznie udekorowana balonami, kwiatami i zielenią, a orkiestra grała nieznane mi melodie. Wszyscy

obecni znali się nawzajem i czułam, że ciągle patrzą na mnie. Kiedy Bill przedstawił mnie wielu młodym ludziom, poczułam się lepiej. Dziewczynki siedziały z jednej strony sali, blisko ściany i posunęły się, żebym usiadła. Gdy orkiestra zagrała, chłopcy podchodzili i prosili do tańca. Było więcej dziewczynek niż chłopców.

Tańczyłam z Billem, ale wszystko zaczęło się zmieniać, kiedy podszedł jego kolega, lekko uderzył w ramię mego partnera i Bill ustąpił mu, a potem zrobił to samo jeszcze jeden kolega a następnie jeszcze jeden. Zawstydziałam się, bo pomyślałam, że źle tańczę, ale udawałam, że nadal dobrze się bawię. Przez ten czas poszukiwałam Billa wzrokiem. Kiedy wrócił, spytałam go, co ze mną złego, że nikt nie przetańczył ze mną całego tańca. Bill zaśmiał się i wytłumaczył, że to był „odbijany” taniec i wszyscy chłopcy chcieli zatańczyć z polską dziewczynką. Ulżyło mi.

Orkiestra zagrała i tym razem poprosił mnie do tańca jakiś młody człowiek w czerwonym krawacie. O coś mnie pytał, ale nie rozumiałam, co mówi. W takich wypadkach zawsze odpowiadałam „nie”. On dalej o coś prosił, a ja odpowiadałam tak samo. Bill potem wytłumaczył, że byłam zapraszana do walca przed kolacją i cieszył się, że odmówiłam tamtemu. Poszliśmy na kolację razem. Słowa porozumiewawcze „tak” i „nie” były najważniejsze w mej wędrówce w nieznane.

Wakacje minęły i pożegnałam się z przyjaciółmi w Norsewood. Bill przyjechał do obozu, poszukując mnie, ale z Helą Wiśniewską opuściliśmy już obóz i wyjechałyśmy do Auckland na kurs pielęgniarstwa w szpitalu Matki Miłosierdzia. Lubiłam pracę przy chorych i chętnie uczyłam się, nabierając wprawy. Moim celem było usamodzielnienie się, praca dla innych, a potem praca w wolnej Polsce. Tak się nie stało. Pan Bóg inaczej zaplanował moje życie.

Mówią, że jak jedno drzwi się zamykają to drugie otwierają i tak było w moim przypadku. Bill i ja pobraliśmy się w 1949 roku i zamieszkaliśmy w Norsewood.

Matka z dziećmi na wygnaniu

Leokadia Kazimierzak (Kołodzińska)

Tatusia już nie było, zmarł w Kermine, w Uzbekistanie, ale reszta rodziny: mama, Staszek, Romek, Janek i ja odnaleźliśmy się w Teheranie w 1942 roku. Krótka chwila szczęścia, a potem znów rozstanie. Staszek należał już do polskich junaków i powędrował z polskim wojskiem. Mama została opiekunką grupy chłopców-sierot, a Romek, Janek i ja byliśmy przeniesieni z sierotami do zakładów w Isfahanie.

Do Nowej Zelandii mama przyjechała jako jedna z polskiego personelu, który miał pieczę nad 733 polskimi dziećmi, przeważnie sierotami. My przyjechaliśmy z nimi. W Obozie Polskich Dzieci w Pahiatua mama pracowała w kuchni od 1944 do 1949 roku. Romek i Janek mieszkali w barakach z innymi chłopcami, a mnie zabrano do szpitala w Silverstream, niedaleko Wellingtonu. Może rok po przybyciu do obozu Romka wysłano do nowozelandzkiej szkoły w Wellingtonie, a w 1948 roku Janka umieszczono w tej samej szkole.

Gdy obóz przestał istnieć, mama przyjechała do Wellingtonu i tu pracowała w publicznym szpitalu w pralni, mieszkając u rodziny Gazdowiczów. W tym czasie mieszkalam w internacie, a na wakacje wyjeżdżałam do naszych nowozelandzkich przyjaciół. Nasze wykształcenie drogo kosztowało i mama nie mogła zaoszczędzić tyle, by wpłacić zadatek na kupno domu, co umożliwiłoby wspólne zamieszkanie całej naszej rodziny. Trudności, z jakimi się borykała, były nie do pokonania.

Tylko raz mieszkaliśmy jako rodzina. Przy końcu lat 1940-ch najstarszy brat Staszek przybył z Anglii, by połączyć się z nami. Po pewnym czasie ożenił się i młode małżeństwo uzbierało sobie na kupno domu. Zaproсили całą rodzinę do siebie. Wszyscy pracowaliśmy. Niebawem wyszłam za mąż, Romek ożenił się, a Janek wyjechał za granicę. Mama mieszkała u każdego z nas po kolei.

Nigdy nie narzekała na swoje ciężkie życie, ani na swe ręce wyniszczone ciężką pracą. Płakała, gdy los był dla niej okrutny, ale nie wymagała pomocy. Jej trudne położenie zauważył Gerald O'Brien, przewodniczący i sekretarz elektoratu premiera Nowej Zelandii i skarbnik Społecznych Domów dla Polskiej Młodzieży. Był on szczerze oddany sprawom polskim. Załatwił dla mamy mieszkanie w miejskim domu czynszowym i po raz pierwszy, od wywózki na Sybir, mama miała stałe mieszkanie.

Przełamywanie bariery językowej

Janina Keenan (Chrzczanowicz)

Po cudownym ocaleniu z Sybiru i dwuletnim pobycie w Iranie nie wiedziałam, czego oczekiwać od obozu w Pahiatua. Jednak spotkało nas tam ciepłe i serdeczne powitanie. Łóżka były ślicznie posłane i mieliśmy nawet kwiaty w pokojach. Dało się tu wyczuć serdeczność ludzi, którzy to wszystko przygotowali. Nareszcie poczułam się znów bezpieczna.

Po opuszczeniu obozu udałam się na naukę do gimnazjum Najświętszego Serca w Auckland. Denerwowałam się, gdyż moje słownictwo angielskie składało się tylko z kilku słów – „OK.”, „dziękuję” i „proszę”. Jakże zazdrościłam małym Nowozelandczykom, którym mówienie po angielsku nie sprawiało najmniejszych trudności! Zastanawiałam się, czy nadejdzie taki dzień, gdy i ja opanuję ten język. Na szczęście zakonnice były wyrozumiałe i pomagały nam, udzielając dodatkowych lekcji.

W pierwszym semestrze nauczyliśmy się wiele nowego, ale ja z utęsknieniem wyczekiwałam wakacji, kiedy to będziemy mogli pojechać do domu, do obozu. Po wielu minionych latach wciąż pamiętam podniecenie, które towarzyszyło pakowaniu do walizki wszystkich podręczników z zamiarem nauki w czasie wakacji. Jednak wokół było tyle innych zajęć, że walizka nigdy nie była otwierana. Spotykałam się z siostrą, siostrzeńcem i przyjaciółmi, grałam w różne gry, jeździłam na rowerze i cieszyłam się możliwością rozmawiania po polsku przez całe wakacje.

Pamięć mojej pierwszej pracy jest wciąż żywa, ale początek nie należał do udanych. Po ukończeniu Kolegium Zarządzania Handlowego w Auckland otrzymałam posadę stenotypistki.

Gdy po raz pierwszy przekraczałam próg biura, byłam pełna obaw, lecz i podekscytowana. Ludzie tam zatrudnieni byli mili. Na moje nieszczęście poinformowano mnie, że szef przebywa na dwutygodniowym urlopie i to ja mam przejąć kontrolę nad centralą telefoniczną. Nie mogłam odmówić, chociaż nie miałam o tym zielonego pojęcia. Było osiem linii i bywało, że dzwoniły wszystkie naraz. Nie wydawało się to trudne, dopóki nie zaczęłam odpowiadać.

Czy opanowałam angielski? Tak mi się wydawało, dopóki nie zetknęłam się ze słownictwem profesjonalnym. Jednak z pomocą innych szybko je opanowałam. Telefony odbierałam nie tylko w dzień, ale również w nocy podczas snu! Te dwa tygodnie zdawały się nie mieć końca. Później, gdy byłam

już w stanie czerpać satysfakcję z pracy, doceniłam, jak wiele pożytku dało mi moje pierwsze trudne starcie z telefonami.

Napisałam o lepszych i gorszych czasach, i te wspomnienia są we mnie jeszcze bardzo żywe. Niektóre z nich są smutne (bo zmarł mój mąż), niektóre wesołe. Wciąż przechowuję w pamięci cudowne lata spędzone razem. Był Nowozelandczykiem, lecz czuł się dumny, gdy dzieci uczyły się polskiego. Toma poznałam na ślubie mojej polskiej koleżanki, u której byłam druhną, a on družbą. Gdy nasze dzieci były małe, czytaliśmy im bajki na dobranoc. Jakże lubiły, gdy tata czytał im po polsku – jego wymowa przyprawiała je o serdeczny śmiech. Nie było to może czytanie w najlepszym wydaniu, ale za to jakie zabawne.

Zwyczaj, które wraz z mężem wprowadziliśmy 53 lata temu, nasza rodzina kultywuje do dziś. Obchodzimy wigilię oraz śpiewamy kolędy po polsku i po angielsku. Wychowaliśmy troje dzieci i troje wnucząt; wszyscy razem gromadzimy się u mnie na wigilii. Moim domem była i na zawsze pozostanie Nowa Zelandia. Kocham ten kraj i ludzi, których tu poznałam, lecz myślami często wracam do czasów, gdy jako dziecko przebywałam z rodziną, którą straciłam podczas II wojny światowej.

Szczęśliwe dni

Wanda Kowalewska (Szczawińska)

Przez pięć lat Obóz Polskich Dzieci w Pahiatua był moim domem. Bardzo lubiłam tamtejsze otoczenie. Miałam wiele przyjaciółek, które towarzyszyły mi wszędzie. Organizowaliśmy tam polskie koncerty, tańczyliśmy nasze tańce narodowe.

Uwielbiałam chodzić wraz z księdzem Broel-Platerem i innymi dziećmi na wzgórze zbierać grzyby. Raz w tygodniu oglądaliśmy filmy. Pewnego razu była to *Droga do Singapuru* z Dorothy Lamour. Zachwycalam się jej tańcem. Pamiętam, jak wyobrażałam sobie, że jestem Dorothy, i zaczynałam tańczyć jak ona. Dołączały do mnie moje przyjaciółki i na nowo przeżywałyśmy film. Dużo miłych wspomnień pozostawiły po sobie także moje nauczycielki: pani Michalik i pani Powierza. Jednak największą sympatią darzyłam panią Sawicką, pielęgniarkę w szpitalu obozowym. Niekiedy nawet zapraszała mnie do swojego domku i częstowała słodyczami, które sama przyrządzała.

Pewnego dnia do obozu zawitała maoryska trupa koncertowa. Wszystko było w porządku, dopóki nie zaczęli oni swojego tańca wojennego *haka*. Z wrzaskiem pobiegłam w stronę drzwi, a za mną koleżanki. W sypialni wskoczyłyśmy do łóżek i ukryłyśmy się pod kocami, pozostając tam aż do rana. Dzisiaj bardzo lubię ten taniec i śmieję się na wspomnienie tamtego wydarzenia.

Dobrze pamiętam również panią Pietrasińską, która przygotowywała nas do pierwszej Komunii św., a potem do bierzmowania. Zaczęliśmy potem uczęszczać na cotygodniowe lekcje angielskiego. W końcu jednak nadszedł dzień, w którym poinformowano nas, że musimy opuścić obóz. Do Wellingtonu wyruszaliśmy z ciężkim sercem. Przy pożegnaniu połączyły się łzy. Żegnaj, obozie Pahiatua. Zawsze z czułością będę wspominać ciebie oraz cudowne przyjaźnie, które tu zawarłam.

Wysłano mnie do katolickiej szkoły dla dziewcząt w Wellingtonie. Zamieszkałam w Bursie Dziewcząt Polskich w dzielnicy Lyall Bay, prowadzonej przez cztery polskie siostry zakonne. Dołączyła do nich zakonnica Irlandka, która przed wojną uczyła w Polsce francuskiego. Ja również porwała zawierucha wojny i razem z nami dzieliła nowozelandzkie życie.

Życie było wówczas dla mnie łaskawe. Powoli stawiałam się coraz bardziej niezależna. Zaczęłam pobierać lekcje gry na pianinie, a moja nauczycielka,

pani Peters, nieustannie mnie chwaliła. Po ukończeniu szkoły wstąpiłam do szkoły krawieckiej i otrzymałam dyplom. Niestety Siostry Ursulanki wracały do Polski i bursę zamknęto. Mimo iż byłyśmy wystarczająco dorosłe, by zacząć życie na własną rękę, przy pożegnaniu nie obyło się bez łez. Wraz z moimi przyjaciółkami, Jadwigą i Leokadią, wynajęłam trzypokojowe mieszkanie, w którym przeżyliśmy wiele miłych i zabawnych chwil.

Większość moich przyjaciółek powychodziła za mąż za polskich chłopców, których znały jeszcze z obozu w Pahiatua. Inne związały się z Nowozelandczykami. Nie traciliśmy ze sobą kontaktu, regularnie spotykając się w Domu Polskim w Newtown. Organizowaliśmy tam potańcówki i śpiewy oraz koncerty polskie, na które przychodzili również Nowozelandczycy. Jednak najwięcej atrakcji dostarczały nam coroczne pikniki polskie. Już samo przebywanie ze sobą sprawiało nam radość. Życie było wówczas piękne, pracy nie brakowało dla nikogo. Niezależnie od tego, jakie zawody wykonywaliśmy, zyskiwaliśmy opinię sumiennych i oddanych pracowników. Przyczynialiśmy się do wzrostu i rozwoju naszej nowej ojczyzny.

Pracując z Nowozelandczykami, zawarłam wiele znajomości. Niedługo potem moja przyjaciółka wyprowadziła się i wzięła ślub ze swoim austriackim narzeczonym. Zmieniłam wtedy mieszkanie za dwa funty tygodniowo. Wszystko, co wtedy miałam, to jedną walizkę i torbę podróżną. Pięć miesięcy później poznałam Ludwika Kowalewskiego, polskiego uchodźcę z niemieckich obozów pracy przymusowej. Szaleńczo się w sobie zakochaliśmy. Półtora roku później, w 1955, wzięliśmy ślub w bazylice Najświętszego Serca w Wellingtonie. Wydaliśmy na świat czterech synów i jedną córkę.

W roku 1966 odwiedził mnie mój brat, z którym rozłączono mnie w czasie II wojny światowej, a który obecnie mieszka w Południowej Afryce. Po tak długim czasie w końcu udało mu się mnie odnaleźć. Nie widzieliśmy się od dwudziestu sześciu lat, więc nietrudno sobie wyobrazić łyzy szczęścia i wzruszenia, które towarzyszyły naszemu spotkaniu. Rozmawialiśmy do wczesnych godzin porannych, delectując się każdą chwilą spędzoną razem. Ciężko było ponownie się rozstać, ale każde z nas miało już swoje własne życie. Ja założyłam rodzinę w Nowej Zelandii, on w Południowej Afryce. Jednak odtąd byliśmy w stałym kontakcie, korespondując ze sobą.

Oboje z mężem daliśmy dzieciom solidne wykształcenie, dzięki czemu mogły zdobyć dobrze płatne prace. Mam ośmioro wnucząt i jestem bardzo dumna ze swojej rodziny – są nie tylko porządnymi obywatelami, ale również kochającymi i troskliwymi ludźmi. Na moje 60-te urodziny zrobili mi niespodziankę i urządzili dla mnie specjalne przyjęcie – czułam się wtedy jak księżniczka na balu. Jestem obdarzona dobrym mężem i dziećmi, którzy wniesli wiele radości w moje życie.

Odnajduję zaginioną siostrę

Aleksandra Kraczko

Kiedy z matką i siostrami, Marysią i Heleną, uciekałyśmy z sowieckiego obozu, Marysia wysiadła na chwilę z pociągu, by kupić coś do jedzenia. Niestety pociąg ruszył i odjechał bez niej. Później dowiedziałyśmy się, że udała się na południe, wzdłuż głównej trasy ucieczki, którą podążaliśmy, i próbowała nas dogonić. Nie udało jej się, gdyż byłyśmy już ewakuowane do Iranu, a nasza matka zmarła. Tak oto Marysia pozostała zdana sama na siebie w obcym kraju.

Gdy w 1944 roku, wraz z grupą polskich dzieci przybyłyśmy z Heleną do Nowej Zelandii, nie wierzyłyśmy, że jeszcze kiedykolwiek ujrzymy Marysię. Jednak w 1968 roku otrzymałyśmy list z Czerwonego Krzyża. Powiadamiano nas w nim, że Marysia, która po naszej ewakuacji pozostała w Rosji, poszukiwała nas i prosiła, żeby podać jej nasz adres. Helena podeszła do tego sceptycznie, gdyż nie wierzyła, że Marysia wciąż żyje. Twierdziła, że to na pewno ktoś inny. Aby to sprawdzić i upewnić się, zapytałyśmy naszą nowo odnaną siostrę, którą rękę złamałam na początku wojny. Odpisała poprawnie jak to było. Hela i ja skakałyśmy z radości.

Okazało się, że Marysia powiedziała o nas pewnemu mężczyźnie z Polski, który odwiedzał swoją rodzinę w Rosji. Zaczął się rozpytywać i w końcu udało mu się nas odnaleźć. W 1973 roku pojechałam do Polski, by się z nią spotkać. Zatrzymałam się u rodziny tego wspaiałomyślnego mężczyzny. Przybyłam i czekałam na siostrę.

W końcu nadszedł dzień spotkania. Gdyby nie fotografie, które mi przysłała wcześniej, nie byłabym w stanie jej rozpoznać. Marysia nie mówiła po angielsku, ja nie znałam rosyjskiego. Gdy mówiłyśmy po polsku, nie zawsze się rozumiałyśmy. Rosyjski stał się dla Marysi pierwszym językiem. Na szczęście ten dobry człowiek, który odnalazł naszą siostrę, pełnił funkcję tłumacza, gdy było to konieczne.

Marysia wyznała mi później, że nigdy nie podawała rosyjskim urzędnikom powodu, dla którego chciaaby wyruszyć do Polski (podanie celu podróży było w tamtych czasach obowiązkowe). Mimo to pewnego dnia w jej biurze zjawił się policjant i oznajmił, że dokumenty są gotowe i że może jechać do Polski, by zobaczyć się ze swoją siostrą z Nowej Zelandii. Ze względu na ówczesną cenzurę wszystkie moje listy były otwierane i czytane przez władze komunistyczne.

Trudności w odszukaniu rodziny

Kazimierz Krawczyk

Jedną z największych tragedii, jakiej może doświadczyć dziecko, jest niewątpliwie utrata rodziny. Jak wielką, nie jest w stanie pojąć ten, komu udało się jej nie przeżyć. Dotknęła mnie ona tym bardziej, gdyż urodziłem się w dobrej, porządnej i troskliwej rodzinie, w bezpiecznym wiejskim otoczeniu, gdzie ludzie żyli w harmonii, wspólnie pracowali i znali jedni drugich.

Ponieważ zachowałem w pamięci te cenne wspomnienia, zaakceptowanie i dostosowanie się do obcych warunków narzuconych mi przez naszą deportację do Rosji, która odwróciła moje życie do góry nogami, okazało się nie lada wyzwaniem. Najpierw straciłem ojca, którego ubóstwiałem i który był dla mnie przewodnikiem i niezniszczalnym autorytetem. Potem patrzyłem, jak dwaj moi trochę starsi bracia umierają jeden po drugim, w tym samym łóżku, obok mnie. Byłem w pełni świadomy, że taki sam los czeka naszą jedyną siostrę.

Już sam widok cierpiącej i wyczerpanej twarzy matki rozdzierał serce. Ból spotęgowany był jeszcze rozdzieleniem z nią oraz z dwoma pozostałymi przy życiu starszymi braćmi: Henrykiem i Mietkiem. Wtedy nie zdawałem sobie sprawy, jak wielkie piętno odcisnie ta strata na całym moim życiu. Nie tylko zakłóciło to moje dzieciństwo, ale również w młodości odczuwałem brak wzorców. Najbardziej tęskniłem za braćmi, za tym, by mnie wysłuchali w potrzebie, doradzili, pomogli oraz przypominali o wartościach, wpajanych przez rodziców.

Odkąd tylko przybyłem do Nowej Zelandii, korzystałem ze wszystkich możliwych okazji, by przez Czerwony Krzyż odnaleźć żyjących członków mojej rodziny. Jednak poszukiwania za każdym razem kończyły się fiaskiem, prawdopodobnie z powodu niespokojnych warunków w spustoszonej przez wojnę Polsce. To utwierdziło mnie w przekonaniu, że cała moja rodzina wymarła w Rosji lub nie wiedziała o tym, że jej poszukuję. Po wielu latach, w desperacji wziąłem sprawę w swoje ręce i napisałem do dyrektora Radia Ukraina. Korespondowałem z nim, mając nadzieję, że przynajmniej pokieruje mnie w dobrą stronę. Obszar Polski, na którym był mój dom, należy teraz do Ukrainy. Po zbadaniu regionu, w którym się urodziłem, poinformował mnie, że nie mieszkają tam żadni Polacy.

Całkiem niedawno, zachęcony przez starego przyjaciela, któremu udało się odszukać swych bliskich, napisałem do Ministerstwa Obrony w Londynie.

Podawałem kolejno nazwiska wszystkich członków rodziny, jakie pamiętałem, z krótkim opisem ich sytuacji przed II wojną światową. Po niedługim czasie otrzymałem z urzędu wiadomość, że moi dwaj najstarsi bracia poszukiwali mnie już od połowy 1957 roku.

Dane, uzyskane z Ministerstwa Obrony, potwierdziły, że nazwiska, które miałem w pamięci były poprawne. Z ich rejestru poznałem również nazwisko panieńskie mojej matki. Od tego momentu moje nadzieje odżyły i naciskałem biurokrację, by przyspieszyła działania w mojej sprawie.

Kładłem nacisk na czas z powodu wieku braci i ponaglałem życzliwego urzędnika ministerstwa, by przyspieszył procedury i ujawnił mi miejsce zamieszkania moich braci. Zostałem załamany odpowiedzią, ponieważ okazało się, że jeden z braci, który służył w Wojsku Polskim pod komendą brytyjską we Włoszech, mieszka w Kanadzie. Zacząłem mieć dość tej wcześniejszej utrudniającej polityki, wymijających odpowiedzi i nie ujawniania niczego. Do diabła z tą biurokracją – pomyślałem – nie mam zamiaru dalej być przez nich zniechęcany.

4 lipca 1999 roku zadzwoniłem do centrali telefonicznej w Ontario w Kanadzie, podałem operatorowi nazwisko brata i poprosiłem, by mnie z nim połączył. Ponieważ było wielu mężczyzn o tym samym nazwisku, miły operator zaoferował, że poda mi adresy ich wszystkich. We właściwym czasie napisałem do 13 domostw. Z zapartym tchem czekałem na odpowiedź. Byłem uradowany z efektu mojego pierwszego listu. Nie tylko odnalazłem ulubionego brata Mietka, ale również przyjaciela rodziny, szanowanego sąsiada z naszej wioski oraz bliskiego kuzyna, który mieszka niedaleko mojego brata w Ontario.

Gdy dostałem od Mietka „list mojego życia”, w którym opisał swoje dzieje po rozpadzie naszej rodziny, byłem przepełniony podnoszącym na duchu uczuciem. Czytałem go na okrągło, napawając się każdym pojedynczym słowem, jakby były święte. Już nie byłem sierotą, zagubioną duszą w tym wielkim świecie. Teraz miałem dowód, że pochodzę z troskliwej i dobrej rodziny.

Natychmiast do niego zadzwoniłem i rozmawialiśmy przez sześć godzin bez przerwy. Wraz z żoną bezzwłocznie zaczęliśmy przygotowania do podróży. W międzyczasie wymieniliśmy się zdjęciami i na nowo poznawaliśmy się, tym razem listownie.

Przez cały lot do Toronto w Ontario byłem podekscytowany i wyobrażałem sobie nasze pierwsze spotkanie. Na lotnisku nie mieliśmy najmniejszych problemów z rozpoznaniem siebie. Całkiem zapomnieliśmy o obecności naszych żon, ściskaliśmy się w tradycyjny, polski sposób, przykuwając wzrok gapiów, nieprzyzwyczajonych do okazywania uczuć w miejscu publicznym.

Dwugodzinna podróż z lotniska do jego farmy przebiegła pod znakiem wspomnień typu: „Pamiętasz to, a pamiętasz tamto?” Mietek i jego żona Mary przyjmowali nas bardzo serdecznie, gościnnie. Na twarzy mojego brata widać było ślady ciężkich przeżyć i cierpień wojennych. Moja córka, mieszkająca w Londynie, dołączyła do nas i dalej, wspominając, zwiedziliśmy kilka ciekawych miejsc – Kanadyjską Wieżę Narodową, wodospad Niagara. Było mi bardzo miło poznać jego dorosłe dzieci i ich cudowne rodziny. Przez cały nasz pobyt przepełniało mnie poczucie spełnienia oraz przynależności do ciągle powiększającej się rodziny.

Od tej pory nie traciłem więcej czasu i zacząłem poszukiwanie mojego starszego brata Henryka. Teraz, gdy dowiedziałem się, że był u kresu swego życia, wymagało to dodatkowego pośpiechu. Musiałem zobaczyć go żywego. Uczynny urzędnik z londyńskiego Ministerstwa Obrony przekazał mi wszystkie informacje, jakie uzyskał i nie mógł zrobić dla mnie nic więcej niż przyspieszyć proces przesłania kopii moich informacji prosto do Czerwonego Krzyża w Warszawie. Muszę przyznać, że to okazało się najbardziej pomocne w moim ostatecznym spotkaniu z Henrykiem i jego uroczą żoną, do której wszyscy zwracają się „babcia”. Gdy oboje z żoną czyniliśmy przygotowania do zjazdu byłych dzieci polskich z Isfahanu, który miał się odbyć w maju 2002 roku w Londynie, korzystając z okazji chcieliśmy odwiedzić tam córkę i pozwiedzać. O godzinie 2 w nocy obudził nas telefon. Kto nierozsądny może dzwonić o tej godzinie? – pomyślałem. Ku mojemu zdziwieniu był to mój najstarszy brat Henryk ze Szczecina. Nie mógł dłużej czekać, gdy dowiedział się, że żyje i poszukuję go, więc sam zadzwonił do mnie natychmiast.

Nie mogliśmy rozmawiać tak długo jak z moim bratem z Kanady, ale wystarczająco, by zaznajomić się ze sobą i wymienić wszystkie istotne informacje, adresy i numery telefonów. Podczas tej rozmowy trząśłem się z podniecenia. Co za błogosławieństwo! Poczułem, że Bóg w końcu nagradza mnie za wszystko, co mi w życiu odebrano.

Nie mogłem zasnąć tej nocy z natłoku myśli. Teraz miałem jeszcze większą rodzinę. Jak zdołamy przeżyć dwa ważne spotkania w tak krótkim czasie? Nagle wycieczka do Polski, w celu odwiedzenia brata w Szczecinie, stała się dla mnie najważniejsza i wszystkie plany obracały się wokół niej. W międzyczasie korespondowaliśmy ze sobą, wymieniając więcej stosownych informacji. Henryk i Mietek również na nowo się połączyli.

Na dworcu kolejowym w Szczecinie zostaliśmy powitani przez całą najbliższą rodzinę mojego brata. Później nastąpiło najwspanialsze i najbardziej pamiętne dla mnie i mej żony powitanie. Zgodnie z polską tradycją dostała bukiet świeżych kwiatów od Ewelinki, wnuczki mojego brata. Potem córka Henryka i jej mąż Mirek zawieźli nas na spotkanie z moim najstarszym

bratem Henrykiem, z jego żoną, seniorką rodu. Henryk stał cierpliwie przed furtką i czekał na bieg wydarzeń.

Nie muszę nawet mówić, że nasze spotkanie było w najwyższym stopniu wzruszające i z trudem powstrzymywaliśmy łzy szczęścia i wielkiej radości. Byliśmy tak zajęci wspólnymi wspomnieniami, że prawie zapomnieliśmy przedstawić sobie nasze żony. Odtąd na nowo byliśmy jedną, zgodną rodziną: bracia, żony, wujkowie, teściowie, ciotki, bratankowie, bratanice, wnuki, kuzyni i tylu uroczych krewnych, że życie znów stało się piękne. Nigdy nie myślałem, że będę kiedykolwiek nazywany wujkiem, a już na pewno nie dziadkiem. Byłem bardzo zadowolony, że moja żona została natychmiast zaakceptowana i muzyką dla mych uszu było, gdy najmłodsi nazywali ją ciocią Mają.

Ciekawe, że tak zjazd rodzinny jak i londyński połączyły się w jedną całość, rozłożyły się dobrze w czasie, nastąpiły jeden po drugim z dwoma tygodniami przerwy, spędzonymi z rodziną brata. Pokrzepiające było to, że wszyscy krewni przyjęli nas z radością. Ewelinka i mój bratanek Radek świetnie mówili po angielsku i pełnili funkcję tłumaczy dla ich nowej cioci, gdy Henryk i ja przywoływaliśmy historie z naszego życia przy kieliszku i zakąskach.

Wielkość rodziny oraz wzajemne oddziaływanie na siebie jej członków przewyższyły moje oczekiwania. Widać było szanującą się rodzinę. Pomimo niedoli, jakiej doświadczył Henryk podczas wojny i wielu następnych lat, zachował nasze rodzinne wartości i zwyczaje. To w połączeniu z jego dżentelmeńskim usposobieniem, umiejętnością słuchania, obiektywną postawą i akceptacją sprawiło, że poczułem pokorę i wstyd, iż nie żyłem zgodnie z rodzinnymi tradycjami.

Zazdrościłem mu popularności i szacunku, z jakim witali go ludzie z różnych warstw społecznych. Siła rodziny została wzmocniona przez pracowitego zięcia Mirka. Jest to zapracowany człowiek, prowadzący trzy różne interesy z pomocą kierowników i odpowiedzialnych doradców, z których każdy to członek rodziny. Jego postawa wyraża godne podziwu zaangażowanie w promowanie rodzinnego dobrobytu i bliskości. Czasami do wściekłości doprowadzała mnie myśl, że przez całe życie byłem rozdzielony z braćmi i ich rodzinami. Błędy we wzajemnym komunikowaniu się różnych organizacji, do których kierowałem swoje pytania we wcześniejszych latach, pozostawiły po sobie niesmak.

Później dotarło do mnie, że moje dawniejsze poszukiwania trafiły chyba prosto do kosza. Kto do diabła miał prawo tak długo trzymać nas w niepewności z dala od siebie? Cóż to była za okrutna i nieczuła polityka! Czy oni naprawdę sądzili, że czas zagoi te rany? Czy też może tak bali się naszych

Dwie ojczyzny: Polskie dzieci w Nowej Zelandii

roszczeń wojennych z powodu cierpienia i licznych ofiar, których doznawali niewinni Polacy? Teraz, gdy na nowo się zjednoczyliśmy, przychodzi mi na myśl, ile straciliśmy i jak wiele mogliśmy razem osiągnąć. W jaki sposób można to wynagrodzić?

Od pamiętnego zjazdu cały czas utrzymujemy kontakt w sposób najdogodniejszy dla każdej grupy wiekowej – poprzez pocztę elektroniczną z młodymi oraz poprzez stare, dobre listy z seniorami. Nigdy nie zapominamy o urodzinach, specjalnych okazjach i świętach. Dotrzymuję również zobowiązania, by dzwonić do brata 3-go każdego miesiąca w celu uczczenia pamięci naszego ponownego zjednoczenia, ale nie o 2-ęj w nocy.



Koledzy z Bursy Polskich Chłopców w Hawera.

Od lewej: Bronisław Gmyterko, Kazimierz Krawczyk, Antoni Rybiński

Złota rączka

Edward Kukielko

W 1947 roku musiałem opuścić Obóz Polskich Dzieci w Pahiatua. Mnie i sześciu moich kolegów zapisano do gimnazjum Braci Marystów w Greymouth na Wyspie Południowej. Starszych chłopców przydzielono do pracy.

Zamieszkaliśmy u katolickich rodzin nowozelandzkich. Zapisano nas do trzeciej klasy. Niektórzy radzili sobie całkiem nieźle w nowej sytuacji – jeden był dobry z matematyki, inni, jak Tadeusz Rozbicki, świetnie grali w rugby. Zyskiwali tym sobie natychmiastową akceptację otoczenia, jak i pewność siebie.

Nie mieliśmy żadnych dodatkowych lekcji, które pomogłyby nam w opanowaniu angielskiego i często nie rozumieliśmy polecenia nauczycieli. Przez to nie byliśmy w stanie czegokolwiek się nauczyć. Byliśmy zagubieni i zniechęceni. W imieniu nas wszystkich napisałem do pana Zaleskiego, polskiego delegata w obozie w Pahiatua, i opowiedziałem mu o naszym ciężkim położeniu. Pod koniec roku przysłano mi bilet na prom do Wellingtonu. Miałem zostać stolarzem.

W Wellingtonie przydzielono mnie do Bursy Chłopców Polskich w dzielnicy Island Bay. Olga Łaszkiwicz, polski pracownik opieki społecznej na okręg Wellington, poleciła mnie wszystkim miejskim stolarniom. Miałem już jednak ponad 16 lat, co znaczyło, że stolarnie musiałyby mi płacić więcej, aniżeli młodszym uczniom. Dlatego żadna z nich mnie nie przyjęła. Nie zmartwiłem się tym jednak, gdyż czekało na mnie mnóstwo innych zajęć.

Od jednego z chłopców z bursy dowiedziałem się o fabryce farby International Paints w Miramar, w Wellingtonie. Złożyłem podanie i zostałem przyjęty. Była to moja pierwsza prawdziwa praca. Wkrótce jednak odkryłem, że zapach farby działa na mnie usypiająco. Pewnego razu mężczyzna, który pracował przy innym zbiorniku, zasnął i obudził się w morzu czerwonej farby. Przestraszył się, próbował ją przeskoczyć, ale zamiast tego wpadł w nią. Wraz z kolegami z bursy stwierdziliśmy, że muszą być jakieś lepsze zajęcia.

Później, dzięki mojemu koledze Kazimierzowi Walczakowi, który mnie do tego namówił, zacząłem pracować na pocztce. Wielką atrakcją było to, że telegramy rozwoziłem samochodem. Wcześniej bez problemu zdałem egzamin na prawo jazdy, które załatwił mi urząd pocztowy.

Choć nigdy nie robiłem tego celowo, pracę zmieniałem często po to, by więcej zarabiać albo, by dołączyć do kolegów. Z czasem nabywałem coraz

więcej umiejętności. Próbowałem swoich sił jako magazynier w fabryce samochodowej General Motors, potem w fabryce obuwia spółki Hannah oraz jako robotnik przy rozładunku okrętów. Dzięki latom spędzonym w ZSRR, w sierocińcach w Iranie oraz w Obozie Polskich Dzieci w Pahiatua, wyrobiłem w sobie zaradność i pracowitość, co później powszechnie doceniano.

Jedyną niedogodnością tak częstej zmiany miejsca pracy było to, że za każdym razem musiałem uzyskać od policji wpis do Świadectwa Rejestracji, (co było wymagane przez Ustawę o Cudzoziemcach z 1948 roku).

Z jednego zajęcia zrezygnowałem jednak z całkiem innego powodu niż ten, że miałem coś lepszego w zanadru. Była to praca w doku, w którym naprawia się i czyści statki w zatoce Evans Bay w Wellingtonie. Wraz z Marianem Tarasiewiczem zatrudniliśmy się jako robotnicy. Statek naciągano na pochylnię, a ja i Marian musieliśmy schodzić do zęzy (części okrętu pomiędzy najniższym pokładem a dnem) i usuwać muł. Żadnego sprzętu ani ubrań ochronnych, za to potworny smród. Podziękowaliśmy.

Grupka nas, polskich chłopców, zgłosiła się do pracy w Leśnictwie Nowej Zelandii w Golden Downs w Nelson na Wyspie Południowej. Lubiliśmy to zajęcie; przycinaliśmy drzewka i zbieraliśmy ziarna w szkółce leśnej. Potem wróciłem do Wellingtonu i sam znalazłem sobie następną pracę; jeździłem ciężarówką dla Kolei Nowozelandzkiej.

Często rozmawiałem z panią Rudnicką, moją byłą nauczycielką z obozu. Jej dwaj synowie osiedlili się nad jeziorem Taupo. Zawsze bardzo chwaliła piękno tego miejsca. Zakupiłem tam kawałek ziemi, planując wybudowanie swojego, własnego domu. W spółce Taupo Concrete Products nauczyłem się stawiać pale pod fundamenty, kominy, słupy ogrodzeniowe i brałem udział w każdym etapie produkcji. Z całym tym doświadczeniem, które gromadziłem przez lata, byłem w stanie wybudować swój pierwszy dom, jeszcze zanim się ożeniłem.



Siedmiu polskich chłopców w gimnazjum Braci Marystów w 1947 roku.

Z tyłu stoją nauczyciele.

Drugi rząd, od lewej:

Edward Kukielko, Artur Gawlik, Tadeusz Ziolo

Pierwszy rząd, od lewej:

Jan Turkawka, Kazimierz Depczyński, Tadeusz Rozbicki, Jan Sajewicz

Historie rodzinne

Danuta Kupidura (Łakoma)

24 maja 2002 roku rodzeństwo Łakomych (moi bracia Józef i Anicet, najmłodsza siostra Zenona oraz ja), wspólnie z dziećmi, wnukami i przyjaciółmi, przybyło na zjazd do Polskiego Klubu Ashfield w Sydney.

Moja córka Anna i syn Tadeusz zrobili nam niespodziankę i opracowali historię naszego życia na zesłaniu w Rosji. Wszyscy dostaliśmy pamiątki, nawiązujące do tego, czego doświadczyliśmy i co stało się częścią naszej rodzinnej historii.

Ja dostałam lalkę ubraną w tradycyjny polski strój. Opowiedziałam kiedyś dzieciom, jak pewnego dnia w obozie pracy przymusowej na Syberii mama krzyczała na mnie, gdy zrobiłam sobie lalkę z ziemniaka imitującego tułów oraz z patyków zastępujących ręce i nogi. Jedzenie było tam na miarę złota, tak, że liczył się każdy najmniejszy ziemniak. Tak pięknej lalki, którą teraz otrzymałam, nigdy wcześniej nie miałam.

Józef dostał książkę z fotografiami oraz przepisami na wszystkie rodzaje chleba, jakie tylko istnieją na świecie. W 1942 uciekaliśmy z Syberii w poszukiwaniu ojca, którego wcielono do nowo utworzonego Wojska Polskiego na Uchodźstwie. Pociąg się zatrzymał. Józef wyskoczył, żeby kupić parę bochenków chleba, ale nie zdążył wsiąść z powrotem, gdyż pociąg zaczął się oddalać. Nasza matka była zrozpaczona i ubolewała, że już nigdy go nie zobaczymy. Jednak Józefowi udało się dostać do następnego wagonu i dołączyć do nas z bochnami chleba w ręku.

Anicetowi подарowano słoik konfitury z jagód. Podczas ewakuacji do Iranu poważnie zachorował, a nie mieliśmy dostępu do lekarstw. Wcześniej mama zapakowała kilka słoików jagód i dzięki nim nasz brat powrócił do zdrowia.

Zenona dostała porcelanowy dzbanek na mleko. Miała tylko 11 miesięcy, gdy deportowano nas z Polski i mniej, niż trzy lata, gdy ewakuowaliśmy się do Iranu. Pociąg przystanął i mama kazała mi wsiąść i kupić dla Zenony trochę mleka od Rosjanki. Nieoczekiwanie pociąg ruszył, a ja usiłowałam wgramolić się do wagonu, cały czas ściskając w dłoni dzban mleka. Dwaj polscy żołnierze podnieśli mnie i wsadzili do pociągu.

Wiele razy nasze życie dosłownie wisało na włosku. Tylko dzięki Opatrzności Bożej udało nam się w końcu znaleźć spokojną przystań. Była przy nas matka. Ojciec został ranny w bitwie pod Bolonią we Włoszech, ale wyzdrowiał i po zakończeniu wojny dołączył do nas w Nowej Zelandii.

Matka Polka

Jadwiga Lynch (Lutomska)

Cieszyłam się, gdy znalazłam się w Nowej Zelandii. Od samego początku bardzo mi się tu podobało. Mieliśmy wygodne łóżka do spania i, co najważniejsze, nikomu nie brakowało jedzenia. Zawsze można było ustawić się w kolejce po dokładkę. No i okolica Obozu Polskich Dzieci w Pahiatua była przepiękna.

Udało mi się ukończyć nowozelandzkie gimnazjum i dostać dobrą posadę maszynistki. Potem poznałam i poślubiłam wspaniałego Nowozelandczyka. Byliśmy szczęśliwym małżeństwem, doczekaliśmy się trojga dzieci. Na szczęście Gerard zawsze czuł się dobrze pośród licznej grupy moich polskich przyjaciół. Doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że to, co przeżyłam podczas II wojny światowej wytworzyło wyjątkowo silną więź, między mną, a moimi polskimi przyjaciółmi. Rozumiał również, jak ważne dla mnie jest podtrzymywanie polskiego dziedzictwa.

Lata, w których wychowywaliśmy nasze dzieci, były dla nas wypełnione pracą. Ponosząc odpowiedzialność za trójkę uczącej się młodzieży, jednocześnie czynnie uczestniczyliśmy w życiu niewielkiej wspólnoty polskiej w Hamiltonie. Braliśmy udział we wszystkich imprezach i przyjęciach, gdy odwiedzali nas szczególnie goście, tacy jak biskupi czy księża. Jeździliśmy specjalnie aż do Auckland, by móc uczestniczyć w balach. Przez krótki czas mieliśmy nawet Polską Szkołkę Sobotnią w Hamilton, do której zapisane były nasze dzieci. Niestety zabrakło im czasu, żeby nauczyć się polskiego.

Tak Gerard, jak i nasze dzieci, nawiązali wiele polskich przyjaźni. Z niektórymi osobami są w kontakcie do dziś. Ani mój mąż nigdy nie narzekał na swoją polską żonę, ani dzieci nie narzekały na swoją polską matkę.

Skrawki pamięci

Zenona Łakoma

Nie pamiętam wiele z lat spędzonych w Obozie Polskich Dzieci w Pahiatua, bo byłam w tym czasie jeszcze małą dziewczynką. Ale niektóre wydarzenia zapamiętałam bardzo wyraźnie.

Wizyta premiera Petera Frasera w obozie była pamiętnym wydarzeniem – należałam do grupy witających dzieci, a później tańczyłam dla naszego gościa. Nauczycielka języka angielskiego zaprosiła naszą klasę na swój ślub do Wellingtonu, gdzie dałyśmy koncert dla gości weselnych. Mam jeszcze zdjęcia z tego występu. Nigdy nie zapomnę stania w kolejce po swoją dawkę tranu. Należało otworzyć usta i pani wlewała nam tę wstrętną mieszankę do ust, dając kawałek chleba dla zabicia smaku. Od tej pory nie znoszę tego smaku i zapachu, ale jestem wdzięczna naszym wychowawczyniom za ich niewdzięczną troskę nad nami.

Pamiętam barak, który był naszą jadalnią. Po posiłkach zanosiliśmy swoje naczynia do kuchni. Pewnego dnia odnosiłam talerz z nietkniętym kalafior, którego nie lubiłam. Podeszła do mnie nasza wychowawczyni, pani Lewandowska. Zapytała, gdzie z tym idę i dlaczego odnoszę talerz z jedzeniem. Odpowiedziałam, że nie lubię kalafiora. Kazała mi wrócić do stołu i czekać na nią. Wróciła z talerzem pełnym kalafiora, siadła naprzeciw mnie, zaczęła jeść i powiedziała – Teraz bierz przykład ze mnie, zjedz swój kalafior i dziękuj Bogu, że masz co włożyć do ust – nie odejdiesz od stołu, dopóki nie skończysz. Od tej pory uwielbiam kalafiora oraz większość innych pokarmów i nie narzekam.

Chodziliśmy pływać nad rzekę i na majówki. Pamiętam, że byłam za mała, żeby pływać, ale jeden ze starszych chłopców brał małe dzieci na barana i przeprowadzał na drugi brzeg tam i z powrotem. Gdy przyszła kolej na mnie byłam niecierpliwa i nie czekałam na „św. Krzysztofa”, tylko weszłam sama do wody i brnęłam do niego. Wpadłam w dziurę i zaczęłam tonąć.

Dzięki Bogu ten silny i bystry chłopiec wydobył mnie z wody i oddał matce, która zrozpaczona czekała na brzegu i owinęła mnie w ręcznik. Szybko przyszedł do siebie i jestem wdzięczna temu chłopcu za uratowanie mi życia.

Szczęściarz

Anicet Łakomy

Gdy wybuchła II wojna światowa miałem zaledwie dwa lata, byłem więc za mały, żeby pamiętać okropności deportacji mojej rodziny na przymusowe roboty na Syberię. Ale to, o czym opowiadali moi rodzice i po przeczytaniu wielu książek o tych czasach, przekonało mnie, jakie miałem szczęście, że znalazłem się w Nowej Zelandii.

Pamiętam tyle, że mój pobyt w tym nowym kraju był szczęśliwy. W obozie mieliśmy jedzenia pod dostatkiem, bawiliśmy się i śmialiśmy, ale najważniejsze, że byliśmy wolni, choć pojęcie wolności nie miało dla mnie w tym czasie żadnego znaczenia. Dorastając, łatwiej zapamiętywałem wydarzenia, które mam jeszcze wyraźnie przed oczyma. Pamiętam jedną wycieczkę nad rzekę, na którą poszedł chyba cały obóz. Gdy nadszedł czas powrotu, było nam tak dobrze, że niektórzy z mojej grupki postanowili pozostać na noc. Miałem osiem lat i chodziłem jak cień za starszymi ode mnie, bo oni oczywiście „wiedzieli, co robić”. Nie powiedzieliśmy nic naszym wychowawcom.

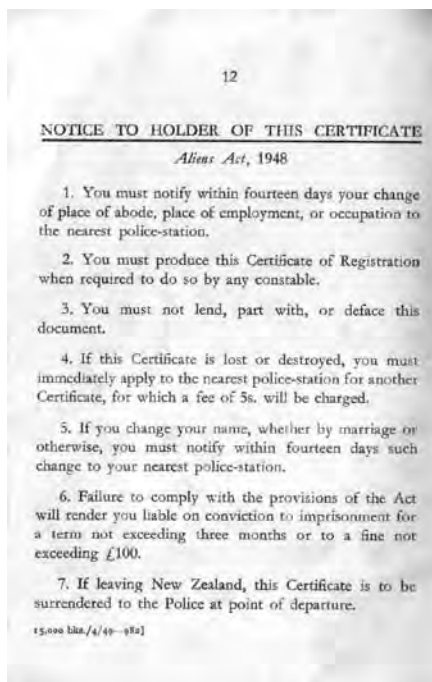
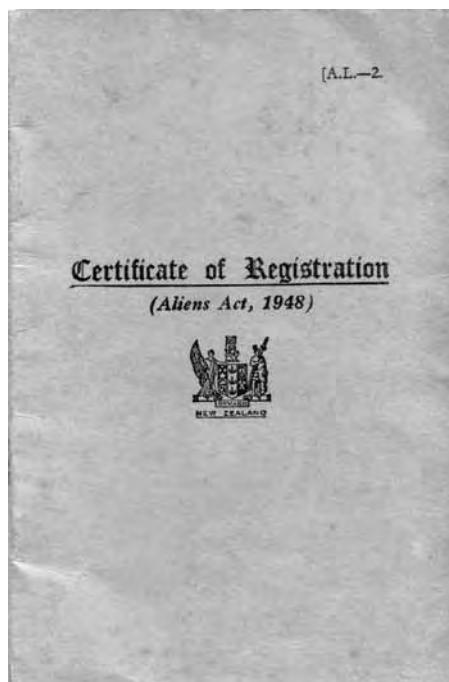
Pozostaliśmy nad rzeką, nałapaliśmy węgorzy, upiekliśmy je na ognisku i spaliśmy pod gwiazdami. Następnego rana powróciliśmy do obozu, udając, że nic szczególnego się nie stało. Nie pamiętam żadnych następstw tego zajścia, ale wyobrażam sobie, jakie zamieszanie i awanturę wywołałoby teraz zniknięcie chłopców na całą noc.

Pamiętam, kiedyś rozesłali nas po dwóch do rodzin nowozelandzkich na wakacje szkolne, dla zapoznania się z życiem w tym kraju. Nie pamiętam, z kim byłem wysłany, ale podejrzewam, że miał on takiego samego stracha przed nieznanym jak ja. Czułem się zagubiony. Grupę dzieci wysadzono na stacji w Wanganui, gdzie czekaliśmy na zjawienie się ludzi, którzy mieli nas zabrać do siebie. Z kolegą zostaliśmy ostatni. Siedliśmy na ławce i czekaliśmy. Ściemniło się już, a my nie wiedzieliśmy jak długo będziemy czekać.

W końcu przybyli jacyś ludzie, odczytali nasze kartki przypięte do piersi i zabrali do swego domu. Byli naprawdę gościnni, karmili nas do syta i w ogóle opiekowali się nami. Chwalili się nami przed znajomymi i wspólnie przeżyliśmy przyjemne wakacje. Nasza znajomość języka była bardzo ograniczona, ale będąc dziećmi jakoś dawaliśmy sobie radę. Jeszcze kilka razy wyjeżdżaliśmy na podobne wakacje, za które jestem tym ludziom bardzo wdzięczny.

Po opuszczeniu obozu moi rodzice Jan i Katarzyna oraz moje rodzeństwo: Danuta, Józef i Zenona osiedlili się w Ruakura niedaleko Hamilton, gdzie ojciec dostał pracę na rządowej farmie doświadczalnej. Postanowiłem wstąpić do zakonu Braci Marystów i byłem tam nauczycielem przez 12 lat. W roku 1968, po wystąpieniu z zakonu, ożeniłem się z Teresą Wiśniewską, z którą wychowaliśmy pięcioro dobrych dzieci: Renię, Stefana, Andre'a, Romana i Marię. W 1979 roku przenieśliśmy się do Australii, gdzie nadal mieszkamy. Podczas upalnych, letnich miesięcy tęsknimy za chłodniejszą Nową Zelandią.

Moje marzenie spełniło się, gdy z żoną i najmłodszą córką Marysią odwiedziliśmy moją ojczyznę po blisko 60 latach, od czasu zsyłki na Sybir. Byłem mocno wzruszony, że tu nareszcie jestem. Cieszyłem się, gdy ludzie chwalili mnie za dobrą znajomość rodzimego języka. Wraz z żoną zawsze staraliśmy się przekazać dzieciom ich korzenie, dumę i miłość do naszej ojczyzny. Gościliśmy u krewnych i zwiedziliśmy historyczne miejsca. Panorama Raclawicka zrobiła na nas ogromne wrażenie. Odwiedziliśmy oczywiście Jasną Górę, skąd wynieśliśmy szczególne wspomnienia.



Każdy nie będący obywatelem Nowej Zelandii posiadał kiedyś kartę rejestracyjną cudzoziemca. Musiał meldować policji każdą zmianę miejsca zamieszkania i innych danych osobistych. Wizyty na posterunku były najczęściej przykre, bo odczuwało się tam mocną niechęć do nas, obcych

Pewnego wieczoru poszedłem na przechadzkę po ulicach Sosnowca, gdzie mieliśmy krewnych. Padał deszcz i chodniki były opustoszałe. Kroczyłem przez bajora i cieszyłem się jak woda bryzgała wokół mnie. Buty, skarpety i nogawki miałem przemoknięte, ale byłem w takim nastroju, że nie zwracałem na to uwagi. Cieszyłem się chwilą. Wszędzie wokół mnie panowała cisza, którą zamąciłem śpiewając pełnym głosem polski hymn narodowy „Jeszcze Polska nie zginęła”.

Rozpoczął się wielki harmider, gdy do mojego śpiewu dołączyło się ujadanie psów. W domach pozapalały się światła i niektórzy ludzie wyszli na dwór. Nie zraziłem się tym, bo chyba czekałem na tę chwilę przez 60 lat. Wyśpiewywałem wszystkie pieśni nauczone w obozie w Pahiatua i za życia rodziców w domu. Nie wstydziłbym się usłyszeć nawet nieprzychylnych wypowiedzi tych ludzi.

Po 45 latach nauczania w szkole nareszcie odłożyłem krede oraz gąbkę i cieszę się emeryturą niedaleko Brisbane w Australii, otoczony moją rodziną i wnuczętami. Pojęcie wolności, którego nie rozumiałem będąc dzieckiem, teraz jest dla mnie bardzo ważne. Mam nadzieję, że moje dzieci nigdy nie doświadczą okropności wojny i że zawsze będą doceniać wolność

Jest dla mnie wielką tajemnicą, dlaczego myśmy przetrwali, podczas gdy miliony ludzi, będących w takim położeniu jak my, zginęły. Sądzę, że na zawsze pozostanie to tajemnicą. Żywię poczucie wdzięczności i co dnia odmawiam modlitwę dziękczynną: „Kochany Jezu, dziękuję Ci żeś wyprowadził z Rosji moją matkę i ojca, oraz całą mą rodzinę i zaprowadził w te strony świata”.

Jestem rzeczywiście szczęściarzem.

Kłopoty z językiem angielskim

Stanisław Manterys

Miałem 12 lat, gdy na początku 1948 roku po raz pierwszy przybyłem do Wellingtonu z Obozu Polskich Dzieci w Pahiatua. To, że trafiłem akurat do Wellingtonu, było spowodowane tym, że pracowały tam już moje starsze siostry, Rozalia i Krystyna.

W ówczesnym Wellingtonie tylko niektóre budynki miały więcej niż cztery piętra, ale mnie się wtedy jawiły jako drapacze chmur. Krajobraz tak bardzo różnił się od suchych bezkresów Azji i Iranu. Wellington był całkowitym przeciwieństwem – zatoka otoczona wzgórzami i zielenią, małe barwne domki przycupnięte cudownie na stromych zboczach (i, o dziwo, nie spadały z nich) – niczym kolorowy obraz świeżo zroszony czystym deszczem. Trudno mi było wyobrazić, jak da się prowadzić rower po tych stromych uliczkach.

Z dworca kolejowego odebrała mnie Eleanora Zaleska, oficjalna opiekunka dzieci polskich w Nowej Zelandii. Z pochodzenia była Szkotką i wdową po przedstawicielu Polskiego Rządu na Uchodźstwie. Mówiła pięknie po polsku, z lekkim szkockim akcentem i zachęcała nas, byśmy się starali dobrze mówić po polsku i uczyli poprawnie posługiwać się językiem angielskim. Była to jedna z nielicznych takich zachęt, gdyż wkrótce mieliśmy słyszeć zewsząd nawoływania: „mówcie po angielsku albo wracajcie do swojego kraju, wy cholerni cudzoziemcy!” A było to jedno z bardziej uprzejmych wyrażen, jakich używano.

Byłem pod wielkim wrażeniem pierwszej przejażdżki tramwajem. Każda następna jazda była przygodą samą w sobie – brzęk i grzechotanie, brawurowe wyskakiwanie, gdy tramwaj był jeszcze w ruchu, nawoływanie konduktora („opłaty za przejazd, proszę!”). Pamiętam trzypensowy zakup gorącej, smażonej ryby z frytkami owinięty w gazetę. Jedzenie to chowałem za pazuchę palta dla ciepła, gdy zimą czekałem na tramwaj w słocie, przy lodowatym, wyjąym wietrze z bieguna południowego. Wielkie wrażenie robiło na mnie tętno wielkiego miasta.

W ten pierwszy dzień wysiadłem z panią Zaleską z tramwaju i poszliśmy w górę stromą ścieżką, do mojego nowego mieszkania. Był to piętrowy drewniany dom, położony poniżej okazałego, czerwono-ceglastego klasztoru św. Gerarda, z panoramicznym widokiem na wellingtonski port. Przy samym wejściu powitała nas pani domu, owdowiała pani Parker, i jej siostra zwana ciocią Birdie („Ptaszek”), która mieszkała na dole. Patrzyły na mnie miłym,

acz zaskoczonym, a nawet lekko rozczarowanym wzrokiem. Dowiedziałem się później, że oczekiwały rośłego młodzieńca do prac domowych, do koszenia trawy lub innych tego typu zajęć, a ujrzały mało imponującego i zawstydzonego chłopca.

Nazbyt szybko pani Zaleska zostawiła mnie samego, pierwszy raz w życiu pośród obcych, którzy nie rozumieli ani słowa mojego języka i nie znali mojej kultury. Ja natomiast znałem tylko trochę słów w ich języku, a o ich kulturze nie miałem żadnego pojęcia. Zaczęły się nieporozumienia językowe, jakich miałem mieć w przyszłości wiele. Nowych słów uczyłem się szybko, ale rozumienie ich kulturowego znaczenia przyszło dopiero po nużących i bolesnych doświadczeniach.

Chociaż minęły już trzy lata od zakończenia wojny, masło można było dostać tylko na kartki, ale żyjąc do tej pory w obozowych warunkach nic o tym nie wiedziałem. Pierwszą rzeczą, o jaką spytała mnie pani Parker, była *'ration book'* (książeczka racji żywnościowych). Byłem zaskoczony i lekko zdenerwowany, że ona chce ode mnie *'Russian book'* (rosyjską książkę). Wymowa słów *'ration'* i *'Russian'* są do siebie bardzo zbliżone, ale ich wówczas nie rozróżniałem. Starałem się wyjaśnić łamaną angielszczyzną i za pomocą rąk, że minęło dopiero kilka lat, jak uciekliśmy ze strasznych rosyjskich obozów przymusowej pracy i nie chcemy mieć więcej z nimi nic wspólnego.

Wprawiając mnie w jeszcze większe rozdrażnienie, pani Parker zaczęła przetrząsać moją lichą, tekturową walizkę i wyjęła z niej książeczkę racji żywnościowych, o którą jej chodziło, a która dla mnie nie miała znaczenia. Zaczęły mi przychodzić do głowy chore myśli, że pani Parker używa taktyk rosyjskiej tajnej policji w przeszukiwaniu mojego małego dobytku. Musiała uznać mnie za dziwnego, ja przynajmniej nauczyłem się nowego słówka.

Była to miła i spokojna katolicka rodzina, wyrozumiała dla mojej angielszczyzny i dziwnego niekiedy dla nich zachowania. Dom był słoneczny, przyjemny i na szczęście z małym tylko trawnikiem. Zaprowadzono mnie do sypialni, którą miałem tymczasowo dzielić z jej dorosłym synem Kevinem. Tęskniłem za nim, gdy wkrótce ożenił się i wyprowadził z domu, ponieważ świetnie radził sobie z kosiarką na mokrej trawie, co było teraz moim zadaniem, i pokazywał mi, jak wykonywać inne prace domowe, o których w większości nie miałem pojęcia.

Problem z językiem odbierał mi pewność siebie. W obozie w Pahiatua mieliśmy tylko jedną lub dwie godziny angielskiego dziennie. Byłem z niego najlepszy w klasie, na równi z Ryśkiem Sierpińskim. Nagrodą było młodzieżowe wydanie *Przygód Robin Hooda*. Byłem bardzo dumny, że „piąte przez dziesiąte” zrozumiałem kilka pierwszych stron, dopóki nie pojawiła się bohaterka *'Marian'*. Nie rozumiałem, dlaczego słowo *'ona'* było używane

w książce dla określenia mężczyzny. Później dopiero dowiedziałem się, że 'Marian' jest angielskim imieniem żeńskim. To mnie zmyliło tak, że wówczas nie przeczytałem tej książeczki do końca. Sądząc, że książka jest napisana z błędami, nadal czułem się nieźle zorientowany w języku. Jednak, gdy zostałem pozostawiony sam, bez niczyjej pomocy, w tym obcym i przytłaczającym społeczeństwie, ta iluzja szybko wyparowała, pozostawiając mnie w niepewności i poczuciu wyobcowania. Moje dwie starsze siostry, same borykające się z językiem, również potrzebowały pomocy. Były one źle wynagradzanymi szwaczkami, pracującymi długie godziny. Były też niedożywione na skąpym wikcie hotelu robotniczego. Rzadko je widywałem.

Zacząłem się przyzwyczajać, że ludzie reagują zaskoczeniem i zdenerwowaniem lub uznają mnie za głupka, jeśli nie rozumiem ich jak mówią do mnie głośno, dobitnie i powoli. Ale nigdy nie przyzwyczailem się do reakcji ludzi, którzy ze złością udzielali nam nagany za mówienie po polsku w miejscach publicznych. Zwroty takie, jak „speak English” (mów po angielsku) czy „wracaj tam, skąd przyjechałeś” słyszeliśmy tak często, że przezwaliliśmy Nowozelandczyków 'szpikami' (parodia słowa 'speak', czyli 'mów'). Jestem pewien, że prędzej stalibyśmy się biegli w angielskim, i używalibyśmy mniej polskiego, gdyby nie ta presja. To była sprawa honoru; uważaliśmy naszą kulturę za nie gorszą, jeżeli w ogóle nie lepszą, od nowozelandzkiej. Byliśmy dumni z naszego polskiego języka, kultury i ciekawej historii, co dodawało nam pewności siebie.

Na rozpoczęcie szkoły pojechałem tramwajem do katolickiego gimnazjum św. Patryka, które było wówczas punktem orientacyjnym Wellingtonu – prawdziwy zamek z szarego kamienia, z wieżą i posągami św. Patryka na szczycie.

Pierwszy dzień był kolejnym ciosem dla poczucia mojej godności. Przy wejściu stało kilku miejscowych chłopców, ubranych w odpowiednie mundurki szkolne. Czułem się jak chłopak ze wsi, ubrany w zlepek munduru z wojskowych zakładów, który nosiliśmy codziennie w obozie, i który był na mnie za duży: siwa koszula, szare skarpetki i ciężkie buty. Kilka dziwnych spojrzeń popłynęło w moją stronę. Spodziewałem się drwin i śmiechu, ale chłopcy ci musieli być zbyt dobrze wychowani, bo kierowali w moją stronę tylko dziwne spojrzenia.

Pytałem się o drogę za pomocą kilku słów łamaną angielszczyzną, ale zamiast wyjaśnień doczekałem się tylko wpatrywania się we mnie z oznaką braku zrozumienia. Wkrótce pojawiła się grupa polskich chłopców ubranych w taki sam wojskowy komplet – teraz już wszystko było w porządku i poczułem ulgę, bo w końcu nie byłem sam. Św. Patryk przeżył tego dnia najazd trzydziestu polskich chłopców, dla których w większości to również

był pierwszy dzień. Wesoło kręciliśmy się wokół placu szkolnego, razem dla otuchy, nie za bardzo wiedząc, co ze sobą zrobić i starając się nie zwracać uwagi na miejscowych chłopców.

Zostaliśmy przydzieleni do klas dzięki pomocy starszego polskiego chłopca, Jana Lasoty, który pełnił rolę tłumacza. Ktoś musiał zapełnić jedno wolne miejsce w klasie z francuskim, więc moi koledzy z obozu zgłosili mnie, ze względu na nagrodę za język angielski, jaką otrzymałem w polskiej szkole w obozie. Reszta z nich miała uczyć się księgowości. Próbowałem protestować, bo myślałem, że księgowość to opiekowanie się książkami (angielskie 'book-keeping' – dosłownie: 'pilnowanie książek') i oprawianie ich w ciepłej, ogrzanej bibliotece, gdzie będzie można podgrzewać kielbaski na piecyku elektrycznym, przeznaczonym do rozgrzewania kleju służącego do przyklejania okładek. Przeklinałem mojego pecha i zazdrościłem reszcie.

Po dwóch tygodniach w klasie z francuskim nauczyciel w końcu się poddał, starając się nauczyć języka francuskiego chłopca, który ledwo mówi po angielsku i który po francusku potrafi jedynie powiedzieć: „Toto patrzy na drzwi”. Byłem szczęśliwy, kiedy przenosiłem się do klasy z księgowością i dołączyłem do innych polskich chłopców.

Ku mojemu rozczarowaniu nigdy nie oprawialiśmy książek, a zamiast tego, nauczyciel mówił dużo o 'panu Nabytku' i o wielu innych panach: pan 'Debet', 'Kredyt' i 'Konto', kimkolwiek oni byli. Aby bardziej zainteresować klasę nudnym tematem, nauczyciel mówił o zwrotach z księgowości jak o ludziach, co jeszcze bardziej nam gmatwało w głowach.

Na koniec roku nie miałem zielonego pojęcia, czym jest ta księgowość i zacząłem się jej lękać. Gdy w ostatnim roku szkolnym sugerowano mi karierę w księgowości, wybrałem prawo. Ten wybór okazał się pomyłką, gdyż język prawny i jego pojęcia bardzo się różniły od angielskiego literackiego, którego aktualnie się uczyłem. Na ironię, później zrobiłem spóźniony zwrot w stronę robienia kariery w księgowości. Być może, gdyby 'pan Nabytek' był zwykłym i zrozumiałym zakupem, moje przyszłe życie byłoby znacznie prostsze?

Na trzydziestu uczniów w naszej klasie dwudziestu było Polakami. Byliśmy zadowoleni z takiego układu, lecz to musiało być bardzo trudne tak dla nowozelandzkich chłopców, jak i nauczycieli. Nie byliśmy łatwą grupą do nauczania. Byliśmy pierwszą nie znającą języka angielskiego grupą dzieci uchodźców, która przybyła do Nowej Zelandii. System edukacyjny nie miał wówczas wzorca, jak postępować w takiej sytuacji. Wszyscy błądziliśmy i nieświadomie byliśmy przykładem dla nauczycieli przyszłych uchodźców i imigrantów. Gimnazjum było prowadzone przez katolickich księży. W tamtych czasach szkoły prywatne funkcjonowały bez dopłat rządowych. Wszyscy nauczyciele bardzo się starali odnaleźć w tej nowej sytuacji pracy

z polskimi chłopcami. Miarą ich sukcesu było to, że dzięki nim robiliśmy postępy i otrzymaliśmy świadectwa ukończenia szkoły, a wielu z nas zdążyło zdać maturę (nie wszyscy, bo wielu straciło lata szkolne przez Sybir).

Przez wiele miesięcy nosiliśmy obozowe ubrania i byliśmy atrakcją w mieście, dopóki rektor gimnazjum nie wymógł na naszych opiekunach, by wyposażyli nas w odpowiednie szkolne mundurki. Odtąd mniej rzucaliśmy się w oczy na mieście.

Przy końcu roku szkolnego znaleziono dla mnie miejsce w Bursie Polskich Chłopców w Wellington. Musiałem pokonywać dwa odcinki tramwajem, by dostać się do szkoły. Innym możliwym środkiem transportu był rower lub motor, jednak tylko kilku najstarszych chłopców było w ich posiadaniu. Personel był w pełni polski – niektórzy byli dawnymi wychowawcami z obozu w Pahiatua, inni to nowo przybyli z niemieckich obozów pracy przymusowej. Ci na równi z nami zaznajamiali się z życiem w nowym kraju.

Starsi chłopcy już pracowali, mieli gramofony i płyty, podrywali lokalne dziewczęta, chodzili na plażę Island Bay i czytali komiksy o kowbojach i Indianach. Pochłaniałem pożyczone komiksy i westerny. Komiksy *Kapitana Marvela* i westerny *Zane'a Greya* były najlepsze, choć niewiele z nich rozumiałem.

Był taki sklep papierniczy przy ulicy Majoribanks, który odwiedzałem regularnie, by czytać klasyczny komiks *Tajemnicza Wyspa* Juliusza Verne'a. To, że mało z niego w tym czasie rozumiałem, dodawało mu tajemniczości. Sklepiarz był przyjaznym człowiekiem i nie wyganiał mnie. Ten wzmożony pęd do czytania przygodowej lektury dał mi bodziec do czytania innych



Na torpedzie amerykańskiego transportowca wojsk *USS General Randall* w zatoce w Wellington. **Od lewej:** Stanisław Manterys i Michał Petrus. Patrzy na nich jeden z załogi

książek i przyczynił się do lepszego poznania angielskiego w piśmie, co dodało mi pewności siebie. Dobrze by było, gdyby to samo stało się z moją wymową.

Moja wiecznie czujna starsza siostra Krysia, której nasza konająca matka nakazała, podczas ewakuacji z Uzbekistanu, by opiekowała się mną i pozostałymi siostrami, myślała, że życie w bursie nie dawało mi się skupić i że moja nauka przez to cierpiała. Przekonała moją opiekunkę, panią Zaleską, by przenieść mnie w następnym roku do szkoły z internatem do gimnazjum św. Kevina w Oamaru na Wyspie Południowej. Nie żałowałem tej decyzji, gdyż cztery lata w tym gimnazjum były najlepszymi latami szkolnymi w moim życiu, a nauczyciele dali mi tam dobre wykształcenie i wgląd w nowozelandzki charakter.

Było nas tylko pięciu polskich chłopców w tej szkole. Aby dogonić nowozelandzkich rówieśników, nas dwóch z tej samej klasy, ja i Józek Zawada, nauczyliśmy się dziesięciu słówek dziennie, zapamiętując ich trudną pisownię poprzez fonetyczne czytanie po polsku. Na klasówce następnego dnia pisaliśmy je poprawnie. Ta metoda, wymyślona przez nas, była znacznie szybsza i prostsza, niż żmudne i oficjalne metody tutejszego systemu edukacyjnego i zazwyczaj byliśmy najlepsi z pisowni języka angielskiego, wprawiając całą szkołę w zdumienie. Ostatecznie ojczysty, polski język pomógł mi w nauce angielskiego. Mogłem teraz ponownie przeczytać *Przemyślenia Robina Hooda*, westerny Zane'a Grey'a i *Tajemniczą Wyspę* Juliusza Verne'a ze znacznie większym zrozumieniem.

Kiedy przyszła na mnie kolej wygłoszenia przed całą klasą referatu, co stanowiło część lekcji, wykułem na pamięć artykuł mi powierzony, bez rozumienia wielu słów i nie znając poprawnej ich wymowy. Moja przemowa okazała się totalnym fiaskiem, ponieważ nikt nie rozumiał, o czym ja mówię. Nie będąc z natury nieśmiałym na scenie, po tym wydarzeniu na zawsze czułem się nieswojo przed angielskojęzyczną widownią.

W 1990 roku wyruszyłem w podróż koleją transsyberyjską do Rosji (ówczesnego Związku Radzieckiego), w przeciwnym kierunku do szlaku naszej deportacji. Tym razem wygodnie, bo jako turysta. Odwiedziłem groby moich rodziców w Uzbekistanie i w końcu zakopałem duchy przeszłości. Nigdy nie biorę dobrobytu i bezpieczeństwa za pewnik.

Podczas tych wszystkich lat przeżytych w Nowej Zelandii byłem uważany i czułem się jak obcokrajowiec. Jednak, gdy po siedmiu latach spędzonych w wolnej już Polsce, przed moim odejściem na emeryturę w 2001 roku, powróciłem z żoną Haliną do Nowej Zelandii, dopiero poczułem się tu swobodniej, może dlatego, że tutejsze społeczeństwo zmieniło się ostatnio z powodu napływu znacznej ilości imigrantów z różnych części świata.

Pięć szkół na trzech kontynentach

Helena Martul (Sochoła)

Rodzice osierocili mnie przed wojną. Zaopiekowali się mną wujostwo Nicińscy, mieszkający w Kowlu na Wołyniu. Wraz z dwiema dorosłymi córkami, Lusią i Janką, na serio zajęli się moim wychowaniem.

Od siódmego roku chodziłam do szkoły powszechnej im. Ignacego Mościckiego w Kowlu. Była to nowiuteńka szkoła z bardzo dobrym wyposażeniem, nawet w muzyczne instrumenty. Szkoła i wszystko w niej wydawało mi się olbrzymie. W każdej klasie było po 50 dzieci. W suterenie prowadzono kurs gospodarczy dla siódmej klasy.

W pierwszym dniu szkoły dostałam od cioci maleńkie zawiniątko z kawałeczkiem chleba i szczyptą soli, co miało mi wróżyć dobre postępy w nauce. Lubiłam uczyć się i od samego początku byłam pierwsza w klasie.

Dwa tygodnie po napadzie Sowietów NKWD aresztowało wujka. 13 kwietnia 1941 roku rodziny aresztowanych mężczyzn wywieziono do Kazachstanu. Ciocia, Lusia i ja znalazłyśmy się w sowchozie Oktrjabrskij, w Pawłodarskim Obwodzie. Mieszkali tu Kirgizi oraz zesłani po rewolucji Rosjanie.

Polacy na ogół nie chcieli posyłać swych dzieci do rosyjskiej szkoły, ale Lusia powiedziała mi: „Mój ojciec i stryj kształcili się pod zaborem austriackim – szkoła jest szkołą, więc idziesz”.

Dzieci Rosjan i Polaków chodzą do szkoły rano, a dzieci Kirgizów po obiedzie. Z początku dzieci rosyjskie dokuczały nam, śpiewając: „Atamany ponad polskije pany” i przedrzeźniały nas. Jednak dwie nauczycielki, Rosjanki, obchodziły się ze wszystkimi dziećmi jednakowo.

Siedział z nami w klasie syn pilota Gromowa, sławnego na całą Rosję; nawet śpiewaliśmy o nim piosenki. Sława ojca poszła synowi do głowy i gdy coś nie szło po jego myśli, wstawał i mówił do nauczycielki: „Anno Konstantinowno, czy ty wiesz, kim ja jestem”? „Wiem, wiem,” odpowiadała nauczycielka – „siadaj, Gromow”.

Szkoła składała się z dwóch skromnie urządzonych pokoi: stół i ławki szkolne. Pisaliśmy ołówkami chemicznymi, które trzeba było ślinić i wargi robiły się nam sine. Nie było tablicy. Dostaliśmy po jednym zeszytce, ale używaliśmy go tylko do klasówek. Na co dzień pisaliśmy na propagandowych broszurach, których stosy leżały na stole w klasie. Mieliśmy tylko dwie „czytanki” na całą klasę. Siedziałam w ostatniej ławce i patrzyłam jak wszy

chodzą po czyimś kołnierzu. W zimie nie było ogrzewania. Zawsze byłam głodna. Pomimo tych trudności mój młody umysł wchłaniał wszystko i po pół roku dostałam najlepsze stopnie w klasie.

Ciocia i Lusia były pewne, że nie przeżyją i posłały mnie do najbliższego polskiego sierocińca w Pawłodarze. Założono tam też polską szkołę, którą wkrótce władze rosyjskie zamknęły wraz z sierocińcem.

Polska szkoła w Aszchabadzie, gdzie następnie los mnie rzucił, nawet nie rozpoczęła się. Na początku władze rosyjskie aresztowały cały polski personel. Została tylko jedna dorosła osoba i z pomocą starszych dzieci sierociniec trwał nadal. Koniecznie chciałam nauczyć się dobrze czytać. Jedna z moich koleżanek pożyczyła mi polską książkę – nie pamiętam tytułu, ani treści. Nic nie rozumiałam, ale przeczytałam tę książkę od deski do deski.

Z lipca na sierpień 1943 roku, nasza grupa 300 polskich dzieci-sierot została grupami (bo była tylko jedna ciężarówka) przemycona przez granicę do Iranu. Kwarantannę odbyliśmy w Meszhedzie, potem przewieziono nas do Teheranu, a stamtąd do zakładów w Isfahanie. Tu nareszcie rozpoczęła się szkoła. Miałam ukończonych 13 lat, więc przeznaczono mnie do szóstej klasy.

Starano się stworzyć dla nas jak najlepsze warunki do nauki. Lekcje prowadzono tylko rano. Siedzieliśmy przy długim stole, w korytarzu, bo tam było najchłodniej. Każda z nas miała zeszyt i ołówek, ale podręczników było mało.

Tuż przed odjazdem do Nowej Zelandii przeniesiono mnie do zakładu nr 6. Wkrótce rozpoczęła się następna długa podróż. W Nowej Zelandii mieliśmy doczekać końca wojny i stamtąd wrócić do Polski.

W Obozie Polskich Dzieci w Pahiatua nauka rozpoczęła się zaraz po przyjeździe. Mieliśmy idealne warunki: osobne bloki szkolne, do klas wpadało dużo światła dziennego, pulpity zaopatrzone w kałamarze z atramentem, a nauczycielka w tablicę i kredę. Przywieźliśmy ze sobą z Iranu polskie książki i w krótkim czasie biblioteka była czynna. Mieliśmy do użytku salę gimnastyczną-świetlicę, a w środku obozu stała duża sala odczytowa, w której zbierali się wszyscy mieszkańcy obozu – na msze św. w niedziele, na koncerty, akademie, filmy i oficjalne zakończenia roku szkolnego. Wokół obozu pola, a dalej rzeka.

Zaraz po przyjeździe zdałam do gimnazjum i rozpoczął się może najbardziej pasjonujący okres mego szkolnictwa. Nauczyciele naszej pierwszej gimnazjalnej potrafili wzbudzić w nas głębokie zainteresowanie do nauki. Po zakończeniu wojny i po powziętej decyzji, że zostajemy w Nowej Zelandii, zaczęto wysyłać młodzież do szkół nowozelandzkich.

Byłam dobrze przygotowana do gimnazjum nowozelandzkiego, ale niewiele znałam języka angielskiego i często nie rozumiałam nauczycielki.

W gimnazjum Serca Jezusowego w Hamiltonie Polki pobierały dodatkowe lekcje języka angielskiego – zakonnica dyktowała nam 10 słów, które używałyśmy w zdaniach. Poduczyłam się angielskiego, ale miałam gorsze oceny z matematyki, w której zawsze celowałam.

Przy końcu 1947 roku, z powodu epidemii paraliżu dziecięcego, zamknięto szkoły w całym kraju. Dzieci z internatu rozesłano do domów, a polskie dziewczynki umieszczono u Nowozelandczyków. Wysłano mnie do Raumatī, niedaleko Wellingtonu. Tam odwiedził mnie dawny obozowy kolega. Gdy opowiedział o Bursie Polskich Dziewcząt w Wellingtonie, zaraz pojechalismy ją obejrzeć.

Byłam zachwycona bursą i wzruszona, bo spotkałam moje koleżanki z obozu. Opuściłam szkołę, zamieszkałam w bursie i pracowałam w biurze Skarbu Państwa. Byłam pracowita, dokładna, nie robiłam błędów i szybko awansowałam. Jednak do dziś czuję braki w moim wykształceniu. Żałuję, że nie zdawałam matury. Kształcono mnie jak na to pozwalały warunki, a one najczęściej nie były sprzyjające.



W rosyjskiej szkole w Kazachstanie w 1941 roku.
Helena Sochoła (w marynarskim stroju), Gromow (u dołu,
drugi z lewej), Janina Szostak, która też przyjechała do
Nowej Zelandii w 1944 roku (u dołu, druga z prawej)

Obozowe fryzjerki

Maria Matkowska (Zielińska)

Gdy żołnierze nowozelandzcy, którzy obcinali włosy dzieciom w Obozie Polskich Dzieci w Pahiatua, opuszczali pracę, nie było nikogo na ich miejsce. Ponieważ pozostało ponad 700 głów do podstrzyżenia, polski delegat Jan Śledziński zaczął poszukiwanie chętnych do nauki w tym zawodzie.

Bolesława Połec nadawała się do tej pracy, bo miała zawsze ślicznie uczesane włosy, a ja, choć miałam kręconą czuprynę, nigdy o nią nie dbałam. Namówiła mnie i razem zgłosiłyśmy się zostać fryzjerkami. Zapisano nas do „Nowozelandzkiej Szkoły Fryzjerstwa i Pielęgnowania Piękności” w Palmerston North. Za nasze lekcje zapłaciła pewna życzliwa Nowozelandka.

W niedzielę wieczorem łąpałyśmy autobus z obozu do Palmerston North – tam szkoła trwała cały tydzień, a w piątek wieczorem wracałyśmy do obozu. Na początku całą sobotę obcinałyśmy włosy pod nadzorem żołnierza, żeby nabrać wprawy. Strzyżenie chłopców nie było łatwe. Nie mogli się do nas przyzwyczaić i szeptali, że nadajemy się do strzyżenia baranów, a mieliśmy ich dużo na łąkach koło obozu. Strzelali do nas z proc. Dziewczęta mogły zapuszczać włosy, jeżeli miały głowy czyste. Te, które jeszcze miały wszy, pozostałość po Sybirze, musiały obciąć włosy.

Płacono nam 5 funtów na tydzień. To było dużo na te czasy. Gdy przeniosłam się do Auckland, moje kwalifikacje fryzjerskie zdobyte w obozie pomogły mi znaleźć dobrą pracę.



Maria Zielińska (od lewej) i Bolesława Połec
w Obozie Polskich Dzieci w Pahiatua, 1945 rok

Bezpieczny kraj z możliwościami

Julian Mazur

Niedługo po przybyciu do obozu w Pahiatua zachorowałem na gruźlicę. Zostałem przeniesiony do szpitala w Masterton, gdzie operowano mi jedno płuco i moje zdrowie się polepszyło.

W tym czasie pewne młode małżeństwo, państwo Horn (byli Maorysami), chciało mnie adoptować. Propozycja była miła i niespodziewana, ale w owym czasie wszyscy myśleliśmy, że wkrótce powrócimy do Polski, więc musiałem im odmówić. Po wyjściu ze szpitala zauważyłem, że w obozie nastały wielkie zmiany. Z setek dzieci pozostało 42 chłopców. Z nimi rozpocząłem szkołę, tym razem w pobliskiej miejscowości Mangatainoka.

Po zamknięciu obozu przeniesiono nas do obozu wojskowego Linton w Palmerston North, gdzie chodziliśmy do szkoły u zakonników Marystów. Po krótkim u nich pobycie wyjechaliśmy do Bursy Polskich Chłopców w Hawera, gdzie po raz pierwszy zaczęliśmy zwykłe życie wśród Nowozelandczyków. Był to przyjemny okres w naszym życiu. Graliśmy w rugby i inne sporty. Mimo że poznawałem nowych kolegów Nowozelandczyków, nadal obcowałem z polskimi chłopcami z bursy. W ostatnim roku pobytu w szkole zacząłem praktykę mechanika w Hawera. Trwało to pięć lat. W tym czasie mieszkalem u państwa Max i Margaret Peters, którzy pozostali moimi stałymi przyjaciółmi.

Po ukończeniu praktyki mechanika wyjechałem do Wellingtonu, dokąd przeniosła się większość moich kolegów z bursy w Hawera. W ostatnim czasie mojego pobytu w tym małym miasteczku, poczułem zew wielkiego miasta. W stolicy zostałem konduktorem w tramwajach i autobusach, bo miałem już dość pracy mechanika.

Na początku mojego pobytu w Wellingtonie, wraz z innymi chłopcami z Hawera, wynajęliśmy prywatne mieszkanie na ulicy Princess Street. Byli tam, między innymi, Bronisław Pietkiewicz i Jan Lepionka. Potem przeniosłem się do wynajętego przez polskich chłopców mieszkania na ulicy Constable Street. Mieszkali tam: Julian Nowak, Stanisław Prędkie, Mieczysław Markowski, Roman Kraj, Stanisław Brejnakowski i Alfred Sapiński. Prowadziliśmy życie światowców – chodziliśmy na zabawy taneczne, urządzaliśmy prywatki, graliśmy w karty do wczesnego rana, a w soboty graliśmy w rugby w tutejszych klubach. Stworzyliśmy własną drużynę rugby, składającą się z samych polskich chłopców – graliśmy w niedzielne popołudnia i zawsze wygrywaliśmy.

W 1966 roku ożeniłem się z Patrycją Denton. Kupiliśmy dom w dzielnicy Miramar. W krótkim czasie kupiłem taksówkę i przez następne 15 lat cieszyłem się pracą na własną rękę. Czasami, będąc obcokrajowcem w tym kraju, napotykałem na wrogie nastawienie Nowozelandczyków, ale to powoli minęło, gdy ludzie stopniowo zaczęli się przyzwyczajać do nieustannego napływu imigrantów. Wrogość okazywali nam już tylko pijacy i ignoranci.

Z Patrycją wychowaliśmy sześćcioro dzieci, z których jesteśmy dumni. Ponieważ żona była nauczycielką, a ja nie miałem wyższego wykształcenia, postanowiliśmy, że nasze dzieci powinny mieć dobre wykształcenie. Wszyscy ten cel osiągnęli i cieszą się sukcesami w obranych zawodach. Nowa Zelandia pozwoliła mi wychować rodzinę w bezpiecznym kraju, a dzieciom dała możliwość rozwinąć swój potencjał.



Julian Mazur w drodze z Hawera na wakacje do Wellingtonu

Budujemy łódź

Alfons Moroz

Wracam pamięcią do czasów obozowych w Pahiatua, gdy wraz ze Staszkiem Dygasem i Michałem Smalem postanowiliśmy zbudować łódź. Zaczęliśmy od przeglądu odpowiednich drzew w powszechnie znanym „pierwszym lasku” niedaleko obozu. Znaleźliśmy dość duże drzewo, należące do nowozelandzkiego gatunku *rimu*. Miało kilka metrów wysokości i było spróchniałe w środku. Pasowało w sam raz do naszych potrzeb.

Pewnego razu po szkole, uzbrojeni w pożyczone siekiery, pomknęliśmy do tego pierwszego lasu. Pracowaliśmy z zapalem i obalenie tego na wpół spróchniałego drzewa nie zajęło nam wiele czasu. Pień obcieliśmy na pożądaną długość. Każdego dnia po szkole pracowaliśmy ciężko nad kształtowaniem i drażeniem pnia. Po kilku tygodniach zrobiliśmy duży postęp – mieliśmy około dwie trzecie wydrażone i liczyliśmy już tylko dni do zakończenia pracy. Ale nasze marzenia zostały zdruzgotane.

Pewnego dnia byliśmy tak bardzo skupieni przy tej ciężkiej pracy, że nie zauważyliśmy jak policjant i farmer zaskoczyli nas znienacka, zjawiając się jak sępy na padlinie. Na ucieczkę było za późno. Policjant spisał nasze nazwiska i odebrał nam siekiery. Następnego dnia stanęliśmy przed wojskowym komendantem obozu, pociągnięci do odpowiedzialności za kłopoty, które mu sprawiliśmy i za naruszenie dobrego imienia obozu. Przesłuchiwał nas przez długi czas. W końcu musieliśmy się stawić przed sądem dla nieletnich w Pahiatua.

Przyszedł czas na nasze stawienie się przed sędzią. Srogo wyglądający człowiek siedział za ławą sędziowską i odczytał nam oskarżenia – pierwsze za bezprawny wstęp na cudze grunta, a drugie za ścięcie drzewa. Po przeczytaniu oskarżeń zapytał nas, czy mamy coś do powiedzenia. Podskoczyłem z krzesła i powiedziałem mu, że drzewo było spróchniałe. Sędzia popatrzył na mnie zimnym wzrokiem, uderzył pięścią o stół i ukarał nas grzywną 10 funtów (w owe czasy około dwutygodniówka dorosłego mężczyzny). Karę pobierano z naszego kieszonkowego, tak, że przez długi czas byliśmy bez grosza. Po powrocie do obozu musieliśmy stanąć raz jeszcze przed komendantem, który dał nam dodatkową karę – czyszczenie toalet przez miesiąc.

Tak zakończyło się nasze marzenie o wiosłowaniu w siną dal własną łodzią w poszukiwaniu przygód.

Koło się obraca

Jan Niedźwiecki

Pamiętam uroczyste powitanie czekające nas, gdy wpłynęliśmy do zatoki w Wellingtonie, z jej małymi domkami rozszanymi po wzgórzach. Wyglądała bajecznie. Pamiętam podróż pociągiem do Pahiatua i uczucie tak mocnego podniecenia, że zmoczyłem spodenki.

Dla większości z nas lata spędzone w obozie były najszcześniejszymi w życiu. Mieliśmy szczęście w porównaniu z tymi wszystkimi, którzy zmarli w Rosji, bo przeżyliśmy, za co dziękujemy Bogu. Obóz był świetnie prowadzony przez ludzi chcących naszego dobra. Czuliśmy się tu jak jedna wielka rodzina, dzieląc wspólnie radość lub łzy. Czasami nie dawaliśmy się okiełznać przez nasze wychowawczynie. Dwóch wychowawców, którzy nieco później przybyli z byłego Wojska Polskiego na Uchodźstwie, też nie zawsze dawało sobie radę. Ich sposób na chłopców był twardy i trochę nas przykrócił. Patrząc wstecz, oceniam, że dyscyplina hartowała nas i dzięki niej wyrosliśmy na dobrych ludzi.

Mam wielkie uznanie dla tych wszystkich wychowawców, którzy się nami opiekowali. Nie zapomnę, jak pewnego razu pani Powierza objęła mnie, przytuliła i obdarzyła matczynym uściskiem. To było jakby prąd przeleciał przez moje ciało. Takie musiało być uczucie, kiedy nasze matki, których tak mocno było nam brak, przytulały nas.

Dzieci szybko stały się nastolatkami. Jak to chłopcy, zaczęliśmy zwracać uwagę na płeć piękną. Czasami podglądaliśmy je przez ściekową kratkę od pryszniców, ale widzieliśmy tylko ich stopy.

Życie w obozie było wypełnione zabawą i przygodami, które pomogły zagłuszyć wspomnienia ciężkiego dzieciństwa. Po lekcjach w szkole mieliśmy wyznaczone dodatkowe obowiązki, takie jak: sprzątanie obozu, baraków i praca w ogrodzie warzywnym. Te zajęcia nauczyły nas odpowiedzialności i pracy fizycznej, z których korzystał też obóz.

Życie społeczne w obozie rozwijało się dzięki nauce, muzyce i teatrowi. Sport był bardzo lubiany. Nowozelandzcy nauczyciele wprowadzili grę w rugby, do której chłopcy lgnęli gromadnie.

Po zamknięciu obozu w 1949 roku, 42 najmłodszych chłopców, w tym mnie, przeniesiono do Hawera, gdzie mieszkaliśmy w przyjemnej, sprawnie prowadzonej bursie i pobieraliśmy naukę w gimnazjum zawodowym. Nasi polscy przełożeni, państwo Tietze, i polski personel dbali o nasze wychowanie.

Warto by było napisać osobną książkę o wspaniałej gromadce chłopców wspólnie dorastającej w Hawera.

Po dwóch latach przeniosłem się do Wellingtonu na dalszą naukę inżynierii w tutejszym technikum. W tym samym czasie praktykowałem w spółce inżynierskiej. Mieszkałem z moją siostrą Janiną i jej mężem Stanisławem Kowalczykiem. Jestem im wdzięczny za opiekę nade mną i za pokierowanie mojego życia w dobrym kierunku.

W tym czasie Polonia w Wellingtonie była w rozkwicie. Były dwie bursy dla młodzieży polskiej: dla dziewcząt na Lyall Bay i dla chłopców na Island Bay. W niedzielę chłopcy udawali się oczywiście do bursy dziewcząt. Dziewczynki wyglądały tak ślicznie, że nie wiedziałem, którą wybrać, bo lubiłem wszystkie.

Dom Polski, siedziba Stowarzyszenia Polaków w Nowej Zelandii założony w 1949 roku, był wspaniałym miejscem na spotkania i pogawędki. Było tu bardzo wesoło, jak w wielkiej wielopokoleniowej rodzinie.

Pamiętam jak na jednym wieczorku tanecznym kolega przemycił na salę butelkę likieru i kilku z nas pociągnęło sobie – były to czasy, kiedy alkohol był zabroniony na publicznych spotkaniach. Siornąłem raz i byłem chory jak pijak. Miałem wówczas 19 lat i po tym zdarzeniu do 23-go roku życia nie tknąłem alkoholu.

Po ukończeniu praktyki i otrzymaniu dyplomu pracowałem przez jakiś czas. Zaoszczędziłem trochę gotówki i w 1961 roku udałem się do Polski, by zobaczyć moją matkę i resztę rodziny. Przy zamieszeniu, wywołanym naszą ucieczką z Rosji w 1942 roku, moi rodzice zostali rozłączeni ze swoimi dziećmi. Matki i reszty rodziny nie widziałem przez 18 lat. Spotkanie było bardzo wzruszające. Czułem się dziwnie, bo byłem już dorosłym mężczyzną, a nie znałem ich przez większość mojego życia. Odbył się wspaniały przyjęcie w moim rodzinnym Grajewie.

Potem osiedliłem się w Londynie. Na początku tęskniłem za Nową Zelandią. Odwiedziłem Polskę kilka razy tak, że władze komunistyczne zaczęły podejrzewać, że moje wizyty mają jakiś polityczny cel. Miałem zamiar wrócić do Nowej Zelandii, ale zostałem zatrudniony na stanowisku projektanta przez amerykańską firmę naftową, zajmującą się przetwarzaniem ropy naftowej na Środkowym Wschodzie.

Niedługo potem kierownik zawołał mnie do swego biura i zapytał czy chciałbym pojechać do Iranu. Mało nie spadłem z krzesła; przecież spędziłem tam część mego dzieciństwa! Powiedział, że cieszy się, bo zapewne znam tamtejszą mowę. Po dwóch tygodniach w październiku 1961 roku byłem już w drodze. Wracałem tam wiele razy, ostatni raz w 1995 roku.

Praca w Iranie dała mi okazję do odwiedzenia Isfahanu. Kierowca taksówki obwioził mnie po „ścieżkach pamięci” mojego dzieciństwa. Znał miejsca,

gdzie w czasie II wojny światowej przebywały polskie dzieci. Pamiętał nawet kilka polskich przekleństw.

Miałem ciekawą pracę i zaprzyjaźniłem się z moimi współpracownikami, Irańczykami. Mówili mi: „Jan, jesteś dobrym człowiekiem, ale nie lubimy Amerykanów”.

Teheran jest bardzo zachwycającym miastem. Na występie Teherańskiej Orkiestry Symfonicznej spotkałem kilka Polek, które po naszej ewakuacji z Rosji do Iranu w 1942 roku tu pozostały i mają mężów Irańczyków. Cieszyły się z naszego spotkania, a następnego dnia zaprosiły mnie na polskie nabożeństwo, a potem na przyjęcie. Tego wieczoru w 1978 roku przeżyliśmy historyczną chwilę – polski kardynał Karol Wojtyła został wybrany papieżem Janem Pawłem II. Szaleliśmy z radości. Było to w czasie rozruchów społecznych w Iranie. Godzina policyjna obowiązywała między 6-tą wieczorem a 6-tą rano i nie wolno było wracać do domu, więc musieliśmy przesiedzieć całą noc, bo na sali przyjęć nie było gdzie spać. Niedługo potem szach Iranu został obalony. W Londynie osiedliłem się już na dobre i w mojej pracy podejmowałem zlecenia do innych państw Środkowego Wschodu. Mieszkaliśmy przez jakiś czas w Iraku z moją żoną i dwuletnią córeczką. Nasz syn urodził się w Bahrajn.

W Londynie, w połowie lat 60-tych, mieliśmy niewielki zjazd byłych dzieci polskich z obozu w Pahiatua. Byli tam: Franciszek Kubiak, Tadeusz Tietze, Ryszard Gołębiowski, Kazimierz Zieliński, Regina Zielińska, mój brat Kazimierz, Bronisław Węgrzyn, Krystyna Dygas, Mikołaj Gliński, Andrzej Dawidowski i Zbigniew Dziki, który przyjechał ze Stanów Zjednoczonych. Wszyscy razem poszliśmy oglądać Moskiewski Cyrk Państwowy, a potem udaliśmy się na tradycyjną kolację złożoną ze smażonej ryby i frytek (fish and chips) i piwa, ulubionego dania nowozelandczyków – stare dobre czasy. Tu spotkałem też dr Kazimierza Wodzickiego (byłego konsula polskiego w Nowej Zelandii) i jego syna Jontka.

Tu, w latach 70-tych, spotkałem też dawną obozową przyjaciółkę, Henrykę Holender. Była bardzo uzdolnioną osobą, zwłaszcza w muzyce i teatrze. Widziałem ją występującą na scenie jako aktorkę Nowozelandzkiego Teatru.

Wszyscy rozeszliśmy się swoimi drogami, ale nigdy nie zapomnę mojego życia i dorastania w Nowej Zelandii. Składam tu moje szczere uznanie dla Polaków i Nowozelandczyków, którzy opiekowali się nami, i tym, którzy pomogli nam stanąć na własne nogi. Niech Bóg was błogosławi.

W komunistycznej Polsce

Czesława Panek (Wierzbńska)

Słowo wstępne (dla pełnego zrozumienia wspomnień)

Po II wojnie światowej Polska, Bułgaria, Czechy, Węgry, Rumunia, Niemcy Wschodnie, Jugosławia i Albania zostały wcielone do bloku Rosji Sowieckiej. Mimo że nie były częścią właściwego Związku Radzieckiego, podlegały jego władzy.

Sowieci nadzorowali sprawy wewnętrzne Polski, a Wojsko Polskie było pod bezpośrednią komendą Armii Czerwonej. Ustrój państwa socjalistycznego miał być bezklasowy, ale w rzeczywistości był polityczną dyktaturą, zdominowaną przez komunistów, wspieranych przez sowiecką tajną policję. Sowiecki socjalizm opierał się na tłumieniu wolności jednostki, prześladowaniu Kościoła, ostrej cenzurze, upaństwowieniu ziemi, surowych karach wobec sprzeciwiających się władzy oraz bezdusznej biurokracji. Sądownictwo podlegało partii. Ukrywano prawdziwy stan zrujnowanej gospodarki. Jednostki nie miały głosu.

W 1961 roku Czesława Panek odwiedziła swego brata w Polsce. Partia komunistyczna w tym czasie porzuciła wiele z represyjnych zasad. Odwołano przymusową kolektywizację, uwolniono aresztowanych członków opozycji oraz prymasa Polski. Niestety, podczas pobytu Czesławy, przeciętny obywatel kraju nie odczuł jeszcze tych zmian w swoim życiu codziennym.

Wspomnienia Czesławy Panek

Mój brat Mietek był w gimnazjum, gdy w 1940 roku naszą rodzinę wywieziono na Sybir. Po jego powrocie ze szkoły nasza ciotka spotkała go na stacji i przekazała surowy nakaz naszej matki, żeby nie zjawiał się przy wagonach deportowanych. Brat został w Polsce, natomiast ja przeżyłam zsyłkę na Sybir i znalazłam się w Nowej Zelandii.

Byłam zdecydowana spędzić kiedyś z Mietkiem Boże Narodzenie. W międzyczasie prowadziłam spokojne życie aż do grudnia 1961 roku, kiedy zaoszczędziłam wystarczająco na podróż. Bałam się tam jechać, nie wiedząc czy komuniści pozwolą mi wrócić do Nowej Zelandii. Byłam jednym z pierwszych dzieci z Pahiatua, które odwiedziło Polskę.

Popłynęłam okrętem do Europy, a z Holandii pociągiem do Berlina Wschodniego, gdzie było 32°C mrozu, a wagony nie były ogrzewane. Mój bagaż został w urzędzie celnym w Holandii i miałam ze sobą tylko koc podróżny. Przyjechałam późnym wieczorem do Łańcuta pociągiem z sześciogodzinnym opóźnieniem. Na stacji stała tylko jedna taksówka, a kierowca nie wiedział, w

której części miasta mieszka mój brat. Zostawił mnie na rynku i odjechał. Nie rozumiałam, dlaczego nie wziął zapłaty.

Było już po północy. Zrozpaczona poszłam na milicję. Wybuchnęli śmiechem, gdy im powiedziałam, kim jestem i kogo szukam. Zadzwonili do mojego brata, by zabrał mnie stąd. Przyszedł Mietek i tłumaczył się, że jeździł między Łańcutem a Rzeszowem, starając się mnie spotkać, ale w końcu dał za wygraną.

Spojrzałam na Mietka, ale nie poznałam w nim swego brata. Ostatni raz widziałam go jako 15-letniego ucznia gimnazjum. Teraz po 21 latach stał przede mną 36-letni mężczyzna z żoną i dwoma synami. Stałam tu, trzymając tylko koc, bez pieniędzy i bagażu. Bank przesłał pieniądze z tygodniowym opóźnieniem. Takie to było moje spotkanie z rodziną, która dała mi przezwisko „milionerki z Zachodu”.

Czułam się tu obco i buntowałam się przeciw niesprawiedliwym przepisom państwowym. Wywinełam się od płacenia obowiązującej w tamtych czasach opłaty dziennej dla przyjezdnych z obcych krajów, płacąc tylko za miesięczną wizę z nadzieją, że wystaram się o jej przedłużenie już tu, na miejscu. Przy składaniu podania powiedziałam, że jadę na zawody narciarskie do Zakopanego. Niestety nie było tam wolnych noclegów, złapałam za to grypę i zawody przegapiłam. Mój bagaż przyszedł dopiero w lutym, w sam raz na mój wyjazd do Londynu.

Podczas mojej następnej podróży do Polski, tym razem latem, byłam lepiej przygotowana. Po wielu kłopotach z polską ambasadą w Londynie otrzymałam zwolnienie z dziennej opłaty w Polsce. Po miesiącu udałam się na milicję w Rzeszowie z nadzieją przedłużenia wizy na dalsze dwa miesiące. Tu wypytywano mnie, dlaczego nie byłam na zawodach w Zakopanem, gdy dano mi przedłużenie ostatnim razem. Staralam się im wytłumaczyć, ale w końcu wybuchnęłam i wyszłam trzaskając drzwiami. Chcieli zapewne grubej łapówki, ale jej ode mnie nie dostali.

Mój brat Mietek jakoś wystarał się o przedłużenie mojej wizy – myślę, że zapłacił tę łapówkę, ale nigdy do tego się nie przyznał. Z tego, co słyszałam milicja miała grubą tekę na mój temat. Nie wiem, co tam mieli do napisania o mojej skromnej osobie. Musieli zapisywać każdy mój krok i każde wypowiedziane słowo.

Studia i praca

Franciszka Quirk (Węgrzyn)

Czułam się uprzywilejowana, gdy wysłano mnie do gimnazjum Najświętszej Marii Panny w Wellingtonie, o którym mówiono, że ma dobre nauczycielki. Zdałam maturę i w 1953 roku zapisałam się na humanistykę, na uniwersytecie Victoria w Wellingtonie. Zdałam egzaminy z innych przedmiotów, ale oblałam język angielski. Byłam zmartwiona oraz zniechęcona i obwiniłam się o brak znajomości gramatyki i innych właściwości języka angielskiego. Teraz wiem, że nie przyłożyłam się i nie przeczytałam wszystkiego z zadanej lektury.

Nie wystarczyło mi 10 szylingów kieszonkowego na tydzień, więc postanowiłam zrezygnować ze studiów. Na pewno bym tak nie postąpiła, gdyby ktoś poradził i wytłumaczył mi, dlaczego nie zdałam. W tych czasach, nie wiedziałam czy taka pomoc istnieje – może teraz zagraniczni studenci mają lepiej.

Znalazłam pracę w biurze. Potem poślubiłam Michaela Quirk'a, który był przekonany, że praca w biurze nie zapewni nam dobrego startu w życiu. Zaczęliśmy oszczędzać i oboje wzięliśmy dodatkowe prace. Następnie kupiliśmy mały sklep spożywczy. Praca w sklepie była bardzo ciężka i stała się jeszcze cięższa, kiedy porodziły się nam dzieci, ale poprawiliśmy się finansowo. Potem przenieśliśmy się do Tauranga i wzięliśmy w dzierżawę farmę kur, a po pewnym czasie gospodarstwo mlecznych krów.

Gdy w latach 1980-tych powróciliśmy do Wellingtonu, postanowiłam ukończyć studia. Z jakich pobudek? Przecież dorobiliśmy się. Chyba dlatego, że dla mnie była to nie skończona sprawa. Potrzebowałam zmierzyć się z tym wyzwaniem. Właściwie lubiłam się uczyć. Nie było mi łatwo, ale jako już starsza osoba potrafiłam dać z siebie wiele. Zaczęłam kurs korespondencyjny, a potem uczęszczałam na uniwersytet w normalnych godzinach. W 1985 roku, 30 lat po przerwaniu nauki na uniwersytecie, ukończyłam studia ze stopniem Bakałarza Sztuk Pięknych.

Patrząc wstecz, wiem, że dobre wyniki niekoniecznie dają zadowolenie, ale daje je ciężka praca, która do tych wyników prowadzi. Nasze dzieci: Anthony, Diane i Darren zachęcaliśmy do nauki. Każde z nich ma stopień uniwersytecki, dobrą posadę i są szczęśliwi w małżeństwie. Żałuję, że nie nauczyłam ich mówić po polsku, ale brak znajomości języka polskiego nie wstrzymał ich od odwiedzenia kraju i dobrze czuli się w towarzystwie swych polskich kuzynów.

Obozowy rzemieślnik

Kazimierz Rajwer

W Obozie Polskich Dzieci w Pahiatua pewną grupę starszych chłopców nazywaliśmy szewcami. Zostali przeznaczeni do tej pracy z różnych powodów, między innymi przez nieporozumienie. Wykonywali niektóre fizyczne prace w obozie, ale przeważnie uczono ich naprawy obuwia. Nauczał ich żołnierz nowozelandzki, który był też kapelmistrzem. Traktowano tych chłopców jako praktykantów, dostawali nawet niewielkie wynagrodzenie, za które z czasem kupowali sobie rowery.

Mieli oni osobny stół w jadalni, która mieściła około dwustu chłopców, przy każdym stole po 12 osób. Wszyscy chłopcy mieli obowiązek sprzątania stołów po sobie, według ustalonej kolejki. Z niewiadomych powodów stół „szewców” był często nie sprzątnięty, tak, że kucharz, żołnierz nowozelandzki, za karę zabronił im wstępu do jadalni, czyli zostawali bez posiłków.

Miałem kolegę z tej grupy i nie mogłem pozwolić, żeby chodził głodny. Po każdym posiłku zanosłem mu dużą kanapkę. Po jednym obiedzie, gdy miałem już wręczyć kanapkę koledze, czyjaś silna dłoń chwyciła mnie za kołnierz koszuli. Był to główny kucharz. Zaprowadził mnie, wraz z kanapką, prosto do Krystyny Skwarko, kierowniczki szkoły w obozie. Chwyciła mnie za ramię i drugą ręką zaczęła bić po tyłku. Myślę, że robiła to ze względu na obecnego tu kucharza, bo czułem, że nie przykładała się do tej roboty i że raczej była zadowolona, że pomagałem koledze. Ale to nie koniec.

Miałem dar do strugania. Potrafiłem robić różne rzeczy – przeważnie szable, łuki, strzały i różnego rodzaju strzelby, włącznie z karabinami na kule kalibru .22. Rzeźbiłem też szachy swoim scyzorykiem dla różnych ludzi w obozie, za które pewnego razu otrzymałem pierwszą nagrodę w obozowym konkursie.

Niedługo po zajściu z kanapką kucharz opuszczał pracę. Ponieważ był dość lubiany, polskie kierownictwo postanowiło wręczyć mu na pożegnanie szachy, wykonane przeze mnie. Wyobraźcie sobie moje zakłopotanie, gdy powiedziano mi, że mam osobiście wręczyć wynik mojej pracy kucharzowi przy wszystkich zgromadzonych. Udawaliśmy obaj, że nigdy nic się nie stało i rozeszliśmy się w przyjaźni.

W obozie w głównej sali zebrali dość regularnie wyświetlano nam filmy. Nie znaliśmy zbyt dobrze języka angielskiego, ale nasza wyobraźnia nie miała granic. Większość z nich bardzo lubiliśmy, zwłaszcza te o kowbojach z dzikiego zachodu.

Po jednym takim filmie pan Białostocki, nasz wychowawca, podszedł do mnie i powiedział: „Rajwer, choć do mego biura, mam ci coś pokazać”. Poszedłem za nim trochę zmartwiony. Sięgnął na górną półkę szafy i wyjął pięknie wykonaną strzelbę. Od razu poczułem, że tu coś nie tak. Zapytał czy to moja. Zgodnie z prawdą odpowiedziałem, że nie. Nie dowierzał i zapytał jeszcze kilka razy. Chcąc mnie nastraszyć, w końcu powiedział, że jeżeli nie moja to odda komuś innemu. Nie miałem nic przeciwko temu.

Później dowiedziałem się, że jeden z chłopców poszedł polować na króliki ze strzelbą domowej roboty i napotkał farmera z córeczką. Przyjazny farmer zaciekał się strzelbą i chciał ją obejrzeć, myśląc, że to tylko zabawka; nawet wycelował nią w dziewczynkę. Zmartwiony chłopiec odebrał swój skarb i pokazał, że jest naładowana prawdziwą kulą kalibru .22. Farmer omal nie zemdlął ze strachu, wyrwał chłopcu strzelbę, który wiedząc, co go czeka, bez namysłu uciekł. Farmer był za powolny, żeby pójść w pościg, poza tym nie mógł zostawić małej dziewczynki samej.

Oczywiście powstał wielki rwetes w tej sprawie. Lokalne i obozowe władze chciały koniecznie wiedzieć, kim był ten łowca królików i stąd przepuszczenie, że to ja nim byłem, będąc jednym z obozowych „rusznikarzy”. Po tym zajściu władze obozowe przyrzekły nam prawdziwą strzelnicę i prawdziwe karabiny do ćwiczenia. Przyrzekli nam wiele innych rzeczy, żebyśmy tylko przestali robić własne strzelby, ale żadna z tych obietnic nie ujrzała światła dziennego. W zamian za to wprowadzono więcej gier w rugby i krykieta, w których wielu chłopców wzięło udział. Dawali sobie świetnie radę w rozgrywkach okolicznych szkół i klubów sportowych.

Pomysłne życie

Jan Roy-Wojciechowski

W 1994 roku, po spędzeniu kilka tygodni w naszym domu w Zatoce Wysp (Bay of Islands) w Nowej Zelandii, wraz z moją żoną Valerie spacerowaliśmy po plaży w zatoce Te Uenga Bay. Był piękny ranek, fala podchodziła, morze było niebieskie, a plaża pusta.

Następnego dnia wróciłem do pracy w biurze. Nagle naszła mnie myśl, – dlaczego wróciłem do pracy – dlaczego mam pracować, kiedy nie mam już takiej potrzeby? Postanowiłem, że pojadę do Auckland i złożę wypowiedzenie z posady naczelnego dyrektora spółki Mainzeal Group i przewodniczącego spółki Mair Astley. Tego samego roku przeszedłem na emeryturę.

Miałem blisko 60 lat, byłem u szczytu kariery handlowej, miałem wszystkiego pod dostatkiem, ładny dom w Auckland, drugi w Zatoce Wysp, wielką luksusową łódź motorową, luksusowy zmotoryzowany dom-karawanę, sześcioro dorosłych dzieci i szczęśliwe małżeństwo. Decyzję podjęliśmy wspólnie z żoną. Wraz z moją żoną miałem teraz na emeryturze czas cieszyć się tymi darami i dokonywać nowych rzeczy. Myślę, że podczas mojej pracy zawodowej ponad połowę swego czasu przebywałem poza domem. Z pracy przychodziłem zazwyczaj późno i miałem niewiele czasu na udzielanie się w pracach domowych i w wychowywaniu dzieci.

Jak to się stało, że miałem tak pomysłne życie? Urodziłem się we wsi Ostrówka niedaleko Drohiczyzna, na Polesiu. Niedługo po najeździe Niemców we wrześniu 1939 roku na nasze tereny wkroczyły wojska rosyjskie. Wschodnie ziemie polskie zostały wcielone do Związku Sowieckiego. Z obecnej Białorusi, Ukrainy i Litwy wypędzono większość Polaków a na ich miejsce osiedlono obcych ludzi. Wszystko, co polskie – książki, kościoły i instytucje – zostało zniszczone i nie wolno było o tym wspominać. Do dziś nie mogę otrzymać odpisu swojej metryki urodzenia, po prostu wszelkie dokumenty tego rodzaju z dawnej wschodniej Polski w większości nie istnieją.

Rosjanie aresztowali mojego ojca i rozstrzelali go przed naszą deportacją na Sybir do przymusowych obozów pracy. Tam rosyjscy polityczni więźniowie powiedzieli nam, że jesteśmy skazani do końca życia i że nie ma stąd ucieczki.

W 1944 roku przybyłem do Nowej Zelandii wraz z grupą 733 dzieci, przeważnie sierot. Po dwóch latach miałem szczęście być wysłanym do gimnazjum św. Patryka w Silverstream, niedaleko Wellingtonu, gdzie spędziłem pięć lat. Był to katolicki internat dla chłopców, który wydał wielu

znanych ludzi ze wszystkich warstw życia społecznego – m.in. biskupów, sędziów, ludzi interesu, wybitnych sportowców.

Miałem 12 lat, kiedy przybyłem do tej szkoły. W tym czasie byłem jedynym Polakiem w szkole, z bardzo słabą znajomością języka angielskiego. Zacząłem pierwszy rok gimnazjum. Mieszkanie w internacie nie było dla mnie w zasadzie nowością, bo większość życia spędziłem w obozach lub w innych instytucjach. Różnica była tylko taka, że tu nie znałem języka.

Niektórzy chłopcy byli okrutni. Odcięci wówczas od świata Nowozelandczycy nie zawsze tolerowali obcokrajowców tak jak w obecnych czasach. Nauczyciele nie okazywali tyle miłości i opieki, jak nasze wychowawczynie z polskiego obozu w Pahiatua, które opiekowały się nami jeszcze w Iranie. Byłem zdecydowany przezwyciężyć te wszystkie trudności i w czwartym roku byłem pierwszy w klasie z wielu przedmiotów. W piątym roku otrzymałem świadectwo dojrzałości (do egzaminu maturalnego nie stawałem, bo ówczesny system zwalniał z tego obowiązku tych uczniów, którzy mieli bardzo dobre wyniki w ciągu roku). Miałem już względnie dobrze opanowany język angielski i wielu trwałych przyjaciół ze szkoły.

Po opuszczeniu szkoły mieszkalem u swojej siostry i uczęszczałem na uniwersytet Victoria w Wellingtonie, gdzie wybrałem kierunek z księgowości i handlu. Miałem szczęście być zatrudnionym w dużej spółce księgowych, która miała wielu klientów z różnych dziedzin. Nawiązałem tu wiele przyjaźni z młodymi pracownikami i tu poznałem Valerie, moją przyszłą żonę.

Gdy zostałem już uprawnionym księgowym, pracowałem dla większych spółek. Zostałem naczelnym sekretarzem pewnej spółki. Chcąc awansować, przyłączyłem się do światowej spółki General Electric w roli kierownika finansów, a w rok później zostałem jej dyrektorem finansowym. Następnie byłem naczelnym dyrektorem spółki importującej sprzęt muzyczny.

Na początku 1980 roku zacząłem pracę na własną rękę jako doradca do wszelkich spraw związanych z prowadzeniem spółek. Potem chciałem zrobić sobie przerwę, ale poproszono mnie o wyprowadzenie jednej ze spółek z kłopotów. Zostałem rzeczoznawcą od kryzysów w przemyśle i od rozwijania udanych interesów.

Po zakończeniu udanej kariery naczelnego dyrektora, przemysłowca, inwestora finansowego i budowlanego oraz po mianowaniu mnie na Konsula Honorowego Rzeczypospolitej Polskiej zapytałem siebie – czy to wszystko było warte zachodu? Co by się stało, gdyby Rosja nie napadła na Polskę w 1939 roku i nie byłbym zesłany na Sybir? Czy majątek, który stworzyłem w Nowej Zelandii wynagrodził tragedię, która spotkała moją rodzinę?

Nie pamiętam swojej matki ani jej miłości i czułości macierzyńskiej. Nie pamiętam jej pouczania. Nie pamiętam swego ojca. Nie wiem czy był

silnym, czy twardym człowiekiem, czy kochał. Niewiele pamiętam z moich pierwszych siedmiu lub ośmiu lat.

Mam tylko mgliste wspomnienia z Polski. Pamiętam zapach bzu przy wejściu do domu. Pamiętam, że mieliśmy dwa psy. Nie znalazłbym śladu po naszym domu rodzinnym, bo cała wieś była zniszczona a jej miejsce zajął kołchoz. Czy zamieniłbym życie tu w Nowej Zelandii na tamto, którego nie pamiętam i nie zaznałem? Kto jest w stanie przewidzieć, jakie będzie miał życie?



Jan Roy-Wojciechowski podczas promocji swojej książki-życiorysu *A Strange Outcome – A Remarkable Survival Story of a Polish Child* (Niezwykłe dzieje przetrwania polskiego dziecka), wydanej w 2004 roku. Podpisuje egzemplarz książki

Najmłodsi chłopcy z Hawera

Antoni Rybiński

Moje pierwsze wspomnienia sięgają do 1939 roku, gdy wybuchła II wojna światowa. Miałem cztery lata. Jakby przez mgłę pamiętam aresztowanie mego ojca i naszą deportację do rejonu Semipałatyńsk w Rosji Sowieckiej, a stamtąd ewakuację do Iranu.

Niestety, nasze wyzwolenie nastąpiło za późno. Deportacja i związane z nią okropności zrobiły swoje i nasza matka zmarła w Pahlewi w Iranie, tydzień po przybyciu do tego kraju. Zawsze pamiętałem wskazówki, które matka często powtarzała, żebym nie zapomniał swojego nazwiska, swojej daty urodzenia, że jestem Polakiem i katolikiem. Krótco po jej śmierci zostałem zabrany do Polskiego Obozu Przejściowego Nr 5 w Teheranie i dołączyłem do setki innych sierot. Było mi trudno zadomowić się w tym tłumie dzieci. Matka dała mi swoją fotografię, żebym nie zapomniał jak wyglądała. Mam to zdjęcie do dziś.

Opatrzność czuwała nade mną. W 1944 roku, wraz z 733 dziećmi, wybrano mnie na tymczasowy wyjazd do Nowej Zelandii. Mieliśmy tu zostać do końca wojny. Zadomowiliśmy się w stabilnym i raczej beztroskim życiu w polskim obozie w Pahiatua. Krótco po tym moja siostra Helena odnalazła mnie przez Czerwony Krzyż.

Wszyscy zakochaliśmy się w Wellingtonie, a potem w zielonym krajobrazie prowincji Wairarapa. Obóz stał się naszym domem, małą Polską. Nawet ulice nosiły polskie nazwy. Większość z nas wyniosła stamtąd pamięć jednego z najlepszych okresów naszego życia. Niestety wszystko ma swój koniec. W 1949 roku nam najmłodszym, pozostałym jeszcze w obozie, powiedziano, że jest on przeznaczony dla nowych powojennych przesiedleńców z różnych europejskich narodowości i że mamy go opuścić.

Ostatni opuścili obóz 42 najmłodsi polscy chłopcy. Byłem jednym z nich. Mieliśmy zakłócony rok szkolny. W pierwszym semestrze, jeszcze w obozie, wożono nas ciężarówkami do szkoły w Mangatainoka. W drugim okresie szkolnym przeniesiono nas do wojskowego obozu w Linton, koło Palmerston North, a potem do szkoły u zakonników Marystów. Na końcu drugiego semestru opuściliśmy Palmerston North i przeniesiono nas do Bursy Polskich Chłopców w Hawera, w prowincji Taranaki. Tu uczęszczaliśmy do państwowego gimnazjum technicznego.

Życie w bursie było inne od obozowego. Poczuliśmy bliższe więzy ze

sobą, maszerowaliśmy w szeregach do szkoły i do kościoła. Siedzieliśmy w pierwszych ławkach i każdy wierny wiedział, że jesteśmy polskimi chłopcami. Z czasem zdołaliśmy zaoszczędzić trochę pieniędzy na zakup rowerów. Był to niezwykle widok, gdy wszyscy chłopcy naraz wyjeżdżali z bursy.

Opowiem jak zakupiłem swój pierwszy rower. Latem na przełomie 1949–50 lat (tu lato jest na Boże Narodzenie), podczas wakacji szkolnych u rodziny Kirby w Fitzroy, New Plymouth, jeden z ich synów brał ślub, na który zabrali mnie ze sobą. W przemowie na przyjęciu ksiądz powiedział jak to dobrze mieć w Nowej Zelandii tyle nowych ludzi z różnych krajów i wspomniał polskiego chłopca obecnego na sali, który stracił rodziców podczas wojny. Ksiądz chciał dobrze, ale jego mowa dotknęła mnie do żywego. Musiałem opuścić salę. W toalecie wypłakałem swój żal. Następnie usłyszałem pukanie do drzwi i słowa jednego z gości, Żyda, który powiedział: „Tony (moje imię po angielsku), wyjdź. Dam ci 20 funtów, bo wiem, co czujesz. Sam przez to przeszedłem”. Wyszedłem i oczywiście pieniądze przyjąłem. Ale to nie koniec.

Następnej niedzieli ksiądz zatrzymał mnie po mszy i przeprosił za swoje słowa na weselu. Dał mi 8 funtów. Mój rower kosztował 27 funtów, czyli został mi z tej przygody jeszcze jeden funt. Gdy przyjechałem do bursy na swoim nowym rowerze, kierownik chciał wiedzieć skąd miałem pieniądze na jego zakup. Dopiero teraz przyznaję się jak to było, bo w tamtym czasie wstydzilem się powiedzieć prawdę. Muszę nadmienić, że sklepikarze w mieście Hawera byli dla nas bardzo hojni, dostarczali do bursy smakołyki, takie jak lody i nie sprzedane ciastka.

W bursie mieliśmy konia, krowę, owce i trzy psy, bo na tyłach budynku było wiele pustych akrów ziemi, którą dobrze zagospodarowaliśmy. Ponieważ było nam wolno trzymać drób, pewna pani polskiego pochodzenia przyniosła nam 40 kur, dla których w pośpiechu musieliśmy zbudować kurnik. Niedaleko bursy były dwa jeziora, które mile wspominam. Wyratowałem tam nawet jedną dziewczynkę od zatonięcia.

Nauczyliśmy się sami uprawiać duży ogród. Dziwiłem się jak wszystko dobrze rośnie. Mieliśmy dyżury przy kotłowni, która dostarczała nam gorącej wody. Pewnego dnia dyżurny chłopiec chciał przyłączyć się do naszej wspólnej gry – załadował pełne palenisko i wyszedł bawić się. W nie dopilnowanej kotłowni wybuchł pożar. Nie byliśmy popularni tego dnia.

Nauczyciele i uczniowie obchodzili się z nami dobrze. Lubiliśmy sport, a niektórzy chłopcy osiągalni doskonałe wyniki w szkole. Chodziłem tylko dwa lata do tej szkoły. Zostałem czeladnikiem elektryka i lubiłem ten zawód. Miałem dużo przyjaciół w Hawera i nadal utrzymuję znajomości z nimi. Niektóre nowozelandzkie rodziny gościły nas w swoich domach, zwłaszcza

na wakacjach szkolnych. Zarabialiśmy na kieszonkowe pomagając farmerom. Po ukończeniu praktyki u elektryka w 1957 roku opuściłem Hawera i przeniósłem się do Wellingtonu, gdzie ożeniłem się. Mam pięciu synów i 11 wnuków. Odwiedziłem Polskę, ale nie mam już tam ani rodziny, ani krewnych. Nowa Zelandia jest teraz moim domem i jestem tu szczęśliwy.

Należy się jeszcze jedno słowo. Starzeję się i rozmyślam – moi dziadkowie pochowani są w Polsce, ojciec w Katyniu w Rosji, gdzie go zamordowano, matka leży w Iranie, siostra w Stanach Zjednoczonych, a mnie pochowają w Nowej Zelandii.



Uzasadniony uśmiech – dumny Antoni Rybiński z wygranych nagrodami ze szkolnych sportów

Powrót taty

Maria Sinkinson (Skiba)

Moje lata w Obozie Polskich Dzieci w Pahiatua były dla mnie najszcześniejsze. Za to będę zawsze wdzięczna Bogu, Rządowi Nowej Zelandii i jej mieszkańcom. Pamiętam jak po przybyciu do obozu dostałam śliczne używane ubranko – czarną plisowaną spódniczkę i purpurowe wdzianko, także granatową sukienkę z kołnierzykiem Piotrusia Pana, z nową lamówką na rękawach i nową kieszonką z granatowego materiału w białe kropki. Gdy włożyłam ubranko, poczułam się śliczna.

Patrzyłam na świat ze spokojem i życzliwością. Miałam wiele przyjaciółek i byłam lubiana. Tu wspomnę Irenę Staniszewską, Danutę Łubgań i Irenę Iwanek. Były bardzo utalentowane, tylko nikt o tym nie wiedział. Bardzo im zazdrościłam. Irena szkicowała, a potem malowała dla mnie piękne kartki z życzeniami, żebym dała je mojemu ojcu. Tata bardzo je cenił i zatrzymał aż do swojej śmierci. Nigdy nie odważyłam mu się przyznać, że nie są mojej roboty, ale myślę, że wiedział.

Jedną z moich najlepszych przyjaciółek z tamtych szczęśliwych lat była Krystyna Wojtowicz. Była ładną blondynką, miała wygląd panienki. Nie miała w sobie krzty złośliwości. Bardzo za nią tęskniłam po opuszczeniu obozu. Trudno wymienić wszystkich, którzy kształtowali moje życie, ale muszę wspomnieć Julię Rolińską, moją pierwszą nauczycielkę z Iranu. Miała dzwięczny głos i uczyła pieśni. Przywracała mnie do rzeczywistości w klasie szturchańcem w plecy, gdy wyglądałam przez okno i marzyłam, ale nigdy nie miałam jej tego za złe. Była moją najlepszą nauczycielką. Niech spoczywa w spokoju.

Była też nauczycielka Jadwiga Żerebecka, którą pamiętam z zakładu dziewcząt Nr 6 w Isfahanie. W obozie w Pahiatua była przełożoną szkoły dla dziewcząt i kierowniczką chóru, do którego rozkazała mi należeć, mimo że nie miałam głosu. Ale w końcu cieszyłam się, że mnie zmusiła, poczułam się ważna i chodziłam dumna. Po wojnie pani Żerebecka wróciła do Polski, a ja poczułam pustkę w sercu.

Pamiętam jak nasz ukochany ksiądz Michał Wilniewicz opuszczał obóz. Pamiętałam go z zakładu nr 6 w Isfahanie. Po pożegnaniach przy bramie poszedł drogą na przystanek autobusowy, skąd udał się do Wellingtonu, by odpłynąć do Libanu. Myślałam, że mi serce pęknie. Pamiętam go jako starego człowieka, ale on przecież miał dopiero 36 lat.

Jest to moja ostatnia sposobność wspomnieć z wdzięcznością wszystkich tych Nowozelandczyków, którzy otworzyli swoje serca i zapraszali nas do swoich domów na szkolne wakacje i stali się naszymi stałymi przyjaciółmi. Przed wakacjami szkolnymi w 1945 roku nastąpiło wielkie zamieszanie w obozie, bo otrzymaliśmy nowe brązowe walizki (mam jeszcze swoją) oraz kartki z naszymi nazwiskami i ludzi, którzy nas mieli gościć u siebie. Wsiadliśmy do pociągu na stacji w Pahiatua, a konduktor musiał się martwić, kogo i na której stacji ma wysadzić.

Tu wspomnę ludzi, u których spędziłam niektóre wakacje szkolne – państwo Summers w Masterton, państwo Hodgins w Hastings i państwo Linton przy ulicy Richmond Road w Carterton. Wspaniali ludzie. Pozostaliśmy przyjaciółmi do końca ich życia.

W czerwcu 1946 roku przybył do Nowej Zelandii mój ojciec po demobilizacji Wojska Polskiego w Anglii. Było jeszcze ciemno i padał deszcz, gdy pewnego ranka mój starszy brat Staszek przyszedł po mnie pod sypialnię w baraku dla dziewcząt. Byłam ubrana i gotowa, więc czekałam na progu. Wziął mnie za rękę i poszliśmy do baraków, w którym mieszkali polscy żołnierze. Po kilku minutach Staszek zapytał: „Czy boisz się?” „Tak,” odpowiedziałam. „Ja też” powiedział Staszek. Cieszyliśmy się, że tata żyje, ale byliśmy też pełni lęku. Przecież nie widzieliśmy go od kilku lat, ale okazało się, że nasze obawy były bez podstaw. Ojciec dał mi zegarek. W panice powiedziałam: „Ja nie znam się na zegarku”. Ojciec odpowiedział spokojnie: „To ja cię nauczę”. Od tej pory byliśmy najlepszymi przyjaciółmi.

Ojciec pracował niedaleko, w miejscowości Woodville, i każdej niedzieli przyjeżdżał do nas, do obozu rowerem. Czekałam na niego przy bramie, a on wręczał mi czekoladę i dziecinne książeczki. Pamiętam jeszcze, że jedną z nich była bajka o dwóch żółtych kaczkach, *Ben i Bella*. Tata miał 40 lat, a ja myślałam, że on taki stary.

W sierpniu 1948 roku przejął opiekę nad nami i musiałam opuścić obóz. Myślałam, że umrę z żalu. Moja nauczycielka od angielskiego, Nowozelandka, wpisała się do mojego pamiętnika: „Życzę ci szczęśliwego i pomyślnego pobytu w Nowej Zelandii – z najlepszymi życzeniami – Patricia Sloan, Polski Obóz, 8 lipca 1948 roku”.

Jej życzenie spełniło się i miałam w Nowej Zelandii dobrze. Dziękuję ci, Pani Sloan. Gdyby było możliwe odwrócić czas do tyłu, do tych beztroskich dni, bez odpowiedzialności, do przyjaciół i obozowych posiłków, powiedziałabym – zabierzcie mnie z powrotem do Obozu Polskich Dzieci w Pahiatua.

Potrzebna dyscyplina?

Stanisław Skiba

Pamiętam wyraźnie jak niedługo po naszym przybyciu do obozu w Pahiatua, pan Holona, nasz mocno wierzący w twardą dyscyplinę wychowawca, wydał rozporządzenie, że nikomu nie wolno wyjść z obozu bez jego pozwolenia. Ponieważ przez ostatnie szereg lat byliśmy bez opieki rodziców, martwił się żeby żadne z nas nie wpadło w kłopoty poza obozem.

Pewnego dnia mała grupka chłopców (ja z nimi) postanowiła wymknąć się z obozu i przyjrzeć się nieco nowozelandzkiemu życiu. Po latach pomyślałem, że musiało to być w dniu tutejszego Święta Żołnierza, bo na stoisku przy chodniku miejskim stały sztuczne czerwone maki z wiadrzem obok. Przechodnie brali kwiatek, przypinali do piersi i wrzucali monetę do wiadra.

Niedawno przeżyliśmy ciężkie doświadczenia w Rosji i pobyt w Iranie – nie rozumieliśmy, dlaczego nikt nie pilnował tego wiadra. Podejrzewaliśmy, że strażnik stoi gdzieś w ukryciu. Nie narażaliśmy się i nie dostrzeżeni przez nikogo wkradliśmy się z powrotem do obozu.

Po jakimś czasie opowiedzieliśmy naszej wychowawczyni cośmy widzieli wówczas w mieście. Postraszyła nas, że mieliśmy wielkie szczęście nie kusząc się na te pieniądze w wiadrze, bo w Nowej Zelandii złapanym na gorącym uczynku obcinają rękę. To oświadczenie wyleczyło nas z chęci brania nie swoich rzeczy. Przez wiele lat wierzyłem w jej słowa, bo w rzeczywistości wówczas w Nowej Zelandii przestępstwa wszelkiego rodzaju były rzadkim zjawiskiem (rąk nie obcinano!).

Dzisiaj sprawa ma się inaczej i przestępczość wzrasta. Rządy odbierają rodzicom odpowiedzialność i prawo do wychowywania własnych dzieci, a sądy łagodzą kary za grube przestępstwa. Natomiast według orzeczenia Jima Bolgera, premiera Nowej Zelandii, z grupy 733 dzieci przybyłych do Pahiatua w 1944 roku, zaledwie dwoje było w więzieniu. Może stwierdzenie pana Holony, że dzieci należy trzymać krótko, miało coś wspólnego z naszym szacunkiem dla prawa?

Miłe wspomnienia

Eugenia Smolnicka (Piotuch)

Któżby to nie miał wspomnień radośnie przeżytych dni? Dla mnie był to okres wakacji świątecznych w 1946 roku w Hastings, u państwa Cantwell, w towarzystwie mojej koleżanki z obozu Krysi Nowakowskiej i dzieci państwa Cantwell: Normy, Margaret i Laurie. Nie byli to bogaci ludzie; domek skromny, a samochód i ciężarówka stare. Ale byli nadzwyczaj dobrzy i życzliwi.

Pani Cantwell powiedziała nam (chyba zrozumiałam, co mówiła), że mamy zapomnieć o naszych ciężkich przeżyciach i pomagała w tym, okazując nam wiele dobroci. Śniadanie podawała nam do łóżka i odpoczywałyśmy do dziesiątej rano. Wszystko, co było podane do stołu smakowało nam, a najbardziej ciasteczka. Obozowa kuchnia nie mogła dorównać jej. Nieraz wieczorami, po pracy, pan Cantwell zabierał nas na wycieczki i oglądanie rozgrywek sportowych. W czasie dnia pani Cantwell urządzała majówki albo jeździliśmy do sadów zbierać sobie jabłka. W tych czasach płaciło się tylko za jabłka zerwane z drzewa, a te, które leżały na ziemi można było wziąć za darmo.

Gdy Norma i jej przyjaciółki szły do kina, nas też zabierały. W powrotnej drodze zatrzymywałyśmy się na ryby i frytki. Krysia i ja nigdy w życiu nie jadłyśmy ryby z frytkami i uważałyśmy to za rzadki przysmak. Sklep należał do Rosjanina i kiedy mu powiedziano, że my jesteśmy Polkami zaczął mówić do nas po rosyjsku. Odpowiadałyśmy mieszanką polskiego i rosyjskiego i nawet dobrze rozumieliśmy się. To wpływało dodatnio na nasze samopoczucie, bo mogłyśmy się z kimś porozumieć.

Byłam bardzo wstydliwą nastolatką, ale wchłaniałam wszystkie wrażenia z mego otoczenia. Państwo Cantwell zawsze spacerowali trzymając się za ręce – co za miłe wrażenie. Pierwszy raz w życiu zobaczyłam małżeństwo trzymające się za ręce.

Pewnego dnia spotkałyśmy w mieście naszą koleżankę z obozu, Adelę Szłapak, też na wakacjach u rodziny nowozelandzkiej. Mama Adeli pracowała w obozie w Pahiatua i Adela w jej imieniu wypożyczała romanse z obozowej biblioteki. Opowiedziała nam o „cudownej” książce, którą skończyła czytać – *Magnes serc* – i pożyczyła nam tę książkę. Znalazłam się w bajecznym świecie – w Neapolu – palmy chwiejące się w lekkich powiewach wiatru – miłosne słowa i objęcia.

Wróciłyśmy do obozu i rzeczywistości. Opowiedziałam Wali Banasiak o tej pięknej książce i ona chciała ją przeczytać, więc poszłyśmy do obozowej biblioteki. Tego dnia bibliotekarzem był pan Holona, dobrze znany z ostrej dyscypliny. Wala poprosiła o *Magnes serc*. Pan Holona patrzył na nią wnikliwie i zapytał: „Kto ci powiedział o tej książce?” „Przyjaciółka”, odpowiedziała Wala. „Która przyjaciółka?” zapytał pan Holona. Trzęśłam się. Wala zrozumiała, do czego pan Holona zdąży i odpowiedziała: „Ona już opuściła obóz i jest w angielskiej szkole na Wyspie Południowej” – „Wynocha stąd” ryknął pan Holona.

Za parę tygodni pojechałam do szkoły nowozelandzkiej. Ojciec był zdemobilizowany z Wojska Polskiego na Uchodźstwie i przyjechał do Nowej Zelandii. Było nas tylko dwoje, bo jestem jedynaczką, a mama zmarła w czasie II wojny światowej.

Ojciec nie znał angielskiego, więc wiele obowiązków spadło na mnie. Na początku ojciec pracował w rzeźni w Waitara, a ja uczęszczałam do katolickiej szkoły w New Plymouth i mieszkalam prywatnie. Potem przeniósł się do New Plymouth i razem kupiliśmy dom.

Często wspominałam wakacje w gronie rodziny Cantwell i wstyd mi było, że nigdy im serdecznie nie podziękowałam. Dostałam od nich adres, ale natychmiast go zgubiłam. Co mogłam zrobić? – Modliłam się za nich.

Minęły lata. Wysłałam za mąż i zamieszkałam w Wellingtonie. Pewnego dnia w 2004 roku ktoś zapukał do mych drzwi. Na progu stał Edek Kowalczyk i jakiś inny człowiek. „Nie poznajesz mnie?” zapytał ten pan. „Nieeee...” wypowiedziałam powoli. „Jestem Laurie Cantwell”, powiedział. Rozpłakałam się. Przy herbacie staraliśmy się opowiedzieć sobie wszystko, co się działo w ostatnich 56 latach. Tyle czasu minęło od wakacji w Hastings!

Laurie i Edek poznali się, gdy razem pracowali na farmie. Odnalazł on telefon Edka i odwiedził go. Pokazał mu zdjęcie z naszych wakacji i zapytał czy wie jak te polskie dziewczynki się nazywają. Edek nie mógł rozpoznać żadnej z nas, więc przeszli się do Józka i Stefy Zawadów, którzy mają zbiory zdjęć z obozu i rozpoznają prawie wszystkich. Wpatrywali się w to maleńkie stare zdjęcie, ale nie byli pewni. Laurie powiedział: „jedna z nich miała uszkodzoną rękę”. „Eugenia Smolnicka!” zawołali bez namysłu.

Odnovałam przyjaźń z rodziną Cantwell.

Polka czy Nowozelandka?

Stefania Sondej (Manterys)

Jak tam twój angielski?

Gdy w 1947 roku przebywałam w Dunedin, miasto odwiedził premier Peter Fraser. Mimo że miał wiele różnych spraw do załatwienia, koniecznie chciał spotkać się z „małymi dziewczynkami polskimi” ze szkoły katolickiej w Dunedin.

Dominikanka, która uczyła nas angielskiego, natrafiła na angielskie tłumaczenie polskiego hymnu „Nie rzucim ziemi”. Wpadła na pomysł, byśmy wykonały go na koncercie poświęconym temu, jakże zaszczytnemu, gościowi. Zaśpiewałyśmy i byłyśmy z siebie bardzo dumne dopóty, dopóki jedna z pań nie podeszła do nas z pytaniem: „Wasza piosenka była bardzo ładna. Co jej słowa oznaczają po angielsku?” Pstryk! Nasze ego wyleciało za okno.

Ty jedź moją kulturę, ja zjem twoją

1946 rok, Obóz Polskich Dzieci w Pahiatua. Wraz z koleżanką sprzątałam w jadalni nowozelandzkich nauczycielek. Podczas czyszczenia jednej z szafek natrafiłyśmy na odrażający kawałek spleśniałego sera, więc go wyrzuciłyśmy. Zaskoczyło nas potem, że zamiast podziękować, nauczycielka udzieliła nam nagany.

Dunedin, gimnazjum św. Dominika, 1947 rok. Jedna z nauczycielek, dominikanka, którą po kryjomu nazywałyśmy Kubuś Puchatek, zadała mi pytanie, jakie potrawy jedliśmy w Polsce. Przy pomocy słownika polsko-angielskiego odpowiedziałam, że kwaśne mleko. Wszyscy się skrzywili: „Fuj – zepsute mleko”. Zacerwieniłam się. Było mi bardzo wstyd, że my w Polsce żywimy się zepsutym mlekiem.

2004 rok. Jem duże ilości spleśniałego sera (specjał *blue vein cheese*), a wszyscy moi koledzy szkolni pochłaniają litrami jogurty.

„Ślub” bez oświadczyn

Wraz z przyjaciółką Jadwigą Nawrocką przebywałam w domu rodziny Doduńskich w Durham Road w Inglewood. Pani Doduńska, potomek polskich imigrantów przybyłych do Nowej Zelandii w XIX wieku, potrafiła jeszcze trochę mówić po polsku.

Pewnego dnia oznajmiła wesoło po polsku: „Jedziemy do Inglewood i kupię

wam, dziewczynki, kilka sznurków". Jako że byłyśmy grzecznymi polskimi dziewczynkami, nie odezwałyśmy się ani słowem, tylko szeptałyśmy jedna do drugiej: „po co nam sznurki?" Jej dorosły już syn, Leon, zawiózł nas do Inglewood i pani Doduńska kupiła nam śliczne wstążki do wiązania włosów. Leon kupił jeszcze każdej z nas po złotym sygnecie. Biedna Jadwiga! Dopiero niedawno zwierzyła mi się, że była tym bardzo zmartwiona, gdyż myślała, że Leon nas poślubił, a ona nie chciała wtedy słyszeć o żadnym ślubie.

Pierwsze myśli o małżeństwie

Od samego opuszczenia Rosji, rozdzielono nas sieroty według płci i wieku. Dziewczęta trafiły do żeńskich sierocińców, w których opiekunkami były same kobiety, chłopcy do męskich, gdzie opiekowali się nimi mężczyźni i czasem kobiety. Przebywaliśmy wśród rówieśników tej samej płci – byliśmy nawet odseparowani od braci i siostr. W taki sposób spędziliśmy prawie cały okres dzieciństwa i dorastania w Persji i Nowej Zelandii. Nietrudno się domyśleć, iż następstwem takiego stanu rzeczy było to, że dorastaliśmy z błędnym wyobrażeniem o płci przeciwnej.

Gdy dojrzewaliśmy, zaczęły pojawiać się pierwsze myśli o małżeństwie i założeniu rodziny. I tak ona śniła o mężu, który się nią opiekuje i zawsze jest dla niej miły, tak jak księżę z bajki. On zaś marzył o delikatnej i kochającej żonie, która spełnia wszystkie jego oczekiwania; podaje mu kapcie, gotuje dla niego i nigdy nie narzeka, piękna niczym syrena z filmów!

„Szpiking inglisz”

Przez lata nazywaliśmy Nowozelandczyków szpikami. Nic uwłaczającego, po prostu lubiliśmy bawić się słowami. Słowo „szpiki” wydawało nam się odpowiednie dla określenia ludzi, którzy nieustannie zadają pytanie: „Do you speak (brzmiące jak szpik) English?” (czy mówisz po angielsku?)

Przez długi czas nasze nowozelandzkie nauczycielki marszczyły brwi i karciły nas, gdy przyłapały nas na mówieniu po polsku. Nam natomiast wydawało się niedorzeczne rozmawiać z koleżankami-Polkami łamaną angielszczyzną. Ale nasi nauczyciele musieli uważać, że jeśli nie zapomnimy polskiego, nigdy nie nauczymy się mówić po angielsku. Wtedy Nowa Zelandia była bardzo odizolowanym krajem i niewielu ludzi podróżowało do Europy. Zdarzały się również osoby tak zarozumiałe, że nie mogły pojąć, iż ktoś nie mówiący po angielsku może być zdolny do inteligentnego myślenia.

Jeden raz i muszę podkreślić, że tylko jeden, starsza pielęgniarka ze służby zdrowia tzw. Plunket, którą zmuszona byłam odwiedzić, gdy nasz pięcioletni syn szedł do szkoły, była zgorszona słysząc mnie zwracającą się do niego po polsku. „Czy nie zdaje pani sobie sprawy, jaką krzywdę mu pani

wyrządza? Jak on sobie poradzi w szkole?” Na szczęście byłam już wtedy na tyle pewna siebie, by odpowiedzieć, że skoro ja – która uczęszczałam bardzo krótko do polskiej szkoły podstawowej i prawie żadnego pojęcia o języku angielskim nie miałam, gdy szłam do szkoły średniej – potrafiłam nie tylko dorównać, ale i przewyższyć moje koleżanki z klasy, skończyć studia i zostać nauczycielką angielskiego w szkole średniej, to jestem pewna, że i nasz syn świetnie sobie poradzi. I poradził. Na szczęście wkrótce po tym zajściu postawa władz pedagogicznych uległa zmianie i zaczęto zachęcać „nowych” Nowozelandczyków, by kultywowali swoją rodzimą kulturę oraz język. My, „dzieci Pahiatua”, czynimy tak już od sześćdziesięciu lat.

Wyrozumiałość, pochwały i zachęty

Pani Eising, moja nauczycielka angielskiego w Obozie Polskich Dzieci w Pahiatua, wręczyła mi książkę, nie pytając nawet, czy dam radę ją przeczytać. Moja pierwsza angielska książka! Jakże się zdziwiłam, gdy zrozumiałam główną treść utworu. Następnie ofiarowała mi *Opowieść wigilijną* Karola Dickensa. Ja miałam to przeczytać?!

W gimnazjum św. Dominika siostry, zamiast ubolewać nad nami („Biedne małe polskie dziewczynki, w ogóle nie znają angielskiego”) i zadawać



W internacie gimnazjum św. Dominika, w Dunedin 1947 rok.

Polskie dziewczęta:

Z tyłu, od lewej: Helena Chwieduk (1-sza), Anna Manterys (5-ta), Romualda Sokalska (6-ta), Dioniza Gradzik (7-ma), Irena Ćwirko-Godycka (8-ma), Stefania Manterys (12-ta)

Z przodu od lewej: Zofia Rombel (2-ga), Krystyna Czoba (3-cia)

nam proste prace szkolne, jak czyniły to niektóre inne szkoły, nieustannie motywowały nas do wykonywania zadań na tym samym poziomie, co reszta klasy. Płakałyśmy, męczyłyśmy się i uważałyśmy, że zakonnice są okrutne, jednak systematycznie robiłyśmy postępy. Nigdy mi się nawet nie śniło, żeby przystąpić do któregośkolwiek z egzaminów państwowych, takich jak matura. Jednak siostry zawsze we mnie wierzyły i zapisały mnie ze słowami: „Poradzisz sobie, Stefania”.

Miałam szczęście, gdyż tak samo zachęcano mnie oraz dawano sposobność do zwiększania wiary w swoje umiejętności w Kolegium Nauczycielskim oraz w szkołach, w których uczyłam. Koniec końców, można było mieć pewne wątpliwości co do moich predyspozycji do uczenia angielskiego, słysząc mój „uroczy polski akcent”, jak go kiedyś nazwali moi uczniowie.

Źle pojęty obiad

Przez pięć lat, od czasu, gdy deportowano nas z Polski aż do przyjazdu do Nowej Zelandii, nie mieliśmy żadnych podręczników ani książek do czytania. Tak więc wierszy i setek (dosłownie setek) polskich piosenek uczyliśmy się na pamięć. Zdarzało się, że śpiewaliśmy je nieustannie po kilka godzin. Obecnie, gdy istnieje tyle różnych ułatwień i pomocy naukowych (typu śpiewniki, nuty, kserokopiarki), jesteśmy przyzwyczajeni, by polegać na nich i nie wykorzystujemy w pełni możliwości swojej pamięci. A szkoda.

Ale wracając do obiadu. Dwie polskie dziewczynki przebywały u nowozelandzkiej rodziny na pierwszych w Nowej Zelandii feriach bożonarodzeniowych (1944 rok). Siedziały na zewnątrz i głośno śpiewały żywą polską kolędę, której refren brzmiał: „Oj dyna, oj dyna, oj dyna...” (W angielskim tak się wymawia słowo „dinner”, czyli obiad). Gospodyni wybiegła z domu z zatroskaną miną i usiłowała wytłumaczyć dziewczynkom, że obiad nie jest jeszcze gotowy. Jednak one odebrały to jako dezaprobatę ich śpiewu i natychmiast przestały (byłyśmy wtedy bardzo grzeczne).

Powrót do szkoły sprzed sześćdziesięciu lat

Och... Dziś opuszczamy nasz ukochany Obóz Polskich Dzieci, przyjaciół oraz „polskość” i wracamy do katolickich szkół z internatem na Wyspę Południową. Z jednej strony smutek, z drugiej podniecenie. Najpierw ciężarówka wojskowe zabiera nas na dworzec kolejowy w Pahiatua. Potem do Wellingtonu pociągiem, ciągniętym przez dwie lokomotywy, posuwającym się wolno po górach Rimutaka. Wystarczająco wolno, byśmy mogli wyskakiwać i z powrotem wskakiwać do pociągu, gdy konduktor nie patrzył. W Wellingtonie kilkugodzinne oczekiwanie na prom do Lyttelton – czy tym razem będzie to prom *Rangatira* czy *Hinemoa*?

Kilkoro Polaków, pracujących w Wellingtonie i paru ciekawskich Nowozelandczyków gromadzi się na molo w Queens Wharf, by nas pożegnać. Wszyscy mówimy po polsku, a Nowozelandczycy gapią się na nas, zastanawiając się, o co tu w ogóle chodzi. Przed wejściem na pokład pośpiesznie i bez skrępowania ściskamy i całujemy pozostałych z tyłu chłopców i dziewczyny. Skoro tylko prom zaczyna oddalać się od doku, zaczynamy śpiewać polską piosenkę pożegnalną, potem znacznie delikatniej naszą pieśń wieczorną *Wszystkie naszeienne sprawy*. Wszystkie dzieci śpiewają – czujemy się zmęczeni i smutni.

Noc spędzamy na statku, śpimy w kojach. O 5-tej rano budzą nas filiżanką herbaty tak mocnej, że fala by jej nie ruszyła! Następnego dnia wysiadamy w porcie Christchurch w Lyttelton. Potem krótka jazda pociągiem do Christchurch przez zadymiony tunel. Na stacji jemy śniadanie i tu znów mają miejsce pożegnania, gdyż kilkoro chłopców i dziewcząt zostaje zabranych do szkół z internatem lub prywatnych domów w Christchurch, podczas gdy reszta ponownie wsiada do pociągu i rusza do Timaru.

Na dworcu w Timaru żegnamy się z dziewczętami, które idą do gimnazjum Najświętszego Serca. Potem jedziemy do Oamaru, gdzie następna grupa dziewcząt udaje się do gimnazjum w Teschemakers, a chłopcy do gimnazjum św. Kevina, w tym mój brat Stanisław z moją walizką (oboje mamy takie



Przy pożegnaniu Sióstr Urszulanek w sali przy kościele św. Anny, w Newtown, Wellington, 9 marca 1958 roku.

Od lewej: Mikołaj Polaczuk, siostra Bernarda Brennan, Stefania Zawada (Sondej), Stefania Sondej (Manterys), siostra Monika Alexandrowicz

same inicjały). Pozostała niewielka grupka dziewcząt zmierza do Dunedin do gimnazjum św. Dominika oraz św. Filomeny i w końcu o 4-tej po południu, dwa dni po opuszczeniu obozu, docieramy do celu. Z powrotem kładę do pociągu walizkę mojego brata, mając nadzieję, że moja przybędzie następnego dnia.

I ponownie wracamy do szkoły. Lubię się uczyć, odkrywać nowe pojęcia i poznawać ciekawe rozwiązania. Daje mi to satysfakcję, ale tęsknię za Obozem, w którym czułam się jak w domu.

Do którego kraju należę?

Polska czy Nowa Zelandia? Pozostawię to waszej ocenie.

Nie jestem wiernym kibicem sportowym, ale lubię oglądać mecze rugby, gdy *The All Blacks* wygrywają. Śledzę również rozgrywki drużyny rugby *The Hurricanes* z innymi drużynami, ale tylko wtedy, gdy prowadzą. Byłam oburzona, gdy Coutts zdradził Nową Zelandię i przeszedł do drużyny rywali. Gdy odwiedzałam krewnych w Polsce, tak bardzo zachwalałam Nową Zelandię (oprócz jej sekularyzmu), że prawie każda osoba chciała do niej pojechać. Ja jednak bardzo lubię przebywać w Polsce, gdzie nikomu nie muszę udowadniać ani wyjaśniać, kim jestem oraz skąd pochodzę i gdzie ludzie wierzą mi, gdy przytaczam niezwykle opowieści z mojego życia. Oni wiedzą, że tak było naprawdę, gdyż sami mają podobne doświadczenia.

Gdy nasz polski zespół taneczny w Wellingtonie o nazwie Lublin miał mieć pierwszy publiczny występ, jego członkowie bardzo się smucili, gdyż nie mieli potrzebnych do niego strojów. W tej sytuacji wzięłam dwa miesiące wolnego i odwiedziłam wszystkie sklepy z materiałami i z pasmanterią, jakie tylko znajdowały się w obrębie Wellingtonu. Zebrałam chętne matki, przyjaciół i krewnych, i tak po dwóch miesiącach 32 polskie kostiumy były gotowe.

Podróżuję niekiedy do Australii i słyszę, jak jej mieszkańcy przechwalają się i zaczynają wymieniać dziedziny życia, w których są lepsi od Nowozelandczyków. Ja wtedy zwracam im uwagę na fakt, że gdyby całą ludność Nowej Zelandii umieścić tylko w samym Sydney, zmieściłaby się ona bez problemu, a nawet zostałoby sporo wolnego miejsca. Nie mają więc naprawdę powodu, by się tak szczycić.

W niedzielę uczęszczam przeważnie na polską mszę świętą. Który z nowozelandzkich księży pozwoliłby, byśmy każdej niedzieli śpiewali nasze piękne pieśni polskie i modlili się o wolność Polski przez 50 lat?

Teraz wy spróbujcie zgadnąć i ocenić, do którego kraju należę. Polski czy Nowej Zelandii?

Składam hołd

Janina Szczepańska (Malczewska)

Pragnę złożyć hołd nadzwyczajnym nauczycielkom w polskim obozie w Pahiatua za ich wpływ na kształtowanie mojej osobowości. Największy wpływ na nas miała nasza nauczycielka religii, siostra Alexandrowicz. Nauczyła nas modlitwy różańcowej. Objaśniała jak teksty Starego Testamentu uczą poznania swojego człowieczeństwa. Była dla nas dzieci wspaniała i wyrozumiała, co było nam pomocne w chwilach naszej samotności.

Pani Hołownia była świetną nauczycielką historii. Nigdy nie przychodziła do klasy z książką, uczyła nas wszystkiego z pamięci. Jej opisy były tak żywe, że doprowadzały dziewczęta do łez. Z tego powodu nasza klasa oczywiście zachowywała się najlepiej ze wszystkich. Pani Krzyżanowska wyróżniała się wielką dobrocią. Ale nie tylko nauczycielki miały warte do przypomnienia cechy. Były też inne wartościowe osoby, o których chcę wspomnieć i oddać im cześć.

Najmądrzejsza w naszej klasie była Stefcia Manterys, którą nazywaliśmy baran z powodu jej kręconych włosów. Sypialiśmy w tym samym baraku i siedzieliśmy obok siebie w klasie. Jej starsza siostra Rozalia często odwiedzała nas i siadywała na Stefci łóżku, opowiadając nam ciekawe historie z przeczytanych przez nią książek. Te wspomnienia są ze mną do dziś. Dzisiejsi psychologowie tłumaczyliby to moją potrzebą matki lub starszej siostry. Dziękuję Rózi, bo właśnie ona spełniała tę funkcję.

Niedziele w obozie były szczególnie dniem, bo odwiedzało nas wielu tutejszych ludzi, mieszkających nawet kilkadziesiąt kilometrów od obozu. Między nimi była grupa taneczna wytatuowanych Maorysów oraz szkoccy muzykanci ze swymi kobzami. Składałam wyrazy uznania rodzinie z Palmerston North, która zaprzyjaźniła się ze mną. Niestety, nie znając języka angielskiego nie mogłam okazać im swojej czułości i z czasem straciliśmy kontakt ze sobą. Mimo że ta rodzina nigdy tego nie przeczyta wyrażam tu moją wdzięczność za dobroć, której doznałam.

Mój pobyt w obozie trwał tylko dwa lata, bo przeniesiono mnie do szkoły w Christchurch. Trwał jednak wystarczająco długo, by nawiązać prawie rodzinne więzy z tymi szczególnymi ludźmi oraz by powstała wzajemna troska i poczucie wspólnoty.

Á propos poczucia przynależności

Krystyna Tomaszuk (Skwarko)

„Czujesz się Polką czy Nowozelandką?” pyta przyjaciółka. „A jaką mnie widzisz?” Janis waha się. „Raczej Polką” mówi po zastanowieniu. „No więc...” śmieję się.

Nie jest to jednak proste. Zastanówmy się. Czytam i piszę z podobną biegłością w obu językach: polskim i angielskim, rozkoszując się możliwością selekcjonowania najbardziej odpowiednich słów do wyrażenia danej myśli. Znajduję głęboką satysfakcję w manipulowaniu polskimi, w łacinie zakorzenionymi gramatycznymi powikłaniami deklinacji i koniugacji, ale też upajam się możliwością zanurzania w nigdy nie wyczerpującym się i oszałamiającym swym bogactwem języku angielskim.

A myślenie? Myślę w obu językach, zależnie od kontekstu czy dziedziny danych rozważań. Tabliczką mnożenia, na przykład, operuję wyłącznie w języku polskim, ale w dyskusjach na tematy filozofii, metafizyki itd., jest mi wygodniej posługiwać się językiem angielskim.

A modlitwa? Modlę się też w obu językach i też zależnie od środowiska, w którym znajduję się w danym czasie. Moje wewnętrzne dialogi z Bogiem jednak prowadzę ekskluzywnie w języku angielskim.

A język miłości? Tu pozwolę sobie na zachowanie dyskrecji.

A jak jest, gdy jestem w Polsce? W Polsce czuję się Polką i chociaż wiem, że jestem inna niż Polacy stale tam mieszkający, wiem, że jestem nierozłączną częścią społeczeństwa polskiego i wszystkiego, co jest Polskością. Pomimo to, w rozmowach z Polakami o Nowej Zelandii mówię – „mój dom”, a o Nowozelandczykach mówię – „my”.

Jestem dumna z osiągnięć Nowozelandczyków i w kraju, i poza granicą. Z nostalgią myślę jednak o czasach, gdy wracając z uniwersyteckich wykładów wieczorem wiedziałam, że jestem bezpieczna na ulicach Wellingtonu. Najbardziej jednak czuję się Nowozelandką po powrotach z naszych podróży po świecie. Jestem wówczas jeszcze bardziej świadoma jak bardzo Nowozelandczycy są mi bliscy. Znam tych ludzi, rozumiem ich i czuję, że mogę na nich polegać, są oni moimi przyjaciółmi, są członkami mojej rodziny, są ludźmi, z którymi pracowałam i dalej pracuję zawodowo, i ponadto są ludźmi, których szanuję i którym ufam.

Czy jestem więc całkowicie „typową” Nowozelandką? Nie. Jestem inna. Pochodzenie polskie miało duży wpływ na moją psychikę, moje usposobienie

i na jakość i styl mojego bycia. A jak Nowozelandczycy? Czy przyjmują takich jak ja, jak swoich? Wspólnie z mężem – też Polakiem, niegdyś członkiem Armii Krajowej i więźniem trzech niemieckich obozów koncentracyjnych, posiadającym uniwersyteckie wykształcenie zdobyte w Paryżu – swobodnie i przez wiele lat pracowaliśmy w swoich zawodach. Mąż był wprawdzie badaczem technicznym w przemyśle drzewnym, a potem dyrektorem w dużej korporacji browarniczej. Moja praca zawodowa obejmowała stanowisko: doradcy w sprawach małżeńskich, doradcy w dziedzinie dzieci ułomnych, nauczyciela szkół średnich i przez rząd mianowanej członkini medycznej komisji dyscyplinarnej. Ostatnie dwanaście lat pracy zawodowej byłam konsultantem do spraw rozwoju społeczeństwa dla rady miejskiej Hamiltonu. Więc tak, Nowozelandczycy przyjmują nas i traktują jako sobie równych, pomimo to, że jesteśmy inni.

A nasze dzieci? Mamy syna i córkę. Od dnia urodzenia naszego pierworodnego, wiedzieliśmy, że nasze dzieci będą uważane za „inne”, bo różniące się od większości rodowitych Nowozelandczyków. Rozumieliśmy, że musimy użyć wszelkich starań, aby zapewnić im wyrobienie silnej tożsamości i poczucia przynależności do Nowej Zelandii, a równocześnie przywiązania do dziedzictwa ich rodziców. Konsekwentnie więc język polski



Zespół poloneza na koncercie w Wellingtonie, 1953 rok.

Od lewej: Krystyna Niedźwiecka, Irena Niedźwiecka, Marcin Babczyszyn (kierownik polskiego chóru i tańców ludowych), Teresa Czochańska, Krystyna Skwarko

pozostał językiem rodzinnym i domowym, pierwszym językiem, który dzieci usłyszały i którego się uczyły. Rozumieliśmy też, że będzie bardzo ważna dla nich świadomość istnienia wspaniałego i bogatego w kulturę, tradycję i historię, kraju ich przodków. Gdy osiągnęli wiek ośmiu i sześciu lat, zabraliśmy ich na trzymiesięczny pobyt w Polsce. W ten sposób nasze dzieci zapoznały się (choć tylko powierzchownie) z krajem i narodem ich rodziców. Cała podróż okazała się niezmiernie bogatym, głębokim i niezapomnianym przeżyciem. Jednak pomimo naszych wszelkich starań, dorastanie w otoczeniu, w którym i nazwisko rodzinne i akcent rodziców były odmienne od normy, w domu, gdzie używało się czosnku do gotowania, spożywało główny posiłek tradycyjny w wigilię, a nie w dzień Bożego Narodzenia i prowadziło dyskusje, a nie potoczne rozmowy przy stole, nie było łatwe. Oboje dali sobie jednak dobrze radę, gdyż nawet branie do szkoły kanapek z salami, których żadne inne „szanujące” się dziecko nie chciało wymienić na swoje tradycyjne kanapki z sałatą i *vegemite*, nie spowodowało w naszych dzieciach urazu psychicznego. I syn i córka wyrosli na zrównoważonych, porządnym ludzi o wysokich osiągnięciach – Nina w dziedzinie demografii, a Krzysztof jako prawnik z własną praktyką prawniczą, którą, notabene, nazwał „Eagle Law”, na cześć godła polskiego.

A wnuki? Tak jak by się można spodziewać, wnuki nasze też są „inne” od swoich rówieśników nowozelandzkich. Nasza wnuczka, w ostatnim dniu swojego pobytu w przedszkolu, na prośbę nauczycielki przygotowała prezentację na temat, skąd pochodzi nazwisko Tomaszuk. Pięcioletnia Ariana nie miała z tym zadaniem żadnego problemu – wytłumaczyła klasie, że babcia i dziadzio pochodzą z Polski, pokazała na globusie, gdzie leży ten daleki kraj, Polska, i zademonstrowała swój strój krakowski. Ariana dalej uczęszcza na lekcje polskich tańców narodowych, prowadzone w Domu Polskim w Auckland, a Ethan i Samuel (mający pięć i dwa latka) idą śladami chłopaków pochodzenia polskiego. W konkluzji pragnę zaznaczyć, że Nowa Zelandia jest, być może, jedynym krajem, gdzie być innym czy inną nie utrudnia, a raczej ułatwia życie nam, naszym dzieciom i wnukom. Moje imię odziedziczyłam po swojej matce Krystynie.

Autorka dwóch książek wydanych w języku angielskim: „But a fleeting moment”, refleksje na temat rzeczywistości i tajemnicy życia, Kapiti Printers Ltd. 1997, „Essence”, autobiografia, Dunmore Press Ltd., Wellington 2004.

Losy mojej rodziny

Regina Villmo (Zielińska)

Miałam sześć lat, kiedy zmarła moja matka przy porodzie mojej siostry Lusi. Było to podczas bardzo mroźnej zimy i okrutnej wojny. Pamiętam, że płakaliśmy cały czas i tęskniliśmy za matką. 10 lutego 1940 roku, zaledwie osiem dni po jej pogrzebie, rosyjscy żołnierze wdarli się do naszego domu na wsi o drugiej w nocy, przeszukali ojca czy nie ma broni i kazali nam spakować tyle, ile damy radę wziąć ze sobą.

Tej mroźnej nocy zabrano nas do najbliższej stacji kolejowej, blisko wschodniej granicy z Rosją. Tu nas wpędzili – tłocząc i wypychając – do bydłych wago-nów i zawieźli na północ, na Syberię. W długim pociągu i w ogromnym tłoku, w tej bezlitosnej zsyłce jechało tysiące obywateli ze wschodnich terenów Polski.

Matkirozpaczliwiestarały siępomócplaczącymdzieciom.Nasząsiostrzyczkę niemowlę karmiły swoją piersią inne matki lub dawały jej do picia przegotowaną wodę, którą strażnicy pozwalali nam zdobyć na różnych postojach. Mimo to dziecko zmarło po przybyciu do odległej, górzystej miejscowości za Uralem. Wielu zmarło w czasie tej długiej podróży – trzy tygodnie bez przerwy.

Pamiętam, że mój ojciec pracował w kopalni z innymi mężczyznami i młodymi ludźmi. Moja 14-letnia siostra Stanisława pracowała na powierzchni przy rozładunku wózków z rudą miedzi. Rodziny niepracujących nie dostawały przydziałów chleba. Starsza siostra Misia pracowała jako gosposia. 12-letnia Marysia była niańką u rosyjskiej rodziny. Brat Kazik i ja, najmłodsi z naszej rodziny, musieliśmy chodzić do rosyjskiej szkoły.

Często chodziliśmy na rynek, żeby sprzedać cokolwiek się dało, żeby móc kupić żywność. Szliśmy kilometrami na pola, żeby nazbierać ziemniaków, których nie zdołały wybrać kombajny. Potem ucztowaliśmy jedząc zupę z ziemniaków z cebulą, placki ziemniaczane lub solone ziemniaki. Dostawa soli, cukru i innych niezbędnych towarów do sklepów nigdy nie była pewna, zwłaszcza w okresie, w którym na Rosję napadli Niemcy, ich dotychczasowi sprzymierzeńcy.

W końcu nas uwolniono i udaliśmy się na południe do Kazachstanu. Szukaliśmy tam naszego ojca, który wstąpił do Wojska Polskiego na Uchodźstwie. W Uzbekistanie przekroczyliśmy na tratwach lodową i potężną rzekę Amu Daria. Wielu ludzi zmarło w czasie tej przeprawy,

zwłaszcza dzieci, ciała ich wrzucono do wody. Na wpół żywe, obszarpane i schorowane kobiety z dziećmi wiedziały, że trzymanie się Wojska Polskiego jest ich jedyną nadzieją na przetrwanie. Generał Anders odważnie postanowił, wbrew życzeniom Stalina, zabrać z wojskiem jak najwięcej polskiej ludności cywilnej przez Morze Kaspijskie do Iranu. Statki były przepełnione i wielu musiało stać na pokładzie. Trupy wyrzucano do morza.

Dla tych, którzy przetrwali i w marcu 1942 roku dostali się do Iranu, skończyła się głódówka, a dzieci otrzymały opiekę lekarską. Z czasem byliśmy czysti, ciepło ubrani i nakarmieni. Posłano nas do szkół i sierocińców w Teheranie. Tu nasza piątka rodzeństwa została rozłączona. Dwie starsze siostry wstąpiły do wojska i wyjechały do Palestyny, mając nadzieję, że odnajdą tam ojca. Trójkę młodszych: Marysię, Kazika i mnie zabrano do szkół w Isfahanie. Jedną grupą dziewcząt opiekowały się francuskie Siostry Miłosierdzia. Dziewczęta uczyły się francuskiego, zapominając języka rosyjskiego, którego przymusowo uczyły się w Rosji. Około stu chłopców umieszczono u Braci Salezjanów. Te dwie grupy były utrzymywane przez papieża Piusa XII.

Byliśmy szczęśliwi, ale czekała nas następna przeprowadzka w nieznane. Tym razem przez wielki ocean do Nowej Zelandii. Z Bombaju płynęliśmy amerykańskim okrętem wojennym, na którym załoga i płynący z nami Nowozelandczycy rozpieszczali nas czekoladą, słodyczami i grali z nami w piłkę, żeby nas rozweselić. Zaczęliśmy się uczyć trochę angielskiego. 31 października 1944 roku wpłynęliśmy do portu w Wellingtonie.

Pamiętam naszą podróż pociągiem do obozu w Pahiatua. Na wszystkich przystankach, czasami przy drodze, na pagórkach w szczerym polu, witani byliśmy przez dzieci szkolne, machające polskimi i nowozelandzkimi flagami. Dawano nam słodycze, lody i drobne monety. Oglądaliśmy barwny krajobraz, tak różniący się od Iranu. W Pahiatua czekało wielkie powitanie, grała wojskowa orkiestra, robiono zdjęcia, a wokół stały tłumy uśmiechniętych i przyjaznych ludzi. Poczuliśmy się mile widziani.

W obozie rozdzielono nas według klas i umieszczono w barakach. Każdy miał ładnie pościelone łóżko i szafkę. Nowozelandzcy rówieśnicy uczyli nas stepowanych tańców i zapraszali do swoich domów lub do kina w miasteczku Pahiatua. Miałam szczęście zaprzyjaźnić się z młodą matką z trójką dzieci, która później korespondowała z moją starszą siostrą Misią i pomogła jej i jej mężowi w przybyciu z Londynu do Nowej Zelandii.

Później chodziłam do gimnazjum w New Plymouth i tam też miałam szczęście, ponieważ wzięła mnie pod opiekę życzliwa i miła rodzina z pięciorgiem dzieci – traktowali mnie jak swoje szóste. Po dziś dzień cenię ich przyjaźni i do dziś utrzymujemy znajomość. W listopadzie 2002 roku przybyłam z Norwegii, wraz z moim norweskim mężem Loydem, żeby odwiedzić ich,

moją siostrę i wielu dawnych przyjaciół, Polaków i Nowozelandczyków. Było wiele śmiechu, śpiewania i rozmów jak za dawnych, młodych lat.

Czas kroczy do przodu, minęło już 60 lat, ale beztrioskie życie w obozie w Pahiatua dane nam przez Nowozelandczyków pozostało docenione i upamiętnione na Zjeździe Polskich Dzieci w 2004 roku.

Nasz ojciec zmarł w szpitalu w Teheranie sześć miesięcy po naszej ewakuacji z Rosji Sowieckiej. Przyczyną śmierci był głód i tyfus. Dowiedzieliśmy się od siostr Czerwonego Krzyża, że zmarł szczęśliwy, wiedząc, że jego dzieci są pod opieką Wojska Polskiego.

W 2002 roku Józef i Stefania Zawada odnaleźli jego grób podczas uroczystości poświęcenia odnowionego polskiego cmentarza w Teheranie. Zrobili zdjęcia, które stanowią dla naszej rodziny wielką pamiątkę. Odwiedzili też wiele innych cmentarzy na ziemi irańskiej w poszukiwaniu grobów rodzin byłych sierot z obozu w Pahiatua, które są teraz obywatelami Nowej Zelandii.



Regina Villmo (Zielińska)
z Peterem Dobsonem przy ulicy
Devon Street, New Plymouth,
Nowa Zelandia, w pierwszym
roku pobytu u rodziny Dobsonów,
gdy chodziła do gimnazjum
Najświętszego Serca

Szczypta soli

Romualda Waluszevska (Sokalska)

W maju 1945 roku, po sześciomiesięcznym pobycie w Nowej Zelandii, nasze pierwsze wakacje szkolne spędziliśmy w rodzinach nowozelandzkich, a celem ich było zapoznanie się z tutejszym codziennym życiem i polepszenie naszego języka angielskiego.

Moja podróż rozpoczęła się na dworcu kolejowym w Pahiatua, a skończyła w Mastertonie, podczas gdy inne dzieci kontynuowały swoją podróż do rodzin rozsiansych po całej Nowej Zelandii. Dobrze pamiętam jak byłam nieśmiała i zażenowana stojąc na dworcu kolejowym w Mastertonie, czekając na tę dobrą rodzinę, która mnie zabierze do swojego domu na dwa tygodnie.

Te chwile obawy prawie zupełnie znikły, gdy zobaczyłam zbliżającą się ku mnie uśmiechniętą kobietę, która trzymała w ręce kartkę z moim nazwiskiem. Jej pierwsze słowa były „witam cię w Mastertonie”, po czym wzięła mnie pod rękę i podążyliśmy do jej samochodu. Po pół godzinie byliśmy w domu. Dom był duży z malowniczym ogrodem kwiatowym i warzywnym. To była rodzina farmerska – hodująca owce.

Rodzina składała się z matki, ojca, syna i dwóch córek. Przywitani mnie z uśmiechem i serdecznością, a także przez całe dwa tygodnie okazali mi dużo uprzejmości i życzliwości. Nieraz było dużo śmiechu, gdyż z powodu mojej słabej znajomości języka angielskiego trudno było nam się zrozumieć. Mam z tych wakacji do dziś miłe wspomnienia.

Główny posiłek podawano wieczorem i był czymś specjalnym. Ubierano się w odświętne ubrania. Zasiadaliśmy do gorącej pieczeni jagnięcej z pieczoną dynią oraz innymi warzywami i miętowym sosem. Desery były pyszne. Pierwszy raz w życiu jadłam jagnię i dynię z miętowym sosem.

Pewnego wieczoru coś ambarasującego stało się przy stole. Jedna z córek zwróciła się do mnie: „Romualda podaj sól, proszę” – a moja grzeczna odpowiedź brzmiała – „nie dziękuję”. Myślałam, że ona proponowała mi sól, której nie potrzebowałam. Cóż za gafa z mojej strony.

Do dziś czasami o tym myślę i mam szczerą nadzieję, że przyjęto mą odpowiedź ze szczyptą soli.

Miasto Wanganui zaprasza

„The Wanganui Chronicle”

Oparte na reportażu z 31 sierpnia 1995 roku

Pięćdziesiąt lat temu, nasze miasto zaprosiło na wakacje szkolne 225 dzieci z Obozu Polskich Dzieci w Pahiatua. Tu po raz pierwszy tak duża grupa dzieci zetknęła się z nowozelandzkim życiem. Goszczeni byli od 17 do 31 sierpnia 1945 roku. Dzięki pomocy wojska oraz świeckich i kościelnych organizacji dobroczynnych Wanganui stało się wielkim obozowiskiem czasowym.

Każde dziecko wysiadające z pociągu na stacji miało przypiętą karteczkę do ubrania z nazwiskiem. Rwetes, nawoływanie porządkowych, wydawanie rozkazów w obcym im języku przez głośniki – było to oszałamiające wprowadzenie do naszego miasta 5 do 15-letnich ofiar wojny.

Józef Zawada, wówczas 12-latek, powiedział nam: „Wyraźnie pamiętam jak stałem na stacji i wywołano moje nazwisko przez głośnik oraz ludzi, którzy przyszli zabrać mnie na wakacje”. Trudno było się porozumieć z dziećmi nie znającymi języka angielskiego, ale przy dobrej chęci udawało się. Zawarte tego dnia przyjaźnie przetrwały do dziś.

Piotr Przychodźko ma podnoszące na duchu wspomnienia z tego pobytu: „Rodzina, która zabrała mnie i kolegę, miała trzech synów, z którymi od razu zaprzyjaźniliśmy się. Ich matka starała się nam dogodzić we wszystkim, zwłaszcza w jedzeniu, bo słyszała, że przeszliśmy głód. Po roku zaprosiła nas ponownie na dwutygodniowe wakacje. Do tego czasu nauczyliśmy się więcej angielskiego i mogliśmy opowiedzieć jej i rodzinie coś więcej o sobie. Żałowaliśmy, że trzeba było wracać po wakacjach do obozu, bo traktowali nas jak członków swojej rodziny”.

Piotr mówił, że utrzymywał z nimi kontakt dopóki nie został wysłany do gimnazjum w Auckland. Minęło około 30 lat, kiedy Piotr z żoną i dziećmi wybrał się na wycieczkę do miasta Wanganui. Tak wspomina: „Stanęliśmy w miejskim parku dla rozrywki. Gdy kupowaliśmy lody w pobliskim sklepie, przypomniałem sobie, że właśnie tu chodziliśmy na lody tyle lat temu”.

„Zapytałem sklepikarkę czy zna tamtą rodzinę. Odpowiedziała, że zna i dała nam wskazówki. Zapukałem do drzwi, wyszła staruszka i pyta mnie, kim jestem. Nie pamięta pani? – zapytałem. Patrzyła, patrzyła i zadawała wiele pytań. Jeżeli pani nie pamięta, to powiem jej. Pamięta pani polskich chłopców na wakacjach u siebie w 1945 roku? Pani zawołała, tuląc mnie do siebie: ‘Piotrze, mój synu, teraz już pamiętam, ale tak wyrosłeś, że cię nie

poznałam'. To było niczym powrót zaginionego dziecka do matki. Mieliśmy łzy w oczach.

Jej mąż już nie żył, synowie opuścili dom i mieszkała sama. Zapytała mnie, co porabiałem przez tyle lat, czy mam rodzinę. Poprosiła żebyśmy weszli, po czym przeżyliśmy wspańnię chwile, przypominając lata powojenne i moje wakacje w Wanganui. Moje dzieci czuły się u niej jak u babci". Dwadzieścia lat potem Piotr bardzo czule wspomina te chwile spotkania.

Mieszkańcy Wanganui wspominają polskie dzieci

Jean Healy cieszyła się z pobytu dwóch chłopców, których gościła u siebie i chwaliła ich. Wspomina jak bawili się przenośnymi telefonami i dziwiła się widząc, że wymieniali się swoją używaną gumą do żucia. Pewnego wieczoru przyszła na kolację siostra jednego z chłopców. Cały czas milczała. Ksiądz Stapleton powiedział pani Healy, że dziewczynka nie ochłonęła jeszcze po przeżyciach wojennych, widziała jak rozstrzeliwano jej ojca i matkę. Chłopcy powrócili na jeszcze jedne wakacje. Po latach jeden z nich przedstawił się Erykowi, mężowi pani Healy, który prowadził hodowlę koni na wyścigi w Pahiatua, przypominając mu wakacje spędzone w ich domu.

Pani Fay Shaw wspomina dwóch chłopców goszczących w domu jej rodziców. Miała wtedy dziewięć lat, tyle ile chłopcy. Była to jedna z rzadkich okazji pójścia do kina. Jej rodzina odpowiedziała na apel przyjęcia chłopców do swoich domów, zwłaszcza na wsi. Mieli kilka akrów ziemi przy ulicy Roberts Street. Pamięta jak chłopcy nauczyli ich kilku potocznych polskich słów, których już teraz nie pamięta. Pani Shaw często rozmyśla, co się z nimi stało. Ojciec powiedział, że Nowak chyba wrócił do Polski, ale nie pamięta czy w ogóle znała ich nazwiska.

Stella Scoular przypomina sobie małego polskiego chłopca, który przebywał naprzeciwko u sąsiadów przy ulicy College Street. Jedynym wspólnym słowem była *mysz*, bo brzmi to słowo podobnie w obu językach. Był uszczęśliwiony tym drobnym porozumieniem.

Dziennik „*The Wanganui Chronicle*” (Kronika miasta Wanganui) doniósł, że dzieci uważają Nową Zelandię za dobry kraj, nie podoba im się jedynie to, że za często padają tu deszcze. Wszystkie oczekiwały powrotu do swego kraju. Ale z powodu okupacji Polski przez Rosję Sowiecką Nowa Zelandia stała się ich stałym domem.

Wrośłem tu

Tadeusz Woś

Moje najwcześniejsze wspomnienia to dobre życie w Polsce z ojcem, matką, bratem i siostrą. Mieszkaliśmy w wygodnym domu na wsi, gdzie nie brakowało niczego. Któż by pomyślał, że za pięć lat będę stał na okręcie wojennym *USS General Randall* w porcie Wellington w Nowej Zelandii, trzymając za rękę młodszego brata, Bronka, spoglądając na nasze nowe miejsce pobytu, bez rodziców, krewnych – z dala od naszej polskiej mowy i obyczajów.

Ten nieznaný kraj dał nam przytułek, ale czy zastąpi dom? Mieliliśmy szczęście. Po czterech latach w Obozie Polskich Dzieci w Pahiatua owdowiały ojciec odszukał nas tam i przyłączył się do nas. Ojciec był wdzięczny rządowi Nowej Zelandii za możliwość pracy i stworzenia warunków do wychowania dzieci. Został kowalem w Rolnym Instytucie Badawczym w Hamilton.

Po zadowoleniu się w pracy i otrzymaniu dobrego mieszkania ojciec mógł zabrać nas z obozu. Nasza rodzina szybko powiększyła się, bo ojciec ożenił się z Heleną Nawalaniec, opiekunką z obozu, która miała pięcioro dzieci. Większość z nich była już dorosła tak, że zamieszkała u nas tylko z synem Janem. Nasza rodzina powiększyła się po przyjeździe z Anglii naszego przyrodniego brata Adolfa. Potem przyjechała siostra Jadwiga, z którą rozstaliśmy się w Iranie, skąd ją wysłali do Afryki. Na koniec urodziła się ostatnia w rodzinie siostra, Danuta.

W domu rozmawialiśmy tylko po polsku. Słaba znajomość języka angielskiego utrudniała mi naukę w szkole księży Marystów w Hamilton. Ale lubiłem matematykę, ponieważ we wszystkich językach liczby są takie same i mogłem je zrozumieć.

Po dwóch latach, za wstawiennictwem przyjaciela ojca, dostałem pracę w piekarni i opuściłem szkołę. Lubiłem wczesne godziny pracy i moje zadania nie były ciężkie. Jednak zrozumiałem, że nie lubiłem pracy w zamkniętym pomieszczeniu i że piekarnia szkodziła mojemu zdrowiu. Po dwóch latach dostałem pracę u dekarza, a potem wraz z grupą polskich stolarzy zacząłem pracę przy budowie. Odnalazłem to, co najbardziej lubiłem robić.

Kochałem budownictwo i czułem się dobrze w otoczeniu wielu moich rodaków. W dni wolne od pracy zacząłem budować na własną rękę. Pierwszą budową ukończoną przeze mnie w ten sposób był dom dla moich rodziców. Potem postawiłem trzy nowe domy.

W 1959 roku wyjechałem do Hawkes Bay i pracowałem z Marianem Kępką,

dawnym kolegą z obozu. W 1961 roku ożeniłem się z jego bratową, Robin Hallgarth. Pracowałem w spółce budowlanej Mariana przez 32 lata. W tym czasie zbudowaliśmy wiele różnych domów, od małych mieszkań do wielkich rezydencji.

Robin i ja zawsze planowaliśmy odwiedzić Polskę. Niestety, rosnące dzieci wymagały opieki i środków do życia. Wyruszyłem dopiero w 59-tym roku życia. Nie wiedziałem, jak będę się czuł i obawiałem się tego. Miałem wspaniałe życie w Nowej Zelandii, chwytalem wszystkie możliwości. Cała moja rodzina była już Nowozelandczykami.

Jednak po przybyciu do Polski zrozumiałem po raz pierwszy, że należę do dwóch krajów. Głosy, mowa, otoczenie, potrawy i kultura obezwładniły mnie. Byłem w domu. Odwiedziłem Polskę z żoną dwa razy po przejściu na emeryturę. Nowa Zelandia jednak jest krajem, w którym chcę żyć do końca moich dni. Jestem wdzięczny tym, którzy postanowili, że pozostaniemy w tym wspaniałym kraju. Miałem bardzo dobre życie.



Rodzinny zjazd.

Z tyłu, od lewej: Tadeusz Woś, Bronisław Woś, Jan Woś (Nawalaniec), Adolf Nawalaniec

Z przodu: Danuta Woś, Jadwiga Leszewicz

Trudne początki

Helena Wypych (Chwieduk)

Obóz Polskich Dzieci w Pahiatua nazywaliśmy naszą małą Polską. Tam byłam szczęśliwa. Dni były do siebie podobne w ich ustalonym porządku, czułam się bezpieczna i spokojna o wszystko. Przyjaźnie tam zawarte trwają do dziś. W 1946 roku zamknięto polskie gimnazjum i nasza klasa rozproszyła się po całej Nowej Zelandii. Niektóre wyjechały do szkół katolickich, a niektóre wysłano do pracy. Mnie wyznaczono do gimnazjum Serca Jezusowego w Hamilton.

O drugiej po południu, 16 września 1946 roku, pięć polskich dziewczynek z obozu Pahiatua wysiadło na stacji Frankton. Zaistniała pomyłka i nikt nie wyszedł po nas. Usiadłyśmy na ławce i czekałyśmy. Przyszedł stróż, więc łamaną angielszczyzną poprosiłyśmy go o pomoc. Widocznie zrozumiał, bo zatelefonował i natychmiast przyjechały po nas dwie siostry.

Następnego dnia rozdzielono nas. Trzy dziewczynki zostały w internacie, a mnie i jeszcze jedną dziewczynkę wysłano do rodzin nowozelandzkich. Przyjechał po mnie młody człowiek, Frank Mayer. Wziął moją walizkę i zaprowadził do samochodu. W podróży starał się nawiązać rozmowę, ale ja nic nie rozumiałam. Poczułam się osamotniona i zastraszona. Jechaliśmy na farmę około 15 km od Hamilton. Przejechaliśmy koło mleczarni w Matangi, a potem skręciliśmy w prawo. Państwo Mayer pochodzili ze Szwajcarii.

Zobaczyłam stary dom i wokół dużo krów. Nikt nie wyszedł z domu na spotkanie. Po pewnym czasie wróciła ze szkoły dziewczynka Elein i zajęła się przygotowaniem kolacji, a potem reszta rodziny powróciła po skończonej pracy na farmie. Usiedliśmy do kolacji. Pamiętam tłuste smażone kotlety na moim talerzu, ale nie mogłam jeść, ścisnęło mnie w gardle i nie mogłam przełknąć pokarmu. Rozpłakałam się i uciekłam do swego pokoju.

Wieczorem powiedziano mi, że gdzieś jedziemy, ale nie zrozumiałam wszystkiego. Pojechaliśmy do szpitala odwiedzić ich chorą matkę. Była to dobra i miła kobieta. Wyciągnęła do mnie ręce i przytuliła do siebie. Uważała mnie za własne dziecko. Gdy po paru dniach wróciła do domu, wzięła mnie do miasta i kupiła szkolny mundur. Dobroć matki wzbudzała zazdrość u jej córki i ta po cichu mnie prześladowała. Byłam nieśmiała i nie odważyłam się powiedzieć o tym jej matce. Każdego dnia czekałam niecierpliwie na szkołę, bo tam spotykałam swoje polskie koleżanki.

Minęły tygodnie i przyzwyczaiłam się do życia na farmie. Wokół piękne widoki, czyste świeże powietrze, a wiosna była przepiękna. W tym otoczeniu

było mi zupełnie dobrze. Nieraz przed szkołą plewiłam kwiaty przed domem. Masa różnokolorowych maków wyglądała jak wesole przyjaciółki. Niecierpliwie czekałam na Święta Bożego Narodzenia, bo wiedziałam, że pojedę do obozu na wakacje. Wracałyśmy ze szkół rozsianych po całej Nowej Zelandii. Każda w innym mundurku. Wszystkie szczęśliwe, a opowiadaniom nie było końca. Były to wakacje nie do zapomnienia.

Po wakacjach ulokowano mnie w internacie św. Dominika w Dunedin. Poczułam się jak u siebie. Stary, dobrze utrzymany budynek, wszędzie czysto – szerokie schody, pięknie wypolerowane do połysku, wiodły na drugie piętro.

Codziennie, na odgłos dzwonka, schodziłyśmy parami na posiłki, śpiewając pieśni religijne. Bardzo lubiłam „Witaj Królowo Niebios”. Wymagano zupełnego posłuchu i zawsze miała być cisza. Nie wolno nam było użyć wyrażenia „nie, proszę siostry”, nawet, gdy nie czuło się winnym. Zawsze mówiłyśmy „tak, proszę siostry”. Zawsze też ustępowało się siostrze, żeby przeszła. Trudno było przyzwyczaić się do tego, ale wierzę, że nauka w internacie katolickim wpoila mi duchowe wartości i dała dobre wychowanie, co mi pomogło w życiu.

Pamiętam, jak w sobotę po południu, ubrane w mundurek – kapelusze, rękawiczki, dobrze wyczyszczone buty, podciągnięte skarpetki – szłyśmy na spacer przez miasto. Po powrocie, przez godzinę siostra uczyła nas zachowania się przy stole i wpajała zasady dobrego wychowania. Na wszystko był wyznaczony czas – zadanie domowe, ręczne robótki, czytanie, muzyka, sport i wypoczynek. W internacie było sześć polskich dziewczynek – to sprawiało radość!

W 1948 roku zawiadomiono mnie, że tatuś i jego nowa żona z dzieckiem przyjechali do Nowej Zelandii. Od tego czasu tatuś stał się odpowiedzialny za moje wykształcenie. Nie miał pieniędzy i dlatego musiałam opuścić szkołę. Tego nie przebolełam przez całe życie. Tatusia nie widziałam przez sześć lat. W Guzarach w Uzbekistanie starsze siostry Irena, Janina i tatuś wstąpili do Wojska Polskiego. Tatuś był w armii generała Andersa w Iraku i walczył we Włoszech. Mama zmarła w Uzbekistanie.

Ponieważ tatuś jeszcze szukał mieszkania i pracy, nie mógł wziąć mnie do siebie, dlatego pojechałam do Wellingtonu i zamieszkałam w Bursie Polskich Dziewcząt. Nagle musiałam sama rozwiązywać własne kłopoty, stałam się odpowiedzialną za siebie i za swe utrzymanie. Bałam się.

Znalazłam pracę w fabryce, dość daleko od bursy. Co dzień chodziłam tam i z powrotem piechotą – konieczność oszczędzania. Była to bardzo ciężka praca. Musiałam nadążać za maszyną wypychającą puszki – odbierałam je i układałam. Przy końcu dnia, zupełnie wymęczona, włókłam się powoli

do bursy. Wytrwałam w tej pracy trzy miesiące. Potem znalazłam inną, w Państwowej Drukarni. Praca była ciekawa i polubiłam ją. W bardzo krótkim czasie awansowałam. Byłam odpowiedzialna za rozsyłanie Gazetki Policyjnej. Poczułam się wystarczająco dumna, ażeby być szczęśliwa.

Nie spodziewałam się, że wkrótce nastąpi zmiana. Obóz w Pahiatua zamykano i grupa najmłodszych dziewczynek, wszystkie sieroty, przyjeżdżały do bursy. Nie było tu wystarczającej liczby łóżek. Tatuś dostał mieszkanie z pracą i poproszono mnie, ażebym z nim zamieszkała.

Służba wojskowa w czasie I wojny światowej, wywózka do Rosji, znowu służba wojskowa w czasie II wojny światowej, a najbardziej zawiedziona nadzieja na powrót do domu, do Polski, wyniszczyły ojca. Zawsze był zły. Trudno mi było również porozumieć się z macochą, bo mówiła tylko po włosku. Nauczyłam się trochę po włosku, ale macocha gniewała się, gdy z tatusem mówiliśmy po polsku. Niedługo potem młodszy brat Józek (Ziutek) zamieszkał z nami. Jeszcze uczęszczał do gimnazjum i przynosił do domu bardzo dobre oceny. Nie wiem jak temu podołał, bo nie miał czasu na zadania domowe. Tatuś zapędzał go do pracy koło domu, nieraz pracował do późna, przy księżycu. Brakowało nam pieniędzy i dorabiałam, pracując w soboty w kuchni internatu św. Patryka w Silverstream. Było daleko od domu, ale chodziłam piechotą.

Dom, w którym mieszkaliśmy potrzebował wielu napraw. Wieczorami, po pracy, tatuś do późna bił młotem. Raz poprosiłam go żeby zaprzestał, bo dzieciątko nie może zasnąć. On utkwiał we mnie wzrok i powiedział: „jutro dostaniesz”. Byłam przerażona i tej nocy postanowiłam uciec z domu. Poprosiłam Ziutka o pomoc. Spakowaliśmy moje rzeczy i rano wzięłam ze



Od lewej: Józef (syn), Józef (ojciec) i Helena Chwieduk
w Teheranie, Iran, 28 września 1942 roku

sobą do pracy walizkę. Po pracy pojechałam do bursy prosić o przytułek. Przyjęto mnie, ale tylko na krótki okres. Tatusz był bardzo zły na mnie i przez długi czas nie chciał mi przebaczyć.

Wkrótce Ziutek też opuścił dom i zamieszkał u Nowozelandczyków, państwa Pat i Nancy Stanaway. Do szesnastu lat uczęszczał do gimnazjum św. Patryka w Wellingtonie. Następnie pracował jako robotnik w porcie w Wellingtonie.

Znów trzeba była opuścić bursę. Pewna znajoma z pracy dała mi pokój u siebie. Potem przeniosłam się do pensjonatu. Dzieliłam pokój z koleżanką Polką. Pierwszy raz w życiu gotowałyśmy własne posiłki i nieraz to, co ugotowałyśmy było nie do zjedzenia. Często kupowałyśmy sobie smażoną rybę z frytkami, ale to nas nie martwiło – byłyśmy młode i świat stał przed nami, więc byłyśmy szczęśliwe.

Mój przyszły mąż, Konstanty Wypych, powiedział mi kiedyś, że pierwszy raz zauważył mnie jak śpiewałam w polskim chórze na akademii. Po paru tygodniach znowu spotkaliśmy się na czyichś urodzinach. Przez cały wieczór siedział przy mnie i odprowadził koleżankę oraz mnie do domu. Zanotował numer mego telefonu i zadzwonił zaraz następnego dnia prosząc o randkę.

Pierwszy raz spotkaliśmy się w niedzielę wieczór przy wejściu do kościoła św. Marii od Aniołów. Chodziłam tam każdej niedzieli na Błogosławieństwo. W drodze do kościoła pomyślałam: „Na pewno nie przyjdzie”, ale przyszedł. Stał przy schodach i czekał na mnie. Od samego początku czuliśmy się sobie bliscy. Dzień naszych zaręczyn uczciliśmy smażoną rybą z frytkami na wynos! 10 kwietnia 1950 roku pobraliśmy się w tym samym kościele, przy którym spotkaliśmy się na naszą pierwszą randkę. Łączyła nas przeszłość. Rodzina Kostka też znalazła się na Sybirze. On, jego trzech bracia i ojciec zapisali się do Wojska Polskiego, które tworzyło się z byłych więźniów i deportowanych. Walczył pod Monte Cassino i tam był odznaczony krzyżem *Virtuti Militari*. Był wysoki, przystojny, więc o czym więcej mogłam marzyć?

Bóg dał nam pięcioro ślicznych dzieci (Stanisław, Jan, śp. Zofia, Stefania, Barbara) i dziewięcioro wnucząt (Hayden, Oliver, Adela, Jessica, Thomas, Spencer, Paige, Stefan, Billie). Mój ukochany mąż, kochany ojciec i dziadek zmarł 12 czerwca 1993 roku.



Takimi wagonami wywożono polską ludność do pracy przymusowej w Związku Radzieckim



Po ponad dwóch latach pobytu na terenie sowieckiej Rosji dzieci polskie leżą wycieńczone głodem i chorobami w obozie przejściowym w Pahlewi (obecnie Bandar-E-Anzali), Iran 1942



Na wygnaniu w ZSRR, kobiety pilnie dzielą niewystarczający przydział chleba w przymusowym obozie pracy. Kobieta po prawej odkłada cenne kawałki chleba na ławie, do suszenia na suchary



Evakuacja z Iranu. Uchodźcy przed wejściem na angielski okręt towarowy *Sontay*, port Chorramszahr, październik 1944



Rosyjski statek towarowy *Żdanow* przepelniony polskimi uchodźcami wypływający z Krasnowodzka na Morzu Kaspijskim do Pahlewi w Iranie, 1942 rok. Wiele osób zmarło na statku z wycieńczenia i chorób po przymusowej pracy w obozach w Rosji Sowieckiej



Statek handlowy *Sontay*, wcześniej odebrany flocie francuskiej przez Brytyjczyków, przewiózł polskie dzieci w bardzo niewygodnych warunkach z Iranu do Bombaju w Indiach, wrzesień 1944



Amerykański transportowiec wojsk *USS General Randall*, który pływał między San Diego i Bombajem. W październiku 1944 roku wioził australijskich i nowozelandzkich żołnierzy powracających do domu. Po drodze zabrali 732 polskich dzieci i ich 102 opiekunów do Nowej Zelandii. Został wycofany ze służby w 1961 roku



Premier Nowej Zelandii, Peter Fraser (trzymając dziecko) i Maria Wodzicka, żona polskiego konsula (po lewej stronie, w mundurze), witają polskie dzieci na pokładzie *USS General Randall*



Raz jeszcze w nieznane. Polscy chłopcy po zejściu z okrętu wsiadają do pociągu, który zabierze ich na ostatni odcinek podróży z Wellingtonu do Pahiatua



Dzieci z całym swoim majątkiem wysiadają z pociągu na stacji w Pahiatua, 1 listopada 1944 roku. Jeden z najstarszych opiekunów Bolesław Jankiewicz (pośrodku w kapeluszu) nadzoruje



Jeszcze jedna grupa nowozelandzkich dzieci wita pociąg wypełniony polskimi dziećmi



W drodze do nowego domu. Polskie dzieci wyglądają z wagonów na witające ich dzieci nowozelandzkie



Żołnierze nowozelandzcy pomagają wysiadającym z ciężarówek dzieciom, po przybyciu do Obozu Polskich Dzieci w Pahiatua, 1 listopada 1944 roku



Nowi lokatorzy po raz pierwszy wchodzą do swoich baraków



Pani Stanisława Lewandowska (nazywana Białą Mamą, bo zawsze była ubrana na białło) z poświęceniem opiekowała się najmłodszymi dziećmi w drodze z Iranu do Nowej Zelandii, a teraz objęła pieczę nad nimi w obozie



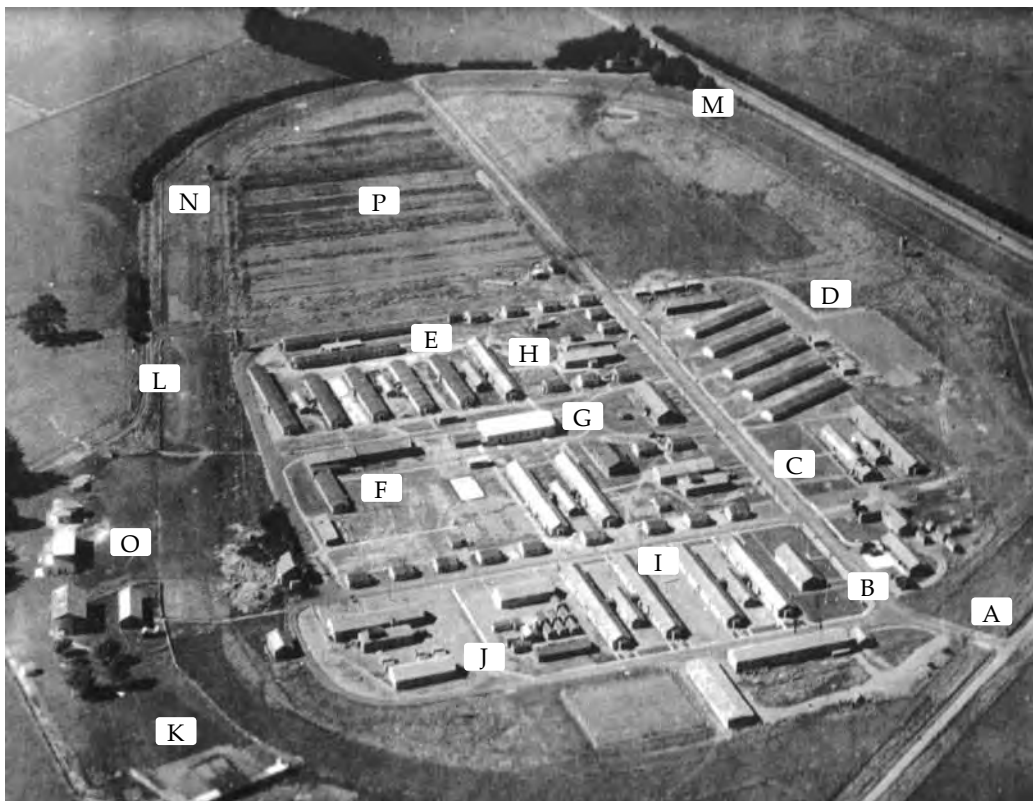
Najmłodsze dzieci podczas pierwszego posiłku w jadalni obozowej. Żołnierz (z przodu) pomaga Bronisławowi Węgrzynowi



W kolejce po pierwszy posiłek w obozie.
Od lewej: Ryszard Sierpiński, Rudolf Szymczycha, Ryszard Nowacki, Józef Wnęk



Koniec bardzo długiej wędrówki. Ochotniczka nowozelandzka układa Henryka Dziurę do snu w obozowym baraku. Wszystkie małe dzieci były podobnie traktowane w tym pierwszym dniu



Widok z samolotu. Obóz Polskich Dzieci w Pahiatua, Nowa Zelandia, 1945 rok. Obóz mieścił się na dawnym torze wyścigów konnych

A. Główna brama	G. Sala odczytowa z kaplic	M. Tu obecnie stoi pomnik
B. Garaż	H. Kuchnia i jadalnia Nr 3	N. Stary tor wyścigów konnych
C. Kwatery nauczycieli	I. Baraki sypialne dla chłopców	O. Stara trybuna wyścigów konnych
D. Budynki szkolne	J. Kwatery wojskowe	P. Ogród warzywny
E. Baraki sypialne dla dziewcząt	K. Kurnik	
F. Szpital obozowy	L. Grota Matki Boskiej	



Panoramiczny widok na obóz z wieży strażniczej. W środku ulica gen. Władysława Sikorskiego



Widok obozu. Na pierwszym planie baraki sypialne dla dziewcząt



Widok z samolotu. Za obozem płynie rzeka Mangatainoka, dopływ rzeki Manawatu



Ulica gen. Tadeusza Bora-Komorowskiego z prawej, 1945 rok



Ponad 100 ochotniczek z nowozelandzkich organizacji społecznych przygotowało i ustroiło sypialnie w obozie dla mających przybyć tu polskich dzieci



Rok 2004, miejsce gdzie dawniej stał Obóz Polskich Dzieci w Pahiatua



Makieta obozu w muzeum w Pahiatua, wykonana na 50-tą rocznicę przyjazdu dzieci polskich do Nowej Zelandii



Maj 1997. Wnętrze kuchni klasztornej w Kopua, Hawke's Bay. Budynek przeniesiono z obozu w Pahiatua. **Od lewej:** Stefania Zawada, Józef Zawada, zakonnik klasztorny, Mieczysław Zawada



Czerwiec 1999 rok. Stefania i Józef Zawada przy sali gimnastycznej gimnazjum w Naenae, Lower Hutt. Budynek przeniesiony z obozu w Pahiatua w latach 1950-tych



Składany ołtarz w głównej sali obozowej – zamykana szafa na kółkach, którą po nabożeństwie zamykano i odsuwano na bok. Zbudowana za 27 funtów szterlingów. Na stole obok stoi ludowa szopka krakowska wykonana przez dzieci



Grota ku czci Matki Boskiej zbudowana w 1945 roku wysiłkiem wszystkich dzieci w obozie – każde przyniosło tu kamień z pobliskiej rzeki Mangatainoka. Tu dzieci przychodziły na osobiste modlitwy. W 1975 roku była już ruiną – część pozostałych kamieni wmurowano w cokół nowego pomnika przy dawnej tylnej bramie



Ołtarz w kaplicy obozowej. Obraz Matki Boskiej Kozielskiej darowany przez dwie Nowozelandki. Obecnie znajduje się w kościele św. Joachima w Wellingtonie, gdzie odprawiane są Msze św. w języku polskim



Główna sala obozowa. Tu odprawiano nabożeństwa, odbywały się występy i tańce oraz wyświetlano filmy



Wojskowe samochody przy garażu obozowym



Cztery Janiny obchodzą imieniny, 24 czerwca 1946 roku. **Od lewej:** Stefania Nawalaniec, Maria Zazulak, Janina Świerczyńska (siedzi), Rozalia Manterys, Janina Szałkowska, Janina Krystman, Bronisława Lis, Petronela Ostrowska, Stanisława Świerczyńska, Jadwiga Świerczyńska, Maria Wojciechowska, Janina Kornobis (siedzi), Krystyna Manterys



Stoją, od lewej: Janina Łabędź, Jadwiga Wasiukiewicz, Stanisława Markowska, Antonina Wołyncewicz, Leokadia Jackowska, Genowefa Adamczyk, Barbara Szczepańska, Halina Wenckiewicz. **Klęczą:** Emilia Sordel, Irena Frydrych, Anna Jabłońska, Barbara Sprusińska, Alicja Wiśniewska, Alicja Głowacka, Jolanta Wenckiewicz. **Siedzą:** Bronisława Jasionowicz, Danuta Szysz, Alfreda Kornobis, Olga Sajewicz, Ewa Wierzbicka



Grupa opiekunów i starszych dziewcząt zatrudnionych w obozowej kuchni, pralni, szwalni i szpitalu. **Stoją, od lewej:** Olga Sumicz, Stanisława Drozdowska, Janina Krystman, Bronisława Lis, Józefa Wypych, Janina Szałkowska, Maria Mokrzycka, Helena Szymulska. **Siedzą:** Aniela Adach, Maria Zazulak, Maria Ambroziewicz, Helena Wenckiewicz, Maria Zielińska, Rozalia Manterys, Stefania Rombel, Zofia Kołodzińska



Szwalnia obozowa zaopatrywała dzieci i dawała starszym dziewczętom praktykę do przyszłej pracy zawodowej, choć wiele z nich wolałoby się kształcić. Była czynna od listopada 1944 roku do stycznia 1946 roku. **Od lewej:** Stefania Nawalaniec, Maria Mokrzycka, Helena Kasprzyk, Krystyna Bojda, Krystyna Manterys, Zofia Kornobis, Regina Kupis, Józefa Wypych, Wiktoria Wypych, Helena Kraczko (z przodu)



Z tyłu: Helena Świerdłowicz
Drugi rząd: Jadwiga Walasiewicz, Maria Woźniak. **Kłęczą:** Magdalena Kowalczyk, Wanda Pieszczocho, Irena Iwan



Z tyłu: Władysława Węgrzyn, Stefania Pieczonka, Olga Sumicz, Krystyna Siadek, Wanda Płusa, Aniela Gabrysz, Irena Wasiukiewicz, Zofia Dembkowska, Irena Banach, Helena Pilarska.
Drugi rząd: Bronisława Dziama, Emilia Sondej, Irena Niedumów, Regina Nowacka, Eugenia Sajewicz, Stefania Prac, Leokadia Głogowska, Stefania Wrotniak, Eleonora Pruszyńska, Janina Dźwiniel. **Z przodu:** Teresa Sztychmiller, Danuta Jankiewicz, Zofia Pleciak, Maria Jania, Weronika Potem, Zofia Łuszczewska, Irena Chaber



Stoją, od lewej: Genowefa Łukomska, Irena Szadkowska, Hugh McKinnon, Jadwiga Korszuń, Teresa Wypych, Paulina Dybka (z tyłu), Władysława Kubiak, Maria Wysokińska, Wanda Wierzbńska (z tyłu), Maria Buberda, Danuta Dębska, Paulina Jania, Maria Depczyńska, Teresa Szczepańska, Czesława Wierzbńska. **Klęczą:** Maria Juchnowicz, Augustyna Aniecka, Jadwiga Gil, Anna Jabłońska, Franciszka Węgrzyn, Maria Dac, Felicja Nadolska.
Siedzą: Emilia Banaś, Aleksandra Kraczo, Izabela Wiśniewska, Czesława Gazdowicz, Zdzisława Kołodziej, Genowefa Pękańska



Stoją, od lewej: Maria Korczak-Bucewicz, Irena Iwan, Czesława Mokrzycka, Genowefa Knap, Olga Piesocka, Helena Świerdłowicz, Janina Śmietana, Eleonora Pruszyńska, Magdalena Kowalczyk, Renata Kazimierzak, Krystyna Gołębiowska, Jadwiga Walasiewicz, Irena Staniszevska, Mary Eising. **Kłęczą:** Irena Tabisz, Irena Żołnowska, Zyta Bąk, Danuta Ziolo. **Siedzą:** Anna Przychodźko, Teresa Ogonowska, Maria Woźniak, Eugenia Prac, Stefania Serdyńska, Władysława Pilarska, Genowefa Apanowicz, Helena Przychodźko



W klasie. Od lewej: Stefania Mokrzycka, Alicja Tarnowska, Maria Wrotniak, Leokadia Belczacka, Helena Kilian, Jadwiga Jankiewicz, Anna Depa, Salomea Szymczycha, Anna Zazulak, Olga Szulgan (z tyłu), Anastazja (Zofia) Adamczyk, Zofia Pacanowska



Przed grocią. Stoją, od lewej: Aniela Adach, Stefania Nawalaniec, Jadwiga Świerczyńska, Weronika Woźniak, Janina Szałkowska, Katarzyna Piesocka, Stanisława Świerczyńska, Stanisława Drozdowska, Bronisława Lis, Helena Kasprzyk, Waleria Merwid. **Kłęczą:** Janina Marchewa, Maria Mokrzycka, Maria Kozyniak, Józefa Wrotniak, Jadwiga Haptaś, Genowefa Dźwiniel, Jadwiga Szczapa, Krystyna Manterys, Maria Tinald, Janina Dąbrowska. **Siedzi:** Antonina Wołyncewicz



Dziewczęta sprzątają koło baraków



Klasa 4A, 1947 rok. **Z tyłu, od lewej:** Jadwiga Bryl, Jadwiga Pawelec, Danuta Śmietana, Anna Butrymowicz, Maria Piotrkowska, Barbara Szymanik, Halina Sawlewicz. **Stoją:** Anna Stocka, Zuzanna Puczko, Maria Petryna, Zofia Kaczorowska, Genowefa Adamczyk (z tyłu), Leokadia Kołodzińska, Olga Guc, Irena Iwanek, Jadwiga Kulik, Stefania Benasiewicz. **Kłęczą:** Helena Rombel, Danuta Łubgań, Łucja Płachecka, Olga Janiuk, Maria Kruk, Wanda Pietrasińska, Krystyna Wojtowicz, Maria Skiba. **Siedzą:** Genowefa Bełza, Alina Ziolo, Halina Rypniewska, Janina Łabędź, Janina Brejnakowska, Zofia Żak, Aleksandra Wawryka, Stanisława Błażkow, Danuta Zagrobelna



Klasa 4, 1948 rok. **Z tyłu, od lewej:** Helena Characzko, Wanda Kozłowska, Olga Janiuk, Teresa Jabłońska, Maria Petryna (z tyłu), Leokadia Jackowska (z tyłu), Jadwiga Wasiukiewicz. **Drugi rząd:** Danuta Szysz, Barbara Sprusińska, Halina Wenckiewicz, Jolanta Wenckiewicz, Emilia Sordel, Alicja Wiśniewska. **Kłęczą:** Anna Jabłońska, Alicja Głowacka, Barbara Szczepańska, Jadwiga Bryl, Stanisława Markowska, Wanda Szczawińska. **Siedzą:** Bronisława Jasionowicz, Olga Sajewicz, Alfreda Kornobis, Irena Frydrych



Klasa 6B, 1947 rok. **Stoją, od lewej:** Helena Łabędź, Maria Kośnik, Józefa Aniecka, Stefania Dybka, Czesława Szadkowska, Józefa Gęborzewska, Maria Antoniuk, Jadwiga Tietze, Janina Wasiukiewicz, Helena Ościłowska, Romualda Karpik. **Kłęczą:** Krystyna Zagrobelna, Irena Wierzbička, Regina Łabędź, Jadwiga Wuda



Pierwsza Komunia, rok 1947. **Z tyłu, od lewej:** Leokadia Jackowska, Irena Frydrych, Danuta Szysz, Barbara Sprusińska, Ewa Wierzbička, Stefania Kamińska, Stanisława Markowska, Wanda Szczawińska, Aleksandra Wawryka, Barbara Szczepańska, Alicja Głowacka, Irena Okołów. **2-gi rząd:** Antonina Wołyncewicz, Halina Sawlewicz, Alicja Wiśniewska, Helena Characzko, ks. Michał Wilniewicz, Emilia Sordel, Zofia Markowska, Urszula Bednarska, Halina Wenckiewicz, Bronisława Jasionowicz. **Kłęczą:** Olga Sajewicz, Alfreda Kornobis



Klasa 6A, 1947 rok. **Z tyłu, od lewej:** Wiktoria Dajnowska, Janina Ratuszna, Weronika Połec, Maria Najbert, Helena Fladrzyńska, Bronisława Świerżyńska, Rozalia Kaczoń, Karolina Migułka, Teresa Piotrowska, Krystyna Niedźwiecka, Stanisława Masalska, Jadwiga Adamczyk. **Kłęczą:** Zuzanna Woszczak, Walentyna Giejchroch, Wanda Martul, Stefania Sondej, Bernarda Jasionowicz, Maria Nowotarska, Danuta Czerny-Hołownia. **Siedzą:** Irena Szczepańska, Janina Kozera, Teresa Sypuła



Niedzielnny obiad w jadalni Nr 2, 1948 rok



Harcerki. **Z tyłu, od lewej:** Janina Marchewa, Aniela Adach, Krystyna Manterys, Helena Kasprzyk, Regina Błażewicz, Ewa Szczepańska, Jadwiga Haptaś, Józefa Wrotniak, Regina Karpik.

2-gi rząd: Bronisława Lis, Stanisława Drozdowska, Maria Szczapa, Regina Zielińska, Dioniza Gradzik, Maria Rombel, Maria Napłocha, Helena Nawalaniec, Bożena Terlecka.

Siedzą: Adela Jasionowicz, Anna Kowalska, Aniela Markowska, Anna Modzelewska, Janina Szczapa, Franciszka Nowak



Harcerki na ćwiczeniach. **Stoja, od lewej:** Stefania Wrotniak, Walentyna Zyza, Janina Dębska, Irena Chaber, Stefania Kozera, Zofia Pacanowska, Rozalia Kaczoń, Stanisława Lasak.

Siedzą: Maria Najbert, Janina Szostak, Eugenia Sajewicz, Emilia Sondej, Regina Nowacka, Antonina Siechniewicz, Danuta Jankiewicz, Weronika Potem, Wanda Płusa, Stefania Pieczonka, Janina Kozera, Irena Niedumów



Syrenki w rzece
Mangatainoka:
Od lewej:
Krystyna Zagrobelna,
Romualda Karpik,
Maria Antoniak,
Teresa Szczapa,
Maria Kośnik,
Helena Milczarska,
Józefa Aniecka,
Weronika Połec



Od lewej: Walentyna Zyza, Helena Ościłowska, Helena Łabędź, Krystyna Zagrobelna, Stefania Dybka, Alicja Szczapa, Zofia Dembkowska, Teresa Walasiewicz, Genowefa Gęborzewska, Regina Łabędź, Romualda Karpik, Elżbieta Bednarska, Jadwiga Walasiewicz.
W wodzie: Czesława Szadkowska, Irena Iwan, Teresa Szczapa, Maria Antoniak, Irena Wierzbicka, Janina Wasiukiewicz, Jadwiga Wuda



Już zdrowe
i szczęśliwe.
Polskie dzieci
latem, w
obozie w
Pahiatua



Bursa Polskich Dziewcząt „Ngaroma”, Wellington 1950 rok. Bursa stała się miejscem spotkań dla polskiej młodzieży



Polki w gimnazjum Najświętszego Serca w New Plymouth, 1946 rok. **Z tyłu, od lewej:** Emilia Chumko, Stanisława Domańska.

Z przodu: Regina Zielińska, Helena Kornobis, Adela Jasionowicz, Helena Pietkiewicz, Aniela Markowska



Z tyłu, od lewej: Jadwiga Jankiewicz, Maria Góral, Stefania Mokrzycka.

Kłęczą: Alicja Tarnowska.

Siedzą: Anna Depa, Aniela Dac



Uczniowie i nauczyciele polskiego gimnazjum w obozie. **Z tyłu, od lewej:** Regina Zielińska, Irena Ćwirko-Godycka, Zofia Surynt, Waleria Markowska, Leokadia Głogowska, Teresa Brejnakowska, Wiesława Kruszyńska, Jadwiga Jarka, Wiktoria Tabisz, Helena Pietkiewicz, Bożena Terlecka, Janina Niedźwiecka, Franciszka Nowak. **Siedzą:** Helena Sochoła, Eugeniusz Szadkowski, Jadwiga Różycka, Frank Muller, Jadwiga Żerebecka, Ruth Neligan, Aleksandra Krzyżanowska



Drużyna koszykówki z trenerką.

Stoją, od lewej: Jadwiga Adamczyk, Irena Żołnowska, Mary Sergent, Elżbieta Bednarska, Danuta Markowska, Maria Nowotarska, Bernarda Jasionowicz. **Klęczą:** Janina Wasiukiewicz, Wanda Pieszczoł, Jadwiga Walasiewicz, Maria Buberda



Drużyna koszykówki, 1948 .

Od lewej: Stefania Serdyńska, Irena Tabisz, Władysława Pilarska, Jadwiga Walasiewicz, Magdalena Kowalczyk, Janina Śmietana, Helena Świerdłowicz, Wanda Pieszczoł, Irena Żołnowska



Młodsza drużyna koszykówki, 1946 rok.

Od lewej: Janina Łabędź, Janina Brejnakowska, Alina Ziolo, Jadwiga Pawelec, Krystyna Wojtowicz, Anna Stocka, Zuzanna Puczek, Genowefa Adamczyk, Genowefa Bełza, Maria Kruk



Od lewej: Elżbieta Kruszyńska, Zofia Iwan, Maria Korczak-Bucewicz, Cecylia Gawlik



Stoją, od lewej:

Eugenia Piotuch, Janina Dąbrowska, Jadwiga Jankiewicz, Mieczysława Gmyterko, Zyta Krall, Jadwiga Szczapa.
Siedzą: Waleria Banasiak, Anastazja (Zofia) Adamczyk



Hufce harcerskie czekają na przybycie Lady Baden-Powell, żony założyciela ruchu harcerskiego



Lady Baden-Powell robi przegląd harcererek. Franciszek Bała i kapitan Forsyth stoją obok



Harcerki na obozie w lesie. Walentyna Zyza. (z lewej), Janina Wasiukiewicz (obok), Irena Wierzbička (pośrodku, na przodzie), Jadwiga Adamczyk (z tyłu, po prawej), Irena Szczepańska (z przodu, po prawej)



Harcerki gotują stawę w lesie. **Od lewej:** Maria Zielińska, Genowefa Apanowicz, Stefania Serdyńska



Wręczenie sztandaru. Hufcowa Stefania Kozera w środku, obok Janina Kozera w stroju krakowskim



Sztandar Harcerstwa Polskiego w Nowej Zelandii, darowany przez hufcową Stefanię Kozere (w długim mundurze). Napis brzmi: „Związek Harcerstwa Polskiego, Hufiec Nowozelandzki w Pahiatau”



Stoją, od lewej: Maria Dajnowska, Teodozja Woźniak, Janina Niedźwiecka, Stefania Jasionowicz, żołnierz nowozelandzki, kucharz, Stefania Zysk, Janina Świerczyńska. **Kłęczy:** Wanda Pelc



Polki w gimnazjum Teschemakers, Oamaru, 1947 rok. **Od lewej:** Teresa Wiszowata, Helena Więcek, Janina Niedźwiecka, Bożena Terlecka, Lidia Koncewicz, Irena Krystman



Starsza młodzież przed odjazdem do szkół nowozelandzkich w 1946 roku. **Od lewej:** Krystyna Skwarko (matka), Krystyna Skwarko (córka), Elżbieta Kruszyńska, Helena Lubas, Zofia Surynt, Wanda Pelc, Leokadia Krejczisz, Eugeniusz Szadkowski, Witold Domański, Zdzisław Kaczorowski, Bolesław Żygadło, Stanisław Wójcik, Józef Kubiak, Józef Głowacz, Władysław Pietkiewicz

Niepokój i oczekiwanie. Jedna z pierwszych grup opuszczających obóz, 6 lutego 1946 rok. **Od lewej:** Wiktoria Wypych, Rozalia Manterys, Maria Węgrzyn, Zofia Kornobis, Maria Zazulak, Maria Wojciechowska. **Kłęczy:** Janina Krystman





Grupa taneczna filmowana przez nowozelandzką jednostkę filmową. Hufcowa Stefania Kozera (druga od lewej) dyryguje



Polskie dziewczęta w strojach ludowych na przyjęciu i występie w Palmerston North



Od lewej: Wiktoria Dajnowska, Maria Woźniak, Zofia Portas, Walerian Świerczyński, Halina Woźniak, Janina Dajnowska, Czesława Bělczącka



Krakowskie Wesele wystawione w głównej sali obozowej dla licznych gości z Pahiatua, z podziękowaniem za doznaną dobroć z ich strony. Stroje szyte w obozowej szwalni



Przed koncertem. Od lewej: Regina Nowacka, Irena Wasiukiewicz, Helena Pilarska, Zofia Pacanowska, Polikarp Kilczewski



Najmłodsze dzieci przyglądają się jak żołnierz kosi trawę kosiarką. Jest to dla nich nowość



Pierwszy pogrzeb w Nowej Zelandii. Tadeusz Ostrowski zmarł 22 marca 1945 roku. Pochowany na cmentarzu w Pahiatua



Na hulajnodze w obozie. **Od lewej:** Maria Pytlos, Marek Powierza i Tadeusz Tietze



Przedszkolaki w obozowym baseniku



Najmłodsze dzieci wypróbują nową huśtawkę zbudowaną przez żołnierzy nowozelandzkich



Z tyłu, od lewej Franciszek Wypych, Józef Chwieduk, Józef Aulich, Bronisław Roźniatowski, Jan Lasota, Czesław Pelc, Witold Suchodolski, Jerzy Białostocki, Jan Nowotarski, Piotr Adamczyk, Kazimierz Rzepka, Michał Jurczenko, Krzysztof Jasiński (Staszczuk).
Klęczą: Zbigniew Żak, Ryszard Białostocki, Stanisław Skiba, Jan Kazmierów, Tadeusz Solarz, Bolesław Wojtowicz, Alfred Sapiński



Klasa 6A, 1947 rok. Od lewej: Zbigniew Kaczmarek, Kazimierz Markowski, Rudolf Szymczycha, Czesław Bełczącki, Tadeusz Burak, Józef Zawada, Stanisław Manterys, Mieczysław Głowacki, Stanisław Brejnakowski, Ryszard Nowacki, Bronisław Brączek, Mieczysław Markowski (stoi), Marian Adamski, Stanisław Kilian, Jerzy Wierzbicki (z przodu), Witold Dziegieć, Ryszard Sierpiński, Józef Wnęk (z tyłu), Józef Plewiński, Jan Rogowski, Zdzisław Gawronek, Piotr Przychodźko, Michał Zagwojski, Jan Kołodziński, Aleksander Tkaczyk (Góryl), Andrzej Szymanik



Stoją: Bogdan Bocian, Zdzisław Lorenc, Franciszek Żak, Krzysztof Dziegieć, Bronisław Gmyterko, Antoni Dobrowolski, Stanisław Dygas. **Klęczą:** Tadeusz Woś, Eugeniusz Żak, Zygmun Zyskowski, Tadeusz Lepionka, Alfons Moroz



Po wyprawie na węgorki, 1947 rok.

Od lewej: Bolesław Banasiak, Piotr Mazur, Stanisław Dygas, Władysław Nowak, Antoni Aulich



Od lewej: Stanisław Brejnakowski, Zygmun Ratuszny, żołnierz nowozelandzki, Marcei Jamrozy, Józef Sokalski, Jan Wiewiórka (z przodu), Zygmun Zyskowski (z tyłu), Józef Wnęk, Tadeusz Reder, Michał Smal



Polscy chłopcy w gimnazjum św. Patryka, Wellington, 1948 rok. **Z tyłu, od lewej:** Władysław Wojtowicz, Antoni Wodzicki, Stanisław Manterys, Tadeusz Burak, Stanisław Brejnakowski, Jan Nowotarski, Stanisław Skwarko, Jan Dawiec. **2-gi rząd:** Waław Juchnowicz, Jan Lasota, Henryk Rudnicki, Józef Sokalski, Michał Zagwojski, Stanisław Kilian, Mieczysław Głowacki, Lech Lubas, Aleksander Basała, Waław Sumicz, Zdzisław Kaczorowski. **Siedzą:** Julian Nowak, Zbigniew Kaczmarek, Jan Kołodziński, Rudolf Szymczycha, Bronisław Urbanowicz, Paweł Wójcik, Roman Kołodziński, Adam Banaś, Witold Rudnicki



Zakład szewski w obozie. **Z tyłu, od lewej:** Stanisław Jaśkiewicz, Mieczysław Dziobak, Bronisław Martul, Marceli Jamrozy, starszy sierżant Bourne-Webb. **Z przodu:** Zbigniew Awdziej, Ludwik Gomulski, Tadeusz Reder, Jan Pąk



Od lewej: Michał Smal, Władysław Tinald, Jan Banaś



Od lewej: Stefan Waniuk, Ludwik Gomulski, Mieczysław Dziobak



Przed sypialnym barakiem. Wakacje w obozie, 1948–49 rok. **Od lewej:** Jan Kania, Michał Zagwojski, Bolesław Żygadło, Józef Zawada, Jan Dawiec



Koszenie trawy przy baraku nauczycielskim. **Od lewej:** Tatiana Olechnowicz (siedzi), Czesław Belczącki, Ryszard Sierpiński, Ryszard Nowacki, Witold Dziegieć



Dentystka, dr Janina Budzyna-Dawidowska częstuje chłopców herbatą i ciastkami. **Od lewej:** Mieczysław Dutkiewicz, Tadeusz Sapiński, Waldemar Dejnakowski, Lech Dobroński, Julian Mazur



Zdjęcie zrobione przez komendanta obozu, majora Finney, grudzień 1945 roku. Polikarp Kilczewski, Witold Domański, Władysław Miliszewski, Leon Sondej



Od lewej: Józef Głowacz, Jan Lasota, Waław Sumicz, Michał Basałaj, Aleksander Basałaj, Edward Kukiełko, Waław Juchnowicz, Witold Domański, Waław Gołębiowski



Od lewej: Ryszard Żołnowski, Zbigniew Markowski, Stanisław Dygas, Bolesław Banasiak



Maria Węgrzyn i Stanisława Lewandowska
czuwają nad gromadką najmłodszych.

Od lewej: Antoni Juchnowicz, Bronisław Witaszek, Zygmunt Szadkowski, Edward Wała, Julian Ośko, Czesław Nawrocki, Stanisław Banaś, Witold Pleciak, Franciszek Szpetnar, Bronisław Węgrzyn, Bronisław Pietkiewicz, Eugeniusz Sarnecki, Michał Guc, Andrzej Dobrowolski, Bronisław Dudek, Jan Lepionka, Ryszard Tymicki (z tyłu), Ryszard Gołębiowski



Już podrośli, z wychowawczynią Stanisławą Lewandowską. **Z tyłu:** Michał Guc, Eugeniusz Sarnecki, Witold Pleciak, Ryszard Gołębiowski, Bronisław Dudek, Edward Wała, Ryszard Tymicki. **Klęczą:** Tadeusz Tietze, Zygmunt Szadkowski, Bronisław Węgrzyn, Bronisław Pietkiewicz, Antoni Juchnowicz, Andrzej Dobrowolski, Stanisław Banaś. **Siedzą:** Czesław Nawrocki, Julian Ośko, Franciszek Szpetnar, Marek Powierza, Jan Lepionka, Bronisław Witaszek



Coraz starsi. **Stoją, od lewej:** Zygmunt Szadkowski, Ryszard Gołębiowski, Bronisław Pietkiewicz, Ryszard Tymicki, Bronisław Dudek, Witold Pleciak. **Klęczą:** Tadeusz Tietze, Zbigniew Szymański, Bronisław Węgrzyn, Michał Guc, Eugeniusz Sarnecki, Edward Wała



Komendant obozu, major Foxley, zabawia przedszkolaków „znikającą monetą”. **Od lewej:** Major Foxley, Bronisław Pietkiewicz, Edward Wała, Franciszek Szpetnar, Stanisław Banaś, Eugeniusz Sarnecki, Michał Guc, Bronisław Węgrzyn, Ryszard Gołębiowski, Bronisław Dudek, Ryszard Tymicki, Witold Pleciak, Bronisław Witaszek, Jan Lepionka



Rugbiści. Mistrzowie okolicy, 1947 rok.
Stoją: Anatol Karpik, Władysław Leszewicz, Mieczysław Markowski, Jan Kołodziński.
Kłęczą: Stanisław Brejnakowski, Ryszard Sierpiński, Aleksander Tkaczyk (Góryl)



Jedna z drużyn rugby w obozie, 1947 rok.
Z tyłu, od lewej: Kazimierz Krawczyk, Władysław Szulgan, Władysław Nowak, Zdzisław Lepionka, Tadeusz Jankiewicz, Zdzisław Kośnik. **Kłęczą:** Franciszek Kubiak, Józef Jagiełło, Marian Budny, Antoni Sarniak, Nikifor Piesocki, Mieczysław Grzywa.
Siedzą: Waldemar Dejnakowski, Stanisław Januszkiewicz, Zygmunt Zyskowski, Henryk Apanowicz



Starsi mistrzowie rugby, 1947 rok.
Z tyłu, od lewej: Piotr Przychodźko, Bronisław Roźniatowski, Piotr Adamczyk.
Kłęczą: Mieczysław Głowacki, Krzysztof Jasiński (Staszczuk), Bolesław Wojtowicz, Czesław Pelc. **Siedzi:** Jerzy Wierzbicki



Drużyna rugby, 1948 rok.
Z tyłu, od lewej: Andy Nola, Teodor Poszeluk, Ryszard Żołnowski, Kazimierz Krawczyk, Tadeusz Lepionka, Eugeniusz Zajkowski, Kazimierz Niedźwiecki, Bronisław Kasprzyk, Frank Muller.
Z przodu: Bronisław Gmyterko, Anatol Karpik, Władysław Leszewicz, Michał Adamczyk, Stanisław Gratkowski, Marian Budny, Tadeusz Wiewiórka, Zdzisław Witkowski



Pod bramką rugby, 1948 rok. Chłopcom ten sport przypadł do gustu. Na początku musieli grać w butach pożyczonych od opozycji. **Stoja, od lewej:** Marian Kępka, Zdzisław Lorenc, Zdzisław Witkowski, Władysław Leszewicz, Anatol Karpik, Bronisław Lemów, Frank Muller, Stanisław Gratkowski, Marian Budny, Jan Niedźwiecki, Alfons Moroz, Bronisław Gmyterko (z tyłu), Witold Powierza, Michał Sidoruk, Michał Smal (z tyłu), Bolesław Banasiak, Zygmunt Wiśniewski, Zbigniew Tarasiewicz, Eugeniusz Zajkowski (z tyłu), Kazimierz Niedźwiecki, Michał Adamczyk, Władysław Orawiec, Stanisław Ościłowski, Piotr Mazur (w białej koszuli), Andy Nola. **Kłęczą:** Jan Holender, Antoni Leparowski, Zygmunt Ratuszy. **Siedzą:** Władysław Nowak, Jerzy Wierzbicki, Roman Kraj, Tadeusz Lepionka, Antoni Dobrowolski, Tadeusz Wiewiórka, Stanisław Dygas, Mieczysław Grzywa, Bronisław Woś, Franciszek Kubiak, Bogusław Januszkiewicz, Edward Krejczisz, Mikołaj Bartniczak, Nikifor Piesocki, Władysław Szulgan, Jerzy Bojarski



Mistrzowie z pucharem, 1947 rok. **Stoja:** Andy Nola, Teodor Poszeluk, Władysław Orawiec, Kazimierz Niedźwiecki, Frank Muller. **Kłęczą:** Władysław Leszewicz, Michał Adamczyk, Zdzisław Witkowski, Anatol Karpik



Polscy i nowozelandzcy harcerze w Pahiatua, 1945 rok. **Z tyłu, od lewej:** Aleksander Bednarski (2-gi), Mikołaj Gliński (4-ty), Tadeusz Mazur (5-ty), Zdzisław Kaczorowski (9-ty). **2-gi rząd:** Bogusława Gradzik (1-sza), polska hufcowa Stefania Kozera (6-ta), Wiktoria Tabisz (7-ma), Zofia Surynt (8-ma) **Siedzą:** Eugeniusz Szadkowski (4-ty)



Harcerze na obozowisku. **Stoją, od lewej:** Stanisław Wołk, Kazimierz Wiśniewski, Tadeusz Ziolo, Julian Borowiec, Kazimierz Walczak. **Siedzą:** Alfred Sapiński, Mieczysław Ptak, Bronisław Roźniatowski, Jerzy Jankiewicz, Stefania Kozera, Czesław Pelc (ręka na temblaku), Lech Lubas, Jan Lasota, Jan Kowalski, Adam Banaś, Krzysztof Jasiński (Staszczuk)



Stoją, od lewej: Andy Nola, Bronisław Kasprzyk, Eugeniusz Zajkowski, Ryszard Żołnowski, Frank Muller. **Kłęczą:** Tadeusz Wiewiórka, Bronisław Gmyterko, Tadeusz Lepionka, Stanisław Gratkowski



Antoni Kozłowski na czele chłopców maszerujących na niedzielną Mszę św. w obozie



Dyżur mycia naczyń w obozowej jadalni nr 1



Od lewej: Piotr Mazur, Zbigniew Markowski, Kazimierz Markowski



Stoją, od lewej: Jan Wojciechowski, Krzysztof Jasiński (Staszczuk), Lech Lubas, Jan Lasota.
Kłęczą: Zofia Pacanowska, Irena Banach, Henryka Aulich, Emilia Sondej, Ryszard Białostocki



Stoją, od lewej: Wiesław Kaliński, Marian Tarasiewicz, Tomasz Kaźmierów.
Kłęczą: Kazimierz Pisarek, Zbigniew Tarasiewicz



Ostatnia grupa opuściła obóz i, ucząc się tymczasowo w szkole Braci Marystów, mieszkała w koszarach wojskowych koło Palmerston North. Na ostatni semestr 1949 roku przeniesiono ich do Hawera. **Z tyłu, od lewej:** Marian Sadowski, Krzysztof Dziegieć, Józef Jagiełło, Ludwik Głogowski, Kazimierz Krawczyk, Zdzisław Lepionka, Zdzisław Iwan, Bogusław Turski, Antoni Sarniak, Leon Zyzło, Tadeusz Rozwadowski. **2-gi rząd:** Jan Makuch, Franciszek Barański, Kazimierz Niedźwiecki, Antoni Rybiński, brat Egbert, Zbigniew Dziki, Bronisław Gmyterko, Stanisław Zyzło, Bogdan Bocian, Tadeusz Najbert. **Siedzą:** Waldemar Dejnakowski, Jerzy Juchnowicz, Tadeusz Jankiewicz, Bronisław Węgrzyn, Lech Dobroński, Kazimierz Zajac, Witold Pleciak, Eugeniusz Sarnecki, Henryk Apanowicz



Szkolne wakacje. Rezerwat Narodowy w Waihirere, Gisborne, z członkami Czerwonego Krzyża, styczeń 1946 roku



Wakacje szkolne w Gisborne, styczeń 1946 roku. **Stoją, od lewej:** Stanisław Cieślik, Józef Holender, Jerzy Surynt, Tadeusz Mazur, Stefan Wiśniewski, Władysław Pietkiewicz, Witold Domański, Czesław Iwan. **Kłęczy:** Kazimierz Zieliński



Od lewej: Władysław Szulgan, Mikołaj Bartniczak, Michał Sidoruk (z tyłu), Zygmunt Zyskowski, Mieczysław Grzywa, Andrzej Dajnowski



Przy pracy w obozowym ogrodzie, 1945 rok. Starano się, żeby obóz był samowystarczalny.

Od lewej: Stanisław Prędko, Artur Gawlik, Wacław Gołębiowski, Aleksander Basała, Kazimierz Depczyński, Mieczysław Sadowski, Edward Dąbrowski, Tadeusz Ziolo, Tadeusz Budny



Po opuszczeniu obozu młodsza grupa polskich chłopców uczęszczała przez jeden semestr do szkoły w Mangatainoka. Polacy stoją w tylnym rzędzie. Reszta to dzieci z okolicy. **Z tyłu, od lewej:** Waldemar Dejnakowski, Henryk Apanowicz, Józef Jagiełło, Marian Sadowski, Tadeusz Rozwadowski, Franciszek Barański, Antoni Rybiński, Zbigniew Dziki, Jan Niedźwiecki, Bronisław Gmyterko, Bogdan Bocian, Jan Makuch, Antoni Sarniak, Krzysztof Dziegieć, Ludwik Głogowski, Wojciech Michalik



Stoją, od lewej: Józef Głowacz, Antoni Głowacz, Tadeusz Mazur, siostra Monika Alexandrowicz, Władysław Martul, Wiktor Guńko, Edmund Jabłoński. **Siedzą:** Grzegorz Krawczyk, Witold Domański



Przy obozowej kaplicy, 1948 rok. **Stoją, od lewej:** Edward Dąbrowski, Jan Jarka, Mieczysław Ptak, Julian Nowak. **Klęczą:** Piotr Przychodźko, Krystyna Niedźwiecka, Irena Wierzbicka, Władysław Pietkiewicz



W ogrodzie Bursy Męskiej, Wellington, 1947 rok. **Stoją, od lewej:** Zdzisław Kaczorowski, Stanisław Wójcik, ks. Michał Wilniewicz, Roman Kołodziński, Paweł Wójcik, Adam Banaś. **Siedzą:** Waław Juchnowicz, Jan Dawiec



Pierwszy ślub w Obozie Polskich Dzieci w Pahiatua, 21 maja 1945 roku. **Od lewej:** William Jane, Helena Dajnowska, Wally Jane (pan młody), Maria Wypych (panna młoda), Wiktoria Wypych, Larry Eddie. **z przodu:** Halina Woźniak



Dzieci w strojach ludowych przed bramą w obozie oczekują premiera Nowej Zelandii, Petera Frasera



Premier w otoczeniu dostojników i dzieci przy budynku obozowym



Dzieci wprowadzają premiera (w kapeluszu, w środku) do obozu



Cały obóz wylęł na przywitanie premiera Petera Frasera



Premier Fraser (w środku) przygląda się polskim dzieciom w klasie, które zaprosił do swego kraju. Obok stoi Jan Śledziński, delegat Rządu Polskiego na Uchodźstwie. Pani Fraser w czarnym kostiumie



Najmłodsza gwardia honorowa podczas przeglądu obozu przez premiera, który uważał się za osobiście odpowiedzialnego za dobro polskich dzieci



Hrabina Maria Wodzicka, żona konsula Rządu Polskiego na Uchodźstwie, wita premiera i dostojników



Dostojnicy podczas wizyty w lutym 1947 roku. **Od lewej:** Arcybiskup O'Shea, polski delegat Szczęsny Zaleski, nuncjusz papieski, premier Peter Fraser



Wieża strażnicza, pozostałość po wcześniejszym obozie dla internowanych. Na podium podczas obchodów 3-cio majowych: major Finny (w mundurze), obok stoi hufcowa Stefania Kozera, przy niej delegat Szczęsny Zaleski



Arcybiskup O'Shea podczas wizyty w obozie, 25 stycznia 1947 roku

POLISH CHILDREN Visited By Archbishop

It was a very proud moment for the Polish children in Pahiataua when his Grace Archbishop O'Shea visited their camp on Monday. His Grace, who was accompanied by the Rev. Dr. N. Gascoigne, director of Catholic education, was greeted with the greatest devotion by the children, who formed a guard of honour on his arrival.

After a short service in the chapel celebrated by the Polish chaplain, the Rev. M. Wilniewicz, the archbishop visited the camp, showing great interest in the housing and educational facilities provided for the children.

At night a Christmas play, specially written by one of the women teachers, was performed by the children in honour of the guest, who expressed his high appreciation and congratulated the author and the juvenile actors.

Wycinek z prasy o wizycie arcybiskupa



Przemarsz harcerzy w obozie podczas obchodów święta 3-go maja, prowadzi Piotr Przychodźko. Na podium major Finny (w mundurze), Szczęsny Zaleski (po prawej). Syrena alarmowa na budynku po prawej



Cudowne lata. Gromada byłych dzieci-uchodźców z byłymi żołnierzami Wojska Polskiego na Uchodźstwie na balu sylwestrowym 1954 roku w Wellingtonie



Era motocykli, na tle przymorskiej ulicy w Wellingtonie w latach 1950-tych. Klasztor św. Gerarda na wzgórzu. **Od lewej:** Marian (Marek) Kazimierzak, Jan Rogowski, Witold Suchodolski, Czesław Bełczącki



Na potańcówce w sali u św. Franciszka, Wellington, wczesne lata 1950-te. **Z tyłu, od lewej:** Stanisław Skwarko, Józef Zawada, Ryszard Sierpiński, Andrzej Szymanik. **Z przodu, od lewej:** Jan Wojciechowski, Jan Kołodziński, Roman Kraj, Jan Niedźwiecki



Część personelu obozowego. **Stoją:** Leon Rudolf Rosenberg-Łaskiewicz, Waleria Zatorska, Maria Węgrzyn, Stefania Nawalaniec, Ewa Benasiewicz, Elwira Kundycka, Paulina Jania, Julia Rolińska. **Siedzą:** Zofia Sprusińska, Stanisława Kołodyńska, ks. Michał Wilniewicz, Janina Kornobis, Weronika Woźniak, Helena Białostocka, Zdzisława Blaschke, Balbina Wojtowicz



W pierwszych latach istnienia obozu szpital odgrywał ważną rolę lecząc dzieci wycieńczone tułaczką. Dzięki czulej opiece dzieci powróciły do zdrowia. **Stoją, od lewej:** Stefania Jasionowicz, Bert Ford, siostra La Hore, siostra Leaming, Elwira Kundycka, Zofia Pantalejew, Weronika Maciejowska. **Siedzą:** Zofia Szysz, siostra Johnson, Helena Szymulska, dr Eugenia Czocharńska, Maria Sawicka



Polscy opiekunowie w obozowej jadalni. **Od lewej:** Jerzy Białostocki, Antoni Kozłowski, Janina Dąbrowska, Karolina Pytlos (stoi), Józef Holona, Bolesława Połęć, Stanisława Lewandowska



Polskie opiekunki obozowe. **Od lewej:** Zofia Piotrkowska, Petronela Ostrowska, Zofia Kołodzińska



Część personelu nowozelandzkiego, 1947 rok.
Stoją, od lewej: Mary Sergent, Eddie O'Keefe, Frank Muller, Joan Hay, Marion Parker.
Klęczą: Andy Nola, Mary Eising, Bill McPartland



W pracowni szewskiej. **Od lewej:** Danuta Czerny-Hołownia, Wojciech Michalik, starszy sierżant Bourne-Webb



Wojskowy komendant obozu major Finny i polski delegat Szczęsny Zaleski



Wiecznie uśmiechnięta higienistka obozowa Maria Kasperowicz



1947 rok. Nowozelandzcy nauczyciele w obozie, którzy dali polskim dzieciom pierwsze lekcje języka angielskiego. Uczyli ich też narodowego sportu(rugby). **Od lewej:** Andy Nola, Alexander Henderson, Mary Sergent, Frank Muller, Joan Hay, Mary Eising, Hugh McKinnon



Grzegorz Treder, urodzony w Nowej Zelandii w 1897 roku, mówił jeszcze trochę po polsku. Był lubiany przez starszych Polaków w obozie, których często odwiedzał. Obok stoją Maria Korczak-Bucewicz, Stanisława Danielewska i Olga Sygierycz



Od lewej: Julia Rolińska, Paulina Jania, Janina Dmochowska, Józef Holona, Teresa Dmochowska, Zofia Sprusińska



Pożegnanie lubianego ks. Michała Wilniewczycza przed jego wyjazdem z Wellingtonu. **Z tyłu, od lewej:** Bronisław Nawrocki, Henryka Nasarzewska, Janina Nawrocka, Aniela Adach, Zofia Czocharńska, Józefa Wrotniak, Rozalia Manterys, Maria Węgrzyn, Krystyna Wojciechowska. **Z przodu:** Krystyna Wołyncewicz, Genowefa Dźwiniel, Leokadia Bełczącka, ks. Michał Wilniewczyc, Wanda Rzepka, Alicja Tarnowska, Irena Bartniczak



Pożegnanie ks. Michała Wilniewczycza w Obozie Polskich Dzieci, przed wyjazdem na polską placówkę do Libanu, 5 grudnia 1947 roku. **Od lewej:** Zofia Kołodzińska, Zofia Reder, Maria Pietrasińska, Petronela Ostrowska, Weronika Snarska, Stefania Jasionowicz, Salomea Szymczycha, ks. Michał Wilniewczyc, Jadwiga Żerebecka, Ludwika Sójka, Helena Białostocka, Stefania Kozera



Nowozelandzkie ochotniczki, które pracowały w Obozie Polskich Dzieci, 1945 rok



Żołnierze nowozelandzcy obsługujący ambulans i samochody obozowe



Nowozelandzcy żołnierze przy obozowym garażu samochodowym. Kazimierz Markowski 5-ty od lewej w berecie



Pożegnanie Noel Jacksona, powszechnie lubianego żołnierza nowozelandzkiego. Przy każdej okazji robił dzieciom zdjęcia swoim aparatem. Dzięki niemu wiele byłych dzieci ma pamiątkę z tamtych czasów



Nowozelandzki personel obozowy, który był odpowiedzialny za obóz do czasu, gdy obóz przeszedł pod opiekę Polaków



Rodzeństwo Rombel, 3 maj 1946 roku.
Od lewej: Piotr, Zofia, Stefania, Maria, Helena



Rodzina Nawalaniec. **Od lewej:** Władysława, Jan, Stefania, Helena (matka), Helena



Stoja, od lewej: Ewa Benasiewicz, delegat Szczesny Zaleski, Maria Dajnowska, Teodozja Woźniak, Stefania Jasionowicz, Weronika Maciejowska. **2-gi rząd:** Janina Krystman, Maria Hajduk, Janina Świerczyńska, Janina Dajnowska. **Siedzą:** Wiktoria Dajnowska, Stefania Benasiewicz, Kazimiera Hajduk, Maria Woźniak, Halina Woźniak



Rodzeństwo Szczapa podczas zbiorów owoców na Wyspie Południowej, 1949 rok.
Od lewej: Janina, Maria, Teresa, Alicja, Jadwiga



Rodzina Kotlickich w jednorodzinny domku w obozie. **Od lewej:** Elżbieta, syn Mieczysław, ojciec Mieczysław



Rodzeństwo Manterys, 1945 rok. **Od lewej:** Stefania, Rozalia, Stanisław, Krystyna, Anna



Rodzina Dajnowskich. **Od lewej:** Andrzej, Stefan (z tyłu), matka Maria (siedzi), Janina (z przodu), Wanda, Wiktoria, Helena



Rodzina Skiba. **Od lewej:** ojciec Stanisław, Maria, Stanisław



Rodzina Skwarko. **Od lewej:** ojciec Stanisław, syn Stanisław, matka Krystyna, córka Krystyna



Rodzeństwo Kornobis, 1946 rok. **Od lewej:** Zofia, Janina, Alfreda, Helena, Maria



Nowe pokolenie polskich dzieci urodzonych w Nowej Zelandii wraz z kilkoma byłymi dziećmi-uchodźcami, podczas obchodów stulecia miasta Pahiatua. **Stoją, od lewej:** Stefan Lepionka, Zbyszek Wypych, Tereska Kozera, Piotr Wypych, Ala Manterys, Michał Mendruń, Helena Zawada, Conrad Zawada, Anton Zawada, Stefan Sondej, Adam Manterys, Alinka Przychodźko, Bela Przychodźko, Danusia Choroś. **Siedzą:** Czesława Markowska (Gazdowicz), Zofia Czocharńska, Jadwiga Domańska (Lendał), Janina Kowalczyk (Niedźwiecka), Teresa Sapińska, Irena Gibbs, Dorota Gibbs, Helena Juchnowicz (Przychodźko), Aniela Gibbs, Maria Wypych (Węgrzyn)



Nowe pokolenie polskiej młodzieży w latach rozkwitu Koła Młodzieży Polskiej, na obozie w Akatarawa, Upper Hutt, Nowa Zelandia, we wrześniu 1980 roku



Zespół tańca „Lublin” na obchodach 50-tej rocznicy przybycia ich rodziców (byłych dzieci-uchodźców) do Nowej Zelandii, Pahiatua 1994. Występowali na różnych okazjach dla Polonii i tutejszej publiczności



Miasto Wanganui zaprosiło do siebie 225 polskich dzieci z Obozu w Pahiata na dwutygodniowe wakacje szkolne w sierpniu 1945 roku. Dzieci rozmieszczone u rodzin nowozelandzkich



Polskie dzieci na wycieczce, z nurtem malowniczej rzeki Wanganui



Pamiątkowa kartka wręczona każdemu dziecku podczas wakacji szkolnych w mieście Wanganui, z dedykacją w trzech językach: maoryskim, angielskim i polskim, sierpień 1945

The Polish Committee, Staff and Children, the Camp Commandant and New Zealand Staff of the Polish Children's Camp, Pahiatua, request the pleasure of your company at a Function to commemorate the First Anniversary of our arrival in New Zealand, to be held in the Camp on Saturday, the 3rd November, 1945. From 10.30 a.m. to 4 p.m.

*R.S.D.P. by 1st November to
The New Zealand Commandant.*

Zaproszenie wojskowego komendanta obozu, wysłane gościom na obchody pierwszej rocznicy przybycia polskich dzieci do Nowej Zelandii

FIRST ANNIVERSARY
POLISH CHILDREN IN N.Z.

A concert was presented recently by the Polish children when a number of guests were entertained by the personnel of the Pahiatua Polish children's camp. The occasion was the celebration of the first anniversary of their arrival in New Zealand. Mr. A. G. Osborne, M.P., represented the Prime Minister, who was unable to be present and the Rev. Father Cashman, of Pahiatua represented Archbishop O'Shea.

Major E. J. C. Finny, camp commandant welcomed the visitors, who included the Mayor and Mayoress of Pahiatua, Mr. and Mrs. S. J. Judd, Brigadier A. E. Conway, Colonel R. Budge, Colonel Haint, Major Buchler, Miss Malempre (member of the national executive of the Polish Hospitality Committee), and members of the Pahiatua Polish Hospitality Committee.

At the luncheon, served in Polish style, the Rev. Father Wilkie, camp chaplain, Major Finny, Mr. Osborne, and Father Cashman spoke. Mr. Osborne extended what he felt sure would be the Prime Minister's wish in saying that New Zealand would be a home for the Polish people for as long as they desire to remain.

The visitors made a tour of the camp and inspected a needlework display.

Wycinek z prasy o pierwszej rocznicy przybycia dzieci do Nowej Zelandii



Życzenia jubileuszowe od londyńskiej organizacji byłych dzieci mieszkających kiedyś w przejściowych zakładach w Isfahanie, Iran



Pomnik na miejscu byłego Obozu Polskich Dzieci w Pahiatua, odsłonięty 22 lutego 1975 roku dla uczczenia 30-tej rocznicy przybycia polskich dzieci do Nowej Zelandii



Pamiętkowa płyta na cokole pomnika upamiętniająca to wydarzenie



Pamiętkowa płyta przy wejściu do Urzędu Rady Miejskiej w Pahiatua, wmurowana w 1969 roku, upamiętniająca 25-tą rocznicę przybycia polskich dzieci do Nowej Zelandii



Pomnik Petera Frasera, premiera rządu koalicyjnego w czasie II wojny światowej, przy wejściu do jednej z największych budowli drewnianych na południowej półkuli, w Wellingtonie



Płyta upamiętniająca przybycie polskich dzieci do Wellingtonu w 1944 roku. Ufundowana przez Jana Roy-Wojciechowskiego, jednego z byłych dzieci z Pahiatua



Dom Polski, Wellington. Przebudowany z dawnej piekarni przez ochotników w 1966 roku, skupia życie polonijne stolicy i okolic



Obraz Matki Boskiej Częstochowskiej namalowany przez polskiego żołnierza, starszego sierżanta Feliksa Krzewińskiego, w Loreto, Włochy, podczas II Wojny Światowej. Żołnierze III Karpackiej Dywizji, II Korpusu Armii Polskiej, podarowali obraz polskim dzieciom z obozu w Pahiatua. Obraz jest na stałe umieszczony w kościele św. Brygidy w miasteczku Pahiatua



Dom Polski w Auckland



Zespół redakcyjny książki. **Stoją, od lewej:** Stanisław Manterys, Adam Manterys. **Siedzą:** Halina Manterys, Stefania Zawada, Józef Zawada



Poparcie *Solidarności* i protest przeciw rosyjskiej okupacji Polski. Składanie wieńca po przemaszerowaniu Polaków ulicami Wellington, 9 lutego 1981 roku. **Od lewej:** Zdzisław Lepionka (prezes Stowarzyszenia Polaków), Ludwik Kowalczyk, Mieczysław Murawski, Dioniza Choroś (Gradzik)



22 lutego 1975 roku. Odsłonięcie pomnika na terenie dawnego Obozu Polskich Dzieci w Pahiatua. Irańska ekipa telewizyjna filmuje z dachu autobusu (przyjechała specjalnie na tę uroczystość, ponieważ polskie dzieci znalazły tymczasowe schronienie w ich kraju po ewakuacji z Rosji Sowieckiej)



Obchody 40-tej rocznicy przybycia dzieci do Nowej Zelandii. **Od lewej:** Czesław Witkowski, Krystyna Witkowska, Irena Wierzbicka, Janina Kowalczyk, Helena Wypych, Irena Mroczek, Maria Węgrzyn, ks. Stanisław Marut, Mieczysław Lis, ks. Bronisław Węgrzyn, Józef Głowacz, Eugeniusz Szadkowski, Tadeusz Reder, Franciszek Wypych



Członek parlamentu Nowej Zelandii (na okręg Pahiatua) John Falloon i Jan Roy-Wojciechowski odsłaniają tablicę informacyjną przy pomniku na terenie byłego obozu w Pahiatua z okazji 50-tej rocznicy przybycia polskich dzieci do Nowej Zelandii



Komitet Obchodów 60-tej Roczniczy Przybycia Polskich Dzieci do Nowej Zelandii. **Stoją, od lewej:** Stanisław Manterys, Józef Zawada, Tadeusz Reder, Halina Manterys, Michał Zagwojski, Mieczysław Lis, Jan Roy-Wojciechowski. **Siedzą, od lewej:** Janina Iwanica, Dioniza Choroś (przewodnicząca), Stefania Zawada, Stefania Sondej. Nieobecni: ks. Bernard Bednarz (TChr), Emilia Jensen, Adam Manterys



24 października 2004 roku. Zdjęcie ze zjazdu 60-tej rocznicy przybycia polskich dzieci do Nowej Zelandii. Na zjazd przybyło 220 byłych dzieci oraz 330 ich dzieci, wnuków, prawnuków, małżonków i gości



Byłe Dzieci z Pahlalua w 65 rocznicę przybycia do Nowej Zelandii, przy katedrze Najświętszego Serca, Wellington 2009 rok



Niektóre z byłych Dzieci z Pahiatua, w 70 rocznicę przybycia do Nowej Zelandii, przy katedrze Najświętszego Serca w Wellingtonie, rok 2014

Opiekunka

Maria Wypych (Węgrzyn)

W Isfahanie usiłowano nadrobić czas nauki stracony przez wywózki i pobyt w Rosji. Wyrastałam z podlotka i uważano, że dla mnie już za późno na powrót do gimnazjum. Szesnaście nas, starszych dziewczynek, przeznaczono do szkoły dywaniarskiej. Naszym instruktorem był Pers. Wymagał od nas wiele, ale też potrafił nas dużo nauczyć. Błędy tylko on był w stanie naprawić, więc nic dziwnego, że denerwował się, gdy ktoś się pomylił.

Nieraz pracowałyśmy za ciężko. Pamiętam jak pospieszano nas, bo przyjeżdżał przedstawiciel Rządu Polskiego na Uchodźstwie, a dywan miał być mu wręczony w czasie powitalnych uroczystości. Pracowałyśmy przy świetle lampy naftowej do późnej nocy.

W takim świetle czarne i granatowe kolory były trudne do rozróżnienia. Rano nauczyciel wiele naprawiał. Jeden z naszych dywanów można zobaczyć w Instytucie Generała Sikorskiego w Londynie, a zdjęcie innego jest na okładce książki *Isfahan Miasto Polskich Dzieci*.

W sierpniu 1944 roku przeniesiono mnie do zakładu Nr 10 i wyznaczono na opiekunkę chłopców przedszkolaków. Może wybrano mnie dlatego, że mój najmłodszy brat Bronek był w przedszkolu. Był to ostatni miesiąc przygotowań do wyjazdu do Nowej Zelandii. Na czas podróży miałam pomagać opiekunce, Stanisławie Lewandowskiej.

Jechaliśmy pociągiem do Zatoki Perskiej i tam wsiedliśmy na okręt towarowy *Sontay*. Moim głównym zajęciem na tym okręcie było nakarmić dzieci i utrzymać je czysto. Nie przypominam sobie, jakie sanitarne urządzenia mieliśmy na okręcie, ale dobrze pamiętam, jak każdego wieczora przynosiłam wiadro wody pod pokład i myłam dzieci. Jedzenie też przynosiłam wiadrami. Nie miałam nawet czasu sprawdzić czy moje młodsze siostry Frania, Józia i Władzia płyną ze mną.

W Bombaju wsiedliśmy na amerykański wojskowy transportowiec *General Randall*. Teraz płynęliśmy w dość wygodnym pomieszczeniu, a posiłki podawano w jadalni. Ciągłe prałam, bo dzieci miały ze sobą tylko jedną zmianę odzieży, a reszta była zdana na bagaż, więc co z nich zdjęłam musiało być natychmiast wyprane. Ażeby podołać, przestałam chodzić do jadalni na posiłki i żywiłam się odżywczą czekoladą (taką, jaką wydawano żołnierzom dla przetrwania w terenie).

Długo płynęliśmy i dzieci przyzwyczyły się do otoczenia. Starsze i

sprytniejsze potrafiły uciec nam schodami na pokład i pani Lewandowska nieraz godzinami ich szukała.

Proszono mnie, ażebym w nocy spała przy Zosi Matuli, która cierpiała na bóle w piersiach i plecach. Zosia całą noc jęczała i płakała – do dziś nie pojmuję, dlaczego nie można było jej pomóc. Gdy okręt przechylał się (mówiono, że w ten sposób omija miny) dzieci podnosiły wrzask i płakały. Nie było łatwo je uspokoić.

W Nowej Zelandii przyjęto nas bardzo serdecznie. Dzieci obdarowano lodami i cukierkami. Pamiętam moich chłopców umazanych lodami i ich piski ze strachu i podniecenia, gdy przejeżdżaliśmy przez tunele w drodze do Pahiatua. Zaraz po przyjeździe do Obozu Polskich Dzieci zaniósłam trzy toboły zawinięte w prześcieradła do pralni. Za pomocą ręcznej pralki i mydła harowałam przez dwa dni. Na okręcie bagaż leżał w wilgotnym miejscu – plamy wyprałam, ale w żaden sposób nie udało mi się doprać śladów rdzy od żelaznych guzików na świątecznych mundurkach.

Od chwili przyjazdu do obozu wprowadzony był regulamin. W przedszkolu panią Lewandowską wyznaczono na wychowawczynię, a mnie na opiekunkę chłopców. Pani Tietze zajmowała się administracją przedszkola, a pani Rubisz była ich nauczycielką.

Przedszkole zajmowało jeden blok (56 łóżek). Blok był przedzielony na dwie części wąskim korytarzem i drzwiami na zewnątrz. Po obu stronach korytarza były separatki dla wychowawczyń. Dziewczynki spały z jednej strony przedziału, a chłopcy z drugiej. Miałam własny pokój, ale z konieczności spałam na sali. Na ogół dzieci były zdrowe, ale wiele miało przeziębione pęcherze i w nocy musiałam je prowadzić do łazienki. Do dziś męczą mnie wspomnienia ich płaczu przez sen.

Ciągle nagliła mnie potrzeba wykonania moich obowiązków na czas. Rano budziłam dzieci i prowadziłam do łazienki. Niektóre z nich miały trudności z ubieraniem się, więc pomagałam. W zimie chłopcy nosili pończochy i na nich skarpety. W tych czasach używano gumowych podwiązek do pończoch. Chłopcy gubili podwiązki i traciłam czas na ich szukanie.

Następnie ustawiałam chłopców we dwa rzędy, mówiliśmy pacierz i śpiewaliśmy *Kiedy ranne wstają zorze*. Potem dzieci ustawione parami prowadziłam do jadalni. Pół godziny miało wystarczyć na posiłek. Niektóre dzieci tylko siedziały i patrzyły na talerz. Nie zawsze udało mi się wszystkie nakarmić.

Co trzy dni przypadał mi dyżur dopilnowania starszych chłopców przy myciu naczyni. Zdarzało się, że chłopcy pouciekali i sama kończyłam zmywanie. Kiedy zmywanie było skończone, wołałam kucharza do sprawdzenia. Gdy tylko znalazł choć jeden tłusty talerz, to kazał mi myć

od nowa. Był to prawdziwy ciężar, bo w baraku czekały na mnie łóżka do ścielenia, podłogi do zamiecenia i prawie każdego dnia pranie.

Po obiedzie dzieci z przedszkola kładły się na odpoczynek. W tym czasie pani Lewandowska też odpoczywała, a ja pilnowałam dzieci. Niektóre potrzebowały się przespać, a inne hałasowały. Tylko ogromnym wysiłkiem mogłam utrzymać ciszę. Wieczorami zawsze któryś z chłopców potrzebował kąpieli, a niektórym pomagałam wkładać nocną bieliznę. Na korytarzu czekały na mnie buty do wyczyszczenia i wyglansowania.

Chyba nie należał mi się wolny dzień, bo go nie miałam. Gdy dzieci zabierano do kina, nie szłam z nimi. Zostawałam w swoim pokoju i odpoczywałam w zupełnej ciszy. Siedziałam i wyszywałam. Nie wolno mi było wyjść do miasteczka Pahiatua bez pozwolenia. Starsi chłopcy dość szybko doszli do szkolnych lat (tj. 7 lat, według polskiego systemu). Byli wtedy przydzieleni do innej opiekunki.

Po upływie półtora roku wszyscy moi chłopcy byli w szkole i dla mnie nie było już pracy w obozie. 6 lutego 1946 roku dwóch chłopców, sześć dziewczynek, wszystkie nastolatki i mnie (był to rok mych 21-ych urodzin) wysłano do Wellingtonu do pracy. Chłopcy: Tadeusz Mazur i Leon Sondej zamieszkali u Nowozelandczyków, a my dziewczynki: Wiktoria Wypych, Maria Wojciechowska, Maria Zazulak, Janina Krystman, Zofia Kornobis, Rozalia Manterys i ja zamieszkałyśmy w pensjonacie. Było nam ciężko. Zarabiałam 2 funty i 10 szylingów na tydzień. Za utrzymanie płaciłam 1 funt i 10 szylingów, a przejazd tramwajem kosztował 5 szylingów. Byłyśmy w pełni odpowiedzialne za siebie.

Niektóre artykuły spożywcze kupowało się jeszcze na kartki, dlatego w pensjonacie ograniczano nam posiłki. Na śniadanie dostawałyśmy dwie kromki chleba i bardzo małą porcję masła. Do pracy, na południowy posiłek, mogłyśmy wziąć skromną kanapkę, a na wieczorny posiłek podawano nam kawałek mięsa z jarzynami. Byłyśmy głodne. Jedna dziewczyna z naszej grupy nie mogła przyzwyczaić się do nowego trybu życia, ciągle płakała, zachorowała i odesłano ją do obozu. Z czasem jej ojciec, który po demobilizacji zamieszkał we Francji, wziął ją do siebie.

W pewne wieczory pracowałyśmy do 8-mej wieczorem, dlatego że w czasie pracy uczęszczałyśmy na lekcje kroju. Chciałam się tego nauczyć, bo bardzo lubiłam krawiectwo, ale nie znałam wystarczająco dobrze języka angielskiego, żeby wszystko zrozumieć. Nie szkodzi, bo i tak uważają mnie za fachowca. Pracowałam przy szyciu, szyłam dla siebie i dla wielu innych, a później dla mych dzieci i wnuków.

Kościół katolicki pamiętał o nas. We wtorki wieczorem ksiądz Tottman urządzał dla nas spotkania. Pan Scott, który mu pomagał, zaprosił kiedyś nas

i młodzież nowozelandzką, żebyśmy się poznali. Cóż, Nowozelandczycy stali pod jedną ścianą, my pod drugą i tak się skończyło. Było mi trudno nawiązać rozmowę w języku angielskim.

Monika Wodzicka, córka polskiego konsula w Nowej Zelandii w czasie wojny, przesyłała nas i spotykaliśmy się w niedziele po południu. Przychodziło nas sporo, między innymi Teresa Czocharńska i Krystyna Wołyncewicz, zamieszkałe w internacie Serca Jezusowego, Wanda Rzepko i Krystyna Wojciechowska, które pracowały w prywatnym szpitalu w Wellingtonie, my dziewczynki z pensjonatu i dwaj polscy chłopcy, Tadek Mazur i Leon Sondej. Organizacja Czerwonego Krzyża udostępniła nam wolny pokój. W czasie wojny pokój ten używano na skład i wysyłkę paczek dla nowozelandzkich żołnierzy na froncie.

Pensjonat miałyśmy zapewniony tylko na sześć miesięcy, bo na nasze miejsca przyjeżdżała druga grupa dziewcząt z obozu. Trzeba było szukać mieszkania. Przez krótki czas mieszkałam u jakiejś staruszki, ale obie musiałyśmy się wyprowadzić, bo budowano tam lotnisko. Bardzo szybko nauczyłam się dawać sobie radę.

W pensjonacie mieszkałam w jednym pokoju z Wikcią Wypych. Kiedyś dostała list od swego brata Jana Wypycha, który był jeszcze w wojsku i poprosiła mnie, ażebym za nią odpisała. Nie było w tym nic dziwnego. Wojsko Polskie miało za swój cel utrzymanie łączności z polskimi dziećmi sierotami. W obozie pisałam do polskiego żołnierza, tak jak większość dzieci. Janek odpisał i zaczęła się wymiana listów między nami. Gdy w 1948 roku Jan Wypych przyjechał do Nowej Zelandii do swych sióstr, poszłam z jego siostrą Gienią do portu przywitać go. Dwa lata później Janek i ja pobraliśmy się. Pracowaliśmy bardzo ciężko na swój dom, na wykształcenie dzieci i na polskie cele społeczne. Dzieciom zależało na tym, ażeby zbudować dla siebie „lepsze życie” i dokonały tego. Teraz cieszymy się z Jankiem naszymi wnukami, a mamy ich 20.

Jak wiatr w polu

Edward Zagrobelny

W Obozie Polskich Dzieci w Pahiatura przeleżałem długo w szpitalu, a jak przychodziłem do zdrowia, dla zabicia czasu dostałem papier, ołówek, kredki i godzinami rysowałem. Z popularnych pisemek niestrudzenie odrysowywałem gwiazdy filmowe, bo dla mnie, tak jak dla wielu dzieci obozowych, był to nowy świat bajecznych ludzi.

Gdy mój tatuś po wojnie przyjechał do Nowej Zelandii, zamieszkałem z nim w Wellingtonie. Jego koledzy, byli żołnierze Armii Andersa, często nas odwiedzali. Zasiadali i politykowali przy kieliszku, coraz głośniejsze, z coraz większą intensywnością, bijąc pięścią w stół. Każdego z nich męczyła zdrada ich sojuszników (Anglii, Ameryki i Rosji) i często słyszałem powtarzane słowa: „Katyń” i „Jałta”. Ojciec dowodził, że generał Sikorski powinien być w Jałcie z Rooseveltem i Churchillem, ale że oni go wykończyli. Ja, mały chłopiec, siedziałem obok, słuchałem i rysowałem.

Odziedziczyłem po ojcu dużo książek na temat historii Polski a najwięcej o wydarzeniach z II wojny światowej. Zacząłem czytać. Pogłębiłem swą wiedzę o Polsce, o jej historii, a Katyń i Jałta stały się dla mnie przerażającą rzeczywistością. Poczułem się znów Polakiem.

Moja żona wywodziła się z dwóch plemion maoryskich. Żeby utrzymać swoją kulturę i obyczaje, duszą i sercem związała się z życiem na „marae” (maoryskie tradycyjne miejsce spotkań). Nakłoniła mnie do wykonywania tradycyjnych form sztuki maoryskiej. Rzeźbiłem z drzewa, z kości i wyuczyłem się sztuki maoryskiej w wielu jej różnych formach. Byłem znany i ceniony w tej dziedzinie.

Po śmierci żony powiedziałem sobie – wszystkie te rzeźby są natchnieniem żony, a moja dusza należy do Polski. Przestałem rzeźbić i nastąpiła jakby pustka w moim życiu, ale poczułem się wolny.

Wiem, że mam zdolności w kierunku sztuk pięknych, ale z wiekiem coraz bardziej odczuwałem brak odpowiedniego wykształcenia. To powstrzymuje mnie od wzięcia się na serio do dalszej pracy w tym kierunku.

Moja druga żona, Schursi, odnalazła w garażu i na strychu moje pozostałe malowidła i powiesiła je na ścianach. Dzięki niej przerwałem beczynność i zacząłem odrysowywać tuszem na dużym arkuszu *Kmicicową kompanię* Juliusza Kossaka.

Przez wiele lat oglądałem ryciny w książce Juliana Krzyżanowskiego

Dzieje literatury polskiej. Nad *Kmicicową kompanią* zatrzymywałem się dłużej: zima, śnieg na dachach domów odległej wioski i na drzewach w lesie – przez który jeźdźcy jadą stępem, a przed nimi zrywa się chmara ptaków. W mojej wyobraźni odczuwałem ruch koni i parę bijącą z ich nozdrzy.

Przez parę tygodni pracowałem bez wytchnienia, starając się przełożyć na papier geniusz Juliusza Kossaka. Na odbitce ryciny z książki narysowałem sieć skrzyżowanych linii, co mi pomagało w utrzymaniu proporcji oryginału. Przerażała mnie tylko chmara wzlatujących wron czy kruków, więc zmniejszyłem ich liczbę.

Przez długie okresy życia traciłem kontakt z Polakami. Jedna z moich siostr wyszła za mąż za Greka, a druga za Maorysa, więc nawet w rodzinie rozmawialiśmy po angielsku. Jednak nie zapomniałem polskiej mowy, choć o wiele łatwiej jest mi mówić po angielsku. Nie potrafię wyrazić mych głębszych myśli i prowadzić dłuższych dyskusji w języku polskim. Jednak nie przestałem czuć się Polakiem i nigdy nie straciłem poczucia przynależności do grupy byłych polskich dzieci, z którymi przyjechałem do Nowej Zelandii w 1944 roku.

Musiła być to wola Boska, że w 2004 roku Ministerstwo Spraw Zagranicznych w Nowej Zelandii zakupiło jedną z moich rzeźb pod nazwą „Wspólnota” z myślą umieszczenia jej na stałe w Ambasadzie Nowej Zelandii w Warszawie. Moi przyjaciele odwiedzili niedawno ambasadę w Warszawie i powiedzieli, że moja rzeźba stoi w poczekalni, pod zdjęciem obecnej premier Nowej Zelandii, Helen Clark.

Przekazałem rzeźbę, w imieniu własnym i byłych dzieci z Obozu w Pahiatua, a sercem lgnąłem do Polski – nie przeszkadzała mi w tym moja przynależność do Nowej Zelandii.



„Wspólnota”, rzeźba w stylu maoryskim, wykonana przez Edwarda Zagrobelnego. Stoi w poczekalni Ambasady Nowej Zelandii w Warszawie

Łatwa forsa w Pio Pio

Józef Zawada

Na początku lat 1950-tych krążyły wśród nas pogłoski, że można zarobić grube pieniądze przy wycinaniu krzaków na kontrakt, więc poszliśmy z przyjacielem do biblioteki miejskiej przejrzeć ogłoszenia.

Postanowiliśmy odpowiedzieć na jedno z ogłoszeń i poszliśmy na pocztę zatelefonować do Pio Pio. Dwa dni potem zajechaliśmy do miasta Te Kuiti, dalej autobusem do osiedla Pio Pio – dotarliśmy do farmy w miłym towarzystwie pana Freda Brackena, który rozwoził pocztę. Zostawił nas na farmie pana Cliffa Pethybridge’a. Boże, co za dzicz! Znaleźliśmy się w sercu Nowej Zelandii.

„Józek Zawada jestem, a to Staszek Manterys” przedstawiłem nas.

Zakłopotany farmer zapytał:

„Skąd pochodzicie chłopcy?”

„O... My Polacy z Pahiatua, chyba pan wie, z Obozu Polskich Dzieci, który znajdował się niedaleko Pahiatua w latach 1940-tych”.

„Czy macie doświadczenie w wycinaniu krzaków?”

„Oczywiście, że mamy” odpowiedzieliśmy

„Macie ze sobą siekacze?”

Trzeba było przyznać się, że nie mamy.

Zorganizowaliśmy się. Teren naszej pracy był dość górzysty i położony daleko od domostwa (po maorysku *whare*), więc postanowiliśmy obozować.

Farmer dał nam 2 brezenty, płachtę na konia, stare żelazne łóżko i dwie wiązki słomy. Z jednego brezentu zrobiliśmy namiot. Ja spałem na łóżku, a Staszek na drugim brezencie i słomie. W nocy bydło zbierało się naokoło naszego obozu. Trójnóg z gałęzi i zawieszony na drucie kociołek stanowiły kuchnię. Gałęzi *manuka* (duży krzew) używaliśmy na paliwo. Był to piękny zakątek, niedaleko strumienia i małego jeziorka.

Od farmera wypożyczyliśmy siekacze, siekiery i osetki. Pokazał nam teren do wycięcia i powiedział, że to jest około 35 akrów (2,47 akrów = 1 hektar). Spodziewaliśmy się dobrze zarobić i zaoszczędzić sobie pieniędzy. Byliśmy pełni energii i ochoty, ale bez doświadczenia.

Pracę zaczynaliśmy o 6-tej rano, o 8-mej jedliśmy śniadanie, gotowane na otwartym ognisku – miche kaszy ze skondensowanym mlekiem i odpoczywali do 9-tej. Następnie pracowaliśmy do południa. Główny posiłek – mięso i jarzyna.

Po odpoczynku wracaliśmy do pracy o 2-giej po południu. O piątej, godzina odpoczynku na posiłek i pracowaliśmy do nocy. Nie było gdzie przechować prowiantu i dużo wyrzucaliśmy.

Krzewy *manuka* okazały się za grube na siekacze i musieliśmy używać siekiery. Pogoda była ciepła i wilgotna i cały czas pracowaliśmy spoceni. Nasze, nie przyzwyczajone do ciężkiej pracy ręce, pokryły się pęcherzami i zabrakło nam opatrunków. Na niektórych częściach rąk był dosłownie pęcherz na pęcherzu.

Trzeba było dać sobie radę z błotnistym terenem, nawet na wzgórzach, bo gęste pokrycie mchu wstrzymywało tam wodę. *Manuka*, cienka i wysmukła w dolinie, stawała się karłowata i gruba jak cięliśmy pod górę. Pracowaliśmy z uporem przez kilka tygodni, ale gdy zbliżały się Święta Bożego Narodzenia, zastanowiliśmy się i przekonali, że nawet z największym wysiłkiem nie podołamy. Powiedzieliśmy farmerowi, że nie wracamy po Świętach. On obliczył naszą pracę i zdziwił się, że zdołaliśmy wyciąć aż 13 akrów. Ugodziliśmy się na 6 funtów i 10 szylingów za jeden akr, więc zarobiliśmy 84 funty, 10 szylingów.

Najciężej zapracowane pieniądze w moim życiu były w Pio Pio.



Józef Zawada. Po ciężkiej pracy obiad smakuje

Wybór wspomnień

Przybywa mi pewności siebie

Jadwiga Cooper (Jarka)

Po suchym krajobrazie Azji Środkowej i Iranu falujące pastwiska w okolicy Pahiatua jakby wołały mnie do użycia ich świeżości i piękności. Pewnego dnia poszłyśmy na farmę i poprosiłyśmy gospodarza o pozwolenie bawienia się na jego łące. Znałam tylko kilka słów angielskich, więc zaczęłam wymachiwać rękoma, że chcemy pójść się bawić. Pokiwał głową i powiedział tak. Jestem zazwyczaj wstydliva, ale doznałam uczucia wolności, gdy zaczęłyśmy biegać, śpiewać i turlać się po łagodnym zboczu łąki.

Bariera językowa

Regina Czyżowicz (Kupis)

Gdy osiedliliśmy się już w obozie, wielu ludzi zaczęło nas odwiedzać. Niektórzy z odwiedzających to Polacy przybyli tu pod koniec XIX wieku lub ich potomkowie. Spotkałam wiekowego Polaka, który mówił po polsku tak słabo jak ja po angielsku, ale i tak mieliśmy przyjemną pogawędkę. Podziwiałam tego człowieka, który starał się wydobyć z pamięci dawno zapomniane słowa jego przodków.

Cenna spuścizna

Katarzyna Fahey (Piesocka)

Opuściłam Obóz Polskich Dzieci w 1947 roku. Oprócz trochę angielskiego nauczyłam się tam sztuki szycia, która później przydała mi się, gdy szylam ubrania dla siebie i córki. Wyjechałam do Masterton i pracowałam jako kelnerka w hotelu Midland. Następnie w Dannevirke zostałam maszynistką. Tam spotkałam mego przyszłego męża Erica Fahey, murarza z zawodu. Nasze szczęśliwe małżeństwo trwało 45 lat, do jego śmierci.

Osiedliliśmy się w Palmerston North, wychowaliśmy córkę i mamy czworo wnucząt. Mając męża Nowozelandczyka i żyjąc daleko od Polaków, rzadko mówiłam po polsku, choć akcent pozostał. Lubiłam wolne dni, gdy mogłam rozmawiać z moją siostrą i dwoma braćmi po polsku. Nauczyłam swoją córkę kilku słów i zdań, które przydały jej się, gdy odwiedziła mojego brata w Polsce. Przyjęłam Nową Zelandię za swój nowy kraj i nie powróciłam do Polski, ale nigdy nie zapomnę swej ojczyzny. Byłam bardzo dumna, kiedy moja wnuczka napisała mój życiorys jako wypracowanie szkolne w gimnazjum. Ten dokument jest teraz ważną spuścizną dla mojej rodziny.

Nie było łatwo

Marceli Jamroz

Mój ojciec, oficer Wojska Polskiego, został zamordowany w Katyniu w 1940 roku. Pięcioro z mojej rodziny zmarło z głodu i chorób w syberyjskich obozach przymusowej pracy, a jedna siostra nie przetrwała ewakuacji do Iranu. Mój starszy brat wstąpił do Wojska Polskiego na Uchodźstwie – pozostałem sam. Jestem rozgoryczony, że nasz kraj został sprzedany Rosji przez naszych sojuszników pod komunistyczne jarzmo na półwiekową niewolę.

Po opuszczeniu szkoły zmuszono mnie do pracy na farmie wbrew mojej woli. Potem wybrałem zawód stolarza i cieśli. Posiadam doświadczenie w konstrukcji budowli odpornych na trzęsienia ziemi. Pracowałem jako elektryk przy panelach kontrolnych elektrowni i jako nadzorca przy budowie domów. Po przeniesieniu się do Australii otrzymałem licencję budowniczego i pracowałem na własną rękę.

Urodzona na wygnaniu

Teresa Jenner (Dmochowska)

Nie pamiętam Polski, bo urodziłam się w 1941 roku na Syberii, dokąd moja matka była wywieziona na przymusową pracę. Miałam zaledwie cztery lata, gdy przyjechałam do Nowej Zelandii. Po opuszczeniu obozu moja matka dostała stałą pracę gospodyni u pana Bena Vogel, w rezydencji, która jest teraz ośrodkiem konferencyjnym w Upper Hutt.

Czułyśmy się tam osamotnione nie mając blisko naszych przyjaciół z Obozu Polskiego w Pahiatua. Moja matka nie przyjęła posady w Picton na Wyspie Południowej, bo nie chciała oddalić nas od Polaków z Wellingtonu. Miałam szczęście, że prowadziłam spokojne życie. Wysłałam za męża, oszczędzaliśmy, kupiliśmy dom i wychowaliśmy dwoje dzieci, które znają język polski.

Nasza matka nauczycielka

Danuta i Wiesław Kalińscy

Życie naszej matki Wandy Kalińskiej w Obozie Polskich Dzieci było związane z dziećmi w klasie i poza lekcjami. Pomagała wypełniać wolny czas tej młodzieży, która dobrowolnie chciała pracować nad różnymi przedsięwzięciami. Jej życie było osobliwym przykładem patriotyzmu, poczucia historii i wrażliwości dla sztuk pięknych.

Szydełkowanie, malowanie na drewnie i na szkłe oraz wycinanki ludowe rozwijały u dzieci zręczność i twórczość, zalety, które w normalnych warunkach dzieci otrzymałyby od swoich rodziców. Nasza matka przyczyniła się do życia kulturalnego obozu również przez urządzenie dekoracji i rekwizytów do występów teatralnych. Wróciliśmy z nią do Polski w 1948 roku.

Kowboje z baru mlecznego

Marian (Marek) Kazimierzak

Byłem w pierwszej fali chłopców opuszczających Obóz Polskich Dzieci w Pahiatua do pracy w Wellingtonie. Dano mi mało płatną pracę. Mieszkalem u dobrej nowozelandzkiej rodziny. W niedzielę chodziłem z tą rodziną na nabożeństwo o 7-mej rano, a potem spotykałem się z kolegami i szliśmy na polską mszę św., a następnie na obiad do Bursy Polskich Chłopców na Island Bay. W tym czasie większość moich kolegów miała dobrze płatne prace w porcie lub w rzeźni. Niektórzy kupili sobie motocykle.

Koniecznie chciałem mieć własny motocykl. Zacząłem oszczędzać – w czasie wolnym od pracy siedziałem w domu i robiłem szaliki na drutach oraz sznurki na szpulkach. Nadszedł dzień, gdy miałem 300 funtów na książeczce oszczędnościowej. Uzbrojony w tę ogromną kwotę pieniędzy udałem się do Tommy Oats, sklepu z motocyklami w małym zaułku przy Manners Street, i wyszedłem stamtąd w posiadaniu nowiuteńkiego motocyklu typu AJS.

Problem był jak dostać się z nim do domu. Teraz, gdy mam już ponad 70 lat, przyznaję się, że prowadziłem go przez całą niemal drogę do domu. Przyznaję się też, że używałem podstępu przy wyrabianiu prawa jazdy dla początkujących. Gdy mi zadano trudne pytanie, odpowiadałem całkiem innym, łatwiejszym. Witold Suchodolski, Czesław Bęlczącki, Stanisław Ościłowski i ja wiedzieliśmy jak zaimponować. Wyjeżdżaliśmy gromadnie w niedzielne popołudnie, tak jakbyśmy szli do boju. Jechaliśmy na pełnym gazie wzdłuż nadmorskiej szosy do Lower Hutt, omijając wyboje. Zajeżdżaliśmy z rykiem motorów pod mleczny bar i wchodziliśmy, wiedząc, że wszystkich oczy są zwrócone na nas.

Moje pierwsze wakacje w Nowej Zelandii

Czesława Krystman (Szach)

Byłam po prostu przerażona, gdy mnie wysłano na pierwsze dwutygodniowe wakacje do jakiejś dziwnej miejscowości, Pungarehu w Taranaki. Nie chciałam jechać, ale nie miałam wyboru. Angielskiego nie znałam wcale. Długo czekałam na stacji kolejowej, z kartką z nazwiskiem przyczepioną do sukienki. Obce mi kobiety podchodziły, odczytywały kartkę i szły dalej. Byłam bliska płaczu i prosiłam Boga, żeby ktoś wkrótce po mnie przyszedł. Nareszcie podeszła jakaś kobieta, odczytała moją kartkę i kazała iść za nią.

Następnego rana zapytano mnie, czego chcę na śniadanie, kaszę czy jajko. Słowo „jajko” (egg) było łatwiej wymówić niż kasza (porridge), więc wybrałam jajko. Poznałam pierwsze angielskie słowo. Następnego dnia przyszły sąsiadki na herbatkę i przyglądały mi się z zaciekawieniem. Dostałam wstrząsu po ujrzeniu po raz pierwszy Maorysów – nigdy dotąd nie

oglądałam ciemnoskórej osoby. Po upływie czasu zaczęłam się przyzwyczajać do ich obecności na ulicach, ale dalej się bałam.

W dniu mojego odjazdu powiedziałam mojej gospodyni po angielsku: „dziękuję za wspaniałe wakacje”, tak, jak nauczyła nas nauczycielka w obozie w Pahiatua i które kazała nam powiedzieć na pożegnanie. Moja gospodyni zbladła i widziałam, że jest zażenowana. Zapewne myślała, że znam dobrze angielski i że cały czas kpiłam z niej, że nie umiem. Nie uściskała mnie i nigdy więcej nie zaprosiła do siebie. Czasami podejrzewam, że miała z sąsiadkami i znajomymi długi temat do rozmowy nad niekończącymi się filiżankami herbaty.

Mile wspomnienia i cuda

Lech Lubas

W Obozie w Pahiatua mieliśmy wielu kolegów, opowiadaliśmy swoje przygody, śmialiśmy się, śpiewali, tańczyli, psocili i podtrzymywali nasze obyczaje. W Wellingtonie, gdzie uczęszczałem do gimnazjum św. Patryka, mieszkałem przez jeden rok u rodziny Conroy w Karori, którzy przyjęli mnie jak jednego ze swoich. Nauczyłem się u nich jak żyć w tym nowym kraju.

Myślałem, że tylko moja siostra Helena i ja ocaleliśmy w II wojnie światowej, ale później otrzymaliśmy od Czerwonego Krzyża cudowną wiadomość, że nasza matka i brat żyją i że mamy nową siostrzyczkę urodzoną po naszej zsyłce na Sybir. Utrzymywaliśmy ze sobą kontakt listownie, ale nasze plany powrotu do Polski ugrzęzły w troskach codziennego życia. Helena i ja założyliśmy własne rodziny, nasza matka zmarła i dopiero w 1996 roku odwiedziliśmy brata i siostrę w Polsce, których nigdy przedtem nie spotkaliśmy.

Fryzjer czy baba?

Izabela Melvin (Jankiewicz)

Mój ojciec był jednym z personelu w Obozie Polskich Dzieci. Niewiele znał języka angielskiego. Jednego dnia postanowił udać się do fryzjera w Pahiatua. Ponieważ nie wiedział, gdzie znajduje się zakład fryzjerski, zapytał o drogę przechodzącą parę małżonków. Wskazał na swoje włosy i zapytał po polsku, gdzie tu fryzjer. Tamci odpowiedzieli zapytaniem: „You want a barber?” (chce pan fryzjera? – „barber” wymawia się baba i oznacza fryzjera). Mój ojciec był oburzony – on nie chciał żadnej „baby”, on tylko chciał fryzjera!

Urządzamy sobie życie

Janina Ościłowska (Łabędź)

Przybyliśmy do Nowej Zelandii bez rodziców. Nasz ojciec i brat (Zdzisław Tkacz) służyli w Wojsku Polskim na Uchodźstwie i dołączyli do nas po

II wojnie światowej. Dzieci w obozie w Pahiatua zazdrościły tym, którzy mieli rodziców, ale życie nie było łatwe, kiedy zakładaliśmy wspólnie dom.

Zniechęcony odpowiedzialnością za trzy córki, ojciec ponownie ożenił się, żebyśmy miały jako takie życie rodzinne. Wzięliśmy lokatorów, żeby wiązać koniec z końcem. Po zachorowaniu naszej macochy odpowiedzialność za dom i lokatorów spadła na moje siostry Helenę i Reginę i na mnie. Nasz brat Zdzisław, który wspomagał nas w Rosji po wstąpieniu naszego ojca do wojska, teraz znów nam pomagał finansowo i tak mogliśmy przetrwać.

Z mężem odkupiliśmy od ojca dom na ulicy Hanson Street w Newtown w Wellingtonie, który stał się dla naszej powiększającej się rodziny i przyjaciół z obozu punktem zbornym przy wspólnych posiłkach i wieczornych zabawach. Dzieci sąsiadów bawiły się z naszymi na działce za domem i pozostali przyjaciółmi do dziś.

Wszystkie mamy mężów Polaków. Moja siostra Helena wyszła za Tadeusza Knapa, Regina za Tadeusza Redera a ja za Stanisława Ościłowskiego. Stanisław był jednym z siedmiorga dzieci. Rozłączyła ich wojna i nie widział już nigdy swej rodziny, oprócz siostry Heleny, która przyjechała z nim do Nowej Zelandii.

Nikt się nim nie opiekował od czasu opuszczenia szkoły w wieku 15 lat, mimo to został dobrym budowniczym. Pięcioro naszych dzieci również osiągnęło sukcesy. Zawarły związki małżeńskie z Nowozelandczykami, a ich dzieci są dumne ze swojej polskiej spuścizny.

Mój przyjaciel „Wielki Dzwon”

Zofia Przerwa-Tetmajer (Łuszczewska)

W polskim obozie wszystkie dzieci oprócz mnie wyglądały na wesołe i szczęśliwe. Byłam przekonana, że jestem brzydka, wstydliva, niedołączna i bardzo tchórzliwa tak, że byłam ofiarą łobuzów. Pewnego dnia rozżalona pobiegłam z płaczem do groty Matki Boskiej prosząc o pomoc. To mi pomogło, przestałam płakać i poczułam spokój i siłę.

Wracając z groty, wstąpiłam do wojskowej kantyny. Za wysoką ladą stał wysoki mężczyzna z okrągłą twarzą. Pocieszył mnie. Przy następnej wizycie uśmiechnął się i powiedział: „hello duże niebieskie oczy”. Wskazał na siebie i powiedział „Ben”.

Gdy wskazał na mnie, powiedziałam mu swoje imię. Kiedyś w klasie nasza nauczycielka angielskiego, pani Eising, pokazała nam obrazek londyńskiego dzwonu Big Ben. Po szkole pobiegłam do kantyny i zawołałam: „hello Big Ben”. On wybuchnął śmiechem, urwał mu się przy tym guzik i było wesoło. Dzięki niemu nauczyłam się śmiać i weselić.

Pamięć zawsze pozostanie

Elżbieta Sawicka (Bednarska)

W Obozie Polskich Dzieci w Pahiatua ukończyłam szóstą klasę szkoły powszechnej. Poziom nauczania był wysoki i dzięki temu, gdy wróciłam do polski w 1947 roku, dostawałam bardzo dobre oceny. Pamiętam obóz jakby to było wczoraj. Chętnie brałam udział we wszystkim, co mi udostępniono: w harcerstwie, należałam do polskiej grupy tanecznej, uczyłam się szkockich oraz irlandzkich tańców i grałam na skrzypcach. W lecie z koleżankami hasałam po łąkach i kąpałam się w rzece. Gdzieś tam nad rzeką zostawiłam, schnące na krzaku kąpielówki.

Mieszkańcy obozu byli rozśpiewani: śpiewaliśmy w kościele, maszerując trójkami przez obóz, przy harcerskim ognisku, idąc nad rzekę – pieśni kościelne, patriotyczne, harcerskie, swawolne, miłosne, kołysanki (śpiewałam je wnukom). Nie tylko jedną zwrotkę, ale wszystkie. Dziękuję mamie, która po powrocie do kraju nie pozwoliła nam zapomnieć piosenek wyuczonych w obozie. Śpiewała razem z nami.

Tonąca w zieleni Nowa Zelandia na zawsze zostanie w mej pamięci.

Zew buszu

Leon Sondej

W 1946 roku powiedziano mi, że mam opuścić obóz w Pahiatua i zacząć pracę w Wellingtonie. Wybrano dla mnie zawód krawiecki, do którego miałem zdolności. Ale będąc jeszcze dzieckiem w Polsce lubiłem otwarte pola, rzeki, lasy i oglądanie ojcowskiej myśliwskiej strzelby. Dziękuję temu Nowozelandczykowi, który wprowadził mnie do klubu wspinaczy górskich.

Nauczyłem się podstaw celnego strzelania w Wellingtonskim Klubie Strzeleckim. Wkrótce spędzałem wszystkie soboty i niedziele na wędrówkach oraz łowach. Nigdy nie przeoczyłem letnich wspinaczek po tutejszych Południowych Alpach. W tamtych czasach było łatwo o pracę, ale kiedy zgłosiłem się do trzebień jeleni [były wówczas plaga], było już 300 innych zgłoszeń. Pomysł, że można zarabiać i polować bardzo mi się podobał i w tym celu zdecydowałem się na kilka miesięcy urlopu.

Byłem przesłuchany przez Rona Frasera, konserwatora lasów przy Urzędzie do Spraw Dzikiej Zwierzyny w Wellingtonie. Zapytał o moje kompetencje, zbadał mnie wzrokiem i powiedział: „To jest praca dla mężczyzny. Jeżeli dasz radę i przetrwasz, będziesz w porządku. Jeżeli nie, wylecisz na zbity łeb”.

Życie myśliwego jest pełne niebezpieczeństw. W trudnym terenie, przy opadających skałach, śliskich zboczach, wartkich strumieniach łatwo można było być odciętym od świata na długi czas. Polowałem przez cztery lata i zawsze czułem się w lesie jak u siebie w domu. Nigdy się nie zgubiłem.

W Południowych Alpach wiedziałem jak sobie dać radę, znałem każdy odgłos i czułem się bezpiecznie. To były najszcześliwsze dni mojego życia.

Życie wypełnione ciężką pracą

Wanda Watola (Martul)

Najbardziej pamiętne lata od 1958 do 1959 spędziłam w Porewa, małym osiedlu kolejowym, blisko Marton w okolicy rzeki Rangitikei, gdzie mój mąż był na dwuletnim kontrakcie na Kolei Nowozelandzkiej.

Zarobki miał niewielkie. W domu nie mieliśmy prądu. Posiłki gotowałam na emaliowanym piecu na węgiel, typu Shacklock, który nadal uważam, że jest najlepszy do gotowania i pieczenia. Ogrzewał też nasz dom. Wszelkie inne urządzenia, włącznie z cementowym zlewem, ręczną wyżymaczką i higieniczną toaletą, znajdowały się w osobnym budynku. Pranie wieszałam na drucie zawieszonym między dwoma drzewami. Wodę czerpaliliśmy z 1200 litrowego baku z fałdowanej blachy, umieszczonego na dachu.

Najbliższy sklep był 12 kilometrów od miasteczka Marton. Każdego tygodnia z telefonicznej budki zamawiałam zapasy chleba, masła, cukru, soli i mydła – niewiele poza tym. Ileż teraz zamawiamy w sklepach-gigantach! Mięso dostarczano koleją i zostawiano na stacji. Co dwa tygodnie zabierałam swoją dwójkę dzieci pociągiem do Marton, żeby zapłacić rachunki. Pozostałe kilka szylingów wydawałam na zabawki.

Nie mieliśmy lodówki, posiłków na wynos, odkurzacza, elektrycznej pralki, telewizora, telefonu ani samochodu. Nauczyliśmy się uprawiać ogród, hodowaliśmy kury a mleko kupowaliśmy prosto z dojarni u sąsiada. Soboty i niedziele były poświęcone rodzinie. Braliśmy dzieci nad rzekę. Byliśmy biedni, ale szczęśliwi i nie było czasu, ani powodu, żeby użalać się nad sobą. To były dobre czasy. Bolesnie jednak odczuwałam brak ojca, matki, dziadków, braci, siostr, krewnych i polskiej mowy.

Dawno zapomniane listy

Ola Wołk (Sajewicz)

Stanley (Stanisław) Jemioło, mówiący po polsku potomek polskich emigrantów do USA był marynarzem na okręcie *USS General Randall*, który przywiózł nas do Nowej Zelandii. Na okręcie zaprzyjaźnił się z dwoma chłopcami, Stanisławem Wołkiem (moim przyszłym mężem) i Stanisławem Manteryssem, bo mieli takie same imię co on. Według umowy, po przyjeździe do obozu w Pahiatua chłopcy napisali listy. Nie było odpowiedzi i sprawa poszła w niepamięć.

Stanley powrócił z wojny do stanu Massachusetts dopiero po dwóch latach. Przez ten czas jego matka po prostu zapomniała o listach. Po jej śmierci,

podczas porządkowania książek, ze starej polskiej Biblii wypadł nie otwarty list, pisany przez Stanisława Wołka 35 lat temu. W międzyczasie Stanley poszukiwał dzieci przez Czerwony Krzyż, ambasady i zwracał się do władz nowozelandzkich, ale bez skutku.

Już w posiadaniu 35-letniego listu Stanley napisał do burmistrza miasta Pahiatua. Okazało się, że burmistrz znał jednego z byłych chłopców, Bronisława Węgrzyna. Kontakt został nawiązany i opóźniona odpowiedź na list Stanisława Wołka została wysłana.

Była radość i zdumienie obu stron. Stanley odwiedził Nową Zelandię ze swoją żoną. Odwiedził obu współmienników w Auckland i Wellington oraz był goszczony przez inne były dzieci, które z powodu jego przypadających właśnie urodzin urządziły mu przyjęcie i zaśpiewały „Sto lat” – z wdzięczności dla człowieka, który nie tylko okazał dzieciom tyle serca i humoru, ale włożył dużo wysiłku, żeby je odnaleźć po tylu latach. Rodzina Wołków odwiedziła Jemiołów w ich domu w Springfield, Massachusetts. Pozostali bliskimi przyjaciółmi.

Moja koleżanka z klasy, Maria Chudy (Dolhun)

Stefania Zawada (Sondej)

W Obozie Polskich Dzieci w Pahiatua Marysia Dolhun siedziała obok mnie w klasie. Pewnego dnia nauczycielka zadała jej pytanie. Marysia wstała powoli, jej twarz stężała, ale nie powiedziała ani słowa. Stała pokornie, wysłuchiwała nagany nauczycielki i usiadła. Całym swoim jestestwem czułam to, co ona przeżywała, bo mnie samą to często spotykało. Od tej pory Marysia została moją przyjaciółką.

Marysia poprosiła o zwolnienie i kilka tygodni potem opuściła naszą klasę, podejmując pracę w obozowej kuchni, gdzie obierała ziemniaki. Miała dobre serce i podsuwała dzieciom więcej chleba, gdy ją prosiły. Po zamknięciu obozu Marysia pracowała na plebani u św. Anny na Newtown w Wellingtonie, potem w fabryce tabaki i w ogrodzie zoologicznym. Wolny czas poświęciła opiece nad polskimi duszpasterzami, odwiedzaniu chorych i pomagała bliźnim. Wyszła za mąż, ma dzieci i wnuki. Dzieci z Pahiatua pozostały jej drugą rodziną – tym właśnie był Obóz Polskich Dzieci dla jego byłych mieszkańców.

Część trzecia

Wspomnienia
następnego pokolenia

Tolerancja

Paul Coates

Syn Ireny Coates (Ogonowska)

Jestem synem polskiej matki-uchodźcy i ojca Nowozelandczyka, angielskiego pochodzenia. Trafnie się zdarzyło, że będąc synem uchodźcy, pracuję jako adwokat specjalizujący się w sprawach imigrantów i uchodźców, pomagając im w dostosowaniu się do życia nowozelandzkiego.

Pamiętam dziecięce lata jak matka przygotowywała niedzielny posiłek z pysznymi polskimi daniami, obok pieczeni po nowozelandzku i jak opiekowała się nami, gdy ojciec szedł do pracy. Była podporą rodziny, pielęgnowała nas, uczyła przyzwoitości, współczucia innym i opowiadała nam o jej ojczystej Polsce. Opowieści z czasów pokoju napępiały mnie podnieceniem, ale opowieści z czasów II wojny światowej wstrząsały mną. Nie wyobrażałem sobie jak matka dawała sobie radę po utracie swojej rodziny w tak tragicznych okolicznościach.

Nasza matka jest nadzwyczajną osobą pod wieloma względami. Była inna od matek chłopców w naszej szkole. Lubiłem jej sposób zachowania się bardziej niż sposób bycia matek moich kolegów. Rozpieszczała nas, gdy chorowaliśmy i czasami pozwalała nam opuścić lekcje na dłużej niż było to konieczne. Odczuwaliśmy jej ciepło i lubiłem przysłuchiwać się jak rozmawiała po polsku przez telefon.

Zauważyłem, że lepiej rozumiałem problemy obcych narodowości niż inni, np. łatwiej znajdowałem wspólny język z chłopcami pochodzenia holenderskiego niż z Nowozelandczykami. Nie rozumiałem zaściankowego nastawienia niektórych moich rówieśników. Mimo napotykanych trudności, nasza matka uparcie domagała się tolerancji; zaletę, którą zawsze ceniłem.

Czasami ludzie pytają się mnie czy jestem Rosjaninem. Mój wygląd kojarzy się ludziom z pochodzeniem wschodnioeuropejskim, a ja z dumą odpowiadam, że jestem pół-Polakiem. Przez lata spotykałem innych ludzi pochodzenia polsko-nowozelandzkiego i zauważyłem, że miałem z nimi dużo tematów do rozmowy. Jednak nie znając języka polskiego, zawsze czułem, że właściwie nie należę do Polonii. Zarazem nie jestem w pełni „Kiwi” (potocznie: Nowozelandczykiem).

Matce musiało być trudno, kiedy starała się wychowywać nas w wiedzy o Polsce i zrozumieniu polskiej kultury i mowy. Mój ojciec w ogóle nie mówi po polsku. Matka pokazywała nam obrazki o Polsce, ale nie miały one dla mnie większego znaczenia. Moja „polskość” była chyba wrodzona.

Gdy zacząłem przebywać z dziewczętami, zauważyłem, że najtrudniej mi było porozumieć się z Nowozelandkami. Nie dlatego, że było w nich coś złego, ale dlatego, że mówiły i zachowywały się inaczej niż moja matka. Zacząłem szukać towarzystwa dziewcząt, które posiadały takie ciepło, jak moja matka i często były to imigrantki do Nowej Zelandii, niekoniecznie Polki.

Nowozelandczycy wiedzą o Polsce niewiele lub zgoła nic, więc będąc na pół-Polakiem, czułem się czasami nieco odosobniony. Widziałem na twarzach wielu ludzi niezrozumienie, gdy poruszane były tematy o Polsce. Najczęściej nie chcieli wiedzieć nic o tym kraju. Gdy zdarzały się okazje do zawierania przyjaźni, zauważyłem, że miałem z rówieśnikami nowozelandzkimi mniej wspólnego z powodu mojego pochodzenia.



Paul Coates z dyplomem prawniczym w 2004 roku. Obok stoi dumna matka Irena Coates (Ogonowska)

Którą drużynę popieram?

Piotr Gawor
Wnuk Krystyny Łackiej (Manterys)

Mimo że moja wymowa nie różni się od moich rówieśników, zawsze byłem uważany jako „ten polski facet”. Czy można się dziwić, gdy noszę tak obco brzmiące dla Nowozelandczyków imię jak Piotr Gawor? To, że urodziłem się w Wellingtonie, nie ma dla nich znaczenia. Czy bycie Polakiem w drugim pokoleniu, urodzonym w Nowej Zelandii, zaważyło na moim życiu?

Zauważyłem, że polskie pochodzenie nie jest dla mnie przeszkodą, wręcz siłą. Można to określić, używając matematycznego pojęcia, jako różnicowanie (choć nie jestem biegły w tej dziedzinie nauki). Jeszcze przed pójściem do szkoły znałem dwa języki, natomiast moi koledzy szkolni znali tylko jeden.

Jednak bycie Polakiem nie było zawsze łatwe. Nie tylko nauczyciel nie umiał wymówić mojego imienia (słyszałem wymawianie Piot, Pitter, Poitre), koledzy też je przekreślali (*Piot* stał się jak gdyby do przyjęcia normą). Muszę przyznać, że z wyraźną ulgą powracam do domu, gdzie słyszę prawidłową wymowę mojego imienia.

Lekcje historii były przedmiotem, gdzie spotykałem kwestie sporne, zwłaszcza te, dotyczące najazdów na Polskę lub twierdzenie, że Polska była jeszcze w epoce konia, gdy Niemcy przybyli ze swoimi czołgami. Oczywiście nie dawałem za wygraną i zawsze znalazłem odpowiednio bystrą uwagę – na przykład, że Polska była niegdyś jednym z największych państw Europy, podczas gdy małe brytyjskie imperium było dopiero w powijakach; albo, że Polska miała pierwszą konstytucję w Europie. Moje wywody mało obchodziły moich kolegów, którzy prześmiewali smutne dzieje Polski ostatnich stuleci. Szkoda, że nowozelandzki program szkolny nie zwraca większej uwagi na światową historię i nadal jest nastawiony omal wyłącznie na historię Anglii (ale to temat na inną książkę).

Mimo że odpowiednio pasuję do kategorii drugiego pokolenia, muszę przyznać, że znajduję się między dwiema kategoriami – można by mnie określić jako z półtora pokolenia Polakiem. Moja babcia ze strony matki przybyła do Nowej Zelandii z polskimi dziećmi-uchodźcami w 1944 roku. Natomiast dziadek ze strony matki, Piotr Łacki, przybył do Nowej Zelandii z obozów jenieckich w Niemczech. Tak jak wielu innych, nie chciał powrócić do Polski pod panowanie reżimu totalitarnego. Rząd Nowej Zelandii zezwolił na jego przyjazd jako wysiedleńca, i tu rozpoczął nowe życie. Mój ojciec powziął podobną decyzję około 30 lat temu, gdy postanowił opuścić Polskę.

W domu używamy wymiennie języka polskiego i angielskiego, bez żadnych trudności. Ale to nie znaczy, że język polski dominuje w naszym domu. Odwrotnie, angielski jest naszym głównym językiem, a rodzice używają polskiego, gdy chcą nam zwrócić uwagę przy Nowozelandczykach. Oczywiście, że warto znać język polski – niestety w Wellingtonie rzadko słyszy się tę mowę, więc używanie go w szerszym społeczeństwie jest nieco zniweczone.

Polska kultura wywiera na mnie znaczny wpływ. Czy to przez polską kuchnię, czy tradycje, nasza rodzina utrzymuje więzy kulturowe, a rodzice widzą to jako ważny składnik wychowania ich dzieci. Tradycja pozwala naszej rodzinie przypominać sobie skąd pochodzimy. Pamiętam z dzieciństwa, że koledzy szkolni zazdrościli mi, ponieważ otrzymywałem upominki świąteczne na wigilię, czyli dzień przed nimi.

Chciałbym tu powiedzieć cokolwiek o polskiej kuchni. Przemilczę głupie żarty niektórych kolegów nowozelandzkich o polskiej kiełbasie. Polskie potrawy, takie jak bigos lub barszcz wigilijny, ich różnorodność smaków są dla mnie czystą radością.

Rodzina, o której wspomniałem wcześniej, jest dla mnie największym skarbem, jaki przekazała mi polska spuścizna. Z powodu mojej polskości posiadam liczną, wielopokoleniową rodzinę, z siecią przyjaciół. Te ogniwa są drogocenne, przysparzają przyjemności i dają mi inny światopogląd.

Wspomniawszy o wszystkim, co łączy mnie z krajem moich przodków i polską kulturą, muszę podkreślić swoją tożsamość jako Nowozelandczyk. Ten wgląd w dwa światy ma swoje dobre strony (jestem na wygranym na polsko-nowozelandzkich rozgrywkach sportowych), oraz ujemne (gdy koledzy śmieją się z przegranej jednej z tych drużyn). Uważam, że dałem sobie radę z dwoma kulturami tak, że każda z nich odgrywa ważną rolę w moim życiu.

Należy powiedzieć, że być Polakiem w Nowej Zelandii nie jest łatwo, choć nie jest to problem wyłącznie Polaków. To samo można powiedzieć o innych obcokrajowcach zamieszkających w Nowej Zelandii, którzy też napotykają trudności w obcym im kraju. Ale bycie Polakiem otwarło przede mną bogactwa, które wywarły i będą wywierały dodatni wpływ na moje życie. Nie życzyłbym sobie, żeby było inaczej.

Nasza polska „wioska”

*Barbara Hanson
Córka Dionizy Choroś (Gradzik)*

Afrykańskie przysłowie, upowszechnione przez Hilary Clinton, mówi, że „wioska wychowuje dzieci” czyli, że nie tylko rodzina, ale całe społeczeństwo kształci dziecko. Uważam, że w moim wypadku wychowana byłam w dwóch wioskach – anglojęzycznej i polonijnej.

Moja matka była jedną z polskich dzieci, które szczęśliwie przetrwały grozę zsyłki na Sybir. Przybyła tu w grupie 733 dzieci na zaproszenie rządu Nowej Zelandii. Tragiczna utrata obojga rodziców, głód i niedostatek, które przecierpiała na Syberii, oraz przerwana nauka szkolna miały ogromny wpływ na jej pogląd na życie i na sposób, w jakim wraz z moim ojcem nas wychowywała.

Jeżeli ludzie emigrują świadomie, może są mniej skłonni do utrzymania swojej rodzimej kultury, nawet umyślnie odrzucając ją, żeby czym prędzej wchłonąć w nowe społeczeństwo. Ponieważ polskie sieroty nie miały wyboru przy opuszczeniu swego kraju, uważam, że to było przynajmniej częściowym powodem, dla którego z taką determinacją utrzymywały swoją polską kulturę w Nowej Zelandii.

Mój brat Krzyś i ja urodziliśmy się w Australii, gdzie moja matka poznała ojca niedługo po ukończeniu szkoły pielęgniarskiej w Nowej Zelandii. Tak w Brisbane, gdzie mieszkaliśmy dopóki nie ukończyłam 10 lat, jak i w Lower Hutt w Nowej Zelandii, dokąd przenieśliśmy się 1966 roku, żeby być bliżej rodzeństwa mojej matki, „polska wieś” miała na mnie głęboki wpływ. Gdy byłam jeszcze małą dziewczynką, polski był moim pierwszym językiem, tak, że prawdopodobnie matka sadzała nas przed telewizorem, żebyśmy się poduczili języka angielskiego przed pójściem do szkoły nowozelandzkiej.

Ponieważ przyjaciele rodziców byli wyłącznie Polakami, dni wolne spędzaliśmy z innymi Polakami. Chodziliśmy na polskie msze św., należeliśmy do harcerstwa polskiego w piątkowe wieczory w Brisbane, a potem w Nowej Zelandii do Polskiej Szkoły Sobotniej w Petone. Były również spotkania towarzyskie i uroczystości w Domu Polskim w Newtown, Wellington. To była jedna strona mego życia; drugą było uczęszczanie do szkoły katolickiej, gdzie wszystko było po angielsku. Te dwie strony były całkowicie odrębne, dopóki moja matka nie odezwała się do mnie po polsku w obecności moich szkolnych koleżanek.

Dzieci nie lubią być odmienne od rówieśników, a w 1966 roku uważano,

że nie było się „twardzielem” mając obce pochodzenie. Nie było wówczas jeszcze pojęcia o wielokulturowym społeczeństwie (które zmieniło oblicze społeczeństwa w Nowej Zelandii w późniejszych latach, po napływie fali imigrantów ze wszystkich stron świata). Tylko pochodzenie z Wysp Brytyjskich, czyli angielskie, szkockie czy irlandzkie uważano za normalne, ponieważ różnice między nimi były niewidoczne.

Pamiętam jak matka czekała z nami rano na przystanku autobusowym i moje dotkliwe zawstydzenie, gdy odezwała się do nas po polsku. Wolałam odejść nieco od moich koleżanek i odburknąć mamie albo odpowiedzieć jej po angielsku. Moja mama, widząc moje zawstydzenie, powiedziała – mów po polsku, – co, wstydzisz się być Polką? Oboje rodzice często mawiali, że znajomość dwóch języków jest plusem i że kiedyś to docenimy. Wówczas nie rozumiałam tego.

Gdy przenieśliśmy się do Nowej Zelandii w 1966 roku, byłam zdziwiona, że w naszej szkole były inne polskie dzieci. W mojej klasie było ich aż troje. Jesteś Polką? Ja też! – Było bezpieczniej w gromadzie. Po raz pierwszy mogłam mówić w szkole o nieznanym w tym kraju wigiliu, o pierogach albo o polskich akademiach, bo ktoś inny rozumiał, o czym mówię.

Lubiłam Polską Szkołkę Sobotnią, częściowo dlatego, że byłam w gronie innych dzieci, przez co było weselej. Ale była też strona ujemna. Nie mogłam z tego powodu brać udziału w sobotnich sportach, co było powodem pewnego uczucia urazu do polskiej kultury.

Narodziny mojej młodszej siostry były kolejnym przykładem, kiedy musiałam prostować i tłumaczyć, np. nie, ona nie nazywa się Dana, Diane czy Denise, że Danusia jest polskim imieniem bez żadnego odpowiednika w języku angielskim – ale to mały szczegół, bo byłam zachwycona, że miałam młodszą siostrzyczkę i przestałam być dzieciątkiem w rodzinie.

Jako nastolatka uczyłam się polskich tańców u pana Babczyszyna. Mimo że był bardzo wymagający, a ja nie miałam wrodzonego talentu, lubiłam tańce. Pamiętam jak przyglądałam się tancerzom z Koła Młodzieży Polskiej w Domu Polskim w Brisbane wykonującym poloneza. Pamiętam jak z zapartym tchem patrzyłam na młodą dziewczynę w pięknej sukni, sunącą jak księżniczka do rytmu statecznego poloneza.

Kiedy zdarzyła się okazja, skwapliwie skorzystałam i dołączyłam się do grupy tanecznej Koła Młodzieży Polskiej. Regularnie tańczyliśmy na uroczystościach w Domu Polskim. Ponieważ Nowozelandczycy zaczęli wówczas uświadamiać sobie, że ich społeczeństwo stawało się coraz bardziej wielokulturowe, występowaliśmy publicznie w Wellingtonie. Po kilku latach, gdy zabrakło nauczyciela tańca, niechętnie zgodziłam się na tymczasowe zastępstwo przez półtora roku. Mimo że czułam w sobie taneczny rytm i

kochałam muzykę poloneza, mazura czy krakowiaka, wolałam uprawiać sporty na boisku. Teraz rozumiem, że już wówczas czułam się dobrze w swoim poczuciu polskości, bo inaczej nie obchodziłoby mnie czy polskie tańce w Wellingtonie będą nadal istnieć.

Moi rodzice chcieliby, żebym wybrała sobie Polaka za męża, ale tak się nie stało. Tych, których spotkałam w Wellingtonie, poznałam tak dobrze, że byłoby to jak ożenek z bratem! Mój mąż John nie tylko przyjął moją polskość, ale wspaniale ją wspiera. Obyczaj jak opłatek wigilijny przyjął za swoje, tak jak również polski sposób witania się pocałunkiem.

Nie znaczy to, że panują w naszym domu tylko obyczaje polskie. Na rodzinnych spotkaniach nowozelandzkie potrawy figurują wraz z polskimi, kolędy śpiewamy po polsku i angielsku. To tylko dwa przykłady, które wskazują na porozumienie, jakie nastąpiło po przyjęciu obyczajów dwóch kultur nie tylko w rodzinie, ale i społeczeństwie polonijnym i nowozelandzkim.

Jestem dumna ze swojej polskiej spuścizny. Ale czy nasza czwórka dzieci czuje z nią jakąkolwiek więź? Z pewnością tak, choć nie każde do takiego samego stopnia. Najmłodsza Jennifer uczęszcza do Polskiej Szkoły Sobotniej, brała udział w Festiwalu Polskiej Sztuki (PolArt) w Sydney w 2003 roku z grupą taneczną Orlęta i planuje wyjazd na letnie kursy na Uniwersytecie Jagiellońskim po ukończeniu matury.



Grupka dzieci z drugiego pokolenia Polaków występowały na Akademii Trzeciego Maja w 2003 roku w Domu Polskim, Wellington.

Z tyłu od lewej: Konrad Mak, Holly Stephenson, Hanna Stephenson, Miriam Randall. **Z przodu od lewej:** Zosia Trask, Jennifer Hanson, Daniel Mak

Mimo że Anna, Stephanie i Krystyna mają inne plany, też uczęszczają do Polskiej Szkoły Sobotniej i należały do Orląt. Wszystkie nasze dzieci lubią polskie potrawy (każda ma swoje ulubione) i rozumieją, że na wigilię nie robi się innych planów.

Znajdują czas na pisanki w Wielki Piątek i oczekują na lany poniedziałek (a może w tym roku uda im się pierwszym oblać rodziców?). Nigdy nie wstydziły się swojej polskiej spuścizny i że są Nowozelandkami polskiego pochodzenia. Raczej odwrotnie, z poczuciem dumy włączały się w obchody polskiej kultury.

Od dzieciństwa zadawały swojej babci pytania, wykorzystywały jej opowiadania jako temat do swoich wypracowań i przemówień szkolnych. Wiedziały bowiem, że przeżycia jej i innych polskich sierot były nie tylko z ciekawością czytane i słuchane, ale wywoływały w ludziach wzruszenie.

Tak polska „wioska”, jak i nowozelandzka wywarły na mnie głęboki wpływ. Obydwie kształtowały moją osobowość. Konieczność dobrego wykształcenia była w domu i szkole podkreślana, a znajomość innego języka nigdy nie była mi przeszkodą. Obecnie, jako córka uchodźcy, uczę języka angielskiego innych uchodźców z różnych części świata ogarniętych wojną – czyli koło się zamknęło.

Dzisiaj żadna z tych dwóch „wiosek” nie jest taka, jaka była w latach mojego dorostania. W Nowej Zelandii zaszły wielkie zmiany w poglądach od czasu przybycia tu pierwszych dzieci uchodźców w 1944 roku. Nie tylko, że ludzie pogodzili się z obecnością w ich kraju różnych odmiennych dziedzictw kulturowych, ale i chlubią się istnieniem tych różnic.

W Polonii również zaszły wielkie zmiany – w dużej mierze nastąpiło zmieszanie się z tutejszą ludnością. Moim dzieciom może będzie łatwiej obnosić się ze swoją polskością niż nam, ale ta polskość będzie mniej dla nich znacząca. Ciekawa jestem, jaki wpływ polskość będzie wywierała na moje wnuki.

Odwiedziłam kraj przodków

Elizabeth Jarka
córka Jana Jarki

Gdy dorastałam, wiedziałam, że mój ojciec jest Polakiem. Zawsze rozmawiał po polsku przez telefon ze swoimi polskimi znajomymi. Moi przyjaciele twierdzili, że miał on twardy akcent, gdy mówił po angielsku.

Spędzaliśmy wiele czasu w Domu Polskim w Auckland, zwłaszcza podczas budowy nowego ośrodka dla Polaków w latach 70-tych i w okresie, w którym ojciec należał do zespołu polskich tańców ludowych. Przestałam przebywać z Polakami, gdy zostałam nastolatką i związałam się z grupą młodzieżową w naszej parafii.

Ojciec niewiele mówił o swoich ciężkich przeżyciach podczas II wojny światowej i podróży do Nowej Zelandii. Zrozumiałam go lepiej po przeczytaniu książki Krystyny Skwarko *Zaproszeni*. Trudno mi było uwierzyć, że ci ludzie przeszli takie piekło, zanim przybyli do Nowej Zelandii. Żałuję, że ojciec nie rozmawiał z nami po polsku, gdy z siostrą i bratem byliśmy jeszcze mali. Zaczęłam się uczyć języka polskiego kilka lat temu, ale muszę przyznać, że daleko z tym nie zaszłam. Niestety, brak znajomości tego języka wstrzymywał mnie od odwiedzenia ojca krewnych w Polsce, podczas mojej podróży w 1993 roku. Wysłałam im kartkę po angielsku, zawiadamiając, że jestem w Polsce, z nadzieją, że znajdzie się ktoś z młodszego pokolenia i przetłumaczy ją rodzinie.

Mówiono mi, że większość młodych ludzi w Polsce uczy się języka angielskiego, ale napotkałam niewielu, którzy mnie rozumieli. Spotkałam angielską parę małżeńską, turystów, z którymi zwiedzałam kraj. Byliśmy w Wieliczce i na spływie Dunajcem.

Zwiedziliśmy też niemiecki obóz koncentracyjny w Auschwitz. Słyszałam o nim wcześniej, czytałam książki i oglądałam programy telewizyjne, ale żadne z nich nie przygotowały mnie na okropności, które tam widziałam. To było straszne.

Mam jeszcze przed oczyma stosy tysięcy protez, okularów, walizek, szczotek i grzebieni i nie mogłam sobie wyobrazić, że to należało kiedyś do poszczególnych ludzi, których zabito bez powodu. Byłam głęboko wzruszona bukietami kwiatów, które przypuszczalnie zostawili krewni tych ofiar. Mówiono mi kiedyś, że ptaki nie śpiewają w Auschwitz i to chyba jest prawda. Cisza pełna grozy wisiała nad obozem, a zwiedzający rozmawiali szeptem lub milczeli.

Podróżowałam samochodem ze wschodnich Niemiec w stronę Krakowa i Zakopanego. Wygląd miast i wsi był przygnębiający. Odnosiłam wrażenie, że wojna dopiero się skończyła a nie 49 lat temu. Budynki ponure, malowane na szaro lub koloru szarozielonego, ulice wyboiste, niekiedy bez chodników.

Ale krajobraz piękny i gospodarstwa wiejskie bardzo dobrze utrzymane. Wiele z nich miało kapliczki wbudowane w ściany domów, a ogródki były pełne pięknych kwiatów. Byłam zachwycona obfitością wysokich słoneczników – od tej pory są one dla mnie czymś więcej niż zwykłymi kwiatami.

Po pobycie w Polsce zrozumiałam, że istnieją różnice kulturowe między Polakami a mną. Czułam się bogata w porównaniu z większością ludzi, których spotkałam, bo mogłam sobie pozwolić na zakup wielu więcej rzeczy. Kupowałam bursztyny na rynku, wiedząc, że sprzedający muszą utrzymywać swoje rodziny z tej sprzedaży. Zagraniczne towary zaczęły się pokazywać na półkach i młodzież kupowała amerykańskie przeboje. Wszyscy ludzie byli uprzejmi i pomocni mimo bariery językowej. W Zakopanem biuro podróży wychodziło ze skóry, żeby mój pobyt był udany.

Mam nadzieję, że odwiedzę Polskę raz jeszcze, tym razem z moim ojcem, żeby spotkać się z moimi krewnymi i zobaczyć jak im się żyje. Mój ojciec zdaje sobie sprawę, że ma szczęście mieszkając w Nowej Zelandii, ale nigdy nie zapomniał swojej ojczyzny. Jestem przekonana, że chciałby, żeby jego rodzina, tu urodzona, lepiej rozumiała kulturę jego przodków.

Koło Polskiej Młodzieży

Bela Jones

córka Piotra i Aliny Przychodźko (Piątkowska)

Od wczesnego dzieciństwa zdawałam sobie sprawę, że pochodzenie naszej rodziny różniło się od przeciętnej rodziny nowozelandzkiej. Słuchając jak ojciec rozmawiał przez telefon, usłyszałam jak powiedział, że wie, co to jest głód, że nie chce, żeby jego dzieci przez to przeszły i że dopóki żyje nie dopuści do tego. Jego życzenie się sprawdziło – chyba dlatego zawsze miałam nadwagę!

W późniejszych latach ojciec mówił żebyśmy byli świadomi, że z powodu naszego pochodzenia i obcego nazwiska, nie zawsze otrzymamy w życiu to, czego pragniemy. Muszę stwierdzić z przykrością, że to właśnie przydarzyło się mojemu starszemu bratu, gdy służył w wojsku nowozelandzkim, i młodszemu, gdy chodził do szkoły. Natomiast nasze pochodzenie nie sprawiało kłopotu mnie i mojej siostrze, dlatego może, że jesteśmy kobietami.

Raczej było to dla nas dziewcząt korzystne, bo moje nazwisko zawsze się wyróżniało i było tematem do rozmów, takich jak – „jak wymawia się twoje nazwisko?”. Lub – „skąd tyle samogłosek w twoim nazwisku?”. Ludzie pytali o moją narodowość, a ja z dumą mówiłam, że jestem Polką. Później ludzie, dowiedziawszy się, że moi rodzice pochodzą z Obozu Polskich Dzieci w Pahiatua, przypominali sobie przyjazd tych dzieci do Nowej Zelandii. Mówili: „pamiętam przyjazd polskich dzieci – mimo że przeżyli tak ciężką wędrówkę, wyrosli na porządnym ludzi”.

Miałam z tym tylko jeden problem w szkole. Wszyscy nauczyciele, gdy przyszło do sprawdzania listy obecnych, wywoływali mnie zmyślanym, łatwym dla nich angielskim nazwiskiem, takim jak „Smith” lub „Jones”, nigdy nie trudząc się, żeby wymówić moje nazwisko prawidłowo. Zdawałoby się, że będąc nauczycielami winni zadać sobie ten trud. Żartowali, że kiedyś wyjdę za mąż za mężczyznę z nazwiskiem Smith lub Jones. W tym jednym mieli rację, bo ostatecznie wyszłam za Jonesa.

Nasza rodzina, tak jak rodziny innych polskich dzieci tu urodzonych, była wychowana na pięknych polskich tradycjach i polskiej kuchni, którą moi rodzice odziedziczyli z Polski. wigilie były wspaniałe – otwieranie prezentów dzień wcześniej czy malowanie pisanek wielkanocnych. Nie narzekaliśmy na chodzenie na polskie nabożeństwa związane z tymi świętami, bo tam mogliśmy się spotkać ze swoimi polskimi rówieśnikami i usłyszeć, co u innych się dzieje. Nasi rodzice wpajali w nas dumę z naszego pochodzenia,

którą nosimy po dziś dzień. Ale dopiero, gdy miałam 18 lat (1980 rok) zrozumiałam jak wiele moich rówieśników ma podobne pochodzenie. Stało się to podczas podróży autobusem z ojcem i grupą ludzi, którzy jechali z Wellingtonu do Auckland na występy z jasełkami na Boże Narodzenie dla tamtejszej Polonii. W drodze powrotnej dowiedziałam się, że istnieje Koło Polskiej Młodzieży, do której należą młodzi tu urodzeni. Wyglądało na to, że będzie tam przyjemnie i postanowiłam przyłączyć się do nich. Była to najlepsza decyzja, jaką powzięłam.

Ponieważ moje pokolenie, tu urodzone, już dorastało i miało za sobą dzieciństwo w środowisku polskich rodzin, sądziłam, że nadszedł czas obcowania z młodymi ludźmi, którzy przeszli podobne dzieciństwo i którzy przez to lepiej nawzajem się rozumieją. Odnaleźliśmy wspólne więzy, które nas łączą do dziś. Wstąpiłam do Koła Polskiej Młodzieży u szczytu jego rozwoju.

Koło było formalną organizacją z prezesem, wiceprezesem, skarbnikiem, sekretarzem i członkami komitetu. Organizowaliśmy spotkania członków Koła dla oglądania filmów z kaset, potańcówek, piłki nożnej, siatkówki i innego rodzaju sportów i zabaw. Tu zapewniam może zmarwionych rodziców, że nie było narkotyków i że alkohol spożywaliśmy z umiarem – nie był koniecznym warunkiem dobrej zabawy, po prostu cieszyliśmy się swoim towarzystwem.

Ukoronowaniem każdego roku były wspólne zjazdy polskiej młodzieży z Wellingtonu i Auckland. Młodzież z Auckland zaczęła naśladować naszą rosnącą organizację w Wellingtonie. Padło koleżeńskie wyzwanie. Jednego roku jechaliśmy do Auckland, a w następnym roku oni przyjeżdżali do nas. Podczas tych zjazdów wszyscy byli zakwaterowani u polskich rodzin. Cała sobota i niedziela były wypełnione piłką nożną, siatkówką i koszykówką. Czyli rywalizacja dwóch miast na całego.

Na zakończenie zjazdu, w niedzielę wieczorem, zawsze urządaliśmy zabawę w Domu Polskim danego miasta. Wówczas odbywała się oczekiwana ceremonia wręczania pucharu dla Koła, które wygrało najwięcej zawodów. Ponieważ my, wellingtonczycy, mieliśmy oczywiście lepszych zawodników (i to bez szachrowania!), na pucharze można odczytać, że z tego powodu Wellington wygrywał o wiele częściej niż Auckland i takim właśnie wynikiem kończy się ostatni zapis na pucharze.

Nasze spotkania cieszyły się takim powodzeniem, że stało się to, co było nieuniknione. Powstały długotrwałe romanse między młodzieżą na zjazdach, nawet moja młodsza siostra w to wpadła. Niektóre kończyły się małżeństwem.

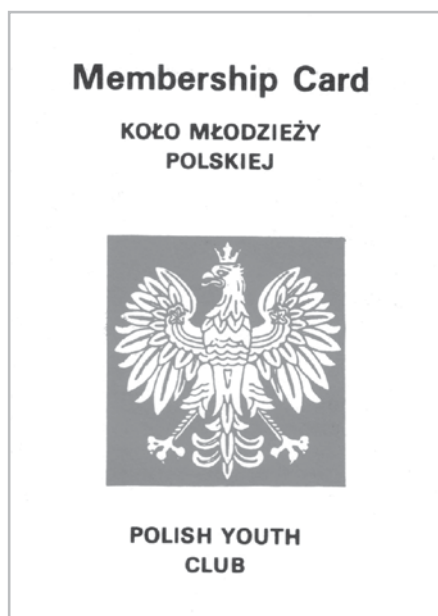
W tym czasie przyjechał do Nowej Zelandii Jacek Śliwiński, nauczyciel tańca z Polski, wraz z żoną Anią. Stworzył on grupę tańców ludowych „Lublin”, do

której niektórzy z nas się zapisali. Występy naszej grupy tanecznej były dla nas dodatkową nauką o naszej polskiej spuściznie.

Na próbach i występach było bardzo towarzysko. Ćwiczyliśmy raz w tygodniu, a potem często występowaliśmy w Domu Polskim w Wellingtonie, wyjeżdżaliśmy w teren, a raz występowaliśmy w Australii na polskim festiwalu pieśni i tańca PolArt. Zbieraliśmy fundusze na materiał, na stroje, a nasze wspaniałe matki godzinami je szyły. Wykończone stroje, w których ubrani byli tancerze, olśniewały widzów. Niezwykły widok wśród obcego otoczenia w obcym kraju – polskie tańce w prawdziwych polskich strojach. Z czasem grupa taneczna zmniejszyła się, gdy młodzież dorastała i rozjeżdżała się.

Po latach wskrzesiliśmy grupę taneczną, żeby wystąpić na zjeździe z okazji 50-tej rocznicy przybycia polskich dzieci, naszych rodziców, do Nowej Zelandii. Zjazd odbył się w miasteczku Pahiatua. Byliśmy już starsi i teraz więcej docenialiśmy to, co nam dał Jacek Śliwiński – tym razem było mu łatwiej z nami.

Miałam zaszczyt być wybraną na członka komitetu Koła Polskiej Młodzieży, w którym dwa lata byłam sekretarzem, a w trzecim roku zostałam prezesem. Organizowałam przynajmniej jedno spotkanie w miesiącu, na które wszyscy



Legitymacja członkowska Koła
Młodzieży Polskiej

mogli przyjść. Nie było trudno zebrać ludzi, bo rok mieliśmy wypełniony zajęciami. Gdy Koło rosło w siłę, nasze spotkania odbywały się prawie co dwa tygodnie, a w pozostałe zawsze zbierały się mniejsze grupy w mieszkaniach członków.

W jednym roku zaplanowaliśmy dodatkowe zajęcia. Zorganizowaliśmy wycieczkę na narty, na które musieliśmy zbierać fundusze przez urządzenie dodatkowych imprez. Zaczęliśmy od przygotowania kolacji i podawania do stołu na balu sylwestrowym w Domu Polskim. Niektórzy chłopcy założyli tymczasowy zespół muzyki rockowej i przygrywali na balu. Szkoda, że się od razu rozwiązali, bo naprawdę wypadli świetnie.

Każdy z członków, który przyszedł na ten bal, miał obowiązek przynajmniej przez jedną godzinę pomagać w kuchni, według dyżurów ustalonych przeze mnie – nie sędzę, że byłam zbyt sroga! Ten bal udał się dzięki rzetelnemu wysiłkowi młodzieży, a nasze finanse wzrosły zadowalająco. Zbieraliśmy pieniądze też innymi sposobami, takimi jak: zbieranie pustych butelek, zabawy w przebierańców, zwykłe potańcówki, oglądanie kaset wideo i wieczorki w kasynie. Nazbieraliśmy wystarczająco na tę zaplanowaną wycieczkę na narty na zboczach wulkanu *Ruapehu*. Bawiliśmy się wspaniale i szczęśliwie nikt nie złamał nogi.

Ciężko pracujący komitet tego samego roku zdecydował obarczyć się dodatkową pracą. Zaproponowaliśmy naszym kolegom i koleżankom z Auckland, żeby nasz wspólny zjazd odbywał się dwa razy do roku, raz na święto miasta Wellington, a drugi w następnym tygodniu, czyli na święto miasta Auckland. Tak się stało i wynik był „pierwsza klasa”. Obie strony kosztowało to wiele pracy, ale było warto, choć wynik zawodów zakończył się prawdopodobnie remisem.

Był to też rok zbiórki żywności dla Polski, która na początku lat 1980-tych, podczas stanu wojennego, przechodziła kryzys żywnościowy. Zbiórkę organizowało Stowarzyszenie Polaków w Nowej Zelandii. Koło Młodzieży, rozumiejąc, że ma obowiązek przyczynić się do tej akcji, zorganizowało 24-godzinną (bez przerwy) turę sportów, na terenie gimnazjum w Lower Hutt. Sponsorowali nas przy tym nasi koledzy szkolni, przyjaciele i rodziny. Ciężko napociliśmy się przez te 24 godziny.

Pamiętam obiad przygotowany przez niektóre matki na zakończenie tego maratonu. Mam przed oczyma jednego z naszych członków (nie wymieniam nazwiska z grzeczności), który zjadł całą tacę ziemniaków upieczonych przez moją mamę. Zebrane pieniądze wręczyliśmy Komitetowi Zbiórki Żywności dla Polski. Z dumą przyjęliśmy ich podziękowania.

Ten pamiętny rok był drogowskazem w poczynaniach naszych dwóch Kół, bo wielu z nas kończyło 21-szy rok życia (wiek osiągnięcia dojrzałości), tak,

że gromadnie obchodziliśmy urodziny prawie każdego miesiąca. Wymagało to częstych podróży między Wellingtonem a Auckland. Przyszła i na mnie kolej tego roku. Naliczyłam 11 takich imprez. Nie wytrzymałam i zapytałam rodziców, co się takiego działo 21 lat temu. Do dziś nie otrzymałam na to odpowiedzi!

Niestety nasze Koła z czasem powoli topniały w miarę jak przybywało nam lat, wyjeżdżaliśmy do krajów zamorskich dla zdobycia doświadczenia w szerokim świecie lub wstępowaliśmy w związki małżeńskie i zakładaliśmy własne rodziny. Wielu naszych byłych członków brało aktywny udział w pracy społecznej przy boku Stowarzyszenia Polaków obu środowisk, w Wellingtonie i Auckland. Stopniowo dzieci naszych członków w drugim pokoleniu uczą się od swoich z kolei rodziców polskich tradycji i też będą



Polki z pierwszego pokolenia z ich nowozelandzkimi mężami, którzy też należeli do zespołu tańców ludowych „Lublin” – w Pahiatua, na obchodach 50-tej rocznicy przybycia polskich dzieci do Nowej Zelandii.

Od lewej: Bela Jones (Przychodźko) i Peter Jones; Paul Jones i Adela Jones (Wypych)

dumne ze swojej spuścizny. Może wówczas one same, gdy dorosną, wznowią Koło Polskiej Młodzieży i „koło znowu się potoczy”.

Myślę, że mówię w imieniu wszystkich byłych naszych członków w Wellingtonie i Auckland, że ten okres życia był najbardziej przyjemny w naszym życiu i nigdy go nie zapomnimy. Mieliliśmy wówczas wszystko, co można było sobie życzyć w młodości. Towarzystwo w młodzieżowym gronie, miejsce na spotkania, możliwość porozmawiania z rówieśnikami (którzy nas rozumieli, ponieważ przeszli to samo, co my) oraz doświadczenie i podróże w Nowej Zelandii i za morzem.

Niektórzy mieli szczęście napotkać ulubioną osobę, ale wszystkich łączyły więzy przyjaźni. Nowozelandzcy przyjaciele członków Koła czasami przyłączali się do naszych poczyną. Twierdzili, że chcieliby sami należeć do jakiejś grupy kulturowej, tak zwartej i uspołecznionej jak nasza.

Przyznam, że takiej przyjaźni i przeżyć, jakie dzieliłam wówczas z innymi, nie zaznałam więcej w życiu. Był to cudowny i szczególnie okres, który zawsze będę nosić w sercu.

Więc co nam pozostało? Nasi rodzice organizowali zjazdy już od 25-tej rocznicy swojego przyjazdu do Nowej Zelandii. Pamiętam to jako mała dziewczynka. Jeżeli pamięć mnie nie myli, nasze wspaniałe Koło Młodzieży zawiązało się jakieś 23-24 lata temu. Więc należałoby przypuszczać, że nasz zjazd winien odbyć się za rok lub dwa?

Dedykuję niniejszy artykuł pamięci mego ojca, Piotra Przychodźko, którego jest nam brak coraz bardziej. Mam nadzieję, że te kilka moich wspomnień przyczyni się do zachowania pamięci o nim. Gdyby jeszcze był z nami, wiem, że brałby czynny udział w wydaniu tej książki i dziękuję wszystkim tym, którzy ciężko pracowali nad jej wydaniem. Zostanie ona wspaniałym pomnikiem dla nas, pierwszego, urodzonego tu pokolenia, który możemy wziąć do ręki i który będzie służył jako podręcznik dla przyszłych pokoleń Polaków tu i w Polsce.

Utrzymywanie wartości

*Ed Juchnowicz
syn Wacława i Felicji Juchnowicz (Nadolska)*

Gdy byłem dzieckiem, nasze życie rodzinne obracało się wokół kościoła. Należeliśmy do swojej parafii, ale na większe święta, takie jak Boże Narodzenie i Wielkanoc, uczęszczaliśmy na uroczyste polskie nabożeństwa do katedry św. Marii albo do kościoła św. Joachima w Wellingtonie. Były to dla nas okazje do spotkania się z naszymi krewnymi i znajomymi, po czym zazwyczaj szliśmy do ich domów na suty obiad i spokojnie spędzone popołudnie.

Pamiętam, że wizyty u naszych krewnych i znajomych i ich u nas odbywały się często. Okazji nie brakowało. Zawsze były czyjeś urodziny, chrzciny lub Pierwsza Komunia. Jako dzieci obracaliśmy się też w polonijnym kręgu ludzi dorosłych, którzy z chęcią zastępowali nam dziadków. W tym zwartym polskim otoczeniu nie było łatwo nam dzieciom zorientować się, kto był naszym prawdziwym krewnym. Starsi czasami stawali się naszymi opiekunami, organizowali nam różne rozrywki, takie jak np. wycieczki na ryby.

Pora wakacyjna była stosowną okazją do dłuższych rodzinnych wypraw. Wyjazdy do zmotoryzowanych obozów nad jezioro Taupo i na plażę do Waitarere umożliwiały pobyt i odpoczynek nad wodą. Pewnego razu objechaliśmy gromadnie całą Wyspę Południową z naszym wujkiem, ciocią i ich dziećmi. Mimo deszczów i śniegu tego nietypowego lata wycieczka w gronie rodzinnym, z przygodami, była udana.

Za moich młodych lat Dom Polski w Wellingtonie był dla mnie głównym punktem polskiej kultury. Tam chodziliśmy na wspólne obiady z okazji Dnia Matki, tam uczęszczaliśmy na filmy lub kiermasze. Koło Polskiej Młodzieży organizowało potańcówki i spotkania. Gdy dorastałem, miałem mniej okazji do spotykania się z moimi rówieśnikami pochodzenia polskiego, bo studia i praca pochłaniały coraz więcej mojego czasu.

Wpływy rodzinne kładły nacisk na naukę, wartości religijne, konieczność pracy, nie marnowanie czasu, samodzielność i osobiste włączenie się do każdego wyzwania. Żeby nie zmarnować życia próżnowaniem, każda wolna chwila musiała być wykorzystana – na jazdę rowerem czy spacer po okolicznych górach lub zbudowanie domku na drzewie na naszej działce. Później wolny czas wypełniałem zainteresowaniami technicznymi, takimi jak elektronika i fotografika, w związku z tym zbudowaliśmy ciemnię w piwnicy.

Po założeniu własnej rodziny dawałem swoim dzieciom takie same

wskazówki. Chodzimy na mszę św. w niedzielę, potem na śniadanie do moich rodziców. W miarę jak moje dzieci dorastają i chcą być samodzielne mają wybór między obcowaniem z rodzicami, a towarzystwem swoich rówieśników. Wybierają to drugie, zwłaszcza, kiedy mogą spotykać się w parafialnym gronie młodzieżowym.

Nauka stała się ważnym czynnikiem w ich życiu. Pobierają dodatkowe lekcje wymowy, dramaturgii, muzyki i bębnow oraz dokształcają się ze szkolnych przedmiotów (matematyka lub język angielski). Lubią różne inne zajęcia, takie jak: sport, jazda konno, narty i harcerstwo. Kupiliśmy łódź, którą wypływaliśmy na ryby i narty wodne w okresie wakacji. Przyłączali się do nas nasi przyjaciele.

Moje życie w dobrym, rodzinnym otoczeniu toczyło się jak u moich rówieśników, ale polskie pochodzenie nadawało memu życiu ciekawszy rozmiar. Miałem okazję w latach 1980-tych dwa razy odwiedzić Polskę i spotkać się w Sopocie z moimi krewnymi. Z wielką radością oglądałem w polskiej telewizji nadawany program o zespole tanecznym Maorysów z miasteczka Patea w Nowej Zelandii, zwłaszcza, że sam tam często odwiedzałem starszych znajomych moich rodziców, czyli przybranych dziadków.

Jednym z powodów moich podróży do Polski była chęć zaspokojenia ciekawości o kraju, który moi rodzice opuścili tak dawno temu. W niektórych wiejskich miejscowościach czas jak gdyby się zatrzymał (lata 1980-te), mogłem więc porównać życie tych ludzi z Polakami, których znałem w Nowej Zelandii. Widziałem też dowody zniszczenia wojennego oraz wysiłki polskiego narodu w odbudowie swego kraju. Ciekawy jestem, jakie zmiany napotkam podczas mojej następnej podróży do Polski.

Wielopokoleniowa rodzina

*Tereska Kozera i Veronika Mak
córkę Zdzisława Kozery*

Nasi rodzice pochodzą z Polski i Anglii. Gdy byliśmy dziećmi, zawsze czułyśmy mocne więzy z polską spuścizną naszego ojca. W domu w Stokes Valley, Lower Hutt mieszkał z nami nasz dziadzia, były żołnierz Armii Andersa, więc polski był drugim językiem w naszej rodzinie.

Mieliśmy rodzicom wówczas za złe, że nas posyłali do polskiej sobotniej szkółki, ale był to dobry sposób na wciągnięcie nas pod wpływ polskiej kultury. W 1976 roku miałyśmy szczęście odwiedzić krewnych w Polsce (Będzin i Prudnik), gdzie odczułyśmy głębię polskiej historii i wewnętrzną siłę polskiego narodu.

Doroczna polska majówka na obszernym terenie gimnazjum św. Patryka w Silverstream, niedaleko Wellingtonu, była zawsze wydarzeniem nie do przepuszczenia – cisną się wspomnienia tych wszystkich rodzin, spacerów od grupki do grupki, pływanie w basenie, oglądanie dziecięcych wyścigów i spożywanie polskich smakołyków. Gdy założyłyśmy swoje rodziny, wprowadziłyśmy nasze dzieci w to środowisko.

Gdy byliśmy w wieku gimnazjalnym, Koło Młodzieży Polskiej dało nam możliwość utrzymania łączności z naszymi polskimi przyjaciółmi. Zawsze czułyśmy przynależność do tej grupy. Mając świadomość, że ponad 90% Polaków jest katolikami, patrząc wstecz rozumiemy, dlaczego nasze więzy z polskimi nabożeństwami były silniejsze od nowozelandzkich nabożeństw. Uważamy, że najprawdopodobniej odeszłybyśmy od Kościoła, gdyby nie nasze polskie więzy.

Udział w polskich tańcach ludowych był przez wiele lat ważnym czynnikiem w naszej młodości. Czułyśmy się dumne, że należymy do tej kultury. Nasz udział taneczny w obchodach 50-lecia przybycia dzieci polskich do Nowej Zelandii był dla zespołu szczególnie przeżyciem, uczczeniem polskiej historii.

Mimo że jesteśmy tylko na pół Polkami, nikt w Polonii nie uważał nas za obce. Wiemy, że społeczeństwo polskie podziwiała naszą matkę-Angielkę Hazel za wychowanie dzieci w szacunku dla polskiej tradycji i kultury. Jest to bardzo miłe uczucie, gdy wchodzimy do Domu Polskiego i jesteśmy witane przez ludzi, których mało znamy, ale którzy przypuszczalnie nas znają dzięki naszym rodzicom i dziadkom. Cóż za wspaniałe uczucie przynależności!

Żyję w dwóch kulturach

Terenia Krystman-Turski
córka Czesław Krystman (Szach)

Dzieje moich rodziców i ich wojenne doświadczenia bardzo wpłynęły na moje życie. Moja matka była jedną z polskich dzieci z obozu w Pahiatua. Mój ojciec, Tadeusz Krystman, był również zesłany na Sybir. Po amnestii wstąpił do II Korpusu Wojska Polskiego i walczył pod Monte Cassino. Po demobilizacji w Anglii przybył do Nowej Zelandii.

Rodzice pobrali się w 1950 roku i osiedlili w Hamilton. Jako ich pierworodne dziecko należą do pierwszego pokolenia dzieci, które nie wiedzą czy są Nowozelandczykami, czy Polakami. Każdego dnia żyłam w dwóch kulturach. Moją pierwszą mową był język polski. Odróżniałam się w szkole od innych dzieci, nosząc grube pończochy zamiast skarpet, a w torbie szkolnej obiad z polskiej kuchni – potrawy obce dla innych dzieci, takie jak np. kiełbasa, której zapachu te dzieci nie znosiły. Przyjaciół żadnych nie miałam, bo nie byłam zapraszana przez dzieci do ich domów – ich rodzice niechętnie przyjmowali obcokrajowców. Moja matka też nie chodziła do sąsiadek na herbatkę.

Przybycie ojca pod bramę szkoły i jego mowa z twardym akcentem polskim tylko podkreślało moją odrębność. Pamiętam wyraźnie, że nie czułam się tym zawstydzona, ale byłam bardzo osamotniona w otoczeniu, które nie miało nic polskiego w sobie.

W latach 50-tych polskie rodziny w wolnych chwilach spotykały się ze sobą. Po mszy św. w niedziele Polacy zatrzymywali się pod kościołem godzinami, rozmawiając i wymieniając wiadomości o sprawach dotyczących ich nielicznej polskiej wspólnoty, natomiast nowozelandzcy wierni ulatniali się do swoich domów zaraz po nabożeństwie. Okazje takie jak chrzciny były gromadnie obchodzone, bo zapraszanie wszystkich Polaków było przyjętym zwyczajem. Nie wypadało nikogo pominąć, bo Polonia w naszym mieście była niewielka.

Ponieważ takie przyjęcia miały wybitnie polski charakter, jeśli chodzi o potrawy, muzykę i rozmowy, uważano za niestosowne zapraszanie Nowozelandczyków, którzy czuliby się obco, nieswojo. W tym bezpiecznym, bo swojskim środowisku, Polacy mogli dowoli wspominać swoją utraconą ojczyznę (nie obyło się u niektórych bez łez), wiedząc, że słuchacze rozumieją ich, bo sami przeżyli podobne losy.

Nie obywało się bez polskich śpiewów ludowych, które przeważnie kończyły się wzruszającym śpiewem pieśni patriotycznych. Nikt wówczas

nie ukrywał swoich uczuć. Dorośli mężczyźni, zazwyczaj uchodzący za twardych ludzi, płakali bez zażenowania, gdy wspominali swoich kolegów poległych na polach walki i matki, które zostały w tłoku na którejś stacji w Rosji lub członka rodziny umierającego bez pomocy i leków.

Spotkanie grupy Polaków niemal zawsze wypełnione było politykowaniem. Takie rozmowy były raczej emocjonalne, mówiono na temat Winstona Churchilla, Franklina Roosevelta, Józefa Stalina, ich zdrady w Jałcie. Mówiono też o Sybirze, generale Władysławie Sikorskim, Monte Cassino oraz utraconych rodzinach. Tylko bardzo odważny wyraziłby przychylne słowo o komunistach – w latach 50-tych pamięć tamtych zdarzeń była jeszcze bardzo świeża. Mimo to ludzie ci potrafili z wielkim zapałem śpiewać pieśni rosyjskie. Zapytani odpowiadali, że zwykły Rosjanin był w porządku – to ich system polityczny był podły.

Pamiętam rozmowę o murze berlińskim, tak jak gdyby ten mur miał powstać na głównej ulicy naszego miasta Hamilton. Kryzys kubański wskrzesił głęboko wrytą obawę przed wszystkim, co związane z Rosją Sowiecką. Niektórzy spośród Polaków zaczęli gromadzić zapasy suchej żywności.

Nowozelandczycy byli zazwyczaj życzliwie nastawieni, uprzejmi i gościnni względem uchodźców, którzy osiedlili się w małych grupkach po całym kraju. Nie byli jednak w stanie w pełni zrozumieć obaw, nieustępliwych poglądów politycznych oraz poczucia zagubienia tych ludzi – przecież wojna już dawno i zdecydowanie zakończyła się. Jak mógł Nowozelandczyk zrozumieć czekanie na rodzica, zagubionego w Rosji, który już się nie odnalazł? Trzeba jednak przyznać, że ci polscy wygnańcy doceniali kraj ich osiedlenia, czując wdzięczność za poczucie bezpieczeństwa, pozwalające im rozpocząć nowe życie.

Wspomniałam, że pochodzenie moich rodziców i ich przeżycia podczas wojny miały na mnie wielki wpływ. Miało to skutki nie tylko uczuciowe, zaważyło też na mojej pracy naukowej. Podjęłam studia społeczno-polityczne na uniwersytecie, zwracając szczególną uwagę na okres historii dotyczący moich rodziców, czyli II wojny światowej. Wiele tematów o wojnie nie było mi obcych dzięki licznym dyskusjom politycznym zasłyszanim przez lata w domu rodzinnym. Czułam wówczas, że mój ojciec musiał znać Stalina osobiście, bo mówił basem kiedykolwiek wspominał wypowiedzi tego człowieka.

Znajomość języka polskiego nie tylko pomogła w mojej pracy naukowej, ale też wprowadziła mnie w kulturę bogatą w ludowe poczucie humoru, politycznej satyry i świadomości historycznej, z domieszką symbolizmu religijnego. Wiele moich prac oparłam na ogólnej wiedzy wyniesionej z domu rodzinnego.

Podczas gdy student nowozelandzki musiał wyczytywać z książek o takich rzeczach jak picie słodkiej herbaty w Rosji, noszenie złotych monet dla ozdoby przez dziewczęta w Iranie, mięso ukrywane na brzegach rzeki, o zachowaniu się rosyjskich stróżów, o nauczycielach i nadzorcach w obozach przymusowej pracy, o osobistych rzeczach wymienianych na mleko, potrzebne dla konających braci i sióstr, o rodzeństwie cierpiącym z braku środków do mycia, o kawałeczkach węgla wrośniętych pod ich skórę – wszystko to rozpoznawałam jako część przeżytego doświadczenia moich rodziców i znajomych.

Wiem z pewnością z własnego doświadczenia jako Nowozelandka z pierwszego pokolenia, mająca rodziców Polaków-wygnańców na obczyźnie, że przeszłość u uchodźców pozostaje z nimi do końca życia i zawsze będzie dla nich istotna. Może się trochę zatrze z czasem, ale ta przeszłość ustawicznie powraca w ich rozmowach, zachowaniu i czasami w chwilowym zamyśleniu, gdy wzrok jakby sięgał w dal, zadumany i często smutny.

Dzieci-wygnańcy nauczyli się przetrwać doświadczenia i wspomnienia tych gwałtownych i nieobliczalnych czasów, nawet pozwalając sobie na żarty z niektórych wspomnień. Natomiast są to właśnie te doświadczenia życiowe, które odróżniają ich jako wyjątkową grupę ludzi w Nowej Zelandii.

Przedsiębiorczy duch

Isabella Kuczma
córka Stanisławy Pietkiewicz (Domańska)

Mój brat Andrzej i ja mieliśmy wspaniałe dzieciństwo w Nowej Zelandii, mieszkając w różnych miastach Wyspy Północnej tam, gdzie ojciec pracował przy elektrowniach wodnych. W 1960 roku osiedliliśmy się w Wellingtonie, gdzie z przyjemnością spotykaliśmy dzieci z podobną przeszłością.

Lubiłam polską szkołę sobotnią, w której uczyła moja mama, inne starsze „pahiatulskie” dziewczęta oraz byli oficerowie z Polskiej Armii. Polski język i tradycje były bardzo ważne dla ich poczucia wiary w siebie, którą chcieli przekazać swoim dzieciom. Wszyscy pragnęliśmy niepodległej Polski.

Byłe dzieci z Pahiatua i ich małżonkowie, przeważnie byli wojskowi, stanowili podstawę Polonii w Wellingtonie. Pracowali ciężko nad zakupem pierwszego Domu Polskiego przy ulicy Kenwyn Terrace w dzielnicy Newtown, a potem nad gruntownym przerabianiem starej piekarni na obszerny, przytulny i funkcjonalny ośrodek – siedzibę Stowarzyszenia Polaków. Miejmy nadzieję, że pionierski i przedsiębiorczy duch, wraz z silnym patriotyzmem, który spowodował poczucie samodzielności u tych ludzi, udzielać się będzie młodszemu pokoleniu pochodzenia polskiego.

Moja mama była bardzo czynna w sprawach Polonii wellingtonskiej, należała do założycielek Koła Polek w ramach Stowarzyszenia Polaków. Najszczytniejszą jej chwilą było spotkanie z kardynałem Karolem Wojtyłą w Wellingtonie przed jego wyborem na papieża późniejszego Jana Pawła II. Wiem, że mama była bardzo szczęśliwa, że pozostała w Nowej Zelandii i że dzieci z Pahiatua pozostały jej rodziną, a następnie naszą.

Mój brat i ja osiedliliśmy się w Australii. Andrzej pracuje jako analityk strategiczny dla Federalnego Rządu i ożenił się z Polką, Urszulą, która uczy w Polskiej Szkole Belconnen. Mam błogosławione życie – lubię swoją pracę na pół etatu w aptece i pomagać mojemu mężowi, Kazikowi, urodzonemu w Australii, który jest bardzo zajęty swoją pracą architekta. Nasze dzieci-nastolatki pamiętają i kochają wspólne chwile spędzone z dziadkiem i babcią, którzy corocznie przebywali 6 miesięcy w Australii, żeby być bliżej rodziny.

Z powodu moich dzieci działałam w polskiej szkółce, w zespole Ludowej Kultury oraz Fundacji Polskiej. Sprawia mi wielką przyjemność aktywne uczestnictwo w polskim środowisku. Mam nadzieję, że nasze potomstwo będzie podtrzymywało polską spuściznę, pozostając równocześnie wzorowymi obywatelami kraju ich zamieszkania.

Za i przeciw

*Marek Manterys
syn Stanisława Manterysa*

Gdy byłem małym chłopcem, nie odczuwałem, że w jakikolwiek sposób jestem inny niż moi nowozelandzcy rówieśnicy. To zaleta niewinnego wieku przedszkolnego. Bawiłem się i przyjaźniłem ze wszystkimi dziećmi z sąsiedztwa. Dopiero w szkole podstawowej zaczęło do mnie docierać, że coś mnie jednak różni od kolegów.

Pierwszym i najczęstszym spotykanym zjawiskiem było to, że nikt nie wymawiał poprawnie mojego nazwiska. Znosiłem to latami. Dopiero od niedawna ludzie w tym kraju zaczęli zadawać sobie trud, by poprawnie wymawiać obco brzmiące imiona. Nie było mi łatwo w wieku dziewięciu lat chodzić do szkoły z dziwnym dla Nowozelandczyków nazwiskiem. W pracy większość osób wymawia moje imię po angielsku, dlatego doceniam ludzi, którzy starają się je poprawnie wymawiać.

Zawsze lubiłem Boże Narodzenie, które nasza rodzina obchodziła zgodnie z polską tradycją. Oznaczało to, że prezenty dostawaliśmy już w wigilię, a więc wcześniej niż nasi nowozelandzcy koledzy. Jeśli mieliśmy szczęście, mogliśmy też znaleźć kilka upominków w pierwszy dzień świąt, tak jak normalnie ma to miejsce w Nowej Zelandii. Po przeprowadzce naszej rodziny z Auckland do Wellingtonu Boże Narodzenie zaczynaliśmy mszą św. w katedrze św. Marii od Aniołów. Kościół zapełniał się ludźmi, a wyjątkowy nastrój zapewniał chór wykonujący piękne polskie kolędy. Miła była również świadomość, że po mszy św. czekał na nas tradycyjny obiad bożonarodzeniowy. Uwielbiałem polską kuchnię i zawsze z niecierpliwością czekałem na potrawy takie, jak: bigos, pierogi, gołąbki czy barszcz.

Dobrze pamiętam również „uprzejmą zajądlność” rodziców moich kolegów szkolnych – nie dało się nie wyczuć ich braku akceptacji. Najchętniej woleliby, by ich dzieci znalazły sobie bardziej stosownych kolegów do zabawy. Był czas, gdy na naszej ulicy określano mnie mianem „tego dziecka”. Myślę, że dlatego wszyscy moi przyjaciele z dzieciństwa, z którymi nadal jestem w kontakcie, mają polskie korzenie. Gdy byłem nastolatkiem, należałem do zarządu prężnie działającego Koła Młodzieży Polskiej. Organizowaliśmy wiele atrakcji, takich jak wycieczki sportowe do Auckland czy inne imprezy towarzyskie.

Niezwykle miło wspominam Alexandra Hendersona, tego samego nauczyciela, który uczył wcześniej mojego ojca w Obozie Polskich Dzieci w

Pahiatua. Pan Henderson potrafił mówić trochę po polsku i znał naszą kulturę. To był bardzo przyjemny rok. Miłe były również soboty i niedziele, kiedy odwiedzaliśmy inne polskie rodziny, w których było dużo dzieci, z którymi można było się bawić. Natomiast polska szkółka sobotnia była męczarnią. Dziś po latach stwierdzam, że program nauczania nie był wystarczająco ciekawy, by przyciągnąć uwagę dzieci. Przyjemne były za to wspólne zabawy z kolegami, których tam spotykałem.

Moi rodzice musieli zaczynać od zera i nie mieli zaplecza rodziców, którzy by im pomogli lub poradzili w trudnych początkach. Jednak bardzo się starali wpajać nam swoją kulturę, wartości i przekonania. Biorąc pod uwagę to, jakim przeciwnościom musieli stawiać czoła, myślę, że poradzili sobie świetnie. Dlatego nie mam szacunku i zrozumienia dla ludzi, którzy zamiast działać, nieustannie narzekają na swoje trudne położenie. Daje do myślenia fakt, jak wiele okazji ofiaruje im życie, a oni je marnują, wciąż skarżąc się na swój ciężki los.

Mogę tylko próbować sobie wyobrazić, jak niesamowicie trudne musi być ułożenie sobie życia w nie zawsze tolerancyjnym społeczeństwie. Trzeba mieć niezwykle silną wolę i dużo samozaparcia, by się w nim odnaleźć. Optymizmem napawa fakt, że przez lata sytuacja ulegała zmianie i że żyjemy teraz w bardziej tolerancyjnym, wielonarodowościowym społeczeństwie.



Drugie pokolenie młodzieży polskiej – kolędnicy, Boże Narodzenie, 1986 rok.

Z tyłu, od lewej: Marek Manterys, Tereska Kozera, Julian Zawada, Conrad Zawada, ksiądz Ignacy Smaga (TChr), Piotr Kruk, Stefan Sondej. **Z przodu, od lewej:** Adam Manterys (redaktor techniczny tej książki), Krzysztof Polaczuk, Stefan Lis, Barbara Chaber, Helena Zawada, Ala Manterys, Maria Mendruń, Michał Mendruń, Adam Sondej

Nieustająca nadzieja

*Gordon Noble-Campbell
syn Teresy Noble-Campbell (Ogonowska)*

Wszyscy Nowozelandczycy mogą słusznie stwierdzić, że pochodząc z innego kraju stworzyli społeczeństwo składające się z różnych narodowości, posiadające różny kolor skóry (pierwsi przybyli Maorysi, we wczesnym średniowieczu). Od połowy XIX wieku po dziś Nowa Zelandia eksportuje swoje produkty rolne na różne strony świata – natomiast importuje nie tylko rzeczy, ale przez swych imigrantów przyjmuje na własność kulturę obcych krajów – ich kuchnię, osobiste historie, pieśni i obyczaje z całego świata.

Każdego dnia, na każdym kroku Nowozelandczycy są świadkami i osobiście doświadczają tych różnych kultur. Czy jesteśmy pochodzenia azjatyckiego, europejskiego, afrykańskiego lub polinezyjskiego, mamy wrodzoną nowozelandzką zdolność do przyjęcia ludzi takimi, jakimi są. Dlatego zawsze uważałem, że będąc odizolowaną grupą wysp na końcu świata, mamy słabe poczucie wspólnej państwowości. Będąc krajem o różnorodnych kulturach, Nowa Zelandia jeszcze nie docenia w pełni swej przeszłości.

Często słyszymy zdanie, że u podłoża rozdzźwięku społecznego leżą niskie zarobki i ubóstwo i że jest to wina rządzących. Biorąc pod uwagę, że koloniści w tym kraju zaledwie wiązali koniec z końcem, zapomnieliśmy, że źródłem wszelkiego sukcesu jest poświęcenie i ciężka praca.

Świetnym przykładem tego są ludzie, którzy przybyli do tego kraju dobrobytu nie posiadając nic, prócz zamętu i tragedii, osteplowanych w ich paszportach. Oni to w dramatyczny sposób osiągnęli sukces wyższy od własnych oczekiwań. Nie muszę szukać daleko, przykładem jest moja matka – jedna z polskich dzieci wygnańców. Jestem dumny, że mogę sięgnąć do mojej polskiej spuścizny, wywodzącej się z tak burzliwych początków. Jednak wiem, że nigdy nie zrozumieć poczucia utraty wszystkiego u tych ludzi, spowodowanej przez terroryzm państwowy oraz Stalina, który z ironiczną szczerością stwierdził, że śmierć jednego człowieka to tragedia, a śmierć miliona to tylko liczba. Pozostało mi tylko starać się naśladować wartości, które moja matka wyniosła z tego ognia nieszczęść i którymi świeciła w swoim codziennym życiu.

Czasami sądzę, że narodowa tożsamość jest zbyt często przesłonięta oklepanymi banałami. Dla przykładu, maoryski taniec *haka* reprezentuje Nową Zelandię, a wszechobecny znak „McDonald’s” jest niby flagą Stanów Zjednoczonych. Tego typu zewnętrzne objawy przynależności wystarczają

wielu ludziom, ale niekoniecznie ujawniają prawdziwe cechy jednorodnej grupy ludzi.

Dlatego chcąc określić swoje poczucie polskości, nie zaczynałbym od przynależności do tego rodzaju zewnętrznych znaków. Raczej zacząłbym od wartości, których doznałem i widziałem u otaczających mnie Polaków, a szczególnie mojej matki, która tak wspaniale wychowała swoją czwórkę dzieci i, będąc nauczycielką, uczyła setki uczniów w szkole.

Niedawno, starając się odszukać rodowód rodziny mojej matki w jej rodzinnym kraju, mimo trudności w ustaleniu związków łączących przeszłość z teraźniejszością, odkryłem, że jest coś osobliwego w arogancji ciemńey w stosunku do ciemniejszego.

Miedzy 10 lutym 1940 a 20 czerwca 1941 obszerne połacie wschodniej Polski były skutecznie wyludniane przez Rosję Sowiecką. Przy jawnie nieludzkim traktowaniu tych, których usuwano z domów bez środków do życia, tajna policja w dziwnie skrupulatny sposób zakładała teki o każdym członku deportowanej rodziny. Tak, jakby oprawcy odczuwali zadowolenie z samych statystyk dotyczących ludzi, których zsyłali na życie w biedzie i beznadziejności.

Do dziś około 180000 tych teczek zostało udostępnionych przez rosyjskie archiwa. W tych właśnie teках odczytałem dzieje rodziny mojej matki, wywiezionej na Sybir 10 lutego 1940 roku, uwięzionej w obozie pracy w okręgu archangielskim 29 lutego 1940 roku i uwolnionej 5 września 1941 roku. Obóz, w którym trzymano rodzinę nosił nazwę Jeglec, od rosyjskiego słowa pierwiosnek – kwiatu, który rośnie obficie podczas krótkiej syberyjskiej wiosny. Ten kwiat jest odpowiednim symbolem nadziei, odzwierciedlającym życie tych, którzy uprawiali piękno i umieli osiągnąć sukces z ziaren zamętu i ucisku.



Trzy pokolenia rodziny Teresy Ogonowskiej (Noble-Campbell) odbierają polskie paszporty w ambasadzie Rzeczypospolitej Polskiej w Wellingtonie.
Od lewej: Lachlan, Aleksander, Teresa, Gordon, Jayne, Thomas

Szukaliśmy korzeni ojca

*Michael Pleciak
syn Witolda Pleciaka*

Przyleciałem z ojcem do Polski 1 września 2002 roku w poszukiwaniu naszych korzeni rodzinnych, mając w posiadaniu stare rodzinne listy i wspomnienia krewnych. Przez tydzień mieszkaliśmy w Warszawie na Starym Mieście. Byliśmy głęboko poruszeni jego odbudową z gruzów II wojny światowej oraz pełni podziwu dla głębokiego patriotyzmu i odwagi Polaków. Stojąc na brzegu Wisły, mogliśmy docenić historię tego miasta.

Pojechaliśmy do Kalisza i Łodzi w poszukiwaniu rodzinnych dziejów, ale bez skutku. Odwiedziliśmy piękne miasto Kraków, które było prawie nietknięte przez wojska niemieckie podczas II wojny światowej. Pobyt w niemieckim obozie zagłady w Oświęcimiu wywołał mdłości. Następnie podróżowaliśmy po Ukrainie, odwiedziliśmy miasto Równe (obecnie Riwne), gdzie urodził się mój ojciec. Jazda drogą z Kijowa na zachód do Równego była podróżą w przeszłość – wozy zaprzężone w konie, prymitywne urządzenia rolnicze i kołchozy.

Miasto Równe, dawniej należące do Polski, a teraz do Ukrainy, było okupowane przez Niemców w 1939 roku. Udało się nam uzyskać niemieckie i rosyjskie mapy wojskowe tego rejonu z czasów, gdy była tu jeszcze Polska. Przydały się nam, ponieważ nazwy miejscowości pozmieniały się z czasem. W Równym, z pomocą naszego kierowcy i tłumacza, porozumieliśmy się ze starszymi mieszkańcami, których pytaliśmy czy wiedzą cokolwiek o czasach przedwojennych. Odnaleźliśmy dawny szpital Polskiego Czerwonego Krzyża, w którym urodził się mój ojciec – obecnie mieszczą się w nim koszary ukraińskiego wojska.

Odwiedziliśmy stację kolejową w Równem. Stąd w 1940 roku Rosjanie zmusili rodzinę ojca do opuszczeniu swojego domu i majątności. Zostali wpędzeni z tobołkami do bydłych wagonów i wywiezieni na wschód do obozów przymusowej pracy na Syberii. Rodzina Pleciaków miała 14-hektarowe gospodarstwo w osiedlu Hallerowo niedaleko miasta Tuczyn. Tę ziemię mój dziadek otrzymał jako weteran I wojny światowej. Gdy Józef Piłsudski odzyskał po tej wojnie tereny polskie na wschodzie, darował te ziemie byłym kombatantom.

W Tucynie odwiedziliśmy rynek, na którym przed wojną mój dziadek sprzedawał swoje plony rolne oraz plac gdzie stał kościół, do którego uczęszczały polskie rodziny. Kościół został rozebrany podczas wojny.

Po rozmowie z ludźmi w mieście i okolicy skierowano nas do 81-letniej kobiety, która żyła samotnie na gospodarstwie w szczerym polu. Ku naszej wielkiej radości i zdumieniu pamiętała ona polskie rodziny, które tu mieszkały przed wojną, osiedle Hallerowo, polską szkołę – i, niewiarygodne, naszą rodzinę. Wskazała nam miejsce, gdzie leżało nasze gospodarstwo, a gdzie obecnie są tylko puste pola. Była to bardzo wzruszająca i niezwykła chwila. Mój ojciec nareszcie odnalazł swoje korzenie, a ja poczułem się mu bliższy i dumny z niego. Mogę się tylko domyślać tragicznych przeżyć ojca, jego siostry Zofii i reszty dzieci-sierot, którzy po ciężkich przeżyciach dostali się na koniec świata, do Nowej Zelandii, gdzie musieli zaczynać życie od nowa.

Rozmowa z żyjącą osobą, która była świadkiem przeszłości, jeszcze bardziej zbliżyła mnie do ojca. Była to chwila, której nigdy nie zapomnę. Warto było dla niej odbyć tak długą podróż. W czasie pobytu w Polsce wymieniliśmy adresy sieciowe z naszymi krewnymi. Teraz jesteśmy z nimi w stałym kontakcie. Do tej pory nie wiedzieliśmy nic o sobie. Stało się to dodatkową zachętą do ponownego odwiedzenia Polski.



W dzień przyjazdu do Obozu Polskich Dzieci w Pahiatua żołnierz nowozelandzki niesie Witolda Pleciaka do sali jadalnej

Z pewnością Polka

Maria Schlaadt
córka Ireny Mroczek (Niedźwiecka)

Gdy patrzę wstecz na moje dzieciństwo i dorastanie w Wellingtonie wśród Polonii, jedno słowo ciśnie się na usta – sielanka. Ale dopiero teraz jako osoba dorosła i rodzic uświadomiłam sobie jak byłam uprzywilejowana, że mogłam doznawać głębokiej czułości i kulturowego bogactwa, które jest dziedzictwem grupy 733 dzieci tułaczy, przybyłych do Nowej Zelandii w 1944 roku.

Moja matka była jedną z tych dzieci. Miała 16 lat, gdy przybyła do Wellingtonu z dwiema siostrami i dwoma braćmi po przetrwaniu trzech okropnych lat w kazachstańskim obozie. Widziała śmierć, doznała głodu, rozłąki i straty bliskich. Jej dzieciństwo tak bardzo różniło się od mojego, że do dziś jest mi trudno uwierzyć w tę część dziejów mojej rodziny.

Po przybyciu do tego kraju los mojej matki zmienił się radykalnie. Dzieci umieszczono w Obozie Polskich Dzieci w Pahiatua, gdzie mogły dojść do siebie po przerażających doświadczeniach wyniesionych z wojny, w opiekuńczym i spokojnym środowisku. Tu dzieci stworzyły mocne i trwałe więzy przyjaźni ze sobą i głębokie poczucie obowiązku społecznego. Po sześćdziesięciu latach te więzy są nadal mocne.

W tym troskliwym i zażyłym społeczeństwie wyrastałam w latach 60-tych i 70-tych. Dzieci tułacze już rozproszyły się po Nowej Zelandii, zakładając Domy Polskie w Wellingtonie i Auckland, gdzie wraz ze swymi dziećmi i wnukami mogły utrzymywać kontakt ze sobą, włączając się zarazem w nurt życia Nowej Zelandii. Moja matka osiedliła się w Wellingtonie, gdzie wyszła za mąż za mego ojca Edwarda Mrocza – Polaka, który odwiedził Nową Zelandię na statku Brytyjskiej Floty Handlowej i tu pozostał. Mieli troje dzieci: Edwarda, Krzysztofa i mnie.

Od samego początku Dom Polski na Newtown był głównym punktem orientacyjnym mojego dzieciństwa. Tu nauczyłam się pisać, czytać, śpiewać i tańczyć po polsku. Tu uczęszczałam na filmy, występy, wykłady i festiwale ludowe. Tu przeżyłam swój pierwszy bal. Tak, jak większość byłych dzieci tułaczy, moi rodzice uważali za swój moralny obowiązek przekazanie polskiej spuścizny swoim dzieciom. Działo się to w kulturowo bogatej i odświeżonej atmosferze Domu Polskiego. Był to dla mnie drugi dom, a jego członkowie byli dla mnie jedną wielką rodziną.

Uważałam to wszystko za oczywiste, ale wówczas miałam rodzicom za złe, że w sobotni, wolny dzień musiałam chodzić na lekcje polskiego. Jednak, gdy

niedawno temu odwiedziłam Polskę, doświadczyłam wielkiej przyjemności, że mogłam w pełni porozumieć się z Polakami i zanurzyć się w ich kulturze. Będę zawsze wdzięczna moim rodzicom, że zachęcali mnie do nauki języka polskiego i że w domu stawiali wszystko, co polskie, na pierwszym miejscu. To pozwoliło mi zrozumieć i tolerować różnice kulturowe oraz wpłynęło na mój wybór zawodu nauczycielki języka angielskiego dla imigrantów i uchodźców.

Gdy dorastałam, rodzeństwo mojej matki mieszkało w Wellingtonie, mieliśmy więc wiele ożywionych zebrań rodzinnych, gdzie świętowaliśmy polskie obyczaje i tradycje, między innymi imieniny, których tutejsza ludność nie obchodzi. Te spotkania zawsze odbywały się przy stole pełnym polskich dań, takich jak: pierogi, naleśniki, gołąbki, no i oczywiście talerze pełne ciast, moich ulubionych serników i pączków.

Takie spotkania, podczas których bawiliśmy się w gry towarzyskie, które rodzice pamiętali z lat dziecińczych, zaczynały się w południe a kończyły wieczorem. Nie obyło się bez głośnego śpiewu. Gdy miałam około 25 lat i po raz pierwszy odwiedziłam Polskę, krewni byli pod wrażeniem mojej znajomości polskich pieśni i że potrafiłam zaśpiewać więcej niż jedną zwrotkę.

Wiara katolicka moich rodziców wywarła na mnie wielki wpływ i spowodowała świadomość, że jestem Nowozelandką i Polką zarazem. Byłe dzieci tułacz są mocno przywiązane do wiary katolickiej. W każdą niedzielę chodziliśmy na polskie nabożeństwa. Polski kościół był wielką siłą jednoczącą tutejszą Polonię, zarazem był miejscem spotkań i święcenia tradycyjnych obyczajów.

Lubiłam zwłaszcza obyczaje świąt Bożego Narodzenia i Wielkanocy. W Wielki Piątek z moimi krewnymi godzinami woskowaliśmy i malowaliśmy gotowane jajka na święcone. Rzeźbiliśmy też baranka z masła. W Sobotę Wielkanocną zabieraliśmy koszyczki do kościoła, gdzie polski ksiądz je święcił, a w Niedzielę Wielkanocną spożywaliśmy jego zawartość dla uświęcenia Zmartwychwstania Pańskiego.

Najbardziej uroczyście obchodziliśmy wigilię u siebie w domu z najbliższą rodziną. Moim zadaniem było nakrycie stołu, co robiłam z nabożeństwem, doceniając symbolizm różnych części tego rytuału. Na początek szukałam siana pod biały obrus, co miało przypomnieć stajenkę w Betlejem, gdzie złożone było Dzieciątko Jezus. Na obrusie kładłam opłatek, który już poświęcony przysłali nam krewni z Polski. Rozpoczynaliśmy wieczerzę, dzieląc się opłatkiem i składając sobie życzenia.

W dzień wigilijny poszczono, a potrawy nie zawierały tłuszczów mięsnych. Moja matka przygotowywała barszcz z uszkami i delikatne placki z mielonej ryby. Trzymając się obyczajów, nakrywałam jedno wolne miejsce dla

niespodziewanego gościa. Wieczór kończyliśmy otwieraniem upominków i śpiewaniem polskich kolęd.

Teraz jest moja kolej na przekazywanie tych obyczajów moim dzieciom. Moje poczucie polskości miało wielki wpływ na wychowywanie własnych dzieci, tak, że moi dwaj synowie są dobrze obeznani we wszystkim, co jest polskie lub wielokulturowe.

W 2004 roku z mężem Nowozelandczykiem zabraliśmy synów do Polski, żeby osobiście mogli doświadczyć swej spuścizny. Odwiedzili domy, w których urodzili się ich dziadkowie i zwiedzali historyczne skarby Krakowa i Warszawy. Byłam dumna widząc jak moje dzieci są zainteresowane i czują się swojsko w ojczyźnie przodków. Wierzę, że wyrosną na dobrych obywateli Nowej Zelandii, z otwartymi umysłami i że dzięki nim spuścizna dziadków, byłych dzieci tułaczy, będzie kwitła u ich potomków.



W 50-lecie ślubów małżeńskich Edwarda i Ireny Mroczek. Auckland, 15 sierpnia 2004 roku.

Stoją, od lewej: Edward Mroczek, synowie Edward i Krzysztof, Maria Schlaadt, Irena Mroczek (Niedźwiecka)

Siedzą, od lewej: wnukowie: Joseph i Benjamin Schlaadt

Moja spuścizna kulturowa

Danusia Trask
córka Dionizy Choroś (Gradzik)

W 2004 roku, w dzień obchodów wielokulturowości w tym kraju, moja sześciolatnia córka Zosia poszła do szkoły ubrana w polski strój ludowy. Była cała szczęśliwa, czuła się piękna i odmienna, bo wiedziała, że ma coś w sobie, czego nie mają inne dzieci w jej klasie.

Zosia jest przeze mnie polskiego pochodzenia i wie, że jej babcia i dziadzio przybyli z Polski, z kraju na drugim końcu świata. Stała przed klasą i powiedziała po polsku dzień dobry. Popisywała się swoim ślicznym strojem i czuła się wyjątkową. Siedziałam tam, patrzyłam i rozmyślałam jakby to było, gdyby jej dziadzio żył i mógł ją teraz oglądać. Jakaż to piękna spuścizna.

Moja dwójka ślicznych dzieci: Zosia lat sześć i Tomek lat cztery, uczęszcza do Polskiej Szkółki raz w tygodniu po normalnych zajęciach szkolnych i bierze udział w grupie polskich tańców ludowych „Orleń” w naszym mieście Lower Hutt. Uwielbiają te zajęcia i nie mogą się doczekać następnych lekcji oraz prób tańca. Malowanie pisanek na Wielkanoc i puszczanie wianków na rzecę w noc świętojańską są ulubionymi zajęciami w Polskiej Szkółce. Doroczny polski festiwal w Muzeum Osiedleńców w Petone jest dla nich dniem podniecającym: ubieranie się w stroje, tańce ludowe, spożywanie polskich smakołyków i spotkanie się z ich polskimi przyjaciółmi.

Dzieci, uczęszczające do Polskiej Szkółki raz w tygodniu i biorące udział w tańcach ludowych, mają jedno co je łączy – polskie pochodzenie. Jestem przekonana, że dzieci czują się tym uprzywilejowane i dlatego chodzą tam z zapałem. Zosia i Tomek mają szczęście posiadać kochającą babcię. Mają ubaw przy robieniu z nią faworków (chrustów) – myślą, że są bardzo pomocne. Gdy kładę Tomka do łóżka, przypomina mi, że mamy przeżegnać się po polsku, dar, którego nauczyła ich babcia.

Moi rodzice wychowali mnie na Polkę-Nowozelandkę. W młodym wieku uczęszczałam do Polskiej Szkółki Sobotniej i brałam udział w ludowych tańcach zespołu „Lublin”. W domu zawsze mówiono po polsku. Po opuszczeniu szkoły znajomość języka polskiego pomogła mi w pracy zawodowej. Byłam pracownikiem biura podróży. Polacy często przychodzili do mnie, aby załatwiać im podróże, bo wiedzieli, że ich zrozumie, że mogą mówić we własnym języku, bez borykania się z obcym im językiem angielskim. Przez to życie ich było trochę łatwiejsze.

Widzę jak dniami i nocami moja matka spisuje dzieje swojej młodości,

opisując smutek i rozpacz swego dzieciństwa, w którym przeszła potworności wojny: cierpienie zadawane przez okrutnych ludzi, morderstwo jej ojca, tragedię, gdy ją wraz z młodą matką i trzema siostrami skazano na przetrwanie bez niczyjej pomocy. Jak one przetrwały to wszystko? Z pewnością dzięki miłości, zdecydowaniu i odwadze. Czy ja bym to przetrwała? Czy moja dusza by przetrwała? Moi rodzice nosili w sobie siłę, którą przekazali mnie i moim dzieciom, za co jestem im bardzo wdzięczna.



Danusia Trask ze swymi dziećmi Tomkiem (z lewej) i Zosią, ubranymi w polskie stroje ludowe

Ciężka praca za przywileje

Christina Quirke

siostrzenica Bogusławy Burgess-Tarmas i Dionizy Choroś (Gradzik)

Po zakończeniu II wojny światowej moi rodzice woleli wybrać na miejsce stałego pobytu Nową Zelandię a nie Argentynę, ponieważ moje dwie ciotki przybyły tu wcześniej z grupą 733 polskich dzieci w 1944 roku.

Tak, że Krystyna Anna urodziła się 18 maja 1950 roku w mieście Lower Hutt, jako córka Polaków, Bernarda i Bronisławy Rosner, którzy w ciężkim trudzie usiłowali odbudować swoje zdruzgotane życie w tym zacisznym, aczkolwiek obcym im w mowie i obyczajach kraju.

Szereg lat temu odkryłam, że oficjalnie nigdy nie nazywałam się Krystyna, ale zawsze byłam Christina. Niby żadna różnica, ale gdy sięgam pamięcią w moje dzieciństwo (gdy czasami pragnęłam nie być Polką, ale taką zwykłą osobą jak moje rówieśniczki) do dziś (gdy nawet moje własne dzieci czują, że mieć pochodzenie jakiejś mniejszości narodowej jest modne), wołałabym żeby urzędnicy napisali poprawnie imię Krystyna na mojej metryce urodzenia, tak jak moi rodzice zapewne by tego chcieli.

Ale w tamtych czasach było inaczej. Nie istniały żadne opieki społeczne idące z pomocą imigrantom ze zrujnowanej wojną Europy. Dopiero po powrocie nowozelandzkich żołnierzy z ich obcego pochodzenia żonami społeczeństwo zaczęło powoli tolerować ludzi mówiących z cudzoziemskim akcentem.

Z tego powodu, gdy chodziłam do szkoły podstawowej Najświętszego Serca, starałam się rozpaczliwie być przyjętą do grona moich rówieśnic. Przeważnie nie miałam z tym kłopotu. Nie lubiłam uczęszczać do Polskiej Szkołki Sobotniej, bo przeszkadzało mi to w braniu udziału w zajęciach sportowych i obcowaniu w przyjaznym gronie nowozelandzkich rówieśnic. Jednak nasze rodzinne życie było tak mocno związane z utrzymywaniem polskiej mowy, kultury i obyczajów, że nie było mowy o innych sprawach, bowiem cały wolny czas po pracy i obowiązkach szkolnych był poświęcony tym celom.

Kościół był zawsze ważnym czynnikiem w naszym życiu. Każdej niedzieli jeździliśmy do Wellingtonu na polskie nabożeństwa do kościoła św. Anny w Newtown. Ale to już nie było tak uciążliwe jak polska szkoła, ponieważ po mszy św. mój tata często zabierał swoje „dziewczynki” (mamę, moją starszą siostrę i mnie) na smakołyki w mieście. Przeważnie były to albo gorące jabłeczne pączki w kawiarni w Newtown, albo kawa w kawiarni Casa

Fontana w mieście – na owe czasy wypadły „przepysznie drogie”.

Oczywiście, jednym z powodów, dla którego rodzice zamieszkali w Nowej Zelandii, była ucieczka od ucisku, który po wojnie nawiedził ich umiłowaną ojczyznę. W związku z tym całą uwagę swojego życia skupiali na mojej siostrze i na mnie, ich jedynych latoroślach, żebyśmy mogły się rozwijać w ich przybranym kraju. Dlatego Rosnerówny były zawsze dobrze ubrane, dobrze karmione, mieszkały w dobrym domu. Inne dzieci uważały, że miałyśmy wszystkiego ponad miarę: pianino, lekcje na akordeonie, a później samochody.

I tak istotnie było. Ale w naszym domu przywileje miały dosłowne znaczenie i trzeba było na nie zasłużyć. Ponieważ nasi rodzice pracowali niestrudzenie, tak wśród współobywateli nowozelandzkich, jak i w tutejszym polskim społeczeństwie, żeby nadal te przywileje otrzymywać, miałyśmy do wypełnienia własne, stałe obowiązki. Dopiero jak dorastałam zrozumiałam, dlaczego byłam odbiorcą takich przywilejów i dlaczego moi rodzice chcieli dla mnie tylko to, co najlepsze. Sami zostali ograbieni ze wszystkiego – z ojczyzny, korzeni, rodzin, a nawet młodości, dlatego postanowili, że jeżeli to będzie w ich mocy ani moją siostrę, ani mnie nie spotka podobny los.

Dlatego jestem przekonana, że powodem ich mocnego pragnienia sukcesu



Krystyna i Maryla Rosner raczą widzów swoim talentem na scenie w Domu Polskim, lata 60-te

i jego oczywistego osiągnięcia była niewiarygodna zdolność do całkowitego przystosowania się do nowozelandzkiego życia. Do dziś jestem zdumiona, że nie odbyło się to u nich kosztem polskości. Jest to ważny czynnik, który przyczynił się do mojego względnie łatwego dorastania w społeczeństwie nowozelandzkim, jak i polskim.

Oczywiście, nie zapomnę czasów, kiedy z uczuciem niechęci musiałam obowiązkowo brać udział w niekończącym się strumieniu polskich koncertów, w deklamacjach, tańcach ludowych, graniu na akordeonie lub pianinie. Czułam też żal do mamy za kanapki, z którymi mnie zawsze wysyłała do szkoły. Po prostu „zabiłabym się” za zwyczajną, tutejszą kanapkę z dżemem, sałatą i z wywarem drożdżowym (marmite), w zamian za swoje regularne kanapki z kiełbasą z musztardą, pasztetówką i kiszonymi ogórkami. Chciałam, żeby zapadła się pode mną ziemia, gdy mówiono do mnie po polsku w obecności moich koleżanek. Nie doceniałam wówczas zaszczytnych zasad moich rodziców.

Gdy przestałam być nastolatką, życie towarzyskie i praca poszerzyły moje horyzonty poza zasięg moich rodziców, jak to zwykle w życiu bywa. Gdy mój przyszły mąż Gary stał się ważną częścią mojego życia, odczułam, że rodzice, tak jak było z moją siostrą, przygotowywali się do nieuniknionego przyjęcia drugiego zięcia Nowozelandczyka. Ta ostateczna ofiara z ich strony była z pewnością przez nich przewidziana. W polskim społeczeństwie było trudno o polskiego męża, ponieważ polscy chłopcy, przez ciągłe obcowanie z polskimi dziewczętami od dzieciństwa, stali się dla nas jak bracia lub kuzyni raczej niż przyszli mężowie.

Szczerze i bezwarunkowe uznanie mego nowozelandzkiego męża stało się dla mnie jednym z najlepszych świadectw jak głęboko rodzice wrosli w nowozelandzki sposób życia. Na szczęście mój mąż Gary od razu okazał się wzorowym „Polakiem”, zawsze wspierał polskość mojej rodziny i wszystkie obyczaje, które obchodzimy do dziś. Nasze dzieci Szymon i Helena kroczyły tą samą drogą w polskim społeczeństwie, co ja. Uczyły się w polskiej szkółce, śpiewały w dziecięcym chórze, tańczyły w zespole ludowym „Lublin” i brały czynny udział w Kole Młodzieży Polskiej.

Może właśnie to drugie pokolenie urodzonych tu pół-Polaków, pół-Nowozelandczyków, jest najlepszym dowodem na to jak mnie wychowano. Jest również wyrazem hołdu, złożonym moim rodzicom za ich wysiłek podjęcia drugiej szansy na życie tu, w Nowej Zelandii.

Swoboda i możliwości

Joe Zazulak

Moje ciotki – Anna, Maria, Stanisława, Stefania i Wiktoria Zazulak – były w Obozie Polskich Dzieci w Pahiatua. Natomiast ja przyjechałem z moimi rodzicami dopiero w 1952 roku. Mimo że moje wcześniejsze losy przed przyjazdem tutaj były odmienne od losów moich ciotek, są podobne pod tym względem, że również jako dziecko wzrastałem w tym obcym kraju.

Gdy moich dziadków i ciotki zabierano na Sybir, mój ojciec był wzięty do niewoli niemieckiej, w której przebywał do końca wojny. Po wojnie ojciec, wówczas w obozie dla przesiedlonych Polaków w Westfalii, w Niemczech, 30 grudnia 1946 roku otrzymał list od Towarzystwa Opieki nad Polakami, w którym został powiadomiony, że oboje jego rodzice zginęli w Związku Sowieckim w 1942 roku, natomiast jego siostry znajdują się w Nowej Zelandii. Wiadomości o jego braciach, Antonim i Józefie, nie miał wtenczas żadnych.

Był to początek marzeń moich rodziców, żeby połączyć się z moimi siostrami. Sześć lat później, które ledwie pamiętam, moja rodzina składająca się z matki, ojca, brata Jana, siostry Janiny i mnie, opuściła małe miasteczko Vucht w zagłębiu Limburg we Flandrii i przez Szwajcarię przybyła do portu w Genui we Włoszech. Podróż morską rozpoczęliśmy w kwietniu 1952 roku, zatrzymując się tranzytem w portach Fremantle i Sydney w Australii. Wylądowaliśmy w Wellingtonie 2 czerwca 1952 roku. Byliśmy wreszcie w Nowej Zelandii, gdzie otrzymaliśmy oficjalne miano obcych, według tutejszej ustawy o cudzoziemcach.

Na początku zamieszkaliśmy u mojej ciotki Wiktorii i jej nowozelandzkiego męża George'a. Następnie po krótkim pobycie na farmie w Hunterville, przenieśliśmy się do Titirangi w Auckland, gdzie zamieszkaliśmy u mojej ciotki Marii i wujka Bolka. W końcu przenieśliśmy się do Penrose, Auckland, gdzie spółka Cashmere Bros zaoferowała ojcu pracę w składzie drewna. Od tej spółki ojciec wynajął dom mieszkalny. Tu urodziła się moja siostra Elżbieta. W kilka lat potem, w 1956 roku, zbudowaliśmy własny dom w Mount Wellington, Auckland.

Z dorastaniem w obcym kraju nie miałem problemów. Język angielski był mi nieznan, ale będąc dzieckiem szybko się go nauczyłem i mogłem się porozumieć. Rodzice jednak mieli trudności z językiem i często musiałem używać swoich umiejętności jako tłumacz. Pamiętam jak wiele razy towarzyszyłem rodzicom w roli tłumacza w nieznanym dla mnie sprawach.

Wyobrażam sobie jak czuli się oni bezradni w otoczeniu, w którym wówczas było niewielu obcokrajowców i jak przez to mocno różnili się od innych.

Żyliśmy w kraju mlekiem i miodem płynącym. Mimo to było nam na początku trudno powiązać koniec z końcem, ale jakoś sobie radziliśmy. Nasza wielka działka dostarczała owoców i jarzyn, a kury pod dostatkiem jaj oraz mięsa. Szybko zaprzyjaźniliśmy się z sąsiadami i trzeba przyznać, że ówcześni Nowozelandczycy odnosili się do nas życzliwie. Nie odczuwaliśmy z ich strony wrogości względem nas – wymagano tylko tyle, żebyśmy się włączyli w życie tego kraju i „nie wychylali głowy”.

Moja matka była Niemką. Wojna niedawno się skończyła i tematu jej pochodzenia nie poruszaliśmy publicznie. Można było zrozumieć antyniemieckie uczucia w owych czasach, choć matka nie była niczemu winna. Nie pozwalaliśmy jednak, żeby robiono z tego sprawę.

Mieliśmy szczęście, że nasi rodzice byli głęboko wierzący. Przynależność do parafii i nasze uczęszczanie do katolickich szkół na pewno ułatwiło naszą asymilację. Podczas wszystkich lat w szkole nigdy nie dano nam odczuć, że jesteśmy obcokrajowcami. Oprócz naszego trudnego do wymówienia nazwiska nie odróżnialiśmy się od dzieci sąsiadów. Niestety to się zmieniło, gdy zacząłem pracę. Zawsze czułem, że wymagano ode mnie większego wysiłku niż od innych, żeby zostać uznanym. Świat dorosłych był inny od beztroskiego dzieciństwa.

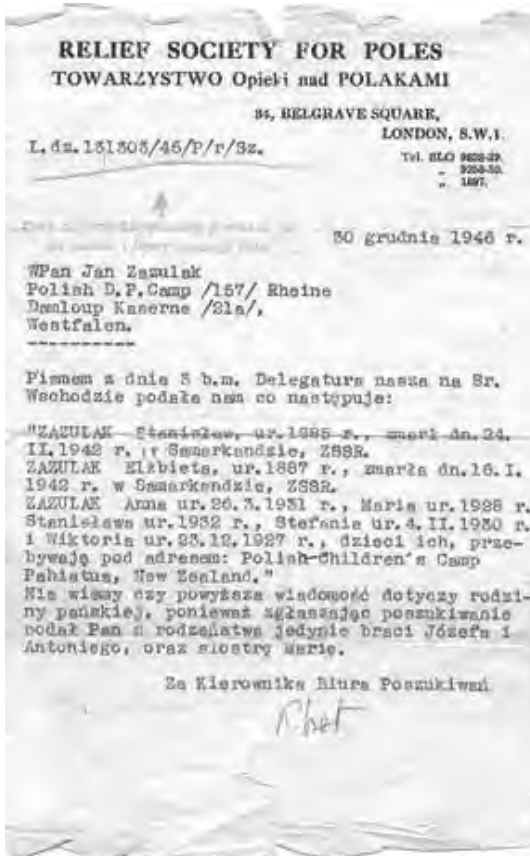
Po opuszczeniu szkoły w 1965 roku, gdy miałem 17 lat, moja matka wycięła z gazety ogłoszenie pracy w zakładzie ubezpieczeniowym. Ani matka, ani ja nie wiedzieliśmy, co w ogóle ta praca oznacza. Zostałem jednak przyjęty i tak zacząłem moją karierę. W przeciwieństwie do moich rówieśników nie mieliśmy nikogo, kto by nam w takich sprawach mógł doradzić, a rodzice nie mieli żadnego doświadczenia handlowego. Często załatwialiśmy sprawy na chybił, trafił.

Ale ta praca była właśnie tym, czego potrzebowałem do przygotowania się na przyszłość. Bez zastrzeżeń stwierdzam, że następne siedem lat były dla mnie bardzo szczęśliwe. Pierwszym zgrzytem było moje zgłoszenie o pracę w innym przedsiębiorstwie. Gdy zjawiłem się na rozmowę, kierownik powiedział, że nie zatrudnia obcokrajowców. Taka postawa, na szczęście wyjątkowa, przywróciła w mojej podświadomości brak pewności siebie.

Nie ujmuję nic ludziom tego pięknego kraju, ale uważam, że natura ludzka jest skłonna do okazywania pierwszeństwa swoim współziomkom, kosztem nowo przybyłych. Patrząc wstecz, przypominam sobie, że tak właśnie obchodzono się tu z moim ojcem przez wszystkie lata jego pracy. Odczuwałem, że ze mną chyba było podobnie, choć nie do tego stopnia. To było powodem, dlaczego 20 lat temu postanowiłem pracować na własną rękę.

Teraz nie odczuwam dyskryminacji, może społeczeństwo się zmieniło i zajmuje się ważniejszymi sprawami. Wszyscy założyliśmy własne rodziny, mamy wspaniałe dzieci, które z kolei przyczyniają się do dobrobytu tego kraju. Niektórzy wyjechali za morze i tam odnajdują siebie, tak jak my ponad 50 lat temu.

Nowa Zelandia stwarza wiele możliwości dla tych, którzy nie boją się nieraz ciężkiej pracy. Jest oczywiste, że być obcym w tym kraju było ciężko, ale dla mojego młodszego pokolenia i dla naszych dzieci jest to kraj swobody i możliwości.



Niezliczona liczba podobnych listów, od poszukujących swoich zagubionych rodzin po wojnie, zalewała poczty świata. List z 1946 roku zawiadamia ojca Joe'go, Jana Zazulaka, że jego pięć siostr odnaleziono w Obozie Polskich Dzieci w Pahiatau, Nowa Zelandia

Część czwarta

Wspomnienia
Nowozelandczyków

Kamerzysta wspomina

Earl Bailey

Zostałem wyznaczony do filmowania przyjazdu polskich dzieci uchodźców, które przybyły z drugiego końca świata. Większość z nich to sieroty lub dzieci, których rodzice zaginęli, więc podróżowały z nimi zastępcze matki-opiekunki. Te kobiety liczyły 30-50 lat. Wiele nowozelandzkich małżeństw, czy to z tego powodu, że nie miały własnych dzieci, czy z litości nad sierocym losem, chciało je adoptować.

Nic nie było w stanie przygotować mnie na widok tych maluchów, każde dzierżyło żałosne tobołki – wszystko, co posiadali na tym świecie. Mam łzy w oczach kiedykolwiek ten widok wspominam. Nagrałem setki stóp filmu, z których kilka minut wybrano do wyświetlania w kinach. Możliwe, że oryginał leży jeszcze w Archiwum Narodowym. Życzyłbym sobie, żeby nasz kraj nadal przyjmował zrozpaczonych ludzi, którzy potracili wszystko.

Dzień w porcie wellingtońskim był piękny. Tysiące ludzi witało polskie dzieci w nowej ziemi obiecanej. Okręt miał z dwóch stron schodki. Ja stałem przy jednych, a Stan Weyms przy drugich. Dzieci schodziły po stromych schodkach na brzeg, zapewne zadumane, co ich tu czeka. Nie było wiwatowania, a w panującej uroczystej ciszy odczuwało się współczucie ze strony czekających na dzieci Nowozelandczyków. Filmując ten obraz, nie mogłem ukryć swych uczuć i do dziś czuję wzruszenie. Po zredagowaniu filmu cały metraż złożono w archiwum.



Chwila zadumy i obawy, co ich czeka. Polskie dzieci na okręcie *USS General Randall*, który był ich domem przez dwa tygodnie. Oczekują zejścia na ląd 1 listopada 1944 roku. Zdjęcie z filmu

Na pogrzebie Stanisława Dygasa

Bill Ballantyne

Witam panią Evans z Pahiatua oraz Kathy, Bronwyn i Howard Evans. Przez lata mojej znajomości Staszek zawsze wspominał państwo Evans i nazywał ich swoimi nowozelandzkimi rodzicami. Dobrym przyjacielem Staszka był też Jimmy Bryant, z którym strzygł owce i spędzał wiele czasu na polowaniach, gdy mieszkał w Pahiatua.

Przyjaźń jest bezcennym skarbem, którego nie można kupić lub sprzedać, ale jej wartość jest większa od góry złota. Znałem Staszka przez prawie 40 lat i spędziłem z nim siedem i pół roku w majątku hodowli owiec w Mangaone, niedaleko Taihape na Wyspie Północnej. Zawsze był moim dobrym kolegą. Urodził się w Polsce w miejscowości Skoraty na granicy z Rosją. Jego ojciec był rolnikiem. Staszek miał trzy siostry i dwóch braci. Gdy Niemcy napadli na Polskę, jego ojciec, żołnierz Wojska Polskiego, został zastrzelony. Staszka z rodziną zesłano na Syberię, gdzie przebywał w przymusowym obozie pracy przez dwa lata. Tam zmarła z głodu jego matka.

Wraz z braćmi i siostrami Staszka ewakuowano do Iranu, gdzie spędzili ponad dwa lata. Miał dziewięć lat, gdy przybył do Nowej Zelandii z młodszą siostrą Krystyną i grupą polskich dzieci. Zamieszkali w Obozie Polskich Dzieci w Pahiatua. Nie wiem, co się stało z pozostałym rodzeństwem zaraz po opuszczeniu Iranu. Po wojnie jeden z braci wrócił do Polski, a reszta żyje w Anglii. Krystyna przyłączyła się do nich w Anglii, gdzie mieszka od lat.

Nie wiem też, co Staszek robił zaraz po opuszczeniu obozu, ale mając już 18-19 lat pracował dla Charlie Sebyln i Johnny Evans, dziadka obecnych tu Kathy, Bronwyn i Howard. Pracował też dorywczo w okolicy. Staszek kochał rugby i grał w każdą sobotę w Pahiatua. Pewnego dnia przed meczem musiał zdążyć podciąć runa owcom (wycinanie owcom brudnej wełny na zadku jest koniecznym zimowym zabiegiem higienicznym). Współpracownicy, uważając, że będą zbyt zmęczeni, żeby grać w rugby po podcinaniu takiej liczby owiec, wylali dwa wiadra wody na ich runa. Gdy zjawił się gospodarz powiedzieli mu, że owce są za mokre do podcinania. Ale gospodarz, podejrzając ich przez okno i zmusił do podcinania na mokro. Staszek i towarzysze nie zdążyli na mecz.

Z Pahiatua Staszek udał się na farmę hodowli owiec w Mangaone, gdzie pracował przez 18 lat. Hugh Chisholm był wówczas zarządcą, a po nim Peter Greek. 40 lat temu umieszczono mnie w skromnej chatce robotniczej, mającej

poetyczną nazwę „Rajski zakątek” i tu spotkałem Staszka po raz pierwszy. Pewnego razu usłyszałem hałas koło komina. Wziąłem strzelbę, myśląc, że to opos. Ale to tylko Staszek żartowniś kładł worek na kominie, żeby mnie zadymić. W pierwszym dniu pracy wyruszyliśmy łazikiem przez wezbrany potok Otupae, w którym nam zgąśł motor. Staszek wdrapał się przez okno na dach i skakał po nim, pomagając w rozruszaniu motoru. Pracował długie i ciężkie godziny na tej farmie, powracając do chaty z czarną twarzą i okryty kurzem. Uwielbiał przerwy, gdy zagotowywał polowy kociołek, zaciągając się dymem papierosa. Pewnego zimowego dnia ziemia była pokryta metrową warstwą śniegu i trudno nam było wychodzić po drzewo na opał. Pomogliśmy Staszкови wdrapać się na dach, rzucaliśmy mu tam drewno, a on wkładał cały zapas wprost do komina. Nie musieliśmy więcej wychodzić, bo ogień palił się całą noc i cały dzień.

Staszek bardzo zaprzyjaźnił się z synem zarządcy, Lesterem Chisholmem, gdy pracowali razem podczas uniwersyteckich wakacji Lestera, obecnym sędzią Sądu Wyższego w Christchurch. Zawsze utrzymywali ze sobą kontakt.

Staszek i Rosemary pobrali się będąc jeszcze na farmie, w Mangaone. Gdy ich syn Wayne miał cztery lata, kupili dom w Taihape i tam zamieszkali. Staszek wykonywał wszelkie prace farmerskie przy owcach. Zawsze mogłem na nim polegać. Przez lata mego pobytu w Kaingaroa wystarczył telefon o pomoc, a on już następnego dnia dostarczył mi 15 robotników. Gdy wyjeżdżałem, dzwonił do mojej żony Jenny i sprawdzał czy ona ma wystarczająco drzewa na opał lub czy potrzebuje innej pomocy. Żartowaliśmy z niego, że nie przyjmował żadnego zlecenia o pracę, jeżeli nie włożono mu wpierw całej szynki do spiżarni.

Największą pociechą Staszka była jego rodzina. Wraz z żoną Rosemary byli aktywni w klubie rugby i w siatkówce. Jego wkład w rugby dla nieletnich był wybitny. Podziwiany był też w mieście za zatrudnianie młodych graczy do pracy. Nazywałem go „panem Wygrywajskim” z powodu jego sukcesów. Był dumny ze swego wzorowego ogrodu warzywnego, a jego rodzinie nigdy nie zabrakło opału na zimę. Brakuje mi jego żartów o mnie i jego telefonów w dzień Bożego Narodzenia. Nigdy nie zapomniał dzwonić w ten dzień.

Staszku, miej wiatr zawsze za plecami, niech słońce ogrzewa twoją twarz, a deszcz łagodnie zrasza twoje pola. Dopóki się nie spotkamy, niech Bóg ma cię w Swojej dłoni.

Lubiany drużynowy

Elizabeth Banks

Mój ojciec John Thomson, żołnierz Wojska Nowozelandzkiego, był przydzielony do Obozu Polskich Dzieci w Pahiatua. Czekał na stacji kolejowej w Pahiatua na przybycie pociągu. Opowiadał, że wstrząs, którego wówczas doznał na widok tych dzieci, był prawie nie do wytrzymania.

Pokochał te dzieci, co było powodem jego kariery w harcerstwie. Żył dla nich. Myślę, że częściej chodził w mundurze harcerskim niż w wojskowym. Zabierał harcerzy do Greytown na zawody harcerskie, gdzie wszyscy się świetnie bawili. Ojciec poświęcał tyle czasu dla nich, ile tylko mógł. Jego nagrodą były zmiany na lepsze, jakie dostrzegał u tych dzieci i ich poczucie humoru.

Nasza rodzina mieszkała też w obozie. Mój brat Ian i ja byliśmy wówczas dziećmi i zaprzyjaźniliśmy się z niektórymi polskimi rówieśnikami. Wychodziliśmy z obozu tylną bramą, gdzie stała farmerska stodoła pełna siana, wdrapywaliśmy się na stóg i zjeżdżali na dół. Było wiele uciechy i głośnych śmiechów. Jacy byli to przyjemni ludzie!

Gdy ojciec opuszczał obóz w 1948 roku, otrzymał kartkę z życzeniami od polskiego hufca. Łzy kręciły się w oczach chłopców, a ojciec płakał. Treść kartki, z jej miłymi drobnymi błędami:

Drogi Panie Thompson,

My, hufiec harcerski z Obozu Polskiego w Pahiatua, składamy panu naszą szczerą wdzięczność za Jego wspaniałą pracę nad naszym hufcem. Wiemy, że pan nie szczędził trudu, żeby wszystko było warte zachodu. Za to panu dziękujemy.

Będzie nam pana brakowało więcej niż pan sobie wyobraża i zapewniamy, że zawsze będziemy go pamiętać jako naszego przyjaciela i współ-harcera. Rozstanie nie jest nigdy łatwe, lecz nieuniknione. Życzymy panu i jego rodzinie wszystkiego najlepszego w nowym życiu, z nadzieją, że będziemy się często widywać w przyszłości.

Czuwaj!

Polski Hufiec w Pahiatua

Pociągiem do Pahiatua

Mollie Baoumgren

Na początku II wojny światowej w Kaiwharawhara, Wellington, gdzie wówczas mieszkałam, powstał oddział Czerwonego Krzyża. Mieliliśmy różne zajęcia, takie jak praca na pogotowiu w szpitalach: głównym w mieście i przy porcie wellingtonskim. Jednym z wydarzeń, które pamiętam, było przybycie polskich dzieci uchodźców do Wellingtonu 1 listopada 1944 roku.

Był piękny słoneczny poranek, gdy pociąg podjechał pod okręt, którym ci ludzie przyплыли. Rozdawaliśmy słodycze i wszyscy uśmiecaliśmy się do dzieci. Sądzę, że były one nieco zaniepokojone i niepewne, jakie to będzie ich życie w Nowej Zelandii.

Po przydzieleniu nas po trzy lub dwie do każdego wagonu i gdy wszyscy już siedzieli na swoich miejscach, pociąg, ciągnięty przez parowóz, wyruszył do Pahiatua.

Po drodze zatrzymywaliśmy się na stacjach, gdzie gromady ludzi czekały na peronach, żeby przywitać nowo przybyłych. Bukiety kwiatów podawano dzieciom przez okna. Wielu Polaków dotykało bukietami twarzy i płakało.



Siostra Czerwonego Krzyża, Mollie Baoumgren, przeprowadza grupę dzieci (Władysława Kubiak z lewej) z okrętu *USS General Randall* do czekającego pociągu na odjazd do Pahiatua, 1 listopada 1944 roku. Był to końcowy etap podróży dzieci (w większości sierot) do bezpiecznego kraju, po prawie 5-letnich ciężkich przejściach wojny, wygnania z kraju, nieszczęść i poniewierki

Myślę, że dopiero w tej chwili uświadomiłam sobie, co przeszli ci mężczyźni, kobiety i dzieci.

Wszyscy sprawiali wrażenie szczęśliwych, gdy oglądali nasze góry, rzeki i piękną zieleń wzgórz. W pociągu czekały kanapki, do których podróżni zabrali się z ochotą. Przybyliśmy na stację w Pahiatua, gdzie czekał długi konwój wojskowych ciężarówek, które przewiozły nas do Obozu Polskich Dzieci. Nowo przybyli byli ciekawi tego, co tu zobaczą i myślę, że wydawali się dość podnieceni.

Spożyliśmy wspólny posiłek, po czym wszyscy pomocnicy, którzy przybyli z nami z Wellingtonu, wyruszyli autobusami w powrotną drogę do domu.

To wydarzyło się 60 lat temu. Często wspominam ten dzień i mam nadzieję, że te dzieci nazwały Nową Zelandię swym domem.

Wielkie wydarzenie w moim życiu

Geoff Bennett

Moje wspomnienia może nie mają większego znaczenia w porównaniu do doświadczeń polskich dzieci, mimo to wywarły ogromny wpływ na moje życie.

W latach 40-tych mieszkałem w New Plymouth z moją matką i starszym bratem. Tak jak większość chłopców w tamtych czasach, należałem do harcerstwa i przez tę organizację poznałem ponad 40 polskich dzieci uchodźców. Jacyś urzędnicy i ludzie z harcerstwa wpadli na pomysł, żeby zaprosić grupę polskich harcerzy do naszego miasta na wakacje szkolne. Rozmieszczono ich po tutejszych rodzinach. Miałem nadzieję, że zaznają tu spokoju i radości.

Moja matka, sensowna i współczująca osoba, upewniła się, że mój brat i ja rozumiemy, przez co te dzieci przeszły i skąd pochodzą. Chłopiec, który zatrzymał się u nas, nazywał się Stefan Wiśniewski. Był wspaiałym chłopcem; pamiętam go jako najsmutniejszą osobę, którą kiedykolwiek spotkałem. Znajomy na naszej ulicy miał u siebie chłopca, który robił wrażenie na ludziach, którzy go spotkali, swoim grzecznym zachowaniem i dobrym humorem. Nazywał się Wiesław Piotrkowski.

Kilka lat temu czytałem w gazecie artykuł pisany przez Stefana o swoich przeżyciach i doświadczeniach. Byłem ucieszony, wiedząc, że osiadł tutaj i stworzył sobie normalne życie po tak tragicznych początkach.

Z chłopcami na te wakacje przybyła ich hufcowa, pani Kozera. Była to urocza i wyróżniająca się osoba, którą spotkało nieszczęście, bo potrafił ją samochód, przez co złamała nogę. Podczas odwiedzin w szpitalu polscy chłopcy odśpiewali jej polski hymn narodowy. Pierwszy raz go słyszałem. Ta melodia jeszcze dziś wywołuje u mnie łzy.

Znałem polskich chłopców

Bill Cronin

Rok 1950 – mój pierwszy tydzień w internacie gimnazjalnym św. Kevina w Oamaru. Dla mnie, małego chłopca z Gore, zacisznego miasteczka na Wyspie Południowej, był to szeroki i zachwycający świat. Aż 180 chłopców do poznania! Doprawdy podniecający czas – ludzie z całej Nowej Zelandii i nawet z dalekich wysp Samoa. Dla mnie same tajemnicze miejscowości.

Ale kim było tych pięciu „Poles” (Polaków)¹. Chodziły pogłoski, że to są uchodźcy, cokolwiek to miało znaczyć. Pamiętam jak dopytywałem się, kto to są uchodźcy i skąd przybywają – chyba z księżycy, tyle o tym wiedziałem. Ta grupka pięciu trzymała się razem i to mnie zadowalało.

Będąc słabym uczniem, borykałem się z nauką, nie tak jak ci Polacy. Nie byłem kujonem, ale zauważyłem, że oni często mieli przy sobie szkolne książki. Nie rozumiałem wówczas, dlaczego to robili. Po zajęciach szkolnych tam, gdzie był jeden Polak, było ich kilku i wszyscy o wiele bardziej skupieni na nauce niż ja.

Po opuszczeniu szkoły zacząłem czytać dzieje wojen i uświadomiłem sobie, że nic nie wiedziałem o tym, co przeszli moi polscy przyjaciele. Wszyscy mieliśmy swoje rodziny i domy, ale gdzie były ich, jeżeli w ogóle je mieli? Gdzie udawali się na szkolne wakacje? Czy mnie to w ogóle obchodziło?

W latach późniejszych udałem się do Bośni razem z ekipą pomocniczą, gdzie znalazłem się za blisko serbskich działań. Po raz pierwszy w życiu poczułem strach. To krótkie doświadczenie dało mi chwilowy posmak tego, czego doświadczali przez lata moi polscy przyjaciele i uświadomiło, jaki ból noszą jeszcze w swoich sercach. Pozostaje pytanie – co bym zrobił lub czy byłem w stanie im pomóc, gdybym znał ich przeszłość?

Między moimi licznymi zajęciami społecznymi mam do czynienia z więźniami. Jakaż to strata dla ludzkości. Jak często ich przeszłość jest wypełniona negatywami, wynikającymi ze zmarnowanego życia. Przeciwnością tego są polskie dzieci, które zatrzymały wartości moralne mimo okrucieństw II wojny światowej. Ogromnie skorzystaliśmy z tego rodzaju ludzi, którzy stali się obywatelami Nowej Zelandii i przyczynili się do jej rozwoju. Dzięki nim nasz kraj stał się lepszy.

1. „Poles” jest często używane pogardliwie – słowo znaczy też słupy. Po bliższym zapoznaniu się z Polakami, w angielskim oryginale swego artykułu autor przestaje używać tego słowa, nazywając ich polskimi chłopcami i polskimi przyjaciółmi

Nauczyciel języka angielskiego

Alexander Henderson

Jak się w to wplątałem? Urodziłem się w Napier na Wyspie Północnej, gdzie moi rodzice mieszkali od czasu, gdy wyemigrowali ze Szkocji do Nowej Zelandii w 1924 roku. Przez ulicę mieszkała katolicka rodzina, która w 1945 roku podczas szkolnych wakacji gościła u siebie dwóch chłopców z Obozu Polskich Dzieci w Pahiatua. Uczęszczałem w tym czasie do studium nauczycielskiego.

Gospodyni tych chłopców zapytała mnie, czy nie zechciałbym zająć się chłopcami, biorąc ich na pływanie do basenu, do kina itp. Zgodziłem się z ochotą, bo byłem ciekawy, jacy oni są. Od razu mnie urzekli. Była to moja pierwsza próba bycia zrozumianym przez ludzi z obcego kraju, którzy nie znają mojego języka, oraz zrozumienia osoby mówiącej do mnie obcym mi językiem. Wakacje się skończyły i wróciłem na studia. Na początku 1947 roku, gdy uczyłem w Wairoa, przeglądałem „Gazetę Szkolnictwa”, w której poszukiwali nauczycieli do Obozu Polskich Dzieci w Pahiatua. Zgłosiłem się i zostałem przyjęty. Pracę rozpocząłem w kwietniu tego roku.

Pamiętam swój przyjazd bardzo wyraźnie. Wyjechałem z Wairoa wieczorowym pociągiem, zatrzymałem się na noc w Napier a następnego dnia pojechałem do Pahiatua. Mimo że byłem podniecony całą tą wyprawą, jednak obawiałem się czy dobrze zrobiłem, podejmując to zadanie.

Nigdy jeszcze nie byłem w tej części kraju i nie byłem pewny połączenia pociągów oraz przesiadki na stacji w Woodville. Na szczęście nie musiałem długo czekać na dalsze połączenie. Pociąg, do którego w końcu wsiadłem, składał się ze starych rozklekotanych wagonów w opłakanym stanie, zbudowanych w 1900 roku – twarde, drewniane ławki i słabe oświetlenie gazowe stwarzały ponury nastrój. Pasażerowie to jakieś dziwne typy, niektórzy wieźli ze sobą skrzynie żywego, zrywającego sobie gardła skrzeczeniem drobiu.

Ściemniało się, więc martwiłem się czy po ciemku rozpoznam stację, na której mam wysiąść. Było już bardzo ciemno, gdy pociąg stanął na stacji kolejowej Pahiatua. Naokoło żadnych zabudowań, stacja stała na pustkowiu. Gdy schodziłem z wagonu, podeszli do mnie dwaj młodzi mężczyźni (jeden niski, drugi wysoki) i zadali mi dwa krótkie pytania – czy jestem tym nowym nauczycielem i czy gram w piłkę rugby? Na pierwsze odpowiedziałem tak, a na drugie nie.

Wyglądali na niezadowolonych z mojej drugiej odpowiedzi. Bez dalszych ceregieli zaprowadzili mnie do wojskowej ciężarówki, do której kierowca kazał mi wrzucić moje manatki. Dwóch młodych nauczycieli wysiadło w miasteczku Pahiatua na ćwiczenia rugby, a ja z kierowcą pojechałem dalej, do Obozu Polskich Dzieci.

Zawiózł mnie na tyły obozu, gdzie między większymi barakami stały dwuosobowe wojskowe chatki. Wskazał mi jedną z nich i powiedział, że tu mam mieszkać i chciał odejść. Byłem głodny, bo mało jadłem tego dnia, więc zapytałem go, gdzie mógłbym się posilić. Odpowiedział zwięźle, że kantyna i kuchnia są już zamknięte na noc i odszedł, zostawiając mnie samego. Czułem się zagubiony i dość przybity. Na dobitek nie wiedziałem nic o warunkach obozowych i czego spodziewano się ode mnie nazajutrz. Zanim zdołałem ulokować się w chatce wszystkie światła zgasły. Dowiedziałem się później, że światła w całym obozie są gaszone o 10-tej wieczorem. Stoję tu po ciemku, staram się rozpakować i pościelić sobie łóżko, i zastanawiam, w co się wplątałem.

Następnego ranka dostałem śniadanie. Powiedziano mi, że mam się stołować z żołnierzami. Z czasem dowiedziałem się, że obozem kieruje wojsko, które moim zdaniem miało dziwne, a czasami wręcz niedorzeczne regulaminy. Dla przykładu, nauczycielki stołowały się w jadalni oficerskiej, do której my mężczyźni-nauczyciele nie mieliśmy wstępu.

Nauczycielki mieszkały w baraku przeznaczonym dla korpusu wojskowych ochotniczek. Była to ładnie urządzona jednostka z własną kuchnią, łazienką i trzema ładnymi sypialniami. Tu wstęp dla nas mężczyzn był oficjalnie wzbroniony, ale i tak chodziliśmy tam na wieczorną herbatkę. Przyznam się, że przepisy wojskowe były męczące i często głupie. Ale w końcu przyzwyczaiłem się, choć czasami znajdowałem sposób na ich ominięcie.

Pierwszego dnia po śniadaniu kierownik szkoły od nauki języka angielskiego, Hugh McKinnon, próbował zapoznać mnie w sprawach obozowych. Większość z nich mnie oszołomiła i szybko o nich zapomniałem, a pozostałe na pewno źle zrozumiałem. Gdy oprowadzano mnie po zabudowaniach, z rosnącym zdumieniem oglądałem wielkie rozmiary tego obozu. Czułem też na sobie zaciekawione spojrzenia wielu oczu i znów poczułem niepokój. Obeszliśmy budynki szkolne. Hugh McKinnon zapoznał mnie z moimi obowiązkami i przedstawił polskim i angielskim nauczycielom oraz moim klasom. Resztę dnia miałem dla siebie.

Zrozumiałem jak mało znałem się na nauczaniu dzieci i dorosłych, pochodzących z obcej mi kultury. Zapytałem Hugh McKinnona czy wszystkie dzieci są katolikami. Odpowiedział z cynizmem – jeżeli nie były nimi przed wypędzeniem z Polski, to teraz już na pewno są. Pomyślałem sobie,

że naprawdę mam jeszcze wiele do nauczenia się o tych obcych mi ludziach.

Było mi dość trudno przyzwyczaić się do obozu. Pozwoliło mi to jednak do pewnego stopnia zrozumieć, co znaczyło dla tych dzieci, które miałem uczyć angielskiego, bycie zagubionym i osamotnionym. Nie znałem nikogo, nawet współnauczycieli Nowozelandczyków. Teraz rozumiem, że byłem w tamtym czasie jeszcze nie douczonym w sprawach życia młodzieńcem. Podczas pierwszych dwóch tygodni nie wiedziałem, co ze sobą robić po lekcjach. Inni mieli swoje zajęcia, więc czułem się samotny w tym ludnym obozie. Jak na złość w dniu oczekiwanej wypłaty nie było dla mnie nic. Przestraszyłem się tym mocno, bo moje zapasy pieniędzy prawie się wyczerpały. Inni nauczyciele nastraszyli mnie, że będę miał szczęście, jeżeli w ogóle dostanę wypłatę w przeciągu następnych kilku miesięcy. Myślałem, że robią sobie ze mnie głupie żarty.

Po upływie czterech miesięcy miałem tego dość, bo byłem już zadłużony u różnych ludzi w obozie na wielką wówczas dla mnie sumę 15 funtów. Zwróciłem się do mojego kierownika z zażaleniem, że nie otrzymałem żadnej wypłaty, od kiedy przyjechałem do obozu. On napisał natychmiast do Urzędu Premiera w Wellingtonie.

Odpowiedź była błyskawiczna, od samego premiera Petera Frasera, który przysłał telegram do mojego zwierzchnika Hugh'a McKinnona z nakazem, żebym się tego samego dnia udał do banku w Pahiatua i odebrał moją należność. Tego samego wieczoru powróciłem do obozu uszczęśliwiony.

Słowo o premierze Nowej Zelandii. W 1945 roku należałem do kółka teatralnego przy studium nauczycielskim w Wellingtonie, gdzie grałem główną męską rolę w znanej wówczas sztuce, na którą przyszedł premier Fraser wraz z żoną i córką Alicją (która później zrobiła karierę na scenie i w telewizji). Po występie, z umalowaną twarzą i ubrany jeszcze w swój sceniczny kostium, rozmawiałem z premierem w jadalni naszej uczelni.

W ogóle o tym zapomniałem, ale czasami zdarzają się rzeczy niespodziewane. Po kilku latach, od tamtego dnia, premier odwiedził Obóz Polskich Dzieci, gdzie wówczas uczyłem. Możecie sobie wyobrazić moje zdziwienie, gdy wszedł ze switą do mojej klasy i powiedział – dzień dobry panie Henderson – wygląda pan zupełnie inaczej, niż wtedy, kiedy widziałem pana w jadalni studium nauczycielskiego w Wellingtonie podczas pana występu na scenie. Byłem zdumiony, że człowiek, który każdego tygodnia spotyka setki ludzi, pamiętał moją skromną osobę. Miał wspaniałą pamięć i dobre podejście do ludzi.

Miałem nadal kłopoty z wynagrodzeniem. Mój przełożony poradził mi zwrócić się do członka parlamentu na rejon Pahiatua, Keitha Holyoke'a, (późniejszego premiera), żeby wymusić jakiś odzew. W tym czasie opozycja

parlamentarna szukała wszelkich pretekstów, by krytykować rząd za koszty prowadzenia obozu. Powiedziałem mu, że nie chcę być przyczyną jakichkolwiek dochodzeń w obozie. Cieszę się, iż mimo to, że bardzo potrzebowałem zwrotu moich należności, nie poddałem się naciskom politycznym, które szkodziłyby obozowi.

Zanim zadomowiłem się na dobre, wypełniałem wolny czas rozmowami z kimkolwiek, kto chciał mnie słuchać i odwiedzałem dzieci w szpitaliku. Niektóre z nich chorowały jeszcze od czasu ich przyjazdu do Nowej Zelandii. Siostra Johnson, przełożona pielęgniarek, była interesującą i serdeczną osobą, lubiłem z nią rozmawiać.

Tak powoli zacząłem stawać na nogi i zdobywać przyjaźń niektórych nauczycieli, zwłaszcza Joan Hay, która wzięła mnie pod swoje skrzydła i prowadziła przez zawiłe dla mnie ścieżki życia obozowego. Robiłem postępy i zacząłem nawiązywać kontakty z niektórymi dorosłymi Polakami. Szczególnie cieszyłem się z tego, bo chciałem dowiedzieć się jak najwięcej o ludziach, których kultura i opowiadania o swoich przeżyciach zachwycały mnie. Byłem ciekawy ich historii, kraju, deportacji do Rosji i ucieczki do Iranu. Był to bardzo obszerny temat, ale przez lata mojego pobytu w obozie udało mi się zgłębić i zrozumieć, co to znaczy być Polakiem.

Ale powróćmy do początku. Miałem czasami trudności z dyscypliną w kilku moich klasach. Byłem pewien, że dzieci mówiły o mnie nieprzyjemne rzeczy. Nie byłem do tego przyzwyczajony i nie wiedziałem jak temu zaradzić. Poszedłem po radę do jednego z polskich nauczycieli, Mariana Olechnowicza, który okazywał mi życzliwość. Zapytałem go o czym chłopcy mówią, gdy z gniewem wypowiadają niezrozumiałe dla mnie słowa, takie jak „ty cholero”, „durna koza” albo „ty głupi”? Nie wymówiłem ich poprawnie, ale Olechnowicz zrozumiał.

Poradził mi jak mam postępować i zgodził się nauczyć mnie podstawowych polskich przekleństw. Z jego pomocą nabyłem arsenał stosownych odpowiedzi. Gdy ci kłopotliwi chłopcy zrozumieli, że wiem, co mówią do mnie lub o mnie, sytuacja znacznie się polepszyła i nastąpiła między nami harmonijna współpraca.

Gdy w obozie zjawił się nowy nauczyciel, chłopcy z wielką radością witali go pozdrowieniem „good morning sir”, czyli – dzień dobry panu. Ta nadmiernie serdeczna życzliwość wyglądała moim zdaniem na trochę podejrzaną. Pozostało to dla mnie tajemnicą do czasu, gdy jeden z nauczycieli polskich wyjaśnił, że „sir” chłopcy umyślnie wymawiają „ser” i w ten sposób z wielką uciechą witają mnie „dzień dobry, serze!”

Pułapki językowe na każdym kroku. Kilka tygodni po przyjeździe do obozu byłem zaproszony na podwieczorek wydany przez dr Czochańską i

dr Dawidowską. Wszyscy obecni przywitali mnie bardzo grzecznie. Herbatę podano z przepyszными wypiekami polskiej kuchni. Ciasta były po prostu cudowne. Skosztowałem jeden kawałek i na moje nieszczęście pochwalilem na cały głos, naśladując amerykańską gwara, że ciasto jest „super duper” (wspaniałe).

Zatrzęsły się filizanki u pań i nastąpiła ogłuszająca cisza – a zgorzonna gospodyni zawołała – Och, panie Henderson – nie może pan tak mówić! – Cóż takiego powiedziałem, zapytałem? – Nie! Nie! Niech pan nie mówi. Było to dla mnie ostrzeżeniem, że temat skończony. Poczułem się skrępowany do końca przyjęcia, po którym poszedłem do pani Tietze, nauczycielki polskiej szkoły podstawowej, która też była na tej herbatce. Zapytałem ją, co takiego zrobiłem, że wywołałem takie zamieszanie. Nie chciała mi powiedzieć, ale wyblagałem u niej wyjaśnienie, nie chcąc powtórki tego zajścia.

Wyjęła słownik, spąsowiała i powiedziała, że „duper” (wymawiany „dupa”) to wulgarna nazwa tylnej części ciała. Teraz ja spąsowiałem, ale wybuchnąłem śmiechem. Panie myślały, że powiedziałem – „ciasto jest do dupy!” Odtąd już nigdy nie użyłem tego wyrażenia. W dzisiejszych czasach to jest drobnostka, ale w 1947 roku nie były to słowa na popołudniową herbatkę.

Niedługo po moim przybyciu do obozu uroczyście obchodziliśmy dzień Trzeciego Maja, rocznicę Polskiej Konstytucji z 1791 roku. To było moje pierwsze zetknięcie się z polskimi obyczajami. Wczesnym wieczorem w głównej sali byliśmy raczeni deklamacjami, śpiewem i tańcem. Nie miałem zielonego pojęcia, o co tu chodziło, ale poczułem, że dzieje się coś niezwykłego i chciałem dowiedzieć się więcej o Polsce, jej historii i kulturze – wszystkiego, co da się wiedzieć.

W poniedziałek udałem się do biblioteki obozowej. Tam znalazłem wybór książek, wiele z nich pochodzących z Chicago, w którym mieszkało kilka milionów Polaków. Na szczęście znalazłem spory wybór tłumaczeń na język angielski.

Po około czterech miesiącach już byłem całkowicie zdomowiony w obozie. Lubilem uczyć i być częścią życia obozowego w ogóle. Moje wcześniejsze obawy miałem już za sobą – nawet przestałem się bać trzęsień ziemi. A miałem powód do obawy przed trzęsieniami – przeżyłem wstrząs, który nawiedził moje miasto Napier w 1931 roku, kiedy zginęło wielu ludzi i miasto było zniszczone. Zaraz po moim przybyciu do Pahiatua odczuliśmy serię wstrząśnień, którymi się mocno wystraszyłem. Wówczas myślałem, że nie dam sobie rady z tyloma silnymi wrażeniami.

Czasami w soboty chodziłem z nowozelandzkimi nauczycielami na potańcówki do pobliskich miejscowości – do Pahiatua, Mangatainoka lub Hamua. Niedziela rano – nabożeństwo o 9-tej w głównej sali obozowej.

Na początku wstawałem późno w niedzielę, ale po kilku tygodniach postanowiłem z ciekawości pójść na polską mszę św. Zapytałem innych nauczycieli czy mogę z nimi pójść. Nie widzieli żadnych przeszkód i nie pytali mnie o powód.

Mimo że nic nie rozumiałem, co się tam działo, bo wszystko odbywało się po łacinie lub po polsku, byłem w dziwny sposób poruszony. Śpiewy były wspaniałe i podnoszące na duchu. To przeżycie nie dawało mi spokoju i zachęcało do lepszego, głębszego uczestnictwa i zrozumienia.

Z czasem i za pomocą niedzielnego mszalika w języku angielskim zacząłem rozumieć, o co mniej więcej chodzi i włączyłem się w rytuał nabożeństw. Poczułem się szczęśliwszy i pewniejszy siebie niż dotąd. Zacząłem chodzić na adorację i byłem oszołomiony tym doświadczeniem – tyle przejawów uroczystości, barwy i poczucia świętości jeszcze w życiu nie odczułem. Byłem całkowicie onieśmielony. Adoracja stała się moim ulubionym nabożeństwem.

Nabożeństwo do Matki Boskiej Częstochowskiej cieszyło się szczególnym powodzeniem w obozie. Po zapoznaniu się bliżej z dziejami Obrazu poczułem się wciągnięty w Jego czar i do dziś noszę ze sobą obrazek z wizerunkiem Matki Boskiej, już nieco podniszczony przez czas.



Od lewej: Alexander Henderson i Frank Muller na trybunie po opuszczeniu jej przez dygnitarzy, odbierają żartobliwie defiladę kilku nauczycieli angielskiego w Obozie Polskich Dzieci w Pahiatua

Ciekawy byłem, dlaczego Matka Boska na obrazie ma cięcia na twarzy. Dowiedziałem się o najazdach Tatarów na Polskę i o napadzie na klasztor jasnogórski. Ten obraz posiada wielką siłę. W trudnych chwilach życia znalazłem oparcie w nabożeństwie do Matki Bożej. Po 26 latach wewnętrznej rozterki postanowiłem zostać członkiem kościoła katolickiego – nigdy tego nie żałowałem.

Przy końcu 1947 roku zmiany polityczne w Polsce odbiły się echem u nas w Pahiatua. Było prawdopodobne, że większość dzieci zostanie tu już na stałe, więc rząd Nowej Zelandii postanowił wprowadzić więcej nauki języka angielskiego do szkoły obozowej. Ułatwiło to nieco pracę nam, nauczycielom angielskiego. Nie wyglądało na to, że polscy nauczyciele mieli tu wiele do powiedzenia, co uważałem za błąd.

Nie mieliśmy wiele wspólnego z polskim gronem nauczycielskim i ich programem szkolnym. Sądzę, że oni o naszym programie też mało wiedzieli. Nic dziwnego, bo sami nie mieliśmy ustalonego programu lub wskazówek. Zostaliśmy zdani na własne decyzje jak uczyć te dzieci obcego im języka. Na początku robiliśmy to na chybił-trafił aż do czasu, gdy uświadomiliśmy sobie, że należy odrzucić nasze dotychczasowe doświadczenie i dostosować się do nowych sposobów nauczania i podejścia do uczniów.

Mimo tych starań łatwo było o wpadkę. Ksiądz Broel-Plater uczył moją klasę religii. Po jednej lekcji zatrzymał mnie przed moim wejściem do klasy i domagał się wyjaśnienia, dlaczego uczę o Adamie i Ewie sprzecznie z nauką kościoła. Nie wiedziałem, o co mu chodzi. Okazało się, że pisałem z dziećmi wypracowanie na temat ludzi z epoki kamienia. Ksiądz przyjął moje wyjaśnienie z niedowierzaniem i powiedział – no tak, tylko chłopcom pańska lekcja pomieszała się z Adamem i Ewą, a zresztą oni myślą, że pierwsi rodzice byli przecież Polakami! Księżę – powiedziałem – ja tu jestem od angielskiego nie od religii, ale przykro mi, że nastąpiło nieporozumienie. Tu zewsząd czyhają na mnie tego rodzaju pułapki, pomyślałem.

Pahiatua leży na równinie w północnej części rejonu Wairarapa. Z zachodu jest odgródzona pasmem górskim Tararua, a ze wschodu oddzielona od morza wzgórzami, ma więc dobre warunki na gorące lata i chłodne, wietrzne zimy. Cały teren idealnie nadawał się do wyzycia się dzieci i do nauki o przyrodzie. To jest jedyne miejsce, jakie znam, gdzie po mrozie następuje deszcz i znów mróz. Rano przed lekcjami często było zimno, mgliście i lodowato.

Budynki szkolne były najdalej położone od kotłowni, przez co ciepło dochodziło do klas powoli. Chłopcy z ogolonymi głowami i dziewczęta z warkoczami biegli do klas truchtem dla rozgrzewki, a nad nimi unosiły się kłęby pary z ust. Grono nauczycielskie podążało za nimi w tym samym celu. Był to wspaniały sposób na rozgrzewkę przed lekcjami.

Grzybobranie było dla nas Nowozelandczyków nowym zjawiskiem. Gdy tylko nadeszła odpowiednia pora, zabierałem moją klasę (a raczej dzieci zabierały mnie) z torbami na pobliskie wzgórza na zbieranie tych smakołyków. Chłopcom bieganie po polach i górach i przy okazji zbieranie grzybów sprawiało wiele uciechy – tak jak i mnie. Była to świetna okazja do rozmów o otaczającej nas przyrodzie, w języku angielskim, swobodnie, bez skrupowania. Grzybobranie stało się pożytkiem dla umysłu i żołądka.

Zawsze myślałem, że istnieje tylko jeden prosty sposób na gotowanie grzybów. Natomiast w obozie, w porze ich zbierania, obozowe kuchnie przyrządzały je na różne nieznane nam dotąd sposoby. Nowością było dla mnie też suszenie ich na sznurkach rozwieszanych po prywatnych domkach i kuchniach. Suszone grzyby stosowano jako przyprawę do różnych potraw.

Nowością też były dla mnie porozwieszane po okolicy napisy z przestrogą – Uwaga, Uwaga! Zabraniały one dzieciom dostępu do wielu zakazanych miejsc. Uwolnione z niedawno przebytych uciążliwych podróży i rygorystycznych obozów, dzieci poczuły się wolne i były ciekawe wszystkiego. Szalały po obozie i okolicy, robiły napady na okoliczne sady i ogrody, jedni śmiałkowicie nawet rozebrali traktor farmerowi. Sąsiedzi obozu oczywiście nie byli tym zachwyceni.

Łatwo było posądzić dzieci o złe zachowanie. Należało jednak zrozumieć ich postępowanie. Dzieci te przeszły twardą szkołę – deportację na bezkresy Syberii – ileż cierpienia i smutku! My Nowozelandczycy powinniśmy zrozumieć, że dzieci musiały się nauczyć nowych zasad postępowania w jeszcze jednym nowym dla nich kraju.

Ich werwa i zapał do życia objawiały się też w sporcie. Zabrali się do gry w rugby, piłki nożnej, siatkówki, krykieta i softball (rodzaj palanta) jak kaczkę do wody. Po niedługim czasie, wyćwiczeni w rugby przez nauczycieli Andy Nola'ego i Franka Mullera (z moim biernym udziałem) chłopcy stali się „postrachem rejonu Wairarapa”, bo przeważnie wygrywali wszystkie rozgrywki. Dziewczeta, pod kierownictwem Mary Eising, Joan Hay, a potem Pat Sloan, nie ustępowały chłopcom i były pierwsze w rozgrywkach siatkówki.

Sport był powodem mojej następnej porażki w obozie, wywodzącej się z mojej niewiedzy regulaminu wojskowego. Na początku mojego tam pobytu, podczas obchodów urodzin brytyjskiego króla w 1947 roku, Andy Nola i Frank Muller zabrali starszych chłopców do miasta Masterton na międzyszkolny turniej w rugby. Poprosili mnie, żebym zabrał młodszych chłopców na podobny turniej do Pahiatua. Uzgodniono, że pojedziemy wojskowymi ciężarówkami, a wrócimy piechotą. Plan wydawał się dobry.

Nikt niestety nie przewidział gwałtownej zmiany pogody. Około 2-giej po południu nastąpiło oberwanie chmur i po kilku minutach wszystko pływało.

Powrót dzieci pieszo do obozu w tych warunkach był nie do pomyślenia. Postanowiłem zadzwonić do obozu. Może się ktoś zlituje i przyśle po nas transport.

Do telefonu podeszła pani Zaleska, żona delegata Rządu Polskiego na Uchodźstwie. Kazała mi poczekać i poszła się dowiedzieć. Po dłuższym czekaniu powróciła do telefonu i powiedziała, że ktoś po nas przyjedzie o 3-ciej. Byłem zachwycony tak łatwym załatwieniem sprawy. Powróciliśmy do obozu cało i oszczędziliśmy sobie marszu w ulewie.

Szybko zapomniałem o tym drobnym wydarzeniu, ale po kilku dniach idąc po lekcjach obozową ulicą zatrzymany byłem znienacka przez kapitana Forsythe'a, adiutanta obozu. Wrzasnął na mnie lodowatym głosem – Henderson! Przystąp! Zrozumiałem, że będzie kłopot. Postarałem się o łagodną odpowiedź: „Czego sobie pan kapitan życzy?” On warknął: „Kto panu pozwolił zamawiać wojskowy transport, kiedy się tylko panu podoba?”. Ja na to „Dzwoniłem do obozu prosząc o jakiś transport z powodu deszczu...”. Przerwał moje wyjaśnienie i pouczał, kto tu rządzi. Pogroził mi mocnym głosem – „W przyszłości nie wtykaj nosa do wojskowego transportu, bo inaczej...!”. Ale nie dokończył zdania. Powiedziałem, że nie miałem żadnego zamiaru rozkazywać nikomu, a tym bardziej wchodzić mu w drogę.

Poszedłem do szkoły wściekły, nie rozumiejąc tej całej awantury i jak do niej doszło – jeszcze jedna przykra nauka o życiu obozowym dla mnie, nowicjusza. Moje stosunki z kapitanem były odtąd ozięble, ale musieliśmy się tolerować nawzajem, bo nie mieliśmy wyboru.

Letnie dni spędzaliśmy często nad pobliską rzeką, oddaloną około kilometra od obozu, idąc przez pola farmerskie. W dni wolne od zajęć szkolnych teren rozbrzmiewał zgiełkiem dziecięcych głosów, kiedy z wrzaskiem i śmiechem nurkowały, zeskakiwały z wysokiego brzegu, rzuciły skałami do wody i ogólnie wyżywały się.

Patrząc wstecz na tamte czasy, dziwię się, że nigdy nie było wypadków w tym zamieszaniu. W dzisiejszych czasach nie pozwolilibyśmy dzieciom na tyle swobody. Życie dzieci jest obecnie za bardzo kontrolowane. Uważam, że odebraliśmy naszym dzieciom wiele nieszkodliwych przygód dzieciństwa.

Czuję się szczęśliwy, że moja ciekawość pozwoliła mi wejść w polskie społeczeństwo i powoli nauczyć się wiele o jego kulturze, która jest tak bardzo odmienna od mojej. Pochłaniałem opowiadania tych ludzi o ich życiu przed wojną, wygnaniu z kraju, o więzach rodzinnych, szkole w Polsce, ich religii, krajobrazie rodzinnym i polskiej historii. Poczułem się wciągnięty w życie i obyczaje Polaków do takiego stopnia, że po opuszczeniu obozu miałem trudności z włączeniem się z powrotem do dawnego życia, a nawet mówiłem po angielsku już trochę inaczej, mniej poprawnie.

Wielka miłość do tych ludzi pozostała we mnie. Nauczyłem się z nimi śmiać i płakać i w wielu nieuchwytnych sposobach dzielić ich życie. To uczucie nigdy mnie nie opuściło. Część mojej natury pozostanie zawsze polską. Do dziś potrafię się wczuć w ich wspomnienia trudów i radości.

W ciągu ostatnich lat od czasu do czasu uczęszczam na polskie msze św. Włączałem się w śpiew hymnu „Boże coś Polskę”, który śpiewałem z wyraźnie wschodniopolskim akcentem. Skąd wiem, że mam taki akcent? Jednego razu pani Zaleska, słuchając jak mówię po polsku, zaśmiała się i powiedziała – Och, Aleksandrze, nigdy nie pasowałbyś w Warszawie z tym twoim wschodnim, ludowym akcentem – musimy coś z nim zrobić! Nic nie zrobiliśmy, ale jestem szczęśliwy, że Polacy mnie w ogóle rozumieją.



Dumny Alexander Henderson z Oficerskim Krzyżem Zasługi Rzeczypospolitej Polskiej, który otrzymał z rąk prezydenta Lecha Wałęsy 20 lipca 1995 roku. Pan Henderson był podziwiany i szanowany za jego wysiłek w nauczaniu się języka swoich polskich uczniów

Był to naprawdę pamiętny dzień

Allan Hughes

To zdarzenie wywarło wielki wpływ na moje życie, dlatego wspominam je tak wyraźnie po tylu latach.

Był to 1944 rok, gdy wojna szalała w Europie a ja byłem zaledwie 12-letnim uczniem, mieszkającym w Palmerston North. Obywatele naszego kraju, Nowej Zelandii, byli wielkimi patriotami; powszechnie przyjętym zwyczajem były zbiórki dla „naszych chłopców na wojnie”. Dla mnie było to ważne, bo moi dwaj starsi bracia służyli w naszym wojsku na frontach europejskich przy boku Armii Brytyjskiej. Jeden zginął w 1943, a drugi został jeńcem wojennym. Nasze drobne monety dostarczały żołnierzom wygod, takich jak koperty, papier do pisania i inne niezbędne rzeczy, które przysyłał im Nowozelandzki Związek Patriotyczny.

Nasza szkoła zbierała pieniądze na zakup paczek z żywnością dla potrzebujących dzieci w Anglii ogarniętej wojną. Klasy prześcigały się w zbiórkach, żeby usłyszeć na rannym apelu, kto zebrał najwięcej. Pewnego dnia przyszła dziwna prośba od Rządu i od burmistrza naszego miasta. Prosimi wszystkie szkoły w mieście o zwolnienie dzieci z lekcji, żeby mogły się udać na dworzec kolejowy na określony dzień. Tam miały powitać grupę polskich dzieci, które przybyły aż z Iranu.

W klasach powstała wielka przepychanka do atlasów, żeby się dowiedzieć jak to możliwe, że dzieci z Polski przybyły z Iranu. Przecież było to bardzo daleko od Nowej Zelandii i nie mogło mieć nic wspólnego z nami i z wojną. Przeglądaliśmy mapy – było wiele domysłów i podniecenia. Ciekawi byliśmy jak Polacy wyglądają. Czy będziemy mogli porozumieć się z nimi? Cieszyliśmy się z nieoczekiwanego wolnego dnia w szkole. Nasze życie było raczej szare i nudne, więc czemu nie skorzystać z okazji i nie udać się na dworzec na spotkanie z tymi ludźmi, którzy mają przejechać przez nasze miasto w drodze do Obozu Polskich Dzieci w Pahiatua.

W tamtych czasach w naszym mieście tory kolejowe biegły przez sam środek miasta (dawno już je usunięto). Tych ludzi, którzy nie mogli dostać się na sam dworzec, proszono o ustawienie się wzdłuż torów, by pomachać przybyšom siedzącym w pociągu.

Ponieważ Rosja była wówczas naszym sojusznikiem, mało wiedzieliśmy o okropnościach wyrządzonych przez nią, takich jak zbrodnie w Katyniu i masowe zsyłki ludności.

Wiedzieliśmy tylko tyle, że Polacy to też nasi sprzymierzeńcy i że nasi żołnierze na Środkowym Wschodzie uznawali ich za niezawodnych i przyjaznych. Wielu z naszych żołnierzy wziętych do niewoli przez Niemców opowiadało o poświęceniu Polaków ukrywających naszych zbiegów z niemieckich obozów jenieckich w okupowanej Polsce. Tak jak wspomniałem, jeden z moich braci był w niewoli niemieckiej w Polsce i wielu z nas uświadomiło sobie, że tu mamy okazję, żeby w jakiś sposób podziękować za to polskim dzieciom, które przybyły do naszego kraju. Wszyscy staraliśmy się wziąć jakiś upominek z domu, żeby wręczyć dzieciom na dworcu.

Gdy nadszedł dzień przyjazdu, podniecenie rośnie i wszyscy udaliśmy się na dworzec. Niektórzy na rowerach, inni pieszo, znalazło się nawet kilka powozów konnych! Benzyna była na kartki, tak jak żywność, a wojsko zatrzymało wiele prywatnych samochodów, więc ruch drogowy był mały, prócz kilku pojazdów miejskich dygnitarzy.

Po przybyciu na dworzec wyglądało, że połowa ludności miasta była już na miejscu. Musiałem się przepychać, żeby dopchać się do przodu. Nawet dzieci farmerskie tam były – ale tłum! Trudno było rozmawiać w tym zgęstnieniu głosów i podniecenia.

Nareszcie przebiegła wiadomość: „pociąg jedzie!” Minął stację Longburn i wjechał na ulicę Główną (później zmienioną na Szlak Pionierów, na której potem mieszkaliśmy z żoną i rodziną). Gdy pociąg podjechał, podniecenie sięgnęło zenitu. Był to jeden z najdłuższych pociągów, jakie kiedykolwiek widzieliśmy, załadowany po brzegi dziećmi i ich opiekunami.

Gdyśmy ich ujrzeli, nasze podniecenie zmalało. Mieli ogolone głowy, ubiór ze zlepków mundurów wojskowych. Ich twarze miały wyraz, jakiego nigdy dotąd nie widzieliśmy. Był to smutek, oszołomienie i zaskoczenie. Na ich twarzach było widać niekończące się cierpienie, ból i niedostatek, którego nigdy nie doznaliśmy. Było to wyraźnie wypisane na obliczach, a zwłaszcza widoczne w oczach – jakby pytały: „jak tu będzie? Czy będziemy bezpieczni? Czy nas tu zechcą?”

Przez krótki czas tylko patrzyliśmy na siebie. Nie umieliśmy po polsku, a oni nie mówili po angielsku. Wręczaliśmy im zabawki, jedzenie i słodycze. Lody między nami zaczęły pękać. Pokazały się u nich uśmiechy i nagle, ogromne zdumienie – tak, jakby święta Bożego Narodzenia, Wielkanoc i imieniny nastąpiły w jednym dniu. Uprzedzenia minęły i dzieci nowozelandzkie uchwyciły dłonie polskich dzieci, wypowiadając jakiegokolwiek słowa, żeby pokazać im, że je witamy w Nowej Zelandii.

Pociąg miał zatrzymać się w Palmerston North tylko na krótko, ale tak wielkie było przywitanie, że stał tu jeszcze przez dłuższy czas. Mieszkańcy tak byli wzruszeni biednym wyglądem dzieci wypełniających wagony, że

ci, którzy mieszkali najbliżej dworca pobiegli do domów pozbierać swoje ukryte „skarby”, by następnie wręczyć je dzieciom. Gdy pociąg musiał w końcu ruszyć, zawiązało się już wiele przyjaźni, a nasi ludzie zaczęli sobie uświadamiać rozmiary tej wojny i kto najwięcej przez nią cierpi.

Był to doprawdy pamiętny dzień, w którym dowiedzieliśmy się o cierpieniu polskiego narodu, najpierw z rąk Niemców a następnie Rosjan. W ogóle nie przyszłoby mi do głowy, że jeden z chłopców z tego pociągu, Jan Jarka, będzie miał syna Michała, a ja będę miał córkę June i oni pobiorą się w przyszłości. Dziwne jest życie, prawda?

Potem jedna z dziewcząt z tego pociągu, Franciszka Skierewska, mieszkała przez jakiś czas u mojej siostry, a jeden z chłopców, Michał Gliński, uczył sztuki na wieczornych lekcjach w Technikum w Palmerston North. W życiu chyba wszystkiego się można spodziewać.



1 listopada 1944 roku. Tłumy gromadzą się w Palmerston North, żeby zobaczyć polskie dzieci przejeżdżające tędy do Pahiatua. Zdjęcie robione półtora kilometra od dworca, pokazuje rozmach tego przyjęcia

Duma nauczycielki

Mary McAllister

W maju 1946 roku byłam przydzielona do grona nauczycieli języka angielskiego w Obozie Polskich Dzieci w Pahiatua, który opuściłam po jego zamknięciu, na Boże Narodzenie 1949 roku. Joan Hay i ja dołączyłyśmy do nauczycieli angielskiego już tam uczących: Margaret Storkey, Ruth Neligan, Marian Parker, Frank Muller i Andy Nola. Kierownikiem był Hugh McKinnon. Po odejściu Margaret i Ruth w zastępstwie przybyli Mary Sergeant i Alexander Henderson. Pat Sloan zastąpiła odchodzącą Marian¹ Parker. Na początku mieszkaliśmy w chatkach wojskowych, potem kobiety awansowały do wygodniejszych kwater Zastępczego Korpusu Kobiecego z tytułu za męskimi kwaterami, gdzie była też nasza jadalnia. Mężczyźni mieli osobną jadalnię.

Ponieważ mieszkaliśmy w obozie, braliśmy czynny udział w większości jego zajęć. Na początku uczyliśmy tylko angielskiego, tak dzieci, jak i dorosłych. Materiału pomocniczego mieliśmy niewiele. Nasze narzędzia pracy to: wyobraźnia, improwizacja, poczucie humoru, nieograniczona cierpliwość i sztuka dania sobie rady z nieprzewidzianym.

Pewnego dnia zapukano do drzwi klasy i wszedł premier Peter Fraser ze swiatą – był on dumny ze „swoich polskich dzieci” i zawsze troszczył się o ich dobro. Innym razem odwiedzali nas: delegat apostolski, arcybiskup, biskupi i inni dostojnicy, którzy lubili przyjeżdżać do obozu.

Po niedługim czasie wychowanie fizyczne i sport stały się częścią naszych obowiązków. Z prostej gry w siatkówkę (parę kijów i sznur lub siatka postawiona na byle skrawku ziemi) awansowaliśmy do baseballu (rodzaj palanta), koszykówki, piłki nożnej i rugby. Brak wiedzy lub wspólnego języka zastępowaliśmy zapalem tak, że drużyny obozowe z powodzeniem konkurowały z okolicą. Dziewczęta zapewne pamiętają „eleganckie pumpy” (bufiaste szorty) pierwszej drużyny siatkówki.

Nasze życie towarzyskie w obozie toczyło się pełną parą, a okazji nie trzeba było daleko szukać – imieniny, tańce w świetlicy z panią Merwid przy pianinie z kieliszkiem sherry, wygrywającą pełnym sercem melodie: *Tyś Moje Słoneczko* i *Pokarekare Ana* (maoryska pieśń). Były też msze św., pieśni nabożne i tańce ludowe wykonywane z patriotycznym zapalem.

Należąc do personelu, jeździliśmy autostopem lub wojskową ciężarówką

1. W języku angielskim Marian jest imieniem żeńskim

do kina w Pahiatua, na mecze rugby albo na prywatki. Przy jednej takiej okazji byliśmy u Ned Barry'ego na zabawie po meczu. Ned był sierżantem policji w Pahiatua i byłym *All Black* (pierwsza drużyna rugby, reprezentująca Nową Zelandię). Zawyły syreny przeciwpożarowe. Wszyscy mężczyźni byli strażakami-ochotnikami. Wstali i wybiegli. Ktoś zaczął krzyczeć: „chodźcie wszyscy – obóz się pali!”

Czym bliżej byliśmy obozu, tym lepiej było widać, że ogień był blisko naszych kwater. Paliła się stara trybuna za obozem, używana przez chłopców do trzymania kur, ukrywania swoich „skarbów” i kurzenia potajemnie papierosów. Przypominam sobie paniczne gdakanie kur, uciekających przed upieczeniem się w ogniu, oraz niektórych gapiów z sąsiedztwa goniących je, żeby zabrać sobie do domu.

Inne wspomnienia:

- Wspaniałe defilady – harcerze i harcerki, wieńce, flagi, muzyka z pompą i paradą. Pamiętam drużynowe prowadzące hufce: Irena Wierzbicka i Janina Ratuszna (krótkie nogi, długi krok). Pewnego dnia przybyła Lady Baden-Powell (przewodnicząca Światowego Związku Harcerek) i po parady zaproszono ją na herbatkę. Nas pominęto, więc sami sobie urządziliśmy „defiladę”. Frank Muller i Alexander Henderson stali na podium i z pełną „harcerską” powagą odbierali nasz „przemarsz”. Pamiętam inne wydarzenia z życia obozu:
- Dzieci lubiły być fotografowane – pozowały gdziekolwiek i kiedykolwiek.
- Po obiedzie, w gorące letnie popołudnie, dzieci przyniosły do klasy „wielki skarb”, czyli główki czosnku, wepchnęły je pod pulpity, chowając na później. Wydzielał się z nich zapach nie do wytrzymania. Wszyscy musieli wyjść na dwór. Podejrzewam, że to był podstęp, żebyśmy sobie poszli wykąpać się w rzece.
- Epidemia polio (paraliż dziecięcy) latem 1948 roku, podczas której wszyscy musieli pozostać w obozie.
- Zmora wyprawiania dzieci pociągami na wakacje szkolne lub do szkół nowozelandzkich.
- Smutek w całym obozie, gdy grupa dzieci wyjeżdżała do Polski – ale późniejsza wielka radość i duma tych dzieci, które witały swoich ojców wracających z wojny.
- Obydwie lekarki Dawidowska i Czochańska – ich życzliwość dla nas, gościnność, dowcip i wiele wspólnego śmiechu.
- Siostra Johnson w szpitalu – taka bielutka, wykrochmalona i życzliwa.
- Moja przyjaciółka pani Tietze – wspólne lekcje polskiego/angielskiego późno w nocy, zawsze przy kieliszku lub dwóch (po jednym na każdą

nogę i jeden na głowę), bo przy nich lepiej wymawiało się słówka. Moja nauka polskiego polegała na nauczeniu się wszystkich słów i zdań koniecznych do zrozumienia, co dzieci mówią o mnie za plecami, włącznie z przekleństwami.

- Mój rower – dzieci czekające zaraz po lekcjach na swoją kolejkę i sposoby używane przez Czesławę Jackowską, Marię Najbert, Irenę Wierzbicką i inne, żeby wyznaczać, kto następny.
- Szczególnie pamiętam pomysłowość dzieci przy majstrowaniu, zwłaszcza chłopców: bracia Niedźwiedzcy, Jan i Kazimierz, którzy wyłudzili, „znaleźli” lub pożyczyci różne części na zbudowanie własnego roweru – ich duma i radość.
- Na koniec, moje trwałe wspomnienia – sukces, jakim wy i wasze rodziny jesteście dla Nowej Zelandii jako grupa oraz wielki wkład, który włożyliście w tak wiele dziedzin życia, między innymi wasze utrzymanie wiary katolickiej i zachowanie polskiej kultury.

Żywię nadzieję, że to wszystko przetrwa następne pokolenia, które winny pamiętać o odwadze tych, którzy dali temu początek – czyli o polskich dzieciach z obozu w Pahiatua.



Nowozelandzkie nauczycielki języka angielskiego w Obozie Polskich Dzieci w Pahiatua, 1947 rok. Były pionierkami w nauczaniu obcokrajowców.

Od lewej: Mary Sergeant, Mary McAllister (Eising) i Joan Hay

Dobry przyjaciel

Bill McIvor

Tysiące mil dzieliły Nową Zelandię od strasznych walk II wojny światowej. Jednak, w naszym spokojnym miasteczku Pahiatua codzienne wydarzenia przypominały nam o tej rzeczywistości. Żywność i artykuły codziennego użytku były na kartki. Niedaleko od nas założono bazę amerykańskiej floty wojennej. W czerwcu odczuliśmy mocne trzęsienie ziemi. W lipcu powódź wyrządziła wiele szkód, a w sierpniu mieliśmy drugie trzęsienie ziemi, które zniszczyło to, co zdołano naprawić po ostatnim.

W 1943 roku nasze sanitariuszki opiekowały się więźniami japońskimi, których straż poraniła w czasie buntu w obozie jenieckim, znajdującym się niedaleko, w miasteczku Featherston. Pahiatua witała powracającego do domu naszego najślawniejszego bohatera, Keitha Elliota, który za swe męstwo w walkach w Egipcie był odznaczony „Krzyżem Królowej Wiktorii”.

Żadnego z tych wypadków nie odczuliśmy jednak tak bardzo, jak przyjazd polskich dzieci w 1944 roku. Do tej pory zdarzenia wojenne poznawaliśmy tylko przez oglądanie tygodniowej kroniki filmowej. Owszem, ubolewaliśmy nad każdym zabitym mężem, bratem czy ojcem z miejscowej rodziny, ale to zdarzyło się gdzieś daleko. Nagle stanęliśmy twarzą w twarz ze świadectwem ludzkiego cierpienia z przyczyny wojny, bo w sąsiedztwie zamieszkało ponad 800 ofiar tej wojny, polskich obywateli, przeważnie dzieci.

Staliśmy na rogu ulicy, patrzyliśmy na mijające ciężarówki i na smutne, zakłopotane dziecięce twarze. W ciężarówkach panowała cisza. Uważam, że słusznie nowym domem dzieci została Pahiatua, bo nazwę tę tłumaczy się z maoryskiego „miejsce spoczynku bogów”.

Wcześniej było to zimne, bezbarwne i odrażające miejsce, otoczone drutem kolczastym. W paru punktach stały wieże wartownicze, pozostałość po obozie internowanych. Każdy mieszkaniec Pahiatua robił co mógł, żeby zmienić obóz na ciepły przytułek dla dzieci. Harcerze i harcerki oczyścili teren obozu ze śmieci, dorośli zacementowali poniszczone chodniki, inni skopali i powiększyli granice ogrodu. Miejscowi fachowcy odremontowali drewniane budynki, a reszta usunęła kolczaste druty. Baraki zamieniły się na sypialnie dla dzieci. Zbudowano budynki szkolne.

Kobiety ścieliły łóżka i zawieszały firanki poszyte z podarowanych materiałów. Nazbierano kwiatów z całej okolicy, żeby każda szafka przy łóżku dziecka miała własny bukiet. Polskie dzieci nie zawiodły. Wszędzie

widziałem u nich wzorową czystość i często zauważałem jakieś dziecko czy dorosłą osobę schylającą się, ażeby podnieść kawałeczek papieru.

Młodzież z Pahiatua przyjeżdżała na rowerach do obozu i zaprzyjaźniła się z polską młodzieżą. Polskie dzieci i młodzież były poważne ponad swój wiek. Mimo poprawy stanu zdrowia, nosiły na sobie skutki ciężkich przeżyć. Nauczyliśmy się porozumiewać na migi, choć czasami dochodziło do zabawnych sytuacji, wynikających z nieodpowiedniego doboru słów czy gestów.

Wtedy minęło 21 lat od przyjazdu moich rodziców do Nowej Zelandii z Libanu, kraju zniszczonego wojną i będącego pod obcym okupantem. Możliwe, że dlatego ojciec, na jednym z zebrani miejskich obywateli, stracił panowanie nad sobą. Tego wieczoru pewien sklepikarz protestował przeciw temu, że polskie dzieci dostają czekoladę za darmo, podczas gdy mieszkańcy Pahiatua muszą za nią płacić (Rząd Nowozelandzki uważał za podstawową konieczność przywrócenie zdrowia dzieciom i dlatego obóz był dostatecznie zaopatrzony w mięso, ryby, ser, mleko, jarzyny i okazynie czekoladę). Sklepikarz zaklął: „Do cholery! – ci mali cudzoziemcy dostają prezenty, a ja za to płacę!”

Ojciec, zwykle grzeczny w obejściu z ludźmi, wstał, wskazał palcem na sklepikarza i głosem drżącym od wzruszenia, powiedział, jak powtórzono mi potem: „Pańskiej wypowiedzi brakuje serca. Gdy pan dzisiaj wróci do domu, niech pan spojrzy na swoje troje dzieci i zapyta sam siebie – Czy choć jeden raz w życiu były one głodne? – Czy w zimie musiały spać na dworze? – Czy patrzyły na członka rodziny konającego z wycieńczenia lub zabitego przez obcego człowieka? – Czy zbudziły się któregoś ranka, pełne trwogi, że to ich ostatni dzień na tej ziemi? – Czy kiedyś gnębiła pana myśl, że dzieci będą mu odebrane? – Każde z tych dzieci pamięta jedno lub więcej z takich przeżyć, które towarzyszyły im przez ostatnie 5 lat i pan ma czelność narzekać, że pańskie dzieci nie dostają tyle czekolady co one! Nim pan zacznie nalegać, ażeby pana wniosek przyjęto pod głosowanie, proszę, niech pan powie tu wszystkim zebranym: wołałby pan, żeby pańskie dzieci porodziły się w Polsce, czy jest pan wdzięczny Bogu, że w Nowej Zelandii?! Wszyscy obecni rżęsiście oklaskiwali wypowiedź ojca, tylko sklepikarz wyszedł z zebrania i potem nigdy już nie rozmawiał z ojcem.

Do dziś noszę w pamięci bogate wspomnienia z lat 40-tych. Żyję w bliskiej przyjaźni z jednym z polskich chłopców, Zdzisławem Kaczorowskim. Cenię jego przyjaźń i jestem wdzięczny za okazaną mi serdeczną polską gościnność.

„On tu jest!”

Claire Ny

Przy końcu lat 80-tych Ministerstwo Spraw Zagranicznych obsadzało placówki nowym personelem i w tym celu szkoliło naszą grupę, może 11 osób. Między innymi musieliśmy przejść parodniowy kurs na temat nowozelandzkiego obywatelstwa. Jedną z instruktorek w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych była Stefa Zawada. Gdy dowiedziała się, że jadę z delegacją do Iranu, szepnęła – tam jest pochowany brat mego męża, ale rodzina nie wie, gdzie on leży. Odruchowo obiecałam, że go znajdę.

Na drugi dzień Stefa podała mi skrawek papieru, na którym było napisane: „Claire, mój mąż Józef bardzo ucieszył się, że tam jedziesz. Jego brat Ludwik Zawada zmarł w Teheranie, w 1942 roku. Bardzo prosimy o zdjęcie jego grobu”. Więc, na podstawie tej skąpej wiadomości i paru danych o polskich dzieciach w Nowej Zelandii – sprawa rozwinęła się. Piszę do Stefy z Teheranu, 18 listopada 1987 roku:

„Moja droga Stefo,

Nie, nie zapomniałam o tobie i piszę do ciebie i twego męża, a tylko radosne myśli cisną mi się do głowy.

Dzisiejszy dzień był dla mnie pełen burzliwych przygód. Pojechałam z jednym kierowcą z ambasady, Ormianinem (nazywał się Eddi). Byłam mu wdzięczna za pomoc i towarzystwo. Jak na pewno zgadłaś – odnaleźliśmy Ludwika Zawadę. Usiedliśmy na jego grobie – pomyślałam o Was i rozplakałam się. Płakałam łzami waszej wieloletniej rozłąki i nad losem, który zostawił Ludwika tu, a was rzucił tam, gdzie teraz jesteście. Wspomniałam, że to była przygoda, więc muszę napisać o wszystkim. Dopiero teraz, jak piszę do was, zdarzenia dnia dzisiejszego urzeczywistniają się.

Eddi dowiadywał się, gdzie mam zacząć poszukiwania. Dziś pojechaliśmy do klasztoru i jedna z siostr pamiętała opowiadania o polskich dzieciach. Rozmawialiśmy o ich długiej tułaczce i o ich cierpieniach. Wy tłumaczyła nam, gdzie znajduje się Polski Cmentarz, ale radziła, żeby jeszcze porozmawiać z księdzem, Włochem, bo może on będzie miał spis nazwisk. Przejechaliśmy jeszcze raz przez cały Teheran i chyba cudem znaleźliśmy tego księdza. Był dla nas bardzo serdeczny i dał nam nawet plan cmentarza.

Na pewno domyślasz się, że nie jest łatwo znaleźć drogę w Teheranie. Zaczynaliśmy błądzić. Eddi zatrzymał taksówkę, prosząc o wskazówki. Cóż

za pomyślny zbieg okoliczności! Kierowca powiedział nam, że właśnie jedzie w tamtą stronę i żebyśmy jechali za nim. Potem dał na gaz i my też. Był jakby naszym aniołem stróżem. Parę razy myśleliśmy, że zgubiliśmy go, a on za następnym zakrętem stał i czekał.

Znaleźliśmy cmentarz. Odczuwałam, że Ludwik jest blisko, ale starałam się uspokoić swe podniecenie, bo cóż, mogę być zawiedziona. Przy bramie jakiś starszy pan przywitał nas i wskazał nam polską część cmentarza. Tu ogarnęło mnie silne wzruszenie: – długie rzędy grobów ciągnących się w dal, małych szarych nagrobków, czystych i zadbanych. Stefa, ileż tu małych dzieci! Tyle przedwczesnych zgonów! Tyle cierpienia! Odczułam to głęboko.

Zaczęliśmy poszukiwanie. Mówiłam w myśli do siebie: „Przestań podniecać się, to może być tylko początek”, a tu nazwisko Ludwika stanęło mi przed oczyma. Zawołałam: „On tu!”. Poczułam się obezwładniona, usiadłam przy nim i płakałam. Położyliśmy kwiaty na grobie i zrobiłam wiele zdjęć. Wyślę je Wam jak tylko będą gotowe.

Proszę napisz mi, jeśli ktoś z waszych przyjaciół poszukuje tu rodziny, chętnie pomogę. Napęla mnie smutek, szczęście i radość, ale równocześnie czuję dziwny spokój. Przez pierwsze dwa miesiące w Teheranie nie mogłam przyzwyczaić się do nowego otoczenia, ale wiem, że teraz będzie inaczej. Z serdecznym pozdrowieniem, Claire Ny”.

Pracowałam na różnych placówkach, ale zawsze utrzymywałam kontakt z Zawadami. Następnie przeniesiono mnie do Wellingtonu. Pewnego dnia zatelefonowała Stefa i powiedziała mi, że jadą z Józkiem do Iranu. Bardzo wzruszona i podniecona powiedziałam: „Moja przyjaciółka, Bronwyn Williams, pracuje w nowozelandzkiej ambasadzie w Teheranie, ona zaopiekuje się Wami”. Natychmiast zawiadomiłam koleżankę.

Bronwyn spotkała Stefę i Józka na jednej z uroczystości obchodu 60-tej rocznicy przyjazdu polskich uchodźców do Iranu – poświęcenie Polskiego Cmentarza na Dulab, w Teheranie, 21 kwietnia 2002 roku. Między innymi, tak mi o tym napisała:

„Był słoneczny, wiosenny ranek jak wyruszyliśmy na cmentarz. Dużo ludzi już tam czekało na samolot z Warszawy. Przyjechali polscy żołnierze, katolicki biskup, patriarcha Kościoła greckokatolickiego, przedstawiciele warszawskiej żydowskiej wspólnoty i polskie władze państwowe. W chwili, gdy biskup rozpoczął mszę św., usłyszeliśmy głos muezzina z galeryjki najbliższego meczetu, wołający na modlitwę”.

W czasie tej uroczystości Bronwyn, pomimo że mogła usiąść pomiędzy gośćmi, wołała zostać z Józkiem i Stefą. Potem Stefa powiedziała mi – „Czułam, że Nowa Zelandia jest blisko i cały kraj wspiera nas”.

Na pogrzebie Józefa Pieczary

Vel Puke

Dla nas Nowozelandczyków nazwisko „Pieczara” da się wypowiedzieć, ale trzeba je wymawiać powoli. Było inaczej, gdy po raz pierwszy starałem się to nazwisko przeczytać i w dodatku wiedziałem, że jest pochodzenia polskiego. Nie wiadomo, z której strony zaczynać! Dlatego w naszym sąsiedztwie nazywaliśmy go Joe (Józek) lub mister Pole (pan Polak).

Moja żona Maria i ja znaliśmy Józefa przez 42 lata. Przepraszam, „znaliśmy go” to złe określenie, bo Józef, będąc niezależnym, powściągliwym i samowystarczalnym człowiekiem, nie szukał znajomości. Jednak w czasie paru ostatnich lat zaprzyjaźniliśmy się. Często rozmawialiśmy o tym i o owym. Niebawem zesłiliśmy na temat polityki światowej. Dużo teraźniejszych zdarzeń ma swe początki w przeszłości i tak wróciliśmy do wypadków, które sprowadziły go do Nowej Zelandii.

Miał zaledwie 11 lat, gdy w 1944 roku z grupą polskich dzieci (które złączył sierocy los) przyjechał do Nowej Zelandii, gdzie umieszczono je w Obozie Polskich Dzieci, w Pahiatua. Ci Nowozelandczycy, którzy pamiętają II wojnę światową, dobrze wiedzą o ciężkim położeniu tych dzieci.

Latem, niespełna rok temu, pojechaliśmy z nim do Pahiatua i oglądaliśmy miejsce, gdzie dawniej stał obóz. Z tego, co mi opowiadał Józef, wynioskowałem, że w czasie tych paru lat w obozie życie płynęło mu spokojnie. Ale wiem także, że w duszy nosił wspomnienia wydarzeń, które by nas zadziwiły i zaniepokoiły. Józef nie potrafił o tym mówić. Wolał zajmować się codziennymi sprawami.

Jednak czasami otwierał się. Pamiętam, gdy rozmawialiśmy na temat likwidowania mniejszości narodowych w Kosowie, Józef uśmiechnął się i z kwaśnym grymasem powiedział: „My, dużo lat przedtem, byliśmy podobnie wyrzucani z Polski, ale nikt o tym nie wspomniał i nikt nic nie zrobił”.

Całe swe życie Józef przepracował w rzeźniach. Zaczął pracę w Petone, pracował w Tomoana, Ocean Beach, Ngauranga i wielu innych miejscowościach. Z początku trudno mu było zapuścić korzenie. Jako młody człowiek prowadził beztroskie życie.

Rozmawialiśmy często na różne tematy i doszedłem do wniosku, że Józef myśli głęboko i że rozsądnie kojarzy wydarzenia. Znał dobrze historię Środkowego Wschodu. Nie była mu obca kultura tego rejonu i wpływy Dżyngis Chana. Znał historię powstania narodów słowiańskich i ich obecne

stosunki. Szczegółowo znał historię Rosji i kochał Leningrad (teraz Petersburg). Słuchał muzyki poważnej, oper Wagnera. Na pierwszy rzut oka nikt by się nie domyślił, że tyle mieści się w głowie tego człowieka. Wiedziałem o jego przeżyciach, więc podziwiałem jego odporność, upór w osiągnięciu celu i siłę charakteru. Prawdą jest, co powiadają: „ciche wody płyną głęboko”.

Parę lat temu Józef odwiedził Polskę i miejsce swego urodzenia. Mówił mi, że chciałby wrócić do Polski i tam być pochowany. Ale powiedział mi też, że nie ruszy się dopóki jego ukochany kotek Louie (Ludwiś) jeszcze żyje.

Zastanawiałem się czy nie poprosić Józefa, żeby pozwolił mi nagrać na taśmę jego życiorysu. Cóż, jak większość mych postanowień w życiu, odkładałem, a teraz już jest za późno. Nie wiem, czy Józef zgodziłby się.



Z kolegami w Obozie Polskich Dzieci.

Stoją, od lewej: Józef Pieczara, Stefan Waniuk, Tadeusz Budny, Henryk Kapera, Tadeusz Reder

Kłęczą: Teodor Piesocki, Zbigniew Popławski, Tadeusz Mazur

Trzech wspaniałych chłopców

Sheila Quirk

W 1944 roku, gdy byłam uczennicą w szkole św. Józefa w Palmerston North, naszą klasę wysłano na dworzec, żeby przywitać dzieci przejeżdżające koleją do Obozu Polskich Dzieci w Pahiatua i rozdawać im lody w kartonikach. Nigdy nie zapomnę małej dziewczynki, która schowała kartonik z lodami do swojej torby.

Po upływie czasu ksiądz z parafii św. Patryka w Palmerston North zwrócił się do ludzi z prośbą o zakwaterowanie dzieci, które miały uczęszczać do miejskich szkół. Moja matka, właścicielka hotelu Princess, postanowiła wziąć jednego chłopca. Zanim on przyjechał, ksiądz poprosił, żeby wzięła dwóch, bo uważał, że jeden może czuć się samotnie, nie znając języka angielskiego. Moja matka oczywiście zgodziła się i w końcu przybyło dwóch chłopców – Leszek Powierza i Mikołaj Woźniak.

Byli rozkosznymi dziećmi, na wszystko zawsze odpowiadali „yes” (tak), bo tyle tylko znali języka angielskiego. Gdy z czasem poznali więcej słów naszej mowy, jednym z przepisów domowych było, że wolno im rozmawiać między sobą po polsku tylko wtedy, gdy zmywali naczynia. Oczywiście, zawsze chętnie zgłaszali się do tej pracy.

W niedługim czasie ksiądz znów prosił o przysługę. Jeden z chłopców nie był zadowolony ze swojej kwatery. Czy możemy go przyjąć? Z tego powodu przybył do nas Mikołaj Gliński. Nie zajęło im długo, żeby stali się częścią naszej rodziny. Myślę, że mieliśmy u siebie dwóch Mikołajów przez jakieś trzy lata, a Leszka około pięciu.

Leszek ostatecznie przeniósł się do Noosa w Australii. Jego matka i bracia żyją w Nowej Zelandii tak, że widzieliśmy go tylko kilka razy przez te lata – ostatni raz podczas szkolnego zjazdu w Palmerston North, gdzie spotkaliśmy też Mikołaja Glińskiego, który mieszka w Londynie. Nigdy nie spotkałam już Mikołaja Woźniaka. Nie był na zjeździe. Myślę, że był chory, a teraz mieszka w Wellingtonie.

Pani konsulowa

Valerie Roy-Wojciechowski

Uważam się za uprzywilejowaną, dlatego że małżeństwo z Janem Wojciechowskim pozwoliło mi zapoznać się z Polakami i że dało mi wgląd w ich charakter, wiarę, historię i kulturę ich kraju.

Po raz pierwszy widziałam Jana krocącego przez hol budynku, w którym dopiero zaczęłam swoją pierwszą pracę. Choć mógłby być kimkolwiek z pracowników, wiedziałam podświadomie, że to na pewno ten Polak, początkujący księgowy, o którym opowiadał mój nowy przełożony. Od razu zauważyłam u niego zdecydowanie – cechę, którą później widziałam u innych Polaków.

Wiedziałam, że jest kimś zdecydowanie innym i miałam nadzieję, że będzie kiedyś kimś specjalnym dla mnie. Gdy później spotkałam resztę rodziny Wojciechowskich, byłam pod wrażeniem ich schludnych, wygodnych i gościnnych domów, które były świadectwem ich ciężkiej pracy i zapobiegliwości. Odczuwałam u nich głębokie poczucie więzi rodzinnej. Cieszyłam się, że zaakceptowali mnie i przyjęli do swego grona. Zawsze byli dobrzy dla mnie i z chęcią pomagali w czym tylko mogli.

Wkrótce poznałam smak polskiej kuchni – kielbasa, kiszone ogórki, bigos, gołąbki, zimne nóżki, babka i sernik. Upłynęło trochę czasu, zanim przyzwyczaiłam się do niektórych dań, ale są one teraz dla mnie ulubionymi smakołykami.

Spotkałam pełnych życia przyjaciół Jana, którzy zbierali się w niedzielne popołudnia u pani Kozery. Były tam ożywione rozmowy, najczęściej po polsku, z polską muzyką ludową i śpiewem, podczas gdy pani Kozera darzyła nas niekończącą się dostawą kanapek, takich, jakich do tej pory nigdy nie zasmakowałam.

Zanim pobraliśmy się, przez dwa lata mieszkałam w Bursie Polskich Dziewcząt w Wellingtonie. I tu doznałam całkiem nowych doświadczeń. Moi dwaj bracia byli o wiele starsi ode mnie i nie miałam siostry, a tu byłam otoczona dziewczynkami w moim wieku oraz starszymi i młodszymi. Cieszyłam się z przynależności do tej żywiołowej rodziny.

Siostry Urszulanki, nasze opiekunki, były życzliwe i praktyczne. Często żartowały ze mnie, prosząc, żebym pytała o posiłki i bieliznę po polsku, ciesząc się moją śmieszną dla nich wymową. Pobierałam lekcje polskiego od siostry Alexandrowicz i do dziś żałuję, że zaniedbałam dalszej nauki.

O wiele łatwiej zapamiętałam słowa wówczas przyswojone niż te, których później starałam się nauczyć. Szczerze mówiąc, przestałam się starać mówić po polsku. Jestem szczęśliwa, że mogę chociaż czasami zrozumieć o czym jest mowa.

W pierwszych latach naszego małżeństwa, zanim nasza rodzina powiększyła się, obchodziliśmy wigilię u Jana rodziny. Nie byłam w stanie przynieść czegoś z tradycyjnych 13 dań, tak różniących się od pieczeni wieprzowej, grochu i fasoli, do których byłam przyzwyczajona. Byłam też pod wrażeniem tego jak moja bratowa, po całej pracy i przygotowaniu wigilii, w następny dzień podawała do stołu pełny obiad według kuchni nowozelandzkiej. Zresztą wszystko u moich bratowych i Polek w ogóle napawa mnie podziwem – ich dar do prac domowych, gotowania, szycia, robienia na drutach, ręcznych robótek i utrzymania ogrodu.

Zaangażowanie Jana w swoim zawodzie, długie godziny pracy i nasza zwiększająca się rodzina, wszystko to trzymało nas przez wiele lat z dala od Polonii, poza odwiedzinami u rodziny i czasami u przyjaciół. Nieraz byłam zaskoczona, gdy mówił po polsku, ale przeważnie starał się być zwyczajnym Nowozelandczykiem. Minęło wiele lat zanim zaczął opowiadać swoim dzieciom o przeżyciach swojej rodziny przed ich przybyciem do Nowej Zelandii, o domu w Polsce, o pobycie w Rosji i Iranie i Obozie Polskich Dzieci w Pahiatua. Wszystkiego dowiadywałam się w urywkach i do dziś dowiaduję się czegoś nowego.

Jan przeszedł na emeryturę w 1994 roku. Mając jeszcze życie przed sobą, postanowił włączyć się w sprawy polskie. Rozpoczął funduszem na studia polskiej historii na uniwersytecie w Auckland. Zaczęliśmy chodzić na polskie msze św. w każdą niedzielę, gdy byliśmy w Auckland. Ponieważ lubię brać pełny udział, czytałam modlitwy po polsku. Sądzę, że wymawiałam nieźle i jest mi z tym coraz łatwiej. Zaczynam powoli rozumieć, co czytam – do tej pory musiałam skupiać się nad każdym trudnym słowem. Lubię polskie hymny, są piękne a zarazem łatwiejsze do śpiewania niż wymawianie słów.

Przez ostatnie kilka lat w naszym domu zaczęły się pokazywać strumienie polskich książek, taśm i kaset z muzyką. Ponieważ niektóre z książek są rzadkimi i cennymi okazami, zaczęłam wpisywać ich tytuły do bazy danych w komputerze. Trudności z pisanem po polsku dla rąk przyzwyczajonych do pisania tylko po angielsku, okazały się też w pisaniu polskich słów na maszynie. Mózg musi przekazać palcom, którą kombinację liter użyć, a palce nadal płaczą się przy nieznanym im kombinacjach. Ale wytrwale stuktałam literę po literze, czasami nie rozróżniając tytułu książki od jej autora, zwłaszcza, gdy były to życiorysy.

Gdy założyliśmy z mężem Polski Klub Literacki, stworzyłam członkowską

bazę danych i wysłałam zaproszenia. Pierwsze zebranie odbyło się w naszym domu. Sprawdziłam swoje zdolności na komputerze przez sporządzenie biuletynu z przeglądem książek, które uważaliśmy, że zaciekawia członków.

Potem zaprojektowałam kartę członkowską dla Związku Sybiraków oraz zaproszenia na ich doroczne przyjęcia. Żeby ułatwić rozsyłanie, stworzyłam bazę danych dla Związku oraz dla innych organizacji polskich w kraju. Wpisałam na bazę listę 733 dzieci uchodźców. Szczęśliwie się złożyło, że Józef i Stefania Zawada mieli tę listę wspólnie uzupełnioną. Używam jej często. Podziwiam ich za obszerne badania nad obecnymi adresami byłych dzieci i za ich pracę w tutejszym społeczeństwie polskim.

Byłam podniecona, gdy Jan został mianowany Konsulem Honorowym Rzeczypospolitej Polskiej. Był to wielki zaszczyt, choć zasłużony. Bardzo się niecierpliwiłam z powodu długotrwałego załatwiania formalności związanych z tym mianowaniem, bodajże więcej niż sam Jan. Czasami nie wierzyłam, że to się dzieje. W międzyczasie przeżywałam nad odpowiedzialnością, jaka nas czeka, i nad tym, jak najlepiej będę mogła mu pomóc.

Ostatecznie, w piękny marcowy dzień 1999 roku, w naszym ogrodzie zebrała się rodzina, dostojnicy i znajomi. Dr Tadeusz Szumowski, ambasador Polski w Canberze, jego żona Agata i minister Spraw Zagranicznych Don McKinnon przybyli na tę uroczystość i dokonali formalności mianowania. Przygrywał trzyosobowy zespół, który szybko wyuczył się polskiego hymnu narodowego, obok nowozelandzkiego. Był to dla nas pamiętny dzień.

Następnego dnia polskie społeczeństwo w Domu Polskim witało Jana jako swego konsula. Były przemowy ambasadora i konsula honorowego. Panie przygotowały piękny poczęstunek a dzieci deklamowały polskie wiersze, śpiewały i tańczyły. W niedzielę ksiądz Wrona odprawił mszę św. w intencji nowego konsula, na którą przybyli ambasador z żoną, przed ich odlotem do Tasmanii.

Nie wiedzieliśmy, że bycie honorowym konsulem oznacza przynależność do Konsularnego Klubu w Auckland – wspólni ludzie, niektórzy urodzeni w kraju swego pochodzenia, inni urodzeni już tutaj. Członkowie klubu i ich żony, czasami mężowie, są praktyczni i niewiarygodnie przyjaźni. Mamy wspólnie spotkania w czasie uroczystości narodowych lub z okazji obchodu urodzin królów, cesarzy albo prezydentów.

Najważniejszym wydarzeniem było przyjęcie na 80-tą rocznicę założenia Konsularnego Klubu, na które należało przebrać się w stylu lat 20-tych lub w stroje ludowe swoich ojczyzn. Wybraliśmy z Janem stroje polskie, pożyczone od znajomych. Ubranie się po raz pierwszy w ten strój było dla mnie tak samo ważne, jak włożenie niegdyś ślubnej sukni. Podziwiano nas wielce za nasze kolorowe stroje. Po zapytaniu, dlaczego przedtem ich nie nosiliśmy,

od razu zamówiliśmy w Warszawie dla nas stroje, w które ubraliśmy się na przyjęcie dla uczczenia wstąpienia Polski i dziewięciu innych krajów do Unii Europejskiej. Z tej okazji następnego dnia kardynał Williams odprawił mszę św. w katedrze.

Odwiedziłam Polskę kilka razy, pierwszy raz w 1990 roku. Jan już był tam wiele razy, ale wówczas nie miał ochoty wystawić mnie na ówczesną biurokrację, z którą borykał się zanim Polska odzyskała niezależność w 1989 roku. Zresztą pilnowałam jeszcze dzieci w domu. Zawsze się martwiłam, gdy odjeżdżał. Nie miałam pewności czy nie wybuchną jakieś rozruchy polityczne i czy Jan, ze swym polskim nazwiskiem, nie zostanie jakoś w to wmieszany. Kazałam mu dzwonić przed każdym jego wyjazdem z Polski.

Moje pierwsze wrażenie z Warszawy, naszego portu przylotu, potwierdziło mój dotychczasowy obraz Polski – mdłego, szarego kraju, który był pod wpływem Rosji i komunizmu przez 45 lat. Pozostały ślady tej okupacji w bardzo podstawowych urządzeniach lotniska, w surowym stanie hotelu, nudnych częściach miasta i sklepach wyglądających jak hurtownie.

Ale niedługo potem odczułam coś szczególnego, choć bardzo trudnego do ujęcia w słowa. Był to nieustraszony duch narodu polskiego, który przenikał cały kraj i był tak namacalny, że zdawało się, iż mogłam odciąć kawałek i zabrać go ze sobą – i w rzeczywistości zabrałam – do swego serca. Myślę,



Spokojna emerytura. Jan i Valerie Roy-Wojciechowski na swoim jachcie w zatoce w Auckland, Nowa Zelandia

że rozumiałam wtedy, co znaczy być Polakiem i jak przetrwać wszystkie nieszczęścia.

Gdy zwiedzaliśmy Warszawę, Kraków, małe wioski i zobaczyliśmy piękne krajobrazy, okazało się, że Polska na pewno nie jest krajem mdłym i szarym. Piękna architektura miast; pomniki, zwłaszcza ten na Westerplatte, gdzie na początku II wojny światowej Polacy wstrzymywali najazd Niemców przez cztery tygodnie i w Gdańsku, gdzie powstała Solidarność; zdumiewająca liczba okazałych kościołów; urocze wsie, jakby nienaruszone od wieków; łąny dojrzewającego zboża skropione bławatkami i makami oraz cudownie pachnące bzy w rozkwicie.

Na Jasnej Górze, ponieważ przybyliśmy z tak daleka, dano nam miejsce blisko ołtarza Czarnej Pani w czasie odsłonięcia wizerunku przy odgłosie trąb. Ta uroczystość, będąca uosobieniem głębokiej wiary Polaków w Boga i w Matkę Boską, Królową Polski, zarazem pokazująca niezwykły duch Polaków, była niezwykle wzruszająca.

W 1998 roku zabraliśmy do Polski nasze sześcioro już dorosłych dzieci. Byłam ogromnie uradowana, że poczuły się tam całkowicie jak u swoich – że czuły się częścią ojczyzny swego ojca, ich ojczyzny. Mieliśmy wspaniały pobyt, zwiedzaliśmy wszystko, co się dało zobaczyć w krótkich dwóch tygodniach. Gdy padaliśmy wykończeni na łóżka każdego wieczoru, nasze dzieci szły sobie na miasto, żeby przyłączyć się do zabawy młodych Polaków.

Jedno wspomnienie z Polski jest dla mnie znakiem mojego nieustannie rosnącego uczucia, że zostałam przyjęta do narodu polskiego na tyle, na ile to jest możliwe u Nowozelandki brytyjskiego pochodzenia.

Przechadzaliśmy się główną ulicą Zakopanego, zatłoczoną wesołym tłumem ludzi na wczasach. Nagle usłyszeliśmy stukot końskich kopyt i brzęk małych dzwoneczków. Wszyscy stanęli, żeby się przyglądać. Zaraz pokazali się jeźdźcy na koniach – mężczyźni w strojach ludowych. Za nimi konie, zaprzężone do bryczek, były przystrojone w małe dzwonki, czerwone uzdy i frędzle. W pierwszej siedzieli młody mężczyzna i kobieta w strojach ludowych; była to para młoda. W następnej bryczce jechały pary, wyglądające na dumnych rodziców. Orszak zamykał wóz z muzykantami, którzy przygrywali na harmonii i skrzypcach.

Cała scena dech zapierała – a myśmy zostawili swoje aparaty w samochodzie! Cały korowód zatrzymał się niedaleko od nas i orszak weselny udał się do fotografa. Czy zdążymy pobiec do samochodu po swoje aparaty zanim oni wyjdą?

Pobiegliśmy pędem wzdłuż ulicy i powróciliśmy tuż przed wyjściem pary młodej od fotografa. Narobiliśmy wiele zdjęć jak wchodzili do bryczek. Nim ruszyli z miejsca, stała się wspaniała rzecz. Tłum ludzi, cierpliwie oczekujący

z nami zaczął śpiewać „Sto lat”. Ja, Nowozelandka z drugiego końca świata, byłam tak poruszona tym wydarzeniem, że czułam się w tej chwili jak zwykła Polka, przyłączyłam się do wspólnego śpiewu.

Wspaniałym dla mnie wydarzeniem w 2004 roku było wydanie życiorysu Jana *A Strange Outcome: The Remarkable Story of a Polish Child* (Osobliwy Wynik: Dzieje przetrwania polskiego dziecka). Promocja książki w Auckland i Wellingtonie wzbogaciła mnie duchowo. Byłam obecna na Jana odczytach i wystawach książki w całym kraju.

Teraz z zapalem zajmuję się naszym Polskim Muzeum, którego założenie planowaliśmy od pewnego czasu i które doprowadziliśmy do skutku. Mamy nadzieję, że dzięki dostarczonym eksponatom, będzie to wspólne przedsięwzięcie Polaków w Nowej Zelandii. Każda podarowana rzecz będzie pilnie udokumentowana, żeby dzieci i wnuki ofiarodawców mogły w nich rozpoznać swoich przodków – mogą oczywiście prosić o zwrot rodzinnych pamiątek. Dzięki temu zapewnieniu mam nadzieję, że Polacy chętnie będą składali swe cenne rodzinne pamiątki w tym muzeum. Żywię nadzieję, że muzeum będzie ogniwem między Polakami i Nowozelandczykami; dla tych drugich będzie to nauka o Polsce taka, jaką ja otrzymałam i moje dzieci będą otrzymywały.

Cieszę się ze spotkań z Polakami i czasu z nimi spędzonego. Mam szczęście być częścią tej wspólnej, wspaniałej rodziny polskiej w Nowej Zelandii. Żywię nadzieję, że nadal będę mogła w jakiś sposób przyczyniać się do jej dobra przez swoje wsparcie jako „pani konsulowa”, jak Jan lubi mnie nazywać.

Wybór wspomnień Nowozelandczyków

Przedsiębiorczość polskiego dziecka

Gordon McArthur

My Nowozelandczycy jesteśmy znani ze swojej przedsiębiorczości. Daj nam drobną monetę, kawałek sznurka i drutu, a naprawimy wszystko. Dowiedziałem się niebawem, że są sprytniejsi od nas. My, trzej przyjaciele ze szkoły w Pahiatua, dowiedzieliśmy się coś niecoś nowego podczas odwiedzin w pobliskim Obozie Polskich Dzieci.

W naszej klasie puściliśmy w obieg czapkę i zebraliśmy wystarczającą kwotę na zakup pomarańczy i bananów dla polskich dzieci w obozie. Chcieliśmy w ten sposób powitać ich u nas i w ogóle spędzić z nimi czas po przyjacielsku, pograć razem w piłkę i postarać się nawzajem zrozumieć. Pamiętam, że bawiliśmy się świetnie.

Pewnej soboty pojechaliśmy do obozu rowerami, przekazaliśmy swoje dary i poszliśmy bawić się z chłopcami. Po kilku godzinach zbieraliśmy się do powrotu, ale brakowało nam jednego roweru. Przeszukaliśmy obóz przy pomocy dzieci i ich opiekunów, niestety bez skutku. Cała sprawa nabrała rozgłosu. Odbyły się poważne rozmowy, w jaki sposób rozwiązać ten problem, gdy ktoś oznajmił, że rower się odnalazł.

Wynik poszukiwań był zadziwiający. Rower znaleziono pod materacem jednego chłopca, całkowicie rozebrany do najdrobniejszej śrubki – było to naprawdę zdumiewające. Był to ponury objaw przedsiębiorczości, który powstał u dzieci walczących o przetrwanie w warunkach przymusowego wygnania z ich kraju. Zawsze będę pamiętał to zajście, które przyczyniło się do mojego szacunku dla tych ludzi, którzy teraz są wartościowymi obywatelami Nowej Zelandii.

Przykładem dla nas wszystkich

Maureen Mokrzecki

Po opuszczeniu obozu w Pahiatua mój mąż Jan Mokrzecki uczęszczał do gimnazjum św. Patryka w Wellingtonie, gdzie osiągnął bardzo dobre wyniki, które zapewniły mu wstęp na uniwersytet Victoria w tym mieście. Tam otrzymał dyplom architekta. Podczas studiów podejmował prace fizyczne, takie jak mycie naczyń w jadłodajniach. Spotkaliśmy się w czasie wakacji w New Plymouth, zakochaliśmy się w sobie, a dwa lata potem pobraliśmy się i wychowaliśmy czwórkę dzieci. Po ukończeniu uniwersytetu wszystkie obrały dobre zawody.

Pewnego razu poproszono Jana o zaprojektowanie budynków szkolnych i parafialnych. Projekty te wykonywał w czasie wolnym od swoich zajęć zawodowych, a które potem ukazały się w prasie Taranaki Herald. Pomagałam mu w odnowieniu starego domu farmerskiego.

W późniejszych latach Jan podupadł na zdrowiu. W latach 1980-tych operowany był na raka żołądka. Mimo tej choroby prowadziliśmy własny zakład organizujący różne przyjęcia, takie jak śluby, konferencje itp. W tym czasie Jan przeszedł operację serca. Po sprzedaniu interesu kupiliśmy duży dom na wybrzeżu w Waikanae. Po pięciu latach i kosztownych przeróbkach Jan powiedział, że sprzedajemy go i ruszamy w podróż.

Ten człowiek, który po wszystkich przeciwnościach losu zaczynał od zera, osiągnął sukces finansowy. Jestem przekonana, że jego współrodacy są z niego tak dumni jak dumna jest jego rodzina. Jest dla nas natchnieniem.

Pahiatua wspomina

50-ta rocznica przybycia polskich dzieci w 1994 roku

Jean Eddie (prezesa Związku Muzealnego w Pahiatua i okolicy)

Święto Pracy (Labour weekend) w październiku 1994 roku było nie tylko pamiętnym trzydniowym przeżyciem dla byłych polskich dzieci, ale też dla naszego komitetu w Pahiatua, który powstał do pomocy w przygotowaniach tego obchodu w naszym mieście. Były to wzruszające chwile.

Ponad 1100 ludzi przybyło autobusami i samochodami na uczczenie 50-tej rocznicy przybycia 733 dzieci i ich 105 opiekunów w 1944 roku. Jakież wspaniały dzień! – łyzy i uściski tych, którzy nie widzieli się od czasu ich pobytu w Obozie Polskich Dzieci. Wielu przybyło z bardzo daleka, by wziąć udział w zjeździe.

Długie miesiące przygotowań do zjazdu uwieńczone było sukcesem. Przybyli: gubernator Nowej Zelandii Catherine Tizard, premier Jim Bolger i inni dostojnicy, którzy nadali uroczysty ton zgromadzeniu w wypełnionym po brzegi Stadionie Sportowym. Uroczystości rozpoczął nuncjusz papieski mszą św. przy asyście biskupów i księży. Witajcie! Witajcie! Witajcie! Te słowa jeszcze brzmią w moich uszach. Przewodniczący rady miasta Peter Tourell przemówił do zebranych, odnawiając zaproszenie miasta powracającym „do swego domu” dzieciom sprzed pół wieku.

Gubernator Tizard przemawiała w podobnych słowach i odsłoniła makietę obozu, którą następnie wręczono Związkowi Muzealnemu w Pahiatua i Okolicy, gdzie zajmuje poczesne miejsce obok wystawy historycznych zdjęć, przedstawiających podróż dzieci z Polski do Pahiatua.

Wypełniony stadion rozbrzmiewał rytmiczną muzyką tańców ludowych.

Tancerze zwiłali się w barwnych strojach narodowych. Po wspólnym obiedzie, uczestnicy wspominali dawne czasy, odwiedzali pomnik, który stoi za miastem na dawnym wjeździe do obozu lub spacerowali po zielonych łąkach, na których stał obóz. Dzień w Pahiatua zakończył się czułym pożegnaniem i wznowionymi wspomnieniami sprzed pół wieku.

Budowa obozu

Jack Aplin z miasteczka Dannevirke przypomina sobie pracę w Obozie Polskich Dzieci przed jego otwarciem. Przed przyjazdem dzieci był pomocnikiem spółki budowlanej Gillespies w tymże mieście, która wykonywała pracę dla kontraktorów AV Swanson z Wellingtonu. Wiele podwykonawców było ludźmi z okolicy, ich zadaniem było przemienić plac wyścigów konnych na obóz dla internowanych obcokrajowców z wrogich wówczas państw.

Grunt pod budowę był podmokły tak, że ciężarówki dowożące drzewo, cement i eternit wytworzyły grzęzawisko. Ciężarówki wyciągano ciągnikami, które same grzęzły w błocie. Jack opowiadał, że robotnicy mieszkali pod starą trybuną po wyścigach konnych, żeby zaoszczędzić czas na dojazdy. Pod drugą trybuną kuchnię prowadziła rodzina Ross. W latach 1942–43 Jack służył w



Komitet Obchodów 50-lecia, na progu muzeum w Pahiatua, 17 września 1994 roku. W muzeum jest wiele zdjęć o Polakach i makieta obozu.

Stoją, od lewej: Józef Zawada, Helena Wypych (Chwieduk), Dorothy Ropiha, Elaine Perry, Marge Bentley, Jean Eddie, Don Selby, Alistair MacDougall, John Burns

Siedzą, od lewej: Eugeniusz Szadkowski, Piotr Przychodźko

wojsku, a powrócił już po usunięciu z obozu internowanych obcokrajowców. Wojsko zaczęło przygotowywać pusty obóz na przyjazd polskich dzieci, które wraz z personelem mieszkały tu do 1949 roku.

Od 1949 roku Departament Imigracji prowadził tu obóz dla ludzi z Europy wysiedlonych z powodu wojny. Teren ten jest dziś znów pastwiskiem, a ślady po obozie znikły. Tylko pomnik przydrożny wskazuje, gdzie znajdował się kiedyś obóz.

Polska! Polska!

Margery Bentley

Hrabina Wodzicka, żona konsula polskiego w Nowej Zelandii, powiedziała przedstawicielowi dziennika „The Herald”, że polskie dziewczęta z radością oczekują swojego udziału w nadchodzącym festynie. Wszystkie były podniecone nadejściem oczekiwanego dnia, ale miny im zrzedły, gdy rano spadł deszcz. Chyba jednak roz pogodziło się, bo festyn odbył się na terenie wystawowym w Pahiatua.

Główną atrakcją dnia były przemarsze dziewcząt z różnych drużyn¹. Jedna drużyna z okolicy, pod nazwą *The Pringles* nosiła czerwono-biały mundurek a na czapkach dziewcząt była wyszyta litera „P” (Pringles). Gdy przemaszzerowały obok polskich dziewcząt, zostały powitane burzliwymi oklaskami i nawoływaniem „Polska! Polska!” Ponieważ barwy biały i czerwony są polskimi kolorami, dzieci myślały, że „P” oznacza „Polskę”, czyli nazwę ich ukochanej ojczyzny.

Przed drugą częścią zawodów dziewczęta z polskiego gimnazjum zebrały się pod trybuną ze swą nauczycielką. Zaśpiewały bardzo dźwięcznie dwie polskie piosenki, za które otrzymały głośne oklaski widzów. Następnie poproszono dziewczęta, żeby wystąpiły ze swoim głównym programem. Duża część widzów była zachwycona ich śpiewem i tańcami. Podczas przerwy między występami i marszem polskie dziewczęta częstowano kanapkami i lemoniadą.

Innym razem miejska orkiestra z Palmerston North odwiedziła obóz w sobotę po południu. Tak wielkie było zainteresowanie występem barwnych szkockich kobziarzy, których dzieci oglądały po raz pierwszy, że setki z nich przepychało się, by przyjrzeć się bliżej. Blisko obozowego szpitala tłok był tak wielki, że dzieci grzęzły w błocie. Wszyscy wiedzieli jak nieskazitelnie czyste są podłogi w sypialnych barakach, więc można sobie wyobrazić niezadowolenie przełożonych.

1. W Nowej Zelandii, tak jak Stanach Zjednoczonych, jest to forma sportu, tzw. Marching Girls. Dziewczęta maszerują w specjalnych kostiumach – każda drużyna odróżnia się swoim strojem

Chłopcy-duchy

Barbara Cosford

Miałam 10 lat i mieszałam przy szosie, około pół drogi między obozem a Pahiatua. Pamiętam wojskowe ciężarówki z polskimi dziećmi i ich opiekunami, skulonymi w środku, mijające naszą bramę w listopadzie 1944 roku. Chłopcy byli ubrani w kurtki i krótkie spodenki, niektórzy w beretach, z ostrzyżonymi głowami. Dziewczęta i większość dorosłych nosili płaszcze i czapki.

Po usadowieniu się w nowym otoczeniu opiekunowie zaprowadzali dzieci do miasta. Szli kolumną, parami, śpiewając po polsku i mówili do nas „dzień dobry” w swoim języku. Zapomniałam już słowa, ale wówczas dowiedzieliśmy się ich znaczenia.

Mój ojciec miał farmę drobiu. Gdy chłopcom dano więcej swobody, przychodzili do nas grupami po sześciu lub siedmiu a ojciec pozwolił im karmić nasz drób. W tych czasach żołnierze z obozu, przed wyjazdem na urlop, przychodzili po zakup świeżych jaj, żeby je zawieźć do swoich domów. Jaja były jeszcze na kartki. Jeden z tych żołnierzy miał pieczę nad ogrodem warzywnym i nad chłopcami, którzy mu pomagali. Gdy opowiadał mojej matce o swoich „dachach”, czyli wciąż wymykających się z pracy i nieuchwytnych chłopcach, kilku z nich niespodziewanie zjawilo się z moim ojcem. Speszzone „duchy” odnalazły się.

Mam jeszcze książeczkę adresów mojej matki. Wpisane są tam: pani



Mieszkańcy Pahiatua witają przejeżdżające dzieci polskie, 1 listopada 1944 roku. Długi szereg wojskowych ciężarówek przewoził je ze stacji do obozu oddalonego kilka kilometrów od miasteczka

Perkowska, Ryszard Patulski, Kazimierz Krawczyk oraz chłopcy, których znałam tylko z imienia – Józef, Antoni, Laurence, Ryszard. Posiadam też białą chustkę haftowaną na brzegach, z moim inicjałem „B”, wyszytym w rogu, którą zrobiła jedna z polskich pań, której nazwiska już nie pamiętam.

Dwie fale Polaków spotykają się

Agnes Diamond

Wywodzę się z polskich imigrantów, którzy przybyli do Nowej Zelandii przy końcu XIX wieku. Każdego niedzielnego popołudnia moi rodzice (George i Rose Treder), Barbara, John i ja (najmłodsza) oraz nasza babcia odwiedzaliśmy Obóz Polskich Dzieci w Pahiatua. Ojciec i babcia lubili rozmawiać z ludźmi z obozu po polsku, podczas gdy matka siadała z innymi i słuchała jak dzieci czytają po angielsku. Matka często zanosila kwiaty ze swego ogrodu i wręczała je polskim paniom.

Często zapraszaliśmy dzieci z obozu na swoją farmę w Konini. Były to szczęśliwe dni w ciepłej atmosferze wielkiej rodziny. Dzieci lubiły jeździć rowerami, a mój brat George obwoził je i opiekunów po farmie starą ciężarówką marki Ford T. Wielki ubaw. W wieku ośmiu lat dumnie nosiłam strój krakowski na zabawie przebierańców w szkole w Mangamaire. Składał się z serdaka pięknie ozdobionego cekinami we wzór motyla. Moja siostra Barbara wyglądała jak prawdziwa Polka tak, że pewnego razu była obrugana przez jedną panią, która myślała, że moja siostra jest jedną z jej podopiecznych. Mój brat Bernard i kuzyn Pat Connor spędzali wiele godzin ucząc się polskiego, żeby móc porozumieć się z dziewczętami przyjeżdżającymi do nas rowerami z wizytą.

Gdy niektóre dzieci powróciły do swojej ojczyzny, rodzina Trederów utrzymywała z nimi kontakt listowny i wysyłała im paczki. Inni, którzy zostali w Nowej Zelandii, nadal utrzymywali z nami kontakt. Wraz z mężem Paulem i z kilka naszymi dziećmi odwiedziliśmy Polskę. Czułam się uprzywilejowana, że stąpaliśmy po polskiej ziemi.

Spokojne środowiska

Pauline Ebbett

Będąc młodą 16-letnią dziewczyną, mieszkałam przy szosie prowadzącej do obozu. Pamiętam przyjazd dzieci polskich. Smutno mi było przyglądać się konwojowi ciężarówek wiozących dzieci do polskiego obozu. Te biedne, małe dzieci były takie chude, że ich głowy wyglądały jak dynie umieszczone na wierzchu wątych ciałek. Siedziały w tyle pojazdów pod zadaszeniem z brezentu, w drodze do swojego nowego domu, obozu, który znajdował się na miejscu dawnego toru wyścigowego, przy drodze wiodącej z Pahiatua na

południe do Masterton. Był to żałosny widok. Miałam nadzieję, że z czasem rozkwitną przy troskliwej opiece Nowozelandczyków.

Dzieci jeszcze nie znały angielskiego, ale niezwykle szybko uczyły się naszego języka. Sądzę, że pobyt w spokojnym, bezpiecznym środowisku był dla nich zbawienny. Z upływem czasu słyszeliśmy ich śpiewy, które sprawiały przyjemność wielu ludziom.

Związek Ochotniczek skupiał kobiety z okolicy. Był związany z wojskową służbą pielęgniarską. Przygotowały one łóżka z pościelą, kierowały pojazdami wojskowymi i w ogóle udzielały się tam, gdzie zaszła potrzeba. Mam wielkie uznanie dla tej chwalebnej grupy pań, które w swój sposób pomogły nam w wygraniu wojny.

Polskie dzieci w szkole w Mangatainoka

Alistair MacDougall

Około 15 dzieci przybyło do szkoły w Mangatainoka w 1949 roku, ale pozostały tylko na dwa semestry. Mimo że uczyły się już angielskiego w obozie w Pahiatua brakowało im wielu słów, ale przy odrobinie cierpliwości mogliśmy się porozumieć z nimi też na migi.

Na przerwach przyłączali się do naszej gry w baka. Po szkole grali z nami w piłkę rugby, bo znali tę grę z obozu, gdzie ćwiczyli pod kierunkiem nauczycieli: Franka Mullera i Andy Nola. W szkolnych rozgrywkach turniejowych większość chłopców w naszej drużynie była Polakami, którzy byli nieco więksi od reszty drużyny. Polacy dobrze biegali i wiedzieli jak wygrywać.

Zaprzyjaźniłem się z dwoma polskimi chłopcami. Opowiadali jak rodziców i rodzeństwo mordowali, jak wpędzano ludzi do bydłych wagonów i w mrozie wywożono do sowieckich obozów przymusowej pracy. Nie byłem w stanie wyobrazić sobie tego.

Szybko przyswoili sobie nasze rozgrywki sportowe i robili duże postępy w nauce angielskiego. Wojskowa ciężarówka przywoziła ich rano do szkoły i zabierała z powrotem po południu. Po latach spotkałem kilku z nich na jubileuszowym zjeździe byłych uczniów naszej szkoły. Niektórzy już przeszli na tamten świat, ale wszyscy dawali sobie dobrze radę w życiu.

Część piąta

Trudne decyzje, Obóz,
Harcerstwo i Bursy

Trudne decyzje

Proponowane adoptowanie dzieci

Zwrotnym kierunkiem losów polskich dzieci była konferencja w Jałcie (4 – 11 luty 1945), na której byli sprzymierzeńcy Polski wydali kraj pod kontrolę Rosji Sowieckiej. Był to srogi cios dla dorosłych i dzieci, przed którymi ich świat się zawalił, bez możliwości powrotu do kraju ojczystego, za którym tak żarliwie tęsknili przez wszystkie lata na wygnaniu. Głębokie przygnębienie zawisło nad obozem.

Nastąpiło wówczas wiele starć między polskimi opiekunami a nowozelandzkimi władzami w obozie, dotyczących kierunku – czy wchłonąć dzieci w społeczeństwo nowozelandzkie, czy utrzymać obóz i polską tożsamość dzieci w nadziei, że sytuacja się polepszy i że Polska znów będzie wolna.

Krażyły poważne propozycje, żeby dzieci oddać do adopcji rodzinom nowozelandzkim, ale premier Nowej Zelandii ustalił, że dzieci same muszą o tym decydować.

Trudna sytuacja polskich opiekunów

Wielu Polaków sprzeciwiało się adopcji, uważając, że istnieje jeszcze możliwość powrotu do kraju, któremu brakuje ludzi po jego zniszczeniu przez wojnę i okupantów. Polacy walczyli przy boku sprzymierzeńców „za naszą i waszą wolność” i czuli się teraz zdradzeni. Dzieci też sprzeciwiały się adopcji, może ostatecznie było ich tylko kilka.

Była to niezwykle trudna sytuacja, zwłaszcza dla dorosłych Polaków, którzy czuli się opuszczeni i bezsilni w tym niezrozumiałym wówczas i obcym dla nich kraju, a często nieprzychylnym lub niekiedy wręcz wrogo nastawionym społeczeństwie. Niestety, opiekunowie polskich dzieci nie pozostawili po sobie pamiątek, jak radzili sobie dostosowując się do nowego środowiska.

Stanisław Manterys

Jak powstała „Mała Polska”

Okolo 3 km na południe od miasteczka Pahiatua, przy szosie nr 2 na Wyspie Północnej, w 1901 roku powstał tor wyścigów konnych. 41 lat później, podczas II wojny światowej, zbudowano tu obóz dla internowanych obywateli wrogich państw.

9 czerwca 1943 roku do portu w Wellingtonie zawitał amerykański transportowiec wojsk, *USS Hermitage*, wiozący do Stanów Zjednoczonych powracających z wojny żołnierzy amerykańskich. Na pokładzie znajdowało się też 706 polskich dzieci-tułaczy, ewakuowanych z Iranu. Płynęły do Meksyku, gdzie miały znaleźć przytułek. Na statku odwiedziła je hrabina Maria Wodzicka, żona konsula polskiego w Nowej Zelandii. Tu zrodziła się u niej myśl sprowadzenia do Nowej Zelandii podobnej grupy polskich sierot z Iranu. Podzieliła się pomysłem z Janet Fraser, żoną premiera Nowej Zelandii. Rząd Nowej Zelandii zaprosił, na tymczasowy pobyt, grupę 733 polskich dzieci (od wieku niemowlęcego do 18 lat) i ich 105 opiekunów.

W następnym roku, 1 listopada 1944 roku, premier Peter Fraser witał tę grupę dzieci w porcie wellingtońskim, na pokładzie amerykańskiego okrętu *USS General Randall*. Obok okrętu stały dwa pociągi, które zabrały dzieci do Obozu Polskich Dzieci w Pahiatua, na ostatni odcinek prawie pięcioletniej wędrówki.

Po drodze witały ich tłumy tutejszych dzieci, które zwolniono na ten czas z lekcji. Ze stacji kolejowej w Pahiatua 33 wojskowe ciężarówki przewiozły polskie dzieci do obozu, który miał być dla nich tymczasowym domem. Ochotnicze grupy okolicznych mieszkańców przygotowały łóżka, ustroiły baraki kwiatami, posprzątały obóz i pomogły w przygotowaniu pierwszego posiłku dla polskich dzieci.

Ponieważ dzieci miały powrócić do kraju po zakończeniu wojny, lekcje w szkole obozowej odbywały się po polsku. Nawet nazwy ulic były polskie. Polska administracja tworzyła samorząd, był polski kapelan i harcerstwo. Rząd Polski na Uchodźstwie, dopóki był jeszcze uznawany przez aliantów i posiadał odpowiednie fundusze, pokrywał część kosztów utrzymania dzieci i opiekunów. Potem pełną odpowiedzialność za obóz przejęło nowozelandzkie wojsko. Po zajęciach szkolnych dzieci pomagały w utrzymaniu porządku w obozie.

Pod koniec 1946 roku nowy Rząd Polski w Warszawie wysłał do Nowej Zelandii swojego przedstawiciela, p. Żebrowską, by zbadać warunki, w jakich żyją polskie dzieci. Odjechała w pełni zadowolona. Po demobilizacji Wojska

Polskiego na Uchodźstwie niektórzy żołnierze przyłączyli się do swych dzieci lub rodzeństwa w Nowej Zelandii. W 1948 roku stworzyli Stowarzyszenie Polaków z siedzibą w Wellingtonie. Dzieci stały się zalążkiem tworzącej się niewielkiej Polonii nowozelandzkiej.

Stopniowo, po ukończeniu polskiej szkoły podstawowej, dzieci wyjeżdżały do gimnazjów nowozelandzkich. Obóz Polskich Dzieci w Pahiatua zamknięto 15 kwietnia 1949 roku. Młodszych chłopców umieszczono w Bursie Polskich Chłopców w Hawera. Najmłodsze dziewczęta zamieszkały pod opieką Sióstr Urszulanek w Bursie Polskich Dziewcząt w Wellingtonie. Bursę zamknięto, gdy Urszulanki odwołano do Polski w 1958 roku. Część starszych chłopców mieszkała w Bursie Polskich Chłopców w Wellingtonie do 1952 roku. Inne dzieci i młodzież rozesłano do internatów przy gimnazjach katolickich. Część starszej młodzieży wysłano do pracy w miastach i na farmach.

Gdy ostatnie dzieci opuściły obóz, zamieniono go na przejściowe pomieszczenie dla bezpaństwowych wysiedleńców z przymusowych obozów pracy w Niemczech. Byli między nimi Polacy, którzy nie chcieli lub bali się wracać do Polski okupowanej przez Rosję. Obóz zamknięto w 1952 roku. Budynki i baraki zostały sprzedane i wywiezione do innych miejscowości, gdzie służyły jako stodoły na farmach, sale zebrania i domy wypoczynkowe. Niektóre stoją do dziś. Teren zamieniono na farmę. Jedynym pozostałym śladem po polskich dzieciach była mała, kamienna grota ku czci Matki Boskiej, wzniesiona przez dzieci w pierwszych latach ich pobytu w obozie. Z czasem popadła w ruinę.

W 1971 roku grupa byłych dzieci wyłoniła ze swego grona Komitet Budowy Pomnika. Właściciel farmy podarował kawałek gruntu przy szosie, gdzie dawniej znajdowała się tylna brama wjazdowa do obozu. Tu powstał przydrożny plac odpoczynku dla przejeżdżających. Pomnik został uroczystie odsłonięty 22 lutego 1975 roku (zdjęcie pomnika na tylnej okładce książki). Część kamieni z dawnej groty wmurowano w cokół pomnika. Stylizowany pomnik przedstawia matkę z dzieckiem. W 1994 roku, w 50-tą rocznicę przybycia polskich dzieci do Nowej Zelandii, obok pomnika postawiono tablicę ze zdjęciami i opisem obozu w dwóch językach, polskim i angielskim.

Józef Zawada

Polska kolonia w Nowej Zelandii

Polacy rządzą na obcym terytorium

W obradach z 15 kwietnia 1947 roku Rząd Nowej Zelandii postanowił, że: „Obóz jest polską kolonią, kierowaną o ile to możliwe przez samych Polaków. Do czasu, gdy cel obozu zostanie osiągnięty, rząd Nowej Zelandii będzie wspierał władze polskie w obozie i służył radą oraz będzie dostarczał wyżywienie i opiekował się pomieszczeniem wraz ze sprzętem”.

Z załączonej korespondencji wynika, że była to sytuacja niezwykle i bez precedensu, w której Rząd Nowej Zelandii oddał obcemu, czyli Rządowi Polskiemu na Uchodźstwie, część swojej władzy na własnym terytorium. Władze nowozelandzkie objęły całkowitą kontrolę nad obozem dopiero w 1946 roku, po zerwaniu stosunków dyplomatycznych z Emigracyjnym Rządem Polskim w 1945 roku.

Warunki, w jakich obóz był prowadzony na początku pięcioletniego istnienia (lata 1944 do 1949), nie mają wzorca w dziejach Nowej Zelandii. Przez pierwsze dwa lata obóz był częściowo kierowany i opłacany przez Polski Rząd na Uchodźstwie w Londynie (do czasu, gdy ten rząd przestał być uznawany przez jego byłych aliantów, włącznie z Nową Zelandią). Do tej pory rząd nowozelandzki dostarczał pomieszczenia mieszkalne, sprzęt i wyżywienie.

Rząd nowozelandzki poważnie traktował problemy tej niezwyklej grupy polskich dzieci znajdującej się przypadkiem pod jego opieką. Najwyższe władze państwowe, czyli premier kraju i jego ministrowie poświęcili wiele czasu sprawom Obozu Polskich Dzieci w Pahiatua i przyszłości dzieci, troszcząc się o najmniejszy szczegół. Bez żadnych wzorców, rozważania rządu musiały być szczególnie trudne zwłaszcza, że Nowa Zelandia, wspierając Wielką Brytanię, była wówczas uwikłana w wojnę europejską.

Materiały archiwalne wskazują na osobistą troskę premiera Petera Frasera o dobro polskich dzieci. Natomiast jego ministrowie i inni ludzie odpowiedzialni za obóz, zgodni co do potrzeb materialnych dzieci, często nie podzielali poglądów premiera o utrzymaniu polskiej tożsamości ich podopiecznych lub jego planów dotyczących przyszłości obozu. Różnice poglądów można wyczytać w protokołach zebrań, prowadzonych pod nieobecność premiera przez jego zastępcę oraz z ewentualnych decyzji samego premiera.

Bywało też, że zlecenia ministrów nie były zgodne z życzeniami polskiego personelu w obozie. Nic dziwnego, biorąc pod uwagę różnice pojęć i celów obu stron. Większość przedstawicieli państwowych chciała

szybkiego asymilowania polskich dzieci w tutejszym społeczeństwie i ich wynarodowienia. Natomiast polscy opiekunowie chcieli, żeby dzieci zachowały swoją polską tożsamość. Należy się jednak uznanie dla postawy obu stron – ich wspólnym celem było dobro dzieci i ostatecznie one czerpały korzyści z obu światów, polskiego i nowozelandzkiego.

Reakcja społeczeństwa nowozelandzkiego

Opinie Nowozelandczyków na temat przybycia polskich dzieci do ich kraju były podzielone. Wielu z nich witało dzieci bez zastrzeżeń, ale wielu uważało, że pierwszym obowiązkiem rządu są obywatele tego kraju i w ogóle Brytyjczycy. Ci ludzie byli oburzeni rządową pomocą dla obcokrajowców.

Większość Nowozelandczyków nie wiedziała, że Rząd Polski w Londynie opłacał pracowników polskich i finansował zasiłki dla dzieci w obozie. Załączony list do redakcji (za pozwoleniem dziennika, „The Dominion Post”) ukazuje typową reakcję tutejszych ludzi. Drugi list przedstawia odpowiedź władz.

List do redakcji (luty 1947 roku)

Szanowny Panie Redaktorze,

Zastanawiam się, ilu z czytelników odwiedziło polski obóz w Pahiatua. Niedawno miałem tę przyjemność. Wszystko w porządku, ale wyobraźcie sobie moje zdziwienie, gdy zobaczyłem polskie rodziny zamieszkujące wygodne domki jednorodzinne. Sądzę, że nikt nie żałuje, że uchodźcy polscy tu przyjechali, ale zastanawiam się, ilu z nas wie, że dorośli Polacy nie wykonują żadnej pracy na utrzymanie swoich rodzin. Proszę mi wierzyć, że posiadają oni rzeczy, których my nigdy nie widzimy, a Nowozelandczycy są zatrudnieni żeby im gotować i obsługiwać ich!

Mam takie odczucie, że coś tu nie tak. W kraju brakuje rąk do pracy, a tu nasi żołnierze powracający z wojny nie mogą znaleźć porządných mieszkań, już nie mówiąc o utrzymaniu.

Premier Fraser, podczas swoich odwiedzin w obozie, wyraził nadzieję, że Polacy czują się tu dobrze i że mogą oni pozostać gośćmi Nowej Zelandii tak długo, jak chcą. No, pytam się was, kto by nie chciał tu pozostać na takich warunkach? – Nie trzeba pracować, płacić czynszu, ma się darmowe wyżywienie i opał, czyli wszystkiego pod dostatkiem.

Z poważaniem

„Zwykły robotnik (i dumny z tego)”.

Odpowiedź Urzędu Premiera

Szanowny Panie Redaktorze,

Obóz posiada 20 domków przeznaczonych dla polskich rodzin. Domki te nie dorównują jakością mieszkaniom Nowozelandczyków, ale pozwalają Polakom utrzymać przynajmniej pozory normalnego życia rodzinnego, po niedostatkach i cierpieniach, których doświadczyli od czasu, gdy musieli opuścić swoje domy po 1939 roku. Wszyscy dorośli Polacy płacą ustalone ceny za wyżywienie i mieszkanie tak w domkach, jak i w barakach.

Wyłączając około sześciu osób niezdolnych do pracy z powodu podeszłego wieku, wszyscy dorośli Polacy są zatrudnieni w obozie i wynagradzani za swą pracę. Nie jest prawdą, że mężczyźni w ogóle nie pracują – zatrudnieni są przy nauczaniu w szkole i przy utrzymywaniu obozu.

Żaden Nowozelandczyk nie gotuje dla Polaków. Sami przygotowują posiłki i obsługują jadalnię. Jeden Nowozelandczyk nadzoruje wszystkie kuchnie obozowe i jest odpowiedzialny za wydawanie i zużywanie prowiantu w kuchni.

Podczas swojej niedawnej wizyty w obozie premier orzekł, że Polacy mogą pozostać w Nowej Zelandii i że dorośli mogą (i powinni) jak najszybciej znaleźć zatrudnienie w przemyśle. Rząd nie zamierza utrzymywać obozu na stałe – tylko tak długo, jak opieka nad dziećmi będzie tego wymagała. Niektóre dzieci uczęszczają do klas podstawowych i muszą ukończyć swoją naukę w obozie. Po osiągnięciu wieku gimnazjalnego dzieci wyjeżdżają do nowozelandzkich szkół, a później znajdują zatrudnienie w przemyśle.

Zmiana władz obozowych

W grudniu 1945 roku, gdy Wielka Brytania już zerwała stosunki dyplomatyczne z Polskim Rządem na Uchodźstwie, Nowa Zelandia poszła jej śladem i przestała go uznawać, natomiast wstrzymała się na razie przed uznaniem nowego rządu ustalonego przez Rosję Sowiecką w Warszawie. W kwietniu 1946 roku Rząd Nowej Zelandii objął całkowitą kontrolę nad obozem w Pahiatua. Nowozelandzki Oddział Opieki nad Dziećmi objął opiekę nad pozostałymi niepełnoletnimi Polakami.

Zerwanie stosunków dyplomatycznych

List wicepremiera Nowej Zelandii do ministrów

Zawiadamiam, że powiadomiłem hrabiego KA Wodzickiego, że z dniem 17 grudnia 1945 roku jego uprawnienia jako konsula generalnego Polski w Wellingtonie zostały wycofane.

Nasze stanowisko jest takie, że nie uznajemy Polskiego Rządu w Londynie, ale wstrzymujemy się jeszcze przed uznaniem Tymczasowego Rządu

Polskiego w Warszawie. Niniejszy list jest podany dla Waszej wiadomości i wskazówek postępowania. Odpowiednie wskazówki zostały przesłane do zainteresowanych departamentów.

Walter Nash

Pełniący obowiązki Ministra Spraw Zagranicznych

Jak Rząd Nowej Zelandii rozmyślał nad losem polskich dzieci

Protokoły obrad Rządu Nowej Zelandii pozwalają nam przyjrzeć się, jak premier i jego ministrowie głowili się nad losem ich podopiecznych. Protokoły te przedstawiają poglądy ówczesnych ludzi władzy, dotyczące polskich dzieci, w tym odległym wówczas i tak bardzo odizolowanym od świata kraju.

Dokumenty te ujawniają, że poglądy premiera różniły się od opinii jego ministrów, co miało duże znaczenie dla przyszłości dzieci polskich w Nowej Zelandii.

Podczas nieobecności premiera jego zastępca, Walter Nash (późniejszy premier), przewodniczył zebraniu, które było zdania, że dzieci polskie należy jak najszybciej wchłonąć w tutejsze anglojęzyczne społeczeństwo, pozostawiając im tylko sentyment do swojej, polskiej kultury.

Natomiast na późniejszym zebraniu premier Fraser nie przyjął założenia swego zastępcy, bo uważał, że dzieci winne utrzymać swoją tożsamość narodową.

Protokół z 12 lutego 1946 roku

(Ze źródeł archiwalnych: Archives New Zealand)

Przewodniczący: wicepremier Walter Nash

Porządek zebrania – propozycje:

- Obecną administrację obozu pozostawić bez zmian, natomiast stopniowo odsyłać dzieci do życia w szerszym społeczeństwie, po ukończeniu określonego wieku.
- W najszybszym tempie rozwiązać obóz i rozesłać dzieci po kraju, celem ich adoptowania w rodzinach nowozelandzkich.

Następujące dane przedstawiono na zebraniu w celu ułatwienia podejmowania decyzji:

- a) Z grupy 733 dzieci w obozie, 90 ma matkę lub ojca ze sobą, 220 ma przynajmniej jednego rodzica za granicą, natomiast reszta to sieroty.
- b) Rodzice w obozie są zatrudnieni w szkolnictwie, w kuchni itp.
- c) Przepustki na wjazd do Nowej Zelandii wydano dla dodatkowych 24 rodziców, reprezentujących 56 dzieci w obozie.
- d) Wiek sierot jest jak następuje:

Wiek	Chłopcy	Dziewczęta
Poniżej 10 lat	39	48
11 – 15 lat	130	117
Ponad 16 lat	10	81

- e) Wszystkim rodzicom polskich dzieci wolno przyjechać do Nowej Zelandii, jeżeli sobie tego życzą. Większość z nich jest w Polskich Siłach Zbrojnych we Włoszech i prawdopodobnie są zdania, że nie ma dla nich powrotu do Polski. Oczywistym schronieniem dla nich jest Nowa Zelandia. Pozostaje nam decydować tylko o samych sierotach.
- f) Najlepszym rozwiązaniem byłoby wchłonięcie tych dzieci przez społeczeństwo nowozelandzkie. Polskie władze są przeciwne temu. Adopcje i rozsyłanie po internatach winno nastąpić po przyjeździe z Londynu pana Zaleskiego, nowego delegata Rządu Polskiego na Uchodźstwie.

Stan obecny

- a) Po roku pobytu w Nowej Zelandii, w 1945 roku, dziewięcioro dzieci uczęszczało do szkół poza obozem, mimo że było tam 47 wolnych miejsc. Niektórzy polscy opiekunowie opierają się wystawianiu dzieci na nowozelandzkie wpływy.
- b) W roku bieżącym zgodzono się na wysłanie 67 dzieci do szkół. Natomiast 56 starszych dzieci wysłano do pracy w szpitalach, na roli, fryzjerstwie, szyciu, pomocy domowej, krawiectwie i w rzemiośle. Sześciu chłopców zatrudniono w obozie do naprawy obuwia, tam nauczono ich zawodu szewskiego.
- c) Uważamy, że ten program powiedzie się tylko wtedy, gdy więcej przedmiotów szkolnych w obozie będzie udzielanych w języku angielskim.

Szkolnictwo

- a) Polacy prowadzą gimnazjum i szkołę powszechną w obozie, wyłącznie według wzorca szkolnictwa polskiego.
- b) Dzieci uczą się angielskiego dopiero w 5-tej klasie powszechnej. Dwóch nauczycieli Nowozelandczyków nie daje sobie rady z tak wielką liczbą dzieci.
- c) Polskie władze obozowe nie zgadzają się, żeby uczono dzieci angielskiego, mimo że pan Wodzicki, polski konsul, był innego zdania podczas rozmowy z wicepremierem. Polacy twierdzą, że język angielski nie powinien przeszkadzać w żaden sposób nauczaniu dzieci według polskiego programu.

- d) Jeżeli dzieci mają pozostać w Nowej Zelandii, co jest prawdopodobne, koniecznie muszą jak najszybciej wziąć udział w życiu Nowej Zelandii, choć należy dać im możliwość utrzymania własnej tożsamości i łączności ze swoimi rodakami. Proponujemy:
- i. Przegląd programu szkolnego w obozie przez władze szkolnictwa nowozelandzkiego.
 - ii. Nauczanie powinno odbywać się w języku angielskim, żeby umożliwić dzieciom wstęp do życia społecznego Nowej Zelandii, uwzględniając polskie wymogi niektórych przedmiotów, np. historii.
 - iii. Nie należy zbyt długo zwlekać z proponowanym przeglądem, który można omówić z panem Zaleskim, nowym polskim delegatem, po jego przyjeździe. Jeżeli sprawa jest pilna, należy się porozumieć bezpośrednio z Rządem Polskim w Londynie.

Szkoły katolickie

Większość z grupy 67 dzieci wysłanych do szkół katolickich w roku bieżącym będzie mieszkała w domach katolickich rodzin. Skarb państwa przekazał kwotę 30 szylingów od osoby na pokrycie opłat w prywatnych domach i kosztu mundurków szkolnych. Rząd nie pokrywa kosztu utrzymania w internatach szkół katolickich.

[Od redakcji: W bezwyznaniowym ustroju państwa rząd nie opłacał nauki w szkołach katolickich]

Komisja Opiekunów

- a) Sąd Najwyższy Nowej Zelandii mianował Komisję bez porozumienia się z rządem. Mimo tej kłopotliwej sytuacji, Komisja działała pożytecznie, wspomagając komendanta obozu.
- b) Uprawnienia Komisji nie były dokładnie ustalone. W imieniu Polaków hrabina Wodzicka jest zdania, że Komisja jest tylko ciałem doradczym, natomiast wicepremier Walter Nash orzekł, że ostatecznie odpowiedzialny jest Rząd Nowej Zelandii.
- c) Komendant obozu winien być członkiem Komisji Opiekunów – choć zdania są tu podzielone.
- d) Polski delegat, Szczęsny Zaleski, winien być mianowany przez Sąd Najwyższy, z odpowiedzialnością przed Rządem Nowej Zelandii.

Wyżej wymienione zlecenia przedstawiono premierowi Peterowi Fraserowi po jego powrocie:

Decyzja premiera

Protokół obrad Rządu z 1 czerwca 1946 roku.

Obecni: Premier Peter Fraser, członkowie urzędu premiera, komendant obozu oraz delegat Rządu Polskiego Szczęsny Zaleski.

Zebrańie potwierdziło, że Rząd Nowej Zelandii przejmuje pełną odpowiedzialność za administrację i utrzymanie polskich dzieci w Nowej Zelandii.

Początkowo zakładano, że dzieci pozostaną w Nowej Zelandii do zakończenia wojny, a w niedługim czasie po tym miały powrócić do Polski. Dlatego obóz w Pahiatua został założony jako ośrodek polski. Po powstaniu obecnego rządu w Polsce i nastaniu tam wielkich zmian ustrojowych sytuacja się zmieniła. Duża część polskich dzieci może nie będzie chciała powrócić do swego kraju.

Premier potwierdził wcześniejsze swoje zapewnienia, że dzieci, które chcą pozostać w Nowej Zelandii, będą tu mile widziane. Natomiast tym, które nie chcą tu zostać, udzielimy wszelkiej pomocy przy powrocie do Polski. Obóz będzie prowadzony tak długo, jak dobro dzieci będzie tego wymagało. Mimo to, że należy już decydować nad datą zamknięcia obozu, obóz pozostanie czynny przez następne dwa lata.

Premier uważa, że powrót dzieci do Polski w najbliższej przyszłości jest mało prawdopodobny ze względu na obecną sytuację w Polsce. Uważa więc, że dobro dzieci dyktuje przygotowanie ich do życia na równych prawach z nowozelandzkimi dziećmi w razie, gdyby chciały pozostać tu na zawsze.

Obecnego na zebraniu polskiego delegata, Szczęsnego Zaleskiego, zapytano o zdanie, co do przyszłości polskich dzieci. Odpowiedział następująco:

Dzieci będą mogły powrócić do Polski w późniejszym czasie. Dobro dzieci dyktuje istnienie obozu do czasu, gdy dzieci ukończą szkołę podstawową.

Polacy sprzeciwiają się adopcji polskich dzieci przez rodziny nowozelandzkie.

Premier zatwierdził następujące ogólne zasady na przyszłość:

- a) Obóz pozostanie czynny dopóki dobro dzieci tego będzie wymagało, przynajmniej przez następne dwa lata.
- b) Departament Wojska będzie odpowiedzialny za administrację obozu, ale decyzje w sprawach zasadniczych będą podejmowane przez Urząd Premiera.
- c) Komendant obozu odpowiada przed Departamentem Wojska.
- d) Polski delegat przedstawi komendantowi obozu polskie zapotrzebowania.
- e) Polscy pracownicy w obozie zostaną zatrudnieni przez władze nowozelandzkie.
- f) Wynagrodzenie będzie stosowane według skali obowiązującej w Nowej

Zelandii.

- g) Zasiłki dla polskich dzieci będą równały się zasiłkom dzieci nowozelandzkich.
- h) Polscy rodzice obejmą pełną opiekę nad swoimi dziećmi.
- i) Polscy pracownicy będą opodatkowani według obowiązujących ustaw.
- j) Powołana zostanie Komisja Opiekuńcza.
- k) Postanowiono, że Oddział Opieki nad Dziećmi lub inne ciało obejmie nadzór nad dziećmi, które mieszkają poza obozem.
- l) Sprawę szkolnictwa gimnazjalnego rozważy Departament Szkolnictwa. Jeżeli nie będzie można umieścić dzieci w gimnazjach katolickich lub państwowych należy zastanowić się nad dodatkowymi urządzeniami szkolnymi w obozie oraz prowadzeniem obecnego polskiego gimnazjum według wzorców obowiązujących w szkołach nowozelandzkich.

Administracja obozu

Urzędowe sprawozdania i protokoły

(Źródła z archiwum Archives New Zealand)

Sprawozdanie Urzędu Premiera Nowej Zelandii

Wellington

15 kwietnia 1947 roku

Odpowiedzialność i obowiązki nowozelandzkiego komendanta obozu

Komendant jest odpowiedzialny za administrację i dyscyplinę personelu nowozelandzkiego, za dostawę prowiantu i wyżywienie wszystkich w obozie, tak Nowozelandczyków, jak i Polaków, oraz ma sprawować ogólną opiekę nad obozem.

Odpowiedzialność polskiego delegata

Odpowiedzialny za administrację i dyscyplinę polskiego personelu, według nakazów Rządu Polskiego na Uchodźstwie.

Odpowiedzialność Urzędu Prac Publicznych

Odpowiedzialny za utrzymanie terenu, budynków i sprzętu, urządzeń ratowniczych i boisk obozowych.

Zakwaterowanie

Kwatery składają się z 14 baraków, 20 domków i kwater dla polskiego personelu, łącznie dla 840 Polaków. Personel nowozelandzki, składający się z kadry oficerskiej, ochotniczek-sanitariuszek i pozostałego personelu wojskowego, liczy około 60 osób.

Zespół medyczny i sanitarny

Odpowiedzialność za zdrowie polskich mieszkańców w obozie należy do polskiego lekarza dr Eugenii Czocharńskiej. Jej doradcą i chirurgiem jest dojeżdżający z Pahiatua dr Lange, który ma opiekę nad personelem nowozelandzkim.

Odpowiedzialność za warunki sanitarne w pomieszczeniach należy do personelu obu narodowości, a na zewnątrz do Departamentu Prac Publicznych.

Prawo dostępu do obozu

Odwiedzanie obozu jest dozwolone w godzinach od 14-tej do 16-tej w niedziele albo za uprzednią zgodą polskiego delegata lub komendanta obozu. Przepustki na każdorazowe opuszczenie obozu obowiązują też personel nowozelandzki. Zezwolenia dla polskiego personelu i dzieci udziela polski delegat.

Zabezpieczenie przeciwpożarowe

Wyszkolone kadry nowozelandzkie, pod nadzorem kierownika, są odpowiedzialne za gaszenie pożarów. Oddział polskich chłopców będzie służył do pomocy po odpowiednim przeszkoleniu.

Rozrywki i zabawy

Przygotowano boiska do piłki nożnej, koszykówki i siatkówki, za które odpowiada polski delegat. Dostarczono 35 mm aparat do wyświetlania filmów w obozie. Amatorskie zespoły koncertowe i orkiestry lokalne ofiarowały swoją pomoc. Podkomitet do Spraw Ugoszczenia Polskich Dzieci w Pahiatua ustanowi program i przeprowadzi odpowiednie występy.

Komitet do Spraw Ugoszczenia Polskich Dzieci

Został powołany komitet złożony z przedstawicieli różnych związków i organizacji społecznych do zaopatrzenia polskich dzieci w ubrania, gry i zabawy itp., czyli tych rzeczy i usług, których nie dostarcza rząd.

Sprawozdanie specjalnej komisji rządowej, powołanej przez premiera do zbadania stanu liczebnego pracowników zatrudnionych w Obozie Polskich Dzieci w Pahiatua, 10 kwietnia 1947 roku

Zwiedziliśmy obóz w dniach 9-10 kwietnia 1947 roku i stwierdzamy jak następuje. Obóz jest zarządzany przez trzy ugrupowania – polski personel, armię nowozelandzką oraz departament do spraw prac publicznych.

Polski personel

Od ostatniego sprawozdania z dnia 11 września 1946 roku liczba polskich dzieci oraz ich opiekunów w obozie zmniejszyła się.

Pomocnik

Starszy Polak na tym stanowisku nie jest już zdolny do wykonywania fizycznych prac, prawdopodobnie przejdzie na zapomogę chorobową w najbliższej przyszłości. Ponieważ nie ma odpowiedniej osoby wśród Polaków na zastępstwo, stanowisko przestanie istnieć.

Higienistka

Po rozmowie z siostrą sanitarną w służbie pielęgniarek przy wojsku nowozelandzkim jesteśmy przeświadczeni, że przy zmniejszonej liczbie polskich dzieci w obozie stanowisko higienistki nie wymaga pełnego etatu. Ponieważ odchodzi pielęgniarka ze szpitala obozowego uważamy, że stanowisko higienistki jest zbędne i że obecną higienistkę należy zatrudnić w szpitalu, gdzie wykonywałyby niektóre ze swoich obecnych zajęć, takich jak przegląd dzieci i opieka nad rejestrem medycznym. Opiekę nad osobistą higieną dzieci winny sprawować osoby odpowiedzialne za dzieci w barakach.

Liczba polskiego personelu jest na pozór wielka w porównaniu z liczbą dzieci w obozie (384 dzieci i 108 osób dorosłych). Należy jednak pamiętać, że prócz pościeli wysyłanej do pralni na zewnątrz obozu, polski personel zapewnia wszelkie usługi mieszkaniowe.

Dodatkowo, wysiłek związany z opieką nad tak dużą grupą dzieci jest znaczniejszy niż byłby nad podobnie liczną grupą dorosłych. Po zbadaniu wszystkich wykonywanych prac wyłonił się całkiem odmienny obraz stanu liczbowego zatrudnionego personelu.

Administracja

Biorąc pod uwagę trudności językowe, nie da się obniżyć liczby Polaków zatrudnionych w administracji obozu.

Sprzęt i magazyn

Polski magazynier wykonuje obowiązki opiekuna nad barakami oraz jest odpowiedzialny przed kwatermistrzem za meble i sprzęt dostarczony do pomieszczeń dla Polaków.

Szpital obozowy

Szpital mieści 40 łóżek. Nie ulega wątpliwości, że oprócz ww. higienistki liczba polskiej obsługi szpitalnej jest niewystarczająca, biorąc pod uwagę, że przynajmniej 80% dzieci wymaga bardzo dużej opieki pielęgniarskiej.

Kuchnie

W porównaniu do kryteriów obowiązujących w Nowej Zelandii liczba 13 osób do obsługi 492 ludzi w obozie nie jest przesadna.

Szkolnictwo

Nie badaliśmy tej sprawy, ponieważ szkolnictwo w obozie podlega okresowym przeglądom Departamentu Szkolnictwa.

Pralnia

Nie mamy danych o ilości sztuk odzieży i pościeli pranych przez obozową pralnię. Ale biorąc pod uwagę, że sześć praczek, mających do użytku bardzo marny sprzęt, pierze i prasuje osobiste rzeczy 384 dzieci, nasza komisja uważa, że w pralni pracuje minimum potrzebnych osób.

Oprócz zwyczajnych balii i kotłów pralnia posiada tylko dwie domowe pralki elektryczne, które nie są wystarczające na potrzeby obozowe. Jeżeli obóz ma nadal istnieć, należy zastanowić się poważnie nad dostarczeniem pralek odpowiednich dla takiej wielkości zakładu, jakim jest obóz. Dostawa takiego sprzętu pozwoli albo na obniżenie liczby zatrudnionych osób, albo pozwoli obecnym pracownikom na przejęcie dodatkowo pościeli, którą w obecnej chwili obsługuje pralnia w pobliskim mieście Palmerston North.

Szwalnia

W liczbie 14 obozowych krawcowych 10 to uczennice – jest to pożądaný stan rzeczy, rokujący możliwość otrzymania pracy w przyszłości. Działalność tego zakładu dotyczy szycia ubrań nie tylko dla dzieci obozowych, ale i dla tych dzieci, które już uczęszczają do szkół nowozelandzkich.

Oprócz ubrań szytych z nowego materiału używana odzież oraz nadwyżki ze składów wojskowych, marynarki, lotnictwa i z innych źródeł jest pruta i przerabiana na ubrania dla dzieci. Poza tym szwalnia zajmuje się cerowaniem zużytej odzieży. Jako przykład wydajności szwalni, w ciągu miesiąca dokonano pracy nad 528 sztukami odzieży.

Wiele wysiłku wymaga przyszywanie guzików. Proponujemy nabycie dla szwalni odpowiedniej maszyny do tej pracy. Państwowe Biuro Zatrudnień posiada taki zbyteczny dla niego sprzęt. Komisja jest zdania, że szwalnia nie posiada nadmiaru krawcowych.

Opieka nad barakami

Każdy z 11 baraków jest pod nadzorem opiekunek barakowych, które są odpowiedzialne za pieczę nad dziećmi w godzinach pozaszkolnych, za ich osobistą higienę itp. Opiekunki baraków chłopięcych podlegają kierownikowi, a dziewczęcych kierowniczce. Opiekując się dziećmi, kierownicy wykonują funkcje rodziców. Komisja nie znalazła powodów do obniżenia liczby opiekunów i uważa, że proporcja jednego opiekuna na 35 dzieci nie jest wygórowana.

Zakład szewski

Pięciu uczniów-czeladników to chłopcy do 15 lat, uczący się zawodu, który ułatwi im w przyszłości znalezienie sobie miejsca w społeczeństwie. Po

zbadaniu wykonywanych prac w tym zakładzie komisja jest zdania, że jest to najbardziej zyskowna działalność w obozie. Instruktor zakładu wypowiadał się bardzo przychylnie o zainteresowaniu chłopców tą pracą. Dodatkowo do normalnej naprawy, około 90 par obuwia tygodniowo, chłopcy używają materiału z doszczętnie zniszczonego obuwia w przeróbce na mniejsze rozmiary. Chłopcy ci też pomagają w magazynie odzieżowym i przy rozładowywaniu węgla przez szereg godzin w tygodniu.

Pozostałe usługi obozowe

Nie ulega wątpliwości, że jeden fryzjer nie podoła pracy przy tak wielkim gronie obozowym i dlatego uważamy, że dwie osoby są konieczne do tej pracy.

Personel Armii Nowozelandzkiej

Personel liczy 23 osoby, włącznie z pracownikiem kantyny i siostrą przełożoną w szpitalu obozowym. Jest to liczebność zatrudniona o wiele niższa niż ta, która była w ubiegłych latach, i uważamy, że niemal osiągnęła minimum konieczne do sprawnego wykonywania obowiązków należących do Armii.

Ponieważ w obozie jest już około 300 polskich dzieci mniej niż na początku i niektóre obowiązki, dawniej wykonywane przez Nowozelandczyków, są obecnie wykonywane przez Polaków, należy zastanowić się nad dalszym zapotrzebowaniem usług Armii Nowozelandzkiej.

Po szczegółowym zbadaniu wykonywanych obowiązków i mając na uwadze, że Polacy objęli dodatkowe prace w obozie, uważamy, że 22 osoby wojskowego personelu wystarczy bez obniżenia jakości wykonywanych usług.

Pracownicy Departamentu Prac Publicznych

Z naszego sprawozdania wynika, że ani polski personel, ani wojskowy nie zajmuje się konserwacją lub remontem w obozie. Te niezbędne usługi wykonuje departament prac publicznych. Departament otrzymał nakaz, żeby pozostawić obóz przy pełnej sprawności dla innych użytkowników, w razie opuszczenia obozu przez Polaków.

Hodowla drobiu w obozie

170 kur znosi 91 tuzinów jajek miesięcznie. Uważamy to za mało wydajny wynik i polecamy zbadanie tego stanu rzeczy przez departament rolnictwa celem zamknięcia tej czynności. Jednak, z powodu braku jaj w całym kraju, uważamy za stosowniejsze, żeby obóz był samowystarczalny, przez usprawnienie i zwiększenie wydajności drobiu.

Trzoda chlewna

Odpadki z kuchni obozowej są sprzedawane farmerowi w okolicy. Zastanawialiśmy się czy obóz byłby w stanie prowadzić własną hodowlę trzody chlewnej. Poprzednie badanie tego zagadnienia okazało jednak, że obóz nie posiada terenu odpowiednio oddalonego od ludzkich pomieszczeń.

Liczba zatrudnień w przyszłości

Zdanie komisji o przyszłości zatrudnień w obozie jest następujące.

Polski personel żeński oczekuje przybycia swoich mężów do Nowej Zelandii w niedalekiej przyszłości, po czym opuszczą obóz, gdy ich mężowie znajdą pracę poza obozem. Dotychczasowe usługi wojskowego personelu zakończą się 31 marca 1948 roku. Wówczas nastąpią w obozie poważne braki w niezbędnych usługach.

Komisja stwierdza, że należy się zastanowić nad przekazaniem administracji nad obozem którejś z rządowych organizacji cywilnych, które mają doświadczenie w opiekowaniu się dziećmi.

*Opracował z państwowych źródeł archiwalnych w Wellingtonie
Stanisław Manterys*

Harcerstwo w obozie

Niedługo po założeniu harcerstwa przez Lorda Baden-Powella Polacy całym sercem przyjęli ten ruch. Do Związku Harcerstwa Polskiego przyjmowano młodzież bez względu na płeć. To było w 1911 roku.

Polska w tym czasie była jeszcze pod zaborami. Nowy ruch harcerski pozwalał Polakom wyrażać swoje uczucia patriotyczne. Był zarazem organizacją budującą charakter młodzieży i źródłem przyjemnej rozrywki. Nic dziwnego, że zaraz po ucieczce z przymusowych obozów pracy w Rosji potworzyły się w Iranie drużyny harcerskie zanim założono szkoły. Gdy dzieci przybyły do Obozu Polskich Dzieci w Pahiatua, trzy czwarte z nich należało już do ugrupowań harcerskich i do zuchów pod dowództwem hufcowej Stefanii Kozery, której pomagali starsi chłopcy i dziewczęta.

W obozie harcerstwo odgrywało znaczną rolę w życiu dzieci. Na początku wypełniło lukę, spowodowaną brakiem środków do pozaszkolnej rozrywki (brakowało wówczas instrumentów muzycznych i obóz posiadał tylko jedno radio). Nawet po założeniu drużyn sportowych i innych organizacji młodzieżowych harcerstwo pozostało ostoją obozu. Ruch ten łączył młodzież obozową i był jednym z głównych źródeł rozrywki.

W szkole zazwyczaj tylko zdolniejsze dzieci wyróżniają się w klasie. Natomiast w harcerstwie każdy mógł się czymś wykazać. Niektórzy mieli szczególną umiejętność rozpalania ogniska, inni mieli piękne głosy, znów inni posiadali cechy przywódcze lub zdolność nauczania innych różnych umiejętności. Wszyscy mieli możliwość „świecić” w gronie i wytworzyć bliskie więzy przyjaźni z innymi dziećmi.

Wiele spotkań odbywało się przy ognisku. Pierwsze było poświęcone wszystkim harcerzom i tym Polakom, którzy oddali swoje życie w Powstaniu Warszawskim. To była wzruszająca chwila. Spotkania przy ognisku harcerskim odzwierciedlały uczucia dzieci w obozie. Żeby przygłuszyć okropne chwile tęsknoty urządzali „podróże po Polsce” przy śpiewie, poezji i ludowych tańcach. Obchodzili polskie święta narodowe i ważniejsze kościelne oraz szereg rocznic. Dla przykładu rocznica zwycięstwa polskiego oręża pod Monte Cassino odbyła się radośnie i napełniła nas ogromną dumą.

Polskie dzieci szybko zaprzyjaźniły się z nowozelandzkimi harcerzami i harcerkami. Wielu nowozelandzkich harcerzy stało wzdłuż torów kolejowych, gdy pociąg wiozł polskie dzieci z Wellingtonu do Pahiatua. Inni znów witali dzieci na stacji Palmerston North, a harcerki z Pahiatua pomagały w przygotowaniu obozu na przybycie dzieci.

Przyjaźń, która rozpoczęła się w ten pierwszy dzień w Nowej Zelandii, wciąż rozkwitała. Hufce spotykały się przy wielu okazjach, biorąc wspólny udział w różnych działaniach, z których najważniejsze było poświęcenie flagi Harcerstwa Polskiego. Harcerze i harcerki z Pahiatua przybyli do obozu na tę uroczystość. Nowozelandczycy i Polacy wspólnie brali udział w różnych imprezach, razem jedli, przemaszerowali przed dowódcami nowozelandzkich i polskich harcerzy, pochylali wspólnie głowy przy poświęceniu flagi. Innym razem grupa harcerek polskich wzięła udział w ćwiczeniach dla dowódców zastępów harcerskich w obozie w Waipawa.

Komisarz Nowozelandzkich Harcerek nie tylko odwiedzała obóz, ale przewodniczyła przy ważnych okazjach. Związek Harcerstwa Nowej Zelandii przyjął do swojego grona harcerzy polskich i pomagał im w przyzwyczajaniu się do pobytu w tym nowym kraju poprzez okazaną przyjaźń i wspólne działania. Dlatego są dotąd tak mile wspomniani i jest to jednym z powodów, dla którego polskie dzieci wspominają swe lata harcerskie z taką radością.

Z czasem dzieci podraستاły i rozproszyły się po różnych częściach Nowej Zelandii, by dalej uczyć się lub podejmować pracę. Obóz kurczył się, harcerstwo malało, aż w końcu przestało istnieć. Obóz zamknięto i dzieci rozproszono. W 1965 roku Stefania Kozera zmarła. Wszystkie dokumenty harcerskie z obozu w Pahiatua, takie jak protokoły zebrań, zagubiły się. Natomiast flaga Harcerstwa Polskiego w Pahiatua ocalała i stała na poczesnym miejscu przy ołtarzu podczas nabożeństwa w dniu obchodów 60-lecia przyjazdu dzieci do Nowej Zelandii. Flaga została złożona w Polskim Muzeum w Auckland.

Ocalały też zdjęcia, włącznie z tym, w którym Lady Baden-Powell odwiedza obóz. Oryginał tego zdjęcia znajduje się w Polskim Instytucie Kulturalnym w Londynie wraz z innymi zdjęciami polskiego harcerstwa w Nowej Zelandii. Jest też artykuł w książce napisanej przez Władysława Seweryna Spławskiego, *Harcerki w Związku Harcerstwa Polskiego*, dotyczący harcerstwa polskiego w Nowej Zelandii.

Oficjalne dokumenty zaginęły, ale najważniejsze dla byłych polskich dzieci pozostały ciepłe wspomnienia wezwania do czynu, przygody, uzyskane odznaki, śpiewy przy ogniskach i zawarta przyjaźń. Doświadczenie wyniesione z harcerstwa pomogło przekształcić dzieci w jedną wielką rodzinę i w dorosłych ludzi, polskich patriotów i pracowitych Nowozelandczyków z wielką miłością do Boga i kraju.

Czuwaj!

Dioniza Choroś (Gradzik)

Polskie bursy 1946–1958

Przyjeżdżając do Nowej Zelandii w 1944 roku, polskie dzieci i personel szczerze wierzyli, że ich pobyt będzie tymczasowy i że powrócą do Polski jak tylko wojna się skończy. W tym celu wszystkie lekcje w Obozie Polskich Dzieci w Pahiatua odbywały się w języku polskim i w atmosferze polskiej kultury katolickiej. Nauczanie języka angielskiego było minimalne.

Niestety, w lutym 1945 roku, po decyzjach konferencji w Jałcie, widać było jasno, że dzieci, a szczególnie sieroty, nie wrócą do swojej ojczyzny. Wschodnia Polska, skąd pochodziły dzieci, została dołączona do Rosji, a reszta Polski włączona w blok sowiecki.

W konsekwencji takiej sytuacji polski personel w obozie, wraz z rządem nowozelandzkim, rozpoczęli planować przyszłość dzieci i ich rozlokowanie. Obu stronom było trudno dojść do zgody. Rząd Nowej Zelandii pragnął jak najszybciej włączyć dzieci w społeczeństwo nowozelandzkie, natomiast polscy opiekunowie obawiali się, że gdy dzieci będą wyrastały wśród obcych, wtedy stracą swoją polskość i religię. Ostatecznie doszło do zgody między Rządem Nowej Zelandii, personelem polskim i Kościołem katolickim, w jaki sposób rozlokować dzieci z obozu.

Polska Bursa Męska

Poprawna nazwa tej bursy, zapisana w *Catholic Archives* (Katolickie Archiwum) na Hill Street w Wellingtonie, brzmi: *Catholic Polish Youth Hostel* (Katolicka Bursa dla Polskiej Młodzieży), lecz Polacy nazywali ją zwykle Bursa Męska.

Siostra Monika (Maria) Alexandrowicz, polska urszulanka, która razem z siostrą Imeldą (Anna) Tobolską dzieliła losy tych dzieci w Rosji i Iranie, pracowała z nimi przez czternaście lat w Nowej Zelandii, najpierw jako nauczycielka w obozie, następnie jako kierowniczka Bursy Męskiej, a potem Bursy Żeńskiej, zanim jej nie odwołano do Polski, bardzo wyraźnie opisuje początki tych burs w swoim pamiętniku *Z Lubcza na Antypody*:

„Kiedy grupa najstarszych chłopców opuszczała nasze osiedle [obóz], trzeba było udać się z nimi do Wellingtonu. Część z nich poszła do gimnazjum św. Patryka, a reszta do nauki zawodów ślusarstwa, stolarki i innych. W ten sposób wyłoniła się konieczność stworzenia w Wellingtonie bursy dla tych chłopców. Z pomocą przyszedł nam ksiądz prałat John Kavanagh z kurii biskupiej (był on pośrednikiem między kurią a rządem). Uzgodniwszy

wszystkie warunki, ksiądz Kavanagh zakupił w Wellingtonie dom, w którym miała być urządzona bursa dla 40 chłopców. Niektórzy z nich już pracowali a niektórzy uczęszczali do szkół”.

„Obok niego znajdował się drugi, mały stary domek, który po dokładnym wyremontowaniu miał stanowić mieszkanie dla siostry Imeldy i dla mnie. Urządziliśmy także małą kaplicę między bursą a naszym domkiem. Tak więc z dniem 26 sierpnia 1946 weszliśmy w nowy okres pracy, przenosząc się do bursy chłopców w Wellingtonie, w dzielnicy Island Bay”.

Fundusze na bursy

Rząd nowozelandzki popierał jak najbardziej projekt założenia burs dla polskiej młodzieży, która opuściła obóz i pracowała lub uczyła się w Wellingtonie. Koszta prowadzenia Bursy Męskiej pokrywał głównie Rząd, a resztę chłopcy pracujący, którzy płacili za swoje utrzymanie. Premier Peter Fraser orzekł, że polskie dzieci muszą być wychowane w atmosferze polskiej i według tradycji tak religijnej, jak i świeckiej ich ojczyzny. Podobno Premier wymógł od swojego następcy obietnicę, że dzieci polskie będą nadal traktowane tak dobrze jak za jego kadencji.

Siostra Alexandrowicz i siostra Imelda wspólnie objęły pracę gospodarczą, a chłopcy porządku. W dodatku siostra Alexandrowicz wieczorami dawała chłopcom lekcje polskiej historii i języka polskiego. Życie w bursie było bardzo pracowite.



Polska Bursa Męska przy ulicy Clyde Street, Island Bay, Wellington.
Otwarta 6 maja 1946 roku dla chłopców, którzy opuścili Obóz Polskich Dzieci w Pahiatura do pracy lub na studia w Wellingtonie

Wrażenia chłopców z Bursy Męskiej

Obydwie siostry, tak jak i inne Siostry Urszulanki, które dołączyły później do nich, miały wykształcenie oraz doświadczenie wychowawcze i gospodarcze, w wyniku czego chłopcy, którzy byli pod ich opieką w Bursie Męskiej, pamiętają spokojne życie, jedzenia pod dostatkiem i sprawiedliwą dyscyplinę.

Atmosfera zmieniała się nieco po objęciu pracy sióstr przez personel świecki. Niektórzy z personelu nie mieli tego samego doświadczenia w wychowaniu młodzieży, co siostry i stosowali trochę za ostrą dyscyplinę do swoich podopiecznych. W miarę jak chłopcy podrastali, ich pragnienie samodzielności rosło także. Zdarzały się nieporozumienia, gdy ktoś z personelu nie rozumiał tych potrzeb.



W niedzielne popołudnie, na schodach Polskiej Bursy Męskiej w dzielnicy Island Bay, w Wellingtonie. Podczas wizyty duszpasterskiej, Boże Narodzenie, 1950 roku. Niektórzy chłopcy przybyli tu na wakacje ze szkół nowozelandzkich.

Z tyłu, od lewej: Józef Kubiak, Stanisław Kilian, Józef Zawada, Stanisław Ościłowski, Jan Kołodziński, Alfred Sapiński, Julian Nowak
Drugi rząd, od lewej: Eugeniusz Szadkowski, Stanisław Wójcik, Jerzy Białostocki (wyżej, były wychowawca z Obozu Polskich Dzieci w Pahiatua), ks. dr Leon Broel-Plater, Eleonora Zaleska (opiekunka nad polską młodzieżą z ramienia Rządu Nowej Zelandii), Helena Białostocka, Paulina Jastrubecka, Marcin Babczyszyn (kierownik bursy), Hildegard Babczyszyn, Marian Budny (wyżej), Lech Lubas, Władysław Wojtowicz. **Trzeci rząd, od lewej:** Mieczysław Głowacki, Rudolf Szymczycha. **Z przodu, od lewej:** Jan Lasota, Ryszard Białostocki, Stanisław Wójcik, Barbara Babczyszyn, Piotr Adamczyk, Stanisław Brejnakowski, Wacław Juchnowicz

Większość chłopców pamięta bursę jako miejsce, w którym życie było dobre i bezpieczne. Mieli częste wizyty sióstr, braci i przyjaciół, a kiedy w 1947 roku otworzyła się Polska Bursa Żeńska, chłopcy chodzili tam grać w siatkówkę, czasem na potańcówkę lub zaprosić którąś z panienek do kina, za pozwoleniem siostry Alexandrowicz.

Chłopcy pomagali nie tylko w sprzątaniu, ale również w innych pracach. Jeden chłopiec przypomina pocieszny przypadek, gdy starali się założyć ogród warzywny. Za bursą był spory kawał ziemi, więc jeden z wychowawców zdecydował posadzić tam ziemniaki, by obniżyć kosztą żywienia. Pamiętał jak się to robiło w Polsce, ale nie miał konia. Jakiś przyjaciel Nowozelandczyk znalazł konia na pastwisku w Happy Valley i przyprowadził go do bursy. Zaprzężono konia. Chociaż wychowawca wiele razy i bardzo głośno rozkazywał: Hetta! Wiśta! WIO! WIO!, koń nie ruszył z miejsca – jeszcze się nie nauczył języka polskiego!

Nie brak przyjaźni i pomocy

Siostra Alexandrowicz wspomina, że przez cały ten okres społeczność nowozelandzka, poczynając od premiera Petera Fräsera aż do obcych osób na ulicy, darzyła ich samą dobrocią, wyrazami współczucia i ofertami pomocy. Wspomina szczególnie jedną panią, Ruby Fleming, która zjawiała się któregoś dnia w bursie i gestykulując energicznie, bo siostry nie umiały angielskiego, dała im do zrozumienia, że chce im pomóc w pracy. Siostra Imelda od razu pokazała jej jak się robi gołąbki. Od tego dnia pani Fleming przychodziła często i tak zawiązała się trwała przyjaźń.

Przybywa więcej Sióstr Urszulanek

W związku z planami przygotowań do otwarcia Polskiej Bursy Żeńskiej, 26 sierpnia 1947 roku, przybyły trzy Siostry Urszulanki z Francji: siostra Franciszka Maślak (siostra Marcina), siostra Augustyna Sobczak i siostra Bernarda Brennan, Irlandka, która wstąpiła do Urszulanek w Polsce i nauczyła się mówić bardzo dobrze po polsku. Zatrzymały się na krótko w klasztorze nowozelandzkim i przez kilka miesięcy pracowały w Bursie Męskiej. W grudniu 1947 roku wszystkie siostry przeniosły się do nowo powstałej Bursy Żeńskiej. Bursa Męska trwała jeszcze pięć lat pod opieką świecką aż do zamknięcia w sierpniu 1952 roku.

Polska Bursa Żeńska „Ngaroma”

Tak jak w wypadku Bursy Męskiej, założeniem Bursy Żeńskiej zajął się ksiądz John Kavanagh, prawny opiekun dzieci polskich, który znalazł odpowiednią posiadłość na bursę, piękny, obszerny dworek, pod nazwą „Ngaroma”, który poprzednio należał do bogatej rodziny Hope-Gibbons. Część kosztów pokryła Katolicka Kuria Biskupia, a resztę Rząd Nowozelandzki.

8 grudnia 1947 roku posiadłość pod adresem 112 Queens Drive na Lyall Bay w Wellingtonie została Polską Bursą Żeńską, domem dla polskich dziewcząt pracujących, jak również uczęszczających do szkół, na następne dziesięć lat. Ksiądz Kavanagh spędził kilka dni w pustej bursie, następnie wprowadziła się siostra Brennan i dwie starsze dziewczęta, Helena Nawrocka i Henryka Nasarzewska. W krótkim czasie bursa zaczęła się wypełniać.

Poważne zmartwienie

Zakładając Bursę Żeńską, siostry chciały, żeby tylko polskie dziewczęta pracujące i uczące się, a potem te najmłodsze z obozu mieszkaly w bursie i były wychowywane w polskiej, katolickiej atmosferze. Gdy już bursa nie będzie dla nich potrzebna, przeznaczy się ją na dom dla imigrantów, dla dzieci matek pracujących i dla starszych osób potrzebujących opieki.



Ksiądz Michał Wilniewicz przed odjazdem do Rzymu (w drodze do Libanu) z Siostrami Urszulankami przed ich domkiem w Bursie Męskiej

Kuria natomiast miała inne plany. Krótco po objęciu bursy przez siostry ksiądz Kavanagh poinformował siostrę Alexandrowicz, że życzeniem Kurii jest, aby tylko dziewczęta pracujące mieszkały w bursie; w dodatku, połowę z nich mają być Polki, a połowę Nowozelandki. Młodsze dziewczęta miały być ulokowane u rodzin nowozelandzkich. Ta wiadomość była prawdziwym ciosem tak dla sióstr, jak i społeczeństwa polskiego. Gdyby ten plan został przyjęty, to najwrażliwsza grupa polskich sierot znalazłaby się pod opieką, może kochających, ale obcych ludzi.

Byłam w tym czasie w Dunedin, w internacie, i pamiętam, że strach mnie ogarnął na tę wiadomość, bo bałam się, że „oni” porzucą mnie gdzieś między obcymi i nie pozwolą wrócić do moich przyjaciół.

Jeśli ten nowy plan doszedłby do skutku, siostra Alexandrowicz przewidywała wiele problemów: brak polskiej, katolickiej atmosfery, brak współpracy nowozelandzkich dziewcząt z polskimi siostrami, różne rasy – inne potrzeby, ale co najgorsze, że najmłodsze polskie sieroty byłyby rozsypane między obcych. Siostry nie miały nic przeciwko mieszanym rasom, później opiekowały się dziećmi różnych ras i narodowości, ale najpierw chciały zaopiekować się polskimi sierotami, które potrzebowały specjalnej opieki. „Tylko tolerancja i współczucie mogły uleczyć rany w tych dzieciach” – pisał ksiądz Michael O’Meeghan w książce *Steadfast in Hope* (Niezachwiany w nadziei).

Żaden argument ze strony siostry Alexandrowicz nie mógł przekonać księdza Kavanagh, więc w desperacji i po wielu modlitwach siostra zwróciła się o pomoc do polskich byłych żołnierzy, szczególnie do kapitana Tadeusza Szczerbo-Niefiedowicza z Polskiej Marynarki Wojennej na Uchodźstwie. Pan kapitan, wraz z innymi byłymi żołnierzami, zwrócił się z kolei do paru członków parlamentu nowozelandzkiego z petycją, aby Rząd rozpatrzył sprawę Polskiej Bursy Żeńskiej. Petycja się udała. Po porozumieniu się Rządu z Kurią Katolicką zdecydowano, że bursa pozostanie posiadłością Kurii, ale będzie do użytku wyłącznie dla Polaków pod zarządem Sióstr Urszulanek.

Do połowy grudnia 1947 roku reszta sióstr i więcej dziewcząt wprowadziło się do bursy. Na początku mieszkało tam 80 dziewcząt, a największa liczba w jednym czasie to 120 dziewcząt.

Pierwsze Boże Narodzenie w bursie

Pierwsze święta Bożego Narodzenia spędzone w bursie były wzruszające tak dla dziewcząt, jak i sióstr. Znajome i przyjazne twarze, polskie tradycje bożonarodzeniowe zachowane, wszędzie wesoła, domowa atmosfera. Każda czuła się jak we własnym domu. Czuły, że z Bożą pomocą będą wszystkie mieszkać tam bezpiecznie i szczęśliwie.

Siostry Urszulanki w swojej pracy

Siostra Imelda Tobolska, absolwentka szkoły gospodarczej, posiadająca wielki talent do tworzenia pysznych dań z marnych składników, szykowała posiłki i zajmowała się śpiewem w kaplicy.

Siostra Augustyna była odpowiedzialna za dopilnowanie porządku w bursie i za ogród klauzurowy, a czasem zamieniała się w pracy z siostrą Imeldą.

Siostra Marcina, cicha, zrównoważona osoba, miała wielki dar do wychowywania najmłodszych dzieci. Była bardzo cierpliwa i potrafiła je zabawić tak, że dzieci ją uwielbiały i, co ważniejsze, były jej posłuszne.

Siostra Brennan, nieco starsza od reszty sióstr, ale prosta jak trzcina, była wielką organizatorką. Potrafiła uprościć prawie każdą pracę domową. Jeden przykład: żeby zapobiec częstemu tłuczeniu naczyń powierzyła każdej osobie komplet naczyń i sztućców oraz przegródkę na specjalnie przez nią zaprojektowanych półkach.

Każda osoba myła własne naczynie pod bieżącą gorącą wodą – szybko, higienicznie i bez sprzeczek. Opiekowała się biblioteką i pilnowała, żeby sprzęt domowy był reperowany. Była to bardzo inteligentna i kulturalna osoba. Jedna studentka z uniwersytetu do dziś jest wdzięczna siostrze za ciekawe książki podsuwane jej do pokoju.

Siostra Alexandrowicz była nadzwyczajną osobą. Miała silny charakter, niezachwianą wiarę w Boga, szczerze kochała ludzi, a najbardziej dzieci i była pierwszorzędną administratorką. Czy jakaś przeciętna opiekunka podkradałaby się nocą w wigilię św. Mikołaja, żeby na każdej klamce zawiesić po kilka cukierków? – potrzeba by było przynajmniej jednego rozdziału, żeby ją opisać. Była odpowiedzialna za całą bursę, prowadziła rachunki dla bursy i dla dziewcząt, zamawiała i płaciła za wszystkie prowiant, czuwała nad swoimi podopiecznymi, a w klauzurze nad życiem duchowym swoich sióstr. My, dziewczęta, miałyśmy naprawdę szczęście mieć ją za „matkę” w naszej bursie.

Starła się traktować swoją młodą „rodzinę” jak własne dzieci i tak ją wychować. Bardzo trudne zadanie, lecz jej miłość i poświęcenie przyniosły wspaniałe rezultaty. Dzięki jej trosce atmosfera w bursie była tak przyjemna i domowa, że niektóre z dziewczynek, których ojcowie przyjechali z Wojska Polskiego do Nowej Zelandii, ze smutkiem opuszczały bursę.

„Dziewczęta mieszkające w bursie były bardzo szczęśliwe” – mówi Romualda Waluszewska (Sokalska) – „Siostra Alexandrowicz była bardzo dobra i czuwała nad nami jak matka. Często nam przypominała, że bursa to jest nasz dom. Podczas weekendu, kiedy dziewczynki wychodziły wieczorami, czekała aż każda wróci bezpiecznie. Czasami uważałyśmy, że się za dużo

martwi o nas. Dopiero, gdy same zostałyśmy matkami, zrozumiałyśmy, że robiła to dla naszego dobra”.

Były też inne kobiety, które pomagały siostram przez lata trwania bursy. Siostra Maria Sawicka, pielęgniarka, doglądała higieny młodszych dziewczynek i pomagała wszystkim w najmniejszych dolegliwościach. Pani Jadwiga Michalik pilnowała odrabiania zadań domowych, uczyła tańców narodowych i nadzorowała szycie kostiumów na koncerty. Siostra Paula, młoda Urszulanka, która mieszkała w bursie tymczasowo, reżyserowała kilka polskich sztuk, w których występowały dziewczynki. Wyjechała w 1954 roku. Koniecznie trzeba wspomnieć panią dr Eugenię Czochańską, która bardzo przyjaźnie i umiejętnie leczyła nasze dolegliwości w Isfahanie, obozie i bursach.

Dyżury i regulaminy

Mając tyle dziewcząt a tak mało siostr, siostra Alexandrowicz była zmuszona stworzyć jakiś regulamin, żeby ułatwić wszystkim życie. Planowała też zatrudnić parę osób świeckich. Poprosiła starsze dziewczęta o sugestie. One odpowiedziały, że nie potrzeba najmować więcej personelu, bo dziewczęta same będą sprzątać bursę. Zgodziły się, że jakiś regulamin jest potrzebny dla sprawnego prowadzenia bursy. Rozpisano kolejność dyżurów do sprzątania w soboty. Wyznaczono czas modlitwy – starsze dziewczęta indywidualnie, młodsze grupami. Ustalono czas wstawania i robienia kanapek.

W soboty, oprócz sprzątania, dziewczynki naprawiały lub szyły ubrania. Starsze dziewczynki czasem nawet szyły sukienki dla młodszych. W poniedziałki, po pracy i po szkole, odbywało się pranie. W środy, piątki i soboty starsze dziewczęta mogły wracać do bursy trochę później, o 12.30 w nocy, bo w pozostałe dni tygodnia drzwi zamykano o 10-ej wieczorem. Jeśli jakiś chłopiec zaprosił którąś ze starszych dziewcząt, musiał najpierw przedstawić się siostrze Alexandrowicz i przyrzec, że sam ją odprowadzi. Przez jedenaście lat istnienia bursy rzadko kiedy któraś z dziewcząt złamała ten regulamin.

Pobożność dziewcząt

Dziewczęta w bursie były na ogół pobożne. Były nauczone ufać Bogu, dziękować Mu za ocalenie ich z rosyjskich łagrów i zwracać się do Niego ze wszystkimi swoimi problemami. Dość często można było widzieć jakąś dziewczynkę klęczącą w kaplicy o różnych porach dnia. W niedzielę dziewczęta ubierały się w najlepsze swoje sukienki i szły na msze św. do parafii albo do miasta na polską mszę św. raz w miesiącu, albo do kaplicy w bursie. Czasem msze były odprawiane w dni powszednie. Obchodzono

wszystkie święta: podczas postu odprawiano drogę krzyżową, śpiewano pieśni postne, w maju radosne majowe pieśni, w październiku różaniec.

Rozrywka i kultura

W niedziele po południu dziewczynki grały w tenisa, w koszykówkę lub siatkówkę, szły na spacer albo organizowały zabawę, na którą przychodzili chłopcy z Bursy Męskiej, a parę lat później przychodzili także byli żołnierze z Wojska Polskiego, którzy przybyli z Anglii. Ksiądz Leahy założył polską drużynę koszykówki *Białe Orły*, która dzięki jego zachętom i entuzjazmowi wygrała turniej i została najlepszą drużyną w Wellingtonie na rok 1951.

Od czasu do czasu dziewczęta wystawiały jakąś polską sztukę lub dały koncert. Często słyszało się śpiew, granie na pianinie lub muzykę z płyt gramofonowych. Za pianino dziewczynki zapłaciły same. Święta kościelne, rocznice narodowe, takie jak: Konstytucja 3-go Maja, Boże Narodzenie, obchody 10-ej rocznicy przyjazdu dzieci polskich do Nowej Zelandii – wszystko to dawało okazje do urządzenia koncertu, do uczenia się nowych pieśni, tańców i recytacji.

W 1955 roku profesor Rytel, znany Polak z USA, gdy odwiedził bursę był zdziwiony jak dobrze dziewczynki mówiły po polsku. Jedyną rzeczą, która przeszkadzała w nauce polskiego śpiewu i tańców, był brak nut i płyt. Trzeba



Prałat Arthur MacRae przemawia na 10-tej rocznicy przyjazdu dzieci polskich do Nowej Zelandii w Polskiej Bursie Żeńskiej w Wellingtonie w 1955 roku. Stefania Manterys stoi z prawej

było wydobyć z pamięci, grać i uczyć się ze słuchu. Natomiast kostiumy spadły jak z nieba! Ksiądz Leon Broel-Plater, który objął stanowisko polskiego kapelana po wyjeździe księdza Michała Wilniewczyca, otrzymał 1000 dolarów od Polonii amerykańskiej jako prezent dla dzieci. Z tych pieniędzy zakupiono materiały na polskie stroje ludowe. Była wielka radość, gdy je skończono szyć. Dzieci były stale czymś zajęte i szczęśliwe.

Dziewczęta zaczynają opuszczać bursę

Dziewczynki szybko wyrosły na młode kobiety. Na weekendy gromady młodych kawalerów tak Polaków, jak i Nowozelandczyków, zjawiały się w bursie. Coraz częściej odbywały się śluby tak, że jeszcze przed zamknięciem bursy dużo jej byłych mieszkanek miało już swoje dzieci. Niektóre z tych dzieci były oddawane pod opiekę sióstr, gdy matki szły do pracy.

Liczba mieszkanek bursy zaczęła się zmniejszać nie tylko z powodu małżeństw, ale dlatego, że im więcej dziewczęta nabierały pewności siebie, tym więcej pragnęły uniezależnić się i szukały mieszkań, by prowadzić samodzielne życie. Niektóre wyjechały do innych krajów, by połączyć się z krewnymi. Opuszczając bursę, każda jednak twierdziła, że nigdzie jej nie będzie tak dobrze jak u sióstr.

Nowi mieszkańcy Bursy Żeńskiej

Około 1952 roku siostry zaczęły przyjmować coraz więcej dzieci innych narodowości i ras: irlandzkie, nowozelandzkie, włoskie, jugosłowiańskie, węgierskie, maoryskie i jedną małą Rosjankę. Większość z nich nauczyła się mówić trochę po polsku. Jeden mały Włoch, Alvaro, zabawiał innych swoim patriotyzmem i był bardzo dumny, że umie mówić po włosku. Ktoś zapytał go po angielsku: „*What's 'frog' in Italian, Alvaro?*”, (Jak jest ‘żaba’ po włosku?) Bez namysłu odpowiedział *‘Froga!’* Nie dał za wygraną.

Liczba i wiek dzieci zmniejszyła się, ale nie stopień opieki ani charakter bursy. Z tą różnicą, że dzieci były młodsze i pochodzące z różnych kultur, więc potrzebowały więcej wysiłku, żeby utrzymać poziom opieki fizycznej i pedagogicznej. Siostry potrzebowały jeszcze najmniej jedną osobę do pomocy. Za pozwoleniem matki przełożonej w Polsce siostra Alexandrowicz poprosiła o pomoc swoją siostrę, Jadwigę Alexandrowicz, kwalifikowaną nauczycielkę, która mieszkała w Kanadzie. Przyjechała do bursy w 1955 roku, a wyjechała w tym samym czasie, co siostry. Inteligentna, zaradna i przyjemna ulżyła w pracy swojej siostrze, która zaczęła już okazywać znaki przemęczenia.

10-ta rocznica przyjazdu dzieci polskich do Nowej Zelandii

1 listopada 1954 roku upłynęło dziesięć lat od przyjazdu dzieci polskich do

Nowej Zelandii. Siostry i dziewczęta zdecydowały obchodzić tę rocznicę w maju 1955 roku. Wysłano zaproszenia do oficjalnych gości i do byłych mieszanek bursy.

Oprócz sióstr, mieszanek bursy i byłych mieszanek z ich dziećmi na koncercie jubileuszowym obecni byli: przedstawiciel rządu i członek parlamentu Ernest Corbett, przedstawiciel Kościoła katolickiego, prałat Arthur McRae, rektor Polskiej Misji Katolickiej, ksiądz Leon Broel-Plater, ksiądz Huzarski, dominikanin, ksiądz Leahy i ksiądz O'Neill; także Eileen Duggan, poetka ze swoją siostrą, członkowie Rady Bursy i wielu przyjaciół.

Koncert rozpoczął się nieformalnymi przemówieniami ministra Corbetta, prałata McRae, księdza Platera i Stefanii Manterys w imieniu dziewczynek. Następnie wykonano polskie tańce i deklamacje, ale najciekawszym i najbardziej wzruszającym punktem był film dokumentalny z przyjazdu dzieci polskich do Nowej Zelandii. Podniecone, zdrowe i pewne siebie młode osoby patrzyły na litości godne dzieci w filmie, poznały siebie, a tu i tam popłynęła łza. Ten film przypomniał im także, z jaką nadzwyczajną



Sala św. Anny, Newtown, Wellington, 9 marca 1958 roku. Pożegnanie Sióstr Urszulanek przed ich odjazdem do Polski. Przedstawiciele wszystkich organizacji polskiej wspólnoty w Wellingtonie dziękują siostram za poświęcenie i pracę w Bursie Męskiej i Żeńskiej w Wellingtonie. **Siedzą, od lewej,** siostry: Augustyna Sobczak, Imelda Tobolska, Marcina Maślak, Bernarda Brennan i Monika Alexandrowicz

życzliwością mieszkańcy Nowej Zelandii przywitani ich 10 lat temu. Po filmie, w całej bursie rozbrzmiewały głosy młodych matek pokazujących swoim dzieciom: „*mój dom, mój pokój!*”

Niespodziewana decyzja

Z początkiem 1957 roku mniej niż 40 dziewczynek z Pahiatua pozostało w bursie, natomiast coraz więcej dzieci różnych narodowości z rozmaitych powodów zamieszkało u siostr. Liczba się powiększyła, gdy przybyły dzieci byłych mieszanek bursy, matek pracujących, a podczas wakacji szkolnych polskie dziewczynki z internatów nowozelandzkich szkół katolickich. Młodsze dzieci potrzebowały więcej indywidualnej opieki, więc siostra Alexandrowicz zgłosiła się do swojej matki przełożonej w Polsce z prośbą o przysłanie więcej siostr. Po miesiącach czekania, 6 sierpnia 1957 roku, siostra Alexandrowicz otrzymała odpowiedź, że ich matka generalna odwołuje Siostry Urszulanki z Nowej Zelandii do Polski.

Nastąpił smutny i trudny okres, kiedy to siostry musiały z bólem oderwać się od dzieci, które były pod ich opieką, znaleźć im inne mieszkania i przyszykować się do podróży. Powrót do Ojczyzny nie napełnił ich radością. Polska była w rękach komunistów, którzy zamykali klasztory, prześladowali zakonnice i sekularyzowali szkoły. Najciężej przeżyć było to, że siostry, przez te kilkanaście lat pracy z dziećmi z Pahiatua, żyły się z nimi jak z własnymi dziećmi. Poza tym w Nowej Zelandii były i czuły się bardzo potrzebną kadrą, a w Polsce miały być rozłączone i odgrywać tylko mało ważne role. Ostatnie dwie dziewczynki, które opuściły Burse Żeńską „*Ngaroma*”, to: Ola Szulgan i Stefania Manterys – Ola w ślubnej sukni, na swój ślub z Mietkiem Lisem, a Stefania jako jej druhna.

Pożegnanie, 9 marca 1958 roku

Niedziela. Rozpoczęto dzień mszą św., celebrowaną przez rektora Polskiej Misji Katolickiej, ksiądz Leona Platera, w kościele św. Anny na Newtown. Po mszy św. Polacy z Wellingtonu i okolic wraz z zaproszonymi nowozelandzkimi gośćmi wypełnili salę u św. Anny. Sala była pełna ludzi, ale atmosfera smutna.

Następujące osoby wygłosiły przemówienia, dziękując siostram za pracę i wyrażając żal z powodu ich odjazdu: ksiądz O'Neill, reprezentujący arcybiskupa McKeefry, ksiądz Leon Plater, kapelan Polaków, Eleonora Zaleska, żona ostatniego delegata Rządu Polskiego na Uchodźstwie, dr Kazimierz Wodzicki, ostatni konsul Polski niepodległej, Bronisław Nawrocki, prezes Stowarzyszenia Polaków, Jerzy Pobóg-Jaworowski, prezes Polskich Kombatantów i Stefania Manterys, studentka, w imieniu dziewcząt z bursy.

Odjazd sióstr do Polski, 13 marca 1958 roku

Siostry: Alexandrowicz, Imelda, Augustyna, Marcina i Brennan opuściły Nową Zelandię 13 marca 1958 roku na statku „*Monowai*”. Bursa „*Ngaroma*” zmieniła właścicieli kilka razy. W 1986 roku Ojciec Święty, Jan Paweł II, zatrzymał się w tej rezydencji podczas swej wizyty w Nowej Zelandii. Obecnie „*Ngaroma*” jest rezydencją nuncjusza apostolskiego.

Co pozostawiły po sobie?

„...Natomiast polskie dzieci, ofiary II wojny światowej, integrowały gładko w Kościół i społeczeństwo nowozelandzkie, zachowując zarazem swoją wyraźną pobożność i kulturę, znacznie odróżniającą się od irlandzkiej...”, pisał ksiądz Michael O’Meeghan w książce *Steadfast in Hope* (Niezachwiany w nadziei).

To, że dzieci z obozu zachowały żywą wiarę w Boga i pozostały wierne swojej ojczyźnie, a zarazem wyrosły na wzorowych obywateli swego adoptowanego kraju Nowej Zelandii, można zawdzięczać ich dobrym wychowawcom, takim jak siostra Alexandrowicz z resztą Urszulanek, księdzu Wilniewiczowi, księdzu Platerowi, również świeckim nauczycielom i wychowawcom.

Wyjątki z ostatniego przemówienia siostry Moniki Alexandrowicz, podczas pożegnania sióstr Urszulanek, w sali św. Anny, Wellington, Nowa Zelandia, 1958 rok. Siostra mówi ze wzruszeniem:

„Odjeżdżając, chciałam o jedno prosić. Żeby jednak nie przywiązywać zbyt dużo wagi do dnia dzisiejszego, do życia materialnego, do życia codziennego. Tak jak dzisiaj zaczęliśmy w kościele pieśnią, zwracamy myśl ku Bogu i dziękujemy, że nas ocalił, bo wszyscy, którzy jesteśmy w tej sali, byliśmy bardzo blisko tamtego świata. Ja bardzo Panu Bogu dziękuję za to, że ta gromadka dzieci, które przyjechały z nami, dostała się właśnie do Nowej Zelandii, a nie do innego kraju. Dwa lata temu byłam w innych krajach i nigdzie w takich warunkach polskie dzieci nie były, jak były w tym kraju. Może ta grupa najbardziej wygrała i za to należy się wdzięczność Panu Bogu.

Nie pograżajcie się w dobrobycie materialnym i nie zapominajcie o Panu Bogu. Tak, należy się Panu Bogu wdzięczność. Niech wasze dzieci wiedzą, że Bóg was wyprowadził z tych ciężkich chwil niedoli. Niech one wiedzą o tym, mówcie im o tym, przypominajcie. Niech one dziękują za was, niech będą w kontakcie z Panem Bogiem. Kto wie, jakie losy ich czekają? Niech one nie pograżą się w życiu materialnym. Potem ogarnie ich panika, gdy przyjdą chwile nieszczęścia. Jeśli wezmą przykład od was, od rodziców, to im to zostanie.

Większość z was jest tu wychowana bez atmosfery rodzinnej, bez domu – dajcie im wy tę atmosferę, dajcie im to, czego im nie da tutejsze życie. Jeżeli wy

nie wytworzą atmosfery katolickiej w domu, to im tutejsze otoczenie nie da. Tutaj jest mniejszość katolicka – tę atmosferę muszą wynieść od ojca i od matki. My starałyśmy się dać wam tę atmosferę katolicką, ale nie mogłyśmy odtworzyć domu rodzinnego. Nie chciałabym, aby w waszych domach dzieci poszły na drugi plan, a dobrobyt materialny na pierwszy. Lepiej żyć ubożej, ale z tą miłością rodzinną. Miłość jest wtedy, kiedy są dowody miłości, kiedy są jakieś uczynki miłości, nie tylko słowa”.

Stefania Sondej (Manterys)

* * *

Polscy duszpasterze w Nowej Zelandii

Od redakcji

Po opuszczeniu księży i siostr zakonnych tamtego okresu ich dobry wpływ był podtrzymywany przez pracę polskich księży z Towarzystwa Chrystusowego, ustanowionego przez kardynała Hlonda dla Polonii zagranicznej. Przybyli tu w 1970 roku i udzielali posług kapłańskich dla Polaków w Nowej Zelandii. Oni również rozumieli potrzebę uchodźców utrzymania swojej tożsamości narodowej.

Bursa Polskich Chłopców w Hawera

Przy końcu 1948 roku tylko 42 chłopców pozostało w Obozie Polskich Dzieci w Pahiatua. W pierwszym semestrze 1949 roku chłopcy uczęszczali do szkół w okolicy, gdzie po raz pierwszy pobierali naukę wyłącznie w języku angielskim. Braki w nauce języka nadrabiali osiągnięciami w sporcie. W maju 1949 roku ze smutkiem opuścili obóz. Ciężarówki wojskowe zawiozły ich do koszar w Linton, niedaleko Palmerston North. Tu mieszkali w barakach i stosowali się do dyscypliny wojskowej. Autobusami dojeżdżali do szkoły i na niedzielne nabożeństwa w Palmerston North. Szybko uczyli się języka.

W sierpniu 1949 roku udali się pociągiem do Hawera w Taranaki, do własnej Bursy Polskich Chłopców. Było to duże domostwo otoczone drzewami, z sadem, kurnikiem i dużym polem. Posiadłość była własnością parafii św. Józefa, której proboszczem był prałat Francis Cullen. Urząd Opieki Społecznej postawił tu dwa budynki – sypialnie dla 42 chłopców. Chłopcy zagospodarowali bursę i stworzyli tu swój dom.

Personel bursy był wyłącznie polski. Kierowniczką była Jadwiga Tietze, a jej mąż nadzorcą. Zawsze trzy Polki były do pomocy. Wszystkie, które pracowały

w bursie przez lata jej istnienia wypełniały ważną funkcję matczynej opieki – panie: Dudek, Grzelarczyk, Kominowska, Porebska, Zielonka i Zytka. W czasie wakacji szkolnych, w celu łączenia rodzin, przyjeżdżały i mieszkaly tu siostry chłopców.

Chłopcy mieli dyżury przy utrzymywaniu bursy i ogrodów w dobrym stanie. Ciężką pracą stworzyli duży ogród warzywny, a uporządkowany sad wynagrodził ich różnorodnością owoców i jagód. Każdego rana zbierali się na modlitwę, a w niedziele i święta chodzili do parafialnego kościoła na nabożeństwa. Polski ksiądz Leon Broel-Plater przyjeżdżał raz w miesiącu odprawić im nabożeństwo po polsku.

W 1949 roku chłopcy ukończyli szkołę w katolickiej podstawówce św. Józefa, gdzie uczyły ich zakonnice Paulina i Charles Cowan. Ta ostatnia, mimo że była w wieku emerytalnym, dalej uczyła „swoich polskich chłopców”. Uczyła ich gramatyki, pisowni, matematyki, historii Nowej Zelandii, nauk społecznych, religii, modlitwy i silnym, wdzięcznym głosem uczyła pieśni nabożnych. Była zdolną i pełną życia nauczycielką, nie znosiła nedorzecznosci. Przygotowała chłopców do gimnazjum i do życia w tym kraju. Wielu chłopców wybiło się w nauce, włącznie z angielskim.



Bursa Polskich Chłopców w Hawera, Nowa Zelandia. W latach 1949–1954 osiągnęła swój cel jako ośrodek kształcenia i przygotowania polskich chłopców do życia w tutejszym społeczeństwie

Od 1950 roku chłopcy uczęszczali do gimnazjum technicznego w Hawera. Po lekcjach i w soboty dorabiali sobie ścinaniem trawników i pracując w ogrodach u sąsiadów lub pomagając okolicznym gospodarzom, za co kupowali sobie rowery. Miejscowa ludność życzliwie odnosiła się do polskich chłopców i z chęcią dawała im dorywczą pracę. Chłopcy zasłużyli sobie na szacunek u ludzi przez rzetelną i ciężką pracę. Jeździli gromadnie rowerami na wycieczki, mężczyźni, nabierali powagi i odpowiedzialności.

Polscy chłopcy dominowali w szkole, zwłaszcza w sporcie, ale też w nauce. Byli znani ze swojego poświęcenia się we wszystkich dziedzinach. Po opuszczeniu szkoły ludzie z chęcią przyjmowali ich na mieszkania. Niektórzy chłopcy podjęli praktykę w różnych zawodach, jedni poszli do farm w okolicy a inni do gimnazjum. W tamtych czasach nie zachęcano do kończenia studiów. Główną atrakcją były dobre zarobki i niezależność.

Z końcem 1954 roku bursę zamknięto. Zamieniono ją na szpital prowadzony przez siostry ze Zgromadzenia Maryjnego, które opiekowały się chorymi i umierającymi. Później ta posiadłość przeszła w prywatne ręce i powstał tam dom opieki ze szpitalem.

Chłopcy mieli tu życie wypełnione doświadczeniami.

Bronisław Węgrzyn

Część szósta

Załączniki

Statystyczny przegląd o polskich dzieciach

Dla wyjaśnienia jak następowała integracja dzieci-uchodźców w społeczeństwo nowozelandzkie w 2003 roku Królewskie Towarzystwo Nauk Ścisłych w Nowej Zelandii zleciło Gordonowi Campbellowi przeprowadzenia przeglądu wśród różnych mniejszości narodowych przybyłych do Nowej Zelandii oraz ich dzieci tu urodzonych. Przegląd odbył się na prośbę Służby Uchodźcom i Imigrantom oraz działu historycznego uniwersytetu Victoria w Wellingtonie.

Grupa, która dała najlepszy odzew na ankietę (przez odesłanie 86 odpowiedzi na kwestionariusz), to Polacy, czyli byłe dzieci-uchodźcy przybyte tu w 1944 roku. Byli liczną i zwartą grupą, którą łączyły wspólnie głębokie przeżycia. Są oni też wyjątkowi, bo należą do pierwszej grupy uchodźców przybyłych do Nowej Zelandii, w większości bez rodziców.

Z niniejszego przeglądu wynika, że uchodźcy i imigranci muszą przystosować się, zanim poczują się swobodnie w nowym otoczeniu. Dzieci-uchodźcy, które tu się osiedliły (a potem ich dzieci tu urodzone), skutecznie przeszły przystosowanie i znajdują się we wszystkich dziedzinach życia kraju. Niniejszy przegląd ujawnił również cenny wkład uchodźców i imigrantów w wielokulturowe życie Nowej Zelandii. W tej książce podajemy tylko te części przeglądu, które dotyczą Polaków.

Polskie dzieci z Pahiatua są najbardziej jednorodną grupą uchodźców przybyłych do Nowej Zelandii. Istnieje szereg powodów, które spowodowały ten stan rzeczy. Każdy z tej grupy był przymocowany do swego domu w latach 1940–1941. Większość przebywała ponad dwa lata w przymusowych obozach pracy lub kołchozach w różnych częściach Związku Sowieckiego. Następnie zostali bez opieki rodziców, których większość zmarła.

Wszyscy wiele ucierpieli w podróży przez południowy Związek Sowiecki zanim dotarli do zakładów dla dzieci w Iranie. W tych zakładach, wynajmowanych przez Rząd Polski w Londynie, wiele dzieci-uchodźców po raz pierwszy uczęszczało do szkoły.

Ponieważ dzieci miały powrócić do Polski po zakończeniu II wojny światowej, ich wykształcenie w zakładach w Iranie i obozie w Pahiatua (Nowa Zelandia) odbywało się według polskiego programu nauczania. Dlatego językiem wykładowym był polski, a nauka języka angielskiego odgrywała nikłą rolę.

Po zakończeniu II wojny światowej w 1945 roku większość tych dzieci

przebywała na uchodźstwie już od czterech do pięciu lat. Międzynarodowe umowy powojennych mocarstw spowodowały zerwanie stosunków dyplomatycznych z Rządem Polskim w Londynie. Polska stała się krajem komunistycznym pod dominacją Związku Radzieckiego. Ponieważ większość dzieci nie miała rodziców, Rząd Nowej Zelandii, z poparciem Kościoła katolickiego w tym kraju, zgłosił swoją chęć opiekowania się nimi.

Obóz w Pahiatua posiadał szkołę podstawową, gimnazjum i szkołę zawodową. Niektóre starsze dzieci odsyłano od razu do pracy. Te dzieci, które ukończyły szóstą klasę w polskiej szkole, odesłano do katolickich gimnazjów nowozelandzkich.

Po zamknięciu obozu w 1949 roku młodsze dziewczęta umieszczono w Bursie Polskich Dziewcząt w Lyall Bay, w Wellingtonie, skąd uczęszczali do nowozelandzkiej szkoły podstawowej. Młodszych chłopców wysłano do szkół podstawowych w Mangatainoka i Pahiatua, następnie przeniesiono ich do obozu wojskowego w Linton, skąd uczęszczali przez jeden semestr do szkoły prowadzonej przez zakon Braci Marystów w Palmerston North. W drugiej połowie roku chłopców przeniesiono do Polskiej Bursy Chłopców w Hawera.

Dla dzieci rozesłanych po różnych katolickich szkołach ten przejściowy okres był szczególnie trudny. Nie dosyć, że dzieci były w ogóle nie przygotowane do pobierania nauki w języku angielskim, to ponownie były oderwane od swoich źródeł, tym razem od „rodziny” obozowej. Wepchnięci między obcych, czuli się osamotnieni wśród nie rozumiającej dla nich kultury.

Prawie wszyscy z tych, którzy odpowiedzieli na kwestionariusz, stwierdzili, że nie umieli mówić po angielsku przed ich przybyciem do Nowej Zelandii. Tylko trzech słabo mogło się porozumieć. Z powodów ww. nie mieli okazji do uczenia się angielskiego przed przyjazdem do Nowej Zelandii. Wraz z kłopotami językowymi dzieciom brakowało porady i zachęty rodzicielskiej, w tak rozstrzygającym dla nich okresie życia.

Jeden były chłopiec stwierdził, że nie pamięta żeby kiedykolwiek dorosła osoba prowadziła z nim rozmowę. W latach gimnazjalnych nikt nie poradził mu, czego ma się dalej uczyć. Nigdy nie przyszło mu samemu na myśl, że lepsze wykształcenie da mu lepsze zarobki (w Nowej Zelandii wówczas nie było bezrobocia, pracy było pod dostatkiem, nie było nacisku na kończenie gimnazjum). Mimo tych wszystkich trudności były polskie dzieci osiągnęły niezwykle sukcesy.

Jak się można było spodziewać, duża grupa dzieci, która przybyła do Nowej Zelandii w wieku 11-14 lat, nie ukończyła szkoły średniej. Mimo to wielu z nich później ukończyło szkoły zawodowe. Dwóch stwierdziło, że nie uczęszczali do gimnazjum, jednak jeden został zawodowym stolarzem, a

drugi otrzymał dyplom inżyniera na kolei. Natomiast większość tych, którzy przybyli do Nowej Zelandii nie mając jedenastu lat, ukończyła szkołę.

Wyniki badań nie pokazują związku między wiekiem dzieci, a osiągniętymi przez nie kwalifikacjami. Mając na uwadze trudności, z którymi się te dzieci borykały, zdumiewająca liczba osiągnęła wyższe wykształcenie. Dziesięcioro z byłych dzieci, które odpowiedziały, osiągnęło stopnie uniwersyteckie. Połowa z nich należała do grupy dzieci, które były w wieku 11-14 lat, gdy przybyły do Nowej Zelandii.

Byłe dzieci-uchodźcy podejmowały różne zajęcia. Najpopularniejszym wyborem były te, które dawały świadectwa zawodowe. Większość chłopców wybrało zawód stolarza, inni zawód mechanika, blacharza, elektryka, hydraulika lub kotlarza. Inne zawody wybrane przez wiele osób to prace biurowe. Pielęgniarstwo cieszyło się powodzeniem, niektóre dziewczęta wybrały specjalizacje np. w akuszerstwie. Zawód nauczycielski też cieszył się powodzeniem, zwłaszcza u tych, którzy ukończyli studia. Są między nimi bankierzy, farmerzy, księgowi, pracownicy opieki społecznej, agenci ubezpieczeniowi oraz duchowni. Wielu osiągnęło stanowiska kierownicze. Jedna z ankietowanych, która w chwili przybycia do Nowej Zelandii, mając 13 lat, nie знаła języka angielskiego, osiągnęła doktorat i została dyrektorem w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Inni założyli własne przedsiębiorstwa.

Następne pokolenie

Ankieta obejmowała dzieci tu urodzone, których rodzice byli dziećmi-uchodźcami. Tu też widać wysoki poziom kwalifikacji w obranych zawodach. Wszystkie ukończyły gimnazjum.

Ponad 75% otrzymało dyplomy, w czym ponad 50% osiągnęło stopień uniwersytecki, a jedna trzecia z tych dalej studiowała, uzyskując doktoraty. Wykonywane zawody to: prace biurowe, nauczycielstwo, przemysł komputerowy, technika, inżynieria, doradztwo oraz posiadanie własnych przedsiębiorstw. Jeden ankietowany został dyrektorem naczelnym, inni to: pisarz techniczny, bibliotekarka, adwokat i dentysta. Różnorodność wybranych zawodów wskazuje nam jak rodziny byłych uchodźców całkowicie włączyły się w społeczeństwo Nowej Zelandii.

Wnioski

Wiek uchodźców różnych narodowości, objętych niniejszym przeglądem, wywiera duży wpływ na osiągnięcie przez nich dobrego wykształcenia. Jak wynika z niżej podanego wykresu, najmniejsze kwalifikacje osiągnęli ci, którzy przekroczyli 11-ty rok życia, gdy przybyli do Nowej Zelandii. Nie dotyczy to byłych polskich dzieci.

Ówczesne nastawienie społeczeństwa oraz warunki gospodarcze, zachęcały młodych ludzi do podjęcia pracy jak najszybciej. Gdyby na ankietę odpowiedziało więcej ludzi przybyłych do Nowej Zelandii w latach 1970-tych i 1980-tych, prawdopodobnie odsetek tych, którzy osiągnęli formalne kwalifikacje, byłby większy. Powodem tego stanu rzeczy są zmiany w nastawieniu społecznym, jakie nastąpiły w Nowej Zelandii w ostatnich latach, zwłaszcza dotyczących oświaty. Wzrosła też świadomość potrzeb dzieci-uchodźców.

Wydaje się logicznym założeniem, że w porównaniu do uchodźców przybyłych tu we wczesnym dzieciństwie ci, którzy przybyli jako starsze dzieci, napotkali na większe trudności w osiągnięciu dyplomów. Niniejszy przegląd wskazuje jednak, że wiek nie jest rozstrzygającym czynnikiem ustalającym czy nowo przybyli podejmą pracę z dyplomem, czy bez.

Tylko nieznaczna część ankietowanych była wysiedlona przez mniej niż dwa lata. Wielu dotarło do Nowej Zelandii dopiero po czterech lub pięciu latach od czasu opuszczenia swego kraju rodzinnego. W tym przejściowym okresie tylko nieliczni mieli możliwość uczęszczania do szkoły lub uczenia się języka angielskiego. Mimo tych trudności, wzmożonych przez brak znajomości języka, dzieci te ogromnie przyczyniły się do rozwoju Nowej Zelandii na wszystkich szczeblach życia społecznego. Niniejszy przegląd nie wykazał, żeby długość odcinka czasu między opuszczeniem kraju rodzinnego, a przybyciem do Nowej Zelandii, miała jakikolwiek wpływ na osiągnięcie formalnych kwalifikacji.

Równie znamienny jest fakt, że ze 120 tych, którzy odpowiedzieli na ankietę, po opuszczeniu gimnazjum 77 osób osiągnęło dodatkowe kwalifikacje. Wszystkie te dzieci musiały pokonać znaczne przeszkody w nauce. Koszmar przesiedlenia, szok kulturowy, trudności językowe i finansowe wskazują, że osiągnięcia w nauce wynikały z pilności i własnego wysiłku. Rodzice-uchodźcy są szczególnie świadomi, że nauka jest drogą do sukcesu dla ich dzieci, dlatego w ich domach istnieje wysoki poziom zobowiązań do nauki.

Nowa Zelandia udzielała schronienia uchodźcom już od ponad pół wieku. Niniejszy przegląd tylko powierzchownie ukazuje całe zagadnienie. Ponieważ polegał na dobrowolnych odpowiedziach byłych dzieci-uchodźców, można sądzić, że kwestionariusz wypełniali ludzie sukcesu, którzy są przez to skłonniejsi do udzielania informacji na swój temat. Jednak nie ulega wątpliwości, że uchodźcy wniesli i nadal wnoszą wzmożoną różnorodność w społeczeństwo nowozelandzkie. Mają oni również pokaźny wpływ na ekonomię i kulturę kraju.

Gordon Campbell

Mapy

Nowa Zelandia

Miejscowości, w których polskie dzieci uczęszczały do szkół nowozelandzkich po opuszczeniu Obozu Polskich Dzieci w Pahiatua



Trasa tułaczych szlaków dzieci polskich z Pahlawia w latach 1940–1944



Bibliografia

Wybór książek o losach Polaków wywiezionych na Sybir w czasie II wojny światowej

W języku polskim

- *Kapłańska Odyseja* (A Priest's Odyssey), Ks Andrzej Chibowski, Apostolicum, Ząbki, Polska, 2012
- *Isfahan, miasto polskich dzieci*, Koło Wychowanków Szkół Polskich w Isfahanie i Libanie, Londyn 1987
- *Kazachstańskie tulipany*, Tadeusz Kułakowski, Gdynia 2002
- *Losy Polaków w ZSRR w latach 1939–1986*, Julian Siedlecki, Gryf Publications, Londyn 1988
- *Ludność Polska w Związku Radzieckim w czasie II wojny światowej*, Piotr Żaroń, Państwowe Wydawnictwo Naukowe, Warszawa 1990
- *My deportowani*, Bogdan Klukowski, Wydawnictwa Alfa, Warszawa 1989
- *Ojczyzna kochana, poszukaj swoje dzieci, wspomnienia i dokumenty*, Fundacja „Rodacy-Rodakom”, Warszawa 1996
- *Osiedlenie młodzieży polskiej w Nowej Zelandii, w 1944 r.*, Krystyna Skwarko, Polskie Towarzystwo Historyczne w Australii, Londyn 1972
- *Polacy w Iranie 1942–45, antologia*, Andrzej Krzysztof Kunert
- *Polacy w Kazachstanie w latach 1940–1946*, Stanisław Ciesielski, Wrocław 1996
- *Polacy w Nowej Zelandii, wspomnienia deportacji do ZSSR*, Międzyorganizacyjny Komitet Obchodu Czterdziestej Roczniczy Deportacji do ZSRR, Wellington, Nowa Zelandia 1980
- *Polska szkoła na tułaczyczych szlakach*, Fundacja Archiwum Fotograficzne Tułaczy, Warszawa 2004 (w języku polskim i angielskim)
- *Polskie cmentarze wojenne w Iranie*, Andrzej Przewoźnik, Rada Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa, Warszawa 2002
- *Przyszliśmy was oswobodzić*, Zenon Skrzypkowski, Warszawa 1991
- *Tułacze Dzieci*, Weronika Hort, Instytut Literacki, Bejrut, Liban 1948
- *W Czterdziestym Nas Matko na Sybir Zesłali*, Jan Gross i Irena Grudzińska-Gross, Wydawnictwo Libra i Wydawnictwo Res Publica, Londyn 1983
- *W Domu Niewoli*, Marta Rudzka, Biblioteka Orła Białego, Rzym 1946
- *Wiązanka myśli i wspomnień*, Koło Polek, Wellington, Nowa Zelandia 1991
- *Z Kresów Wschodnich R.P. na wygnanie, opowieści zesłańców, 1940–1946*, Ognisko Rodzin Osadników Kresowych, Londyn 1996
- *Za winy niepopętnione*, Irena Wasilewska, Rzym 1945

W języku angielskim

- *A Priest's Odyssey*, Dr Andrzej Chibowski, Future Publishing, Wellington, New Zealand 2013
- *A Bouquet of Thoughts and Reminiscences, the Polish Women's League*, Wellington, Nowa Zelandia 1991 (w języku polskim i angielskim)
- *A Strange Outcome*, John Roy-Wojciechowski and Allan Parker, Penguin Books, Auckland, Nowa Zelandia 2004
- *An Unforgettable Journey*, Maria van der Linden, Dunmore Press, Palmerston North, Nowa Zelandia 1992
- *Exiled Children*, Exiles Photographic Archives Foundation, Warszawa 1995
- *Gulag: A History*, Anne Applebaum, Penguin, Londyn 2003
- *Heart of Europe: A Short History of Poland*, Norman Davies, Oxford University Press, Nowy Jork 2001
- *Isfahan – City of Polish Children*, Association of Former Pupils of Polish Schools, Isfahan and Lebanon, Sussex, Anglia 1989
- *Journey Without a Ticket*, Zdzisława Krystyna Kawecka, Nottingham, Anglia 1994
- *Orphans of the Empire, The Shocking Story of Child Migration to Australia*, Alan Gill, Random House Australia, NSW, Australia 1998
- *Polish Schooling In War-time Exile*, Archiwum Fotograficzne Tułaczy, Warszawa 2004 (w języku polskim i angielskim)
- *Socio-Political Characteristics of Polish Post World War II Immigrants and their Assimilation to NZ*, TM Krystman-Ostrowska, Department of Sociology, University of Waikato, Hamilton, Nowa Zelandia 1957
- *Stalin's Ethnic Cleansing In Eastern Poland, Tales of the Deported, 1940–1946*, Association of Families of the Borderland Settlers, Londyn 2000
- *Stolen Childhood: A Saga of Polish War Children*, Łucjan Królikowski, Authors Choice Press, Buffalo, Nowy Jork 2001
- *The Invited*, Krystyna Skwarko, Millwood Press, Wellington, Nowa Zelandia 1974 (wydana też w języku polskim)
- *The Poles*, Stewart Steven, Collins-Harvill, Londyn 1982

Filmy

- *Polish children's arrival in New Zealand* (archiwalny film z 1944 roku, o przyjeździe polskich dzieci do Nowej Zelandii), Weekly Review No 169, National Film Unit, Archives New Zealand, Wellington, Nowa Zelandia

Spis dzieci i opiekunów

Autorzy tej książki ustalili, że liczba dzieci przybyłych do Nowej Zelandii 1 listopada 1944 roku stanowiła 733 dzieci i 105 opiekunów. Inne źródła podają nieco inną liczbę. Wyniki obszernych badań ze wszystkich możliwych źródeł są podane poniżej.

Liczby przybyłych do Nowej Zelandii

Dzieci	733
Opiekunów	<u>105</u>
Razem	838

Dzieci według płci

Chłopcy	308
Dziewczęta	<u>424</u>
Razem	733

Według wieku

<i>Wiek</i>	<i>Chłopcy</i>	<i>Dziewczęta</i>	<i>Razem</i>
Poniżej 5 lat	2	3	5
5-9 lat	45	67	112
10-14 lat	161	158	319
powyżej 15 lat	<u>100</u>	<u>197</u>	<u>297</u>
Razem	308	425	733

Pisownia nazwisk

Badania nad przetrwałym, archiwalnym rejestrem dzieci przybyłych w 1944 roku wykazały błędy w pisowni nazwisk. Pierwsze rejestry były spisywane w obozach przejściowych po ewakuacji dzieci z Rosji do Iranu, gdzie niektóre nazwiska były błędnie podawane przez same dzieci, które nie pamiętały swego dokładnego nazwiska. Różnice w wymowach regionalnych też przyczyniły się do błędów. Niektóre nazwiska w niniejszej książce są podane według tej pisowni, o której dzieci dowiedziały się z listów otrzymanych od rodziny lub krewnych po zakończeniu wojny. W przypadku nieżyjących byłych dzieci dane dotyczące nazwisk są oparte na orzeczeniach ich krewnych lub znajomych.

Dwie ojczyzny: Polskie dzieci w Nowej Zelandii

Nazwisko w 1944 roku	Imię	Obecne nazwisko	Nazwisko w 1944 roku	Imię	Obecne nazwisko
ADACH	Aniela	SZPETNAR	BARTNICZAK	Ludmiła	GOGGIN
ADAMCZYK	Anastazja (Zofia)	ROMBEL	BARTNICZAK	Maria	GORDON
ADAMCZYK	Genowefa	RICHENBACH	BARTNICZAK	Mikołaj	
ADAMCZYK	Jadwiga		BASAŁAJ	Aleksander	
ADAMCZYK	Michał		BASAŁAJ	Michał	
ADAMCZYK	Piotr		BAZGIER	Ludwika	Opiekun
ADAMSKI	Marian		BAZIUK	Danuta	ROBINSON
ALEXANDROWICZ	Maria (siostra Monika)		BAK	Mieczysława	KNYN
AMBROZIEWICZ	Maria		BAK	Zyta	
ANIECKA	Augustyna	BOOTH	BEDNARSKA	Anna	ZALUSKA
ANIECKA	Józefa	DEACON	BEDNARSKA	Elżbieta	SAWICKA
ANTONIAK	Maria	VAN DAM	BEDNARSKA	Maria	
APANOWICZ	Genowefa	BRAŹCEK	BEDNARSKA	Urszula	Opiekun
APANOWICZ	Henryk		BEDNARSKI	Aleksander	
ASKOWSKA	Adela	ZYZAŁO	BELCZAČKA	Czesława	
AULICH	Antoni		BELCZAČKA	Leokadia	
AULICH	Henryka	BLACKLER	BELCZAČKI	Czesław	
AULICH	Józef		BELZA	Genowefa	Opiekun
AULICH	Piotr		BENASIEWICZ	Ewa	
AWDZIEJ	Zbigniew		BENASIEWICZ	Stefania	
BALA	Franciszek	Opiekun	BERHART	Edmund	
BANACH	Irena	TICKELPENNY	BIAŁOSTOCKA	Helena	Opiekun
BANAŚ	Adam		BIAŁOSTOCKI	Ryszard	
BANAŚ	Emilia		BIENIOWSKI	Józef	
BANAŚ	Jan	WYPYCH	BIENIOWSKI	Mieczysław	
BANAŚ	Stanisław		BILYK	Irena	WILSON
BANASIAK	Bolesław		BIRETA	Leokadia	KOWALYSZYN
BANASIAK	Waleria	PAK	BLASCHKE	Lidia	DAJBROWSKA
BARAŃSKI	Franciszek		BLASCHKE	Zdzisława	Opiekun
BARAŃSKI	Władysław		BLAŻEWICZ	Regina	
BARTNICZAK	Helena		BLAŻKOW	Stanisława	
BARTNICZAK	Irena	HARTSTONGE	BOCIAN	Bogdan	KENNEDY
BARTNICZAK	Joanna	REEVE	BOJANOWSKI	Władysław	

Dwie ojczyzny: Polskie dzieci w Nowej Zelandii

Nazwisko w 1944 roku	Imię	Obecne nazwisko	Nazwisko w 1944 roku	Imię	Obecne nazwisko
BOJARSKI	Jerzy		CZOBĄ	Krystyna	MCCULLY
BOJDA	Krystyna	SZOSTAK	CZOCHANŃSKA, Dr	Eugenia	Opiekun
BOROWIEC	Julian		CZOCHANŃSKA	Teresa	
BRĄCZEK	Bronisław		CZOCHANŃSKA	Zofia	
BRĄCZEK	Mieczysław		CZYŻYK	Maria	Opiekun
BREJNAKOWSKA	Jadwiga	MUNTZ	ĆWIRKO-GODYCKA	Irena	SNARSKA
BREJNAKOWSKA	Janina	KREJCISZ	DAC	Aniela	DOBROWOLSKA
BREJNAKOWSKA	Teresa	CHRISTENSEN	DAC	Maria	JAŚKIEWICZ
BREJNAKOWSKI	Stanisław		DAJNOWSKA	Helena	ZAICEK
BRYL	Jadwiga	MELVILLE	DAJNOWSKA	Janina	NIZNIAK
BURDA	Maria	MORAWSKA	DAJNOWSKA	Maria	Opiekun
BUDNY	Marian		DAJNOWSKA	Wanda	KWAPISZ
BUDNY	Tadeusz		DAJNOWSKA	Wiktoria	OŚTAPOWICZ
BUDZYNA-DAWIDOWSKA	Janina		DAJNOWSKI	Andrzej	
BUDZYNA-DAWIDOWSKI	Andrzej		DAJNOWSKI	Stefan	Opiekun
BURAK	Antoni		DANIELEWSKA	Stanisława	
BURAK	Tadeusz		DĄBROWSKA	Janina	
BURCZAK	Helena		DĄBROWSKA	Janina	Opiekun
BURSAKOWSKA	Walentyna		DĄBROWSKA	Teresa	WORTMAN
BUTRYMOWICZ	Anna		DĄBROWSKI	Edward	
BUTRYMOWICZ	Zbigniew		DAWIEC	Jan	
CHABER	Irena	BOWLES	DĘBSKA	Danuta	JURASZEK
CHARACZKO	Helena	ADAMCZYK	DĘBSKA	Janina	WÓJCIK
CHRCZCHANOWICZ	Janina	KEENAN	DEJNAKOWSKA	Wanda	BROWNLEE
CHUMKO	Emilia	JENSEN	DEJNAKOWSKI	Waldemar	
CHUMKO	Tekla		DEMBKOWSKA	Zofia	JASIONOWICZ
CHUMKO	Witold		DEMBKOWSKI	Mikołaj	
CHWIEDUK	Helena	WYPYCH	DEPA	Anna	ŁASKOSZ
CHWIEDUK	Józef		DEPCZYŃSKA	Maria	WYPYCH
CICHĄ	Paulina		DEPCZYŃSKA	Zofia	TURNOCK
CIEŚLIK	Stanisław		DEPCZYŃSKI	Kazimierz	
CZERNY-HOŁOWNIA	Danuta	SZYSZŁO	DMOCHOWSKA	Janina	Opiekun
CZERNY-HOŁOWNIA	Emilia		DMOCHOWSKA	Teresa	JENNER

Dwie ojczyzny: Polskie dzieci w Nowej Zelandii

Nazwisko w 1944 roku	Imię	Obecne nazwisko	Nazwisko w 1944 roku	Imię	Obecne nazwisko
DOBRŃSKA	Zofia	SZIKSZAI	GAWLIK	Cecylia	ZAZULAK
DOBRŃSKI	Lech Marian		GAWRONEK	Zdzisław	
DOBROWOLSKI	Andrzej		GAZDOWICZ	Czesława	MARKOWSKA
DOBROWOLSKI	Antoni		GEBORZEWSKA	Józefa	KENNEDY
DOŁHUN	Maria	CHUDY	GIEJCHROCH	Walentyna	
DOMAŃSKA	Stanisława	PIETKIEWICZ	GIL	Jadwiga	Opiekun
DOMAŃSKA	Zofia	BYERS	GLIŃSKA	Adela	
DOMAŃSKI	Witold		GLIŃSKA	Julia	ANDERSON
DRAŻEK	Leokadia	GELUK	GLIŃSKI	Mikołaj	
DROZDOWSKA	Stanisława	GUSZCZYK	GŁOGOWSKA	Leokadia	McGRATH
DUDEK	Bronisław		GŁOGOWSKA	Zofia	NOWAK
DUDEK	Kazimierz		GŁOGOWSKI	Ludwik	
DUTKIEWICZ	Mieczysław		GŁOWACKA	Alicja	CLEAVER
DYBKA	Anna	HARRIS	GŁOWACKI	Mieczysław	
DYBKA	Paulina	VLUGGEN	GŁOWACZ	Antoni	Opiekun
DYBKA	Stefania	GAWLIK	GŁOWACZ	Apolonia	
DYGAS	Krystyna	GARLIĆKA	GŁOWACZ	Józef	
DYGAS	Stanisław		GŁOWACZ	Marian	
DZIAMA	Bronisława	PIĄTKOWSKA	GMYTERKO	Bronisław	
DZIEGIEĆ	Krzysztof		GMYTERKO	Mieczysława	
DZIEGIEĆ	Witold		GOŁĘBIEWSKI	Ryszard	BEGGS
DZIKI	Bronisław		GOŁĘBIOWSKA	Krystyna	
DZIKI	Zbigniew		GOŁĘBIOWSKI	Wacław	
DZIOBAK	Mieczysław		GOMULSKI	Ludwik	
DZIURA	Henryk		GÓRAL	Maria	SLUYTER
DŻWINIEL	Genowefa	OSTROWSKA	GRADZIK	Bogusława	BURGESS-TARMAS
DŻWINIEL	Janina	OSCHKAS	GRADZIK	Dioniza	CHOROŚ
FAJNER	Jerzy	MORROW	GRATKOWSKI	Stanisław	
FLADRZYŃSKA	Halina		GRZYWA	Mieczysław	
FRYDRYCH	Irena		GUC	Michał	
FRYSZ-ŚWIERZYŃSKA	Bronisława	Opiekun	GUC	Olga	JASIŃSKA
GABRYSZ	Aniela	BOLLAS	GUŃKO	Wiktor	
GAWLIK	Artur		GURGÓL	Anna	KAPERA

Dwie ojczyzny: Polskie dzieci w Nowej Zelandii

Nazwisko w 1944 roku	Imię	Obecne nazwisko	Nazwisko w 1944 roku	Imię	Obecne nazwisko
GURGÓL	Jadwiga	NOBLE	JANKIEWICZ	Jadwiga	RABEL
HAJDUK	Kazimiera	RAJWER	JANKIEWICZ	Jerzy	
HAJDUK	Maria		JANKIEWICZ	Tadeusz	
HAPTAŚ	Jadwiga		JANKIEWICZ	Teresa	
HERMAN	Maria		JANUSZKIEWICZ	Bogusław	COOPER
HERMAN	Wanda	HOLMES	JANUSZKIEWICZ	Stanisław	
HILDERBRANDT	Jadwiga	McLEOD	JARKA	Jadwiga	
HOLENDER	Henryka		JARKA	Jan	
HOLENDER	Jan		JAROWIECKI	Lech	Opiekun
HOLENDER	Józef		JASIONOWICZ	Adela	
HOLONA	Józef		JASIONOWICZ	Bernarda	
HUBERT	Grażyna		JASIONOWICZ	Bronisława	
IWAN	Czesław		JASIONOWICZ	Stefania	Opiekun
IWAN	Irena	PAK	JĄSKIEWICZ	Franciszek	
IWAN	Zdzisław		JĄSKIEWICZ	Stanisław	
IWAN	Zofia		JUCHNOWICZ	Antoni	
IWANEK	Irena	DERRICK	JUCHNOWICZ	Jerzy	WYPYCH
IZYDORCZYK	Barbara	MITCHELL	JUCHNOWICZ	Maria	
IZYDORCZYK	Krystyna	WRIGHT	JUCHNOWICZ	Wacław	
JABŁOŃSKA	Anna	COHEN	JURCZENKO	Michał	
JABŁOŃSKA	Teresa	SIMS	KACZMAREK	Józef	ZALIWSKA
JABŁOŃSKI	Edmund	MARKOVICH	KACZMAREK	Zbigniew	
JACKOWSKA	Czesława		KACZOŃ	Rozalia	
JACKOWSKA	Dominika	BOJANOWSKA	KACZOROWSKA	Zofia	
JACKOWSKA	Leokadia	KRALL	KACZOROWSKI	Zdzisław	MOKRZECKA
JAGIEŁŁO	Józef	WNEK	KALIN'SKA	Danuta	
JAMROZY	Marceli		KALIN'SKA	Wanda	
JANIA	Maria		KALIN'SKI	Wiesław	
JANIA	Paulina		KALWASIŃSKI	Artur	Opiekun
JANIUK	Olga	FORD	KAMIN'SKA	Stefania	
JANKIEWICZ	Bolesław		KANIA	Jan	
JANKIEWICZ	Danuta	WAYE	KAPERA	Henryk	
JANKIEWICZ	Izabela	MELVIN	KARPIK	Anatol	

Dwie ojczyzny: Polskie dzieci w Nowej Zelandii

Nazwisko w 1944 roku	Imię	Obecne nazwisko	Nazwisko w 1944 roku	Imię	Obecne nazwisko
KARPIK	Antonina	COUGHEY	KORNOBIS	Maria	RAJCHERT
KARPIK	Regina	STEVENS	KORNOBIS	Zofia	BULA
KARPIK	Romualda	COLLINGWOOD	KORSZUN	Jadwiga	KOŁACZYŃSKA
KASPEROWICZ	Maria		KOŚNICKA	Elżbieta	KOTLIČKA Opiekun
KASPRZYK	Bronisław		KOŚNIK	Maria	BERCINSKAS
KASPRZYK	Helena	PAWLAK	KOŚNIK	Zdzisław	
KAZIMIERZAK	Marian		KOTLIČKI	Mieczysław	Opiekun
KAZIMIERZAK	Renata	KUKIELKO	KOWALCZYK	Halina	GŁOWACKA
KAZMIERÓW	Jan		KOWALCZYK	Longina	KUPIŚ Opiekun
KAZMIERÓW	Tomasz		KOWALCZYK	Magdalena (Danuta)	BŁYK
KĘPKA	Marian		KOWALSKA	Anna	KREMZER
KĘPKA	Zygmunt		KOWALSKI	Jan	
KILCZEWSKI	Polikarp		KOZERA	Janina	BURETTE
KILLAN	Helena	KWIATKOWSKA	KOZERA	Stefania	Opiekun
KILLAN	Stanisław		KOZERA	Zdzisław	
KIZIAK	Paweł		KOZIMOR	Elżbieta	
KIZIAK	Piotr		KOZIMOR	Kamila	
KNAP	Genowefa		KOZŁOWSKA	Anna	DOMAŃSKA
KOLADKO	Władaw		KOZŁOWSKA	Wanda	OLSEN
KOŁODYŃSKA	Krystyna	DOWNEY	KOZYŃIAK	Jerzy	
KOŁODYŃSKA	Stanisława		KOZYŃIAK	Maria	FLIS
KOŁODZIEJ	Zdzisława	GURYŃÓW	KRACZKO	Aleksandra	
KOŁODZIŃSKA	Leokadia	KAZIMIERZAK	KRACZKO	Helena	BIENIOWSKA
KOŁODZIŃSKA	Zofia		KRAJ	Roman	
KOŁODZIŃSKI	Jan		KRALŁ	Zyta	
KOŁODZIŃSKI	Roman		KRAWCZYK	Grzegorz	
KOMODOŃSKA	Helena	LUHARD	KRAWCZYK	Kazimierz	
KOMODOŃSKA	Maria	MROČZEK	KRAWCZYK	Stefania	
KONCEWICZ	Lidia	CASSERLY	KRAWCZYK	Władaw	
KORCZAK-BUCEWICZ	Maria		KREJČISZ	Edward	
KORNOBIS	Alfreda	DZIERMAN	KREJČISZ	Leokadia	O'SULLIVAN
KORNOBIS	Helena	NUTTALL	KREJČISZ	Stanisław	
KORNOBIS	Janina	DUYNHOFEN	KRUK	Elżbieta	Opiekun

Dwie ojczyzny: Polskie dzieci w Nowej Zelandii

Nazwisko w 1944 roku	Imię	Obecne nazwisko	Nazwisko w 1944 roku	Imię	Obecne nazwisko
KRUK	Maria	DOHERTY	LUBAS	Helena	MORENO
KRUSZYŃSKA	Elżbieta	CHUMKO	LUBAS	Lech	LYNCH
KRUSZYŃSKA	Wiesława	DRAKE	LUTOMSKA	Jadwiga	KNAP
KRYSTMAN	Adam		ŁABEŃ	Helena	OŚCIEŁOWSKA
KRYSTMAN	Irena		ŁABEŃ	Janina	REDER
KRYSTMAN	Janina	DRAVITZKI	ŁABEŃ	Regina	KUPIDURA
KRZYŻANOWSKA	Aleksandra		ŁAKOMA	Danuta	Opiekun
KUBIAK	Franciszek		ŁAKOMA	Katarzyna	
KUBIAK	Józef		ŁAKOMA	Zenona	
KUBIAK	Władysława	DALTON	ŁAKOMY	Anicet	
KUKIELKO	Edward		ŁAKOMY	Józef	
KULIK	Jadwiga	PIESOCKA	ŁAWREŃCZUK	Wiera	HARRIS
KUNDYCKA	Elwira		ŁOBACZEWSKA	Irena	MANSON
KUNDYCKI	Stanisław		ŁUBGAŃ	Danuta	RAZNA
KUPIS	Regina	CZYŻOWICZ	ŁUKOMSKA	Genowefa	GAZDOWICZ
KURCABA	Maria	WEYDON	ŁUSCZEWSKA	Zofia	PRZERWA-TETMAJER
LASAK	Stanisława	KACZOŃ	MACIEJOWSKA	Weronika	Opiekun
LASOTA	Jan		MACKIEWICZ	Regina	LUTOMSKA
LEMÓW	Bronisław	BOJANOWSKA	MAGIEROWSKA	Genowefa	SYNNOTT
LEMÓW	Daniela	DOMAŃSKA	MAKUCH	Jan	
LENDNAŁ	Jadwiga		MAKUCH	Maria	BRYMER
LENDNAŁ	Mieczysław		MALCZEWSKA	Janina	SZCZEPAŃSKA
LEPAROWSKI	Antoni		MANTERYS	Anna	URBANOWICZ
LEPIONKA	Jan		MANTERYS	Krystyna	ŁACKA
LEPIONKA	Tadeusz		MANTERYS	Rozalia	ZAZULAK
LEPIONKA	Zdzisław		MANTERYS	Stanisław	
LESZEWICZ	Władysław		MANTERYS	Stefania	SONDEJ
LEWANDOWSKA	Stanisława	MAZUR	MARCHEWA	Janina	SARNIAK
LEWKOWICZ	Anna	CROFT	MARKOWSKA	Aniela	CIESIELSKA
LIPSKA	Ewa	PERKOWSKA	MARKOWSKA	Danuta	BLĄŻKÓW
LIS	Bronisława	WOJCIECHOWSKA	MARKOWSKA	Stanisława	FROST
LIS	Mieczysław		MARKOWSKA	Waleria	
LORENC	Zdzisław		MARKOWSKA	Zofia	

Dwie ojczyzny: Polskie dzieci w Nowej Zelandii

Nazwisko w 1944 roku	Imię	Obecne nazwisko	Nazwisko w 1944 roku	Imię	Obecne nazwisko
MARKOWSKI	Kazimierz		MOROZ	Alfons	
MARKOWSKI	Mieczysław		MROCZEK	Mieczysław	
MARKOWSKI	Zbigniew		MROCZEK	Zofia	EICHSTAEDT
MARTUL	Bronisław		MULLER	Kazimierz	
MARTUL	Wanda	WATOŁA	MULLER	Wanda	
MARTUL	Władysław		NADOLSKA	Felicia	JUCHNOWICZ
MASALSKA	Stanisława	PLACHECKA	NAJBERT	Maria	WĘGRZYN
MATULA	Zofia	ROGERS	NAJBERT	Tadeusz	
MAZUR	Julian Jan		NAPŁOCHA	Irena	RAX
MAZUR	Piotr		NAPŁOCHA	Maria	KOLABINSKA
MAZUR	Tadeusz		NAPŁOCHA	Wanda	GÓRNIAK
MAZUR	Tadeusz		NASARZEWSKA	Henryka	RUM
MELGIEŚ	Halina	LEPIONKA	NAWALANIEC	Helena	GURGÓL
MELGIEŚ	Janina		NAWALANIEC	Helena	WOŚ
MERWID	Waleria		NAWALANIEC	Jan	Opiekun
MICAŁ	Władysław		NAWALANIEC	Stefania	Opiekun
MICHALIK	Jadwiga		NAWALANIEC	Władysława	Siostra Kazimiera
MICHALIK	Wojciech		NAWROCKA	Helena	PODWIN
MIELCZAREK	Anna	DALEY	NAWROCKA	Jadwiga	KOŁODZINSKA
MIGUŁKA	Karolina		NAWROCKA	Janina	PATTERSON
MILCZARSKA	Helena	ILTON	NAWROCKI	Czesław	
MILCZARSKA	Katarzyna	PARSONS	NIEDUMOW	Irena	STOCK
MILCZARSKA	Rozalia	INNES	NIEDŹWIECKA	Irena	MROCZEK
MILISZEWSKI	Władysław	WARREN	NIEDŹWIECKA	Janina	KOWALCZYK
MODZIELEWSKA	Anna	LOGUE	NIEDŹWIECKI	Krystyna	WITKOWSKA
MOKRZECKA	Janina	FRANK	NIEDŹWIECKI	Jan	
MOKRZECKA	Maria		NIZIOŁ	Kazimierz	
MOKRZECKI	Jan		NOWACKA	Adolf	GŁOGOWSKA
MOKRZECKI	Józef	DE KRUYF	NOWACKI	Regina	
MOKRZYCKA	Anna		NOWAK	Ryszard	PODOLSKA
MOKRZYCKA	Czesława		NOWAK	Franciszka	SKIBA
MOKRZYCKA	Maria	MCDONAGH	NOWAK	Irena	
MOKRZYCKA	Stefania	JAMES	NOWAK	Julian	

Dwie ojczyzny: Polskie dzieci w Nowej Zelandii

Nazwisko w 1944 roku	Imię	Obecne nazwisko	Nazwisko w 1944 roku	Imię	Obecne nazwisko
NOWAK	Władysław		PIĘKALSKA	Genowefa	BRUNNER
NOWAKOWSKA	Irena	DUDEK	PIĄTKOWSKA	Alina	PRZYCHODŹKO
NOWAKOWSKA	Krystyna	DUDEK	PIECZARA	Józef	
NOWAKOWSKA	Maria		PIEZONKA	Stefania	TKACZ
NOWOTARSKA	Maria	KOŁODZIŃSKA	PIESOCKA	Katarzyna	FAHEY
NOWOTARSKI	Jan		PIESOCKA	Olga	TURKINGTON
OGONOWSKA	Irena	COATES	PIESOCKI	Nikifor	
OGONOWSKA	Teresa	NOBLE-CAMPBELL	PIESOCKI	Teodor	MERSKA
OKOŁÓW	Irena	SOKALSKA	PIESZCZUCH	Wanda	
OKOŁÓW	Maria		PIETKIEWICZ	Bronisław	
OLECH	Stefania	HOPCROFT	PIETKIEWICZ	Helena	ŚWIERCZYŃSKA
OLECHNOWICZ	Marian		PIETKIEWICZ	Władysław	
OLECHNOWICZ	Tatiana		PIETRASIŃSKA	Maria	Opiekun
ORAWIEC	Władysław		PIETRASIŃSKA	Wanda	Opiekun
OSTAPCZUK	Józef		PIETRZKIEWICZ	Ludwik	
OSTROWSKA	Petronela		PILARSKA	Helena	POLON
OSTROWSKI	Tadeusz		PILARSKA	Władysława	JASIONOWICZ
OŚCIŁOWSKA	Helena	ROSIE	PIOTRKOWSKA	Maria	TARASIEWICZ
OŚCIŁOWSKI	Stanisław		PIOTRKOWSKA	Zofia	BOROWIEC
OŚKO	Julian		PIOTRKOWSKI	Wiesław	Opiekun
PACANOWSKA	Zofia	JABŁOŃSKA	PIOTRKOWSKA	Stanisława	
PANTALEJEW	Zofia	BORYS	PIOTRKOWSKA	Teresa	NOWACKA
PATKOWSKA	Maria		PIOTROWSKI	Czesław	
PATULSKI	Ryszard		PIOTROWSKI	Ludwik	
PAWELEC	Jadwiga	FELGITSCHER	PIOTROWSKI	Zdzisław	
PAK	Jan		PIOTUCH	Eugenia	SMOLNICKA
PELC	Czesław		PISAREK	Kazimierz	
PELC	Wanda	ELLIS	PLECIAK	Witold	
PERKOWSKI	Antoni		PLECIAK	Zofia	WOŁK
PETRUS	Maria		PLEWIŃSKI	Józef	
PETRUS	Michał		PLACHECKA	Łucja	ELL
PETRZYNA	Maria		PLACHECKI	Ignacy	
PETRZYNA	Nadzieja	CHODUPSKA	PLUSA	Genowefa	

Dwie ojczyzny: Polskie dzieci w Nowej Zelandii

Nazwisko w 1944 roku	Imię	Obecne nazwisko	Nazwisko w 1944 roku	Imię	Obecne nazwisko
PLUSA	Wanda	PANDOLFO	ROGOWSKI	Jan	
PODWIN	Danuta	CZOŁNOWSKA	ROLIŃSKA	Julia	Opiekun
POLEĆ	Bolesława	FOSTER	ROMBEL	Helena	SCHWARZ
POLEC	Weronika	FRANZ	ROMBEL	Maria	Siostra Jadwiga
POPLAWSKI	Zbigniew		ROMBEL	Piotr	
PORTAS	Zofia	JANUSZKIEWICZ	ROMBEL	Stefania	BIRETA
POSZELUK	Teodor		ROMBEL	Zofia	BIENIOWSKA
POTEM	Weronika		ROSENBERG-LASZKIEWICZ	Leon Rudolf	
POWIERZA	Józefa	SZAŁKOWSKA	ROSENBERG-LASZKIEWICZ	Olga	Opiekun
POWIERZA	Lech	KING	ROSENBERG-LASZKIEWICZ	Olga Teresa	Opiekun
POWIERZA	Marek		ROZBICKI	Tadeusz	
POWIERZA	Witold		ROZWADOWSKI	Tadeusz	
PRACZ	Eugenia	HATELEY	ROŻNIATOWSKI	Bronisław	
PRACZ	Stefania	BOYLE	RÓŻYCKA	Jadwiga	WARREN
PRĘDKI	Stanisław	KENNEDY	RÓŻYCKA	Janina	O'HARA
PRUSZYŃSKA	Eleonora	GAZDOWICZ	RUBISZ	Anna Teresa	Opiekun
PRUSZYŃSKA	Kazimiera	MILISZEWSKA	RUBISZ	Malwina Zofia	SCHWIETERS
PRZYCHODŹKO	Anna		RUDNICKA	Wilhelmina	Opiekun
PRZYCHODŹKO	Helena	ZAMBON	RUDNICKI	Henryk	
PRZYCHODŹKO	Piotr	JUCHNOWICZ	RUDNICKI	Witold	
PTAK	Mieczysław		RYBIŃSKI	Antoni	
PUCZKO	Zuzanna	NORTON	RYPNIEWSKA	Halina	
PYTLOS	Karolina		RZEPKA	Kazimierz	
PYTLOS	Maria	CAMPBELL	RZEPKA	Wanda	
RADOMSKA	Anna	KRYSTMAN	SADOWSKI	Marian	
RAJWER	Kazimierz		SADOWSKI	Mieczysław	
RATUSZNA	Janina	DONALD	SAJEWICZ	Eugenia	MILISZEWSKA
RATUSZNY	Zygmunt		SAJEWICZ	Jan	
RAZIK	Anna		SAJEWICZ	Olga	WOLK
RĄCZA	Helena	ELMSLY	SAPIŃSKI	Alfred	
RĄCZA	Michalina	SINGH	SAPIŃSKI	Tadeusz Piotr	
REDER	Tadeusz		SARNECKI	Eugeniusz	
REDER	Zofia	MACKIEWICZ	SARNIAK	Antoni	SARNIAK-THOMSON

Dwie ojczyzny: Polskie dzieci w Nowej Zelandii

Nazwisko w 1944 roku	Imię	Obecne nazwisko	Nazwisko w 1944 roku	Imię	Obecne nazwisko
SAWICKA	Maria		SONDEJ	Stefania	ZAWADA
SAWLEWICZ	Danuta	MURAWSKA	SORDEL	Edward	
SAWLEWICZ	Gizela		SORDEL	Emilia	BOYCHUK
SAWLEWICZ	Halina	KANIA	SOJKA	Ludwika	Opiekun
SERDYŃSKA	Stefania	WELLS	SPRUSIŃSKA	Barbara	
SIADK	Janina		SPRUSIŃSKA	Zofia	NIEFIEDOWICZ
SIADK	Krzyszyna		STANISZEWSKA	Irena	Opiekun
SIDORUK	Michał		STASIEWICZ	Janina	
SIECHNIEWICZ	Antonina	WALCZAK	STASZCZUK	Krzysztof	KOWALCZYK
SIERPIŃSKI	Ryszard	SEARS	STOCKA	Anna	JASIŃSKI
SIERPIŃSKI	Zbigniew	SIERS	STOKŁOSIŃSKI	Stanisław	DĄBROWSKA
SKIBA	Maria	SINKINSON	SUCHODOLSKI	Witold	
SKIBA	Stanisław		SUMICZ	Olga	MICHAEL
SKIEREWSKA	Franciszka	KRAWCZYK	SUMICZ	Wacław	
SKWARKO	Krzyszyna		SURYNT	Jerzy Leon	Opiekun
SKWARKO	Krzyszyna	TOMASZYK	SURYNT	Salomea	
SKWARKO	Stanisław		SURYNT	Zofia	FRANCKA
SKWARKO	Stanisław		SYGIERYCZ	Olga	Opiekun
SMAL	Michał		SYPUŁA	Teresa	
SMOLUCH	Feliks		SZACH	Czesława	JURCZENKO
SMOLUCH	Stefania	KEENAN	SZACH	Janina	KRYSTMAN
SNARSKA	Weronika		SZADKOWSKA	Czesława	
SOBKO	Jan		SZADKOWSKA	Irena	BOROWICZ
SOBKO	Maria	ROBBINS	SZADKOWSKI	Eugeniusz	BANAŚ
SOBKO	Zofia	WILSON	SZADKOWSKI	Zygmunt	
SOCHOŁA	Helena	MARTUL	SZALEKOWSKA	Janina	STASIEWICZ
SOKALSKA	Romualda	WALUSZEWSKA	SZCZAPA	Alicja	
SOKALSKI	Józef		SZCZAPA	Jadwiga	
SOLARZ	Tadeusz		SZCZAPA	Janina	
SOLECKA	Zuzanna	MAJAK	SZCZAPA	Maria	
SOLECKI	Ryszard		SZCZAPA	Teresa	
SONDEJ	Emilia	HENDERSON	SZCZAPWIŃSKA	Wanda	KOWALEWSKA
SONDEJ	Leon		SZCZAKAREWICZ	Lesław	

Dwie ojczyzny: Polskie dzieci w Nowej Zelandii

Nazwisko w 1944 roku	Imię	Obecne nazwisko	Nazwisko w 1944 roku	Imię	Obecne nazwisko
SZCZEPAŃSKA	Barbara	SMITH	TARASIEWICZ	Zbigniew	
SZCZEPAŃSKA	Ewa	ZAJKOWSKA	TARNOWSKA	Alicja	BRĄCZEK
SZCZEPAŃSKA	Irena	MacDONALD	TERLECKA	Bożena	WIEK
SZCZEPAŃSKA	Teresa	BELCZACKA	TIETZE	Jadwiga	Opiekun
SZCZEPAŃSKA	Walentya	WOŁYNCEWICZ	TIETZE	Tadeusz	
SZCZĘSNA	Ewa Halina	WEINTZ	TINALD	Maria	LA MONT
SZCZĘSNA	Jadwiga	MATEJKO	TINALD	Władysław	
SZLAPAK	Adela	MALECKA	TKACZYK	Aleksander	GÓRYL
SZLAPAK	Maria		TOBOLSKA	Anna (Siostra Imelda)	Opiekun
SZOSTAK	Janina	KACZOŃ	TRYBUŁA	Ryszard	
SZPETNER	Franciszek	SZPETNAR	TURKAWKA	Jan	TUROL
SZTYCHMILLER	Teresa	HUMPHREY	TURSKA	Zofia	
SZUFLITA	Danuta	MICHL	TURSKI	Bogusław	
SZULGAN	Olga	LIS	TYMICKI	Ryszard	
SZULGAN	Władysław		URBANOWICZ	Bronisław	
SZUMNA	Genowefa	RIELLY	USOWICZ	Olga	NAPLOCHA
SZYMANIK	Andrzej		WAŁA	Edward	
SZYMANIK	Barbara	WIŚNIEWSKA	WALASIEWICZ	Jadwiga	BASIŃSKA
SZYMANSKA	Jadwiga		WALASIEWICZ	Teresa	JASIONOWICZ
SZYMAŃSKI	Zbigniew		WALCZAK	Kazimierz	
SZYMCZYCHA	Rudolf		WANIUK	Stefan	
SZYMCZYCHA	Salomea	ZAWADKA	WASIUKIEWICZ	Irena	HODGSON
SZYMULSKA	Helena		WASIUKIEWICZ	Jadwiga	NETZLER
SZYSZ	Danuta	BANAŚ	WASIUKIEWICZ	Janina	COLLETT
SZYSZ	Zofia		WAWRYKA	Aleksandra	KULAK
ŚMIETANA	Danuta		WENCKIEWICZ	Halina	RUDOWSKA
ŚMIETANA	Janina	BOWIE	WENCKIEWICZ	Helena	Opiekun
ŚWIERCZYŃSKA	Jadwiga	TRYBUŁA	WENCKIEWICZ	Jolanta	JARMOŁOWICZ
ŚWIERCZYŃSKA	Janina	NOWOTARSKA	WĘGRZYN	Bronisław	
ŚWIERCZYŃSKA	Stanisława	BŁAŻKÓW	WĘGRZYN	Franciszka	QUIRKE
ŚWIERDŁOWICZ	Helena	MATUKU	WĘGRZYN	Józefa	BERRY
TABISZ	Irena	MIDER	WĘGRZYN	Maria	WYPYCH
TABISZ	Wiktoria	RYŚNIK	WĘGRZYN	Władysława	STRACK
TARASIEWICZ	Marian				

Dwie ojczyzny: Polskie dzieci w Nowej Zelandii

Nazwisko w 1944 roku	Imię	Obecne nazwisko	Nazwisko w 1944 roku	Imię	Obecne nazwisko
WIERNA	Janina Stanisława		WOJTOWICZ	Jadwiga	Opiekun
WIERNY	Zbigniew		WOJTOWICZ	Krystyna	NOWOTARSKA
WIERZBICKA	Ewa	REDWARD	WOJTOWICZ	Otto Bolesław	
WIERZBICKA	Irena	KILCZEWSKA	WOJTOWICZ	Władysław	
WIERZBICKI	Jerzy		WOŁK	Henryk	
WIERZBICKI	Lech		WOŁK	Stanisław	
WIERZBIŃSKA	Czesława	PANEK	WOŁYNCEWICZ	Antonina	ROACHE
WIERZBIŃSKA	Wanda	MAKOMASKA	WOŁYNCEWICZ	Krystyna	SCOTT
WIERZBIŃSKA	Wiesława	SCURR	WOSZCZAK	Zuzanna	KUZIK
WIESZTORT	Zygmunt		WOŚ	Bronisław	
WIEWIÓRKA	Jan	VIEVIORKA	WOŚ	Tadeusz	
WIEWIÓRKA	Tadeusz	VIEVIORKA	WOŹNIAK	Halina	ANDREWS
WIĘCEK	Helena	BROWN	WOŹNIAK	Irena	KANE
WILNIEWCZYC	ks. Michał		WOŹNIAK	Maria	
WISZOWATA	Teresa	CIESIELSKA	WOŹNIAK	Mikołaj	Opiekun
WIŚNIEWSKA	Alicja	WOJTOWICZ	WOŹNIAK	Teodozja	ŚWIERCZYŃSKA
WIŚNIEWSKA	Helena	TORBUS	WOŹNIAK	Weronika	
WIŚNIEWSKA	Izabela	PTAK	WOJCIK	Paweł	
WIŚNIEWSKI	Kazimierz		WOJCIK	Stanisław	
WIŚNIEWSKI	Stefan		WROTNIAK	Józefa	Siostra Stella
WIŚNIEWSKI	Zygmunt		WROTNIAK	Maria	BRZOSZOWSKA
WITASZEK	Bronisław		WROTNIAK	Stefania	
WITKOWSKI	Zdzisław		WUDA	Jadwiga	
WŃĘK	Józef		WYPYCH	Franciszek	DEPCZYŃSKA
WOJCIECHOWSKA	Krystyna	BROOKS	WYPYCH	Genowefa	
WOJCIECHOWSKA	Maria	HUNT	WYPYCH	Józefa	PACHOLEK
WOJCIECHOWSKI	Jan	ROY-WOJCIECHOWSKI	WYPYCH	Maria	JANE
WOJDYGA	Antonina	Opiekun	WYPYCH	Teresa	MAGGS
WOJTASZ	Irena		WYPYCH	Wiktoria	MILLAR
WOJTASZ	Jadwiga		WYSOKIŃSKA	Maria	GARDEN
WOJTOWICZ	Balbina	Opiekun	ZAGROBELNA	Danuta	BERTOS
WOJTOWICZ	Bolesław		ZAGROBELNA	Krystyna	MURUK
WOJTOWICZ	Franciszek	Opiekun	ZAGROBELNY	Edward	

Nazwisko w 1944 roku	Imię	Obecne nazwisko	Nazwisko w 1944 roku	Imię	Obecne nazwisko
ZAGWOJSKI	Michał		ŻAK	Franciszek	
ZAJĄC	Kazimierz		ŻAK	Zbigniew	
ZAJĄC	Władysława	BREJNAKOWSKA	ŻAK	Zofia	BIAŁOSTOCKA
ZAJKOWSKI	Eugeniusz		ŻEREBECKA	Jadwiga	Opiekun
ZALEWSKI	Eugeniusz		ŻEREBECKA	Zofia	
ZATORSKA	Anna	PIOTRKOWSKA	ŻOŁNOWSKA	Irena	ZAVOS
ZATORSKA	Waleria	Opiekun	ŻOŁNOWSKI	Ryszard	
ZAWADA	Józef		ŻYGADŁO	Bolesław	
ZAZULAK	Anna	AITKEN			
ZAZULAK	Maria	AUGUSTOWICZ			
ZAZULAK	Stanisława	HAY-CHAPMAN			
ZAZULAK	Stefania	VAN DOORN			
ZAZULAK	Wiktoria				
ZIELIŃSKA	Maria	MATKOWSKA			
ZIELIŃSKA	Regina	VILIMO			
ZIELIŃSKI	Kazimierz				
ZIĘCIAK	Halina	Opiekun			
ZIĘCIAK	Marek				
ZIOŁO	Alina	TOTH			
ZIOŁO	Danuta	GAWRONEK			
ZIOŁO	Tadeusz				
ZYSK	Stefania	ŁABĘDŹ			
ZYSKOWSKA	Alfreda	MCSWEENEY			
ZYSKOWSKI	Henryk				
ZYSKOWSKI	Zygmunt				
ZYZA	Piotr				
ZYZA	Walentyna				
ZYZAŁO	Bolesław				
ZYZAŁO	Helena	CHURCHILL			
ZYZAŁO	Leon				
ZYZAŁO	Stanisław				
ŻAK	Adam				
ŻAK	Eugeniusz				

Spis treści

Od redakcji	4
Objaśnienia niektórych nazw	5

CZĘŚĆ PIERWSZA Tło historyczne

Błogosławieństwo papieskie i dyplom	9
Przedmowa	10
W Parlamencie Nowej Zelandii	12
W Sejmie Rzeczypospolitej	13
Jak do tego doszło?	14
Listy z archiwum premiera Nowej Zelandii	16
Polskie ślady w Nowej Zelandii	19
Polscy Nowozelandczycy	21
Polskie dzieci-uchodźcy w innych krajach	25

CZĘŚĆ DRUGA Wspomnienia polskich dzieci po 60-ciu latach

Wstęp do wspomnień	30
Stracone dzieciństwo	Dioniza Choroś (Gradzik) 31
Na Sybir i dalej	Sr. Stella (Józefa Wrotniak) 41
Zesłana do Kazachstanu	Halina Morrow (Fladrzyńska) 57
Zasłużyłem sobie	Marian Adamski 70
Powrót do domu	Piotr Aulich 71
Byłam pielęgniarką	Józefa Berry (Węgrzyn) 74
Dawaliśmy sobie radę	Henryka Blackler (Aulich) 76
Można przetrwać	Maria Campbell (Pytlos) 77
Ten gościnny kraj	Irena Coates (Ogonowska) 80
Co dobre i co złe	Janina Duynhoven (Kornobis) 84
Obcy wśród swoich	Henryk Dziura 86
Z wdzięczności dla kraju	Wanda Ellis (Pelc) 90
Nowa Zelandia – mój dom	Ryszard Gołębiewski 93
Wakacje u Nowozelandczyków	Emilia Henderson (Sondej) 95
Życie religijne	Sr. Jadwiga (Maria Rombel) 101
To był raj	Józef Jagiełło 103
Chłopięce lata	Bogusław Januszkiewicz 105
Mój medal był dla nas wszystkich	Jan Jarka 109
Spokojne życie na obcej ziemi	Krzysztof Jasiński (Staszczuk) 111
Chcieć to móc	Felicja Juchnowicz (Nadolska) 116
Podróż w nieznane	Irena Kane (Woźniak) 118
Matka z dziećmi na wygnaniu	Leokadia Kazimierzak (Kołodzińska) 120
Przełamywanie bariery językowej	Janina Keenan (Chrzczanowicz) 121
Szczęśliwe dni	Wanda Kowalewska (Szczawińska) 123
Odnajduję zaginioną siostrę	Aleksandra Kraczo 125

Trudności w odszukaniu rodziny	<i>Kazimierz Krawczyk</i>	126
Złota rączka	<i>Edward Kukielko</i>	131
Historie rodzinne	<i>Danuta Kupidura (Łakoma)</i>	133
Matka Polka	<i>Jadwiga Lynch (Lutomska)</i>	134
Skrawki pamięci	<i>Zenona Łakoma</i>	135
Szczęściarz	<i>Anicet Łakomy</i>	136
Kłopoty z językiem angielskim	<i>Stanisław Manterys</i>	139
Pięć szkół na trzech kontynentach	<i>Helena Martul (Sochoła)</i>	145
Obozowe fryzjerki	<i>Maria Matkowska (Zielińska)</i>	148
Bezpieczny kraj z możliwościami	<i>Julian Mazur</i>	149
Budujemy łódź	<i>Alfons Moroz</i>	151
Koło się obraca	<i>Jan Niedźwiecki</i>	152
W komunistycznej Polsce	<i>Czesław Panek (Wierzbńska)</i>	155
Studia i praca	<i>Franciszka Quirk (Węgrzyn)</i>	157
Obozowy rzemieślnik	<i>Kazimierz Rajwer</i>	158
Pomyślne życie	<i>Jan Roy-Wojciechowski</i>	160
Najmłodsi chłopcy z Hawera	<i>Antoni Rybiński</i>	163
Powrót taty	<i>Maria Sinkinson (Skiba)</i>	166
Potrzebna dyscyplina	<i>Stanisław Skiba</i>	168
Miłe wspomnienia	<i>Eugenia Smolnicka (Piotuch)</i>	169
Polka czy Nowozelandka?	<i>Stefania Sondej (Manterys)</i>	171
Składam hołd	<i>Janina Szczepańska (Malczewska)</i>	177
Á propos pocucia przynależności	<i>Krystyna Tomaszuk (Skwarko)</i>	178
Losy mojej rodziny	<i>Regina Villmo (Zielińska)</i>	181
Szczypta soli	<i>Romualda Waluszewska (Sokalska)</i>	184
Miasto Wanganui zaprasza	<i>„The Wanganui Chronicle”</i>	185
Wrosłem tu	<i>Tadeusz Woś</i>	187
Trudne początki	<i>Helena Wypych (Chwieduk)</i>	189
Opiekunka	<i>Maria Wypych (Węgrzyn)</i>	193
Jak wiatr w polu	<i>Edward Zagrobelny</i>	197
Łatwa forsa w Pio Pio	<i>Józef Zawada</i>	199

Wybór wspomnień

Jadwiga Cooper (Jarka), Regina Czyżowicz (Kupis), Katarzyna Fahey (Piesocka), Marceli Jamroz, Teresa Jenner (Dmochowska), Danuta i Wiesław Kalińscy, Marian (Marek) Kazimierzak, Czesław Krystman (Szach), Lech Lubas, Izabela Melvin (Jankiewicz), Janina Ościłowska (Łabędź), Zofia Przerwa-Tetmajer (Łuszczewska), Elżbieta Sawicka (Bednarska), Leon Sondej, Wanda Watola (Martul), Ola Wołk (Sajewicz), Stefania Zawada (Sondej)

201

CZĘŚĆ TRZECIA Wspomnienia następnego pokolenia

Tolerancja	<i>Paul Coates</i>	212
Którą drużynę popieram?	<i>Piotr Gawor</i>	214
Nasza polska „wioska”	<i>Barbara Hanson</i>	216
Odwiedziłam kraj przodków	<i>Elizabeth Jarka</i>	220
Koło Polskiej Młodzieży	<i>Bela Jones</i>	222
Utrzymywanie wartości	<i>Ed Juchnowicz</i>	228

Wielopokoleniowa rodzina	<i>Tereska Kozera i Veronika Mak</i>	230
Żyję w dwóch kulturach	<i>Terenia Krystman-Turski</i>	231
Przedsiębiorczy duch	<i>Isabella Kuczma</i>	234
Za i przeciw	<i>Marek Manterys</i>	235
Nieustająca nadzieja	<i>Gordon Noble-Campbell</i>	237
Szukaliśmy korzeni ojca	<i>Michael Pleciak</i>	239
Z pewnością Polka	<i>Maria Schlaadt</i>	241
Moja spuścizna kulturowa	<i>Danusia Trask</i>	244
Ciężka praca za przywileje	<i>Christina Quirke</i>	246
Swoboda i możliwości	<i>Joe Zazulak</i>	249

CZĘŚĆ CZWARTA Wspomnienia Nowozelandczyków

Kamerzysta wspomina	<i>Earl Bailey</i>	255
Na pogrzebie Stanisława Dygasa	<i>Bill Ballantyne</i>	256
Lubiany drużynowy	<i>Elizabeth Banks</i>	258
Pociągami do Pahiatua	<i>Mollie Baoumgren</i>	259
Wielkie wydarzenie w moim życiu	<i>Geoff Bennett</i>	261
Znałem polskich chłopców	<i>Bill Cronin</i>	262
Nauczyciel języka angielskiego	<i>Alexander Henderson</i>	263
Był to naprawdę pamiętny dzień	<i>Allan Hughes</i>	273
Duma nauczycielki	<i>Mary McAllister</i>	276
Dobry przyjaciel	<i>Bill McIvor</i>	279
„On tu jest!”	<i>Claire Ny</i>	281
Na pogrzebie Józefa Pieczary	<i>Vel Puke</i>	283
Trzech wspaniałych chłopców	<i>Sheila Quirk</i>	285
Pani konsulowa	<i>Valerie Roy-Wojciechowski</i>	286
Wybór wspomnień Nowozelandczyków		292

CZĘŚĆ PIĄTA Trudne decyzje, Obóz, Harcerstwo i Bursy

Trudne decyzje	302
Jak powstała „Mała Polska”	303
Polska kolonia w Nowej Zelandii	305
Jak Rząd Nowej Zelandii rozmyślał nad losem polskich dzieci	309
Administracja obozu	314
Harcerstwo w Obozie	320
Polskie bursy 1946–1958	322

CZĘŚĆ SZÓSTA Załączniki

Polacy w Nowej Zelandii: statystyka	341
Mapy	345
Bibliografia	347
Spis dzieci i opiekunów	349

Na końcu świata

Polskie sieroty w Nowej Zelandii

Na początku II wojny światowej, na rozkaz Stalina, ponad półtora miliona Polaków wypędzono ze wschodniej Polski i zesłano do obozów przymusowej pracy na Sybir i na inne obszary Związku Radzieckiego. W tych warunkach, znaczna część zesłańców zmarła lub zaginęła. 120.000 Polaków ewakuowano do Iranu, w tym około 20.000 dzieci. Z czasem dzieci roz esłano w różne części świata.

Książka opisuje losy 733 dzieci, w większości sierot, które w 1944 roku wysłano z Iranu do Nowej Zelandii. Tymczasowy przytułek, mający trwać tylko do końca wojny, po Jałcie przemienił się dla większości z nich w stały pobyt. Ich wspomnienia po 60-ciu latach mówią o niezwykłym życiu w obcym kraju na końcu świata.

